

Haruki Murakami

1Q84

tom **1**

Tłumaczyła Anna Zelińska-Elliott



MUZA 2010

Tytuł oryginału: *IQ84*
ichi-kew-hachi-yon

MUZA SA, Warszawa 2010
Wydanie I

Projekt serii: *Agnieszka Spyrka*
Projekt okładki: *Anna Pol*
Redaktor prowadzący: *Małgorzata Burakiewicz*
Redakcja techniczna: *Zbigniew Katafiasz*
Korekta: *Maria Nowakowska*

Zdjęcie wykorzystane na okładce:
Eva Serna/sxc.hu

ISBN 978-83-7495-866-0 (oprawa broszurowa)
ISBN 978-83-7495-872-1 (oprawa twarda)

Warszawskie Wydawnictwo Literackie
MUZA SA
ul. Marszałkowska 8, 00-590 Warszawa
tel. 22 6297624, 22 6296524
e-mail: info@muza.com.pl

It's a Barnum and Bailey world,
Just as phony as can be,
But it wouldn't be make-believe
If you believed in me.

It's Only a Paper Moon
(E.Y. Harburg & Harold Arlen)

Spis treści:

Księga I (kwiecień-czerwiec).....	
ROZDZIAŁ PIERWSZY – AOMAME.....	
Proszę się nie dać zwieść pozorom.....	
ROZDZIAŁ DRUGI – TENGO.....	
Trochę inny pomysł.....	
ROZDZIAŁ TRZECI – AOMAME.....	
Kilka faktów, które uległy zmianie.....	
ROZDZIAŁ CZWARTY – TENGO.....	
Jeżeli pan tego pragnie.....	
ROZDZIAŁ PIĄTY – AOMAME.....	
Praca wymagająca specjalistycznych umiejętności i praktyki.....	
ROZDZIAŁ SZÓSTY – TENGO.....	
Czy pojedziemy gdzieś daleko?.....	
ROZDZIAŁ SIÓDMY – AOMAME.....	
Cicho, by nie obudzić motyla.....	
ROZDZIAŁ ÓSMY – TENGO.....	
Pojechać w nieznanne miejsce, spotkać się z nieznanym człowiekiem.....	
ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY – AOMAME.....	
Zmienił się krajobraz, zmieniły się zasady.....	
ROZDZIAŁ DZIESIĄTY – TENGO.....	
Rewolucja z prawdziwego zdarzenia, w której poleje się prawdziwa krew.....	
ROZDZIAŁ JEDENASTY – AOMAME.....	
Ciało człowieka jest świątynią.....	
ROZDZIAŁ DWUNASTY – TENGO.....	
Przyjdź królestwo Twoje.....	
ROZDZIAŁ TRZYNASTY – AOMAME.....	
Urodzona ofiara.....	
ROZDZIAŁ CZTERNASTY – TENGO.....	
Rzeczy, których większość czytelników nigdy nie widziała na oczy.....	
ROZDZIAŁ PIĘTNASTY – AOMAME.....	
Mocno, jakby przyczepić kotwicę do balonu.....	
ROZDZIAŁ SZESNASTY – TENGO.....	
Bardzo się cieszę, że ci się podoba.....	
ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY – AOMAME.....	
Czy będziemy szczęśliwi, czy nieszczęśliwi?.....	

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY – TENGO.....

Nie ma już miejsca dla Big Brothera.....

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY – AOMAME.....

Kobiety dzielące się sekretami.....

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY – TENGO.....

Biedni Gilacy.....

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY – AOMAME.....

Choćby człowiek próbował iść jak najdalej.....

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI – TENGO.....

Czas może się posuwać, przybierając nieregularne kształty.....

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI – AOMAME.....

To dopiero początek.....

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY – TENGO.....

Jakie znaczenie mają rzeczy nie z tego świata.....

Księga I

(kwiecień-czerwiec)

Rozdział pierwszy – Aomame

Proszę się nie dać zwieść pozorom

Z radia płynęły dźwięki muzyki klasycznej. Stacja FM nadawała *Sinfonietę* Janáčka. Nie była to może najodpowiedniejsza muzyka do słuchania w stojącej w korku taksówce. Kierowca nie wydawał się szczególnie w nią wsłuchany. W milczeniu obserwował niekończące się rzędy samochodów przed sobą. Wyglądał zupełnie jak doświadczony rybak, który, stojąc na dziobie, usiłuje dostrzec, gdzie łączą się niebezpieczne prądy. Aomame zapadła głęboko w siedzenie i lekko zmrużywszy oczy, słuchała.

Ilu ludzi na świecie potrafiloby rozpoznać *Sinfonietę* Janáčka, słysząc zaledwie jej początek? Prawdopodobnie ich liczba mieściła się gdzieś pomiędzy „bardzo niewiele” albo „prawie nikt”. Ale Aomame z jakiegoś powodu się to udało.

Janáček skomponował ten krótki utwór w 1926 roku. Pierwsza część została napisana jako fanfara na jakieś zawody sportowe. Aomame wyobraziła sobie Czechosłowację w 1926 roku. Pierwsza wojna światowa niedawno dobiegła końca, naród został wreszcie wyzwolony spod długiego panowania dynastii Habsburgów, ludzie pili w kawiarniach piwo pilzneńskie, produkowali zimne i całkowicie realne karabiny maszynowe i cieszyli się krótkotrwałym pokojem, który zapanował w Europie Środkowej. Franz Kafka odszedł z tego świata dwa lata wcześniej w niefortunnych okolicznościach. Niebawem miał pojawić się nie wiadomo skąd Hitler i w jednej chwili łakomie pożreć ten zaciszny, piękny kraj, ale wówczas jeszcze nikt nie wiedział, że dojdzie do takich strasznych wydarzeń. Być może najważniejszą prawdą, jakiej uczy nas historia, jest to, że „nikt nigdy nie wie, co będzie dalej”. Słuchając muzyki, Aomame wyobrażała sobie łagodny wietrzyk na równinach Czech i rozmyślała o tym, czym jest historia.

W 1926 roku zmarł Jego Cesarska Mość cesarz Taishō i rozpoczęła się era Shōwa. W Japonii też lada chwila miał nadejść mroczny, zły okres. Kończyło się krótkie intermezzo modernizmu i demokracji, rozprzestrzenił się faszyzm.

Aomame kochała historię na równi ze sportem. Raczej nie czytała powieści, pochłaniała za to niezliczone książki związane z historią, w której szczególnie podobało jej się to, że wszystkie fakty z zasady łączyły się z określoną datą i miejscem. Dość łatwo przychodziło jej

zapamiętywanie historycznych dat. Nawet jeżeli nie wykuła ich na pamięć, automatycznie same się nasuwały, kiedy zrozumiała kontekst wydarzeń. W gimnazjum i liceum Aomame miała ze sprawdzianów z historii najlepsze stopnie w klasie. Zawsze dziwiła się ludziom mającym trudności z zapamiętywaniem historycznych dat. Dlaczego nie potrafią czegoś tak prostego, myślała.

Naprawdę miała na nazwisko Aomame. Dziadek ze strony ojca pochodził z prefektury Fukushima i podobno w jego rodzinnym miasteczku, a może wsi w górach, naprawdę żyło kilka osób noszących nazwisko Aomame. Ona sama nigdy tam nie była. Zanim się urodziła, ojciec zerwał stosunki z domem rodzinnym. Tak samo matka. Dlatego Aomame nigdy nie poznała swoich dziadków ani babć. Rzadko podróżowała, ale kiedy miała okazję zatrzymać się gdzieś w hotelu, przeglądała książki telefoniczne, żeby sprawdzić, czy nie znajdzie kogoś o nazwisku Aomame. Jednak w żadnym mieście ani miasteczku nikogo takiego nie znalazła. Zawsze czuła się wtedy tak samotna, jak rozbitek na bezkresie oceanu.

Przedstawianie się było dla niej kłopotliwe. Gdy tylko wymieniała swoje nazwisko, rozmówca patrzył na nią zaskoczony albo speszony. Pani Aomame? Tak. Pisze się jak *aoi*, czyli zielony, i *mame*, czyli fasolka. Ao-mame. Kiedy pracowała w firmie, często używała wizytówek i za każdym razem kwestia jej nazwiska urastała do rangi problemu. Rozmówca wpatrywał się zazwyczaj w biały kartonik, zupełnie jakby nieoczekiwanie otrzymał list pełen złych wiadomości. Gdy zaś Aomame przedstawiała się przez telefon, bywało, że rozmówca chichotał. Kiedy wywoływano ją po nazwisku w poczekalniach urzędów czy szpitali, ludzie podnosili głowy i gapili się na nią. Zupełnie jakby chcieli zobaczyć, jak wygląda ktoś o nazwisku „Aomame”.

Niektórzy omyłkowo nazywali ją Edamame. Zdarzało się też, że zwracano się do niej per pani Soramame¹. W takich wypadkach poprawiała ich, mówiąc: „Nie Edamame (czy Soramame) tylko Aomame. Rzeczywiście to podobnie brzmi”. Wtedy rozmówca uśmiechał się krzywo i przeproszał, dodając: „Ale to jednak rzadkie nazwisko”. Ile razy słyszała to w swoim trzydziestoletnim życiu? Ile razy musiała znosić głupie żarty z tego powodu? Gdybym się nie urodziła z takim nazwiskiem, być może moje życie inaczej by się potoczyło, myślała. Gdybym miała jakieś popularne nazwisko jak Satō, Tanaka albo Suzuki, może byłabym mniej zestresowana, patrzyłabym na świat trochę bardziej tolerancyjnie? Może.

Zamknęła oczy i wsłuchiwała się w muzykę. Wypełniła umysł pięknymi dźwiękami grających unisono instrumentów dętych. Nagle Aomame coś sobie uświadomiła. Jakość dźwięku była zbyt dobra jak na zwykłe radio w taksówce. Choć grało raczej cicho, dźwięk miał głębię, wyraźnie słychać było półtony. Otworzyła oczy, pochyliła się i spojrzała na stereofoniczny radioodtwarzacz. Był czarny i dumnie lśnił. Nie mogła dostrzec marki, ale wyglądał na urządzenie wysokiej klasy. Miał wiele pokręteł, na panelu wyświetlały się eleganckie zielone liczby. To musiało być coś z najwyższej półki. Zwykle korporacje

¹* Soramame i edamame to rodzaje zielonej fasoli (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

taksówkowe nie instalują takich wspaniałych systemów nagłaśniających.

Aomame omiotła wzrokiem wewnątrz samochodu. Od czasu kiedy do niego wsiadła, była zatopiona w myślach, dopiero teraz zauważyła, że najwyraźniej nie jest to zwyczajna taksówka. Wyposażenie było eleganckie, siedzenia wyjątkowo wygodne. A przede wszystkim we wnętrzu panowała cisza. Na pewno wyłożono je czymś dźwiękochłonnym, bo z zewnątrz prawie nie dochodził hałas. Zupełnie jak w studiu nagraniowym. To musiała być prywatna taksówka. Niektórzy kierowcy naprawdę nie żałują pieniędzy na wyposażenie. Dyskretnie poszukała wzrokiem tabliczki z numerem licencji i nazwiskiem kierowcy, ale nigdzie jej nie dostrzegła. Taksówka nie wyglądała jednak na jeżdżącą bez zezwolenia. Miała normalny licznik, który dokładnie pokazywał, ile trzeba zapłacić. Widniała na nim suma 2150 jenów. Ale nigdzie nie było tabliczki z nazwiskiem taksówkarza.

– Elegancki samochód. I bardzo cichy – zwróciła się Aomame do pleców kierowcy.

– Toyota crown royal saloon – odrzekł krótko.

– Świetnie słyszeć muzykę.

– To cichy samochód. Dlatego między innymi go wybrałem. Szczególnie w dziedzinie wyciszania technologia Toyoty nie ma sobie równych na świecie.

Aomame przytaknęła i znów odchyliła się na oparcie siedzenia. W sposobie mówienia kierowcy było coś niezwykłego. Jakby nie mówił wszystkiego, nie dopowiadał czegoś ważnego. Na przykład (oczywiście to tylko przykład) jakby sugerował, że w dziedzinie wyciszania nie można Toyocie nic zarzucić, ale z czymś innym mają problemy. A kiedy skończył mówić, zapanowało milczenie pełne ukrytego znaczenia. Unosiło się w niewielkiej przestrzeni samochodu jak miniaturowa wyimaginowana chmurka. Przez to Aomame poczuła się lekko podenerwowana.

– Rzeczywiście cichy – powiedziała, jakby chcąc odgonić tę chmurkę. – Ten zestaw stereo też jest chyba wysokiej klasy.

– Kupienie go wymagało determinacji – powiedział kierowca tonem emerytowanego oficera sztabowego opowiadającego o dawnych strategiach. – Ale ponieważ spędzam w samochodzie dużo czasu, lubię dźwięk jak najlepszej jakości, poza tym...

Aomame czekała na dalszy ciąg. Jednak dalszego ciągu nie było. Znów przymknęła oczy i wsłuchiwała się w muzykę. Nie wiedziała, jakim człowiekiem był Janáček w życiu prywatnym. Ale na pewno nie wyobrażał sobie, że ktoś będzie słuchał jego muzyki w Tokio, w 1984 roku, w cichym wnętrzu toyoty crown royal saloon, na strasznie zatłoczonej stołecznej autostradzie.

Ale skąd od razu wiedziałam, że ta muzyka to *Sinfonietta* Janáčka? – wciąż nie mogła się nadziwić Aomame. I jakim cudem pamiętałam, że została skomponowana w 1926 roku?

Nie była szczególnie wielbicielką muzyki klasycznej. Nie miała żadnych osobistych wspomnień związanych z Janáčkiem. A mimo to, gdy tylko usłyszała początkowe takty pierwszej części utworu, w jej głowie, chyba wskutek jakiegoś odruchu, pojawiły się różne

urywki informacji. Jakby stadko ptaków wleciało do pokoju przez otwarte okno. Ta muzyka wywołała też w niej dziwne uczucie – jakby coś ją skręcało. Nie było w tym nic bolesnego ani nieprzyjemnego. Miała tylko wrażenie, że wszystkie części jej ciała są pomału wykręcane. Aomame nie wiedziała, co się dzieje. Czy to muzyka Janáčka wywołuje we mnie to niepojęte uczucie?

– Janáček – mruknęła Aomame prawie nieświadomie. Ale zaraz pożałowała, że to powiedziała.

– Słucham?

– Janáček. To on napisał ten utwór.

– Pierwsze słyszę.

– Czeski kompozytor.

– Coś takiego... – powiedział kierowca jakby z podziwem.

– Czy to jest prywatna taksówka? – zapytała Aomame, chcąc zmienić temat.

– Tak – odparł kierowca i milczał przez chwilę. – Prywatnie jeżdżę. To już mój drugi samochód.

– Siedzenia są bardzo wygodne.

– Dziękuję. Czy pani – zaczął kierowca, lekko odwracając głowę w jej stronę – przypadkiem się spieszy?

– Jestem z kimś umówiona w Shibuya. Dlatego poprosiłam, żeby pan jechał autostradą.

– O której jest pani umówiona?

– O pół do piątej – odparła Aomame.

– Jest trzecia czterdzieści pięć. Nie zdąży pani.

– Bo taki straszny korek?

– Wygląda na to, że gdzieś przed nami musiał być poważny wypadek. To nie jest zwykły korek. Od pewnego czasu prawie się nie posuwamy.

Dlaczego kierowca nie przełączył radia na informacje drogowe, zastanawiała się zaskoczona Aomame. Tkwił przecież w beznadziejnym korku na autostradzie. Normalny taksówkarz chciałby się dowiedzieć, co się dzieje, i na pewno nastawiłby radio.

– Skąd pan wie? Słuchał pan wiadomości drogowych? – zapytała Aomame.

– Wiadomościom nie można wierzyć – powiedział głucho kierowca. – To w połowie kłamstwa. Zarząd Dróg nadaje to, co mu pasuje. Trzeba wszystko zobaczyć na własne oczy i samemu ocenić, co się tu naprawdę dzieje.

– No i według pana oceny ten korek się szybko nie skończy?

– Potrwa dłuższy czas – powiedział kierowca, powoli kiwając głową. – Gwarantuję pani. Jak się tak zakorkuje, autostrada zmienia się w istne piekło. Czy to pani spotkanie jest ważne?

Aomame zastanowiła się.

– Tak, bardzo ważne. Bo to spotkanie z klientem.

– No to mamy kłopot. Przykro mi, bo pewnie pani nie zdąży – powiedział kierowca i

pokręcił głową w taki sposób, jakby rozluźniał mięśnie. Zmarszczki na jego karku poruszyły się jak jakieś pierwotne stworzenie. Patrząc trochę bezmyślnie na te ruchy, Aomame nagle przypomniała sobie bardzo ostry przedmiot leżący na dnie jej torby na ramię. Poczowała, że ma lekko spocone dłonie.

– To co powinnam zrobić?

– Nic pani nie może zrobić. Jesteśmy na stołecznej autostradzie, więc nic nie poradzę, póki nie dojedziemy do następnego zjazdu. To nie jest zwykła ulica, gdzie mogłaby pani sobie wysiąść i złapać pociąg na najbliższej stacji.

– A następny zjazd?

– W Ikejiri, ale wątpię, czy dotrzemy tam przed zmrokiem.

Przed zmrokiem? Aomame wyobraziła sobie, że do wieczora będzie tkwiła uwięziona w tej taksówce. Wciąż nadawali utwór Janáčka. Na pierwszy plan wysunęły się teraz przytłumione smyczki, jakby próbowały opanować podniecenie. To wcześniejsze uczucie, że w środku ją skręca, znacznie osłabło. Co to mogło być?

Złapała tę taksówkę niedaleko Kinuta i w Yōga kierowca wjechał na autostradę numer 3. Na początku rzeka samochodów płynęła wartko, lecz przed Sangenjaya nagle zaczął się korek, wkrótce prawie przestali się posuwać. Na wyjeździe z miasta ruch przebiegał bez zahamowań, tylko pasy wiodące do centrum tak tragicznie się zakorkowały. Zazwyczaj o trzeciej po południu nie było tu korków. Dlatego Aomame poprosiła kierowcę, żeby jechał właśnie tędy.

– Na autostradzie do opłaty nie dolicza się czekania – powiedział kierowca, patrząc na nią w lusterku. – Więc o to może się pani nie martwić. Ale będzie pani miała kłopot, jeśli się spóźni na to spotkanie, prawda?

– Oczywiście, że będę miała kłopot, ale przecież nic się chyba na to nie poradzi?

Kierowca zerknął na nią w lusterku. Nosił niezbyt ciemne okulary przeciwsłoneczne. Z powodu kąta padania światła, Aomame nie widziała, jaki ma naprawdę wyraz twarzy.

– Wie pani, może i znalazłby się sposób... Oznaczałoby to podjęcie nadzwyczajnych środków, ale wtedy mogłaby pani dojechać stąd pociągiem do Shibuya.

– Nadzwyczajnych środków?

– Zwykle głośno się o tym nie wspomina.

Aomame milczała i zmrużywszy oczy, czekała, co powie kierowca.

– Tam, tam dalej można zjechać na pobocze, widzi pani? – zapytał, wskazując nieco oddalony punkt przed nimi. – Tam, na wysokości tej dużej reklamy Esso.

Aomame wyteżyła wzrok. Po lewej stronie dwupasmowej jezdni dostrzegła miejsce wyznaczone do awaryjnego postoju samochodów. Stołeczna autostrada nie miała pobocza, więc tu i tam zbudowano na niej zatoki z żółtymi telefonami awaryjnymi, z których można było zadzwonić po pomoc drogową. W tej chwili nie stał tam żaden samochód. Na dachu budynku po drugiej stronie autostrady znajdował się duży billboard z reklamą benzyny Esso.

Uśmiechnięty tygrys trzymał wąż dystrybutora.

– Prawdę mówiąc, tam są schody, po których można zejść na dół. Żeby w razie pożaru albo trzęsienia ziemi kierowcy mogli porzucić swoje samochody i dostać się jakoś na poziom ulicy. Zwykle korzystają z nich ludzie od robót drogowych. Jeżeli zejdzie pani po tych schodach, niedaleko będzie pani miała stację linii Tōkyu. A jak już pani wsiądzie do pociągu, raz-dwa będzie pani w Shibuya.

– Nie wiedziałam, że na autostradzie są schody awaryjne – powiedziała Aomame.

– Ludzie tego zazwyczaj nie wiedzą.

– Ale to nie jest żaden nagły wypadek. Jeśli tak po prostu skorzystam sobie z tych schodów, nikt nie będzie miał do mnie pretensji?

Kierowca milczał przez chwilę.

– Sam nie wiem. Nie znam dokładnie przepisów Zarządu Dróg. Ale przecież nikomu tym pani nie zaszkodzi, więc w razie czego na pewno przymkną na coś takiego oczy. Poza tym nikt tam nie pilnuje. Ci z Zarządu Dróg są znani z tego, że zatrudniają mnóstwo ludzi, ale mało kto naprawdę pracuje.

– A jakie to schody?

– Jakby je określić? Podobne do przeciwpożarowych. Często są takie na tyłach starych budynków. Nie są szczególnie niebezpieczne. Mają wysokość dwupiętrowego domu, ale da się normalnie po nich zejść. Wejście jest niby zagrodzone, ale bramka nie jest wysoka i jak pani zechce, to łatwo przejdzie pani górą.

– A pan kiedyś z nich korzystał?

Nie było odpowiedzi. Kierowca uśmiechnął się blado w lusterku. Ten uśmiech można było różnie zrozumieć.

– Decyzja należy tylko do pani – powiedział kierowca, postukując palcami w kierownicę w takt muzyki. – Ja nie mam nic przeciwko temu, żeby pani tu sobie siedziała i spokojnie słuchała muzyki z dobrych głośników. Choćbym wyłąził ze skóry, nigdzie się stąd nie ruszę, więc w takiej sytuacji pozostaje tylko pogodzić się z losem. Chodzi mi tylko o to, że jeśli pani ma ważną sprawę, to istnieje taki nadzwyczajny środek.

Aomame skrzywiła się lekko, zerknęła na zegarek, a potem podniosła głowę i spojrzała na otaczające ich samochody. Po prawej stronie stał lekko zakurzony czarny mitsubishi pajero. Młody mężczyzna na siedzeniu pasażera otworzył okno i znudzony palił papierosa. Długowłosa, opalony, w wiśniowej wiatrówce. Z tyłu leżało kilka starych i brudnych desek surfingowych. Dalej z przodu stał szary saab 900. Przyciemnione szyby były szczelnie pozamykane i z zewnątrz nie było widać, kto jest w środku. Naprawdę ładnie go wywoskowano. Gdyby podeszła bliżej, pewnie mogłaby się przejrzeć w karoserii.

Przed taksówką Aomame stało czerwone suzuki alto z wgniecionym tylnym zderzakiem. Miało rejestrację z dzielnicy Nerima. Za kierownicą siedziała młoda matka. Znudzone małe dziecko stało na siedzeniu i kręciło się niespokojnie. Matka zwracała mu uwagę w taki

sposób, jakby miała wszystkiego dosyć. Przez szybę można było odczytać ruchy jej warg. Wszystko wyglądało dokładnie tak samo jak dziesięć minut wcześniej. W ciągu tych dziesięciu minut samochody nie przesunęły się nawet o metr.

Aomame zastanawiała się przez dłuższą chwilę. Porządkowała w głowie różne elementy według hierarchii ich ważności. Wyciągnięcie wniosków nie zajęło jej dużo czasu. Utwór Janáčka, jakby jej towarzysząc, właśnie wkroczył w ostatnią część.

Wyjęła z torby niewielkie okulary przeciwsłoneczne firmy Ray Ban. Z portmonetki wyciągnęła trzy banknoty tysiącejnowe i podała kierowcy.

– Wsiądę tu. Bo nie mogę się spóźnić – powiedziała.

Kierowca skinął głową i przyjął pieniądze.

– Chce pani rachunek?

– Nie, dziękuję. Reszty też nie trzeba.

– Dziękuję pani. Wieje chyba silny wiatr, proszę uważać, żeby się pani nie potknęła.

– Będę uważała.

– A poza tym – powiedział kierowca, patrząc w lusterko – proszę pamiętać o jednej rzeczy: nie wszystko jest takie, jak się wydaje.

Nie wszystko jest takie, jak się wydaje, powtórzyła w myślach Aomame. Lekko zmarszczyła brwi.

– O co panu chodzi?

Kierowca odpowiedział, starannie dobierając słowa: – Krótko mówiąc, chodzi mi o to, że teraz zamierza pani zrobić coś niezwykłego. Prawda? Zazwyczaj w biały dzień ludzie nie schodzą po schodach przeciwpożarowych ze stołecznej autostrady. Szczególnie kobiety nie robią takich rzeczy.

– Pewnie ma pan rację – odparła Aomame.

– No a jak się zrobi coś takiego, to potem sceny życia codziennego, jakby to powiedzieć, mogą zacząć wyglądać troszeczkę inaczej. Mnie też się coś takiego przydarzyło. Więc proszę się nie dać zwieść pozorom. Rzeczywistość jest zawsze tylko jedna.

Aomame zastanawiała się nad dziwnymi słowami kierowcy. Utwór Janáčka dobiegł końca, natychmiast wybuchły oklaski. To musiało być nagranie jakiegoś koncertu. Długie, entuzjastyczne oklaski. Czasami rozlegały się też okrzyki: „Brawo!”. Wyobraziła sobie, jak uśmiechnięty dyrygent wielokrotnie kłania się stojącej publiczności. Podnosi głowę, pozdrawia gestem, ściska dłoń pierwszego skrzypka, odwraca się i unosząc ręce, wyraża uznanie orkiestrze, potem znów zwraca się ku publiczności i składa głęboki ukłon. Kiedy długo słucha się nagranych oklasków, z czasem przestają brzmieć jak oklaski. Jakby człowiek wsłuchiwał się w niekończącą się burzę piaskową na Marsie.

– Rzeczywistość w każdej sytuacji jest tylko jedna – powtórzył powoli kierowca, jakby podkreślał ważne zdanie z jakiejś książki.

– Oczywiście – odparła Aomame. Zgadza się. Jeden i ten sam obiekt w jednej i tej samej

chwili może być tylko w jednym miejscu. Dowiódł tego Einstein. Dowiódł, jak bezgranicznie beznamiętna i samotna jest rzeczywistość.

Aomame wskazała radiootwarzacz.

– Bardzo dobra jakość dźwięku.

Kierowca przytaknął i zapytał: – Jak się nazywał ten kompozytor?

– Janáček.

– Janáček – powtórzył. Jakby zapamiętywał ważne hasło. Potem pociągnął dźwignię i otworzył drzwi z tyłu. – Proszę uważać. Mam nadzieję, że zdąży pani na spotkanie.

Aomame wysiadła, trzymając w ręku swoją dużą skórzaną torbę. W radiu nadal trwały nieprzerwane oklaski. Odwróciła się w stronę oddalonej o jakieś dziesięć metrów zatoki i ostrożnie ruszyła po skraju autostrady. Za każdym razem kiedy po drugiej stronie przejeżdżała duża ciężarówka, Aomame czuła drzenie jezdni pod swoimi wysokimi obcasami. Przypominało to raczej falowanie. Jakby szła po pokładzie lotniskowca unoszącego się na wzburzonym morzu.

Mała dziewczynka w czerwonym suzuki alto wystawiła głowę przez okno po stronie pasażera i z otwartą buzią przyglądała się Aomame. Następnie odwróciła się i zapytała matkę: – Mamo, co robi ta pani? Gdzie idzie? Ja też chcę wsiąść i pochodzić. Mamusiu, słyszysz? Ja też chcę wsiąść. Słyszysz, mamusiu? – domagała się głośno i uparcie. Matka tylko w milczeniu potrząsnęła głową, a potem rzuciła Aomame jakby karcące spojrzenie. Lecz poza tym nikt inny się nie odzywał, nie zauważyła żadnej reakcji.

Kierowcy palili papierosy i z lekko zmarszczonymi brwiami, jakby raził ich oczy ten widok, odprowadzali wzrokiem Aomame idącą pewnie między samochodami a balustradą. Zdawało się, że postanowili poczekać nieco z wydawaniem sądów. Człowiek chodzący po stołecznej autostradzie to było niecodzienne wydarzenie, nawet jeśli się weźmie pod uwagę, że samochody tkwią w korku. Uświadomienie sobie, że naprawdę widzą coś takiego, musiało zająć kierowcom trochę czasu. Szczególnie, że ta osoba była młodą kobietą w mini i na wysokich obcasach.

Aomame podniosła głowę, utkwiała wzrok przed sobą, wyprostowała plecy i szła pewnym krokiem, czując na sobie te wszystkie spojrzenia. Czerwonobrązowe pantofle od Charlesa Jourdaina postukiwały sucho o asfalt wiatr unosił brzeg jej płaszcza. Zaczął się już kwiecień, ale wiatr był wciąż zimny, jakby zapowiadał jakieś gwałtowne wydarzenia. Aomame miała na sobie zielony kostium od Junko Shimady z cienkiej zielonej wełny, beżowy wiosenny płaszcz, do tego czarną skórzaną torbę na ramię. Włosy do ramion, dobrze obcięte i zadbane. Nie nosiła żadnej biżuterii. Miała 168 centymetrów wzrostu, ani grama zbędnego tłuszczu, wszystkie mięśnie starannie wyćwiczone, ale tego akurat pod płaszczem nie było widać.

Gdyby dokładnie przyjrzeć się z przodu jej twarzy, dostrzegłoby się, że kształt i wielkość jej lewego ucha znacznie różnią się od prawego. Lewe było większe i miało

nieregularny kształt. Ale nikt takich rzeczy nie zauważał, bo jej uszy były zawsze ukryte pod włosami. Usta wyglądały jak równa kreska i wskazywały na trudny charakter, który niełatwo pozwalał się jej do czegokolwiek dostosować. Potwierdzały to także, każde z osobna, wąski, drobny nos, nieco wystające kości policzkowe, szerokie czoło i długie, proste brwi. Lecz wciąż była to owalna twarz o ładnych rysach. Oczywiście, to kwestia gustu, ale chyba można ją było nazwać piękną. Wadą jej urody było natomiast to, że na twarzy nie odbijały się żadne emocje. Mocno zaciśnięte usta nie rozchyłały się w uśmiechu, o ile nie zaszła prawdziwa potrzeba. Oczy były niezmiennie chłodne jak u doskonale wytrenowanego marynarza siedzącego w bocianim gnieździe. Przez to jej twarz nigdy nie robiła na ludziach szczególnego wrażenia. Często uwagę i zainteresowanie innych przyciąga nie uroda czy jej brak, a naturalność i urok ożywionych emocjami rysów.

Większość ludzi nie umiała zapamiętać jej twarzy. Kiedy przestawali na nią patrzeć, nie potrafili opisać, jak wygląda. Miała raczej nietypową urodę, lecz mimo to charakterystyczne cechy nie zostawały nikomu w pamięci. W tym sensie była podobna do owada potrafiącego się zręcznie zakamuflować: zmienić kolor i kształt, by wtopić się w otoczenie, w miarę możliwości nie wyróżniać się i nie dać łatwo zapamiętać. Do tego właśnie dążyła Aomame. Robiła to od dzieciństwa, chcąc się chronić przed światem.

Jednak kiedy z jakiegoś powodu się krzywiła, jej obojętna twarz zmieniała się nieomal dramatycznie. Mięśnie rozciągały się mocno w każdym kierunku, niesymetryczność rysów z lewej i prawej strony zostawała ekstremalnie podkreślona, tu i tam tworzyły się głębokie zmarszczki, oczy w jednej chwili zapadały się w głąb, nos i usta gwałtownie się zniekształcały, broda skręcała, a z pomiędzy wywiniętych warg ukazywały się duże białe zęby. W jednej chwili stawała się zupełnie inną sobą, zupełnie jakby pękł sznurek podtrzymujący maskę i ta opadła. Na widok tej straszliwej metamorfozy ludzi ogarniało przerażenie. Była to zadziwiająca zmiana. Od prawie całkowitej anonimowości do zapierającej dech w piersiach ohydy. Obserwator czuł się tak, jakby wpadał w bezdenną przepaść. Dlatego Aomame starała się pod żadnym pozorem nie krzywić w obecności obcych. Zniekształcała swe rysy wyłącznie wtedy, kiedy była sama albo kiedy chciała przestraszyć mężczyznę, który jej się nie podobał.

Doszła do zatoki awaryjnej, zatrzymała się, rozejrzała i poszukała schodów ewakuacyjnych. Znalazła je od razu. Tak jak mówił kierowca, na ich szczycie znajdowała się zagradzająca wejście furtka z metalowej siatki sięgająca Aomame nieco powyżej bioder. Była zamknięta. Przełazenie przez tę metalową siatkę w dopasowanej spódnicy mini będzie trochę kłopotliwe, ale jeśli tylko zignoruje gapiów, nie powinno się to okazać szczególnie skomplikowane. Bez wahania zdjęła buty i wepchnęła je do torby. Jeśli pójdzie bosą, prawdopodobnie podrze rajstopy. Ale może sobie gdzieś kupić drugie.

Ludzie w milczeniu przyglądali się, jak zdejmuje buty i płaszcz. Tło muzyczne stanowił wysoki głos Michaela Jacksona dobiegający z otwartego okna stojącej zaraz obok toyoty

celiki. *Billie Jean*. Czuję się jak striptizerka, pomyślała. A niech tam. Niech się gapią, ile chcą. Na pewno nudno tkwić w tym korku. Ale, drodzy państwo, dalej się nie rozbieram. Dziś tylko buty i płaszcz. Przykro mi.

Nie chcąc upuścić torby, Aomame założyła ją na plecy jak tornister. W oddali widziała czarną toyotę crown royal saloon, którą tu przyjechała. W blasku popołudniowego słońca przednia szyba lśniła oślepiająco jak lustro. Nie było widać twarzy kierowcy, choć na pewno patrzył w tę stronę.

Proszę się nie dać zwieść pozorom. Rzeczywistość jest zawsze tylko jedna.

Aomame zrobiła głęboki wdech i powoli odetchnęła. Słuchając *Billie Jean*, przelazła przez siatkę. Spódnica podwinęła mi się do bioder, ale nic mnie to nie obchodzi, pomyślała. Jak chcą się gapić, niech się gapią. Z tego, że zobaczą coś pod spódnicą, nie wynika, że mogą przejrzeć mnie na wylot. A poza tym szczupłe, piękne nogi były jej największym powodem do dumy.

Stała po drugiej stronie siatki, obciągnęła spódnicę, otrzepała dłonie, włożyła z powrotem płaszcz i powiesiła torbę na ramieniu. Poprawiła na nosie okulary przeciwsłoneczne. Miała przed sobą schody ewakuacyjne. Były metalowe, pomalowane na szaro. Proste i niewymyślne, zadbano w nich jedynie o funkcjonalność. Nie budowano ich dla kobiet w opiętych spódnicach mini i w rajstopach, a do tego bosych. Junko Shimada też nie projektowała kostiumów z myślą o tym, że kobiety będą w nich chodziły po schodach ewakuacyjnych przy autostradzie stołecznej numer 3. Po przeciwnej stronie przejechała wielka ciężarówka i schody się zatrzęsły. Wiatr gwizdał między szparami metalowej konstrukcji. No ale przynajmniej udało się znaleźć schody. Trzeba tylko zejść po nich na ziemię.

Aomame obejrzała się po raz ostatni i jak ktoś, kto po zakończeniu wykładu stoi na katedrze i rozgląda się po słuchaczach, oczekując pytań, przebiegła wzrokiem tam i z powrotem po ciągnących się nieprzerwanie rzędach samochodów. W ogóle się nie poruszyły. Uwięzieni w nich ludzie, nie mając nic innego do roboty, obserwowali każdy jej ruch. Co ta kobieta robi? – zastanawiali się pełni podejrzeń. Na Aomame stojącej po drugiej stronie siatki skupiły się spojrzenia, w których mieszały się zainteresowanie i obojętność, zazdrość i pogarda. Uczucia patrzących wahały się niczym szalki wagi, jakby nie wiedziały, w którą stronę się przechylić. Powietrze wypełniło ciężkie milczenie. Nikt nie podniósł ręki, żeby zadać pytanie (choć oczywiście Aomame nie miała zamiaru odpowiadać, nawet gdyby ją o coś zapytano). Ludzie jakby czekali tylko w milczeniu na jakąś okazję. Na próżno. Aomame lekko uniosła głowę, przygryzła dolną wargę i zza ciemnych zielonych okularów przeciwsłonecznych pobieżnie oceniła obserwatorów.

Na pewno nawet sobie nie wyobrażacie, kim jestem, dokąd teraz idę i co zamierzam zrobić, powiedziała, nie poruszając wargami. Jesteście tam uwięzieni i nigdzie nie możecie się ruszyć. Prawie wcale się nie posuwacie, ale cofnąć też wam się nie uda. Ale ja to co

innego. Ja mam ważną pracę do wykonania. Misję do spełnienia. Dlatego ruszam w drogę przed wami.

Miała ochotę na koniec wykrzywić się do nich wszystkich, ale jakoś udało jej się powstrzymać. Nie mogła sobie pozwolić na takie kaprysy. Kiedy się krzywiła, ponowne przybranie zwykłego wyrazu twarzy nie było wcale takie łatwe.

Odwróciła się plecami do niemych gapiów i czując pod stopami szorstki chłód metalu, zaczęła ostrożnie schodzić po schodach ewakuacyjnych. Chłodny kwietniowy wiatr rozwiewał jej włosy i czasami odsłaniał lewe ucho o nieregularnym kształcie.

Rozdział drugi – Tengo

Trochę inny pomysł

Najwcześniejsze wspomnienie Tengo pochodziło z okresu, kiedy miał półtora roku. Jego matka zdjęła bluzkę, zsunęła ramiączko białej halki i jakiemuś mężczyźnie, który nie był jego ojcem, dała pierś do ssania. W łóżeczku leżało małe dziecko – musiał to być Tengo. Lecz patrzył na siebie samego z zewnątrz. A może to był jego brat bliźniak? Nie, nie. To jednak chyba on sam w wieku półtora roku. Instynktownie to czuł. Dziecko miało zamknięte oczy i spało, miarowo oddychając. To było najwcześniejsze wspomnienie Tengo. Trwająca dziesięć sekund scena została wyraźnie utrwalona na kliszy jego świadomości. Nie było nic przed nią ani po niej. To wspomnienie stało samotnie jak wystająca nad mętną wodą wysoka wieża w mieście zalanym wielką powodzią.

Gdy tylko trafiała się okazja, Tengo pytał ludzi, z jakiego okresu życia pochodzą ich najwcześniejsze wspomnienia. U większości był to wiek czterech czy pięciu lat. Najwcześniej trzech. Nikt nie pamiętał nic wcześniejszego. Podobno dopiero dzieci trzyletnie potrafią postrzegać rozgrywające się wokół sceny i są w stanie je zrozumieć jako mające pewien logiczny sens. We wcześniejszym stadium wszystkie wydarzenia to niezrozumiały chaos. Świat przypomina rozgotowany kleik ryżowy: jest lepki, pozbawiony szkieletu, niedający się uchwycić. Nie tworzy w mózgu wspomnień, przesuwa się tylko za oknem.

Oczywiście półtoraroczne dziecko nie potrafiłoby ocenić znaczenia tego, że mężczyzna, który nie jest jego ojcem, ssie pierś jego matki. To było jasne. Dlatego założenie, że to wspomnienie jest prawdziwe, oznaczałoby, że widziana scena wypaliła się prawdopodobnie na siatkówce Tengo, choć nie umiał ocenić jej znaczenia. Tak samo jak aparat fotograficzny mechanicznie utrwała na filmie przedmioty jako kombinację światła i cienia. I wraz z rozwojem świadomości ten zapamiętany, utrwalony obraz był po trochu analizowany i nadane mu zostało znaczenie. Ale czy coś takiego w ogóle może się naprawdę zdarzyć? Czy w mózgach malutkich dzieci mogą zostać zachowane obrazy?

A może to jest po prostu fałszywe wspomnienie? I świadomość Tengo stworzyła sobie to wszystko później, mając w tym jakiś cel czy sekretny plan. Czy był to wymysł pamięci? Tengo wiele się zastanawiał nad taką możliwością. Lecz w końcu doszedł do wniosku, że

prawdopodobnie nie. Wspomnienie było zbyt żywe, zbyt przekonujące jak na coś wymyślonego. Miało w sobie światło, zapachy, puls. Wydawało się tak przytłaczająco rzeczywiste, że nie można go było uznać za twór wyobraźni. A poza tym założenie, że taka scena naprawdę miała miejsce, pozwalało wyjaśnić różne rzeczy. Z logicznego i emocjonalnego punktu widzenia.

Tę wyraźną zaledwie dziesięciosekundową wizję miewa od czasu do czasu i bez uprzedzenia. Nic jej nie zapowiada, nie można jej uniknąć. Nie anonsuje swego nadejścia pukaniem. Pojawia się nieoczekiwanie, kiedy Tengo jedzie pociągiem, pisze wzory na tablicy, je, rozmawia z kimś (tak jak tym razem). Nadchodzi niepowstrzymana i bezgłośnie jak tsunami. Nagle Tengo się orientuje, że już stoi mu przed oczami i przesiania wszystko, a jemu cierpną ręce i nogi. Czas się zatrzymuje. Powietrze wokół się rozrzedza, trudno mu oddychać. Wszyscy otaczający go ludzie i przedmioty przestają mieć z nim związek. Ta ciekła ściana pochłania go całego. Świat staje się ciemny i zamyka się przed nim, lecz Tengo jest w pełni świadomy wszystkiego. Tylko zwrotnica kieruje go na inne tory. Część świadomości wręcz mu się wyostrza. Nie czuje strachu. Nie może jednak otworzyć oczu. Powieki ma mocno zaciśnięte. Dźwięki wokoło oddalają się. I ta dobrze znana wizja przewija się scena po scenie na ekranie świadomości. Cały jest zlany potem. Wie, że koszulę ma mokrą pod pachami. Zaczyna lekko drżeć. Serce bije mu szybciej i mocniej.

Kiedy ktoś jest przy tym obecny, Tengo udaje, że ma zawroty głowy. I rzeczywiście ten stan bardzo go przypomina. Po pewnym czasie wszystko wraca do normy. Tengo wyjmuje z kieszeni chusteczkę, przyciska do ust i siedzi nieporuszony. Podnosi uspokajająco rękę, dając rozmówcy znak, że to nic, nie ma się czym przejmować. Bywa, że mija po trzydziestu sekundach, bywa też, że trwa ponad minutę. W tym czasie ma przed oczami, jakby nastawiony na automatyczne powtarzanie, ten sam fragment kasety wideo. Matka spuszcza ramię halki, jakiś mężczyzna ssie jej naprężony sutek. Ona zamyka oczy i głęboko wzdycha. W powietrzu unosi się lekki, wytęskniony zapach jej mleka. U niemowląt węch jest najbardziej wyostrzonym zmysłem. Wiele rzeczy poznają za pomocą węchu. Czasami węch jest wszystkim. Nic nie słyhać. Powietrze jest jak zawieszista ciecz. Tengo czuje jedynie bicie własnego serca.

No, patrz, mówią mu. Tylko na to popatrz, mówią mu. Tu jesteś i nigdzie nie pójdziesz, mówią mu. Ta wiadomość powtarza się wiele, wiele razy.

* * *

Tym razem atak trwał długo. Tengo nie wiedział dokładnie ile. Zamknął oczy, jak zwykle przycisnął do warg chusteczkę i mocno ją przygryzł. Kiedy wszystko dobiegło końca, po zmęczeniu ciała poznał, że trwało długo. Czuł się strasznie wyczerpany. Pierwszy raz czuł się tak wykończony. Minęło trochę czasu, zanim udało mu się unieść powieki. Świadomość

pragnęła się jak najszybciej obudzić, lecz mięśnie i kolejne układy organizmu stawiały opór. Czuł się jak zwierzę, które zbudziło się za wcześnie ze snu zimowego, w nieodpowiedniej porze roku.

– Hej, Tengo – wołał ktoś od pewnego czasu. Głos dobiegał niewyraźnie z głębi jakiegoś tunelu. Tengo zdał sobie sprawę, że to jego własne imię. – Co się stało? Znowu tamto? Dobrze się czujesz? – powiedział głos. Tym razem zdawał się trochę bliższy.

Tengo w końcu otworzył oczy i skoncentrował wzrok na własnej prawej dłoni ściskającej brzeg stolika. Upewnił się, że świat nadal istnieje, nie rozpadł się, a o sam znajduje się na nim jako on. Dłoń była jeszcze trochę ściernięta, ale miał przed sobą na pewno swoją własną prawą rękę. Poczul zapach potu. Dziwnie dziki zwierzęcy zapach, jaki unosi się przy klatkach w zoo. Lecz niewątpliwie to on sam go wydzielał.

Zaschło mu w gardle. Wyciągnął rękę, podniósł ze stolika szklankę wody i uważając, żeby nie rozlać, wypił połowę. Odpoczął chwilę, uspokoił oddech, a potem wypił resztę. Świadomość stopniowo wróciła na swoje miejsce, a zmysły do normalnego stanu. Odstawił pustą szklankę i wytarł chusteczką usta.

– Przepraszam. Już przeszło – powiedział. Upewnił się, że naprzeciwko niego siedzi Komatsu. Umówili się w kawiarni niedaleko dworca Shinjuku. Rozmowy innych gości brzmiały znowu jak zwykle rozmowy. Dwie osoby przy sąsiednim stoliku patrzyły na nich, zastanawiając się, co mogło się zdarzyć. Obok stała zaniepokojona kelnerka. Może się martwiła, że on zaraz zwymiotuje. Tengo podniósł wzrok, uśmiechnął się do niej blado i kiwnął głową, jakby mówił: „Nie ma sprawy, niech się pani nie martwi”.

– To nie są chyba jakieś ataki, co? – zapytał Komatsu.

– To nic wielkiego. Jakby zawrót głowy. Tylko bardzo nieprzyjemny – odparł Tengo. Jego głos nie brzmiał jeszcze jak jego własny głos, ale był do niego coraz bardziej podobny.

– Jakby ci się to zdarzyło podczas jazdy samochodem, byłoby bardzo nieciekawie – powiedział Komatsu, patrząc mu w oczy.

– Nie jeżdżę samochodem.

– To świetnie. Mam znajomego, który jest uczulony na pyłek cedrów. Zaczął kichać podczas prowadzenia i walnął w słup elektryczny. Ale to twoje jest znacznie gorsze niż kichanie. Za pierwszym razem się przestraszyłem. Za drugim razem trochę się człowiek przyzwyczaja.

– Przepraszam, głupio mi.

Tengo podniósł filiżankę i wypił łyk tego, co się tam znajdowało. Nie miało żadnego smaku. Czul tylko w przetyku letnią ciecz.

– Może poproszę o więcej wody? – zaproponował Komatsu.

Tengo potrząsnął głową.

– Nie, nie trzeba. Już przeszło.

Komatsu wyjął z kieszeni marynarki paczkę marlboro, włożył jednego do ust i zapalił

reklamowymi zapalkami kawiarni. Potem zerknął na zegarek.

– O czym przedtem mówiliśmy? – zapytał Tengo. Musiał szybko doprowadzić się do ładu.

– Hm... o czym przedtem mówiliśmy? – powtórzył Komatsu. Zastanawiał się nad tym chwilę, patrząc w przestrzeń. A może tylko udawał, że się zastanawia. Tengo nie był pewien. W zachowaniu i wypowiedziach Komatsu było dużo teatralności. – Aa, tak, tak, rozmawialiśmy o dziewczynie, która się nazywa Fukaeri. I o *Powietrznej poczwarcie*.

Tengo przytaknął. Rozmawiali o Fukaeri i o *Powietrznej poczwarcie*. Zaczął coś tłumaczyć Komatsu, dostał „ataku” i rozmowa się urwała. Tengo wyjął z torby kilka skopionych maszynopisów i położył na stoliku. Oparł na nich dłoń, jakby chciał się na nowo upewnić, co poczuje pod palcami.

– Tak jak panu pokrótce mówiłem przez telefon, największą zaletą *Powietrznej poczwarki* jest to, że nikogo nie naśladuje. Przy debiucie rzadko się zdarza, że autor nie próbuje nikogo naśladować – mówił Tengo, starannie dobierając słowa. – Nie da się ukryć, że styl jest chropowaty, dobór słów infantylny. Już w samym tytule pomyłona jest poczwarka z kokonem. Gdyby się uprzeć, wady można wymieniać bez końca. Ale w tej historii jest coś, co wciąga. Chociaż fabuła jest z gatunku fantastyki, opisy szczegółów są niesamowicie realne. Ten kontrast jest świetny. Nie wiem, czy należy to nazwać oryginalnością, czy czymś nieuniknionym. Pan pewnie powie, że utwór nie jest na odpowiednim poziomie, i rzeczywiście może to prawda. Ale kiedy człowiek do końca, pogrąża się w brzemiennej znaczeniu ciszy. Jest w niej coś nieprzyjemnego, trudna do wytłumaczenia dziwna namacalność.

Komatsu przyglądał mu się w milczeniu. Chciał usłyszeć więcej.

Tengo mówił dalej: – Nie chciałbym, żeby odrzucono ten utwór tylko dlatego, że styl jest nieco infantylny. Pracuję dla pana od kilku lat i przeczytałem masę nadesłanych na konkurs tekstów. A raczej należałoby powiedzieć, że przeleciałem je wzrokiem, a nie przeczytałem. Niektóre były stosunkowo nieźle napisane, inne do niczego się nie nadawały – i tych drugich była oczywiście większość. W każdym razie przejrzałem wiele utworów, ale w tej *Powietrznej poczwarcie* po raz pierwszy znalazłem coś naprawdę wartościowego. I po raz pierwszy mi się zdarzyło, że po przeczytaniu miałem ochotę zacząć od nowa.

– Hm... – powiedział Komatsu. Wydawał się mało zainteresowany. Wypuścił dym i wydał usta. Ale Tengo znał Komatsu nie od dzisiaj i nie dawał się zwieść jego minom. Ten człowiek często przybierał wyraz twarzy niemający nic wspólnego z tym, co naprawdę myślał. Dlatego Tengo cierpliwie czekał, aż zacznie mówić.

– Ja też to czytałem – powiedział Komatsu, odczekawszy chwilę. – Zacząłem zaraz po twoim telefonie. Wiesz, to jest jednak przerażająco źle napisane. Przypadki się nie zgadzają, w niektórych zdaniach nie wiadomo, o co chodzi. Zanim ta dziewczyna zabrała się do pisania powieści, powinna była od podstaw nauczyć się, jak to robić.

– Ale przeczytał pan do końca, prawda?

Komatsu się uśmiechnął. Był to uśmiech jakby wyciągnięty z głębi szuflady, której zwykle nie otwierał.

– Tak. Rzeczywiście masz rację. Przeczytałem do końca. Aż sam się zdziwiłem. Bo nigdy się nie zdarza, żebym czytał całe utwory nadesłane na konkurs debiutów. Co więcej, część przeczytałem dwa razy. A to już jest równie rzadkie jak zbliżenie dwóch planet. Muszę przyznać.

– To znaczy, że ta powieść coś w sobie ma. Prawda?

Komatsu strzepnął popiół do popielniczki i podrapał się koło nosa środkowym palcem prawej ręki. Lecz nie odpowiedział na pytanie Tengo.

– Ta dziewczyna ma dopiero siedemnaście lat, licealistka. Po prostu nie dość jeszcze przeczytała i nie ma wprawy w pisaniu. Rzeczywiście pewnie trudno byłoby dać tej powieści nagrodę za debiut. Ale warto dopuścić ją do ostatniego etapu selekcji. Komuś z pana pozycją udało się to załatwić. Wtedy na pewno kiedyś jeszcze coś napisze.

– Hm... – mruknął jeszcze raz Komatsu i ziewnął znudzony. Wypił łyk wody ze szklanki. – Słuchaj, Tengo, zastanów się dobrze. Jak można dopuścić coś tak nieociosanego do ostatniego etapu? Członkowie jury zemdleją. Mogą się wściec. A przede wszystkim do końca nie przeczytają. Wszyscy czterej jurorzy to pisarze. Wszyscy są zapracowani. Przelecają wzrokiem dwie pierwsze strony i odrzucają. To jest przecież jak szkolne wypracowanie na poziomie podstawówki, powiedzą. Kto mnie posłucha, jak zacznę tego gorąco bronić i pokornie tłumaczyć, że jakby to oszlifować, toby zaczął bić od tego blask. Nawet jeśli istotnie mam jakąś pozycję, wolę ją wykorzystać, kiedy będę widział lepsze perspektywy.

– To znaczy, że po prostu pan ten tekst odrzuci?

– Tego nie powiedziałem – odparł Komatsu, drapiąc się koło nosa. – Ja mam w związku z tym utworem trochę inny pomysł.

– Trochę inny pomysł – powtórzył Tengo. Dosłyszał w tym nieco złowieszczą nutę.

– Twierdzisz, że ona kiedyś jeszcze coś napisze – ciągnął Komatsu. – Ja oczywiście też mam taką nadzieję. Staranne i niespieszne rozwijanie młodych talentów to wielka radość dla redaktora. Kiedy człowiek powiedzie wzrokiem po czystym nocnym niebie i wcześniej niż inni zauważy nową gwiazdę, serce rośnie. Ale szczerze mówiąc, nie wydaje mi się, żeby ta dziewczyna rokowała jakiegokolwiek nadzieje. Ja już dwadzieścia lat obracam się w tych kręgach, chociaż nie bardzo się do tego nadaję. Przez ten czas widziałem, jak wypływali i znikali różni pisarze. Dlatego nauczyłem się odróżniać tych, którzy jeszcze coś napiszą, od tych, którzy nie napiszą. I moim zdaniem ta dziewczyna nic więcej nie napisze. Przykro tak mówić, ale później też nie napisze. I jeszcze później też nie. Przede wszystkim jej styl nie poprawi się od tego, że poświęci dużo czasu na studiowanie pisania i zrobi postępy. Nic z tego nie będzie, choćby i długo czekać. To byłoby czekanie na próżno. A to dlatego, że ona nie ma najmniejszego zamiaru nauczyć się lepiej pisać. Z pisaniem jest tak, że albo ma się

wrodzony talent, albo człowiek desperacko się stara i w końcu się nauczy. Nie ma innej możliwości. I ta Fukaeri nie należy ani do tych pierwszych, ani do tych drugich. Jak widać, nie ma wrodzonego talentu i nie wygląda na to, żeby zamierzała się wysilać. Nie wiem dlaczego. Ale wydaje mi się, że zasadniczo pisanie jako takie jej nie interesuje. Rzeczywiście, ma chęć opowiedzenia pewnej historii. I ta chęć jest dość silna. To jej muszę przyznać. Właśnie ta niepohamowana chęć tak zafascynowała ciebie, a i mnie kazała przeczytać do końca. Pod pewnymi względami to jest niemałe osiągnięcie. Jednak mimo to ta dziewczyna nie ma przyszłości jako powieściopisarka. Nie ma szans, nawet tyle co mucha nasrała. Przykro mi cię rozczarować, ale jeśli chciałeś usłyszeć moją prawdziwą opinię, to jest właśnie taka.

Tengo zastanawiał się nad tym. Zdawało mu się, że to, co mówi Komatsu, ma sens. Co jak co, jako redaktor Komatsu miał nosa.

– Ale chyba nieźle byłoby dać jej jednak jakąś szansę? – powiedział Tengo.

– Wrzucić na głęboką wodę i zobaczyć, czy zacznie pływać, czy utonie? O to ci chodzi?

– Krótko mówiąc.

– Do tej pory uśmierciłem bezsensownie wiele osób. Nie chcę więcej się przyglądać, jak ktoś tonie.

– No a co pan powie o mnie?

– Ty przynajmniej się starasz – powiedział Komatsu, dobierając słowa. – Z tego, co widzę, nie lenisz się. Jesteś wyjątkowo skromny w kwestii pisania. A dlaczego? Dlatego, że lubisz pisać. Ja to cenię. Lubić pisanie to najważniejsza rzecz dla kogoś, kto zamierza zostać pisarzem.

– Ale to nie wystarczy.

– Oczywiście. Samo to nie wystarczy. Trzeba jeszcze mieć w sobie „coś specjalnego”. A przynajmniej książka musi mieć coś, czego ja nie potrafię do końca zrozumieć. Bo wiesz, ja wśród powieści najbardziej cenię te, których nie mogę do końca zrozumieć. To, co potrafię zrozumieć, ani trochę mnie nie interesuje. To oczywiste, nie? Prosta sprawa.

Tengo milczał przez chwilę. Potem się odezwał: – A w tym, co napisała Fukaeri, jest coś, czego pan nie potrafi zrozumieć?

– Aa, tak, oczywiście, że jest. Ta dziewczyna ma w sobie coś ważnego. Nie wiem, co to jest, ale ona to na pewno ma. Wyraźnie widzimy to obaj. Każdy potrafi taką rzecz dostrzec, jak potrafi dostrzec dym unoszący się znad ogniska w bezwietrzne popołudnie. Ale wiesz, Tengo, ona prawdopodobnie nie może sobie sama z tym poradzić.

– Gdyby ją wrzucić do wody, nie byłoby nadziei, że wypłynie.

– Zgadza się – powiedział Komatsu.

– Dlatego nie dopuści jej pan do ostatniego etapu?

– Właśnie o to chodzi – rzucił Komatsu. Skrzywił usta i złożył dłonie. – Teraz muszę starannie dobierać słowa.

Tengo podniósł filizankę i wpatrywał się w reszkę kawy. Następnie odstawił ją na stolik. Komatsu dalej milczał. Tengo odezwał się: – Teraz wyłoni się ten trochę inny pomysł, o którym pan wspominał?

Komatsu zmrużył oczy, jak nauczyciel stojący przed zdolnym uczniem. Powoli skinął głową.

– Zgadza się.

* * *

Komatsu miał w sobie coś nieuchwytnego. Z jego twarzy i tonu głosu nie dawało się łatwo odczytać, co myśli i co czuje. Zdawało się też, że sam dosyć lubił dezorientować rozmówcę. Niewątpliwie był bardzo bystry. Należał do ludzi, którzy rozważają wszystko zgodnie z własną logiką i wydają sąd bez oglądania się na to, czego inni się spodziewają. Poza tym, chociaż się tym niepotrzebnie nie popisывał, czytał mnóstwo książek i posiadał dogłębną wiedzę w wielu dziedzinach. Ale miał nie tylko wiedzę – potrafił intuicyjnie przejrzeć na wylot ludzi i ich utwory. W jego podejściu było wiele uprzedzeń, ale dla niego uprzedzenia też stanowiły jeden z ważnych elementów prawdy.

Zazwyczaj nie mówił zbyt wiele, nie lubił wszystkiego wyjaśniać, kiedy jednak zaszła taka potrzeba, umiał przemyślnie i logicznie wyrażać własne opinie. Gdy chciał, potrafił być niezwykle wytrwały. Znajdował najsłabszy punkt przeciwnika i wiedział, jak go porazić jednym trafnym stwierdzeniem. Miał określone upodobania co do utworów i ludzi. Tych, których nie akceptował, było o wiele więcej niż tych, których akceptował. Nic więc dziwnego, że było o wiele więcej ludzi, którzy go nie lubili, niż tych, którzy go lubili. Ale jemu właśnie na tym zależało. Tengo miał wrażenie, że Komatsu lubił samotność i był bardzo zadowolony, kiedy ludzie trzymali się od niego z daleka albo wręcz go nie lubili, bo wierzył, że przyjazne otoczenie nie sprzyja przenikliwości.

Komatsu był od Tengo starszy o szesnaście lat, czyli miał czterdzieści pięć. Całe życie zawodowe był redaktorem magazynu literackiego i w tym środowisku znano go jako człowieka dość zaradnego. Nikt nie wiedział nic o jego życiu prywatnym. Choć utrzymywał stosunki z ludźmi w pracy, z nikim nie rozmawiał o sprawach osobistych. Tengo nie wiedział, gdzie Komatsu się urodził, gdzie dorastał i gdzie teraz mieszkał. Czasami prowadzili długie rozmowy, lecz prywatnych tematów nigdy nie poruszali. Komatsu robił niesympatyczne wrażenie, nie spotykał się z nikim na stopie towarzyskiej, zachowywał się, jakby pogardzał światem literackim, trudno więc było zrozumieć, jak udaje mu się pozyskać nowe teksty do druku. On zaś, na pozór bez wysiłku, zdobywał utwory słynnych pisarzy, kiedy tylko potrzebował. Często wyłącznie dzięki niemu udawało się oddać do druku kolejny numer magazynu. Dlatego, choć nie był lubiany, cieszył się poważaniem.

Mówiono, że kiedy w 1960 roku wybuchły rozruchy z powodu podpisania paktu o

bezpieczeństwie ze Stanami Zjednoczonymi, Komatsu studiował na Wydziale Literatury Uniwersytetu Tokijskiego i należał do władz organizacji studenckiej zamieszanej w protesty. Widział na własne oczy, jak biorąca udział w demonstracji Michiko Kanba została brutalnie zaatakowana przez policję i zginęła. On sam też odniósł lekkie obrażenia. Nie wiadomo, na ile te plotki były prawdziwe. Ale znając Komatsu, zdawało się to całkiem prawdopodobne. Był wysoki, wychudzony, miał za duże usta i za mały nos, długie ręce i nogi, palce poplamione nikotyną. W czymś przypominał niedoszłego rewolucjonistę, inteligenta z dziewiętnastowiecznych powieści rosyjskich. Rzadko się śmiał, ale kiedy to robił, śmiała mu się cała twarz, choć nawet wtedy nie wydawał się szczególnie zadowolony. Wyglądał raczej jak starzejący się czarodziej, który chichocze, gotując się do wygłoszenia fatalnego proroctwa. Był schludny i dbał o wygląd zewnętrzny, lecz zawsze ubierał się prawie tak samo, pewnie po to, żeby pokazać światu, że nie interesuje go coś takiego jak strój. Tweedowa marynarka, biała oksfordzka koszula albo jasnoszara koszulka polo, brak krawata, szare spodnie i zamszowe buty stanowiły jakby jego umundurowanie. Można było sobie wyobrazić, że ma w szafie pół tuzina starannie wyczyszczonych i powieszonych tweedowych marynarek z trzema guzikami, lekko różniących się kolorem i wzorem materiału. Może nawet były dla rozróżnienia ponumerowane.

Przypominające cienkie druciki sztywne włosy zaczynały lekko siwieć nad czołem. Były potargane i prawie zakrywały mu uszy. O dziwo zawsze miał je takiej długości, że wyglądały, jakby powinien był się ostrzyć tydzień wcześniej. Tengo nie rozumiał, jak coś takiego jest możliwe. Oczy Komatsu potrafiły czasem zajaśnieć przenikliwym światłem jak gwiazda mrugająca na zimowym niebie. Ale gdy raz z jakiegoś powodu zamilkł, milczał w nieskończoność niby skała na ciemnej stronie księżyca. Jego twarz robiła się całkiem bez wyrazu i wydawało się niemal, że obniża mu się temperatura ciała.

Tengo znał go od pięciu lat. Wysłał kiedyś utwór na konkurs debiutów do magazynu redagowanego przez Komatsu i doszedł do ostatniego etapu. Komatsu zadzwonił do niego i powiedział, że chciałby się z nim spotkać i porozmawiać. Umówili się w kawiarni w Shinjuku (tej samej, w której teraz siedzieli). Pewnie nie dostaniesz nagrody, powiedział mu Komatsu (i rzeczywiście Tengo nie dostał), ale mnie osobiście się ten utwór podobał, dodał. Nie mówię tego, żeby sobie zaskarbić twoją wdzięczność. Ja w ogóle bardzo rzadko mówię ludziom takie rzeczy. (Tengo wtedy tego nie wiedział, ale rzeczywiście tak było). Dlatego, jeśli napiszesz następny utwór, daj mi go przeczytać. Mnie pierwszemu, zanim pokażesz innym, powiedział Komatsu. Tengo odparł, że tak robi.

Komatsu chciał też wiedzieć, jakim Tengo jest człowiekiem. Gdzie się wychował, co teraz robi. Tengo opowiedział mu wszystko bardzo szczerze. Urodził się i wychował w mieście Ichikawa w prefekturze Chiba. Matka zachorowała wkrótce po jego urodzeniu i zmarła. A przynajmniej tak mu powiedział ojciec. Nie miał rodzeństwa. Ojciec drugi raz się nie ożenił i sam wychowywał syna. Pracował jako inkasent w telewizji NHK i, chodząc po

domach, pobierał opłaty za abonament radiowo-telewizyjny. Ale teraz dotknięty chorobą Alzheimera mieszkał w domu opieki na południowym krańcu półwyspu Bōsō. Tengo skończył studia na Uniwersytecie Tsukuba i otrzymał dyplom ukończenia wydziału o dziwnej nazwie: „matematyka w dziale nauk przyrodniczych wydziałów grupy pierwszej”. Pracował w Yoyogi jako nauczyciel matematyki na kursach przygotowujących licealistów do egzaminów wstępnych i pisał powieści. Po studiach mógł dostać pracę jako nauczyciel w szkole prefekturalnej, ale wybrał uczenie na kursach, na których był raczej nienormowany czas pracy. Mieszkał sam w niewielkim mieszkaniu w Kōenji.

Sam nie wie, czy naprawdę chciałby zostać zawodowym powieściopisarzem. Nie jest też pewien, czy ma talent. Wie tylko jedno – nie może żyć bez pisania. Każdego dnia. Pisanie jest dla niego tym, czym oddychanie. Komatsu nie mówił, co o tym wszystkim myśli, lecz uważnie słuchał.

Wyglądało na to, że Tengo mu się spodobał, właściwie nie wiadomo dlaczego. Tengo był potężnie zbudowany (od gimnazjum do końca studiów uprawiał dżudo i był jednym z czołowych zawodników w drużynie). Miał spojrzenie wczesnie wstającego rolnika. Włosy krótko ostrzyżone, skórę zawsze jakby opaloną, uszy zniekształcone jak kalafiory – nie wyglądał ani na młodego literata, ani na nauczyciela matematyki. To też chyba przypadło Komatsu do gustu. Kiedy Tengo napisał drugą powieść, pokazał ją Komatsu. Ten ją przeczytał i powiedział, co o niej sądzi. Tengo zrobił poprawki zgodnie z jego sugestiami. Zaniósł Komatsu poprawiony utwór, a ten udzielił mu kolejnych wskazówek. Jak trener po trochu podnoszący poprzeczkę.

– W twoim przypadku to może potrwać – powiedział mu. – Ale nie ma się co spieszyć. Musisz mocno przysiąc fałdów i pisać codziennie, nie odpuszczając sobie ani jednego dnia. Nie wyrzucaj tego, co napiszesz. Zachowuj. Bo może ci się kiedyś przydać. – Tengo obiecał, że będzie tak robił.

Komatsu podrzucał mu drobne zlecenia. Tengo pisał więc anonimowo do magazynu kobiecego publikowanego przez wydawnictwo Komatsu. Redagował nadsyłane listy, pisał krótkie artykuły recenzujące nowe filmy czy książki, a nawet pisywał horoskopy – robił wszystko, o co go poproszono. Wymyślane przez niego na poczekaniu horoskopy nierzadko się sprawdzały, więc cieszyły się popularnością. Kiedy pisał: „Proszę uważać – wczesnie rano będzie trzęsienie ziemi”, rzeczywiście pewnego dnia rano nadchodziło silne trzęsienie ziemi. Takie płatne zlecenia były cenne ze względu na dodatkowe dochody, ale stanowiły też praktykę w pisaniu. Tengo cieszył się też, że jego teksty – wszystko jedno jakiego rodzaju – były drukowane i docierały do czytelników.

Wkrótce dostał też zlecenie czytania utworów nadsyłanych na konkurs debiutów. Było rzeczą niezwykłą, że ktoś, kto sam wysyłał utwory na konkursy, jednocześnie przeprowadza wstępną selekcję konkursowych utworów. Tengo nie przejmował się jednak swoim dziwnym położeniem i z obiektywizmem przeglądał teksty innych. Czytając stosy źle napisanych,

nudnych powieści, dogłębnie rozumiał, czym jest źle napisany, nudny tekst. Za każdym razem czytał około stu utworów, wybierał mniej więcej dziesięć, w których można się było dopatrzeć jakiejś wartości, i zanosił je Komatsu. Do każdego dołączał kartkę ze swoimi refleksjami. W ostatnim etapie zostawało pięć utworów i czterech jurorów wybierało z nich jeden, który otrzymywał nagrodę za debiut.

Prócz Tengo były inne osoby robiące na zlecenie wstępną selekcję, a prócz Komatsu kilku innych redaktorów zajmowało się kolejną. Chodziło o zapewnienie obiektywizmu, ale nie było potrzeby uciekania się do takich środków. Bez względu na ogólną liczbę nadesłanych utworów, takich, które miały jakąkolwiek wartość, było najwyżej dwa albo trzy i żaden z czytających nie mógł ich przegapić. Utwór Tengo trzy razy doszedł do ostatniego etapu. Tengo oczywiście sam go nie wybrał, ale pozostałe dwie osoby oraz Komatsu, będący szefem działu redakcji, go dopuściły. Tengo nie czuł się rozczarowany, mimo że jego utwory nie zdobyły nagrody. Po pierwsze zapadły mu w serce słowa Komatsu, że „nie ma się co spieszyć”, poza tym nie zależało mu na tym, żeby od razu zostać pisarzem.

Jeżeli dobrze ustawił sobie zajęcia na kursach, mógł przez cztery dni w tygodniu siedzieć w domu i robić, co chce. Od siedmiu lat uczył na tych samych kursach przygotowawczych i cieszył się wśród uczniów bardzo dobrą opinią. Trzymał się tematu, rozumiałe wszystko wyjaśniał i potrafił od razu odpowiedzieć na każde pytanie. Ku swemu zdziwieniu odkrył, że ma talent oratorski. Umiał dobrze tłumaczyć, głos miał donośny, potrafił też żartować i ożywić klasę. Zanim został nauczycielem, uważał się zawsze za złego mówcę. Nawet teraz rozmawiając z kimś, bywał podenerwowany i czasem nie mógł wykrztusić słowa. Kiedy znajdował się w kilkuosobowej grupie, ograniczał się raczej do słuchania. Jednak gdy stawał na katedrze przed grupą nieznanymi słuchaczy, w głowie mu się rozjaśniało i mógł swobodnie mówić, jak długo chciał. Człowiek to naprawdę niepojęta istota, myślał.

Zarobki go satysfakcjonowały. Nie można ich było nazwać wysokimi, lecz kursy wynagradzały zdolnych wykładowców. Wśród uczniów regularnie przeprowadzano ankiety oceniające nauczycieli. Jeżeli ktoś został wysoko oceniony, podnoszono mu pobory, bo zachodziła obawa, że inne szkoły będą próbowały podkupić wybitnych nauczycieli (z Tengo rzeczywiście kilka razy kontaktowali się head-hunterzy). W normalnej szkole byłoby to niemożliwe. Pensje były ustalane według stażu pracy, przełożony kontrolował życie osobiste nauczycieli, a zdolności i popularność nie miały znaczenia. Praca na kursach przygotowawczych sprawiała Tengo przyjemność. Większość uczniów przychodziła w jasno określonym celu – chcieli dostać się na studia – więc pilnie słuchali wykładów. Toteż nauczyciel nie musiał robić nic poza uczeniem. Tengo bardzo się z tego cieszył. Nie było potrzeby zawracania sobie głowy głupimi problemami, takimi jak uczniowskie wagary czy łamanie regulaminu szkolnego. Wystarczyło stać na katedrze i uczyć, jak rozwiązywać zadania matematyczne. A Tengo był z natury dobry w posługiwaniu się czystymi pojęciami,

używając jako narzędzia matematyki. W te dni, kiedy nie szedł do pracy, wstawał rano i pisał zwykle prawie do wieczora. Pióro wieczne Mont Blanc, niebieski atrament i kartki z miejscem na 400 znaków – jeżeli miał te trzy rzeczy, czuł, że niczego mu nie brakuje. Raz w tygodniu przychodziła do niego zameżna kochanka i razem spędzali popołudnie. Seks ze starszą o dziesięć lat mężatką był prosty, bo nie niósł żadnych zobowiązań i dawał satysfakcję. Popołudniami Tengo chodził na długie spacery, a kiedy się ściemniało, czytał, słuchając muzyki. Nie oglądał telewizji. Kiedy przychodził inkasent z NHK, mówił uprzejmie, że bardzo przeprasza, ale nie ma telewizora. Naprawdę nie mam. Może pan wejść i sprawdzić. Ale oni nigdy nie wchodzili do mieszkania. Inkasentom z NHK nie było wolno wchodzić do środka.

* * *

– Mam na myśli coś większego – powiedział Komatsu.

– Coś większego?

– Uhm. Nie mówię, że nagroda za debiut to mała rzecz, ale jak już, to lepiej celować wyżej.

Tengo milczał. Intencje Komatsu były dla niego niejasne, ale wyczuwał w nich coś, co go niepokoiło.

– Mówię o nagrodzie Akutagawy* – powiedział Komatsu po chwili.

– O nagrodzie Akutagawy – Tengo powtórzył jego słowa, jakby pisał je patykiem dużymi literami na mokrym piasku.

– O nagrodzie Akutagawy. Nawet ktoś tak nieobeznany w świecie jak ty musiał o niej słyszeć. W gazetach się o tym rozpisują i mówią w wiadomościach telewizyjnych.

– Proszę pana, ja nie bardzo rozumiem. Czy my przypadkiem mówimy teraz o Fukaeri?

– Pewnie, że tak. Mówimy o Fukaeri i o *Powietrznej poczwarcie*. Nie rozmawialiśmy przecież na żaden inny temat.

Tengo przygryzł wargi i próbował doszukać się sensu, który powinien gdzieś w tym tkwić.

– Ale przecież długo rozmawialiśmy o tym, że ta książka nie ma szans na nagrodę za debiut. Że w tym kształcie do niczego się nie nadaje.

– Zgadza się, w tym kształcie do niczego się nie nadaje. To jest jasne jak słońce.

Tengo potrzebował czasu na zastanowienie się.

– To znaczy chodzi panu o to, żeby ten tekst przerobić?

– Nie ma innego sposobu. Jest wiele przypadków, że redaktor udziela rad autorowi obiecującego utworu nadesłanego na konkurs, a ten go poprawia. Nie ma w tym nic niezwykłego. Tylko tym razem będzie to musiał poprawić nie autor, a ktoś inny.

* Nagroda Akutagawy – najbardziej prestiżowa nagroda literacka w Japonii.

– Ktoś inny? – zapytał Tengo, choć znał odpowiedź, zanim zadał pytanie. Pytał tylko na wszelki wypadek.

– Ty to poprawisz – powiedział Komatsu.

Tengo szukał odpowiednich słów, lecz nie udało mu się żadnego znaleźć. Westchnął i powiedział: – Ale proszę pana, tego utworu nie da się trochę poprawić. Jak się go od początku do końca nie napisze na nowo, nie będzie miał logicznej spójności.

– Oczywiście, że trzeba cały od początku do końca przerobić. Wykorzysta się w niezmienionej formie szkielet opowieści. Zachowa się też w miarę możliwości styl i atmosferę. Ale tekst jako taki trzeba prawie całkiem zmienić. Tak zwana adaptacja. Ty się podejmiesz poprawek. A ja będę producentem całości.

– Czy to naprawdę może się udać? – powiedział Tengo jakby do siebie.

– Słuchaj – zaczął Komatsu, podnosząc łyżeczkę do kawy i kierując ją w stronę Tengo ruchem dyrygenta dającego znak soliście. – Ta dziewczyna, Fukaeri, ma w sobie coś szczególnego. Widać to, jak się przeczyta *Powietrzną poczwarkę*. Taką wyobraźnię nie co dzień się spotyka. Ale niestety ze stylem u niej fatalnie. Beznadziejnie. Ale za to ty potrafisz pisać. Logicznie myślisz i masz wyczucie. Chociaż kawał chłopca z ciebie, piszesz subtelnie i inteligentnie. I twoje teksty są żywe. Za to w przeciwieństwie do naszej małej Fukaeri jeszcze nie całkiem wiesz, o czym pisać. Dlatego czasami nie można w twoich tekstach znaleźć szkieletu. To, o czym powinieneś pisać, na pewno w tobie jest, lecz to coś, jak płochliwe zwierzątko, uciekło gdzieś do głębokiej jamy i nie chce wyjść. Wiadomo, że kryje się w głębi. Ale dopóki nie wyjdzie, nie da się go złapać. W tym sensie mówię, że musisz dać sobie czas.

Tengo niezdarnie poprawił się na pokrytym dermą krześle. Nic nie powiedział.

– To prosta sprawa – powiedział Komatsu, machając łyżeczką.

– Trzeba połączyć w jedno te dwie osoby i spreparować z nich nowego pisarza. Tengo nada chropowatemu opowiadaniu Fukaeri kształt, który powinien mieć dobry tekst. To idealna kombinacja. Potrafisz to zrobić. Dlatego przecież cały czas ci prywatnie pomagam. Prawda? Z resztą możesz zdać się na mnie. Jak połączymy siły, bez trudu dostaniemy nagrodę za debiut. Możemy też spokojnie przymierzyć się do nagrody Akutagawy. Ja przecież nie na darmo pracuję w tym środowisku. Wiem, jak się to wszystko odbywa za kulisami.

Tengo patrzył przez chwilę na Komatsu z lekko otwartymi ustami. Ten odłożył łyżeczkę na spodek. Rozległ się nienaturalnie głośny dźwięk.

– A co by się stało, gdyby książka dostała nagrodę Akutagawy? – zapytał Tengo, biorąc się w garść.

– Gdyby książka dostała nagrodę Akutagawy, zrobiłaby się popularna. Większość ludzi praktycznie nie rozumie, na czym polega wartość powieści. Ale nie chcą zostać w tyle, muszą być na czasie. Dlatego jeśli jakaś książka dostanie nagrodę i będzie o niej głośno, to kupią ją i przeczytają. A jeśli autorką jest prawdziwa licealistka, to jeszcze lepiej. Jak książka się sprzeda, dużo się zarobi. Podzielimy się odpowiednio zyskami we troje. Ja to załatwię jak

trzeba.

– Takie rzeczy jak podział pieniędzy są mi w tej chwili obojętne – powiedział Tengo beznamytnie. – Ale czy takie postępowanie nie stoi w sprzeczności z zawodową etyką redaktora? Gdyby ten plan się wydał i został podany do publicznej wiadomości, miałby pan niezłe kłopoty. Może nie mógłby pan dalej tam pracować.

– Tak łatwo by się nie wydał. Kiedy mi na tym zależy, potrafię postępować bardzo ostrożnie. A poza tym, gdyby się wydał, z przyjemnością odejdę z tej pracy. I tak szefostwo za mną nie przepada i od dawna źle mnie traktuje. Od razu znalazłbym inną robotę. Nie proponuję tego dla pieniędzy. Chciałbym nabrać tych głupków z tak zwanych kręgów literackich. Roją się w jakiejś ciemnej piwnicy, wychwalają się nawzajem, liżą sobie nawzajem rany, podkładają sobie świnię, a jednocześnie chrzanią dumnie coś o misji literatury – właśnie z tych palantów chcę zrobić pośmiewisko. Przechytrzę system i zrobię z tego wszystkiego cyrk. Nie sądzisz, że to będzie dobra zabawa?

Tengo nie wydawało się, że to będzie szczególnie dobra zabawa. Nigdy nie widział jeszcze nikogo z tak zwanych kręgów literackich. Poza tym zatkało go na chwilę, gdy usłyszał, że ktoś utalentowany, jak Komatsu, zamierza wdać się w coś naprawdę niebezpiecznego, kierując się tak dziecinnymi pobudkami.

– To, o czym pan mówi, wydaje mi się rodzajem oszustwa.

– Współpraca twórcza to nic niezwykłego – powiedział Komatsu, krzywiąc się. – Połowa serii komiksowych w czasopiśmie powstaje w ten sposób. Zespół dyskutuje nad pomysłami, tworzy fabułę, artysta przerabia to na proste szkice, a asystent dodaje szczegóły i koloruje. Tak samo jak produkcja budzika w jakiejś fabryce. W kręgach powieściopisarskich też są takie przykłady. Weźmy choćby romanse. W większości przypadków zatrudniony na zlecenie pisarz po prostu wytwarza je w określonym stylu, zgodnie z *know-how* ustalonym przez wydawnictwo. Czyli, krótko mówiąc, jest to system podziału pracy. Bo inaczej niemożliwa jest masowa produkcja. Jednak w rygorystycznym świecie literatury pięknej taki model nie może być oficjalnie uznany, więc nasza praktyczna strategia opiera się na wystawieniu na linię frontu dziewczyny imieniem Fukaeri. Jeżeli się to wyda, może się zrobić niewielki skandal. Ale nie robimy nic niezgodnego z prawem. Teraz nastały takie czasy. A poza tym nie mówimy o Balzaku czy Murasaki Shikibu. Bierzymy koślawą powieść napisaną przez jakąś licealistkę i robimy z niej porządny utwór. I co w tym złego? To chyba niezłe, jeżeli gotowy utwór okaże się dobry i spodoba się wielu czytelnikom?

Tengo zastanawiał się nad słowami Komatsu. Potem powiedział, starannie dobierając słowa: – Widzę dwa problemy. Na pewno jest ich więcej, ale na razie ograniczę się do dwóch. Czy ta dziewczyna, która jest autorką, ta Fukaeri, zgodzi się na poprawki wykonane przez kogoś innego? Jeżeli powie nie, to oczywiście nic z tego wszystkiego nie będzie. A drugi problem jest taki, czy nawet gdyby ona się zgodziła, ja umiałbym naprawdę dobrze poprawić tę powieść. Współpraca twórcza to bardzo delikatna sprawa i myślę, że nie wszystko może

pójść tak łatwo, jak się panu wydaje.

– Ty na pewno będziesz umiał to poprawić – odpowiedział Komatsu natychmiast, jakby przewidział, że padnie takie pytanie. – Niewątpliwie będziesz umiał. To jest pierwsza rzecz, która mi przyszła do głowy po przeczytaniu *Powietrznej poczwarki*. „Tengo powinien to poprawić”. Co więcej, ta powieść świetnie nadaje się do tego, żebyś właśnie ty ją poprawiał. Ona tylko czeka na to, żebyś ją poprawił. Nie sądzisz?

Tengo potrząsnął głową. Nie wiedział, co powiedzieć.

– Nie ma pośpiechu – dodał cicho Komatsu. – To poważna sprawa. Zastanów się porządnie przez parę dni. Przeczytaj jeszcze raz *Powietrzną poczwarkę*. Proszę, dobrze przemyśl moją propozycję. A właśnie, dam ci to.

Komatsu wyjął z kieszeni marynarki brązową kopertę i podał Tengo. Były w niej dwa kolorowe zdjęcia typowego formatu. Amatorskie zdjęcia dziewczyny. Jedno portretowe, do pasa, na drugim widać było całą sylwetkę. Chyba zrobione przy tej samej okazji. Stała przed jakimiś schodami. Szerokimi, kamiennymi schodami. Piękna twarz o klasycznych rysach, długie proste włosy. Biała bluzka. Drobną, szczupłą figurą. Usta starają się uśmiechnąć, lecz oczy są temu niechętne. Bardzo poważne oczy. Oczy, które czegoś pragną. Tengo przez chwilę przyglądał się na zmianę obu zdjęciom. Nie wiedział czemu, patrząc na nie, przypomniał sobie siebie samego w tym samym wieku. Poczł lekkie ukłucie w piersi. Było to szczególne ukłucie, z rodzaju tych, jakich dawno nie doświadczał. Chyba ta dziewczyna miała w sobie coś wywołującego taki ból.

Komatsu odezwał się: – To jest Fukaeri. Bardzo ładna, prawda? I do tego z tych porządnych i schludnych. Siedemnaście lat. Nie można jej nic zarzucić. Naprawdę nazywa się Fukada Eriko*. Stąd Fuka-Eri. Ale nie podamy jej prawdziwego nazwiska. Będziemy tylko używać „Fukaeri”. Jakby dostała nagrodę Akutagawy, będą mieli o czy mówić, nie sądzisz? Dziennikarze zlecą się jak stado nietoperzy o zmierzchu. Książka sprzeda się na pniu.

Jak Komatsu zdobył te zdjęcia? – dziwił się Tengo. Do nadsyłanych powieści nie dołącza się zdjęć autorów. Ale postanowił o to nie pytać. Chyba wolał nie wiedzieć, choć nie potrafił przewidzieć, jaka byłaby odpowiedź.

– Zatrzymaj je. Mogą ci się do czegoś przydać – powiedział Komatsu. Tengo wsunął zdjęcia z powrotem do koperty i położył na maszynopisie *Powietrznej poczwarki*.

– Proszę pana, ja prawie zupełnie nie znam sytuacji w świecie wydawniczym. Ale na zdrowy rozsądek wydaje się, że to strasznie niebezpieczny plan. Jak się raz skłamię opinii publicznej, trzeba potem zawsze kłamać. Trzeba być konsekwentnym. To nie jest prosta sprawa ani pod względem psychicznym, ani technicznym. Wystarczy, że ktoś gdzieś się raz potknie, i wszyscy zginiemy. Nie uważa pan?

Komatsu wyjął nowego papierosa i wsadził do ust.

– Zgadza się. To, co mówisz, jest sensowne i słuszne. To niewątpliwie ryzykowny plan.

* W Japonii nazwisko poprzedza zawsze imię.

W tym momencie jest trochę za dużo znaków zapytania. Nie da się przewidzieć, co się stanie. Być może nam się nie uda i wszyscy będziemy żalowali. W pełni zdaję sobie z tego sprawę. Ale, wiesz, Tengo, po wzięciu tego wszystkiego pod uwagę mój instynkt mówi: „Nie rezygnuj!” A to dlatego, że takie okazje się nie trafiają. Nigdy przedtem się podobna nie trafiła. I w przyszłości pewnie też się nie trafi. Może porównanie do gier hazardowych jest nieodpowiednie, ale tym razem mamy w dłoni wszystkie karty. I mnóstwo żetonów. Różne okoliczności doskonale się ułożyły. Jeśli przepuścimy tę okazję, będziemy tego długo żałować.

Tengo w milczeniu wpatrywał się w nieco złowieszczy uśmiech, który pojawił się na twarzy rozmówcy.

– A najważniejsze jest to, że chcemy przerobić *Powietrzną poczwarkę* na jeszcze wybitniejszy utwór. Ta historia powinna zostać lepiej napisana. Ma w sobie coś bardzo ważnego. Coś, co ktoś musi zreć z niej wydobyć. Przecież ty też w głębi duszy tak myślisz. Nie mam racji? Dlatego połączmy siły. Stworzymy plan i połączmy nasze umiejętności. Takich motywów przed nikim nie musimy się wstydić.

– Ale proszę pana, bez względu na to, jak pan to będzie uzasadniał, jak słuszne argumenty pan powynajduje, to tak czy inaczej jest oszustwo. Może i takich motywów przed nikim nie musielibyśmy się wstydić, ale przecież nikt nie może się o tym dowiedzieć. Musimy działać skrycie, za kulisami. Jeżeli nie odpowiada panu słowo oszustwo, może być zdradzieckie działanie. Nie jest nielegalne, ale to także kwestia moralności. Przecież przerabianie przez redaktora utworu nadesłanego na konkurs debiutów jego własnego magazynu przypomina *insider trading*, transakcje między wtajemniczonymi przeprowadzane w świecie handlu akcjami, prawda?

– Nie można porównywać literatury z handlem akcjami. Całkowicie się od siebie różnią.

– Na przykład czym się różnią?

– Na przykład, hm... zapominasz o jednym ważnym fakcie – powiedział Komatsu. Tengo nigdy przedtem nie widział na jego twarzy tak szerokiego, wesołego uśmiechu. – A raczej specjalnie go nie zauważasz. A mianowicie tego, że sam już chcesz to zrobić. W myślach poprawiasz już *Powietrzną poczwarkę*. Ja to wyraźnie widzę. Niech szlag trafi ryzyko czy moralność. Sądzę, że aż się palisz do tego, żeby własnymi rękami poprawić ten tekst. Aż się palisz, żeby wydobyć z niego to coś w zastępstwie Fukaeri. To jest właśnie różnica między literaturą a handlem akcjami. Że ludzie kierują się motywami, które mogą być dobre albo złe, ale wykraczają poza sferę pieniędzy. Powinieneś wrócić do domu i porządnie zastanowić się, co naprawdę czujesz. Stań przed lustrem i dobrze się sobie przyjrzyj. Masz to wyraźnie wypisane na twarzy.

Tengo miał wrażenie, że powietrze wokół nagle się rozrzedziło. Rozejrzał się szybko. Czyżby znowu nadchodziła tamta wizja? Nie zanosilo się na to. To rozrzedzone powietrze nadpływało z jakiejś innej sfery. Wyciągnął z kieszeni chusteczkę i otarł pot z czoła. Komatsu

zawsze miał rację. Z jakiejś przyczyny.

Rozdział trzeci – Aomame

Kilka faktów, które uległy zmianie

Aomame schodziła po wąskich schodach awaryjnych w samych rajstopach bez butów. Schody nie były niczym osłonięte, wiatr dał z głośnym świstem pomiędzy stopniami. Miała na sobie dopasowaną minispódnicę, lecz i tak wiatr rozdymał ją jak żagiel. Aomame czuła się wtedy niepewnie, jakby się obawiała, że może ją unieść w powietrze. Mocno chwyciła poręczę i zaczęła schodzić stopień po stopniu zwrócona twarzą ku schodom. Co pewien czas zatrzymywała się, odgarniała z twarzy grzywkę i poprawiała założoną jak tornister torbę. W dole widziała drogę numer 246. Zewsząd dochodziły dźwięki: warkot silników i klaksony, wycie alarmów samochodowych, stare pieśni wojskowe dochodzące z ciężarówek propagandowych prawicy, łomot młotów pneumatycznych rozbijających gdzieś beton i wszelkie inne odgłosy miasta. Unoszony wiatrem hałas nadpływał zewsząd: był wszędzie wokół niej, w górze i na dole, nacierał ze wszystkich kierunków. Kiedy go słyszała (nie miała specjalnej ochoty słuchać, ale nie mogła sobie pozwolić na zatkanie uszu), zaczynała powoli czuć mdłości jak wskutek choroby morskiej. Po pewnym czasie dotarła do pomostu prowadzącego pod autostradą w kierunku jej środka. Potem schody znów wiodły dalej prosto w dół.

Po drugiej stronie ulicy stał niewielki czteropiętrowy blok. Całkiem nowy, obłożony brązowymi płytkami. Balkony umieszczono po stronie autostrady, ale wszystkie okna były szczelnie pozamykane, niektóre miały opuszczone rolety. Co za architekt zaprojektował balkony w bloku, który prawie styka się ze stołeczną autostradą? Raczej nikt nie będzie suszył w takim miejscu prześcieradeł ani sączył dzinu z tonikiem, przypatrując się popołudniowym korkom. A mimo to na kilku balkonach rozpięte były nylonowe sznury do bielizny, jakby dla zasady. Na jednym stało nawet krzesło ogrodowe i fikus w doniczce. Był to zmarniały, poźółkły fikus. Liście miał rzadkie, niektóre zbrązowiałe i uschnięte. Naprawdę zasługiwał na współczucie. Gdyby miała się jeszcze raz urodzić, nie chciałaby być taką rośliną.

Schody awaryjne musiały być rzadko używane, bo tu i tam wisiały się na nich pajęczyny. Wczepione w nie niewielkie czarne pająki czekały cierpliwie na jakąś choćby niewielką zdobycz. Ale pająki zapewne nie uświadamiają sobie szczególnie, że są cierpliwe?

Nie posiadają chyba żadnych umiejętności poza tkaniem pajęczyny, a jedynym stylem życia, jaki mają do wyboru, jest tkwienie w niej i czekanie. Siedzą nieruchomo w jednym miejscu, czekając na zdobycz, a w końcu żywot ich dobiega kresu, umierają i usychają. To wszystko jest od początku zapisane w ich genach. Nie znają wahań, rozczarowań ani żalu. Nie męczą ich metafizyczne problemy ani moralne konflikty. Prawdopodobnie nie. Ale w moim przypadku jest inaczej. Ja muszę się posuwać ku swemu celowi i dlatego właśnie, niszcząc sobie rajstopy, schodzę sama po tych nie wiadomo jakich schodach awaryjnych przy autostradzie stołecznej numer 3, w tej beznadziejnej okolicy Sangenjaya. Odgarniając nędzne pajęczyny i patrząc na brudne fikusy na balkonach.

Posuwam się, więc jestem.

Schodząc po schodach, Aomame myślała o Tamaki Ōtsuka. Nie zamierzała o niej myśleć, ale kiedy zaczęła, nie mogła przestać. Tamaki była jej najlepszą przyjaciółką z czasów liceum, obie były w drużynie softballowej. Jako koleżanki z drużyny razem jeździły w rozmaite miejsca i robiły najróżniejsze rzeczy. Raz nawet wygłupiały się, że są lesbijkami. W czasie wakacji pojechały we dwie na wycieczkę i musiały spać w jednym łóżku hotelowym. Mieli wyłącznie pokoje z wąskimi łóżkami dwuosobowymi. Leżąc, dotykały nawzajem swoich ciał. Nie były lesbijkami, tylko ogarnęła je typowa dla młodych dziewcząt ciekawość i postanowiły śmiało spróbować czegoś nowego. Nie miały wtedy jeszcze chłopaków ani żadnych doświadczeń seksualnych. Wydarzenia tamtej w nocy zostały jej w pamięci jako epizod życiowy, który był „wyjątkiem, ale bardzo interesującym”. Ale kiedy schodząc po tych metalowych nieosłoniętych schodkach, przypomniała sobie, jak dotykały nawzajem swoich ciał, poczuła, że robi jej się gorąco. Owalne sutki Tamaki, niezbyt bujne włosy łonowe, pięknie zaokrąglona pupa, kształt łechtaczki – nawet teraz zadziwiająco wyraźnie je pamiętała.

Kiedy tak snuła te dziwnie żywe wspomnienia, w jej głowie nieomal jak tło muzyczne donośnie brzmiały instrumenty dęte uroczyście grające unisono *Sinfonietę* Janáčka. Ręce głąskały lekko zagłębienia ciała Tamaki Ōtsuka. Dziewczyna na początku chichotała, lecz wkrótce przestała się śmiać. Zmienił się rytm jej oddechu. Ten utwór został skomponowany jako fanfara na jakieś zawody sportowe. W rytm muzyki łagodny wiatr wędrował po zielonych łąkach Czech. Aomame poczuła, że sutki Tamaki twardnieją. Jej własne były równie twarde. A kotły odmalowywały skomplikowane motywy muzyczne.

Aomame zatrzymała się i kilka razy potrząsnęła lekko głową. Nie mogą tutaj myśleć o takich rzeczach. Muszę się skupić na schodzeniu po schodach, pomyślała. Ale nie mogła się powstrzymać. Tamte sceny odżywały w jej pamięci jedna po drugiej. Bardzo wyraźnie. Letnia noc, wąskie łóżko, lekki zapach potu. Wypowiedziane słowa. Uczucia niedające się ubrać w słowa. Zapomniane obietnice. Niespełnione nadzieje. Nieznajdujące ujścia tęsknoty. Podmuch wiatru uniósł jej włosy i znów rzucił je na policzek. Ból wywołał łzy. Następny podmuch je osuszył.

Kiedy to było, zastanawiała się Aomame. Czas owinał się wokół wspomnień poplątanymi nićmi. Stracił swą prostą oś, pomyliły się przód z tyłem, prawa strona z lewą. Szufladki pozamieniano miejscami. Z jakiejś przyczyny nie mogła sobie przypomnieć czegoś, co powinna pamiętać. Teraz jest kwiecień tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego czwartego roku. Urodziłam się, tak... w pięćdziesiątym czwartym. Dotąd pamiętam. Lecz takie wyryte w pamięci chwile błyskawicznie traciły w jej świadomości rzeczywisty charakter. W myślach widziała, jak gwałtowny wiatr rozwiewa na wszystkie strony białe kartki z wydrukowanymi datami. Ona biegnie i próbuje zebrać ich jak najwięcej. Ale wiatr jest zbyt silny. A znikających kartek za dużo. 1954, 1984, 1645, 1881, 2006, 771, 2041... te daty są rozwiewane jedna po drugiej. Tracą chronologię, wiedza jest unicestwiona, schody myśli rozpadają się pod stopami.

Aomame i Tamaki leżą w tym samym łóżku. Mają po siedemnaście lat, zachłystują się wolnością. Jest to ich pierwsza wspólna wycieczka. Obie są tym podniecone. Wykąpały się w gorących źródłach, wypily na spółkę puszkę piwa z lodówki, zgasiły światło i włożyły do łóżka. Na początku obie tylko się wygłupiają. Trochę z ciekawości trącają się żartobliwie tu i tam. Lecz Tamaki w pewnej chwili wyciąga rękę i lekko chwyta sutek Aomame przez zastępujący pizamę cienki podkoszulek. Ciało Aomame przebiega prąd. Wkrótce obie zdejmują podkoszulki i majtki – są nagie. Jest letnia noc. Dokąd pojechałyśmy? Nie mogę sobie przypomnieć. Wszystko jedno. Choć żadna z nich pierwsza tego nie zaproponowała, zaczynają nawzajem szczegółowo badać swoje ciała. Przyglądają się, dotykają, głaszczą, całują, liżą. Trochę żartem, a trochę na poważnie. Tamaki jest drobna, raczej pulchna. Piersi też ma duże. Aomame jest raczej wysoka i szczupła. Umięśniona, piersi ma niewielkie. Tamaki ciągle mówi, że powinna być na diecie. Lecz Aomame uważa, że Tamaki jest czarująca.

Skóra Tamaki jest miękka i gładka. Sutki są pięknymi naprężonymi owalami. Przypominają oliwki. Włosy łonowe niezbyt bujne, jak delikatne gałązki wierzby. U Aomame są sztywne i twarde. Śmieją się z tych różnic. Dotykają nawzajem swoich ciał i wymieniają się informacjami, które miejsca są najwrażliwsze. Niektóre się pokrywają, inne nie. Potem wyciągają ręce i nawzajem drażnią palcami swoje łechtaczki. Obie od dawna się onanizują. Bardzo często. Obie myślą, że doznania są zupełnie różne, kiedy ktoś inny nas dotyka. Wiatr wędruje po zielonych łąkach Czech.

Aomame znów się zatrzymuje i potrzęsa głową. Głęboko wzdycha i mocniej chwyta poręcze schodów. Muszę przestać myśleć o takich rzeczach. Muszę się skupić na schodzeniu po schodach. Przeszłam już ponad połowę drogi. Ale dlaczego tu jest taki straszny hałas? Dlaczego jest taki silny wiatr? Czuję się, jakby miał do mnie pretensję, karciał mnie.

Mniejsza o to. Ale co będzie, jeśli po zejściu na ziemię okaże się, że tam ktoś jest. Co mam odpowiedzieć, jak mnie zaczepi, zapyta, co tu robię, skąd się wzięłam. Powiem: „Na autostradzie był korek, więc zeszłam po schodach awaryjnych. Bo mam pilną sprawę do

załatwienia” i to wystarczy? A jeśli przypadkiem zrobi się z tego afera? Aomame nie chciała zostać zamieszana w żadną aferę. Przynajmniej nie dzisiaj.

* * *

Na szczęście na dole nie było nikogo, kto mógłby zacząć wypytywać, widząc ją na schodach. Po dotarciu na dół Aomame przede wszystkim wyjęła z torby buty i włożyła je. Schody kończyły się na pasie terenu znajdującego się między wiodącymi w przeciwnych kierunkach pasmami drogi numer 246 prowadzącej pod przebiegającą wiaduktami autostradą. Znajdował się tam skład materiałów budowlanych. Ogrodzono go metalowym parkanem, na gołej ziemi leżało kilka metalowych słupków. Wyglądały na pozostałości po jakiejś budowie. Teraz rdzewiały porzucone. Nad częścią terenu zainstalowano plastikowy daszek, pod którym leżały jeden na drugim trzy worki. Przykryto je foliową płachtą, by nie zmokły na deszczu. Aomame nie wiedziała, co jest w środku. One też pewnie są pozostałością po jakiejś budowie. Wywożenie materiałów za każdym razem było kłopotliwe, więc pewnie dlatego je tu porzucono. Pod daszkiem leżało też kilka rozwalonych wielkich kartonów, parę plastikowych butelek i ileś komiksów. Nie było nic innego. Tylko jakaś reklamówka tańczyła bezsensownie na wietrze. W metalowym parkanie znajdowała się furtka, lecz zamknięto ją na dużą kłódkę zawieszoną na owiniętym kilkakrotnie wokół prętów łańcuchu. Furtka była wysoka, na górze umieszczono nawet drut kolczasty. Nie da rady nad nią przeleźć. Gdyby nawet jakoś jej się udało, ubranie miałyby potem w strzępach. Spróbowała popchnąć i pociągnąć furtkę, lecz ta ani drgnęła. Nie było żadnej szpary, przez którą mógłby się przecisnąć choćby kot. O rany, po co tak to zamykają? Przecież tu nie ma co ukraść. Aomame skrzywiła się, zakląła i nawet splunęła. A niech to, z takim trudem zeszła z autostrady, a teraz jest zamknięta w składzie materiałów budowlanych. Spojrzała na zegarek. Miała jeszcze czas, ale nie mogła przecież w nieskończoność tu tkwić. No i nie mogła wrócić na autostradę.

Rajstopy podarła na piętach. Upewniwszy się, że nikt nie patrzy, zdjęła buty, podciągnęła spódnicę, zsunęła dziurawe rajstopy, wsadziła je do torebki i znów włożyła buty. To ją trochę uspokoiło. Obeszła ogrodzony teren, uważnie się rozglądając. Miał powierzchnię szkolnej klasy. Obeszła go raz-dwa. Było tylko jedno wejście i wyjście. Przez tę zamkniętą furtkę. Metalowy płot zrobiono z paneli z cienkiej blachy – wszystkie były solidnie przymocowane śrubami. Bez narzędzi nie uda się ich odkręcić. Nie ma rady.

Następnie przyjrzała się kartonom leżącym pod plastikowym daszkiem. Zauważyła, że zrobiono z nich posłania. Było tam też kilka zwiniętych wyświechtanych koców. Niezbyt starych. Prawdopodobnie sypiają tu jacyś bezdomni. Stąd rozrzucone komiksy i plastikowe butelki po napojach. Nie ma wątpliwości. Aomame skupiła się. Skoro tu sypiają, musi być jakaś dziura, przez którą mogą wejść. Świetnie przyswoili sobie sztukę znajdowania schronienia od deszczu i wiatru. I na pewno jak leśne zwierzęta zapewnili sobie sekretną

drogę dotarcia do kryjówki.

Aomame uważnie badała kolejne panele ogrodzenia. Popychała i sprawdzała, czy nie są obluzowane. Tak jak się spodziewała, znalazła jedno miejsce, w którym śruba musiała wypaść i panel był obluzowany. Spróbowała go poruszyć w różnych kierunkach. Kiedy lekko pociągnęła do wewnątrz pod nieco innym kątem, powstała szpara, przez którą można się było przecisnąć. Bezdomni prawdopodobnie przychodzą tu po zmroku i spokojnie sobie śpią, bo nie leje im się na głowę. Gdyby ktoś ich tu znalazł, mieliby kłopoty, więc w ciągu dnia na pewno zdobywają pożywienie czy zbierają puszki, żeby zarobić parę groszy. Aomame była wdzięczna tym bezimiennym nocnym mieszkańcom. Ona także, jak oni, anonimowo i skrycie poruszała się po ciemnych uliczkach wielkiego miasta.

Pochyliła się i przelazła przez wąską szparę. Zrobiła to niezwykle uważnie, nie chcąc podrzeć eleganckiego kostiumu, który mógł zaczepić o coś ostrego. Był to nie tylko jej ulubiony kostium, ale również jedyny, jaki miała. Zwykle nie nosiła kostiumów. Ani obcasów. Ale do tej pracy czasami musiała się elegancko ubrać. Nie mogła więc zniszczyć cennego stroju.

Na szczęście po drugiej stronie ogrodzenia też nikogo nie było. Aomame jeszcze raz sprawdziła stan kostiumu, przybrała spokojny wyraz twarzy, a potem ruszyła do najbliższych świateł, przeszła na drugą stronę drogi 246, weszła do pierwszej napotkanej drogerii i kupiła rajstopy. Zapytała sprzedawczynię, czy może przebrać się na zapleczu. Dzięki temu humor znacznie jej się poprawił. Całkowicie zniknęło też przypominające morską chorobę nieprzyjemne uczucie lekkich mdłości w żołądku. Podziękowała sprzedawczyni i wyszła ze sklepu.

Prawdopodobnie rozeszła się już wiadomość o tym, że z powodu wypadku zakorkowała się stołeczna autostrada, bo na biegnącej pod nią drodze 246 panował większy ruch niż zwykle. Aomame zrezygnowała więc z szukania taksówki i postanowiła wsiąść w pociąg linii Tōkyū Shintamagawa na pobliskiej stacji. To było pewniejsze. Nie miała ochoty utkwic w taksówce w kolejnym korku.

W drodze na stację Sangenjaya minęła policjanta. Był młody, wysoki i zmierzał dokądś szybkim krokiem. Przez chwilę poczuła napięcie, lecz policjant najwyraźniej się spieszył, patrzył prosto przed siebie i nawet na nią nie spojrzął. Kiedy się mijali, zauważyła, że jest jakoś inaczej ubrany – nie w zwykły mundur policyjny, jakie widywała na ulicy. Niby taka sama granatowa kurtka mundurowa, ale czymś się różniła. Była jakby mniej formalna. Nie tak dopasowana jak inne. I materiał jakby miększy. Kołnierzyk niewielki, granat nieco jaśniejszy. Pistolet też innego typu. Ten policjant miał przy pasie duży model automatyczny. Policja zazwyczaj uzbrojona jest w rewolwery. W Japonii jest niezwykle mało przestępstw z użyciem broni palnej i funkcjonariusze prawie nigdy nie uczestniczą w strzelaninach, więc zupełnie wystarczają im sześciopalcowe rewolwery starego typu. Mają prostszą budowę, są tanie, rzadko się psują i łatwo o nie dbać. Ale ten policjant z jakiejś przyczyny nosił

najnowszy model pistoletu półautomatycznego. Taki, do którego można załadować około szesnastu dziewięciomilimetrowych naboju. Prawdopodobnie glock albo beretta. Co się mogło stać? Czyżby nie zorientowała się, że wprowadzono jakieś zmiany w standardowym umundurowaniu i wyposażeniu policji? Gdyby zaszła taka zmiana, na pewno byłoby o tym głośno w mediach. Poza tym Aomame zwykle zwracała uwagę na policjantów. Do dzisiejszego ranka, jeszcze zaledwie kilka godzin temu, nosili zwykłe sztywne mundury i zwyczajne rewolwery. Dobrze to pamiętała. Dziwna sprawa.

Nie miała jednak teraz czasu się nad tym zastanawiać. Musiała wykonać pewną pracę.

Schowała płaszcz do schowka na dworcu Shibuya i w samym kostiumie ruszyła szybkim krokiem pod górę do hotelu. Był to średniej klasy hotel miejski. Niezbyt luksusowy, lecz odpowiednio wyposażony, czysty; nie bywali w nim podejrzani goście. Na parterze znajdowała się restauracja oraz sklep całodobowy. Niedaleko dworca, dobra lokalizacja.

Po wejściu do hotelu poszła prosto do łazienki. Na szczęście nikogo tam nie było. Najpierw usiadła na sedesie i bardzo długo sikała. Przymknęła oczy i bezmyślnie słuchała dźwięku płynącego moczu, jakby wsłuchiwała się w daleki szum morza. Potem stanęła przed umywalką, starannie umyła ręce mydłem, wyszczotkowała włosy i wytarła nos. Wyciągnęła szczoteczkę i szybko bez pasty umyła zęby. Nie miała zbyt wiele czasu, więc nie użyła nitki. Nie było potrzeby aż tak daleko się posuwać. Nie szła przecież na randkę. Patrząc w lustro, lekko uszminowała usta. Uczesała też brwi. Zdjęła zakiet, poprawiła stanik, wygładziła zmarszczki na białej bluzce, powąchała się pod pachami. Nie poczuła potu. Następnie zamknęła oczy i jak zawsze wypowiedziała słowa modlitwy. Same słowa nie miały żadnego znaczenia. Znaczenie było jej obojętne. Ważne było tylko to, że je wypowiada.

Skończyła modlitwę, otworzyła oczy i przejrzała się w lustrze. W porządku. Bez zarzutu – bizneswoman wyglądająca bardzo kompetentnie. Prosto się trzyma, usta mają zdecydowany wyraz. Tylko duża, wypchana torba na ramię trochę nie pasuje. Pewnie powinna mieć raczej płaską skórzaną aktówkę. Ale może właśnie dzięki temu wyglądała bardziej urzędowo. Ostrożności nigdy za wiele, więc jeszcze raz sprawdziła zawartość torby. W porządku. Wszystko było na swoim miejscu. Tak, żeby mogła co trzeba po omacku znaleźć.

Teraz wystarczy tylko zrealizować, co zostało postanowione. Z niezachwianą wiarą i bezlitośnie musiała wziąć się od razu do rzeczy. Rozpięła górny guzik bluzki, tak by kiedy się pochyli, widać było piersi. Gdybym miała trochę większy biust, byłoby to bardziej skuteczne, pomyślała z żalem.

* * *

Przez nikogo o nic niepytana wjeżdża windą na czwarte piętro, idzie korytarzem i od razu znajduje pokój numer czterysta dwadzieścia sześć. Wyjmuje z torby przyniesioną w tym celu papierową teczkę i przycisnąwszy ją do piersi, puka. Lekko i krótko. Czeka chwilę.

Następnie ponownie puka. Troszeczkę mocniej i głośniej. Ze środka rozlega się niewyraźny głos, drzwi nieco się uchylają. W szparze ukazuje się twarz mężczyzny. Około czterdziestki. Błękitna koszula, szare flanelowe spodnie. Sprawia wrażenie biznesmana, który zdjął marynarkę i krawat. Ma zaczerwienione pełne irytacji oczy. Pewnie nie dosypia. Na widok ubranej w kostium Aomame nieco się dziwi. Prawdopodobnie myślał, że pokojówka przyszła uzupełnić napoje w lodówce.

– Przepraszam, że zakłócam panu spokój. Nazywam się Itō, jestem z zarządu hotelu. Powstał problem w systemie klimatyzacji, więc przyszedłem sprawdzić, czy działa. Czy mogę panu przeszkodzić na pięć minut? – zapytała Aomame energicznie z uśmiechem na twarzy.

Mężczyzna z niezadowoleniem zmrużył oczy.

– Zajmuję się właśnie bardzo pilną pracą. Za godzinę wychodzę. Czy mogłaby pani poczekać do tego czasu? W tej chwili z klimatyzacją w tym pokoju nie ma żadnego problemu.

– Najmocniej przepraszam, ale ponieważ chodzi o zwarcie, system wymaga pilnego sprawdzenia ze względów bezpieczeństwa. Więc jeśli można, chciałabym jak najszybciej tego dokonać. Chodzę kolejno po wszystkich pokojach. Bardzo proszę o cierpliwość. To nie zajmie nawet pięciu minut.

– Nie ma rady – powiedział mężczyzna, cmokając ze zniecierpliwieniem. – Co prawda wynajęłem pokój specjalnie po to, żeby mi nikt nie przeszkadzał w pracy.

Wskazał dokumenty na biurku. Leżał tam stos szczegółowych wykresów wydrukowanych z komputera. Pewnie przygotowuje materiały potrzebne na wieczorne zebranie. Był też kalkulator, na papierze z notatkami widniały długie rzędy liczb.

Aomame wiedziała, że mężczyzna pracuje w firmie związanej z ropą naftową. Jest specjalistą od inwestycji kapitałowych w krajach Bliskiego Wschodu. Zgodnie z informacjami, jakie otrzymała, jest w tej dziedzinie bardzo dobry. Można to poznać po jego zachowaniu. Został starannie wychowany, ma duże dochody, jeździ nowym jaguarem. Rozpieszczony w dzieciństwie, był na stypendium za granicą, dobrze zna angielski i francuski, jest pod każdym względem pewny siebie. Należy do tego typu ludzi, którzy nie mogą znieść, że ktoś czegoś od nich żąda. Nie znosi też krytyki. Szczególnie ze strony kobiety. Jednocześnie sam nie ma żadnych oporów, żeby żądać czegoś od innych. Nie czuje też specjalnych wyrzutów sumienia po złamaniu żonie kilku żeber kijem golfowym. Uważa, że świat kręci się wokół niego. Myśli wręcz, że bez niego ziemia nie mogłaby się obracać. Jest wściekły, gdy ktoś mu w czymś przeszkadza lub mu przeczy. Wścieka się bardzo gwałtownie. Tak że mu nieomal wywała korki.

– Przepraszam za kłopot – powiedziała Aomame z pogodnym profesjonalnym uśmiechem. Bez skrupułów wepchnęła się do pokoju, zamknęła drzwi, przyciskając je plecami, otworzyła papierową teczkę i coś w niej zapisała długopisem. – Pan... Miyama, prawda? – zapytała. Widziała go wiele razy na zdjęciach i pamiętała, jak wygląda, ale nie zaszkodziło się upewnić, że to on. Gdyby się pomyliła, nie byłoby odwrotu.

– Tak, Miyama – odparł mężczyzna ostro. A potem westchnął, chyba zrezygnowany. Jakby mówił: „Dobra, rób sobie, co chcesz”. Z długopisem w dłoni usiadł przy biurku i podniósł dokumenty, które przedtem czytał. Na posłanym łóżku leżały rzucone byle jak marynarka i krawat w paski. Jedno i drugie wyglądało na bardzo kosztowne. Z torbą na ramieniu Aomame ruszyła prosto w stronę szafy. Wcześniej dowiedziała się, że tam znajduje się panel sterowania klimatyzacją. W szafie wisiał prochowiec z miękkiego materiału i kaszmirowy ciemnoszary szalik. Jedyne bagaż stanowiła skórzana aktówka. Żadnych ubrań na zmianę ani kosmetyczki. Pewnie nie miał zamiaru się tu zatrzymywać. Na biurku stał dzbanek kawy zamówionej do pokoju. Udawała przez trzydzieści sekund, że sprawdza coś na tablicy rozdzielczej, a potem zwróciła się do Miyamy: – Dziękuję panu bardzo za wyrozumiałość. W tym pokoju nie ma żadnych problemów.

– No przecież od początku pani mówiłem, że tu z klimatyzacją nie ma żadnych problemów – odparł aroganckim tonem, nie odwracając się.

– Aa... proszę pana – powiedziała Aomame niepewnie. – Przepraszam bardzo, ale zdaje mi się, że ma pan coś z tyłu na szyi.

– Na szyi? – powiedział Miyama i dotknął ręką karku. Potarł lekko i podejrzliwie obejrzał dłoń. – Nic nie ma.

– Bardzo przepraszam – powiedziała Aomame i podeszła do biurka. – Czy pozwoli pan, że spojrzę z bliska?

– Uhm, niech pani patrzy – odrzekł Miyama, nie bardzo wiedząc, o co chodzi. – Coś, to znaczy co?

– Jakby farbę. Jaskrawozieloną.

– Farbę?

– Nie jestem pewna. Sądząc po odcieniu, to chyba farba. Przepraszam, czy mogę dotknąć? Może uda mi się zetrzeć?

– Uhm – powiedział Miyama i pochyliwszy głowę, pokazał Aomame szyję. Musiał się niedawno ostrzyć, bo kark miał gładko wygolony. Aomame zaczerpnęła powietrza, wstrzymała oddech i skupiwszy się, szybko odnalazła to miejsce. Jakby chcąc je zaznaczyć, lekko przycisnęła palcem. Zamknęła oczy, upewniając się, że na pewno je wyczuwa. Tak, tu będzie dobrze. Normalnie wolałby poświęcić więcej czasu i dobrze się upewnić, ale nie mogła sobie na to pozwolić. Musiała zrobić wszystko co możliwe w istniejących warunkach.

– Najmocniej przepraszam, czy mógłby się pan przez chwilę nie ruszać? Wyjmę z torebki latarkę. Nie bardzo widzę w tym świetle.

– Skąd mogła mi się tam wziąć farba? – zapytał Miyama.

– Nie wiem. Zaraz sprawdzę.

Trzymając palec lekko przyciśnięty do szyi mężczyzny, wyjęła z torebki sztywną plastikową pochewkę, otworzyła i wyciągnęła przedmiot zawinięty w cienki materiał. Zręcznie odwinęła go jedną ręką, a wtedy ze środka wysunęło się coś, co przypominało mały

szpikulec do lodu. Około dziesięciocentymetrowy, ze sztywną niewielką rękojeścią z drewna. Ale to nie był szpikulec do lodu. Miał tylko podobny kształt. Nie służył do rozbijania lodu. Sama go zaprojektowała i zrobiła. Szpic był zaostroszony jak igła do szycia. Żeby zapobiec złamaniu, zatknęła na niego kawałek korka. Specjalnie spreparowanego, miękkiego jak wata korka. Ostrożnie ściągnęła go paznokciem i wsunęła do kieszeni. Następnie przytknęła nagie ostrze do tego miejsca na szyi Miyamy. No, teraz tylko spokojnie, to najważniejszy moment, przykazała sobie Aomame. Nie wolno się pomylić nawet o jedną dziesiątą milimetra. Jeśli ostrze choć trochę się przesunie, wszystkie wysiłki spełzną na niczym. Najważniejsze jest skupienie.

– Czy to jeszcze długo potrwa? Strasznie się pani z tym grzebie – zniecierpliwiał się mężczyzna.

– Przepraszam. Za chwilę będzie po wszystkim – odparła Aomame.

Nie ma sprawy, zaraz będzie po wszystkim, powiedziała do niego w duchu. Poczekaj jeszcze tylko chwileczkę. A potem już nie będziesz musiał o niczym myśleć. Ani o systemach oczyszczania ropy, ani o trendach na rynku naftowym, ani o raporcie kwartalnym dla grupy inwestycyjnej, ani o rezerwacji lotu do Bahrajnu, ani o łapówkach dla urzędników, ani o prezencie dla kochanki – o niczym nie będziesz musiał myśleć. Pewnie trudno ci było myśleć ciągle o tych wszystkich rzeczach? Dlatego, przepraszam cię, musisz poczekać jeszcze chwilę. Nie przeszkadzaj, bo ja ciężko pracuję, próbuję się skupić. Proszę cię.

Przyjęła odpowiednią pozycję, podjęła decyzję, uniosła w powietrzu prawą dłoń i wstrzymując oddech, momentalnie jednym płynnym ruchem ją opuściła. Popchnęła drewniany uchwyt. Niezbyt mocno. Jeżeli zrobiło się to za silnie, było ryzyko, że igła złamie się pod skórą. A nie mogła przecież zostawić tam czubka igły. Opuszczała dłoń lekko, jakby czule, pod odpowiednim kątem, z odpowiednią siłą. Płynnym ruchem, nie opierając się sile grawitacji. Tak by cienki koniec igły wszedł naturalnie aż do tego miejsca. Głęboko, gładko i zabójczo. Ważne są kąt i siła nacisku – a raczej brak nacisku. Jeśli tylko zwróci się na to uwagę, reszta jest prosta jak wsadzenie igły w tofu. Jej koniec przebija ciało, wbija się w określone miejsce w dolnej części mózgu i w ten sposób, jakby zdmuchnięto świecę, zatrzymuje się bicie serca. W jednej chwili jest po wszystkim. Nieomal za szybko. Tylko Aomame to potrafiła. Nikt inny nie umiał wyczuć po omacku tego szczególnego punktu. A ona potrafiła. Jej palce obdarzone były takim specjalnym wyczuciem.

Mężczyzna głośno zaczerpnął powietrza. Skurczyły mu się mięśnie całego ciała. Upewniwszy się, że tak się stało, Aomame błyskawicznie wyciągnęła igłę. Przycisnęła ranę gazikiem, który miała przygotowany w kieszeni. Chciała zapobiec krwawieniu. Igła była bardzo cienka i tkwiła w ciele zaledwie kilka sekund. Gdyby nawet pojawiło się krwawienie, byłoby znikome. Ale i tak nigdy za wiele ostrożności. Nie mogą pozostać ślady krwi. Jedna kropla krwi może mieć fatalne skutki. Ostrożność była główną cechą Aomame.

Zesztywniałe początkowo ciało Miyamy powoli zaczęło się rozluźniać. Jak piłka do

koszykówki, z której uchodzi powietrze. Przyciskając punkt na szyi mężczyzny, ułożyła go twarzą w dół na biurku. Twarz spoczęła bokiem na dokumentach jak na poduszce. W otwartych oczach malowało się zdziwienie. Jakby na koniec zobaczył coś nieprawdopodobnie zaskakującego. Nie było w nich strachu. Ani cierpienia. Tylko czyste zdziwienie. Z jego ciałem stało się coś niezwykłego. Lecz nie rozumiał co. Nie wiedział nawet, czy to ból, czy swędzenie, przyjemne uczucie czy też rodzaj objawienia. Na świecie są różne sposoby umierania, ale prawdopodobnie nie ma równie lekkiego jak ten.

To pewnie zbyt lekka śmierć dla ciebie, pomyślała Aomame, krzywiąc się. Zbyt prosta. Pewnie powinnam była złamać ci ze trzy żebra „żelazem” numer 5, sprawić ci mnóstwo bólu, a dopiero potem z litości pozwolić ci umrzeć. Takie żalosne umieranie byłoby akurat dla takiego szczura jak ty. Bo ty zrobiłeś to samo swojej żonie. Ale niestety nie miałam wyboru. Moja misja polegała na tym, żeby faceta szybko, sekretnie, lecz skutecznie wysłać na tamten świat. I ja tę misję wykonałam. Jeszcze przed chwilą żył. A teraz jest martwy. Sam się nie zorientował, że przekroczył próg między życiem i śmiercią.

Aomame przyciskała gazik do ranki dokładnie przez pięć minut. Cierpliwie, z taką siłą, żeby nie odcisnął się ślad palca. Przez ten czas nie odrywała wzroku od sekundnika zegarka. Długie pięć minut. Zdawało się, że trwa to całą wieczność. Jeżeli teraz otworzą się drzwi i ktoś zobaczy ją z cienkim śmiercionośnym narzędziem w dłoni przyciskającą palce do szyi mężczyzny – będzie skończona. Nie da rady się wykręcić. Może przyjdzie kelner, żeby zabrać dzbanek po kawie. W każdej chwili może zapukać do drzwi. Ale było to pięć ważnych minut, z których absolutnie nie mogła zrezygnować. Oddychała głęboko i cicho, chcąc uspokoić nerwy. Nie wolno się spieszyć. Nie wolno tracić zimnej krwi. Musi być jak zawsze opanowaną Aomame.

Słyszała bicie swojego serca. W rytm uderzeń w jej głowie rozlegała się fanfara z pierwszej części *Sinfonietty* Janáčka. Łagodny wietrzyk wędruje bezszelestnie po zielonych łąkach Czech. Aomame uświadamia sobie, że rozdzieliła się na dwoje. Jedna połowa wyjątkowo spokojnie przyciska palec do szyi zmarłego. Lecz druga strasznie się boi. Myśli, że chciałaby wszystko rzucić i natychmiast uciec z tego pokoju. Jestem tu, a jednocześnie mnie tu nie ma. Jestem jednocześnie w dwóch miejscach. To przeczy teorii Einsteina, ale nie ma rady. Na tym polega filozofia życia mordercy.

Wreszcie mija pięć minut. Aomame dla pewności dodaje jeszcze minutę. Poczekam jeszcze minutę. Im bardziej się człowiek z czymś śpieszy, tym bardziej powinien być ostrożny. Zniosła jakoś tę niekończącą się minutę. Potem delikatnie odsunęła palce i zbadała ranę, oświetlając ją latarką. Nie ma nawet takiego śladu, jak po ugryzieniu komara.

Śmierć wywołana wbiciem wyjątkowo cienkiej igły w ten szczególny punkt w dolnej części mózgu przypomina śmierć z przyczyn naturalnych. Dla zwykłego lekarza wygląda na zawał serca. Siedział przy biurku, pracował, kiedy nieoczekiwanie dostał zawału i wyzionął ducha. Przepracowanie i stres. Nie widać nic nienaturalnego. Nie ma powodu wykonywać

sekcji zwłok.

Ten człowiek był bardzo kompetentny, tylko pracował troszkę za dużo. Miał wysokie dochody, ale jak się umrze, nie ma jak z nich korzystać. Mimo że chodził w garniturach od Armaniego i jeździł jaguarem, był zwykłą mrówką. Pracował, pracował, a potem bez sensu umarł. Wkrótce nikt już nie będzie pamiętał, że ktoś taki żył na tym świecie. Pewnie ludzie powiedzą: „Biedak, był jeszcze młody”. A może nie powiedzą.

* * *

Aomame wyciągnęła z kieszeni kawałek korka i zabezpieczyła ostrze. Ponownie owinęła delikatny instrument cienkim materiałem, włożyła do pochewki i schowała na dno torby. Przyniosła z łazienki mały ręcznik i uważnie wytarła odciski palców, które zostawiła w pokoju. Jej linie papilarne zostały na tablicy rozdzielczej klimatyzacji i klamce. Niczego innego nie dotykała. Odwiesiła ręcznik na miejsce. Postawiła dzbanek po kawie i filiżankę na tacy, na której je przyniesiono, i wyniosła na korytarz. Dzięki temu kelner nie będzie pukał do drzwi i o tyle opóźni się odkrycie zwłok. Jak dobrze pójdzie, znajdzie je dopiero pokojówka, która przyjdzie posprzątać jutro rano po zakończeniu doby hotelowej.

Mężczyzna nie pojawi się dziś na zebraniu, więc pewnie koledzy z pracy zadzwonią do tego pokoju. Ale nikt nie odbierze. Mogą pomyśleć, że to podejrzane, i poprosić dyrekcję o otwarcie drzwi. A może wcale tego nie zrobią. Zależy, jak się sytuacja rozwinie.

Aomame stanęła przed lustrem w łazience i upewniła się, że jej ubranie nie jest w nieładzie. Zapięła górny guzik bluzki. Nie było potrzeby pokazywania mu piersi. Przecież ten nędzny szczur nawet na mnie nie spojrzał. Co on sobie wyobrażał? Wykrzywiła się z umiarem. Poprawiła włosy, rozluźniła mięśnie twarzy, masując je lekko palcami, i uśmiechnęła się miło do lustra. Wyszczrzyła białe zęby niedawno wypolerowane przez dentystę. No, to teraz wyjdę z pokoju zmarłego i wrócę do zwykłego rzeczywistego świata. Muszę się dostosować do jego ciśnienia. Nie jestem już opanowanym mordercą. Jestem kompetentną, uśmiechniętą bizneswoman w modnym kostiumie.

Aomame uchyliła drzwi, wyjrzała i sprawdzwszy, że na korytarzu nikogo nie ma, wyslizgnęła się z pokoju. Nie skorzystała z windy, tylko zeszła po schodach. Nikt nie zwrócił na nią uwagi, gdy przechodziła przez hol. Szła szybko, była wyprostowana, patrzyła prosto przed siebie. Nie tak szybko, by rzucało się to w oczy. Była profesjonalistką. Prawie perfekcyjną profesjonalistką. Gdybym tylko miała nieco większe piersi, byłabym perfekcyjną profesjonalistką, pomyślała Aomame z żalem. Ponownie lekko się skrzywiła. Nie ma rady. Trzeba żyć z tym, co się ma.

Rozdział czwarty – Tengo

Jeżeli pan tego pragnie

Dzwonek telefonu obudził Tengo. Fosforyzujące wskazówki zegara pokazywały, że jest trochę po pierwszej. Oczywiście wokół panowała kompletna ciemność. Od razu wiedział, że to Komatsu. Nie miał innych znajomych, którzy mogliby dzwonić po pierwszej w nocy. I nikt inny nie byłby tak natarczywy. Nie poddawał się i czekał, aż Tengo odbierze. Komatsu nigdy nie zwracał uwagi na porę. Dzwonił, kiedy tylko coś mu przychodziło do głowy. W ogóle nie myślał o tym, która może być godzina. Mogłaby być północ albo świt, ktoś mógł spędzać akurat noc poślubną albo leżeć na łożu śmierci – w jajowatej głowie Komatsu nie pojawiał się nawet ślad prozaicznej myśli, że jego telefon może komuś w czymś przeszkodzić.

Nie, nie do wszystkich tak dzwoni. Nawet Komatsu pracuje przecież i zarabia, jest częścią pewnej struktury. Niemożliwe, żeby tak nierozsądnie postępował w stosunku do wszystkich. Pozwala tak sobie tylko względem Tengo. Dla Komatsu w mniejszym lub większym stopniu stanowił on przedłużenie jego własnej osoby. Jak nogi czy ręce. Nie odróżnia siebie od niego. Jest pewien, że skoro sam nie śpi, to Tengo też pewnie nie śpi. Tengo, o ile nic specjalnego się nie działo, chodził spać o dziesiątej, wstawał o szóstej. Miał mocny sen. Ale jak go coś obudziło, nie mógł już potem zasnąć. Pod tym względem był znerwicowany. Wiele razy mówił o tym Komatsu. Wolałbym, żeby pan przestał do mnie dzwonić w środku nocy, prosił go. Jak rolnik proszący Boga, by nie zsyłał szarańczy na pola przed żniwami. „Dobra. Już nie będę dzwonił w nocy” – mówił Komatsu. Lecz ta obietnica nie zapuszczała w jego pamięci wystarczająco długich korzeni i pierwszy deszcz potrafił ją splukać.

Tengo wstał z łóżka i objijając się o meble, jakoś dotarł do telefonu w kuchni, który przez cały ten czas dzwonił bezlitośnie.

– Rozmawiałem z Fukaeri – powiedział Komatsu. Jak zwykle bez żadnego powitania czy wstępu.

Nie mówił: „Obudziłem cię?” ani „Przepraszam, że tak późno dzwonię”. Duża rzecz. Tengo zawsze czuł dla niego mimowolny podziw. Skrzywił się tylko w ciemności i milczał. Kiedy ktoś go budził w środku nocy, przez pewien głowa mu nie pracowała.

– Hej? Słyszysz mnie?

– Słyszę.

– Tylko raz z nią rozmawiałem, przez telefon. To znaczy ja prawie cały czas mówiłem, a ona słuchała, więc trudno to nazwać normalną rozmową. W każdym razie to małowówna dziewczyna. I ma dziwny sposób wysławiania się. Myślę, że jak sam to usłyszysz, zrozumiesz, o czym mówię. No, tak czy inaczej, wytłumaczyłem jej z grubsza ten swój niby plan. Co ona na to, żeby poprosić kogoś o poprawienie *Powietrznej poczwarki*, zrobić z niej coś bardziej kompletnego i spróbować powalczyć o nagrodę za debiut. Rozmawialiśmy przez telefon, więc powiedziałem jej o tym tylko ogólnie, a o konkretach możemy porozmawiać, jak się spotkamy, i zapytałem, czy coś takiego by ją interesowało. Nic nie powiedziałem wprost. Bo gdybym mówił zbyt szczerze, to ze względu na tę treść mógłbym się znaleźć w nieciekawym położeniu.

– No i?

– Nie było odpowiedzi.

– Nie odpowiedziała?

Komatsu zrobił efektowną przerwę. Pewnie włożył do ust papierosa i zapalał go zapałką. Tengo słyszał jedynie dźwięki, ale miał tę scenę żywo przed oczami. Komatsu nie używał zapalniczki.

– Fukaeri mówi, że najpierw chce się spotkać z tobą – odezwał się, wypuszczając dym. – Nie powiedziała, czy sam pomysł ją interesuje, czy nie. Nie mówiła, że się zgadza, ani że nie chce tego robić. Na razie najważniejsze jest dla niej, żeby się z tobą spotkać i porozmawiać w cztery oczy. Podobno po spotkaniu z tobą odpowie, co zamierza. Nie uważasz, że spoczywa na tobie duża odpowiedzialność?

– No i?

– Masz czas jutro po południu?

Wykłady na kursach przygotowawczych zaczynały się wcześniej rano i kończyły o czwartej. Na szczęście czy na nieszczęście później nie miał żadnych planów. – Mam czas – powiedział.

– No to o szóstej bądź w Nakamuraya w Shinjuku. Zamówię na swoje nazwisko jakiś cichy stolik w głębi. To będzie na rachunek mojej firmy, więc jedzcie i pijcie, ile chcecie. I spokojnie się dogadajcie.

– To znaczy, że pana tam nie będzie?

– Nasza mała Fukaeri postawiła warunek, że chce się spotkać z tobą sama. Uważa, że w tym momencie nie potrzebuje jeszcze spotykać się ze mną.

Tengo milczał.

– No, to wszystko – powiedział Komatsu wesoło. – Spisz się dobrze, Tengo. Jesteś kawał chłopaka, ale robisz na ludziach dobre wrażenie. Poza tym uczysz na kursach przygotowawczych, więc przywykłeś do rozmawiania z nad wiek rozwiniętymi licealistkami.

Lepiej się do tego nadasz ode mnie. Wystarczy, że ją z uśmiechem przekonasz i zdobędziesz jej zaufanie. Będę czekał na dobre wiadomości.

– Niech pan chwilę poczeka. To przecież od początku był pana pomysł. Ja jeszcze nie panu nie odpowiedziałem. Tak jak panu przedtem mówiłem, według mojej oceny to niezwykle niebezpieczny plan i to wszystko wcale nie będzie takie proste. Może się z tego zrobić problem na dużą skalę. Sam jeszcze nie zdecydowałem, czy się tego podejmę, czy nie, więc jak mam przekonywać dziewczynę, której nigdy nie widziałem na oczy?

Komatsu milczał przez pewien czas. Potem odezwał się: – Słuchaj no, Tengo. Ta sprawa już ruszyła i nie można teraz się po prostu wycofać. Ja jestem zdecydowany. Ty przecież też jesteś już pewnie więcej niż w połowie zdecydowany. Obaj jedziemy na tym samym wózku.

Tengo potrząsnął głową. Na tym samym wózku? O rany, jakim cudem sprawy zaszły tak daleko?

– Ale przecież ostatnim razem mówił pan, żebym się nie spieszył i spokojnie zastanowił.

– Minęło już pięć dni. Zastanowiłeś się spokojnie i co?

Tengo zaniemówił na chwilę.

– Jeszcze nie doszedłem do żadnych wniosków – powiedział szczerze.

– No to w każdym razie spotkaj się z tą Fukaeri i porozmawiaj z nią. Potem możesz podjąć decyzję.

Tengo silnie przycisnął palcem skroń. Jeszcze ciągle nie bardzo mógł zebrać myśli.

– Dobrze. W każdym razie spotkam się z tą Fukaeri. Jutro u szóstej w Nakamuraya w Shinjuku. I sam jej mniej więcej wytłumaczę, jak jest sytuacja. Ale nie mogę panu nic więcej obiecać. Mogę jej wytłumaczyć, ale nie mogę przekonywać.

– Oczywiście. To wystarczy.

– A co ona o mnie wie?

– Z grubsza jej o tobie opowiedziałem. Że masz dwadzieścia dziewięć, trzydzieści lat – coś koło tego, jesteś kawalerem, uczysz matematyki na kursach w Yoyogi. Kawal chłopca, ale porządny facet. Nie porywasz, ani nie pożerasz młodych dziewczyn. Żyjesz skromnie, z twoich oczu bije dobroć. I że bardzo mi się podobają twoje utwory. Mniej więcej tyle jej powiedziałem.

Tengo westchnął. Kiedy próbował się nad czymś zastanowić, rzeczywistość oddalała się i przybliżała.

– Proszę pana, czy ja mogę już wrócić do łóżka? Już prawie pół do drugiej, a chciałbym choć trochę się przespać przed świtem. Jutro od rana mam trzy wykłady.

– Możesz, możesz. Dobranoc – powiedział Komatsu. – Niech ci się przyśni coś miłego – dodał i z miejsca się rozłączył.

Tengo przyglądał się przez chwilę słuchawce w swojej dłoni, potem ją odłożył. Gdyby wiedział, że uda mu się zasnąć, od razu poszedłby spać. Przyjemnie byłoby, gdyby miało mu się przyśnić coś miłego. Ale wiedział, że to nie będzie proste, bo został wyrwany na siłę ze

snu o takiej porze i musiał się tyle nasłuchać o tej kłopotliwej sprawie. Mógłby się napić czegoś mocniejszego i potem łatwiej usnąć, ale nie miał ochoty. W końcu wypił szklanekę wody, wrócił do łóżka, zapalił światło i zabrał się do czytania. Zamierzał czytać, aż ogarnie go senność, lecz usnął dopiero przed świtem.

* * *

Skończył swoje trzy wykłady na kursach i wsiadł w pociąg do Shinjuku. Kupił kilka książek w księgarni Kinokuniya i poszedł do Nakamuraya. Kiedy podał przy wejściu nazwisko Komatsu, zaprowadzono go do cichego stolika w głębi. Fukaeri jeszcze nie było. Powiedział kelnerowi, że zaczeka z zamówieniem na osobę, z którą się umówił. Kelner zapytał, czy miałby teraz ochotę się czegoś napić. Tengo odparł, że nie. Kelner przyniósł wodę i menu, a potem odszedł. Tengo otworzył dopiero co kupioną książkę i zaczął czytać. Dotyczyła magii. Rozważała, jaką funkcję pełniły zaklęcia w społeczeństwie japońskim. Grały ważną rolę w antycznych wspólnotach. Ich zadaniem było łatanie braków i likwidowanie sprzeczności. To musiały być bardzo wesołe czasy.

Piętnaście po szóstej Fukaeri nadal nie było. Tengo specjalnie się tym nie martwił i dalej czytał książkę. Nie dziwiło go szczególnie, że dziewczyna się spóźnia. Przecież ten cały pomysł jest bez sensu. Nie będzie można mieć do nikogo pretensji, jeżeli wywoła bezsensowne skutki. Wcale by się nie zdziwił, gdyby zmieniła zdanie i w ogóle się nie pojawiła. Wolałby wręcz, żeby się nie pojawiła. To znacznie uprościłoby sprawę. Czekałem godzinę, ale ta Fukaeri się nie pokazała, oznajmiłby krótko Komatsu. Reszta by go nie obchodziła. Może sam coś zjeść, a potem wrócić do domu. W ten sposób zrealizuje swoje zobowiązanie w stosunku do Komatsu.

Fukaeri pojawiła się dwadzieścia po szóstej. Kelner przyprowadził ją do stolika, a ona usiadła naprzeciwko. Położyła na blacie drobne dłonie i nawet nie zdjawszy płaszcza, przyglądała się Tengo. Nie powiedziała: „Przepraszam za spóźnienie” ani: „Długo pan czeka?”. Ani nawet: „Dzień dobry” czy: „Bardzo mi miło”. Tylko z zaciśniętymi ustami wpatrywała się prosto w twarz Tengo. Jakby patrzyła z oddali na wcześniej niewidziany krajobraz. Duża rzecz, pomyślał Tengo.

Fukaeri była filigranowej budowy. Jej rysy w rzeczywistości zdawały się ładniejsze niż na zdjęciu. W twarzy najbardziej przyciągały uwagę oczy. Pozostające w pamięci oczy o wielkiej głębi. Kiedy patrzyła na niego lśnącymi czarnymi jak smoła źrenicami, poczuł niepokój. Prawie nie mrugała. Wydawało się, że nie oddycha. Włosy miała zupełnie proste, jakby narysowane po jednym przy linijce. Kształt jej brwi pasował do fryzury. W wyrazie twarzy, jak w twarzach wielu pięknych nastolatek, brakowało życia. I było w niej też coś niesymetrycznego. Być może lewe oko różniło się nieco głębią od prawego. To wywoływało w patrzącym uczucie niepewności. Nie można było zgadnąć, o czym myśli. W tym sensie nie

wydawała się piękną dziewczyną w stylu modelek w czasopismach czy młodych piosenkarek. Ale za to miała w sobie coś prowokującego, pociągającego.

Tengo zamknął książkę, odłożył na brzeg stolika, wyprostował się, poprawił na krześle i napił się wody. Rzeczywiście Komatsu miał rację. Gdyby taka dziewczyna dostała nagrodę literacką, środki masowego przekazu nie dałyby jej spokoju. Na pewno byłby niezły szum. Czy coś takiego naprawdę mogłoby się udać?

Podszedł kelner, postawił przed nią wodę i położył menu. Fukaeri nawet nie drgnęła. Nie tknęła menu, tylko wpatrywała się w Tengo. Nie wiedział, co począć, więc powiedział: – Dzień dobry. – Siedząc tak przed nią, czuł się jeszcze bardziej zwalisty.

Fukaeri nie odpowiedziała na powitanie. Dalej na niego patrzyła.

– znam pana – powiedziała po chwili cichym głosem.

– Znasz mnie? – powtórzył Tengo.

– uczy pan matematyki

Tengo przytaknął.

– To prawda.

– dwa razy słyszałam

– Moje wykłady?

– uhm

Jej sposób mówienia miał kilka charakterystycznych cech: zdania pozbawione przydawek i okoliczników, chroniczny brak akcentu, ograniczone słownictwo (a przynajmniej na słuchacza robiło wrażenie ograniczonego). Rzeczywiście, Komatsu miał rację: dziwnie się wypowiadała.

– To znaczy, że chodzisz na kursy przygotowawcze w mojej szkole? – zapytał Tengo.

Fukaeri potrząsnęła głową.

– poszłam tylko posłuchać

– Ale przecież bez legitymacji kursanta nie można wejść do klasy?

Fukaeri wzruszyła tylko lekko ramionami. Jakby mówiła: „niby dorosły, a gada głupoty”.

– I jak ci się wykład podobał? – zapytał Tengo. Znowu bezsensowne pytanie.

Nie odrywając od niego wzroku, Fukaeri napiła się wody. Nie było odpowiedzi. No, skoro przyszła drugi raz, to pierwsze wrażenie nie mogło być takie złe, przypuszczał Tengo. Gdyby wykład jej nie zainteresował, zrezygnowałaby po pierwszym.

– Jesteś w trzeciej klasie liceum?

– niby tak

– Będiesz zdawać na studia?

Potrząsnęła głową.

Tengo nie potrafił ocenić, czy to znaczyło „nie chcę mówić o zdawaniu na studia” czy „nie zdaję na żadne studia”. Komatsu uprzedzał, że to strasznie małowówna dziewczyna.

Podszedł kelner i przyjął zamówienie. Fukaeri nadal siedziała w płaszczu. Zamówiła sałatkę i chleb, „to wystarczy” powiedziała i zwróciła mu menu. A potem dodała, jakby sobie przypomniwała: – i białe wino

Młody kelner chciał chyba coś powiedzieć na temat jej wieku, lecz pod uważnym spojrzeniem dziewczyny poczerwieniał i słowa uwięzły mu w gardle. Duża rzecz, pomyślał znów Tengo. Sam zamówił linguine z owocami morza. I dla towarzystwa kieliszek białego wina.

– jest pan nauczycielem i pisze powieści – powiedziała Fukaeri. Wyglądało na to, że zadała mu pytanie. Zadawanie pytań bez znaków zapytania zdawało się być jedną z cech charakterystycznych jej sposobu mówienia.

– Na razie tak – odparł.

– nie wygląda pan ani na jedno ani na drugie

– Może i nie – powiedział Tengo. Chciał się uśmiechnąć, ale mu się nie udało. – Mam uprawnienia nauczycielskie i uczę na kursach przygotowawczych, ale nie można mnie oficjalnie nazwać nauczycielem. I choć piszę powieści, nie ukazują się one drukiem, więc nie jestem też jeszcze pisarzem.

– nikiem pan nie jest

Tengo skinął głową.

– Masz rację. Na razie jestem nikiem.

– lubi pan matematykę

Dodał na końcu znak zapytania i dopiero wtedy odpowiedział.

– Lubię. Zawsze lubiłem i nadal lubię.

– co pan lubi

– Co lubię w matematyce? – uzupełnił Tengo. – Hm... Kiedy myślę o matematyce, ogarnia mnie spokój. Jakby wszystko wracało na swoje miejsce.

– o rachunku całkowym było ciekawe

– Mówisz o moim wykładzie na kursach?

Fukaeri przytaknęła.

– A ty lubisz matematykę?

Fukaeri krótko potrząsnęła głową. Nie lubiła matematyki.

– Ale o rachunku całkowym było ciekawe? – zapytał Tengo. Fukaeri znów lekko wzruszyła ramionami.

– mówił pan o rachunku całkowym jakby panu zależało

– Aha – stwierdził Tengo. Nigdy wcześniej nikt mu czegoś takiego nie powiedział.

– jakby mówił pan o kimś na kim panu zależy – dodała dziewczyna.

– W czasie wykładu o ciągach pewnie jeszcze bardziej się zapalam – powiedział. – W programie liceum osobiście najbardziej lubię ciągi.

– lubi pan ciągi – Fukaeri znowu pytała bez znaku zapytania.

– Przypominają mi *Dobrze temperowany klawesyn* Bacha. Nigdy mnie nie nudzą. Zawsze można w nich odkryć coś nowego.

– znam dobrze temperowany klawesyn

– Lubisz Bacha?

Fukaeri przytaknęła.

– profesor zawsze słucha

– Profesor? – powtórzył Tengo. – Jakiś profesor w twojej szkole?

Fukaeri nie odpowiedziała. Patrzyła na Tengo z wyrazem, który zdawał się mówić, że na ten temat jeszcze za wcześnie.

Wreszcie zdjęła płaszcz, jakby dopiero sobie o nim przypomniała. Wypęzła z niego, wijąc się jak liniejący owad, nie złożyła go, nawet na niego nie spojrzała i odłożyła na krzesło. Pod spodem miała cienki bladozielony sweter z okrągłym wycięciem pod szyją i białe dżinsy. Żadnej biżuterii. Nie malowała się. Mimo to przyciągała wzrok. Była szczupła, więc jeszcze bardziej rzucały się w oczy duże piersi. Ich kształt też był piękny. Tengo musiał uważać, żeby się na nie nie gapić. Ale gdy tak myślał, oczy same kierowały się w ich stronę. Tak samo jak kierują się w stronę oka cyklonu.

Przyniesiono białe wino. Fukaeri wypła łyk, a potem w zamyśleniu wpatrzyła się w kieliszek i odstawiła go na stolik. Tengo umoczył jedynie usta. Miał teraz mówić o ważnych sprawach. Fukaeri podniosła dłoń ku czarnym włosom i przez chwilę przeczesywała je palcami. To był śliczny gest. I śliczne palce. Zdawało się, że każdy drobny paluszek posiada własną wolę i własne cele. Czuło się w tym nieomal coś magicznego.

– Co lubię w matematyce? – Tengo zadał sobie głośno pytanie, chcąc odwrócić własną uwagę od jej piersi i palców. – Matematyka jest jak nurt wody – powiedział. – Zawiera oczywiście mnóstwo skomplikowanych teorii, ale logiczne zasady są bardzo proste. Tak samo jak woda spada z wysoka najkrótszym możliwym torem, matematyka płynie tylko jednym nurtem. Wystarczy, że się człowiek uważnie przyjrzy, a dostrzeże ten tor. Trzeba tylko dobrze się przyjrzeć. Nic nie musisz robić. Kiedy się skupisz i wyteżysz wzrok, wszystko samo jasno ci się ukáže. Na tym szerokim świecie tylko matematyka jest dla mnie taka życzliwa.

Fukaeri rozmyślała nad tym przez pewien czas.

– dlaczego pan pisze powieści – zapytała pozbawionym intonacji głosem.

Tengo zmienił jej pytanie w dłuższe zdanie.

– Skoro matematyka jest taka przyjemna, nie ma chyba potrzeby męczyć się nad pisaniami powieści, tak? Przecież wystarczy zająć się samą matematyką? O to pytasz?

Fukaeri przytaknęła.

– Hm... Prawdziwe życie różni się od matematyki. Nie zawsze jest w nim tak, że wszystko zmierza do celu najkrótszą drogą. Dla mnie matematyka – jak by to powiedzieć – jest zbyt naturalna. Jak piękny krajobraz. Coś, co po prostu jest wokół. Nie ma nawet potrzeby do niczego jej porównywać. Dlatego kiedy zanurzam się w matematyce, doznaję

wrażenia, że stopniowo staję się przezroczysty. I czasami się tego boję.

Fukaeri patrzyła mu prosto w oczy, nie odwracając wzroku. Jakby z twarzą przytkniętą do szyby zaglądała do pustego domu.

Tengo mówił dalej: – Pisząc powieści, za pomocą słów zamieniam otaczający krajobraz na inny, bardziej dla mnie naturalny. Innymi słowy przebudowuję go. W ten sposób upewniam się, że ten człowiek – ja – niewątpliwie w tym świecie istnieje. To zupełnie inna praca niż ta w świecie matematyki.

– upewnia się pan że istnieje – powiedziała Fukaeri.

– Nie znaczy to jednak, że umiem już to dobrze robić.

Fukaeri nie wyglądała na przekonaną tym wyjaśnieniem, lecz więcej się nie odzywała. Podniosła tylko kieliszek do ust i bezgłośnie piła wino, jakby sączyła je przez słomkę.

– Moim zdaniem ty robisz w sumie to samo. Zamieniasz krajobraz, który widziałas, na własne słowa i przebudowujesz go. I upewniasz się, że istnieje ten człowiek, czyli ty – powiedział Tengo.

Z kieliszkiem w dłoni Fukaeri przez chwilę się zastanawiała nad jego słowami. Nie powiedziała jednak, co o tym sądzi.

– Nadałaś temu procesowi formę i stał się książką – mówił Tengo. – Jeżeli zdobędzie aprobatę wielu osób i wywoła w nich podobne uczucia, okaże się obiektywnie wartościowym utworem literackim.

Fukaeri zdecydowanie potrząsnęła głową.

– forma mnie nie obchodzi

– Forma cię nie obchodzi – powtórzył Tengo.

– forma nie ma znaczenia

– To dlaczego napisałaś tę historię i wysłałaś na konkurs debiutów?

Fukaeri odstawiła kieliszek na stolik.

– ja tego nie zrobiłam

Tengo podniósł szklanekę i napił się wody, chcąc się uspokoić.

– To znaczy, że nie ty wysłałaś to na konkurs debiutów?

Fukaeri przytaknęła: – nie wysłałam

– Więc kto wysłał do wydawnictwa napisany przez ciebie tekst?

Fukaeri lekko wzruszyła ramionami. Milczała przez piętnaście sekund. Potem powiedziała: – ktoś

– Ktoś – powtórzył Tengo. Powoli wypuścił powietrze przez stulone wargi. O rany, wcale tak łatwo nie pójdzie. Tengo właśnie się obawiał.

Do tej pory Tengo umawiał się kilka razy z uczennicami poznanymi na kursach. Zawsze po tym, jak skończyły już kursy i dostały się na studia. To one się z nim kontaktowały, każda mówiła, że chce się spotkać, więc spotykali się i gdzieś razem szli. Tengo nie wiedział, co je w nim pociąga. Ale w końcu był kawalerem, a te dziewczyny nie były już jego uczennicami.

Nie miał powodu odmawiać, kiedy któraś zapraszała go na randkę.

Dwie takie randki skończyły się pójściem do łóżka. Ale te związki nie trwały długo i nie wiadomo kiedy naturalnie się wypalały. W towarzystwie energicznych dziewczyn, które właśnie dostały się na studia, Tengo zawsze czuł się jakoś niespokojnie. Niezręcznie. Jak w towarzystwie rozbawionych kotków – na początku było to świeże i ciekawe, ale wkrótce czuł się coraz bardziej zmęczony. Kolejne dziewczyny także były chyba nieco rozczarowane, gdy odkrywały, że ten nauczyciel wydawał się zupełnie inny, kiedy stał na katedrze i z zapalem opowiadał o matematyce. Tengo je rozumiał.

Spokojny czuł się jedynie w towarzystwie kobiet starszych od siebie. Bez względu na to, co razem robili, kiedy tylko pomyślał, że nie musi o wszystkim decydować, czuł, jak z serca spada mu ciężar. I wiele starszych kobiet czuło do niego sympatię. Dlatego od czasu, kiedy rok temu związał się ze starszą o dziesięć lat mężatką, zupełnie przestał się umawiać z młodymi dziewczynami. Dzięki cotygodniowym wizytom kochanki w zasadzie zaspokajał swoje pożądanie (czy raczej potrzebę) wobec kobiet z krwi i kości. W pozostałe dni zamykał się w domu i pisał powieść, czytał, słuchał muzyki, czasami chodził na pobliski kryty basen popływać. Poza nielicznymi pogawędkami z kolegami na kursach prawie z nikim nie rozmawiał. Takie życie zasadniczo go satysfakcjonowało. A raczej było jego zdaniem bliskie ideału.

Lecz patrząc na tę siedemnastoletnią Fukaeri, Tengo czuł dość gwałtowne drżenie serca. Takiego samego uczucia doznał, gdy zobaczył jej zdjęcia, lecz teraz na widok prawdziwej dziewczyny odczuwał to drżenie znacznie silniej. Nie była to miłość ani pożądanie seksualne – nic w tym rodzaju. Raczej coś dostało się do jego wnętrza przez jakąś szparę i próbowało wypełnić znajdującą się w nim lukę. Takie miał wrażenie. To nie Fukaeri ją stworzyła. Tę lukę zawsze w sobie miał. Ona tylko oświetliła ją jakimś specjalnym blaskiem i wyciągnęła ją na światło dzienne.

* * *

– Nie interesuje cię pisanie powieści i nie wysłałaś utworu na konkurs debiutów – powiedział Tengo, jakby chcąc się upewnić. Fukaeri przytaknęła, nie odwracając od niego wzroku. Potem lekko podniosła ramiona, jakby chciała ochronić się przed zimnym wiatrem.

– Nie zamierzasz też zostać powieściopisarką – Tengo ze zdziwieniem zauważył, że sam zadaje teraz pytania bez znaków zapytania. Pewnie ta tendencja była zaraźliwa.

– nie zamierzam – odparła Fukaeri.

W tym momencie przyniesiono potrawy. Dla Fukaeri sałatkę w dużej salaterce i bułki. Dla Tengo linguine z owocami morza. Fukaeri kilka razy odwróciła widelcem liście sałaty, badając je, jakby przeglądała nagłówki w gazecie.

– No ale w każdym razie ktoś wysłał napisaną przez ciebie *Powietrzną poczwarkę* na

konkurs debiutów. A ja zajmuję się w wydawnictwie wstępną selekcją nadesłanych prac i zwróciłem na ten utwór uwagę.

– powietrzna poczwarka – powiedziała Fukaeri i zmrużyła oczy.

– *Powietrzna poczwarka*, tytuł twojego utworu.

Fukaeri milczała ze zmrużonymi oczami.

– Nie ty nadałaś jej taki tytuł? – zapytał Tengo zaniepokojony.

Fukaeri lekko potrząsnęła głową.

Tengo znowu poczuł zamęt w głowie, ale postanowił dalej nie wnikać w kwestię tytułu. Musiał na razie brnąć dalej.

– Mniejsza o to. W każdym razie jest niezły. Ma swój nastrój, zwraca uwagę. Ludzie pomyślą: „Co to może być?”. Nieważne, kto go nadał; ważne, że tytuł jest w porządku. Nie bardzo wiem, czym się różni poczwarka od kokonu, no ale to nie problem. Chciałem ci powiedzieć, że ta książka bardzo silnie do mnie przemówiła. Zaniósłem ją więc panu Komatsu. Jemu też się *Powietrzna poczwarka* spodobała. Ale on uważa, że jeżeli chcesz się poważnie starać o nagrodę, to tekst trzeba poprawić. W porównaniu do siły fabuły, forma tekstu nieco kuleje. I on chce, żebym to ja poprawił, a nie ty. Ja się jeszcze nie zdecydowałem. Nie odpowiedziałem mu, czy to zrobię, czy nie. Bo nie jestem pewien, czy to byłoby właściwe.

Tengo przerwał i czekał na reakcję Fukaeri. Nie było reakcji.

– Więc chciałbym się teraz dowiedzieć, co sądzisz o tym, żebym to ja zamiast ciebie poprawił *Powietrzną poczwarkę*. Nawet jeśli ja się zdecyduję, bez twojej zgody i pomocy będzie to niemożliwe.

Fukaeri ujęła palcami małego pomidorka i zjadła. Tengo wziął na widelec małego i zjadł.

– może pan – powiedziała po prostu Fukaeri. Zjadła kolejnego pomidorka. – może pan poprawić, jak pan chce

– Czy nie lepiej, żebyś trochę dłużej dobrze się nad tym zastanowiła? Bo to dość ważna sprawa.

Fukaeri potrząsnęła głową. Nie ma takiej potrzeby.

– Załóżmy, że poprawię twój utwór – wyjaśnił Tengo. – Wzmocnię zdania, uważając, żeby nie ruszyć fabuły. Prawdopodobnie tekst znacznie się zmieni. Ale ty pozostaniesz autorką. Ten utwór to powieść napisana przez siedemnastoletnią Fukaeri. Tego nie można zmienić. Jeżeli utwór zdobędzie nagrodę za debiut, ty ją otrzymasz. Tylko ty ją otrzymasz. Kiedy wyjdzie jako książka, ty będziesz jedyną autorką. Stworzymy zespół. We troje: ty, ja i ten redaktor, pan Komatsu. Ale oficjalnie znane będzie tylko twoje nazwisko. Pozostałe dwie osoby pozostaną w cieniu. Jak rekwizytor w teatrze. Rozumiesz, co mówię?

Fukaeri podniosła do ust na widelcu kawałek selera. Lekko przytaknęła.

– rozumiem

– *Powietrzna poczwarka* jest w pełni twoim utworem. Narodziła się w tobie. Ja jej sobie

nie przywłaszczę. Pomogę ci tylko i wyłącznie pod względem technicznym. I będziesz musiała na zawsze utrzymać w tajemnicy fakt, że ci pomogłem. Innymi słowy zawiążemy spisek i oszukamy cały świat. To w końcu nie jest proste. Niełatwo tak ciągle skrywać w sercu tajemnicę.

– skoro pan tak mówi – powiedziała Fukaeri.

Tengo odsunął puste muszle małży na brzeg talerza, nabrał na widelec linguine, ale potem zmienił zdanie i zrezygnował. Fukaeri podniosła kawałek ogórka i uważnie żuła, jakby jadła coś, czego nigdy przedtem nie próbowała.

Tengo odezwał się z widelcem w dłoni: – Jeszcze raz cię pytam: nie masz nic przeciwko temu, żebym poprawił napisaną przez ciebie powieść?

– proszę robić co pan chce – odparła Fukaeri, gdy zjadła ogórka.

– Mogę poprawiać, jak chcę?

– jak pan chce

– Dlaczego tak uważasz? Przecież nic o mnie nie wiesz.

Fukaeri w milczeniu lekko wzruszyła ramionami.

Potem przez pewien czas jedli, nie odzywając się. Fukaeri skupiła się na jedzeniu sałatki. Czasami smarowała bułeczkę masłem i popijała wino. Tengo mechanicznie wkładał do ust linguine i rozmyślał o różnych możliwościach.

Odłożył widelec i powiedział: – Kiedy pan Komatsu pierwszy raz to zaproponował, wydawało mi się, że żartuje, że to nie do pomyślenia. Że nie mogę zrobić czegoś takiego. Chciałem mu jakoś odmówić. Ale kiedy po powrocie do domu zastanawiałem się nad tym planem, coraz bardziej czułem, że mam ochotę spróbować. Mniejsza o to, czy to moralne, czy nie, chciałbym spróbować nadać po swojemu nowy kształt *Powietrznej poczwarcie*, którą ty stworzyłaś. Jak by to powiedzieć? To było bardzo naturalne, spontaniczne życzenie.

Nie, to nie życzenie, może raczej należałoby powiedzieć „pragnienie”, dodał w myślach Tengo. Tak jak przepowiedział Komatsu. Coraz trudniej to pragnienie opanować.

Fukaeri milczała, wpatrywała się tylko w Tengo pięknym obojętnym spojrzeniem z jakiejś głębokiej dali. Wyglądało na to, że próbuje zrozumieć to, co powiedział.

– chce pan poprawić – zapytała.

Tengo spojrzał jej prosto w oczy.

– Tak myślę.

Jej czarne źrenice błysnęły lekko, jakby coś się w nich odbiło. W każdym razie Tengo tak się wydawało.

Wyciągnął rękę, jakby podtrzymywał w powietrzu wyimaginowane pudełko. Ten gest nie miał specjalnego znaczenia, ale Tengo potrzebował czegoś wyimaginowanego, czegoś neutralnego, co pozwoliłoby mu przekazać swoje uczucia.

– Nie umiem tego dobrze wyrazić, ale kiedy tak czytałem wiele razy *Powietrzną poczwarkę*, miałem wrażenie, że zaczynam widzieć to, co ty widziałaś. Szczególnie kiedy

pojawił się Little People. W twojej wyobraźni niewątpliwie jest coś szczególnego. Coś – jak by to powiedzieć? – oryginalnego i zaraźliwego.

Fukaeri cicho odłożyła łyżkę na talerz i wytarła usta serwetką.

– little people naprawdę są – powiedziała spokojnie.

– Naprawdę są?

Fukaeri milczała przez chwilę. Potem odezwała się: – tak samo jak pan i ja

– Tak samo jak ja i ty – powtórzył Tengo.

– jak pan będzie chciał pan też ich zobaczy

Oszczędny sposób wyrażania się Fukaeri był zadziwiająco przekonujący. Każde jej słowo było dobitne i trafiało w sedno, jakby wbijała tam odpowiedniej wielkości klin. Ale nie potrafił jeszcze ocenić, na ile ta dziewczyna jest normalna. Było w niej coś niezwykłego, jakby nieco obluźowały się jej klepki. To mogła być cecha wrodzona. Być może miał przed sobą autentyczny talent w czystej postaci. Albo to może być jedynie poza. Niektóre inteligentne nastolatki czasami instynktownie odgrywają różne role. Bywa, że udają z pozoru ekscentryczne. Używają bardzo sugestywnych wyrażeń i wprawiają rozmówcę w zakłopotanie. Wiele razy widział takie przypadki. Czasami trudno było odróżnić prawdę od gry. Tengo postanowił skierować rozmowę z powrotem na realne tory. A może tylko bliższe rzeczywistości.

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałbym od jutra zacząć poprawianie *Powietrznej poczwarki*.

– jeżeli pan tego pragnie

– Pragnę – odpowiedział Tengo krótko.

– chcę żeby pan się z kimś spotkał

– Mam się z kimś spotkać – powiedział Tengo.

Fukaeri skinęła głową.

– Z kim? – zapytał Tengo.

Zignorowała jego pytanie.

– porozmawia pan z nim – dodała.

– Jeśli to potrzebne, mogę się spotkać – powiedział Tengo.

– ma pan czas w niedzielę rano – zapytała bez znaku zapytania.

– Mam czas – odpowiedział Tengo. Zupełnie jakbyśmy rozmawiali, przesyłając sobie sygnały chorągiewkami.

* * *

Po posiłku Tengo pożegnał się z Fukaeri. Wrzucił do telefonu w restauracji kilka dziesięciojенок i zadzwonił do Komatsu. Był jeszcze w pracy, ale podszedł do telefonu dopiero po dłuższej chwili. Przez ten czas Tengo czekał ze słuchawką przy uchu.

– Jak było? Dobrze poszło? – zapytał od razu Komatsu.

– Fukaeri zasadniczo zgodziła się, żebym poprawił *Powietrzną poczwarkę*. Przynajmniej tak sądzę.

– Dobra robota – powiedział Komatsu. Był w świetnym humorze. – Wspaniale. Prawdę mówiąc, trochę się martwiłem. Że może nie bardzo pasujesz charakterem do takich negocjacji.

– Specjalnie z nią nie negocjowałem – odparł Tengo. – Nie było potrzeby jej przekonywać. Tylko wytłumaczyłem ogólnie, a potem ona sama zdecydowała.

– Wszystko jedno. Skoro są rezultaty, nie można narzekać. No to możemy wprowadzać nasz plan w życie.

– Tylko przedtem mam się z kimś spotkać.

– Z kimś?

– Nie wiem z kim. W każdym razie chce, żebym się z tą osobą spotkał i porozmawiał.

Komatsu milczał przez kilka sekund.

– I kiedy masz się spotkać z tym kimś?

– W najbliższą niedzielę. Ona mnie tam zaprowadzi.

– Jest jedna ważna zasada dotycząca tajemnic – powiedział poważnie Komatsu. – Im mniej osób je zna, tym lepiej. W tej chwili na całym świecie tylko trzy osoby wiedzą o tym planie. Ty, ja i Fukaeri. W miarę możliwości nie chciałbym powiększać tej liczby. Rozumiesz to, prawda?

– Teoretycznie tak – odpowiedział Tengo.

Głos Komatsu znowu zmiękł.

– W każdym razie Fukaeri zgadza się, żebyś ingerował w jej tekst. To jest w końcu najważniejsze. A reszta jakoś się ułoży.

Tengo przełożył słuchawkę do lewej ręki, a palcem wskazującym prawej powoli nacisnął skroń.

– Wie pan, mnie to jakoś niepokoi. Nie mam wyraźnych podstaw, by tak mówić, ale odnoszę teraz wrażenie, że jestem wplątywany w coś nienormalnego. Kiedy rozmawiałem z tą Fukaeri, specjalnie tego nie odczuwałem, ale po rozstaniu z nią, teraz, kiedy jestem sam, coraz bardziej tak mi się wydaje. Nie wiem, czy to nazwać przecuciem, czy intuicją, ale w każdym razie jest w tym coś dziwnego. Coś nienormalnego. Mówi mi to nie głowa, tylko ciało.

– Spotkałeś się z Fukaeri i tak się poczułeś?

– Może i tak. Myślę, że ona nie udaje. Oczywiście to jedynie moje wrażenie.

– Chodzi ci o to, że ma prawdziwy talent?

– Nie wiem, czy ma talent. Dopiero ją poznałem. Ale być może ona naprawdę widzi rzeczy, które dla nas są niedostrzegalne. Możliwe, że ma w sobie coś szczególnego. To mi jakoś nie daje spokoju.

– Myślisz, że jest stuknięta?

– Jest nieco ekscentryczna, ale nie stuknięta. Mówi zasadniczo sensownie – powiedział Tengo i przerwał na chwilę. – Tylko coś mi nie daje spokoju.

– No ale w każdym razie zainteresowała się tobą? – zapytał Komatsu.

Tengo szukał odpowiednich słów, ale nie mógł ich znaleźć.

– Tego nie wiem – odparł.

– Spotkała się z tobą i uznała, że masz kwalifikacje do poprawienia *Powietrznej poczwarki*. To znaczy, że jej się spodobałeś. Naprawdę dobra robota, Tengo. Ja też nie wiem, co będzie dalej. Oczywiście istnieje pewne ryzyko. Ale bez ryzyka życie jest nieciekawe. No, to zabieraj się od razu do poprawiania *Powietrznej poczwarki*. Nie ma czasu. Trzeba jak najszybciej dodać nową wersję do tekstów konkursowych. Podmienić z oryginałem. W dziesięć dni dasz radę skończyć?

Tengo westchnął: – Ciężko będzie.

– To nie musi być ostateczna wersja. W następnym etapie będzie można jeszcze trochę poprawić. Wystarczy mniej więcej nadać temu odpowiedni kształt.

Tengo oszacowywał w myślach czekające go zadanie.

– Skoro tak, to może jakoś w dziesięć dni zdążę. Ale i tak będzie ciężko.

– Postaraj się – powiedział wesoło Komatsu. – Spójrz na świat jej oczami. Stań się łącznikiem między jej światem a tym światem rzeczywistym. Tobie się to uda. Mnie...

Skończyły się dziesięciojenówki.

Rozdział piąty – Aomame

Praca wymagająca specjalistycznych umiejętności i praktyki

Po wykonaniu pracy Aomame przeszła się trochę, potem złapała taksówkę i pojechała do hotelu w Akasaka. Zanim wróci do domu i pójdzie spać, musi alkoholem uspokoić wzburzone nerwy. W końcu przed chwilą wystąpiła na tamten świat. Był to, co prawda, szczer niezasługujący na nic lepszego, ale w końcu człowiek to człowiek. W dłoni pozostało jej jeszcze wrażenie znikającego życia, kiedy wydawał ostatnie tchnienie i dusza oddzieliła się od ciała.

Aomame kilka razy była w tym barze hotelowym. Mieścił się na ostatnim piętrze wieżowca, widok stamtąd był piękny, a siedzenia przy kontuarze wygodne.

Weszła do baru trochę po siódmej. Młody duet – pianista z gitarzystą – wykonywał *Sweet Lorraine*. Naśladowali co prawda stare wykonanie Nat King Cole'a, ale byli niezli. Jak zawsze usiadła przy kontuarze i zamówiła dzin z tonikiem oraz miseczkę orzeszków pistacjowych. Jeszcze nie było tłoku – młoda para popijająca drinki wpatrzona w wieczorny pejzaż miasta, czterech mężczyzn w garniturach rozmawiających chyba o biznesie, cudzoziemskie małżeństwo w średnim wieku z kieliszkami martini w dłoniach. Aomame niespiesznie piła dzin z tonikiem. Nie chciała się zbyt szybko upić. Miała przed sobą długi wieczór.

Wyciągnęła z torby książkę i zaczęła czytać. Książka traktowała o Kolei Mandżurskiej w latach trzydziestych. Kolej ta (Kolej Południowo-Mandżurska, spółka akcyjna) powstała w rok po zakończeniu wojny rosyjsko-japońskiej. Wtedy Rosja przekazała Japonii tory oraz prawo własności, a spółka błyskawicznie się rozwinęła. Stała się forpocztą agresji cesarstwa Japonii na Chiny, lecz w 1945 roku została rozebrana przez wojska radzieckie. Do rozpoczęcia wojny rosyjsko-niemieckiej w 1941 roku można było przesiąść się z niej, przesiąść w Kolej Transsyberyjską i dotrzeć z Shimonoseki do Paryża w ciągu trzynastu dni.

Jeżeli młoda kobieta pijąca samotnie w barze hotelowym pochłonięta jest lekturą książki (w twardej oprawie) o Kolei Mandżurskiej, nikt jej nie weźmie za luksusową prostytutkę szukającą klienta, myślała Aomame. Choć nie była pewna, jak właściwie wyglądają prawdziwe luksusowe prostytutki. Gdyby sama sypiała z majątymi biznesmenami,

prawdopodobnie starałaby się nie wyglądać na prostytutkę, by nie speszyć klienta i nie narazić się na wyrzucenie z baru. Na przykład włożyłaby kostium dla bizneswoman od Junko Shimady i białą bluzkę, do tego subtelny makijaż, urzędowo wyglądająca duża torba na ramię i otwarta książka o kolei mandżurskiej. Więc na dobrą sprawę to, co teraz robi, istotnie nie różni się od zachowania czekającej na klientów luksusowej prostytutki.

Czas mijał, w barze powoli przybywało gości. Nagle się zorientowała, że wokół słychać gwar rozmów. Jednak jak dotąd nie pojawił się gość w typie, którego szukała. Aomame zamówiła drugi dzin z tonikiem, pokrojone w słupki warzywa (nie jadła jeszcze kolacji) i dalej czytała. Wkrótce przy barze usiadł jakiś mężczyzna. Był sam. Dostyc opalony, miał na sobie dobrze uszyty granatowy garnitur. Krawat też w niezłym guście. Ani zbyt jaskrawy, ani zbyt przygaszony. Miał chyba koło pięćdziesiątki. Włosy znacznie przerzedzone. Nie nosił okularów. Pewnie przyjechał do Tokio służbowo, załatwił już to, co miał załatwić, i miał ochotę na drinka przed snem. Tak jak Aomame. Chciała wlać w siebie odpowiednią ilość alkoholu dla uspokojenia wzburzonych nerwów.

Większość pracowników firm przyjeżdżających do Tokio nie zatrzymywała się w takich luksusowych hotelach. Raczej wybierali tańsze hotele biznesowe, położone blisko dworca. Łóżko zajmowało większość pokoju, z okna widać było jedynie ścianę sąsiedniego budynku, a kiedy brało się prysznic, człowiek bez przerwy obijał sobie łokcie o ściany łazienki. Na korytarzach każdego piętra stały automaty sprzedające napoje i proszek do prania.

Albo pieniędzy, które dostawali na delegację, starczało tylko na taki hotel, albo zatrzymując się w tańszym, mogli sobie przywłaszczyć nadwyżkę. Wypijali piwo w lokalnej piwiarni i szli spać. A śniadanie jedli w pobliskiej taniej jadłodajni.

Ludzie zatrzymujący się w tym hotelu byli zupełnie innego typu. Kiedy wybierali się służbowo do Tokio, jechali wyłącznie superekspresem z miejscówką i zatrzymywali się wyłącznie w luksusowych hotelach. Gdy kończyli pracę, relaksowali się, popijając w barach hotelowych kosztowne alkohole. Wielu pracowało w najlepszych firmach i piastowało dyrektorskie stanowiska. Trafiali się też ludzie sami prowadzący firmy albo lekarze czy prawnicy. Osiągnęli wiek średni i nie brakowało im pieniędzy. I w mniejszym lub większym stopniu lubili się zabawić. Aomame miała na myśli właśnie kogoś takiego.

Aomame, odkąd skończyła dwadzieścia lat, z jakiegoś powodu pociągali mężczyźni w średnim wieku z przerzedzonymi włosami. Od całkiem łysych wolała takich, którym zostało jeszcze trochę włosów. Same przerzedzone włosy nie wystarczały. Musieli jeszcze mieć kształtne głowy. Jej ideałem była łysina w stylu Seana Connery'ego. Miał piękny kształt głowy i był seksowny. Na jego widok serce zaczynało jej szybciej bić. Mężczyzna siedzący przy barze o dwa stołki dalej też miał całkiem niezły kształt głowy. Może nie aż taki jak Sean Connery, ale w czymś go przypominał. Linia włosów na czole znacznie przesunęła mu się do tyłu, a niewielka ilość pozostałych włosów przywodziła na myśl oszronioną łąkę pod koniec jesieni. Aomame podniosła wzrok znad książki i przez dłuższą chwilę podziwiała kształt jego

głowy. Twarz nie robiła specjalnego wrażenia. Nie był gruby, ale skóra zaczynała mu zwisać pod brodą. Pod oczami miał worki. Zwyczajny facet w średnim wieku, jakich wszędzie pełno. Ale jednak spodobał jej się kształt jego głowy.

Barman podał mu menu oraz gorący ręcznik do wytarcia rąk. Mężczyzna, nie patrząc na menu, zamówił dużą szkocką whisky. – Czy ma pan jakąś ulubioną? – zapytał barman. – Nie, niespecjalnie. Wszystko mi jedno – odpowiedział mężczyzna. Mówił cichym, spokojnym głosem. Można było dosłyszeć akcent z regionu Kansai. Po chwili, jakby coś przyszło mu do głowy, zapytał, czy mają Cutty Sark. Barman odpowiedział, że jest. Nieźle, pomyślała Aomame. Przypadło jej do gustu, że nie wybrał ani Chivas Regal, ani jakiej wymyślnej single malt. Jej zdaniem ludzie, którzy nadmiernie zwracali uwagę na rodzaje alkoholu w barach, zazwyczaj byli mało interesujący w sprawach seksualnych. Nie wiedziała, dlaczego tak jest.

Aomame lubiła akcent z Kansai. Szczególnie lubiła tę dziwną rozbieżność, kiedy ludzie urodzeni i wychowani w Kansai przyjeżdżali do Tokio i starali się na siłę mówić jak tokijczycy. Jakoś bardzo jej się podobało, kiedy dobór słów nie pasował do intonacji. Takie specyficzne brzmienie języka napełniało ją dziwnym spokojem. Niech będzie ten, postanowiła. Miała ochotę bawić się do woli tymi rzadziejnymi włosami. Kiedy barman podał mężczyźnie dużą szklaneczkę Cutty Sark, Aomame przywołała go i głośno, tak by jej sąsiad usłyszał, zamówiła: – Cutty Sark z lodem. – Proszę bardzo – odpowiedział barman, nawet nie mrugnawszy okiem.

Mężczyzna rozpiął górny guzik koszuli i poluzował nieco granatowy krawat w drobny wzorek. Garnitur też miał granatowy. Koszula bładoniebieska ze zwykłym kołnierzykiem. Czytając książkę, Aomame czekała na whisky. W pewnej chwili, jakby od niechcienia, odpięła górny guzik bluzki. Duet grał *It's Only a Paper Moon*. Pianista zaśpiewał refren. Kiedy przyniesiono jej whisky z lodem, Aomame ujęła szklaneczkę i wypiła łyk. Czowała, że mężczyzna na nią zerka. Podniosła wzrok znad książki i spojrzała na niego. Obojętnie, jakby przypadkiem. Kiedy ich oczy się spotkały, Aomame uśmiechnęła się leciutkim, prawie niewidocznym uśmiechem. Od razu odwróciła wzrok i udawała, że podziwia widok miasta nocą za oknem przed sobą.

Był to dla mężczyzny najlepszy moment na zwrócenie się do kobiety. Specjalnie stworzyła taką okazję. Lecz on się nie odezwał. No co ty, zgłupiałeś? – pomyślała Aomame. Chyba nie jesteś kompletnym nowicjuszem i umiesz rozpoznać subtelne sygnały? Pewnie nie starcza mu odwagi, pomyślała. Martwi się, że ma pięćdziesiąt lat, a ja pewnie poniżej trzydziestu, i jeśli się do mnie odezwie, mogę go zignorować i potraktować jak łysego palanta w średnim wieku. O rany. Naprawdę nic nie rozumie.

Zamknęła książkę i schowała do torby. Następnie sama zagadnęła mężczyznę.

– Lubi pan Cutty Sark? – zapytała.

Mężczyzna spojrzał na nią zdziwiony. Jego mina wskazywała, że nie wie, o co go pyta. Potem się uśmiechnął.

– A... tak, Cutty Sark – powtórzył, jakby sobie przypomniał. – Od dawna podoba mi się etykieta tej whisky, więc często ją piję. Bo jest na niej rysunek żaglowca.

– Lubi pan łódki?

– Tak, lubię łodzie żaglowe.

Aomame podniosła szklaneczkę. Mężczyzna lekko uniósł swoją, większą. Jakby wznosili toast.

Następnie Aomame zarzuciła na ramię torbę leżącą na sąsiednim stołku, wzięła whisky i szybko przesunawszy się o dwa miejsca, usiadła obok mężczyzny. Trochę się zdziwił, ale starał się tego nie okazywać.

– Umówiłam się tu z koleżanką z czasów liceum, ale wygląda na to, że mnie wystawiła do wiatru – powiedziała Aomame, patrząc na zegarek. – Nie widać jej i nie dała mi znać.

– Może pomyliła dni?

– Pewnie tak. Zawsze była trochę roztargniona. Myślę, że jeszcze trochę poczekam. Mogę przez ten czas z panem porozmawiać? Czy też woli pan, żeby go zostawić w spokoju?

– Nie, nie, skądże znowu – powiedział mężczyzna nieco bez przekonania. Spojrzał na Aomame ze zmarszczonymi brwiami, jakby dokonywał oceny zastawu hipotecznego. Podejrzewał chyba, że jest prostytutką polującą na klienta. Ale Aomame nie robiła takiego wrażenia. Wcale nie wyglądała na prostytutkę. Mężczyzna trochę się rozluźnił.

– Mieszka pani w tym hotelu? – zapytał ją.

Aomame potrząsnęła głową.

– Nie, ja jestem z Tokio. Tylko umówiłam się tu z koleżanką. A pan?

– Jestem w delegacji. Przyjechałem z Osaki. Na zebranie. Nie jest zbyt ważne, ale ponieważ siedziba firmy jest w Osace, więc jeżeli nikt stamtąd się nie pokaże, robi to złe wrażenie.

Aomame uśmiechnęła się uprzejmie. Słuchaj no, gównu mnie obchodzi twoja praca, pomyślała. Spodobał mi się tylko kształt twojej głowy. Ale oczywiście nie powiedziała tego głośno.

– Wykonałem już jedno zadanie i nabrałem ochoty na drinka. Jutro przed południem mam jeszcze coś do zrobienia, a potem wracam do Osaki.

– Ja też przed chwilą skończyłam jedno duże zadanie – powiedziała Aomame.

– Tak? A co to było?

– Nie bardzo mam ochotę o tym mówić. To jest coś w rodzaju specjalistycznej pracy.

– Specjalistycznej pracy? – powtórzył mężczyzna. – Pracy wymagającej specjalnych umiejętności i praktyki, którą nie każdy mógłby wykonywać?

A ty co, jesteś chodzącą encyklopedią? – pomyślała Aomame. Ale tego też głośno nie powiedziała, tylko się uśmiechnęła.

– Hm, no tak, coś w tym rodzaju.

Mężczyzna wypił jeszcze łyk z wysokiej szklanki i zjadł garść orzeszków z miseczki.

– Ciekawi mnie, co to za praca, ale pani zdaje się nie bardzo ma ochotę o tym mówić.

Aomame skinęła głową.

– W tej chwili nie.

– Czy to przypadkiem praca związana z językiem? Na przykład, niech pomyślę, redakcja albo badania naukowe na uczelni?

– Dlaczego pan tak myśli?

Mężczyzna podniósł rękę do węzła poluzowanego krawata i podciągnął go. Zapiął też górny guzik koszuli.

– Jakoś tak. Bo pani z wielkim zajęciem czytała grubą książkę,

Aomame powiodła palcem po brzegu szklaneczki.

– Lubię czytać i dlatego czytam. Bez związku z pracą.

– No to poddaję się. Nie uda mi się zgadnąć.

– Pewnie nie – powiedziała Aomame. Nigdy w życiu, dodała w myślach.

Mężczyzna kątem oka podziwiał jej figurę. Udając, że coś jej upadło, pochyliła się i pozwoliła mu do woli gapić się w swój dekolt. Powinno być trochę widać kształt piersi. I biały stanik wykończony koronką. Potem podniosła głowę i pociągnęła łyk Cutty Sark. W szklaneczce zagrzechotały duże okrągłe kawałki lodu.

– Zamówić pani jeszcze jedną? Zamówię dla siebie.

– Bardzo proszę.

– Ma pani mocną głowę.

Aomame uśmiechnęła się zagadkowo. Potem spoważniała.

– A, właśnie, przypomniałam coś sobie. Chciałam pana o coś zapytać.

– O co?

– Czy ostatnio zmieniło się umundurowanie policji? I rodzaj pistoletów, jakie noszą funkcjonariusze?

– Ostatnio to znaczy kiedy?

– W ciągu zeszłego tygodnia.

Mężczyzna spojrział na nią trochę dziwnie.

– Rzeczywiście zmieniło się umundurowanie i rodzaj uzbrojenia policji, ale to było parę lat temu. Mundury są teraz luźniejsze, jak bluzy, a pistolety wymieniono na nowe automatyczne modele. Myślę, że od tamtego czasu nie było większych zmian.

– Ale cała japońska policja nosiła stare modele rewolwerów. Do zeszłego tygodnia.

Mężczyzna potrząsnął głową.

– Nie, myli się pani. Już od dość dawna policjanci noszą automatyczne pistolety.

– Jest pan tego absolutnie pewien?

Jej ton trochę go zaskoczył. Ze zmarszczonymi brwiami szukał czegoś w pamięci.

– Nie, jak pani jeszcze raz zapytała, poczułem, że mam mętlik w głowie. W gazetach pisali, że zmieniają pistolety całej policji na nowe modele. Wtedy zrobił się z tego mały

problem. Jak zawsze pewne grupy obywateli protestowały, że ta broń jest zbyt skuteczna.

– Ile lat temu to było? – zapytała Aomame.

Mężczyzna zawołał starszego barmana i zapytał go, kiedy zmieniło się umundurowanie i uzbrojenie policji.

– Wiosną, dwa lata temu – odparł barman bez namysłu.

– No proszę, barmani w luksusowych hotelach wiedzą wszystko! – powiedział mężczyzna ze śmiechem.

Barman również się roześmiał.

– Nie, nic podobnego. Tylko przypadkiem. Mój młodszy brat jest policjantem, więc dobrze to pamiętam. Nie mógł się przyzwyczaić do kroju nowego munduru i ciągle narzekał. Mówił też, że pistolet jest za ciężki. Wciąż narzeka. Ten nowy pistolet to samopowtarzalna dziewięćmilimetrowa beretta i łatwo można ją przestawić na strzelanie seriami. Teraz zdaje się Mitsubishi produkuje je na licencji. W Japonii prawie nie zdarzają się strzelaniny, więc niepotrzebne są aż tak skuteczne pistolety. Wszyscy się martwią, że mogą zostać ukradzione. Ale były wytyczne rządu, żeby wzmocnić działania policji.

– A co się stało ze starymi pistoletami? – zapytała Aomame, starając się mówić jak najbardziej opanowanym głosem.

– Zgromadzili wszystkie i rozebrali na części – powiedział barman. – W telewizyjnych wiadomościach pokazywali, jak je rozbierają. Rozebranie i pozbycie się takiej liczby pistoletów, a także usunięcie tylu nabojęw było strasznie pracochłonne.

– Mogli sprzedać za granicę – powiedział łysiejący biznesman.

– Konstytucja zabrania eksportu broni – zwrócił nieśmiało uwagę barman.

– No proszę, barmani w luksusowych hotelach...

– To znaczy, że od dwóch lat policja japońska wcale nie używa rewolwerów? Tak pan twierdzi? – przerwała mu Aomame, zadając pytanie barmanowi.

– O ile wiem.

Aomame leciutko się skrzywiła. Czy ja zwariowałam? Przecież dziś rano widziałam policjanta w tym starym mundurze i ze starego typu rewolwerem. Nigdy nie słyszałam, że pozbyli się wszystkich starych rewolwerów. Ale niemożliwe, żeby obaj, ten facet w średnim wieku i barman, mylili się albo kłamali. A to znaczy, że ja się mylę.

– Dziękuję. Zresztą mniejsza o to – zwróciła się do barmana, a ten uśmiechnął się profesjonalnym uśmiechem, jakby stawiał kropkę na końcu zdania, i wrócił do pracy.

– Interesują panią policjanci? – zapytał mężczyzna.

– Nie, nie o to chodzi – odparła. – Tylko niedokładnie to pamiętałam – dodała wymijająco.

Napili się znowu whisky: jedna duża porcja i jedna z lodem. Mężczyzna mówił o jachtach. Miał niewielki jacht zacumowany w porcie w Nishinomiya. W wolne dni wypływał nim w morze. Z zapalem opowiadał, jak wspaniale jest czuć wokół siebie wiatr, gdy jest się

samemu na morzu. Aomame nie chciała słuchać idiotycznych historii o jachtach. Wolałaby, żeby gadał choćby o historii łożysk kulkowych albo o lokalizacji złóż mineralnych na Ukrainie. Spojrzała na zegarek.

– Już jest późno, więc chciałabym zapytać o coś bez owijania w bawełnę.

– Proszę bardzo.

– Ale to trochę osobiste pytanie.

– Jeśli tylko będę umiał odpowiedzieć.

– Masz dużego?

Mężczyzna lekko otworzył usta, zmrużył oczy i przez pewien czas wpatrywał się w Aomame. Zdawało się, że nie może uwierzyć w to, co usłyszał. Lecz Aomame zdawała się mówić całkiem serio. Nie żartowała. Można to było poznać po wyrazie jej oczu.

– Hm... – odpowiedział bardzo poważnie. – Nie jestem pewien, ale chyba mniej więcej zwyczajnego. Tak mnie pani zaskoczyła, że nie wiem, co powiedzieć...

– Ile ty masz lat? – zapytała Aomame.

– W zeszłym miesiącu skończyłem pięćdziesiąt jeden – powiedział niepewnie.

– Jesteś niegłupi facet, przeżyłeś ponad pięćdziesiąt lat, masz normalną pracę, masz nawet jacht, a mimo to nie potrafisz ocenić, jak twój fiutek ma się do rozmiaru uznawanego za przeciętny?

– Hm... być może jest trochę większy od przeciętnego – powiedział z trudem po krótkim namyśle.

– Naprawdę?

– Dlaczego to panią niepokoi?

– Niepokoi mnie? Kto powiedział, że mnie to niepokoi?

– Nikt nie powiedział... – odparł mężczyzna, odsuwając się trochę na metalowym stołku.

– Tylko zdaje mi się, że w tej chwili jest z tym jakiś problem.

– Nie ma problemu, żadnego problemu – powiedziała Aomame ostro. – Tylko ja po prostu osobiście lubię duże fiutki. Tak wizualnie. Nie chodzi o to, że jak nie jest duży, to nic nie czuję, czy coś w tym rodzaju. I sam duży rozmiar też nie wystarczy. Mówię tylko, że w zasadzie wolę większe. Taki mam gust. Chyba mi wolno? Przecież każdy ma jakieś upodobania. Ale nie lubię takich strasznie wielkich. Bo tylko boli. Rozumiesz?

– No to jeśli dobrze pójdzie, może się pani spodobać. Myślę, że jest trochę większy od przeciętnego, ale wcale nie jest strasznie wielki. To znaczy jest odpowiedniej wielkości...

– Nie kłamiesz, co?

– Nie ma sensu kłamać w tej sprawie.

– Aha. No to może mi pokażesz?

– Tutaj?

Aomame skrzywiła się, ale panowała nad twarzą.

– Tutaj? Odbiło ci? Przecież masz już swoje lata. Co ty sobie myślisz? W eleganckim

garniturze, nawet pod krawatem – straciłeś rozum? Przecież reprezentujesz firmę. Naprawdę miałeś zamiar wyjąć tu fiutka? Zastanów się, co ludzie by pomyśleli. Pójdziemy do twojego pokoju, zdejmiesz gacie i tam mi pokażesz. Tylko we dwoje. To chyba oczywiste?

– Pokażę, a potem co? – zapytał mężczyzna zaniepokojony.

– Co będzie po tym, jak pokażesz? – powiedziała Aomame, wstrzymała oddech i skrzywiła się dość zdecydowanie. – To chyba oczywiste, że potem będzie seks. Co innego mogłoby być? Pofatyguję się do twojego pokoju, pokażesz mi fiutka, a potem powiem: „Dziękuję. Bardzo ładny. No to dobranoc” i pójdę do domu? Ty masz chyba źle w głowie?

Na widok gwałtownych zmian zachodzących na twarzy Aomame mężczyźni zaparło dech. Kiedy się krzywiła, większość mężczyzn kurczyła się ze strachu. Małe dziecko mogłoby nawet zsikać się z przerażenia, bo w jej skrzywionej twarzy było coś tak szokującego. Może troszkę przesadziłam, pomyślała. Nie wolno go aż tak straszyć. Przecież przedtem musi załatwić coś innego. Pośpiesznie przywróciła twarzy zwykły wygląd i na siłę wywołała na niej uśmiech. Znowu odezwała się do niego z przyganą w głosie.

– Krótko mówiąc, pójdziemy to twojego pokoju, położymy się do łóżka i będziemy uprawiać seks. Nie jesteś gejem, impotentem, niczym takim?

– Nie, myślę, że nie. Mam w końcu dwoje dzieci...

– Słuchaj no, nikt cię nie pyta, ile masz dzieci. Nie robię przecież spisu ludności, więc nie gadaj znowu nie na temat. Ja cię pytam, czy ci fiutek staje jak trzeba, kiedy jesteś w łóżku z kobietą. To wszystko.

– Do tej pory w ważnych momentach nigdy mnie nie zawiódł – powiedział mężczyzna.

– Czy ty jesteś zawodową... to znaczy, czy to jest twoja praca?

– Nie. Daj spokój. Nie jestem żadną zawodową. Nie jestem też zboczona. Jestem zwykłą szarą obywatelką. Szara obywatelka po prostu i zwyczajnie pragnie odbyć stosunek płciowy z mężczyzną. Nic szczególnego, normalny stosunek. I co w tym złego? Wykonałam trudne zadanie, dzień dobiega końca, trochę wypłam i chcę się zrelaksować, idąc do łóżka z nieznanym. Chcę dać odpocząć nerwom. Potrzebuję tego. Jeśli jesteś mężczyzną, powinieneś to rozumieć.

– Oczywiście rozumiem takie uczucie...

– Nie chcę od ciebie ani grosza. Jak mnie wystarczająco zaspokoisz, to nawet ja ci mogę zapłacić. Mam ze sobą prezerwatywy, nie musisz się martwić, że się zarazisz. Zrozumiano?

– Zrozumiano, ale...

– Wygląda na to, że nie masz ochoty. Czegoś mi brakuje?

– Nie, skądże znowu. Tylko nie bardzo rozumiem. Ty jesteś młoda, ładna, a ja prawie mógłbym być twoim ojcem...

– Nie gadaj bzdur, proszę cię. Co z tego, że różnimy się wiekiem, nie jestem żadną twoją głupią córką, a ty moim głupim ojcem. To chyba dość oczywiste? Denerwują mnie takie bezsensowne uogólnienia. Mnie się tylko spodobała ta twoja łysa głowa. Kształt mi się

podoba. Zrozumiano?

– Ale przecież ja jeszcze nie jestem łysy. Rzeczywiście czoło mam trochę wy...

– Zamknij się – powiedziała Aomame, starając się powstrzymać chęć, żeby się porządnie skrzywić. Nieco złagodziła ton. Nie wolno go niepotrzebnie straszyć. – To przecież nie ma znaczenia. Proszę cię, przestań gadać, co ci ślina na język przyniesie.

Możesz sobie mówić, co chcesz, ale to jest niewątpliwie łysina, pomyślała Aomame.

– Gdyby przy okazji spisu ludności pytano o łysinę, powinienesz uczciwie zaznaczyć, że ją masz. Jeśli pójdziesz do nieba, będzie to niebo dla łysych. Jeśli do piekła, będzie to piekło dla łysych. Zrozumiano? Jeśli tak, to przestań chować łysą głowę w piasek i uciekać od rzeczywistości. No, idziemy. Teraz pójdziesz prosto do nieba dla łysych.

Mężczyzna zapłacił rachunek w barze, a potem przenieśli się do jego pokoju.

* * *

Trafnie to ocenił. Jego penis był rzeczywiście nieco powyżej przeciętnej, lecz nie nadmiernie duży. Aomame umiejętnie go drażniła, aż zrobił się większy i sztywny. Zdjęła bluzkę i spódnicę.

– Pewnie myślisz, że mam małe piersi – powiedziała zimno, patrząc z góry na leżącego mężczyznę. – Twój fiutek jest duży, a moje piersi małe, więc pewnie masz mnie za głupią. Pewnie myślisz, że to nie fair.

– Nie, wcale tak nie myślę. Twoje piersi wcale nie są małe. Mają bardzo ładny kształt.

– Nieważne – powiedziała Aomame. – Słuchaj no, chciałam ci powiedzieć, że zwykle nie noszę takich wymyślnych staników z koronkami. Tym razem nie miałam wyboru z powodu pracy. Chciałam, żeby mi można było zajrzeć w dekolt.

– Co to może być za praca?

– Słuchaj no, przedtem wyraźnie chyba powiedziałam? Nie chcę teraz mówić o pracy. Jaka by nie była, ciężko jest być kobietą.

– Mężczyźni przecież też mają ciężkie życie.

– Ale nie muszą na przykład wkładać staników z koronkami, jeśli nie mają ochoty, prawda?

– Niby tak, ale...

– No to nie gadaj tak, jakbyś rozumiał, o co chodzi. Kobiety mają o wiele trudniej niż mężczyźni. Schodziłeś kiedyś po stromych schodach na obcasach? Przełaziłeś kiedyś przez płot w dopasowanej spódniczce mini?

– Nie miałem racji, przepraszam – przeprosił szczerze mężczyzna.

Odpięła stanik, zdjęła go i rzuciła na podłogę. Zsunęła rajstopy i też rzuciła je na ziemię. Następnie położyła się na łóżku i znów zaczęła drażnić penis mężczyzny.

– Słuchaj, jest imponujący. Jestem pełna podziwu. Kształt dobry, rozmiar praktycznie

idealny i zrobił się twardy jak korzeń.

– Cieszę się, że tak myślisz – powiedział mężczyzna, jakby z ulgą.

– No, teraz cię porządnie popieszczę. Zrobię ci tak dobrze, że się cały będziesz trząsał.

– Może lepiej przedtem wziąć prysznic? Spociłem się.

– Zamknij się – powiedziała Aomame, a potem jakby ostrzegawczo pstryknęła go palcami w prawe jądro. – Słuchaj no, ja tu przyszedłam po seks. Nie po to, żeby brać prysznic. Zrozumiano? Najpierw będziemy się pieprzyć. Z całej siły pieprzyć. Pot mnie nic nie obchodzi. Nie jestem wstydliwą pensjonarką.

– Zrozumiano – powiedział mężczyzna.

* * *

Kiedy po seksie głaskała odsłonięty kark leżącego na brzuchu wyczerpanego mężczyzny, poczuła silne pragnienie, by wbić w ten szczególny punkt ostry koniec igły. Zastanawiała się nawet, czy naprawdę tego nie zrobić. W torebce miała swój niby-szpikulec do lodu zawinięty w kawałek materiału. Na starannie zaostrzony czubek zatknięty był specjalnie spreparowany miękki korek. Gdyby chciała, mogłaby to łatwo zrobić. Gładko popchnęłaby drewnianą rękojeść wnętrzem prawej dłoni. Umarłby, nie wiedząc, co się z nim dzieje. Wcale by nie cierpiał. Uznano by to za śmierć z przyczyn naturalnych. Lecz oczywiście porzuciła tę myśl. Nie było żadnego powodu, żeby usuwać tego mężczyznę ze społeczeństwa. Prócz tego, że dla Aomame stracił już rację bytu. Potrząsnęła głową, odpędzając niebezpieczną myśl.

Ten mężczyzna nie jest złym człowiekiem, skarciła się w myślach. W łóżku też był wcale niezły. Znał umiar – potrafił powstrzymać wytrysk, aż ona skończyła. Kształt głowy i łysina jej się spodobały. Penis także okazał się odpowiedniej wielkości. Mężczyzna był grzeczny, miał niezły gust, jeśli chodzi o ubranie, nie był nachalny. Pewnie został dobrze wychowany. Nie da się ukryć, że strasznie nudno gadał i bywał irytujący. Ale to nie grzech zasługujący na karę śmierci. Chyba nie.

– Czy mogę włączyć telewizor? – zapytała Aomame.

– Proszę bardzo – powiedział mężczyzna, dalej leżąc na brzuchu.

Nago w łóżku obejrzała do końca wiadomości o jedenastej. Na Środkowym Wschodzie Irak z Iranem niezmiennie toczyły krwawą wojnę. Sprawy się zabagniły i na horyzoncie nie rysowało się żadne rozwiązanie. W Iraku ku przestrodze powieszono na słupach telegraficznych młodych ludzi uchylających się od służby wojskowej. Rząd Iranu oskarżał Saddama Husseina o używanie gazów paraliżujących i broni biologicznej. W Ameryce Walter Mondale i Gary Hart walczyli o nominację Partii Demokratycznej w wyborach prezydenckich. Żaden z nich nie wyglądał na najinteligentniejszego człowieka na świecie. Ponieważ inteligentni prezydenci stają się celem zabójców, być może ludzie bystrzejsi od

przeciętnej starają się w miarę możliwości uniknąć prezydentury.

Na Księżycu trwała budowa stałej stacji pomiarowej. Ameryka i Związek Radziecki, jak nigdy dotąd, współpracowały przy tym. Tak samo jak w przypadku stacji pomiarowej na biegunie południowym. Baza na powierzchni Księżyca, myślała zdziwiona Aomame. Nigdy o tym nie słyszałam. Co się dzieje? Postanowiła zbyt głęboko się nad tym nie zastanawiać. W chwili obecnej rysowały się inne, ważniejsze problemy. Po pożarze kopalni węgla na wyspie Kyūshū było wiele ofiar śmiertelnych, rząd badał przyczyny katastrofy. Aomame bardziej dziwił fakt, że w dobie budowy stacji na powierzchni Księżyca ludzie nadal wydobywają węgiel w kopalniach. Ameryka dalej żądała od Japonii otwarcia rynków finansowych. Morgan Stanley, Merrill Lynch i inne firmy podjudzały rząd, szukając nowych sposobów bogacenia się. Pokazano mądrego kota z prefektury Shimane. Sam otwierał okno i wychodził na dwór, a wychodząc, oczywiście zamykał je za sobą. Właściciel go tego nauczył. Aomame z podziwem patrzyła, jak chudy czarny kot odwraca się, wyciąga łapkę i ze wzrokiem pełnym ukrytych znaczeń cicho to okno zamyka.

Podali przeróżne rodzaje wiadomości. Lecz nie powiedzieli, że w hotelu w Shibuya znaleziono zwłoki. Po zakończeniu dziennika Aomame wyłączyła pilotem telewizor. Wokół panowała cisza. Słysząc było jedynie cichy oddech śpiącego obok mężczyzny w średnim wieku.

Tamten pewnie ciągle siedzi w tej samej pozycji z głową na biurku. Wygląda, jakby głęboko spał. Ale nie słysząc oddechu. Ten szczur już więcej się nie obudzi – nie ma takiej możliwości. Wpatrując się w sufit, Aomame przypomniała sobie wygląd trupa. Lekko potrząsnęła głową i skrzywiła się. Potem wstała z łóżka i zaczęła kolejno zbierać rzucone na podłogę ubrania.

Rozdział szósty – Tengo

Czy pojedziemy gdzieś daleko?

Komatsu zadzwonił w piątek wcześniej rano, zaraz po piątej. Tengo śniło się akurat, że idzie po długim kamiennym moście. Szedł po jakieś ważne dokumenty, które zostawił na drugim brzegu. Był sam. Most wiódł nad dużą, piękną rzeką z rozrzuconymi gdzieniegdzie łachami piasku. Płynęła powoli, na łachach rosły wierzby. Widział też pełne gracji pstrągi. Jasnozielone liście zwisały łagodnie nad powierzchnią wody. Wyglądało to jak krajobraz namalowany na chińskim talerzyku. Wtedy się obudził i w zupełnej ciemności spojrzął na zegarek przy łóżku. Oczywiście, już zanim odebrał, wiedział, kto może dzwonić o tej porze.

– Tengo, czy ty masz word processor? – zapytał Komatsu. Ani „Dzień dobry”, ani „Wstałeś już?”. Skoro nie śpi o tej porze, pewnie nie spał całą noc. Nie wstał przecież przed świtem, żeby zobaczyć wschód słońca. Miał się właśnie kłaść spać i przypomniał sobie, że chciał coś Tengo powiedzieć.

– Oczywiście, że nie mam – odparł Tengo. Na dworze panowała jeszcze ciemność. A on sam był ciągle na środku długiego mostu. Rzadko miewał takie realne sny. – Nie ma się czym chwalić, ale nie stać mnie na kupno takich rzeczy.

– A umiesz się tym posługiwać?

– Umiem. Umiem się zasadniczo posługiwać i komputerem, i word processorem. Na kursach je mają i w pracy bez przerwy ich używam.

– No to wybierz dziś gdzieś sobie jakiś word processor i kup. Ja nie mam bladego pojęcia o takich cudach, więc zdaję się całkowicie na ciebie – zdecyduj się na jakąś markę i typ. Potem dasz mi paragon, a ja ci zwrócę. Chciałbym, żebyś na tym jak najszybciej zaczął poprawianie *Powietrznej poczwarki*.

– No ale nawet tańszy typ będzie kosztował ze dwieście pięćdziesiąt tysięcy jenów.

– Nie szkodzi, to nie tak dużo.

Tengo pokręcił głową ze zdziwieniem.

– To znaczy, że pan mi kupi ten word processor?

– No, pójdzie na to całe moje niewielkie kieszonkowe. W tym przedsięwzięciu konieczna jest taka inwestycja. Jeśli człowiek będzie skąpił, do niczego nie dojdzie. Jak

wiesz, *Powietrzna poczwarka* została napisana przy użyciu word processora, a skoro tak, to przy poprawkach też wypada go użyć. Postaraj się, żeby ta twoja wersja jak najbardziej wyglądem przypominała oryginał. Możesz od dziś zacząć poprawki?

Tengo się zastanowił.

– Mogę. Mogę zacząć w każdej chwili. Ale Fukaeri postawiła warunek, że zgodzi się na poprawki, jeżeli spotkam się ze wskazaną przez nią osobą. Jeszcze się z tym kimś nie spotkałem. Nie jest wykluczone, że kiedy się spotkam, negocjacje zostaną przerwane i będzie to czysta strata wysiłku i pieniędzy.

– Nie szkodzi. Jakoś to będzie. Nie martw się drobiazgami i od razu bierz się do pracy. Bo to jest wyścig z czasem.

– Jest pan przekonany, że to spotkanie dobrze wypadnie?

– Instynkt mi to mówi – powiedział Komatsu. – Ja mam w takich sprawach nosa. Zdaje się, że nie zostałem obdarzony żadnym innym talentem, ale mam doskonałego nosa. Z całym szacunkiem, tylko dzięki niemu do dziś jakoś przetrwałem. Słuchaj no, Tengo, jak uważasz, jaka jest największa różnica między talentem a nosem?

– Nie wiem.

– Choćby człowiek miał nie wiem jaki talent, wcale nie znaczy to, że nie umrze z głodu. Ale jak człowiek ma wyjątkowo dobrego nosa, nie musi się martwić, że nie będzie co do garnka włożyć.

– Zapamiętam to sobie – powiedział Tengo.

– Dlatego się nie denerwuj. Możesz od dziś, zaraz, brać się do roboty.

– Skoro pan tak uważa, to ja mogę. Ja tylko nie chciałem czegoś zaczynać, żeby potem miało się okazać, że „wszystko było na próżno”.

– Biorę na siebie całą odpowiedzialność.

– Dobrze. Wczesnym popołudniem mam się z kimś spotkać, ale poza tym mam czas. Przed południem pójde do miasta i wybiorę jakiś word processor.

– Dobra, Tengo. Liczę na ciebie. Wspólnymi siłami rzucimy świat na kolana.

* * *

Po dziewiątej zadzwoniła jego zameżna kochanka. O tej porze, po odwiezieniu męża i dzieci na dworzec, była już w domu. Dziś po południu miała przyjść do Tengo. Piątek był dniem ich spotkań.

– Jestem niedysponowana – powiedziała. – Przykro mi, ale dziś nie mogę przyjść. Zobaczymy się za tydzień.

„Jestem niedysponowana” oznaczało, że zaczęła jej się miesiączka. Staranne wychowanie kazało jej używać takich wytwornych eufemistycznych wyrażení. W łóżku nie była szczególnie wytworna ani eufemistyczna, ale to była inna kwestia.

– Mnie też bardzo przykro, że nie możemy się spotkać – powiedział Tengo. – No ale nic się na to przecież nie poradzi.

Choć w tym tygodniu zupełnie nie żałował, że nie dojdzie do spotkania. Seks z nią był przyjemny, ale myśli Tengo bieły już w stronę *Powietrznej poczwarki*. Różne pomysły poprawek pojawiały się i znikaly, jak życie kiełkujące w chaosie oceanu ery archaicznej. Nie różnię się jednak wcale od Komatsu, pomyślał Tengo. Zanim wszystko zostało formalnie ustalone, ja uprzedzam fakty i zaczynam działać.

O dziesiątej pojechał do Shinjuku i nabył word processor firmy Fujitsu. Zapłacił kartą kredytową. Był to najnowszy model, znacznie lżejszy niż starsze modele tego samego typu. Do tego dokupił dodatkową taśmę i papier. Wrócił z zakupami do domu, postawił word processor na biurku, podłączył do prądu. W pracy używał dużego modelu Fujitsu, ten mniejszy miał zasadniczo takie same funkcje. Upewniwszy się, że wie, jak posługiwać się urządzeniem, Tengo przystąpił do poprawiania *Powietrznej poczwarki*.

Nie miał nic, co dałoby się nazwać konkretnym planem poprawek, a jedynie kilka pomysłów na temat pewnych szczegółów. Nie obmyślił żadnej spójnej metody ani zasad poprawiania. W ogóle nie był pewien, czy tak fantastyczna i pobudzająca zmysły czytelnika powieść jak *Powietrzna poczwarka* może zostać poprawiona jakąś logiczną metodą. Tak jak mówił Komatsu, jasne było, że należy znacznie poprawić styl, ale czy uda się zachować przy tym pierwotny charakter utworu? To jakby próbować dorobić szkielet motylowi. Kiedy o tym pomyślał, zaczął się wahać i wzrósł jego niepokój. Ale wszystko poszło już w ruch. I czas naglił. Tengo nie mógł sobie pozwolić na rozmyślanie z założonymi rękami. Na razie mógł popracować trochę nad poprawianiem konkretnych szczegółów. Kiedy poradzi sobie z drobiazgami, może obraz całości wyłoni się sam?

Tengo, ty będziesz umiał to poprawić. Jestem tego pewien, oznajmił Komatsu z przekonaniem. Tengo sam nie wiedział, dlaczego wziął te słowa za dobrą monetę. Postępowaniu i wypowiedziom Komatsu można wiele zarzucić. Poza tym ten człowiek naprawdę myśli tylko o sobie. Gdyby zrodziła się taka potrzeba, z miejsca pozbyłby się Tengo. I nawet by mu powieka nie drgnęła. Ale tak jak sam powiedział, jako redaktor miał rzeczywiście nosa. Nigdy się nie wahał. W każdej sprawie od razu oceniał sytuację, podejmował decyzję i przechodził do działania. W ogóle go nie obchodziło, co inni o tym myślą. To cechy konieczne u wybitnego dowódcy na linii frontu. I były to cechy, których Tengo w ogóle nie posiadał.

O pół do pierwszej zabrał się do prawdziwego poprawiania. Niczego nie zmieniając, przepisał na word processorze pierwszych parę stron *Powietrznej poczwarki*, do miejsca, w którym mógł logicznie przerwać. Na razie będzie poprawiał ten fragment, aż zacznie się do czegoś nadawać. Nie zmieni samej treści, tylko postara się uporządkować styl. Tak jakby zmieniał wystrój mieszkania. Zasadnicza struktura pozostanie ta sama. Bo w samej budowie całości nie kryły się żadne problemy. Nie zmieni też położenia rur wodociagowych.

Rozbierze inne elementy, które da się zmienić – zerwie klepkę, zmieni sufit, ściany, ścianki działowe – i zastąpi nowymi. Jestem odpowiedzialnym za wszystko zdolnym majstrem, przykazał sobie Tengo. Nie mam żadnego projektu budowy. Mogę tylko jakoś sobie radzić, polegając nieustannie na intuicji i doświadczeniu.

Przeczytał raz, dołożył wyjaśnienia do niezrozumiałych fragmentów, wygładził szyk. Usunął niepotrzebne elementy i powtórzenia, dodał to, czego brakowało. Gdzieniedzie zmienił kolejność zdań i akapitów. Przymiotników i przysłówków było niezwykle mało, więc postanowił zachować tę charakterystyczną cechę, ale kiedy czuł, że gdzieś potrzebny jest jakiś przymiotnik, wybierał odpowiednie słowo i dodawał. Styl Fukaeri był niezmiennie dziecinny, lecz od razu było widać, że niektóre fragmenty zostały dobrze, a inne źle napisane, więc decyzja co zostawić, a co usunąć, była łatwiejsza, niż się spodziewał. Pewne partie przez swój naiwny styl stawały się niezrozumiałe i trudne do czytania, a inne wyrażenia zaskakiwały świeżością właśnie dzięki swojej naiwności. Te pierwsze zdecydowanie usuwał i zastępował innymi, te drugie można było zostawić.

Poprawiając tekst, Tengo jeszcze raz uświadomił sobie, że Fukaeri nie pisała tej powieści z zamiarem stworzenia utworu literackiego. Zapisała tylko prowizorycznie za pomocą słów opowieść, którą w sobie nosiła, czy też – by posłużyć się jej własnym określeniem – to, co naprawdę widziała. Nie musiała ubierać tego w słowa, ale po prostu nie znalazła innego odpowiedniego środka ekspresji. To wszystko. Od początku nie miała żadnych ambicji literackich. Ponieważ nie zamierzała stworzyć produktu na sprzedaż, nie było potrzeby zwracania uwagi na szczegóły stylu. Gdyby porównać powieść do pokoju, uważała, że wystarczą w nim sufit oraz ściany, by chroniły przed deszczem i wiatrem. Nie miało dla niej znaczenia, jak bardzo Tengo zmieni jej tekst, ponieważ ona osiągnęła już swój cel. Prawdopodobnie naprawdę tak myślała, kiedy powiedziała, że „może poprawiać, jak chce”.

A jednak zdania tworzące *Powietrzną poczwarkę* nie zostały napisane tylko dla niej samej. Gdyby jej jedynym celem było zarejestrowanie tego, co widziała, co jej przyszło do głowy, wystarczyłoby sporządzić krótkie notatki w punktach. Nie było potrzeby zwracać sobie głowy chronologią i tworzyć z tego tekstu. A ten tekst zdecydowanie został napisany z założeniem, że ktoś go przeczyta. Dlatego właśnie, mimo że *Powietrzna poczwarka* nie została zaplanowana jako utwór literacki i jej styl był dziecinny, miała w sobie siłę, która przemawiała do czytelnika. Zdawało się jednak, że ten ktoś, ten potencjalny odbiorca, nie jest „nieokreśloną rzeszą czytelników” będącą z zasady adresatem nowożytnej literatury. Tengo nie mógł się oprzeć temu wrażeniu.

A więc jakiego rodzaju czytelnika szukała Fukaeri?

Tengo oczywiście nie wiedział.

Wiedział jedynie, że *Powietrzna poczwarka* jest doprawdy unikalną fikcyjną opowieścią, jednocześnie piękną i zawierającą poważne braki, która została chyba stworzona w jakimś

szczególnym celu.

* * *

W rezultacie poprawek tekst stał się około dwa i pół raza dłuższy. Było znacznie więcej miejsc, w których należało coś dopisać, niż tych, z których coś trzeba było wyciąć. Jeśli więc chciał nadać całości logiczny sens, tekst musiał się wydłużyć. Szczególnie dobrze udało mu się wygładzić początek. Zdania nabrały sensu, punkt widzenia narracji się ustabilizował i powieść lepiej się czytało. Lecz całość wydawała się jakaś ociężała. Logiczny wywód był zbyt widoczny, charakterystyczna ostrość oryginalnej wersji wyraźnie osłabła.

Następnie Tengo zajął się usuwaniem z tego dłuższego tekstu fragmentów, które „nie były konieczne”. Jakby całkowicie eliminował zbędną zwiotczałą skórę. Przycinanie było znacznie łatwiejszą pracą niż dodawanie. Dzięki temu skrócił tekst o około jedną trzecią. To był rodzaj gry myślowej. W wyznaczonym czasie dodać, ile się da, a potem w wyznaczonym czasie wyciąć, ile się da. Gdy uparcie i na zmianę kontynuował te operacje, amplituda coraz bardziej się zmniejszała, a objętość tekstu naturalnie sama się ustalała. Dotarł do punktu, kiedy nie mógł już nic dodać ani nic ująć. Ego zostało utemperowane, niepotrzebne ozdobniki odrzucone, przejrzysta logika wycofała się w głąb domu. Tengo był z natury bardzo dobry w tego rodzaju pracy. Urodzony technik. Miał tak doskonałą umiejętność koncentracji, jak ptak poszukujący w locie pożywienia. Był uparty jak osioł dźwigający wodę i zawsze trzymał się zasad gry.

* * *

Z zapartym tchem zatonął w tej pracy i kiedy spojrzał na zegar ścienny, była już prawie trzecia. Przecież nie jadł jeszcze lunchu. Poszedł do kuchni, nastawił wodę i zmielił kawę. Zjadł kilka krakersów z serem, schrupał jabłko, a kiedy woda się zagotowała, zaparzył kawę. Pijąc ją z dużego kubka, dla zmiany nastroju myślał przez pewien czas o seksie ze swoją kochanką. Zwykle teraz właśnie by to robili. Myślał o tym, co on by robił i co ona by robiła. Zamknął oczy i podnosząc głowę, wydał głębokie westchnienie przesycone sugestiami i możliwościami.

Potem wrócił do biurka, przestawił obwody w głowie na inny tryb i jeszcze raz przeczytał na ekranie word processora poprawiony początek *Powietrznej poczwarki*. Zachowywał się jak generał, który robi obchód okopów na początku filmu Stanleya Kubricka *Ścieżki chwały*. Kiwa głową, widząc efekty. Nieźle. Tekst jest lepszy. Wszystko idzie do przodu. Ale to jeszcze nie wystarczy. Dużo zostało do zrobienia. Tu i tam rozsypały się worki z piaskiem. Brak naboju do karabinów maszynowych. Da się też zauważyć parę miejsc, gdzie zasieki z drutu kolczastego są niewystarczające.

Wydrukował poprawiony tekst. Następnie zapisał plik i wyłączył word processor. Odsunął go na bok biurka. Położył przed sobą wydruk i jeszcze raz, z ołówkiem w rękę, starannie go przeczytał. Wyciął kolejne fragmenty, które uznał za niepotrzebne, i dodał inne, kiedy czuł, że gdzieś czegoś brakuje, poprawił także te niepasujące do reszty. Jakby dobierał kafelki do jakiejś niewielkiej przestrzeni w łazience, starannie wynajdywał słowa potrzebne w danym miejscu i próbował je dopasować, przymierzając pod różnymi kątami. Jeżeli nie pasowały, zmieniał trochę ich kształt. Niewielki niuans znaczeniowy mógł ożywić lub zniszczyć zdanie.

Dokładnie taki sam tekst widziany na ekranie robił nieco inne wrażenie niż wydrukowany na papierze. Zmieniał się charakter słów. Konieczne więc było sprawdzenie obu wersji. Włączył word processor i kolejno wprowadzał poprawki naniesione na wydruku ołówkiem. Następnie ponownie przeczytał tekst na ekranie. Nieźle, pomyślał. Zdania miały odpowiedni ciężar, nabrały naturalnego rytmu.

Tengo wyprostował się na krześle, spojrzął na sufit i wziął głęboki oddech. Oczywiście to nie był koniec. Kiedy przeczyta to po paru dniach, na pewno znowu znajdzie kilka miejsc, które będzie trzeba pozmieniać. Ale na razie to wystarczy. Kończyła się jego zdolność skupienia. Potrzebny był też czas na ochłonięcie. Wskazówka zegara zbliżała się do piątej, w pokoju zaczynało się robić ciemno. Jutro opracuje następny dłuższy fragment. Poprawienie kilku pierwszych stron zajęło mu prawie cały dzień. Było z tym więcej zachodu niż się spodziewał. Ale jeśli wyznaczy odpowiedni tor, wpadnie w rytm, praca powinna iść szybciej. A poza tym początki zawsze są najtrudniejsze i najbardziej pracochłonne. Jeśli tylko przebrnie się przez początek, reszta...

Przypomniał sobie twarz Fukaeri i zastanawiał się, co pomyśli, czytając poprawiony tekst. Właściwie nie miał pojęcia, co pomyśli. Praktycznie nic o niej nie wiedział. Nic poza tym, że ma siedemnaście lat, jest w trzeciej klasie liceum, że w ogóle nie interesują ją egzaminy wstępne na uczelnię, dość dziwnie się wypowiada, lubi białe wino i ma piękną twarz z rodzaju tych, które wywołują w sercu innych niepokój. Lecz Tengo czuł instynktownie, że udało mu się mniej więcej wiernie uchwycić, na czym polega świat, który próbowała opisać (a może zarejestrować?) w *Powietrznej poczwarcie*. Tengo starannie, z wielką uwagą poprawił sceny, które pragnęła opisać, posługując się swym szczególnym i ograniczonym zasobem słów. Dzięki temu ożywiły się, jeszcze wyraźniej stawały przed oczami. Zaczęły tworzyć pewien nurt. Tengo to dostrzegł. On jedynie wzmocnił je z technicznego punktu widzenia, ale efekt był tak naturalny i tak mu odpowiadał, jakby sam od początku wszystko to napisał. I tak zdanie po zdaniu rodziła się sugestywna opowieść pod tytułem *Powietrzna poczwarka*.

Tengo bardzo się z tego cieszył. Po długiej koncentracji na pracy był fizycznie wyczerpany, lecz w odróżnieniu od zmęczonego ciała, jego umysł ogarnęło wielkie podniecenie. Wyłączył word processor, lecz nawet po odejściu od biurka przez pewien czas

miał ochotę dalej zajmować się poprawkami. Praca nad tą opowieścią sprawiała mu prawdziwą przyjemność. Jeśli tak dalej pójdzie, może uda się nie rozczarować Fukaeri? Choć prawdę mówiąc, nie bardzo mógł sobie wyobrazić zadowoloną czy rozczarowaną Fukaeri. Nie potrafił sobie nawet wyobrazić, jak rozchyła wargi w uśmiechu albo leciutko się chmurzy. Tengo nie wiedział, czy jest pozbawiona uczuć, czy też ich doznaje, ale nie znajdują odbicia w jej wyrazie twarzy. W każdym razie to niezwykła dziewczyna, pomyślał ponownie.

* * *

Bohaterką *Powietrznej poczwarki* jest prawdopodobnie sama Fukaeri sprzed kilku lat. Jako dziesięcioletnia dziewczynka zajmuje się ślepą kozą w jakiejś dziwnej komunie (albo miejscu podobnym do komuny) w sercu gór. To praca, którą jej powierzono. Wszystkim dzieciom przydzielano jakieś zadania. Kozą jest stara, ale ma szczególne znaczenie dla tej wspólnoty i trzeba pilnować, żeby nic jej się nie stało. Nie wolno jej nawet na chwilę spuścić z oka. Tak dziewczynce przykazano. Ale w pewnym momencie coś ją rozprasza, odwraca wzrok i w tym momencie koza zdycha. Więc dziewczynka zostaje ukarana. Zamykają ją w starej ziemiance razem ze zdechłą kozą. Przez dziesięć dni jest kompletnie odizolowana i nie wolno jej stamtąd wyjść. Nie wolno jej też z nikim rozmawiać.

Koza pełni rolę tunelu łączącego Little People z tym światem. Dziewczynka nie wie, czy Little People są dobrzy, czy źli (Tengo też oczywiście nie wie). Gdy nadchodzi noc, Little People przechodzą na świat po tej stronie przez trupa zdechłej kozy. A z nadejściem świtu odchodzą z powrotem na tamtą. Dziewczynka może z nimi rozmawiać. Uczą ją, jak zrobić powietrzną poczwarkę.

* * *

Tengo najbardziej zachwyciło to, jak konkretnie i szczegółowo opisane zostały zwyczaje i zachowanie niewidomej kozy. Tego typu detale ożywiały cały utwór. Czy możliwe, że Fukaeri naprawdę hodowała kiedyś niewidomą kozę? I czy możliwe, że naprawdę żyła w komunie w sercu gór, tak jak to opisała? Tengo przypuszczał, że to raczej prawdopodobne. Gdyby się okazało, że w ogóle nie miała takich doświadczeń, oznaczałoby to, że ma doprawdy wyjątkowy wrodzony talent do snucia opowieści.

Tengo pomyślał, że zapyta ją o kozę i o komunę przy następnym spotkaniu (do którego powinno dojść w niedzielę). Oczywiście nie wiedział, czy Fukaeri odpowie. Kiedy przypominał sobie ich poprzednią rozmowę, zdawało mu się, że odpowiadała wyłącznie na te pytania, na które chciała. Natomiast całkowicie ignorowała te, na które nie chciała lub nie zamierzała odpowiedzieć. Zupełnie jakby ich nie słyszała. Tak samo jak Komatsu. W tym sensie byli do siebie podobni. Tengo tak nie postępował. Gdy ktoś zadawał mu pytanie, bez

względu na to jakie, uczciwie na nie odpowiadał. Pewnie człowiek się z tym rodzi.

* * *

O pół do szóstej zadzwoniła jego kochanka.

– Co dziś robiłeś? – zapytała.

– Cały dzień pisałem powieść – odparł Tengo. Było to w połowie prawdą, a w połowie kłamstwem. Bo nie pisał własnej powieści. Ale nie mógł jej dokładnie wszystkiego wyjaśnić.

– Zrobiłeś postępy?

– Nieźle mi poszło.

– Przepraszam, że dziś tak nagle odwołałam. Myślę, że będziemy mogli się spotkać w przyszłym tygodniu.

– Już się na to cieszę – powiedział Tengo.

– Ja też – rzuciła ona.

Potem zaczęła mówić o dzieciach. Często o nich opowiadała. O swoich dwóch małych córeczkach. Tengo nie miał rodzeństwa, nie miał też oczywiście dzieci. Dlatego prawie nie wiedział o małych dziewczynkach. Jej to nie przeszkadzało i dużo opowiadała mu o swoich córkach. Tengo był raczej małomówny. Lubił słuchać opowiadań innych bez względu na temat. Dlatego interesowało go, co ona ma do powiedzenia, i uważnie słuchał. Starszej córce, drugoklasistce, dzieci w szkole chyba dokuczają. Dziewczynka sama nic nie mówi, ale wspomniała o tym matka koleżanki z klasy. Tengo oczywiście nigdy nie poznał jej córki. Raz tylko widział ją na zdjęciu. Była niezbyt podobna do matki.

– Z jakiego powodu jej dokuczają? – zapytał Tengo.

– Czasami ma ataki astmy i wtedy nie może robić tego, co inne dzieci. Może dlatego? Bo poza tym jest grzeczna i dobrze się uczy.

– To niezrozumiałe – powiedział Tengo. – Dziećmi z atakami astmy powinno się opiekować, a nie dokuczać im.

– W świecie dzieci to nie jest takie proste – odparta z westchnieniem. – Można czasem zostać wyrzuconym poza nawias tylko dlatego, że jest się innym. Podobnie jest w świecie dorosłych, ale dzieci są okrutniejsze.

– A jak to konkretnie się przejawia?

Podawała mu przykłady. Poszczególne przypadki nie były poważne, lecz jeżeli szykany powtarzały się codziennie, na pewno dawały się dziecku we znaki. Coś przed nią chowali. Nie odzywali się do niej. Przedrzeźniali ją.

– A tobie w dzieciństwie dokuczali?

Tengo przypomniał sobie dzieciństwo.

– Chyba nie. A może dokuczali, tylko ja nie zauważyłem?

– Skoro nie zauważyłeś, to znaczy, że nikt ci nigdy nie dokuczał. Przecież celem jest

gnębienie ofiary. Nie może być mowy o dokuczaniu, jeżeli ten drugi tego nie czuje.

Tengo był od dzieciństwa potężnie zbudowany i silny. Wszyscy czuli przed nim respekt. Pewnie dlatego nikt go nie zaczepiał. Chociaż w tamtych czasach miał większe problemy niż dokuczanie.

– A ciebie kiedyś gnębili? – zapytał.

– Nie – odparła zdecydowanie. Potem jakby lekko się zawahała. – Ale ja kogoś gnębiłam.

– Razem z innymi dziećmi?

– Uhm. W piątej klasie podstawówki. Zmówiliśmy się i nie odzywaliśmy się do jednego chłopca. Za nic nie mogę sobie przypomnieć dlaczego. Pewnie był jakiś powód, ale ponieważ nie pamiętam, więc pewnie nie było to nic ważnego. W każdym razie jeszcze ciągle mi przykro z tego powodu. Wstydzę się tego. Dlaczego robiłam coś takiego? Nie rozumiem.

Tengo nagle skojarzyło się to z pewnym wydarzeniem. Było to dawno temu, ale wspomnienie przy różnych okazjach powracało. Nie mógł tego zapomnieć. Lecz nie powiedział jej o tym. To długa historia. A poza tym to było wydarzenie z rodzaju tych, których nie da się w pełni przekazać słowami. Nigdy jeszcze nikomu o tym nie mówił i pewnie w przyszłości też nie powie.

– W sumie chodzi o to – powiedziała jego kochanka – że każdy czuje się spokojniejszy, należąc do licznej grupy bojkotujących niż niewielkiej grupki bojkotowanych. Och, dobrze, że nie jestem po tamtej stronie, myślisz sobie. W każdej epoce, w każdym społeczeństwie jest zasadniczo tak samo – jeśli człowiek przyłączy się do większej grupy, nie ma problemów.

– A kiedy przyłączysz się do małej grupy, masz same problemy.

– Właśnie o to mi chodzi – powiedziała przygnębiona. – Ale w takim otoczeniu człowiek musi przynajmniej rozsądnie myśleć.

– No ale może myśli się rozsądnie tylko o tych problemach.

– To jest pewien kłopot.

– Lepiej zbyt poważnie się nad tym nie zastanawiać – powiedział Tengo. – W końcu nie dojdzie do niczego strasznego. W tej klasie jest na pewno kilkoro dzieci, które normalnie i rozsądnie myślą.

– Masz rację – odparła. Potem przez chwilę nad czymś się zastanawiała. Przez ten czas Tengo czekał cierpliwie ze słuchawką przy uchu, aż ona uporządkuje myśli.

– Dziękuję. Po rozmowie z tobą czuję się trochę lepiej – powiedziała po chwili. Zdawało się, że wpadła na jakiś pomysł.

– Ja też się trochę lepiej czuję – oznajmił Tengo.

– Dlaczego?

– Bo mogłem z tobą porozmawiać.

– Do przyszłego piątku.

* * *

Tengo odłożył słuchawkę i wyszedł z domu do pobliskiego supermarketu, żeby kupić coś do jedzenia. Wrócił z papierową torbą pod pachą. Owinął jarzyny i rybę przezroczystą folią i schował do lodówki. Kiedy później przygotowywał kolację, słuchając programu muzycznego stacji FM, odezwał się telefon. Prawie nigdy się nie zdarzało, żeby telefon Tengo zadzwonił aż cztery razy w ciągu jednego dnia. Miało to miejsce może kilka razy do roku. Tym razem dzwoniła Fukaeri.

– chodzi o niedzielę – powiedziała bez żadnego wstępu.

W tle było słycać ciągły dźwięk klaksonu. Jakiś kierowca musiał się czymś porządnie zdenerwować. Dziewczyna pewnie dzwoniła z budki przy dużej ulicy.

– W niedzielę, to znaczy pojutrze, spotkamy się, a potem pojedziemy na spotkanie z kimś innym – Tengo uzupełnił jej wypowiedź.

– dziewiąta rano dworzec shinjuku przód peronu do tachikawa – powiedziała. Podła kolejno trzy informacje.

– To znaczy spotkamy się na peronie linii Chūō przed pierwszym wagonem, tak?

– uhm

– Dokąd mam kupić bilet?

– wszystko jedno

– Mam kupić do dowolnej stacji, a jak dojedziemy, dopłacę różnicę? – domyślił się i uzupełnił Tengo. Przypominało to pracę nad poprawianiem *Powietrznej poczwarki*. – A czy pojedziemy gdzieś daleko?

– co pan robi – zapytała, ignorując jego pytanie.

– Robię kolację.

– co

– Mieszkam sam, więc nie szykuję nic specjalnego. Usmażę suszoną barakudę, zetnę do tego rzodkiew. Zrobię zupę z porami i małżami, dodam tofu. Przyrządzę też ogórki i wodorosty *wakame* w zalewie octowej. Do tego ryż i kiszoną chińską kapustę. To wszystko.

– smacznie brzmi

– Tak? Nie sądzę, że będzie szczególnie smaczne. Ciągłe jem prawie to samo – powiedział Tengo.

Fukaeri milczała. Zdawało się, że długie chwile milczenia jej nie przeszkadzają. Ale w przypadku Tengo było inaczej.

– A właśnie, od dziś zacząłem poprawianie twojej *Powietrznej poczwarki* – powiedział.

– Jeszcze nie dałaś mi ostatecznego pozwolenia, ale zostało niewiele dni, więc jeśli nie zacznę, to nie zdążę.

– pan komatsu panu tak powiedział

– Tak. Pan Komatsu powiedział mi, żebym zaczął poprawki.

- przyjaźni się pan z nim
- No tak. Może i się przyjaźnimy.

Chyba nikt na tym świecie nie był w stanie zaprzyjaźnić się z Komatsu. Ale gdyby to powiedział, zrobiłaby się z tego długa rozmowa.

- poprawianie idzie dobrze
- Na razie tak. Ogólnie mówiąc.

– to dobrze – powiedziała Fukaeri. Chyba nie mówiła tego po prostu z grzeczności. Brzmiało to tak, jakby na swój sposób cieszyła się, że robienie poprawek przebiega gładko. Tylko ograniczony sposób wyrażania uczuć nie pozwalał jej tego bardziej okazać.

- Mam nadzieję, że ci się spodoba – powiedział Tengo.
- spodoba nie martwię się o to – odrzekła natychmiast Fukaeri.
- Skąd wiesz? – zapytał Tengo.

Fukaeri nie odpowiedziała. Milczała po drugiej stronie słuchawki. Było to celowe milczenie. Jakby chciała go zmusić do zastanowienia. Lecz choć wyteżał umysł, nie miał pojęcia, skąd Fukaeri czerpie tę pewność.

Odezwał się, chcąc przerwać milczenie: – Słuchaj, chciałem cię o coś zapytać. Czy ty naprawdę mieszkałaś w takiej jakby komunie i hodowałaś kozę? Te opisy zdawały się bardzo realne. Dlatego chciałem się dowiedzieć, czy to się naprawdę stało?

Fukaeri lekko odchrząknęła.

- nie będę mówiła o kozie

– Dobrze – powiedział Tengo. – Jak nie chcesz mówić, nie musisz. Ja tylko zapytałem. Nie przejmuj się. Dla pisarza utwór jest wszystkim. Nie ma potrzeby dodawać niepotrzebnych wyjaśnień. Spotkajmy się w niedzielę. A czy przed spotkaniem z tą osobą powinienem na coś zwrócić uwagę?

- nie rozumiem

– To znaczy... czy mam na przykład porządnie się ubrać albo wziąć ze sobą jakiś upominek? Bo ja nic nie wiem na temat tej osoby.

Fukaeri znów zamilkła. Tym razem nie było to celowe milczenie. Nie mogła od razu zrozumieć pytania Tengo, ani pojąć takiego sposobu myślenia. To pytanie nie mogło znaleźć punktu zaczepienia w jej świadomości. Przekroczyło krawędź znaczenia i zostało na zawsze wessane w próżnię. Jak samotna rakietka badawcza, która minęła Pluton.

– Dobrze, to nic ważnego – poddał się Tengo. Pomyłką było w ogóle zadanie jej takiego pytania. Po prostu kupi jakieś owoce czy coś w tym stylu.

- No to w niedzielę o dziewiątej – powiedział.

Fukaeri poczekała parę sekund, a potem rozłączyła się bez słowa. Nie było „do widzenia” ani „to do niedzieli”. Po prostu rozmowa została przerwana.

A może skinęła potakująco głową i dopiero wtedy się rozłączyła? Niestety, przez telefon gesty traciły wszelkie znaczenie. Tengo odłożył słuchawkę, wziął dwa głębokie oddechy,

chcąc przestawić obwody w głowie na bardziej rzeczywiste, a potem wrócił do przygotowywania swego skromnego posiłku.

Rozdział siódmy – Aomame

Cicho, by nie obudzić motyla

W sobotę po pierwszej Aomame odwiedziła Wierzbowy Dwór. Rosło tam wiele ogromnych starych wierzb. Ich gałęzie wystawały ponad kamiennym ogrodzeniem. Gdy wiał wiatr, drżały bezszelestnie jak grupa dusz, które nie miały się gdzie podziać. Dlatego okoliczni mieszkańcy już dawno nazwali tę starą willę w zachodnim stylu Wierzbowym Dworem. Dom stał na szczycie stromego wzgórza w Azabu. Na dachu w plamie słońca wygrzewał się ze zmrużonymi ślepiami wielki kot. Na gałęziach wierzb siedziały małe ptaszki. Pobliskie uliczki były wąskie i kręte. Rzadko przejeżdżały nimi samochody. Dzięki wielu wysokim drzewom nawet w południe panował tu półmrok. Przechodnie mieli wrażenie, że w tej okolicy czas nieco zwalnia bieg. W pobliżu znajdowało się kilka ambasad, lecz kręciło się niewiele osób. Zwykle panowała cisza, tylko latem było zupełnie inaczej – uszy bolały od grania cykad.

Aomame wcisnęła dzwonek przy bramie i powiedziała do interkomu swoje nazwisko. Potem zwróciła do kamery lekko uśmiechniętą twarz. Żelazna automatyczna brama powoli się otworzyła, a gdy Aomame weszła do środka, zamknęła się za nią. Aomame jak zawsze przeszła przez ogród i skierowała się ku domowi. Wiedziała, że cały czas obserwuje ją kamera, więc szła ścieżką wyprostowana, z głową do góry, jak modelka na wybiegu. Dziś ubrana była swobodnie: granatowa wiatrówka, szara bluza z kapturem i niebieskie džinsy. Do tego białe buty do koszykówki i torba na ramię. Teraz nie miała w niej tego niby-szpikulca do lodu. Kiedy nie był potrzebny, leżał sobie spokojnie w szufladzie komody.

Przed wejściem stało kilka ogrodowych krzeseł z drzewa tekowego, na jednym z nich siedział, z trudem się w nim mieszcząc, dobrze zbudowany mężczyzna. Był niezbyt wysoki, ale jego potężny tors rzucał się w oczy. Pewnie koło czterdziestki. Ogolona głowa, zadbane wąsiki, szerokie bary. Ubrany był w szary garnitur, bielusięnką koszulę i ciemnoszary jedwabny krawat. Do tego nieskazitelne czarne buty z lśniącej skóry. W uszach srebrne kolczyki. Nie wyglądał na pracownika księgowości urzędu dzielnicowego ani na sprzedawcę ubezpieczeń samochodowych. Na pierwszy rzut oka sprawiał wrażenie zawodowego ochroniarza i rzeczywiście tym właśnie się trudził. Czasami pełnił też funkcję szofera. Miał

mistrzowski stopień w karate, a w razie potrzeby umiał skutecznie posługiwać się bronią. Potrafił też pokazać ostre kły i stać się niezwykle brutalny. Lecz zwykle był pogodny, chłodny, a nawet sprawiał wrażenie intelektualisty. W oczach – jeżeli pozwolił w nie zajrzeć – krył się ciepły blask.

W życiu prywatnym jego hobby stanowiło grzebanie w różnych maszynach i zbieranie płyt progresywnego rocka z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Mieszkał gdzieś w Azabu z młodszym od siebie chłopakiem, przystojnym fryzjerem. Nazywał się Tamaru. Nie wiadomo było, czy to nazwisko, czy imię. Nie wiadomo też, jakimi znakami się je zapisuje. Lecz ludzie zwracali się do niego per „panie Tamaru”.

Nie podnosząc się z krzesła, Tamaru skłonił lekko głowę w stronę Aomame.

– Dzień dobry – powiedziała i usiadła na krześle naprzeciw niego.

– Podobno jakiś facet umarł w hotelu w Shibuya – powiedział Tamaru, sprawdzając, czy skórzane buty błyszczą jak trzeba.

– Pierwsze słyszę – rzekła Aomame.

– Bo to nie aż tak ważne, żeby pisali o tym gazetach. Wygląda na to, że miał zawał. Szkoda go, bo był ledwo po czterdziestce.

– Na serce lepiej uważać.

Tamaru przytaknął.

– Ważne jest, jakie życie człowiek wiezie. Nieregularny tryb życia, stresy, brak snu. Takie rzeczy potrafią zabić.

– Prędzej czy później każdego coś zabije.

– Logicznie biorąc to prawda.

– Ciekawe czy zrobią sekcję – powiedziała Aomame.

Tamaru pochylił się i strzepnął z buta niewidoczny pyłek.

– Policja ma dużo roboty. Budżet też mają ograniczony. Nie mogą sobie pozwolić na robienie sekcji zwłok, jeśli nie ma widocznych obrażeń. Rodzina też pewnie wołałaby, żeby niepotrzebnie nie kroili człowieka, który sobie spokojnie umarł.

– Szczególnie wdowa.

Tamaru milczał przez chwilę, a potem wyciągnął do niej prawą rękę wielkości rękawicy baseballowej. Aomame uścisnęła ją. Był to mocny uścisk.

– Pewnie się zmęczyłaś. Powinnaś odpocząć – powiedział Tamaru.

Aomame uniosła nieco kąciki ust. Kiedy ludzie tak robili, zwykle lekko się uśmiechali, lecz na jej ustach nie pojawił się uśmiech. Była tam tylko jakby jego sugestia.

– Jak się ma Bun? – zapytała.

– Dobrze – odpowiedział Tamaru. Bun był owczarkiem niemieckim mieszkającym w tym domu. Mądry pies, o dobrym charakterze, miał tylko kilka nieco dziwnych upodobań.

– Ciągłe je szpinak? – zapytała Aomame.

– Bardzo dużo. Ostatnio szpinak jest drogi, więc niemal nas to rujnuje. No bo przecież je

go w strasznych ilościach.

- Nigdy nie widziałam wilczura lubiącego szpinak.
- On nie uważa się za psa.
- A za co się uważa?
- Uważa się chyba za szczególną istotę będącą ponad takimi klasyfikacjami.
- Superdog?
- Może.
- Dlatego lubi szpinak?
- Nie, to nie ma z tym nic wspólnego. Po prostu lubi szpinak. Lubił już jako szczeniak.
- Ale może przez to zaczął mieć niebezpieczne myśli?
- To niewykluczone – powiedział Tamaru. Potem spojrzął na zegarek. – A właśnie, dziś

umówiłaś się zdaje się o pół do drugiej?

Aomame skinęła głową.

– Tak, jeszcze mam trochę czasu.

Tamara powoli się podniósł.

– Poczekaj chwilę. Może uda mi się trochę przyspieszyć – powiedział i zniknął we wnętrzu domu.

Aomame czekała, patrząc na wspaniałe wierzby. Nie było wiatru, witki spokojnie zwisały aż do ziemi. Jak ludzie pogrążeni w abstrakcyjnych myślach.

Wkrótce wrócił Tamara.

– Zajdziemy od tyłu. Dziś chciałaby się z tobą spotkać w cieplarni.

Obeszli ogród, minęli wierzby i skierowali się do cieplarni. Znajdowała się za domem. Wokół nie było drzew, by nie blokowały słońca. Tamara ostrożnie – nie chcąc wypuścić motyli – otworzył szklane drzwi i przepuścił Aomame, a potem sam wślizgnął się do środka i natychmiast zamknął je za sobą. Nie było to łatwe dla tak potężnie zbudowanego człowieka, choć ruchy miał celowe i szybkie. Po prostu nie było to łatwe.

W otoczonej szklanymi ścianami obszernej cieplarni panowała niepowstrzymana pełnia wiosny. Jak szalone kwitły pięknie przeróżne kwiaty. W większości były to dość zwyczajne rośliny. Półki wypełniały doniczki z mieczykami, anemonami, rumiankami – kwiatami, które wszędzie można znaleźć. Z punktu widzenia Aomame były wśród nich także zwykłe chwasty. Nie dostrzegła ani jednej kosztownej orchidei, rzadkiej róży, kwiatu z Polinezji o jaskrawej barwie, nic niezwykłego. Aomame nie była szczególnie zainteresowana roślinami, ale mimo to podobała jej się bezpretensjonalność tej cieplarni.

Za to mieszały tu liczne motyle. W tym dużym przeszklonym pomieszczeniu właścicielkę zdaje się znacznie bardziej interesowała hodowla niezwykłych motyli niż niezwykłych kwiatów. Dlatego też rosły tu głównie rośliny bogate w nektar i lubiane przez motyle. Hodowla motyli w cieplarni wymaga nadzwyczajnej troski, wiedzy i wysiłku. Aomame nie miała pojęcia, kto się o nie troszczy.

Starsza pani czasem zapraszała tu Aomame – z wyjątkiem najgorętszych letnich miesięcy – bo mogły tu rozmawiać tylko we dwie. Nie musiały się obawiać, że ktoś je podsłucha. Rozmowa nie była z gatunku tych, które można prowadzić wszędzie i otwarcie. Poza tym otoczenie kwiatów i motyli jakoś uspokajało starszą panią. Dało się to poznać po wyrazie jej twarzy. Aomame było w cieplarni trochę za gorąco, ale dawało się wytrzymać.

Gospodyni była drobną, około siedemdziesięcioletnią kobietą. Piękne siwe włosy miała krótko ostrzyżone. Miała na sobie dżinsową roboczą koszulę z długimi rękawami i kremowe bawełniane spodnie, do tego nosiła przybrudzone tenisówki. W białych bawełnianych rękawiczkach podlewała dużą blaszaną konewką rośliny w doniczkach. Wszystkie jej ubrania były o numer za duże, lecz zdawały się wygodne. Przy każdym spotkaniu Aomame czuła szacunek dla jej naturalnej bezpretensjonalnej gracji.

Przed wojną starsza pani wyszła za mąż za syna arystokratycznej rodziny. Choć była córką znanego plutokraty, nie wydawała się pretensjonalna ani wychuchana. Zaraz po wojnie straciła męża i dołączyła do zarządzania niewielką firmą inwestycyjną należąca do rodziny. Wykazała się wtedy wyjątkowym talentem do obrotu akcjami. Były to prawdziwe naturalne zdolności, oczywiście dla każdego. Firma inwestycyjna błyskawicznie rozwinęła się dzięki jej wkładowi, prywatny majątek, który pozostawił jej mąż, bardzo wzrósł. Z tego kapitału nabyła w stolicy pierwszej klasy nieruchomości, które dawniej należały do innych arystokratycznych rodzin oraz rodziny cesarskiej. Dziesięć lat temu przeszła na emeryturę. Wybrawszy odpowiedni moment, sprzedała posiadane akcje i jeszcze powiększyła swój majątek. Ponieważ starannie unikała pokazywania się w miejscach publicznych, jej nazwisko nie było znane w szerszych kręgach, lecz w kołach ekonomicznych słyszał o niej każdy. Mówiono też, że ma rozległe znajomości w świecie polityki. W prywatnych kontaktach zdawała się życzliwa i mądra. A także nieustraszona. Wierzyła we własną intuicję, jeśli raz się na coś zdecydowała, realizowała to do końca.

Na widok Aomame odstawiła konewkę i wskazała stojące przy wejściu niewielkie metalowe ogrodowe krzesło. Aomame usiadła na tym, a starsza pani na drugim, naprzeciw niej. Wszystko robiła prawie bezszelestnie. Jak przemyślny lis wędrujący przez las.

– Może przyniosę paniom coś do picia? – zapytał Tamaru.

– Dla mnie gorącą ziołową herbatę – powiedziała i spojrzała na Aomame. – A dla pani?

– To samo – odparła Aomame.

Tamaru skinął lekko głową i rozejrzał się, sprawdzając, czy w pobliżu nie ma motyli, uchylił drzwi, błyskawicznie się wyślizgnął i znów je zamknął. Wyglądało to jak kroki jakiegoś tańca towarzyskiego.

Starsza pani zdjęła rękawiczki i położyła je starannie na stoliku, jakby to nie były zwykłe bawełniane rękawiczki do pracy, a jedwabne, wieczorowe. Potem spojrzała prosto na Aomame swoimi czarnymi oczami pełnymi blasku. Te oczy niejedno już widziały. Aomame odwzajemniła spojrzenie na tyle, na ile pozwalało dobre wychowanie.

– Podobno zlikwidowaliśmy nieodżałowanego faceta – powiedziała starsza pani. – Ponoć był dość znany w kręgach naftowych. Jeszcze młody, ale bardzo wpływowy.

Zawsze mówiła cichym głosem. Tak cichym, że silniejszy wiatr z pewnością by go zagłuszył. Dlatego rozmówca zawsze musiał uważnie się wsłuchiwać. Aomame czasami miała ochotę wyciągnąć rękę i przekręcić w prawo gałkę, żeby zrobić głośniejsze. Ale oczywiście takiej gałki nigdzie nie było. Dlatego pozostawało tylko siedzieć i w napięciu słuchać.

Aomame powiedziała: – Ale z tego co widać, jego nagłe zniknięcie nie wywołało szczególnych komplikacji. Świat dalej kręci się normalnie.

Starsza pani uśmiechnęła się.

– Przede wszystkim na tym świecie nie ma ludzi niezastąpionych. Choćby ktoś był nie wiem jak mądry i utalentowany, zazwyczaj znajdzie się gdzieś jakiś zastępca. Gdyby świat był pełen ludzi niezastąpionych, mielibyśmy prawdziwy kłopot. Oczywiście... – zaczęła. Jakby dla podkreślenia uniosła wskazujący palec prawej ręki – ...nie da się łatwo znaleźć kogoś, kto by mógł zastąpić panią.

– Może to prawda, ale na pewno nie byłoby takie trudne znalezienie jakiegoś zastępczego środka – zauważyła Aomame.

Starsza pani patrzyła na nią w milczeniu. Na jej ustach pojawił się pełen satysfakcji uśmiech.

– Może tak – powiedziała. – Ale gdyby nawet tak było, prawdopodobnie nigdzie nie udałoby się znaleźć tego, co nas tutaj teraz łączy. Pani jest panią i nikt inny nie mógłby zająć jej miejsca. Jestem panią bardzo wdzięczna. Nie da się wyrazić słowami jak bardzo. Pochyliła się i nakryła swoją dłonią dłoń Aomame. Trzymała ją w ten sposób jakieś dziesięć sekund. Potem zabrała rękę i usatysfakcjonowana się wyprostowała. Latający wokoło motyl przysiadł na ramieniu jej niebieskiej roboczej koszuli. Był to niewielki biały motylek. Miał na skrzydełkach kilka purpurowych plamek. Przysnął sobie, jakby strach był mu całkiem obcy.

– Prawdopodobnie nigdy przedtem nie widziała pani takiego motyla – powiedziała starsza pani, zerkając na swoje ramię. W jej głosie była leciutka nuta przechwałki. – Nawet na Okinawie trudno go znaleźć. Żywi się tylko nektarem z jednego rodzaju kwiatu. Ze szczególnego kwiatu, który rośnie jedynie w górach Okinawy. Żeby hodować tego motyla, trzeba najpierw sprowadzić tu te kwiaty i zacząć je hodować. To dość duży kłopot. I oczywiście duże pieniądze.

– Wydaje się, że bardzo panią polubił.

Starsza pani uśmiechnęła się.

– On mnie uważa za przyjaciółkę.

– Można się zaprzyjaźnić z motylem?

– Żeby się zaprzyjaźnić z motylem, trzeba najpierw stać się częścią przyrody. Przestać robić wrażenie człowieka, siedzieć nieruchomo, zacząć o sobie myśleć jak o drzewie, trawie

czy kwiatku. To zajmuje dużo czasu, ale jak już raz mi coś zaufa, w naturalny sposób się zaprzyjaźniamy.

– Czy pani nadaje motylom imiona? – zapytała zaciekawiona Aomame. – To znaczy, tak jak psom i kotom, każdemu inne?

Starsza pani lekko potrząsnęła głową.

– Nie nadaję imion motylom. Nawet bez imion można je odróżnić po plamkach czy kształcie. A poza nie ma sensu tego robić, bo szybko umierają. To tylko chwilowi bezimienni przyjaciele. Przychodzę tu codziennie, widuję się z motylami, witam się z nimi, rozmawiam o różnych rzeczach. Lecz kiedy nadchodzi ich pora, znikają gdzieś. Szukam ich, ale nigdy nie znajduję martwych. Znikają bez śladu, jakby rozplynęły się w powietrzu. Motyle to stworzenia pełne ulotnej gracji. Nie wiadomo, skąd się biorą, mają skromne i ograniczone pragnienia i wkrótce gdzieś cicho znikają. Prawdopodobnie w jakimś innym świecie.

Powietrze w cieplarni było ciepłe, wilgotne, pełne zapachu roślin. Motyle pojawiały się i znikwały, jak chwilowe znaki przestankowe przecinające nurt świadomości niemającej początku ani końca. Zawsze kiedy przychodziła do tej cieplarni, Aomame miała wrażenie, że traci poczucie czasu.

Wrócił Tamaru z metalową tacą, na której stał czajniczek do herbaty z jasnozielonej porcelany i dwie filiżanki z tego samego kompletu. Były tam też lniane serwetki i talerzyk kruchych ciasteczek. Zapach ziołowej herbaty zmieszał się z wonią kwiatów.

– Dziękuję, Tamaru. Z resztą sobie poradzimy – powiedziała starsza pani.

Tamaru postawił tacę na ogrodowym stoliku, uklonił się i bezszelestnie oddalił. Tak samo jak przedtem wykonał serię lekkich kroków, otworzył, zamknął drzwi i wyszedł z cieplarni. A ona podniosła pokrywkę czajniczka, powąchała, sprawdziła, czy herbata się zaparzyła, i niespiesznie napełniła filiżanki. Bardzo uważnie, by w obu była równie mocna.

– Może nie powinnam się wtrącać, ale dlaczego nie założy pani w drzwiach siatki? – zapytała Aomame.

Starsza pani podniosła głowę i spojrzała na Aomame.

– Siatki?

– Tak. Gdyby założyła pani wewnątrz drzwi z siatki i zrobiła podwójne, nie trzeba by przy wchodzeniu i wychodzeniu uważać, żeby motyle nie uciekły.

Starsza pani podniosła lewą ręką talerzyk, prawą ujęła filiżankę, przysunęła ją do ust i wypila łyk ziołowej herbaty. Posmakowała i lekko skinęła głową. Odstawiła filiżankę na talerzyk, a talerzyk na tacę. Lekko przycisnęła serwetkę do ust, położyła na kolanach. Te czynności zajęły jej lekko licząc trzy razy więcej czasu niż normalnemu człowiekowi. Jak elf spijający pożywną rosę w głębi lasu, pomyślała Aomame.

Potem lekko odchrząknęła.

– Nie lubię siatek – powiedziała.

Aomame w milczeniu czekała bezskutecznie na ciąg dalszy, lecz nie nastąpił. Niejasne

pozostało, czy starsza pani nie lubi siatek z powodu ogólnie niechętnego stosunku do rzeczy ograniczających wolność, czy ze względów estetycznych, czy też jest to niczym nieuzasadniona fizjologiczna niechęć. Ale w tej chwili nie był to specjalnie ważny problem. Aomame zapytała, bo nagle przyszło jej to na myśl.

Tak samo podniosła filiżankę na talerzyku i bezgłośnie wypła łyk ziołowej herbaty. Nie przepadała za nią. Wolała czarną jak noc, diabelsko gorącą i mocną kawę. Lecz taki napój raczej nie pasowałby do atmosfery cieplarni wczesnym popołudniem. Dlatego tutaj zawsze prosiła o ten sam napój co gospodyni. Starsza pani zaproponowała jej ciasteczko, więc Aomame zjadła jedno. Ciasteczka imbirowe. Jeszcze gorące, pachniały świeżym imbirem. Aomame przypomniała sobie, że starsza pani przed wojną spędziła pewien czas w Anglii. Gospodyni też wzięła ciasteczko i ugryzła kawałeczek. Leciutko i cicho, żeby nie obudzić śpiącego na ramieniu motyla.

– Kiedy będzie pani wychodziła, Tamaru jak zwykle da pani klucz – powiedziała. – Po załatwieniu sprawy, proszę go odesłać pocztą. Jak zawsze.

– Dobrze.

Przez chwilę trwała pogodna cisza. Do zamkniętej cieplarni nie dochodziły żadne dźwięki z zewnątrz. Motyl spał spokojnie dalej.

– Nie robimy niczego niewłaściwego – powiedziała starsza pani, patrząc jej prosto w oczy.

Aomame lekko przygryzła wargi, potem skinęła głową.

– Wiem.

– Proszę zajrzeć do tej koperty.

Aomame podniosła ze stolika wskazaną kopertę, wyjęła z niej siedem zrobionych polaroidem zdjęć i ułożyła je obok eleganckiego, jasnozielonego porcelanowego czajniczka. Jakby rozkładała złowrózbnne karty do tarota. Sfotografowano na nich różne części ciała nagiej kobiety. Plecy, piersi, pośladki, uda. Nawet podeszwy stóp. Nie było tylko zdjęcia twarzy. Ślady przemocy pozostały na ciele w postaci sińców i pręg. Wyglądało na to, że ktoś użył pasa. Włosy łonowe ogolono, wokół widać było ślady wypalone papierosem. Aomame mimowolnie się skrzywiła. Widziała przedtem podobne zdjęcia, lecz nie były aż tak straszne.

– Wcześniej ich pani nie widziała, prawda?

Aomame skinęła tylko głową.

– Słyszałam w ogólnych zarysach, ale zdjęcia widzę po raz pierwszy.

– To zrobił ten mężczyzna. Trzy złamania zostały wyleczone, ale w jednym uchu nieodwracalnie straciła słuch. – Nadal mówiła cicho, lecz jej ton stał się bardziej zimny i twardy. Jakby zdziwiony tą zmianą śpiący na jej ramieniu motyl obudził się, rozłożył skrzydełka i uniósł się w powietrze.

Starsza pani mówiła dalej: – Temu, kto tak postępuje, po prostu nie można na to pozwolić. Bez względu na wszystko.

Aomame zebrała zdjęcia i schowała do koperty.

– Nie uważa pani?

– Uważam – zgodziła się.

– Postąpiliśmy słusznie – powiedziała właścicielka.

Wstała z krzesła i prawdopodobnie chcąc uspokoić wzburzone nerwy, podniosła stojącą obok konewkę. Zupełnie jakby brała do ręki jakąś wymyślną broń. Jej twarz nieco pobladła. Przenikliwe spojrzenie wbiła w kąt cieplarni. Aomame powiodła oczami za jej wzrokiem, lecz nic niezwykłego nie dostrzegła. Była tam jedynie doniczka z ostem.

– Dziękuję, że się pani specjalnie fatygowała. Dziękuję – powiedziała starsza pani z pustą konewką w dłoni. Wyglądało na to, że to koniec spotkania.

Aomame także się podniosła, wzięła do ręki torebkę.

– Dziękuję za herbatę.

– Jeszcze raz pani dziękuję – powiedziała starsza pani.

Aomame lekko się uśmiechnęła.

– O nic nie musi się pani martwić – dodała starsza pani. Jej ton nie wiadomo kiedy znów stał się pogodny jak zawsze. W oczach miała ciepły blask. Lekko położyła dłoń na ramieniu Aomame. – Bo postąpiliśmy słusznie.

Aomame skinęła głową. Wszystko kończyło się zawsze tym stwierdzeniem. Prawdopodobnie ona sama to sobie powtarza, pomyślała. Jak mantrę czy modlitwę. „O nic nie trzeba się martwić. Bo postąpiliśmy słusznie”.

Aomame sprawdziła, że w pobliżu nie ma motyli, uchyliła drzwi cieplarni, wyszła i zamknęła je za sobą. Zostawiła starszą panią z konewką w dłoni. Po wyjściu z cieplarni powietrze na dworze zdawało się chłodne i świeże. Pachniało drzewami i trawą. Tu był rzeczywisty świat. Czas płynął jak zawsze. Aomame nabrała w płuca mnóstwo tego rzeczywistego powietrza.

* * *

Przy wejściu do domu czekał Tamaru. Siedział na tym samym krześle z drzewa tekowego. Miał jej przekazać klucz do skrytki.

– Załatwiłście sprawę? – zapytał.

– Myślę, że załatwiłyśmy – powiedziała Aomame. Usiadła obok niego, wzięła klucz i schowała do torebki.

Przez pewien czas siedzieli bez słowa, obserwując przylatujące do ogrodu ptaki. Wiatr znowu całkowicie ustał, witki wierzby zwisały spokojnie. Kilka z nich prawie dotykało ziemi.

– Czy ta kobieta doszła już do siebie? – zapytała Aomame.

– Która kobieta?

– Chodzi mi o żonę tego faceta, który miał zawał w hotelu w Shibuya.

– Na razie nie da się powiedzieć, że doszła do siebie – rzeki Tamaru, krzywiąc się. – Jeszcze cierpi wskutek doznanego wstrząsu. Nie bardzo może mówić. Potrzeba czasu.

– Jaka jest?

– Trzydzieści parę lat. Nie ma dzieci. Bardzo ładna, sympatyczna. Ma też zupełnie niezłą figurę. Ale niestety tego lata nie będzie mogła się pokazać w kostiumie kąpielowym. Pewnie przyszłego lata też nie. Widziałaś zdjęcia z polaroida?

– Przed chwilą widziałam.

– Straszne, prawda?

– Tak, rzeczywiście.

– To się często zdarza. W oczach opinii publicznej mężczyzna jest człowiekiem sukcesu. Ludzie go cenią, jest z dobrej rodziny, wykształcony, ma wysoką pozycję społeczną.

– Ale kiedy wraca do domu, zmienia się w innego człowieka – dokończyła Aomame. – Szczególnie po wypiciu staje się brutalny. Taki typ używa siły tylko w stosunku do kobiet. Bije tylko żonę. Na zewnątrz jest ideałem. Ludzie myślą, że to porządny, dobry mąż. Kiedy żona zaczyna się skarżyć i opowiadać o swojej strasznej sytuacji, nie wierzą jej. Mężczyzna o tym wie, więc kiedy się nad nią znęca, wybiera miejsca, których ona nie może innym pokazać. Albo robi to tak, by nie zostały ślady. O tym mówisz?

Tamaru skinął głową.

– Z grubsza biorąc. Tylko on nie pije ani kropli. Robi to na trzeźwo w biały dzień. To jeszcze bardziej podłe. Ona chciała rozwodu. Ale on uparcie odmawiał. Może ją kochał. A może nie chciał stracić ofiary, która zawsze była pod ręką. Albo może lubił ją brutalnie gwałcić?

Tamaru uniósł lekko stopę i ponownie sprawdził, czy buty mu lśnią. Potem mówił dalej.

– Oczywiście, gdyby pokazała dowody brutalności męża, dostałaby rozwód, ale rozwód zabiera dużo czasu i wymaga dużych pieniędzy. Jeżeli druga strona ma zręcznego prawnika, może dojść do nieprzyjemnych sytuacji. Sądy rodzinne są przeciążone, brakuje sędziów. A do tego nawet jeśli dojdzie do rozwodu i zostanie wyznaczone odszkodowanie czy alimenty, niewielu mężczyzn porządnie je płaci. Jakoś udaje im się wykręcić. W Japonii praktycznie się nie zdarza, żeby były mąż trafił do więzienia za niezapłacenie odszkodowania. Jeżeli pokaże, że ma wolę płacenia i ileś tam na pokaz wyasygnuje, sąd patrzy na to przez palce. Społeczeństwo japońskie jest jeszcze ciągle zbyt pobłażliwe dla mężczyzn.

– Dobrze się więc złożyło, że kilka dni temu ten brutal dostał zawału w hotelu w Shibuya.

– Wyrażenie, że dobrze się złożyło jest troszeczkę zbyt bezpośrednie – powiedział Tamaru, lekko cmokając językiem. – Ja osobiście preferuję „wolę nieba”. Tak czy inaczej przyczyna zgonu nie wzbudziła niczyich podejrzeń, suma ubezpieczenia nie jest aż tak wysoka, żeby zwracała uwagę, więc firma ubezpieczeniowa nie ma wątpliwości. Powinni bez problemów zapłacić. A to jest całkiem pokaźna suma. Dzięki pieniądзом z ubezpieczenia

żona będzie mogła zrobić pierwszy krok na nowej drodze życia. A do tego zaoszczędzi pieniądze i czas, których wymagałoby postępowanie rozwodowe. Udało się uniknąć irytujących, bezsensownych formalności prawnych i urazów psychicznych wywołanych przez dalsze kłopoty.

– A do tego taki bydlak nie będzie chodził samopas po świecie i nie znajdzie gdzieś nowej ofiary.

– Wola nieba – powiedział Tamaru. – Dzięki zawałowi serca wszystko się gładko rozwiązało. Wszystko dobre, co się dobrze kończy.

– Jeżeli jest w tym gdzieś jakiś koniec – dodała Aomame.

Tamaru utworzył koło ust niewielką zmarszczkę, która kojarzyła się z uśmiechem.

– Gdzieś na pewno jest koniec. Tylko nie ma tam napisu: „Tu jest koniec”. Czy na ostatnim szczeblu drabiny jest napisane: „To ostatni szczebel. Proszę dalej nie wchodzić”?

Aomame potrząsnęła głową.

– Z tym jest tak samo – powiedział Tamaru.

– Jeżeli człowiek będzie się kierował rozsądkiem i miał oczy szeroko otwarte, to gdzie jest koniec, będzie oczywiste.

Tamaru przytaknął.

– Nawet jeżeli się nie zorientuje... – zrobił palcami gest spadania – tak czy inaczej, tam będzie koniec.

Siedzieli przez chwilę w milczeniu, słuchając śpiewu ptaków. Było pogodne kwietniowe popołudnie. Nigdzie ani śladu złej woli czy brutalności.

– Ile kobiet tu teraz przebywa? – zapytała Aomame.

– Cztery – odpowiedział bez wahania Tamaru.

– Są w takiej samej sytuacji?

– Mniej więcej w podobnej – odrzekł Tamaru. Potem wydał wargi. – Ale pozostałe trzy przypadki nie były aż tak poważne. Wszyscy mężczyźni to jak zwykle beznadziejni dranie, ale nie są aż tak źli jak ten, o którym mówiliśmy. Zera, które się tylko bez powodu stawiają. Tobie nie warto zwracać nimi głowy. Powinniśmy sobie sami z nimi poradzić.

– Legalnie.

– Z grubsza legalnie. Może się zdarzyć, że ich trochę postraszymy. Oczywiście zawał to też legalna przyczyna zgonu.

– Oczywiście – przytaknęła Aomame.

Tamaru milczał przez chwilę, siedząc z rękami na kolanach i wpatrując się w zwisające spokojnie wierzbowe witki.

Po krótkim wahaniu Aomame powiedziała: – Słuchaj, Tamaru, chciałabym cię o coś zapytać.

– O co?

– Ile lat temu w policji zmienili mundury i pistolety?

Tamaru lekko zmarszczył brwi. W jej głosie musiał być jakiś ton, który obudził jego czujność.

– Dlaczego nagle pytasz o coś takiego?

– Bez specjalnego powodu. Niedawno nagle o tym pomyślałam.

Tamaru spojrzał jej w oczy. Jego spojrzenie było bardzo neutralne, lecz jednocześnie pozbawione wyrazu. Zostawiał sobie margines, żeby móc swym oczom nadać taki wyraz, jaki chciał.

– Strzelanina między policją prefektury Yamanashi a ekstremistami w pobliżu jeziora Motosu miała miejsce w połowie października osiemdziesiątego pierwszego, a w następnym roku były duże reformy w policji. Dwa lata temu.

Aomame kiwnęła głową, nie zmieniając wyrazu twarzy. Nie pamiętała takiego wydarzenia, ale musiała przed nim udawać, że wie, o co chodzi.

– To była prawdziwa jatka. Starego typu rewolwery sześciopalcowe przeciwko pięciu kałasznikowom AK47. Nie mieli szans. Trzech biednych policjantów podziurawionych jakby ich ktoś przeszył na maszynie. Od razu przywieźli helikopterami specjalne jednostki powietrzno-desantowe Sił Samoobrony. Policja się skompromitowała. Zaraz potem premier Nakasone postanowił poważnie zabrać się do wzmocnienia jej sił. Były zmiany organizacyjne na wielką skalę, stworzono specjalnie uzbrojone jednostki i wszyscy policjanci zaczęli nosić bardzo skuteczne pistolety automatyczne. Beretty model 92. Strzelałaś kiedyś z takiego?

Aomame potrząsnęła głową. Chyba żartuje. Nie strzelała nawet z wiatrówki.

– Ja strzelałem – powiedział Tamaru. – Z piętnastopalcowego automatycznego. Używa się w nim dziewięćmilimetrowych kul parabellum. Ta broń cieszy się dobrą opinią, stanowi wyposażenie armii amerykańskiej. Nie jest tania, ale popularna, bo nie aż tak droga jak glock czy sig. Ale trudno się nią posługiwać amatorowi. Wcześniejsze rewolwery policyjne ważyły tylko czterysta dziewięćdziesiąt gramów, a ten aż osiemset pięćdziesiąt. Uzbrojenie czymś takim kiepsko wyszkolonych japońskich policjantów na nic się nie zdało. Jeśli w takim zatłoczonym kraju pojawi się tyle broni o doskonałej skuteczności, ucierpią na tym zwykli obywatele.

– Gdzie z tego strzelałeś?

– No wiesz, jak to zwykle. Pewnego razu grałem przy źródelku na harfie, gdy skądś pojawiła się wróżka, podała mi berettę model 92 i powiedziała, żebym na próbę strzelił do białego zajaczka.

– Poważnie pytam.

Tamaru pogłębił nieco zmarszczki wokół ust.

– Ja zawsze mówię poważnie – powiedział. – W każdym razie oficjalne uzbrojenie i mundury zmieniły się wiosną dwa lata temu. Mniej więcej w tym okresie co teraz. Czy taka odpowiedź ci wystarczy?

– Dwa lata temu – powtórzyła.

Tamaru jeszcze raz spojrział na nią przenikliwie.

– Jeżeli coś ci nie daje spokoju, lepiej mi powiedz. Czy jakiś policjant ma z tym związek?

– Nie o to chodzi – powiedziała Aomame. Potrząsnęła lekko w powietrzu ręką. – Tylko tak jakoś... ta kwestia mundurów nie dawała mi spokoju. To, kiedy się zmieniły.

Przez pewien czas trwało milczenie, rozmowa w naturalny sposób dobiegła końca. Tamaru jeszcze raz wyciągnął prawą dłoń.

– Dobrze, że wszystko się udało – powiedział. Aomame uściśnęła jego rękę. On wie, pomyślała. Wie, że po wykonaniu ciężkiej pracy, od której zależy ludzkie życie, potrzebne jest człowiekowi ciche i ciepłe wsparcie, jakie niesie w sobie dotyk czyjś ciała.

– Weź urlop – powiedział Tamaru. – Czasami trzeba zwolnić, wziąć głęboki oddech, opróżnić głowę ze wszystkich myśli. Pojedź z chłopakiem na Guam.

Aomame wstała, zarzuciła torbę na ramię, poprawiła kaptur bluzy. Tamaru też się podniósł. Nie był właściwie wysoki, ale kiedy wstawał, zdawało się, że wyrasta przed człowiekiem mur. Zawsze dziwiła ją ta jego masywność.

Tamaru odprowadzał ją wzrokiem, gdy odchodziła. Idąc, czuła na plecach jego spojrzenie. Dlatego podniosła głowę, wyprostowała plecy i szła prosto zdecydowanym krokiem. Choć na zewnątrz nie było tego widać, w jej sercu panował zamęt. W jakimś nieznanym jej miejscu działały się jedna po drugiej dziwne rzeczy. Jeszcze do niedawna świat był dla niej jasny jak słońce. Nie było w nim żadnych niepowodzeń ani sprzeczności. Ale teraz zaczynał się rozpadać w drobne kawałki.

Strzelanina nad jeziorem Motosu? Beretta model 92?

Co się dzieje? Niemożliwe, żeby Aomame przegapiła takie ważne wiadomości. Coś zaczęło się psuć w systemie świata. Szła, a tryby w jej głowie błyskawicznie się obracały. Bez względu na to co się stało, musi jakoś znów połączyć ten świat w jedno. Musi go znów napęłnić logiką. I to jak najszybciej. Jeśli tego nie zrobi, kto wie, do czego może dojść.

Tamaru prawdopodobnie dostrzegł jej wewnętrzny zamęt. To niezwykle ostrożny człowiek obdarzony wyjątkową intuicją. Do tego niebezpieczny. Czuje głęboki szacunek dla starszej pani, jest jej lojalnie oddany. Zrobiłby nieomal wszystko, żeby zapewnić jej bezpieczeństwo. Aomame i Tamara doceniali się nawzajem i mieli w stosunku do siebie wiele dobrej woli. A przynajmniej czegoś w rodzaju dobrej woli. Lecz gdyby Tamaru z jakiejś przyczyny doszedł kiedyś do wniosku, że Aomame stała się dla właścicielki niewygodna, bez wahania by ją porzucił, pozbył się jej. Bardzo obojętnie i mechanicznie. Ale nie mogła go za to winić. Bo w końcu na tym polegała jego praca.

Gdy doszła do końca ogrodu, okazało się, że brama jest otwarta. Odwróciwszy się do zamontowanej przy wjeździe kamery, uśmiechnęła się najmilej jak potrafiła i lekko pomachała ręką. Jak gdyby nigdy nic. Wyszła za ogrodzenie, a brama powoli się za nią zamknęła. Schodząc po stromej skarpie Azabu, porządkowała w głowie to, co musiała zrobić,

i sporządzała listę. Szczegółową i wyczerpującą.

Rozdział ósmy – Tengo

Pojechać w nieznane miejsce, spotkać się z nieznanym człowiekiem

Wiele osób uważa niedzielny poranek za symbol odpoczynku. Lecz Tengo w okresie dorastania nigdy nie cieszył się z tych poranków. Niedziele zawsze go przygnębiały. Gdy nadchodził weekend, zaczynał się czuć ociężały, tracił apetyt, tu i tam coś go pobolewało. Niedziela zawsze przypominała mu zwichrowany księżyc, który ciągle pokazuje tylko swoją ciemną stronę. W dzieciństwie często myślał, jak fajnie by było nie mieć niedziel. Jak przyjemnie byłoby codziennie chodzić do szkoły i nigdy nie mieć wolnego dnia. Nawet modlił się o to, żeby nie nadszedł ostatni dzień tygodnia – ale oczywiście takie modlitwy nigdy nie były wysłuchane. Nawet teraz, gdy dorósł i ten dzień przestał stanowić prawdziwe zagrożenie, zdarzało mu się budzić w niedzielny poranek w niewyjaśnionym złym nastroju. Czuł łamanie w kościach, czasami miewał mdłości. Ta reakcja stała się częścią jego osobowości. Prawdopodobnie przesiąkła głęboko do podświadomości.

Ojciec chodził po domach, inkasując opłaty za abonament radiowo-telewizyjny NHK. W niedziele zabierał ze sobą małego Tengo. Zaczęło się to, zanim chłopiec poszedł do przedszkola, a ciągnęło bez przerwy do końca piątej klasy, o ile w szkole nie było jakichś specjalnych uroczystości. Wstawali o siódmej, ojciec mył mu starannie buzię mydłem, sprawdzał dokładnie uszy i paznokcie, ubierał go w jak najczystsze (ale nie szczególne eleganckie) ubranie i obiecywał, że później pójdą zjeść coś smacznego.

Tengo nie wiedział, czy inni inkasenci NHK też pracowali w wolne dni, ale, o ile pamiętał, jego ojciec zawsze w niedziele chodził na obchód abonentów. A wręcz pracował z większym oddaniem niż zwykle. Dlatego że w niedzielę mógł złapać w domu ludzi, którzy byli nieobecni w dni powszednie.

Zabierał ze sobą małego Tengo z kilku powodów. Pierwszy był taki, że nie mógł dziecka zostawić samego w domu. W dni powszednie i soboty małym zajmowali się w żłobku, przedszkolu, a potem w szkole, ale w niedziele wszystko było nieczynne. Po drugie uważał, że powinien pokazać synowi, na czym polega zajęcie ojca. Chłopiec musiał od małego wiedzieć, skąd biorą się pieniądze na życie, czym jest ciężka praca. Ojciec od wczesnego dzieciństwa w świętek, piątek i niedzielę był zaganiany do roboty w polu. Kiedy przychodził

okres intensywnych prac polowych, nie posyłano go nawet do szkoły. Dlatego takie życie było dla niego oczywiste.

Trzecia i ostatnia przyczyna była bardziej wyrachowana. I przez to najgłębiej raniła Tengo. Ojciec dobrze wiedział, że chodząc z dzieckiem, dużo łatwiej zainkasuje opłatę. Trudno przecież powiedzieć inkasentowi trzymającemu za rączkę dziecko: „Nie chcę płacić. Niech pan sobie idzie”. Kiedy dziecko się przypatruje, człowiek płaci, nawet gdy początkowo nie miał takiego zamiaru. Dlatego w niedziele obchodził domy abonentów, którzy nie chcieli płacić. Tengo od początku wyczuł, że ojciec spodziewa się po nim odgrywania pewnej roli, i czuł do tego ogromną niechęć. Ale chcąc go zadowolić, musiał się starać, jak umiał i odgrywać rolę, której od niego oczekiwano. Jak tresowana małpka. Jeżeli zadowolił ojca, w tym dniu był dobrze traktowany.

Jedyne pocieszenie stanowiło to, że rejon ojca był nieco oddalony od ich miejsca zamieszkania. Mieszkali na osiedlu na przedmieściach Ichikawy, a ojciec inkasował abonamenty w centrum miasta. Był to więc rejon zupełnie innej szkoły. Dlatego udało mu się przynajmniej uniknąć chodzenia po pieniądze do domów kolegów. Mimo to jednak zdarzało się, że idąc przez śródmiejskie ulice handlowe, mijał kolegów z klasy. W takich przypadkach błyskawicznie krył się za ojcem, nie chcąc, by go ktoś zauważył.

Prawie wszyscy ojcowie innych dzieci z klasy pracowali w firmach i dojeżdżali do pracy w centrum Tokio. Uważali Ichikawę za część Tokio, która z jakiejś przyczyny została przypadkiem włączona do prefektury Chiba. W poniedziałek rano koledzy z entuzjazmem opowiadali o tym, gdzie byli i co robili w niedzielę. Chodzili do parków rozrywki, do zoo albo na mecze baseballowe. Latem jeździli na południe półwyspu Bōsō nad morze, zimą na narty. Wybierali się też z ojcami na przejażdżki samochodem albo na górskie wycieczki. Rozprawiali o tym z zapałem i wymieniali wrażenia. Tengo nie miał o czym opowiadać. Nigdy nie był w żadnej turystycznej miejscowości ani w parku rozrywki. W niedziele od rana do późnego popołudnia przyciskał z ojcem dzwonki mieszkań obcych ludzi i z pochyloną głową pobierał pieniądze od tych, którzy otworzyli. Jeżeli ktoś nie chciał płacić, trzeba było straszyć albo namawiać. Kiedy ktoś dyskutował, trzeba było się kłócić. Niektórzy poniewierali ich jak bezpańskie psy. Nie mógł przecież chwalić się przed kolegami z klasy takimi opowieściami.

W trzeciej klasie wszyscy dowiedzieli się, że jego ojciec jest inkasentem NHK. Pewnie ktoś ich razem widział, kiedy chodzili po domach. W końcu co tydzień w niedzielę od rana do późnego popołudnia chodził za ojcem krok w krok po wszystkich zakątkach śródmieścia. To oczywiste, że ktoś ich w końcu zobaczył (Tengo był już za duży, żeby się schować za ojcem). Dziwne było raczej to, że nic się nie wydało tak długo.

Od tego czasu zaczęto go przezywać „NHK”. Musiał robić wrażenie obcego w społeczności składającej się z dzieci pracowników umysłowych klasy średniej. Wiele spraw oczywistych dla innych dzieci nie było oczywiste dla Tengo. Żył w innym świecie niż oni i

wiódł innego rodzaju życie. Miał w szkole doskonałe stopnie, był wysportowany. Do tego był potężnie zbudowany i silny. Nauczyciele go faworyzowali. Dlatego choć „obcy”, nie został odrzucony. Raczej budził respekt. Jednak kiedy ktoś proponował, żeby razem gdzieś poszli w niedzielę albo zapraszał go do domu, zawsze odmawiał. Wiedział, że gdyby powiedział ojcu: „W niedzielę mam się spotkać ze wszystkimi u kolegi”, ten w ogóle nie przyjąłby tego do wiadomości. Musiał więc przeproszać i mówić, że w niedzielę mu nie pasuje. Wiele razy odmawiał, nic więc dziwnego, że w końcu przestano go zapraszać. Pewnego dnia zorientował się, że nie należy w szkole do żadnej grupy i jest zawsze sam.

W każdą niedzielę, choćby się waliło i paliło, musiał od rana do późnego popołudnia chodzić z ojcem inkasować pieniądze. Była to zasada, od której nie istniały żadne wyjątki, i której nie można było zmienić. Choćby był chory, miał ataki kaszlu, gorączkę, choćby miał niestrawność, ojciec nigdy mu nie popuszczał. Wtedy, idąc chwiejnie w ślad za nim, często myślał, że bardzo chciałby w tej chwili przewrócić się i umrzeć. Wtedy być może ojciec choć trochę zastanowiłby się nad swoim postępowaniem. Że jest dla syna zbyt surowy. Lecz na szczęście, czy nieszczęście, Tengo miał z natury żelazne zdrowie. Nawet z gorączką, z bolącym żołądkiem, z mdłościami nigdy nie zasłabł ani nie stracił przytomności i jakoś udawało mu się przejść z ojcem całą długą trasę. Ani razu się nie poskarżył.

* * *

Ojciec Tengo wrócił bez grosza z Mandżurii w roku zakończenia wojny. Był trzecim z kolei synem chłopca z północnego wschodu Japonii. Razem z innymi ze swojej wioski dołączył do grupy osadników i pojechał do Mandżurii. Nie uwierzyli bezkrytycznie w propagandę rządu, w to że Mandżuria jest rajem na ziemi, wielkim i żyznym, a ci, którzy tam pojedą, będą wiedli dostatnie życie. Wiedzieli przecież, że nigdzie na ziemi nie ma rajów. Lecz byli biedni i niedożywieni. W rodzinnej wiosce groziło im widmo głodu, gospodarka przeżywała straszną zapaść i było mnóstwo bezrobotnych. Więc nawet wyjazd do miasta nie gwarantował znalezienia porządnego zajęcia. W tej sytuacji osiedlenie się w Mandżurii było jedyną szansą utrzymania się przy życiu. Aby w razie potrzeby mogli stanąć do walki, poddano ich podstawowemu szkoleniu w posługiwaniu się bronią, nauczono ich na poczekaniu czegoś o rolnictwie w Mandżurii, i po serii okrzyków „Hurra!”, wzniesionych na ich cześć, opuścili rodzinną wioskę, a z Dalianu zostali przewiezieni pociągami w pobliże granicy. Tam dano im ziemię, narzędzia rolnicze i niewielkie pistolety. Ojciec z towarzyszami wzięli się więc do uprawy roli. Ziemia była jałowa, kamienista, w zimie wszystko zamarzało. Nie mieli co jeść, więc żywili się nawet bezpańskimi psami. Ale przez pierwszych kilka lat dostawali wsparcie od rządu i jakoś udało im się przeżyć.

W sierpniu czterdziestego piątego roku, kiedy wreszcie życie zaczęło się trochę stabilizować, armia radziecka planowała złamać traktat o neutralności i dokonać totalnej

inwazji Mandżurii. Wojska radzieckie, które skończyły walki na frontach Europy, Koleją Transsyberyjską przerzuciły zmasowane siły na Daleki Wschód. Rozmieszczono wojska wzdłuż granicy. Od poznanego przy jakiejś okazji zaprzyjaźnionego urzędnika ojciec Tengo dowiedział się w sekrecie o nadchodzącym zagrożeniu i spodziewanym wkroczeniu wojsk radzieckich. Urzędnik wyszeptał mu w zaufaniu, że osłabiona armia kwantuńska nie będzie w stanie się im przeciwstawić, więc lepiej przygotować się do ucieczki. Im szybciej, tym lepiej, dodał. Dlatego gdy tylko ojciec usłyszał wiadomość, że wojska radzieckie przekroczyły granicę, pognął na przygotowanym wcześniej koniu na stację i wsiadł w przedostatni pociąg do Dalianu. W tym roku tylko jemu jednemu z całej ich grupy udało się bezpiecznie wrócić do Japonii.

W końcu dotarł do Tokio. Zajmował się nielegalnym handlem, został czeladnikiem u stolarza, ale ani jedno, ani drugie nie wychodziło. Z trudem udawało mu się przeżyć. Jesienią czterdziestego siódmego roku pracował jako dostawca w sklepie z alkoholem, gdy przypadkiem spotkał na ulicy znajomego z czasów pobytu w Mandżurii. Był to ów urzędnik, który sekretnie go ostrzegł, że nadchodzi wojna japońsko-rosyjska. W Mandżurii zajmował się systemem pocztowym, ale teraz po powrocie do Japonii wrócił na stare śmieci – do Ministerstwa Telekomunikacji. Pochodził z tej samej wsi, a poza tym czuł sympatię do ojca Tengo, bo wiedział, że nie boi się ciężkiej pracy, toteż zaprosił go na obiad.

Kiedy okazało się, że jego stary znajomy nie może znaleźć stałego zatrudnienia, zapytał go, czy nie miałby ochoty zostać inkasentem NHK. Miał w tamtym dziale znajomego, więc mógł się za nim wstawić. Ojciec Tengo powiedział, że byłby bardzo wdzięczny. Nic nie wiedział o NHK, ale rodzaj pracy był mu obojętny, jeśli tylko miała przynosić stałe dochody. Urzędnik napisał mu list polecający, nawet za niego poręczył. Dzięki temu ojcu Tengo udało się bez problemu zostać inkasentem. Przeszedł szkolenie, dostał służbowy strój i normę do wykonania. Ludzie w końcu wychodzili ze wstrząsu po przegranej wojnie i szukali rozrywki w zubożonym życiu. Radio oferujące muzykę, śmiech i sport było najbardziej znaną i taną rozrywką, radiodbiorniki rozpowszechniły się nieporównanie bardziej niż przed wojną. NHK potrzebowało więc wszędzie wielu inkasentów, którzy pobieraliby abonament, chodząc po domach.

Ojciec Tengo wykonywał swoje obowiązki z wyjątkowym zapałem. Jego mocnymi punktami były silny organizm i wytrwałość. Mimo harówki zawsze cierpiał głód, a teraz mógł wreszcie najeść się do syta. Dla kogoś takiego inkasowanie pieniędzy za abonament NHK nie było ciężką pracą. Nawet kiedy ludzie mu strasznie wymyślali, nic go to nie obchodziło. Poza tym czuł wielką satysfakcję, że należy do takiej wielkiej firmy, choć był tylko na jej obrzeżach. Przepracował na zlecenie rok, bez żadnej gwarancji dalszego zatrudnienia, jako inkasent dostający prowizję od pobranych pieniędzy, ale wyróżniał się skutecznością i właściwą postawą, więc zatrudniono go na etacie. Była to bezprecedensowa decyzja w świetle zwyczajowej praktyki tej firmy. Przede wszystkim wzięto pod uwagę doskonałe wyniki ojca

w inkasowaniu opłat na bardzo trudnym terenie, ale zadziałał też oczywiście autorytet urzędnika z Ministerstwa Telekomunikacji, który za niego poręczył. Wyznaczono mu podstawową pensję, do tego doszły wszystkie świadczenia. Mógł zamieszkać w zakładowym mieszkaniu i dostać ubezpieczenie zdrowotne. Zupełnie inaczej traktowano zwykłych inkasentów na zlecenie, których można było w każdej chwili zwolnić. Było to największe szczęście, jakie go w życiu spotkało. Mimo wielu przeciwności udało mu się zdobyć pozycję na najniższym szczeblu drabiny.

Ojciec opowiadał o tym w nieskończoność. Nie śpiewał synowi kołysanek ani nie czytał bajek na dobranoc. Zamiast tego mówił mu w kółko o własnych przeżyciach. O tym, że urodził się w biednej chłopskiej rodzinie uprawiającej dzierżawioną ziemię, o tym, że kiedy dorastał, był traktowany jak pies, bity i zmuszany do ciężkiej pracy. O tym, że dołączył do grupy osadników i wyjechał do Mandżurii, uprawiał nieużytki, odganiając strzelbą bandy na koniach i wilki, o takim zimnie, że na dworze siki zamarzały, zanim doleciały do ziemi, o tym, jak cudem uszedł z życiem, uciekając przed sowieckimi czołgami. Dzięki temu nie został wysłany do obozu na Syberię i wrócił bezpiecznie do kraju, z pustym brzuchem przeżył powojenne zamieszanie, aż dzięki szczęśliwemu zrządzeniu losu został etatowym inkasentem NHK. Zostanie inkasentem NHK stanowiło happy end, najlepszy z możliwych. Tak kończyła się ta historia.

Ojciec wcale nieźle snuł takie opowieści. Nie dało się zweryfikować, na ile były prawdziwe, ale zasadniczo miały logiczny sens. I choć może nie zawierały głębokiego przesłania, szczegóły były żywe, a styl opowiadania barwny. Czasem opowieść była przyjemna, czasem poważna, a czasami brutalna. Niektóre fragmenty bywały zaskakujące i absurdalne, innych Tengo nie mógł do końca pojąć, nawet po wielokrotnym słuchaniu. Gdyby życie można było mierzyć różnorodnością wydarzeń, być może życie ojca dałoby się nazwać bogatym.

Ale kiedy opowiadanie dochodziło do tego, jak został stałym pracownikiem NHK, opowieść ojca z jakiejś przyczyny traciła barwy i realność. Brakowało jej szczegółów i spójności. Jakby dalszy ciąg nie był wart opowiadania. Poznał pewną kobietę, ożenił się z nią, urodziło im się dziecko – czyli Tengo. W kilka miesięcy po urodzeniu chłopca żona zachorowała i niebawem zmarła. Drugi raz się nie ożenił i sam wychowywał syna, pracując jako inkasent NHK. I tak jest do dziś. Koniec.

Prawie nie mówił o tym, przy jakiej okazji poznał matkę Tengo, jak doszło do ślubu, jaka była, dlaczego umarła (czy to mogło mieć związek z urodzeniem Tengo), czy miała lekką śmierć, czy bardzo cierpiała. Kiedy Tengo go pytał, wykręcał się i unikał odpowiedzi. Często wpadał w zły humor i milkł. Nie zostało ani jedno zdjęcie matki. Nie było też zdjęć z wesela. Ojciec tłumaczył, że ani nie stać ich było na wyprawienie wesela, ani nie mieli aparatu.

Ale zasadniczo Tengo mu nie wierzył. Ojciec ukrywał pewne fakty, inne zmieniał.

Matka nie zmarła kilka miesięcy po urodzeniu Tengo. We wspomnieniu, które mu pozostało, żyła jeszcze, gdy miał półtora roku. Gdy chłopiec spał, leżała w objęciach innego mężczyzny, w bardzo intymnej sytuacji.

Matka zdjęła bluzkę, opuściła ramię białej halki i jakimś mężczyźnie, który nie był jego ojcem, dała pierś do ssania. Tengo spał obok, pochrapując. Lecz jednocześnie nie spał. Patrzył na matkę.

To było zdjęcie matki, które mu zostało na pamiątkę. Ta zaledwie dziesięciosekundowa scena wryła mu się w mózg. Była to jedyna konkretna informacja, jaką miał o matce. Jego świadomość za pośrednictwem tej wizji z trudem jakoś łączyła się z jej osobą. Wiązała się z nią hipotetyczną pępowiną. Jego świadomość unosiła się na powierzchni wód płodowych pamięci, wsłuchiwała się w echo przeszłości. Ojciec nie miał pojęcia, że w pamięci Tengo wyraźnie wryła się taka scena. Nie wiedział, że Tengo nieustannie przeżuwa ją kawałek po kawałku, żuje ją jak krowa na łące i przerabia na cenny pokarm. Obaj – ojciec i syn – strzegli swoich głębokich i mrocznych sekretów.

* * *

Był to pogodny niedzielny poranek, lecz wiatr miał w sobie jakiś chłód i choć była już połowa kwietnia, pogoda mogła się jeszcze łatwo popsuć. Na cienki czarny sweter z okrągłym wycięciem pod szyją Tengo założył marynarkę w jodełkę, którą nosił od czasu studiów, do tego beżowe bawełniane spodnie i brązowe zamszowe buty. Buty były stosunkowo nowe. To był najporządniejszy zestaw ubrania, jaki posiadał.

Kiedy dotarł na początek peronu pociągu linii Chūō w kierunku Tachikawy, Fukaeri już tam była. Siedziała sama na ławce i nieporuszona wpatrywała się zmrużonymi oczami w przestrzeń. Miała na sobie bawełnianą sukienkę we wzory, która zdecydowanie robiła wrażenie letniej, na niej gruby zimowy zapinany sweter w zielonym kolorze, na nogach bez skarpetek spłowiałe szare adidasy. Był to dość dziwny zestaw jak na tę porę roku. Sukienka za cienka, sweter za gruby. Lecz ona nie wyglądała w tym dziwnie. Być może przez to niedopasowanie wyrażała na swój sposób własny światopogląd. Trochę tak to wyglądało. Albo bez zastanowienia wybrała po prostu ubranie na chybił trafił.

Nie czytała gazety ani książki, nie słuchała walkmana, tylko siedziała spokojnie i wpatrywała się przed siebie wielkimi czarnymi oczami. Zdawało się, że czemuś się przygląda, ale także że absolutnie na nic nie patrzy. Że o czymś myśli, ale także że absolutnie nie myśli o niczym. Z daleka wyglądała jak realistyczna rzeźba wykonana z jakiegoś specjalnego materiału.

– Długo czekasz? – zapytał Tengo.

Fukaeri spojrzała na niego i przecząco potrząsnęła głową, poruszając nią zaledwie o kilka centymetrów. W jej czarnych oczach był blask jedwabiu, ale tak jak przy poprzednim

spotkaniu, nie miały żadnego wyrazu. Wyglądała w tej chwili tak, jakby nie miała ochoty z nikim rozmawiać. Dlatego Tengo zrezygnował z dalszych prób prowadzenia konwersacji i bez słowa usiadł obok niej na ławce.

Kiedy pociąg przyjechał, Fukaeri bez słowa wstała. Wsiedli razem. W wolny dzień w przyspieszonym pociągu do Takao było niewielu pasażerów. Tengo z Fukaeri usiedli obok siebie i jechali, wpatrując się bez słowa w widoki miasta za oknem. Fukaeri nadal się nie odzywała, Tengo też zachował milczenie. Jakby przygotowując się na srogie zimno, Fukaeri ściągnęła pod szyję kołnierz swetra i siedziała w milczeniu, patrząc prosto przed siebie.

Tengo wyciągnął książkę w kieszonkowym wydaniu i zaczął czytać, lecz po krótkim wahaniu zrezygnował. Wsadził ją z powrotem do kieszeni i jakby dotrzymując towarzystwa Fukaeri, położył dłonie na kolanach i bezmyślnie spojrział przed siebie. Postanowił nad czymś porozmyślać, lecz nie przychodził mu do głowy żaden temat. Przez to, że przez pewien czas koncentrował się na poprawianiu *Powietrznej poczwarki*, głowa odmawiała mu myślenia w zorganizowany sposób. W środku miał jakby kłębek poplątanych nitek.

Patrząc na widoki przesuwane się za oknem, przysłuchiwał się monotonnemu stukotowi kół. Linia Chūō biegła prosto w nieskończoność, zupełnie jak kreska narysowana przy linii na mapie. Nie, nie „zupełnie jak kreska”, bo przed jej powstaniem pewnie właśnie w ten sposób wytyczono trasę tej linii. W tej okolicy równiny Kantō nie ma żadnych wartych wzmianki przeszkód topograficznych. Nie ma zauważalnych zakrętów ani wzniesień i zagłębień, więc można było ułożyć tory bez wiaduktów i tuneli. Wystarczyła do tego linijka. Pociągi pędziły prościutko do celu.

Sam nie wiedział kiedy i gdzie zasnął. Obudziło go trzęsienie pociągu, gdy stopniowo zwalniał, dojeżdżając do stacji Ogikubo. Spał krótko. Fukaeri nie zmieniła pozycji i dalej wpatrywała się prosto przed siebie, lecz Tengo nie wiedział, na co naprawdę patrzy. Sądząc po tym, jak się na tym czymś skupiała, jeszcze przez pewien czas nie miała zamiaru wysiadać.

– Co zwykle czytasz? – zapytał Tengo, nie mogąc znieść nudy, gdy pociąg minął Mitakę. Już wcześniej chciał ją o to zapytać.

Fukaeri rzuciła na niego okiem, a potem znów skierowała wzrok przed siebie.

– nie czytam książek – powiedziała zwięźle.

– W ogóle?

Fukaeri krótko przytaknęła.

– Nie interesują cię książki? – zapytał Tengo.

– czytanie zajmuje dużo czasu – odparła.

– Czytanie zajmuje dużo czasu, więc nie czytasz? – powtórzył Tengo. Nie całkiem rozumiał, o co chodzi.

Fukaeri siedziała, patrząc prosto przed siebie, i nic nie odpowiedziała. Zdaje się, że miało to znaczyć: „nie da się temu zaprzeczyć”.

Oczywiście, przeczytanie książki zajmowało trochę czasu. W odróżnieniu od oglądania telewizji czy czytania komiksów. Było to przedsięwzięcie wymagające długiego czasu. Lecz miał wrażenie, że w określeniu „zajmuje dużo czasu” Fukaeri zawarła jakiś niuans znaczeniowy odbiegający od tego powszechnie rozumianego.

– Zajmuje dużo czasu to znaczy, że... tobie zajmuje strasznie dużo czasu? – zapytał Tengo.

– strasznie – zgodziła się Fukaeri.

– O wiele więcej niż zwykłemu człowiekowi?

Fukaeri krótko skinęła głową.

– To masz chyba kłopoty w szkole, jeśli zajmuje ci to tyle czasu? Bo na lekcjach zadają do przeczytania różne książki.

– udaję że czytam – powiedziała beztrąsko.

Gdzieś w głowie Tengo rozległo się złowróżbne pukanie. Chciał w miarę możliwości udać, że go nie słyszy, ale nie mógł tego zrobić. Musiał znać prawdę. – To znaczy, mówisz o czymś w rodzaju tak zwanej dysleksji? – zapytał.

– dysleksji – powtórzyła Fukaeri.

– Zaburzeniu umiejętności czytania.

– tak mówili dys...

– Kto mówił?

Dziewczyna lekko wzruszyła ramionami.

– To znaczy... – Tengo szukał słów jakby po omacku – że masz to od dzieciństwa?

Fukaeri kiwnęła głową.

– Czyli do tej pory prawie nie czytałaś żadnych powieści?

– sama nie

To wyjaśniało, dlaczego w jej pisaniu nie widać wpływu innych autorów. Logicznie, wspaniale wyjaśniało.

– Sama nie czytałaś – powiedział Tengo.

– ktoś mi czytał

– Mama albo tata ci głośno czytali?

Fukaeri nie odpowiedziała.

– Ale chociaż nie możesz czytać, z pisaniem nie masz kłopotów? – zapytał Tengo bardzo niepewnie.

Fukaeri potrząsnęła głową.

– pisanie też zajmuje dużo czasu

– Zajmuje strasznie dużo czasu?

Fukaeri znowu lekko wzruszyła ramionami. To znaczyło: „tak”.

Tengo poprawił się na siedzeniu i zmienił pozycję.

– Czy to przypadkiem znaczy, że sama nie napisałaś *Powietrznej poczwarki*?

– nie napisałam

Tengo odczekał kilka sekund. Brzemienne znaczeniem kilka sekund.

– To kto napisał?

– azami

– Kto to jest Azami?

– dwa lata młodsza

Znowu była krótka przerwa.

– I ta dziewczyna zamiast ciebie napisała *Powietrzną poczwarkę*.

Fukaeri skinęła głową, jakby potwierdzała coś oczywistego.

Tengo myślała z wielkim napięciem.

– To znaczy, że ty jej opowiadałaś, a ona zapisywała. O to ci chodzi?

– zapisała i wydrukowała

Tengo przygryzł wargi i porządkował w głowie kilka ujawnionych właśnie faktów, starając się ustawić je w odpowiedniej kolejności. Potem powiedział: – To znaczy, że Azami wysłała ten wydrukowany tekst na konkurs debiutów magazynu literackiego. I prawdopodobnie w tajemnicy przed tobą zatytułowała go *Powietrzna poczwarka*.

Fukaeri przechyliła głowę w sposób, który mógł znaczyć tak albo nie. Ale nie zaprzeczyła. To pewnie znaczy, że mniej więcej się zgadza.

– Ta Azami jest twoją przyjaciółką?

– razem mieszka

– To twoja młodsza siostra?

Fukaeri potrząsnęła głową.

– dziecko profesora

– Profesora – powtórzył Tengo. – To znaczy, że ten „profesor” też z tobą mieszka?

Fukaeri skinęła głową. Jakby mówiła: „Jeszcze pan tego nie wie?”.

– To ja pewnie teraz mam się spotkać z tym profesorem?

Fukaeri zwróciła się ku niemu i przez pewien czas patrzyła mu w oczy, jakby obserwowała ruchy chmur w oddali. Albo zastanawiała się, co zrobić z psem, który nie potrafi się niczego nauczyć. Potem skinęła głową.

– jedziemy się spotkać z profesorem – powiedziała bezbarwnym głosem.

Na tym na razie rozmowa się skończyła. Przez pewien czas siedzieli w milczeniu, znów patrząc przez okno. Płaski, nijaki teren, ciągnące się w nieskończoność rzędy niczym niewyróżniających się budynków. Niezliczone anteny telewizyjne sterczały zwrócone ku niebu jak czułki owadów. Ciekawe, czy ludzie, którzy tam mieszkają, sumiennie płacą abonament NHK? W niedzielne poranki Tengo nie umiał uniknąć myślenia o abonamencie telewizyjnym. Nie chciał o tym myśleć, ale musiał.

* * *

Dziś, w ten pogodny niedzielny poranek, wyjaśniło się parę faktów, które trudno było zaliczyć do przyjemnych. Po pierwsze, Fukaeri nie napisała sama *Powietrznej poczwarki*. Jeśli uwierzyć bez zastrzeżeń w to, co mówiła (w tej chwili nie miał powodu nie wierzyć), Fukaeri tylko opowiedziała tę historię, a inna dziewczyna ją zapisała. Pod względem procesu powstawania przypominało to *Kronikę, dawnych dziejów* czy *Opowieść o rodzie Heike*, literaturę przekazywaną z ust do ust. Okoliczność ta nieco zmniejszyła poczucie winy Tengo z powodu poprawiania *Powietrznej poczwarki*, ale w sumie bardziej skomplikowała całą sprawę. Skomplikowała tak, że szczerze mówiąc, stała się nie do rozwiązania.

Do tego Fukaeri miała dysleksję i nie mogła normalnie czytać. Tengo uporządkował w myślach to, co wiedział o dysleksji. Na studiach miał na ten temat wykład na zajęciach z pedagogiki. Człowiek cierpiący na dysleksję zasadniczo umie czytać i pisać. Uważa się, że nie wpływa ona na możliwości intelektualne. Tylko czytanie zabiera dużo czasu. Nie ma się problemu z czytaniem krótkich tekstów, ale w dłuższych za czytaniem nie nadąża umiejętność porządkowania informacji. Litery i ich znaczenie nie mogą się w umyśle połączyć. Takie są ogólne objawy dysleksji. Przyczyny nie zostały jeszcze w pełni wyjaśnione. W każdej klasie zdarzało się zwykle jedno lub dwoje dzieci cierpiących na tę przypadłość. Mieli ją Einstein, Edison i Charlie Mingus.

Tengo nie wiedział, czy ludzie cierpiący na dysleksję mają takie same trudności w pisaniu jak w czytaniu. Lecz wyglądało na to, że tak jest w przypadku Fukaeri. Miała trudności i z pisaniem, i z czytaniem.

Co powie Komatsu, gdy się o tym dowie? Tengo mimowolnie westchnął. Ta siedemnastolatka ma wrodzoną dysleksję więc oczywiście nie bardzo u niej z czytaniem i pisaniem dłuższych zdań. Gdy mówi, też zazwyczaj wypowiada tylko jedno zdanie (zakładając, że nie robi tego celowo). Nawet jeżeli to jest poza, za żadne skarby nie da się z niej zrobić zawodowej pisarki. Jeżeli nawet Tengo zdoła dobrze poprawić *Powietrzną poczwarkę*, utwór otrzyma nagrodę za debiut, zostanie wydany i wysoko oceniony, nie uda się długo zwodzić opinii publicznej. Na początku może tak, lecz wkrótce na pewno dojdą do wniosku, że „coś tu jest nie w porządku”. Jeżeli prawda wyjdzie na jaw, ucierpią wszyscy związani ze sprawą. I kariera Tengo jako pisarza – zanim jeszcze w ogóle naprawdę się zaczęła – zostanie zduszona w zarodku.

Nigdy nie uda się przeprowadzić planu, który ma tyle wad. Od początku uważałem, że to przypomina chodzenie po kruchym lodzie, ale w tej chwili nawet to wyrażenie w pełni nie oddaje ryzyka. Łódź skrzypi, zanim postawiliśmy na nim pierwszy krok. Tengo musi po powrocie do domu zadzwonić do Komatsu. Powie: „Przepraszam pana, ale ja się z tego wycofuję. To zbyt niebezpieczne”. Tak postąpiłby normalny człowiek.

Kiedy jednak zaczął myśleć o *Powietrznej poczwarcie*, miał zamęt w głowie i poczuł, że dzieli się na pół. Bez względu na to jak niebezpieczny był plan Komatsu, Tengo nie mógł już

chyba przerwać poprawiania *Powietrznej poczwarki*. Może byłoby to możliwe, zanim zaczął nad nią pracować. Ale teraz już mu się nie uda. Zatonął w tej powieści po same uszy. Oddycha powietrzem jej świata, przystosował się do jego siły ciężenia. Esencja tej powieści przesiąkła nawet jego wnętrzości. Ta historia gwałtownie pragnęła, by Tengo ją przeobraził, a on dotkliwie odczuwał to pragnienie. To było coś, co tylko on potrafił zrobić, co było warte zrobienia i co musiał zrobić.

Tengo przymknął oczy i spróbował dojść do jakichś wniosków na temat tego, co powinien zrobić w tej sytuacji. Ale do żadnych nie doszedł. W takim rozdzieleniu i z takim zamętem w głowie nie da się wyciągać logicznych wniosków.

– Azami zapisuje to, co ty mówisz, niczego nie zmieniając? – zapytał.

– tak jak mówię

– Ty mówisz, a ona zapisuje?

– ale muszę cicho mówić

– Dlaczego musisz cicho mówić?

Fukaeri rozejrzała się po wagonie. Prawie nie było pasażerów. Nieco dalej, naprzeciwko siedziała tylko matka z dwojgiem małych dzieci. Wszyscy troje robili wrażenie, jakby wybierali się w jakieś fajne miejsce. Na świecie są też tacy szczęśliwi ludzie.

– żeby oni nie usłyszeli – powiedziała cicho Fukaeri.

– Oni? – powtórzył Tengo. Spojrzał w jej patrzące w nicość oczy i zrozumiał, że nie chodzi jej o tę matkę z dziećmi. Mówiła o jakichś konkretnych osobach nieznanymi Tengo, lecz znanych jej. Osobach, których tu nie było.

– Jacy oni? – zapytał. On też mówił nieco ciszej.

Fukaeri milczała, między jej brwiami pojawiła się zmarszczka. Miała mocno zaciśnięte usta.

– Mówisz o Little People? – zapytał Tengo.

Nadal nie było odpowiedzi.

– Czy jeżeli ta książka zostanie wydana i ludzie zaczną o niej mówić, ci oni, o których ty mówisz, się nie rozgniewają?

Fukaeri nie odpowiedziała. Jej oczy nadal patrzyły w pustkę. Tengo poczekał chwilę, chcąc się upewnić, że nie będzie odpowiedzi, i zadał inne pytanie: – Może byś mi opowiedziała trochę o tym profesorze. Co to za człowiek?

Fukaeri patrzyła na Tengo z niedowierzaniem. Jakby się zastanawiała, co on takiego mówi. Potem powiedziała: – teraz spotka się pan z profesorem

– Nie da się ukryć – rzekł Tengo. – Nie da się ukryć, masz rację. Przecież zaraz się z nim spotkam. Sam zobaczę, jaki jest, jak się z nim spotkam.

Na stacji w Kokubunji wsiadła grupa starszych ludzi ubranych jak do wspinaczki górskiej. Razem było ich chyba dziesięcioro, połowa mężczyzn, połowa kobiet. W wieku około siedemdziesiątki. Każde z nich miało plecak, czapkę, byli rozmowni i weseli jak

uczniowie podstawówki w drodze na wycieczkę. U pasa albo w kieszeniach plecaków mieli butelki z wodą. Czy jak się zestarzeję, też będę umiał tak przyjemnie spędzać czas? – zastanawiał się Tengo. Potem lekko potrząsnął głową. Nie, pewnie nic z tego. Wyobraził sobie, jak dumni z siebie starsi ludzie piją wodę z butelek na szczycie jakiejś góry.

* * *

Little People choć są niewielcy, piją dużo wody. Lubią nie wodę z kranu, a deszczówkę albo wodę z pobliskiej rzeczki. Dlatego dziewczynka w dzień nabierała dla nich do kubelka wody z rzeczki. W deszczowe dni stawiała go pod okapem, żeby zebrała się w nim deszczówka. Bo Little People woleli deszczówkę od wody z rzeki, choć obie były naturalnego pochodzenia. Okazywali dziewczynce wdzięczność za taką życzliwość.

* * *

Tengo zauważył, że coraz mu trudniej utrzymać w ryzach swoją świadomość. To zły znak. Pewnie dlatego, że dziś niedziela. Poczuł, że w głowie zaczyna mu się pojawiać pewien rodzaj zamętu. Gdzieś na równinie uczuć rodziła się feralna burza piaskowa. W niedzielę czasami zdarzały mu się takie rzeczy.

– co się stało – zapytała Fukaeri bez znaku zapytania. Zdawało się, że wyczuła napięcie Tengo.

– Czy aby dam sobie radę? – powiedział Tengo.

– z czym

– Czy dam sobie radę z tą rozmową?

– czy da pan sobie radę z rozmową – zapytała Fukaeri. Chyba nie bardzo rozumiała, o co Tengo chodzi.

– Z profesorem.

– czy da pan radę porozmawiać z profesorem – powtórzyła.

Tengo po krótkim wahaniu wyjawiał swoje wątpliwości: – No bo różne rzeczy niezbyt dobrze się układają i myślę, że to wszystko może być na nic.

Fukaeri odwróciła się i spojrzała Tengo prosto w oczy.

– czego się pan boi – zapytała.

– Czego ja się obawiam? – Tengo zmienił nieco jej pytanie.

Fukaeri w milczeniu przytaknęła.

– Może boję się spotkania z nowym człowiekiem. Szczególnie, że dziś niedziela.

– dlaczego że niedziela – zapytała Fukaeri.

Tengo zaczął się pocić pod pachami. Miał w piersiach uczucie duszności. Spotkanie z nową osobą. I coś nowego, co może z niego wyniknąć. Co może zagrozić jego obecnemu

istnieniu.

– dlaczego że niedziela – zapytała jeszcze raz Fukaeri.

Tengo przypomniał sobie niedziele z dzieciństwa. Kiedy kończyli pod koniec dnia obchodzenie domów zaplanowaną trasą, ojciec zabierał go do jadłodajni przed dworcem i mówił, że może zamówić, co chce. To miało stanowić rodzaj nagrody. Dla tej skromnie żyjącej dwójki była to praktycznie jedyna okazja jedzenia poza domem. Ojciec zamawiał wtedy piwo, choć prawie nie brał do ust alkoholu. Mimo zachęt ojca, Tengo wcale nie miał apetytu. Zwykle bywał bardzo głodny, ale z jakiegoś powodu w niedziele nic mu nie smakowało. Zjedzenie do końca zamówionej porcji było męką, a pod żadnym pozorem nie wolno było nic zostawić. Czasami nagle ogarniały go mdłości. Takie były niedziele jego dzieciństwa.

Fukaeri patrzyła na Tengo. Szukała czegoś w jego oczach. Potem wyciągnęła dłoń i wzięła go za rękę. Tengo zdziwił się, ale starał się tego po sobie nie pokazać.

Lekko ścisnęła jego dłoń, gdy docierali do stacji Kunitachi. Jej ręka była silniejsza i bardziej gładka niż się spodziewał. Ani gorąca, ani zimna. Była mniej więcej o połowę mniejsza od jego dłoni.

– nie ma się czego bać to nie jest taka niedziela jak zawsze – powiedziała, jakby wygłaszała jakąś powszechnie znaną prawdę.

Być może po raz pierwszy powiedziała więcej niż jedno zdanie, pomyślał Tengo.

Rozdział dziewiąty – Aomame

Zmienił się krajobraz, zmieniły się zasady

Aomame poszła do najbliższej filii biblioteki. Poprosiła bibliotekarkę przy wejściu o zszyte razem zmniejszone wydania gazet z wcześniejszych lat. Od września do listopada 1981 roku.

– Mamy „Asahi”, „Yomiuri”, „Mainichi” i „Nikkei” – którą gazetę sobie pani życzy? – zapytała bibliotekarka. Była to kobieta w średnim wieku, w okularach. Nie wyglądała na stałą pracownicę biblioteki, a raczej na gospodynię domową, która tu sobie dorabia. Nie była specjalnie otyła, ale nadgarstki miała spuchnięte jak balerony.

– Wszystko mi jedno – powiedziała Aomame. – Na to samo wychodzi.

– Może i pani ma rację, ale musi pani zdecydować, który tytuł – powiedziała kobieta monotonnym głosem ucinającym dalszą dyskusję. Aomame też nie miała zamiaru dyskutować, więc bez specjalnego powodu wybrała gazetę „Asahi”. Potem usiadła przy stoliku oddzielonym osłonami od sąsiednich, otworzyła notatnik i z długopisem w ręku zaczęła wodzić oczami po artykułach.

Wczesną jesienią roku 1981 nie zaszły żadne szczególnie ważne wydarzenia. W lipcu był ślub księcia Karola z księżną Dianą i słychać było jeszcze echa tego wydarzenia. Dokąd pojechali, co tam robili, w co Diana była ubrana, jaką nosiła biżuterię. Aomame wiedziała oczywiście o ślubie Karola i Diany, ale szczególnie ją to nie interesowało. W ogóle nie mogła zrozumieć, dlaczego opinię publiczną aż tak bardzo ciekawi los angielskiego następcy tronu i jego żony. Karol wyglądem przypominał nie następcę tronu, a raczej nauczyciela fizyki z problemami trawiennymi.

W Polsce Solidarność pod przewodnictwem Wałęsy wzmocniła opozycję w stosunku do rządu, rząd radziecki wyrażał w związku z tym „zaniepokojenie”. Mówiąc jaśniej, grozili, że jeżeli polskiemu rządowi nie uda się opanować sytuacji, wyślą do Polski czołgi jak do Czechosłowacji w czasie „praskiej wiosny” w 1968 roku. To też Aomame z grubsza pamiętała. Wiedziała, że dużo się tam działo i w końcu Związek Radziecki postanowił nie interweniować. Dlatego nie było potrzeby dokładnie czytać tego artykułu. Zainteresowało ją tylko jedno: prezydent Stanów Zjednoczonych, Reagan, prawdopodobnie chcąc ograniczyć

ingerencję w wewnętrzną politykę Związku Radzieckiego, oświadczył, że „ma nadzieję, iż napięcie w Polsce nie stanie się przeszkodą w planie budowy amerykańsko-radzieckiej bazy na Księżycu”. Bazy na Księżycu? Nigdy o czymś takim nie słyszała. Ale teraz sobie przypomina, że ostatnio mówili coś podobnego w wiadomościach telewizyjnych. Tego wieczoru, kiedy uprawiała seks w hotelu w Akasaka z tym łysiejącym mężczyzną w średnim wieku, który przyjechał z Kansai.

Dwudziestego września w Dzakarcie odbył się największy na świecie konkurs puszczenia latawców. Zebrało się tam ponad dziesięć tysięcy ludzi, którzy puszczała latawce. Aomame o tym nie wiedziała, ale specjalnie się nie zdziwiła, że nie wie. Kto by pamiętał o konkursie puszczenia latawców w Dzakarcie sprzed trzech lat?

Szóstego października prezydent Egiptu, Sadat, został zamordowany przez terrorystów z ugrupowania islamskich ekstremistów. Aomame pamiętała to wydarzenie i znów zrobiło jej się żal prezydenta Sadata. Całkiem jej się podobał sposób jego łysienia, a poza tym czuła silną nienawiść do wszystkich religijnych fundamentalistów. Ogarniał ją gniew na samą myśl o ich nietolerancyjnym światopoglądzie, zarozumiałym poczuciu wyższości i aroganckim narzucaniu swoich racji. Nie potrafiła zapanować nad tym gniewem. Ale to nie miało związku z problemem, który w tej chwili ją męczył. Aomame wzięła kilka głębokich oddechów, uspokoiła nerwy i spojrzała na następną stronę.

Dwunastego października na osiedlu w tokijskiej dzielnicy Itabashi inkasent NHK (56 lat) wdał się w sprzeczkę ze studentem odmawiającym zapłacenia abonamentu i pchnął go w brzuch nożem kuchennym, który nosił w teczce. Poważnie go zranił. Inkasent został aresztowany przez policjanta, który natychmiast pojawił się na miejscu wypadku. Mężczyzna stał skamieniały z zakrwawionym nożem w dłoni i nie stawiał żadnego oporu w czasie aresztowania. Zatrudniony od sześciu lat na stałym etacie, miał wyjątkowo poważne podejście do pracy i doskonałe wyniki, powiedział jeden z jego kolegów.

Aomame nie wiedziała o tym wypadku. Prenumerowała gazetę „Yomiuri” i codziennie czytała ją od deski do deski. Starła się dokładnie czytać wiadomości z kraju, szczególnie jeśli dotyczyły przestępstw. A ten artykuł zajmował prawie połowę wiadomości krajowych popołudniowego wydania gazety. Niemożliwe, żeby przegapiła aż tak obszerny artykuł. Choć oczywiście niewykluczone, że z jakiegoś powodu go nie przeczytała. Było to wyjątkowo mało prawdopodobne, ale nie kategorycznie wykluczone.

Zmarszczyła czoło i zamyśliła się na chwilę nad tą możliwością. Potem zapisała w notesie datę i krótki opis wypadku.

Inkasent nazywał się Shinnosuke Akutagawa. Wspomniał imię i nazwisko. Jakby był mistrzem pióra*. Nie zamieścili zdjęcia inkasenta. Była tylko fotografia zranionego Akiry Tagawy (21 lat), studenta trzeciego roku prawa na uniwersytecie Nihon, mającego drugi dan w kendō. Gdyby miał w dłoni bambusowy miecz, pewnie nie dałby się tak łatwo pchnąć

* Aluzja do japońskiego pisarza, Ryūnosuke Akutagawy.

nożem, ale normalny człowiek nie rozmawia z inkasentem NHK z mieczem w dłoni. No i normalny inkasent NHK nie nosi w teczce kuchennego noża. Aomame uważnie przejrzała wiadomości z następnych kilku dni, lecz nie zauważyła informacji o tym, że ranny student zmarł. Prawdopodobnie uszedł z życiem.

Szesnastego października zdarzył się duży wypadek w kopalni węgla w Yūbari na wyspie Hokkaido. W rejonie wydobywania na głębokości tysiąca metrów wybuchł pożar i uduśiło się ponad pięćdziesięciu górników, którzy tam pracowali. Pożar doszedł prawie do powierzchni ziemi i zginęło jeszcze dziesięć osób. Firma, chcąc zapobiec dalszemu rozprzestrzenianiu się pożaru, nie upewniła się, czy przeżyli inni górnicy, tylko przy pomocy pomp zalała kopalnię wodą. Ogólna liczba ofiar wyniosła 93 osoby. To był bardzo smutny wypadek. Kopalnie dostarczają źródła „brudnej” energii, wydobywanie węgla jest niebezpieczne. Kopalnia zwlekała z inwestowaniem w odpowiednie wyposażenie, warunki pracy były prymitywne. Zdarzało się wiele wypadków, górnicy mieli uszkodzone płuca. Ale ze względu na niską cenę węgla kamiennego byli ludzie i przedsiębiorstwa, którzy chcieli go kupować. Aomame dobrze pamiętała ten wypadek.

Wydarzenie, którego szukała, miało miejsce dziewiętnastego października, gdy słyhać było jeszcze echa wypadku w kopalni w Yūbari. Aomame nie miała o nim pojęcia – to znaczy nie miała pojęcia, dopóki Tamaru jej nie powiedział kilka godzin temu. Było to po prostu nie do uwierzenia. Nagłówek był wydrukowany wielką czcionką na pierwszej stronie porannego wydania – nie sposób było go przegapić.

Strzelanina w górach Yamanashi pomiędzy policją a grupą ekstremistów. Zginęło trzech policjantów.

Było też duże zdjęcie. Lotnicza fotografia miejsca zdarzenia. Okolice jeziora Motosu. W górach, za kolonią domków letniskowych. Zamieszczono także zdjęcia tych policjantów z Prefekturalnej Komendy Policji w Yamanashi, którzy zginęli. Jednostki powietrzno-desantowe Sił Samoobrony wysyłane helikopterami. Mundury polowe – panterki, karabiny snajperskie z celownikiem optycznym i automatyczne pistolety z krótką lufą.

Aomame przez pewien czas strasznie się krzywiła. Aby odpowiednio wyrazić swoje uczucia, musiała rozciągnąć każdą część twarzy tak bardzo, jak tylko się dało. Po obu stronach stolika znajdowały się przepierzenia, więc nikt nie widział tych gwałtownych zmian na jej obliczu. Następnie wzięła głęboki oddech. Zdecydowanie nabrała powietrza i zdecydowanie je wypuściła. Jak wieloryb, który wypływa na powierzchnię i całkowicie wymienia powietrze w swych olbrzymich płucach. Siedzący plecami do niej i uczący się licealista odwrócił się zaskoczony tym dźwiękiem, ale oczywiście nic nie powiedział. Tylko się przestraszył.

Przez chwilę siedziała skrzywiona, a potem z wysiłkiem rozluźniła mięśnie i na jej twarz

powrócił normalny wyraz. Następnie przez dłuższy czas postukiwała końcem długopisu o przednie zęby. Starła się uporządkować myśli. Powinna być jakaś przyczyna. A raczej musi być jakaś przyczyna. Dlaczego przegapiłam takie ważne wydarzenie, które na pewno wstrząsnęło całym krajem?

Nie, nie tylko to wydarzenie. Nie wiedziałam przecież także o tym inkasencie NHK, który pchnął nożem studenta. To naprawdę zadziwiające. Nie mogłam tak po prostu przegapić kolejno dwóch rzeczy. Jestem w końcu metodyczną i bardzo uważną osobą. Zauważam zawsze, jeśli coś się przesunie choćby o milimetr. Ufam też swojej pamięci. Dlatego chociaż wysłałam kilka osób na tamten świat, ani razu się nie pomyliłam i udało mi się ująć z życiem. Każdego dnia starannie czytałam gazetę, a kiedy mówię, że „starannie czytam gazetę”, to znaczy, że nie przegapiłam ani jednej ważnej wiadomości, nawet najdrobniejszej.

Oczywiście, gazety przez wiele dni rozpisywały się o wydarzeniach nad jeziorem Motosu. Siły Samoobrony oraz policja zorganizowały w górach zakrojone na szeroką skalę poszukiwania dziesięciu zbiegłych członków ekstremistycznego ugrupowania. Zabito trzech, dwaj zostali ciężko ranni, aresztowano czworo (w tym jedną kobietę). Jeden zniknął bez śladu. Prawie na każdej stronie opisywano te wypadki. Przez to rozwiały się gdzieś dalsze informacje na temat zranionego przez inkasenta NKH studenta z dzielnicy Itabashi.

NKH na pewno odetchnęło z ulgą, choć oficjalnie nikt tego nie komentował. Gdyby nie tamte dramatyczne wydarzenia, środki masowego przekazu na pewno wyrażałyby głośno wątpliwości na temat systemu inkasowania abonamentu oraz struktury samego NKH, twierdząc, że czas skończyć z takimi praktykami. Na początku roku Partia Liberalno-Demokratyczna krytycznie oceniła treść specjalnego wydania programu telewizji NHK o aferze korupcyjnej związanej z firmą Lockheed i zażądała wprowadzenia zmian. Podobno szczegółowo wyjaśniono kilku politykom partii rządzącej, jaka będzie treść programu przed jego nadaniem i uniżenie poproszono ich o zgodę na emisję. O dziwo okazało się, że takie postępowanie jest w NHK na porządku dziennym. Budżet stacji musi zostać zatwierdzony przez parlament, więc dyrekcja NHK obawia się zemsty ze strony partii rządzącej i rządu, jeżeli zrobią coś nie po ich myśli. Poza tym w partii rządzącej panuje przekonanie, że NHK jest jedynie ich organem do celów PR. Po ujawnieniu tych nieznanych dotąd faktów trudno się dziwić, że ludzie zaczęli mieć wątpliwości co do niezależności programów NHK i ich politycznej obiektywności. I podniosły się głosy protestujące przeciwko płaceniu abonamentu.

Z wyjątkiem wydarzeń nad jeziorem Motosu i incydentu z inkasentem NHK Aomame wyraźnie pamiętała inne wydarzenia, incydenty i wypadki, które zaszły w tym okresie. W jej pamięci nie było żadnych luk dotyczących wiadomości prócz tych dwóch. Pamiętała dobrze, że czytała wówczas o wszystkich innych. A mimo to nie pamiętała nic na temat strzelaniny nad jeziorem Motosu i sprawy inkasenta NHK. Dlaczego się tak stało? Jeżeli nawet popsuło mi się coś w mózgu, czy to możliwe, że nie przeczytałabym tylko o tych dwóch zdarzeniach,

albo właśnie o nich akurat bym zapomniała?

Aomame zamknęła oczy, mocno przycisnęła palcami skronie. Może i coś takiego jest możliwe. Mam w głowie jakiś mechanizm, który próbuje zmienić rzeczywistość, wybiera tylko określone wiadomości, zakrywa je czarną zasłoną, abym ich nie zauważyła, by nie zostały mi w pamięci. Że policja dostała nowe uzbrojenie i nowe mundury, że na Księżycu powstała amerykańsko-radziecka baza, że inkasent NHK ranił nożem kuchennym studenta, że nad jeziorem Motosu doszło do gwałtownej strzelaniny między grupą ekstremistów a oddziałami specjalnymi Sił Samoobrony.

Ale co te wydarzenia mogą mieć ze sobą wspólnego?

Za nic nie mogę dostrzec żadnych wspólnych punktów.

Aomame dalej postukiwała końcem długopisu o przednie zęby. I intensywnie myślała.

Po upływie długiego czasu nagle pomyślała: Czy nie można tak na to spojrzeć: problem tkwi nie we mnie, a w otaczającym mnie świecie. To coś nienormalnego nie pojawiło się w mojej świadomości czy umyśle, tylko działa jakaś niezrozumiała siła, która zmienia świat naokoło mnie.

Im dłużej o tym rozmyślała, tym bardziej naturalna wydawała jej się ta hipoteza. Bo nie miała w ogóle wrażenia, że w jej własnej świadomości pojawił jakiś deficyt czy nastąpiło jakieś zwichrowanie.

Dlatego dalej rozwinęła tę hipotezę.

To nie ja odbiegam od normy tylko świat.

Tak, musi tak być.

W jakimś momencie świat, który znałam, zniknął albo usunął się, a zastąpił go jakiś inny świat. Tak jak przestawia się zwrotnica. To znaczy moja świadomość należy do tamtego, poprzedniego świata, ale sam świat zmienił się na inny. Zmiany faktów, które miały tam miejsce, są jeszcze na razie ograniczone. Większość nowego świata została bez żadnych poprawek przejęta ze znanego mi starego. Dlatego nie trafiam na żadne realne przeszkody (przynajmniej na razie nie trafiam) w codziennym życiu. Ale te „zmienione elementy” prawdopodobnie z upływem czasu zaczną wywoływać wokół mnie coraz większe różnice. Niezgodności będą po trochu rosły. I w zależności od sytuacji być może te niezgodności zniszczą logiczność mojego postępowania, spowodują, że popełnię nieodwracalne błędy. Ale jeśli do tego dojdzie, będzie to miało fatalne skutki w dosłownym tego słowa znaczeniu.

Równoległe światy.

Aomame skrzywiła się, jakby miała w ustach coś strasznie kwaśnego. Jednak nie tak gwałtownie jak poprzednim razem. Potem znowu mocno postukała końcem długopisu w przednie zęby i jęknęła. Licealista usłyszał to, ale tym razem udał, że nic nie zauważył.

To zupełnie jak science fiction, pomyślała Aomame.

A może ja tylko wymyśliłam sobie taką hipotezę w obronie własnej? A w rzeczywistości może po prostu zwyczajnie zwariowałam? Uważam, że jestem zupełnie, całkowicie normalna.

Myślę, że moja świadomość nie jest skrzywiona. Ale przecież większość chorych psychicznie upiera się, że są normalni, a zwariował świat dokoła nich. Może wymyśliłam jakąś szaloną hipotezę o równoległych światach, żeby na siłę usprawiedliwić własne wariactwo?

Potrzebna tu jest obiektywna opinia osoby z zewnątrz.

Ale nie mogę iść do psychiatry i poddać się psychoanalizie. Sytuacja jest zbyt pogmatwana, zbyt wiele jest rzeczy, o których nie mogę mówić. Na przykład „prace”, którymi się zajmowałam, są niewątpliwie niezgodne z prawem. W końcu zabiłam skrycie kilku mężczyzn przy pomocy narzędzia przypominającego domowej roboty szpikulec do lodu. Nie mogę tego wyjawiać lekarzowi. Nawet biorąc pod uwagę, że ci zabici byli bandą perwersyjnych bydlaków.

Ale zakładając, że udałoby się jakoś ukryć te nielegalne fragmenty mojego legalnie przeżytego życia, nawet przy dużej dozie dobrej woli nie da się mojej świadomości nazwać normalną. Jest jak kufer wypchany po brzegi brudnym praniem. Mnóstwo w nim rzeczy, które mogą doprowadzić człowieka do rozstroju nerwowego. Może nawet dość dla dwóch albo trzech osób. Weźmy choćby życie seksualne. Nie jest to coś, o czym mogłabym komukolwiek powiedzieć.

Nie mogę iść do lekarza, myślała Aomame. Muszę sama jakoś to rozwiązać.

Postaram się po swojemu dalej rozwinąć tę hipotezę.

Jeżeli założymy, że to się rzeczywiście stało, to znaczy, jeżeli ten świat, w którym jestem, naprawdę został zamieniony, jak konkretnie doszło do tej zamiany? Kiedy, gdzie, jak to się odbyło?

Aomame znów się skupiła i szukała czegoś w pamięci.

Pierwszy raz zauważyła, że pewne części świata się zmieniły, kilka dni temu, w dniu, kiedy zlikwidowała w pokoju hotelowym w Shibuya tego specjalistę od złóż naftowych. Wsiadła z taksówki na autostradzie stołecznej numer 3, zeszła po schodkach awaryjnych na drogę 246, zmieniła rajstopy i poszła na stację Sangenjaya linii Tōkyū. Po drodze minęła młodego policjanta i po raz pierwszy zauważyła, że wygląda on inaczej niż zwykli policjanci. To był początek. W takim razie to by znaczyło, że do zamiany doszło nieco wcześniej. Dlatego że policjant, którego widziała rano w okolicy domu, był ubrany w znany jej mundur i miał przy sobie rewolwer starego typu.

Przypomniała sobie to przedziwne uczucie, którego doznała w stojącej w korku taksówce, gdy słuchała pierwszej części *Sinfonietty* Janáčka. Było to uczucie skręcenia. Miała wrażenie, że wszystkie części jej ciała są wyżymane jak mokra ścierka. Ten kierowca powiedział mi o schodach awaryjnych przy autostradzie, a ja zdjęłam buty na obcasach i zeszłam po tych niebezpiecznych schodkach. I kiedy na bosaka schodziłam tak na silnym wietrze, ciągle powracały do mnie tony fanfary na początku *Sinfonietty*. Może to właśnie był początek, pomyślała Aomame.

Kierowca taksówki też robił jakieś dziwne wrażenie. Jeszcze dobrze pamiętała, co jej

powiedział na pożegnanie. Postarała się jak najdokładniej odtworzyć w myślach jego słowa.

Jak się zrobi coś takiego, to potem sceny życia codziennego, jakby to powiedzieć, mogą zacząć wyglądać troszeczkę inaczej. Więc proszę się nie dać zwieść pozorom. Rzeczywistość jest zawsze tylko jedna.

Jakie dziwne rzeczy mówi ten kierowca, pomyślała wtedy. Ale nie bardzo rozumiała, co on chce przez to powiedzieć, więc szczególnie się tym nie przejęła. Spieszyło jej się i nie miała czasu zawracać sobie głowy zastanawianiem się nad takimi rzeczami. Ale kiedy się teraz nad tym zastanowiła, jego słowa wydały jej się zaskakujące i dziwne. Brzmiały jak ostrzeżenie, ale można je też było zrozumieć jako zawołaną wiadomość. Co ten kierowca chciał mi przekazać?

Dlaczego od razu poznałam, że to *Sinfonietta* Janáčka? Skąd wiedziałam, że została skomponowana w tysiąc dziewięćset dwudziestym szóstym roku? To nie jest tak popularny utwór, żeby każdy go poznał po usłyszeniu pierwszych taktów. A do tego nie byłam do tej pory szczególną miłośniczką muzyki klasycznej. Nie potrafię na przykład odróżnić utworów Haydna od Beethovena. Jak rozpoznałam, że to *Sinfonietta* Janáčka, gdy tylko usłyszałam dźwięki dobiegające z radia samochodowego? I dlaczego ta muzyka tak gwałtownie wstrząsnęła całym moim jestestwem?

Tak, to był bardzo osobisty wstrząs. Czułam się zupełnie, jakby z jakiegoś powodu w najmniej spodziewanym momencie obudziły się we mnie od dawna uszione wspomnienia. Miałam wrażenie, że ktoś złapał mnie za ramiona i mną potrząsa. To by znaczyło, że kiedyś w życiu coś mnie głęboko związało z tą muzyką. Może kiedy rozległ się ten utwór, włączył się we mnie automatycznie jakiś przycisk, te wspomnienia obudziły się i stawały coraz wyraźniejsze. *Sinfonietta* Janáčka. Choć długo grzebała w pamięci, niczego nie mogła się doszukać.

Rozejrzała się dookoła, spojrzała na wnętrze swoich dłoni, zbadła kształt paznokci, na wszelki wypadek dotknęła przez bluzkę piersi i upewniła się co do ich kształtu. Nie wyczuła nic szczególnego. Ten sam kształt i wielkość. Jestem tą samą osobą co zawsze, a świat tym światem co zawsze. Ale coś się zaczyna zmieniać. Aomame to czuła. Jak przy szukaniu różnic między obrazkami. Mamy tu dwa obrazki. Kiedy powiesimy je obok siebie na ścianie i porównamy, wyglądają na identyczne. Ale jeżeli bardzo uważnie sprawdzimy szczegół po szczególe, zauważymy, że jest między nimi kilka bardzo drobnych różnic.

Aomame wzięła się w garść, przerzuciła strony zmniejszonego wydania gazety i zapisała szczegóły dotyczące strzelaniny nad jeziorem Motosu. Przypuszczano, że pięć kałasznikowów AK-47 produkcji chińskiej mogło zostać przeszmuglowanych przez Półwysep Koreański. Były to prawdopodobnie używane karabiny nie najgorszej jakości, których pozbyto się z wyposażenia armii. Ekstremiści mieli też mnóstwo amunicji. Wybrzeże Morza

Japońskiego jest długie. Przeszmuglowanie amunicji i broni pod osłoną nocy na pokładzie statku udającego kuter rybacki nie byłoby zbyt trudne. W ten sposób wwożono do Japonii narkotyki i broń, a wywożono wielkie sumy w japońskiej walucie.

Policjanci z Prefekturalnej Komendy Policji nie wiedzieli, że grupa ekstremistów jest tak doskonale uzbrojona. Otrzymali nakaz rewizji z powodu wywołania przez podejrzanych awantury i spowodowanie uszkodzenia ciała. Był to jedynie pretekst; wyruszyli do „gospodarstwa rolnego” będącego siedzibą grupy o nazwie Akebono, czyli Świt, dwoma radiowozami i minibusem, słabo uzbrojeni. Członkowie grupy oficjalnie zajmowali się ekologiczną uprawą roli. Nie zgodzili się na rewizję. Oczywiście doszło do przepychanek, a potem z jakiegoś powodu zaczęła się strzelanina.

Członkowie Akebono mieli nawet chińskie granaty o wysokiej skuteczności, lecz ich nie wykorzystali. Nie użyli ich dlatego, że dopiero co je dostali i nie byli wystarczająco dobrze wyszkoleni w posługiwaniu się nimi. To było naprawdę szczęśliwe zrządzenie losu. Gdyby użyli granatów, wśród policjantów i członków Sił Samoobrony byłoby znacznie więcej ofiar. Policjanci nie mieli nawet kamizelek kuloodpornych. W gazetach krytykowano niedostateczną analizę informacji w Komendzie Prefekturalnej oraz stare wyposażenie policji. Lecz opinię publiczną najbardziej zaszokowało to, że to ugrupowanie ekstremistyczne nadal istniało jako ugrupowanie zbrojne i aktywnie działało w podziemiu. Ludzie sądzili, że głośne nawoływanie do „rewolucji” w drugiej połowie lat sześćdziesiątych należy już do przeszłości i że resztki grup ekstremistycznych zostały zlikwidowane w czasie wypadków w Asamasansō.*

Po zanotowaniu wszystkiego Aomame zwróciła gazety, a z półki z pozycjami związanymi z muzyką wybrała gruby tom zatytułowany *Kompozytorzy świata* i wróciła do stolika. Otworzyła na stronie z Janáčkiem.

* * *

Leoš Janáček urodził się w 1854 roku we wsi na Morawach, umarł w roku 1928. W książce było zdjęcie z ostatniego okresu życia kompozytora. Nie łysiał, miał siwe włosy, gęste jak trawa na łące. Nie można było ocenić kształtu głowy. *Sinfonietta* została skomponowana w roku 1926. Janáček żył w pozbawionym miłości nieszczęśliwym małżeństwie, lecz w roku 1917 mając sześćdziesiąt trzy lata poznał pewną mężatkę imieniem Kamila i zakochał się w niej. Była dojrzała miłość ludzi będących w innych związkach małżeńskich. Janáček, który przez pewien czas miał niezbyt płodny okres, dzięki spotkaniu z Kamilą gwałtownie odzyskał chęć tworzenia. I u schyłku życia obdarzył świat licznymi

* Incydent z lutego 1972, kiedy przedstawiciele grupy terrorystycznej Japońskiej Armii Czerwonej (Nihon Sekigun) po ataku policji na ich ugrupowanie zabarykadowali się w górskim pensjonacie, biorąc jako zakładniczkę żonę właściciela. Policja uwolniła kobietę i aresztowała terrorystów. W akcji zginęło 2 policjantów.

arcydzielami.

Kiedyś, gdy szli razem przez park, usłyszeli, że z muszli koncertowej dobiega muzyka, więc zatrzymali się i wysłuchali całego koncertu. Janáček poczuł wtedy, że ogarnia go niespodziewane uczucie szczęścia, i doznał przypływu natchnienia do napisania *Sinfonietty*. Wspominał, że miał wtedy wrażenie, jakby mu coś pękło w głowie, i ogarnęła go świetlista ekstaza. Akurat wtedy miał napisać na zamówienie fanfarę na wielkie zawody sportowe, ten motyw fanfary zlał się w jedno z iluminacją, której doznał w parku, i tak narodził się utwór zwany *Sinfonietką*. „Sinfonietta” oznacza „małą symfonię”, ale ten utwór ma wyjątkowo nietradycyjną strukturę, łączy w sobie roziskrzoną uroczystą fanfarę instrumentów dętych blaszanych i solidną środkowoeuropejską sekcję smyczków, dzięki czemu tworzy się całkowicie unikalny nastrój – napisano w wyjaśnieniach.

Aomame na wszelki wypadek zapisała w notesie dane biograficzne i wyjaśnienia na temat kompozycji. Lecz opis z tej książki nie dał jej żadnej wskazówki co do tego, jaki był punkt styczności między *Sinfonietką* a nią samą, a raczej jaki mógł być punkt styczności. Po wyjściu z biblioteki chodziła bez celu po pogrążającym się w zapadającym zmierzchu mieście. Czasami mówiła do siebie, czasami potrząsała głową.

Oczywiście to wszystko jest jedynie hipotezą, myślała Aomame, idąc. Ale w tej chwili dla mnie jest hipotezą najbardziej przekonującą. A przynajmniej dopóki nie pojawi się bardziej przekonująca, chyba lepiej postępować zgodnie z założeniem, że ta jest prawidłowa. Inaczej mogę się gdzieś po drodze zgubić. Dlatego wydaje się, że powinnam chyba nadać tej nowej sytuacji, w której się znalazłam, jakąś odpowiednią nazwę. Potrzebna jest charakterystyczna nazwa, także po to, by ją odróżnić od tego dawnego świata, po którym krążą policjanci z rewolwerami starego typu za pasem. Przecież nawet koty i psy też muszą się jakoś nazywać. Niemożliwe, żeby ten nowy świat, w którym nastąpiły zmiany, nie potrzebował nazwy.

Rok 1Q84 – tak będę nazywała ten nowy świat, postanowiła Aomame.

Q pochodzi od słowa *question mark* czyli znak zapytania. Coś niosącego w sobie pytanie.

Idąc, kiwała głową. Czy mi się to podoba, czy nie, znalazłam się teraz w tym roku 1Q84. Roku 1984, który znałam, nigdzie już nie ma. Teraz jest rok 1Q84. Zmieniło się powietrze, zmienił się krajobraz. Muszę się możliwe jak najszybciej dostosować do tego świata ze znakiem zapytania. Jestem jak zwierzę wypuszczone do obcego lasu. Żeby zapewnić sobie bezpieczeństwo i przetrwać, trzeba niezwłocznie zrozumieć zasady rządzące tym miejscem i dostosować się do nich.

* * *

Aomame poszła do sklepu z płytami niedaleko dworca Jiyūgaoka i poszukała *Sinfonietty*

Janáčka. Był mało popularnym kompozytorem. Mieli bardzo niewiele płyt z jego muzyką i Aomame znalazła tylko jedną, na której była *Sinfonietta*. Wykonanie orkiestry z Cleveland pod dykcją George'a Szella. Na stronie A znajdował się jakiś koncert Bartóka na orkiestrę. Nie wiedziała, jakie to wykonanie, ale nie miała innego wyboru, więc kupiła płytę. Wróciła do domu, wyjęła z lodówki butelkę chablis, odkorkowała, potem położyła płytę na talerz gramofonu i opuściła igłę. Popijając doskonale schłodzone wino, słuchała muzyki. Rozległy się roziskrzony początkowe fanfary. Ten sam utwór, który słyszała w taksówce. Nie było wątpliwości. Zamknęła oczy i skupiła świadomość na muzyce. Wykonanie było niezłe. Ale z nią nic szczególnego się nie działo. Rozbrzmiewała tylko muzyka. Nie czuła, że ciało jej się skręca, że jakieś doznania ulegają zmianie.

Po wysłuchaniu utworu do końca wsunęła płytę w okładkę, usiadła na podłodze i oparta o ścianę piła wino. Pite w samotności w czasie rozmyślenia było prawie bez smaku. Poszła do łazienki, umyła twarz mydłem, małymi nożyczkami przystrzygła brwi, owiniętymi wata patyczkami wyczyściła uszy.

Albo odbiło mi, albo światu, zaszło jedno albo drugie. I nie wiem, które z nich. Zakrętka nie pasuje do butelki. To może być wina butelki albo wina zakrętki. Ale nie zmienia to faktu, że nie pasują do siebie rozmiarem, bez względu na to, które jest winne.

Aomame otworzyła lodówkę i zbadła jej zawartość. Od kilku dni nie robiła zakupów, więc była raczej pusta. Wyjęła dojrzałą papaję, przecięła nożem na pół i zjadła, wybierając łyżką mięsz. Następnie wyciągnęła trzy ogórki, umyła i zjadła z majonezem. Żuła powoli, poświęcając na to dużo czasu. Wypiła szklanek mleka sojowego. To była jej cała kolacja. Prosta, ale idealna, jeżeli ktoś chciał uniknąć zatwardzenia. Zatwardzenie było jedną z rzeczy, których najbardziej na tym świecie nienawidziła. Tak samo jak bydlaków znęcających się nad rodzinami i fundamentalistów religijnych o nietolerancyjnych umysłach.

Po posiłku rozebrała się i wzięła gorący prysznic. Wyszła spod prysznic, wytarła ciało ręcznikiem i przejrzała się w lustrze przymocowanym do drzwi. Płaski brzuch, prężne mięśnie. Nierobiące wrażenia, różniące się rozmiarem piersi, włosy łonowe przypominające zaniedbane boisko do piłki nożnej. Patrząc na swoje nagie ciało, przypomniała sobie, że już za tydzień skończy trzydzieści lat. Znowu będą cholerne urodziny. Że też przyjdzie mi spędzić trzydzieste urodziny na tym nie wiadomo jakim świecie, pomyślała. Zmarszczyła brwi.

Rok 1Q84.

W nim teraz żyła.

Rozdział dziesiąty – Tengo

Rewolucja z prawdziwego zdarzenia, w której poleje się prawdziwa krew

– przesiadamy się – powiedziała Fukaeri.

Znów wzięła Tengo za rękę. Pociąg właśnie dojeżdżał do stacji Tachikawa.

Wysiedli. Przechodząc na inny peron, weszli i zeszli po schodach, a ona ani na chwilę nie puściła jego ręki. W oczach innych wyglądali zapewne jak para zakochanych. Różnili się znacznie wiekiem, ale Tengo wydawał się znacznie młodszy niż był w rzeczywistości. Różnili się także posturą i rozmiarami, co na pewno wydawało się postronnym obserwatorom zabawne. Szczęśliwa para na randce w wiosenny niedzielny poranek.

Lecz w dłoni Fukaeri ściskającej jego rękę nie dało się wyczuć nic w rodzaju miłości dla przedstawiciela przeciwnej płci. Ścisnęła jego dłoń ciągle z tą samą siłą. W jej dotyku było coś przypominającego zawodową precyzję lekarza badającego puls pacjenta. Być może ta dziewczyna próbuje za pomocą kontaktu palców i wnętrza dłoni wymieniać informacje, których nie da się przekazać słowami, pomyślał nagle Tengo. Zakładając, że coś takiego rzeczywiście miało miejsce, nie była to wymiana, a raczej proces jednokierunkowy. Być może poprzez dłoń wchłaniała i wyczuwała, co było w sercu Tengo, ale on nie potrafił czytać w jej sercu. Specjalnie się jednak tym nie przejmował. Mogła w nim czytać, co chciała, nie tuił w sobie żadnych informacji ani uczuć, które chciałby przed nią ukryć.

Tak czy inaczej ta dziewczyna miała chyba dla niego pewną sympatię, nawet jeśli nie myślała o nim jako o przedstawicielu płci przeciwnej. Tak przypuszczał. A przynajmniej nie czuła antypatii. Gdyby tak nie było, nie trzymałaby go chyba tak długo za rękę, bez względu na to, jakie miała zamiary.

Przeszli na peron linii Ōme i wsiedli w pierwszy tego dnia pociąg, który został już podstawiony. W niedzielny poranek wagon, znacznie bardziej zatłoczony, niż Tengo się spodziewał, był pełen starszych osób i rodzin ubranych jak na górskie wędrowki. Nie usiedli, tylko stanęli obok siebie niedaleko drzwi.

– Czuję się, jakbyśmy jechali na wycieczkę – powiedział Tengo, rozglądając się po wagonie.

– mogę pana trzymać za rękę – zapytała go Fukaeri. Nawet po wejściu do pociągu, nie

puściła jego dłoni.

– Oczywiście, że możesz – odparł.

Fukaeri jakby uspokojona dalej ścisnęła jego rękę. Wnętrze dłoni miała niezmiennie gładkie i w ogóle niespocone. Zdawało się, że nadal szuka czegoś w sercu Tengo, że upewnia się w czymś.

– już się pan nie boi – zapytała bez znaku zapytania.

– Myślę, że już się nie boję – odpowiedział. Nie kłamał. Panika niedzielnego poranka niewątpliwie straciła impet, prawdopodobnie dzięki temu, że Fukaeri ścisnęła jego dłoń. Już się nie pocił, nie słyszał też walenia swojego serca. Przeszły nawiedzać go wizje. Jego oddech stał się spokojny jak zwykle.

– to dobrze – powiedziała Fukaeri głosem pozbawionym modulacji.

To dobrze, pomyślał Tengo.

Rozległ się krótki szybko wypowiedziany komunikat, że pociąg za chwilę odjedzie. Wkrótce drzwi wagonu zamknęły się z przesadnym łomotem, jakby przastare, groźne, wielkie zwierzę otrząsnęło się po przebudzeniu. Pociąg zaczął powoli oddalać się od peronu, jakby w końcu podjął jakąś decyzję.

Tengo patrzył na widok za oknem, trzymając rękę Fukaeri. Najpierw widać było zupełnie zwyczajne osiedla. Lecz wkrótce równinne widoki Musashino zmieniły się w krajobraz, w którym dominowały góry. Od stacji Higashi Orne był tylko jeden tor. Kiedy przesiedli się tam w skład czterowagonowy, otaczające ich góry stawały się po trochu coraz bliższe, napierały ze wszystkich stron. To już nie przedmieścia, z których można było dojeżdżać do pracy w centrum. Zbocza miały jeszcze wyschnięty kolor zimy, ale mimo to rzucała się w oczy żywa barwa wiecznie zielonych drzew. Kiedy dojechali do dworca i otworzyły się drzwi, Tengo poczuł, że powietrze pachnie inaczej. Dźwięki także zaczęły jakby inaczej brzmieć. Wzdłuż torów dało się teraz zauważyć pola ryżowe, więcej było gospodarstw rolnych. Na drodze było więcej niewielkich ciężarówek, a mniej samochodów osobowych. Zdaje się, że przyjechaliśmy bardzo daleko, pomyślał Tengo. Dokąd my jedziemy?

– niech się pan nie martwi – powiedziała Fukaeri, jakby czytała w jego myślach.

Tengo przytaknął w milczeniu. Czuję się, jakbym jechał do domu rodziców dziewczyny oświadczyć się o jej rękę, pomyślał.

* * *

Wysiedli na dworcu Futamatao. Nigdy chyba o takim nie słyszał. Bardzo dziwna nazwa. Niewielka, stara drewniana stacja. Prócz nich dwojga wysiadło jeszcze pięć osób. Nikt nie wsiadł. Ludzie przyjeżdżali aż do Futamatao, by pochodzić po górach w czystym powietrzu. Nikt nie przyjeżdżał tu przecież na musical *Człowiek z La Manchy*, do znanej szalonej

dyskoteki, showroomu Aston Martina czy francuskiej restauracji słynącej z gratin z homarem. Dało się to poznać po wyglądzie osób, które tu wysiadły.

Przed dworcem nie było żadnych prawdziwych sklepów, żadnych przechodniów, ale czekała jedna taksówka. Prawdopodobnie pojawiła się o godzinie przyjazdu pociągu. Fukaeri lekko zapukała w okno. Kierowca otworzył drzwi, a ona wsiadła i gestem zaprosiła Tengo do środka. Drzwi się zamknęły, Fukaeri krótko wyjaśniła kierowcy, dokąd ma jechać, a on skinął głową.

Jechali niezbyt długo, ale droga była strasznie skomplikowana. Wjeżdżali stromo pod górę, zjeżdżali stromo w dół wąskimi jak wiejskie drogi ulicami, na których trudno byłoby kogoś wyminąć. Droga mocno się wiała i często gdzieś skręcali. Ale nawet w takich miejscach kierowca nie zwalniał. Tengo czuł się niepewnie, bo musiał cały czas trzymać się uchwytu nad drzwiami. Potem jechali w górę po zadziwiająco urwistym zboczach przypominającym stok narciarski, aż taksówka w końcu zatrzymała się w miejscu wyglądającym na szczyt niewielkiej góry. Tengo czuł się, jakby jechał nie taksówką a jakimś roller coasterem w wesołym miasteczku. Wyjął z portfela dwa tysiące jenów, wziął od kierowcy resztę i rachunek.

Przed starym, tradycyjnym, japońskim domem stał czarny mitsubishi pajero i duży zielony jaguar. Pajero wyglansowane, że aż lśniło, za to jaguar starego typu, tak zakurzony, że z trudem można było stwierdzić, jakiego jest koloru. Przednia szyba była bardzo brudna, więc wyglądało na to, że od dawna nikt nim nie jeździł. Powietrze wydawało się zaskakująco czyste, wokoło panowała cisza. Tak głęboka, że trzeba się było do niej przyzwyczać. Zdawało się, że niebo jest niezmiernie wysoko, na odsłoniętej skórze wyraźnie czuło się łagodne ciepło promieni słonecznych. Czasami dobiegał skądś wysoki krzyk jakichś nieznanych ptaków. Samych ptaków nie udało mu się zobaczyć.

Dom był duży, stylowy. Musiał zostać zbudowany dość dawno temu, ale wyglądał na bardzo zadbane. Drzewa w ogrodzie też pięknie przystrzyżone, nieomal przycięte zbyt starannie i regularnie, tak że kilka z nich wyglądało, jakby były z plastiku. Wielka sosna rzucała na ziemię głęboki cień. Nic nie zasłaniało widoku, nigdzie wokoło nie widać było żadnych siedzib ludzkich. Ktoś, kto zadaje sobie trud zamieszkania w tak oddalonym miejscu, musi naprawdę nie lubić kontaktów z ludźmi, pomyślał Tengo.

Fukaeri otworzyła klekoczące przesuwane drzwi wejściowe – nie były zamknięte na klucz. Weszła do środka i dała znak Tengo, żeby szedł za nią. Nikt ich nie powitał. Zdjęli buty w niemal nieprzyjaźnie dużym, cichym holu i poszli wypolerowanym chłodnym korytarzem do salonu. Za jego oknami rozciągała się panorama z górskim łańcuchem w tle. Widać też było wijącą się rzekę, w której odbijały się promienie słońca. Był to wspaniały widok, lecz Tengo nie czuł w sobie spokoju, pozwalającego się nim cieszyć. Fukaeri posadziła go na dużej kanapie i bez słowa wyszła z pokoju. Kanapa pachniała dawnymi czasami. Tengo nie potrafił ocenić jak dawnymi.

Salon był przerażająco pozbawiony wszelkich ozdób. Na niskim stole zrobionym z jednej grubej deski nie stało zupełnie nic. Nie było popielniczki ani obrusa. Na ścianach nie wisiały obrazy. Nie dostrzegł też zegara ani kalendarza. Ani jednego wazonu. Niczego w rodzaju kredensu. Na podłodze leżał tylko spłowiały dywan, tak stary, że nie dało się dostrzec wzoru, a na nim stał równie stary zestaw wypoczynkowy. Wielka jak tratwa kanapa, na której siedział Tengo, oraz trzy fotele. Obok duży kominek, ale zdawało się, że ostatnio nikt w nim nie palił. Nawet w połowie kwietnia pokój był wyziębiony. Miało się wrażenie, że chłód, który dostał się tu zimą, jeszcze się utrzymuje. Pokój wyglądał tak, jakby upłynęło wiele lat od czasu, gdy postanowił twardo, że nie powita serdecznie nikogo z odwiedzających. Fukaeri wróciła i nadal nic nie mówiąc, usiadła obok Tengo.

Przez długi czas oboje milczeli. Fukaeri skryła się w swoim własnym enigmatycznym świecie, Tengo uspokajał się, głęboko oddychając. Poza odzywającymi się od czasu do czasu w oddali głosami ptaków pokój był pogrążony w całkowitej ciszy. Kiedy Tengo wyteżył słuch, poczuł, że w tej ciszy kryje się kilka znaczeń. Nie chodziło tylko o to, że nie było słychać żadnego dźwięku. Zdawało się, że cisza sama coś o sobie opowiada. Bez specjalnego powodu zerknął na zegarek. Podniósł głowę, popatrzył na krajobraz za oknem, potem znów na zegarek. Wskazówki prawie się nie posunęły. W niedzielne poranki czas płynął zawsze bardzo wolno.

* * *

Po jakichś dziesięciu minutach bez uprzedzenia otworzyły się drzwi i do salonu wszedł spiesznym krokiem szczupły mężczyzna. Miał nie więcej niż metr sześćdziesiąt wzrostu, ale nie wydawał się cherlawy. Plecy wyprostowane, jakby w środku miał metalowy pręt, głowa podniesiona. Brwi bujne, a w komplecie do nich okulary w grubych czarnych oprawkach, jakby zaprojektowane po to, by budzić strach. W ruchach tego człowieka było coś przypominającego wyjątkowo precyzyjną maszynę, której elementy zostały poddane kompresji. Nic zbędnego, wszystkie części efektywnie połączone. Tengo wstał, chcąc się uklonić, lecz mężczyzna szybko powstrzymał go gestem dłoni. Tengo posłusznie usiadł, on także pospiesznie zajął jeden z foteli naprzeciwko, jakby się ścigali. Potem przez pewien czas mężczyzna bez słowa przyglądał się Tengo. Nie było to zimne i ostre spojrzenie, ale jego oczy pracowicie przewiercały Tengo na wylot. Czasami się zwężały, czasami otwierały szerzej. Jakby fotograf ustawiał przesłonę obiektywu.

Pod ciemnozielonym sweterem miał białą koszulę, do tego ciemnoszare wełniane spodnie. Całe ubranie wyglądało jakby nosił je na co dzień od dziesięciu lat. Wszystko dobrze na nim leżało, lecz zdawało się nieco zużyte. Pewnie nie bardzo przywiązywał wagę do stroju. Prawdopodobnie nie miał nikogo, kto by o niego zadbał. Włosy mu się przerzedziły, co jeszcze bardziej podkreślało kształt podłużnej głowy. Policzki miał zapadnięte, podbródek

kanciasty. Do całości nie pasowały tylko pełne, drobne, jakby dziecinne wargi. Wokół nich tu i tam sterczały kępki niedogolonego zarostu. Ale może tylko tak się wydawało w tym świetle. Górskie słońce wpadające przez okno różniło się nieco charakterem od światła słonecznego, do jakiego Tengo przywykł.

– Bardzo mi przykro, że musiałeś się aż tu fatygować – w wymowie mężczyzny była szczególna modulacja. Mówił jak człowiek, który przez wiele lat przywykł do przemawiania do wielkiej liczby nieznanym mu ludzi. Prawdopodobnie logicznego przemawiania. – Z pewnych powodów nie bardzo mogę się stąd oddalić, więc musiałem cię prosić o przyjazd aż tutaj.

Tengo odparł, że to żaden kłopot. Potem przedstawił się, przepraszając, że nie ma przy sobie wizytówki.

– Nazywam się Ebisuno – powiedział mężczyzna. – Ja też nie mam wizytówki.

– Pan Ebisuno? – powtórzył Tengo.

– Wszyscy nazywają mnie profesorem. Nawet moja własna córka z jakiegoś powodu tak do mnie mówi.

– A jakimi znakami pisze się pana nazwisko?

– To bardzo nietypowe nazwisko. Bardzo rzadko spotykane. Eri, napisz dla pana znaki.

Fukaeri skinęła głową, wyciągnęła jakiś notes, i powoli, nie śpiesząc się, napisała na białej kartce długopisem dwa znaki. Wyglądały jak wryte gwoździem w cegle. Miały nawet pewien charakter.

– Po angielsku znaczyłoby to *field of savages* czyli pole dzikich. Dawniej zajmowałem się antropologią, więc było to bardzo odpowiednie nazwisko do tej dziedziny – powiedział profesor. Na jego ustach pojawiło się coś przypominającego uśmiech. Mimo to uważne spojrzenie oczu ani trochę się nie zmieniło. – Ale już bardzo dawno temu zerwałem z życiem naukowca. Teraz zajmuję się rzeczami niemającymi z tym związku. Przeniosłem się na innego rodzaju pole dzikich.

Rzeczywiście było to nietypowe nazwisko, ale Tengo kiedyś je słyszał. Pod koniec lat sześćdziesiątych był zdaje się słynny uczony nazwiskiem Ebisuno. Wydał kilka książek, o których wtedy było dość głośno. Choć Tengo nie wiedział dokładnie, czego dotyczyły, nazwisko zostało mu w jakimś zakamarku pamięci. Ale nie wiadomo kiedy jakoś ucichł szum wokół tego człowieka.

– Wydaje mi się, że o panu słyszałem – powiedział Tengo, jakby zapuszczając sondę.

– Niewykluczone – powiedział profesor, patrząc w dal. Zdawało się, że mówi o jakiejś innej, nieobecnej osobie. – Tak czy inaczej, to było bardzo dawno temu.

Tengo czuł, jak spokojnie oddycha siedząca obok niego Fukaeri. To były powolne, głębokie oddechy.

– Tengo Kawana – powiedział profesor, jakby odczytywał identyfikator.

– Tak jest – odparł Tengo.

– Studiowałeś na uczelni matematykę, a teraz uczysz matematyki na kursach przygotowawczych w Yoyogi. Ale jednocześnie piszesz powieść. Tyle dowiedziałem się na razie od Eri. Czy rzeczywiście tak jest?

– Tak jest.

– Nie wyglądasz na nauczyciela matematyki ani na powieściopisarza.

Tengo uśmiechnął się gorzko.

– Bardzo niedawno ktoś inny mi to powiedział. To zapewne z powodu mojej postury.

– Nie miałem nic złego na myśli – powiedział profesor. Podniósł palec ku czarnym okularom na nosie. – W tym, że się na kogoś nie wygląda, nie ma nic złego. To znaczy, że człowiek nie wtoczył się jeszcze w żadne ramy.

– Bardzo się cieszę, że pan tak myśli, ale ja jeszcze nie jestem powieściopisarzem. Na razie tylko próbuję napisać powieść.

– Próbujesz.

– To znaczy, że robię to metodą prób i błędów.

– Aha – powiedział profesor i lekko zatarł ręce, jakby dopiero zauważył chłód w pokoju.

– Zgodnie z tym, co słyszałem, zamierzasz poprawić powieść napisaną przez Eri, uczynić ją bardziej kompletnym utworem i przymierzyć się do nagrody magazynu literackiego za debiut. Próbujesz wmówić opinii publicznej, że jest pisarką. Czy dobrze rozumiem?

Tengo ostrożnie dobierał słowa: – Zasadniczo jest tak, jak pan mówi. Zaplanował to wszystko redaktor nazwiskiem Komatsu. Ja nie wiem, czy taki plan może się w rzeczywistości powieść. Ani czy to jest moralnie słuszne, czy nie. Moja rola ogranicza się do tego, że mam poprawić tekst *Powietrznej poczwarki*. Jestem tylko tak zwaną siłą techniczną. Za resztę odpowiada ten pan Komatsu.

Profesor przez pewien czas zastanawiał się nad czymś w skupieniu. Zdawało się, że w pograżonym w ciszy pokoju zaraz rozlegnie się odgłos poruszających mu się w głowie trybów. Potem powiedział: – Redaktor Komatsu wymyślił ten plan, a ty pomagasz mu tylko od strony technicznej.

– Tak jest.

– Ja sam byłem przede wszystkim naukowcem i szczerze mówiąc, raczej nie pasjonuje mnie czytanie powieści. Dlatego nie wiem, jakie obyczaje panują w świecie powieściopisarzy. Ale to, co planujecie, brzmi dla mnie jak pewien rodzaj fałszerstwa. Czy się mylę?

– Nie, nie myli się pan. Dla mnie to też tak brzmi.

Profesor lekko się skrzywił.

– A więc mimo że masz wątpliwości natury etycznej, chętnie bierzesz udział w tym przedsięwzięciu?

– Nie powiedziałbym, że chętnie, ale rzeczywiście zamierzam wziąć w nim udział.

– A z jakiego powodu?

– To jest pytanie, które zadaję sobie od tygodnia – odparł Tengo uczciwie.

Profesor z Fukaeri w milczeniu czekali, co powie dalej.

– Rozum, rozsądek i instynkt, wszystkie razem każą mi się jak najszybciej z tego wycofać. Jestem człowiekiem z natury ostrożnym i rozsądnym. Nie lubię hazardu ani przygód. Jestem nieomal tchórzliwy. Ale tym razem za nic nie mogę odmówić panu Komatsu i nie zgodzić się na ten niebezpieczny plan. Tylko z jednej przyczyny – ten utwór silnie do mnie przemówił. Gdyby chodziło o inny tekst, z miejsca bym odmówił.

Profesor przez pewien czas z niedowierzaniem przyglądał się Tengo.

– To znaczy, że w tym planie nie interesuje cię aspekt fałszerstwa, natomiast jesteś głęboko zainteresowany poprawieniem powieści. To miałeś na myśli?

– Tak jest. Bardziej niż „głęboko zainteresowany”. Jeżeli *Powietrzna poczwarka* ma zostać poprawiona, nie chcę tej pracy powierzyć nikomu innemu.

– Aha – powiedział profesor. I skrzywił się, jakby przypadkiem zjadł coś kwaśnego. – Aha. Mam wrażenie, że mniej więcej zrozumiałem, co czujesz. W takim razie jaki jest cel tego Komatsu? Chodzi mu o pieniądze czy o rozgłos?

– Szczerze mówiąc, sam nie bardzo wiem, na czym zależy panu Komatsu. Ale mam wrażenie, że ma jakiś ważniejszy powód niż zysk czy rozgłos.

– Na przykład jaki?

– Sam prawdopodobnie by się do tego nie przyznał, ale z pewnością jest człowiekiem opętany przez literaturę. Tacy ludzie pragną tylko jednego. Żeby choć raz w życiu znaleźć coś naprawdę oryginalnego. Chcą to podać światu na tacy.

Profesor przyglądał się Tengo przez pewien czas. Potem powiedział: – To znaczy, że każdy z was ma inną motywację. I nie chodzi ani o pieniądze, ani o sławę.

– Tak, tak to wygląda.

– Ale bez względu na wasze motywy, jak sam mówisz, jest to bardzo niebezpieczny plan. Jeżeli na którymś etapie prawda wyszłaby na jaw, niewątpliwie wybuchłby skandal i nie tylko wy dwaj zostalibyście bezlitośnie napiętnowani przez opinię publiczną. Życie Eri też zostałoby fatalnie naznaczone, choć ona ma dopiero siedemnaście lat. To mnie najbardziej martwi w tej sprawie.

– To oczywiście, że pan się martwi – powiedział Tengo, kiwając głową. – Ma pan rację.

Przestrzeń między bujnymi czarnymi brwiami skurczyła się o centymetr.

– I mimo wszystko, mimo że Eri będzie narażona na niebezpieczeństwo, chciałbyś poprawić *Powietrzną poczwarkę*?

– Tak jak przed chwilą powiedziałem, to pragnienie wyłoniło się skądś, gdzie nie dociera ani rozum, ani rozsądek. Oczywiście chciałbym w miarę możliwości chronić Eri. Ale nie mogę zagwarantować, że nic jej się nie stanie. To byłoby nieuczciwe.

– Aha – powiedział profesor. A potem odchrząknął, jakby robił przerwę w przemowie. – Tak czy inaczej, ty wydajesz się uczciwym człowiekiem.

– Przynajmniej staram się być w miarę możliwości szczerzy.

Profesor patrzył na swoje dłonie na kolanach, jakby były czymś nieznanym. Spojrzał na ich grzbiety, potem odwrócił i spojrzał na wnętrze. Podniósł głowę.

– A ten redaktor Komatsu naprawdę myśli, że ten plan może się udać?

– Jego zdaniem medal ma zawsze dwie strony – powiedział Tengo. – Dobrą i nie najgorszą.

Profesor się roześmiał.

– Bardzo oryginalny punkt widzenia. Ten Komatsu to optymista czy raczej ktoś zadufany w sobie?

– Ani jedno, ani drugie. Jest jedynie cynikiem.

Profesor lekko pokręcił głową.

– Kiedy staje się cyniczny, robi się optymistą. Albo staje się zadufany? O to ci chodzi?

– Być może ma taką tendencję.

– Wygląda na skomplikowanego człowieka.

– Jest dość skomplikowany – powiedział Tengo. – Ale nie jest głupi.

Profesor powoli wypuścił powietrze. Potem zwrócił się do Fukaeri: – Eri, a co ty na to? Co sądzisz o tym planie?

Fukaeri wpatrywała się przez pewien czas w anonimowy punkt w przestrzeni. Potem powiedziała: – może być

Profesor uzupełnił krótką wypowiedź Eri koniecznymi słowami: – To znaczy, że nie masz nic przeciwko temu, żeby ten pan poprawił *Powietrzną poczwarkę*?

– nie mam

– Nawet jeżeli może się to dla ciebie skończyć kłopotami?

Fukaeri nie odpowiedziała. Mocno ścisnęła pod brodą kołnierzyk zapinanego swetra. Lecz ta czynność jednoznacznie pokazała, że jej decyzja jest ostateczna.

– Prawdopodobnie dziewczyna ma słuszość – powiedział profesor jakby zrezygnowany. Tengo patrzył na zaciśnięte drobne piąstki Fukaeri.

– Ale jest jeszcze jeden problem – profesor zwrócił się do Tengo. – Razem z tym Komatsu zamierzacie ofiarować opinii publicznej *Powietrzną poczwarkę* i zrobić z Eri pisarkę. Ale ta dziewczyna ma kłopot z czytaniem. Ma dysleksję. Wiesz o tym?

– Opowiedziała mi o tym z grubsza dziś w pociągu.

– To prawdopodobnie wrodzone. Dlatego przez wiele lat w szkole uważali ją za opóźnioną w rozwoju, chociaż w rzeczywistości jest bystra. Ma w sobie głęboką mądrość. Ale jej dysleksja, mówiąc najdelikatniej, nie może mieć dobrego wpływu na ten wasz plan.

– Ile osób w sumie o tym wie?

– Nie licząc jej samej, trzy – odparł profesor. – Ja, moja córka Azami i ty. Poza tym nikt nie wie.

– Nie wiedzą o tym nauczyciele ze szkoły, do której chodziła?

– Nie wiedzą. To mała wiejska szkoła. Pewnie nawet nigdy nie słyszeli o dysleksji. Poza tym bardzo krótko tam chodziła.

– Skoro tak, to może się uda jakoś to ukryć.

Profesor patrzył na niego, jakby próbując ocenić jego intencje.

– Wygląda na to, że Eri ci ufa – powiedział po chwili. – Nie wiem dlaczego. Ale...

Tengo w milczeniu czekał na dalsze słowa.

– Ale ja wierzę Eri. Dlatego skoro mówi, że można ci powierzyć jej utwór, ja muszę się z tym zgodzić. Jednak jeżeli naprawdę zamierzasz wprowadzić w życie ten plan, jest kilka faktów na jej temat, które musisz znać – profesor lekko otrzepał prawe kolano spodni, jakby dostrzegł tam jakieś drobne paproszki. – To, jakie miała dzieciństwo, jak doszło do tego, że ja ją wychowuję. To jest co prawda długa historia...

– Chętnie posłucham – powiedział Tengo.

Fukaeri poprawiła się na kanapie obok niego. Dalej trzymała obiema rękami pod brodą kołnierzyk zapinanego swetra.

– Dobrze – zaczął profesor. – Muszę się cofnąć do lat sześćdziesiątych. Ojciec Eri jest od dawna moim bliskim przyjacielem. Ja jestem dziesięć lat starszy, ale wykładaliśmy na tej samej uczelni, na tym samym wydziale. Różniliśmy się bardzo charakterami i światopoglądem, ale z jakiegoś powodu poczuliśmy do siebie sympatię. Obaj późno się ożeniliśmy, wkrótce obaj dorobiliśmy się córek. Mieszkaliśmy w tym samym domu w mieszkaniach pracowniczych, często chodziliśmy gdzieś razem całymi rodzinami. Praca też dobrze nam szła. Wtedy byliśmy popularni jako tak zwani „odważni naukowcy”. Często pojawialiśmy się w mediach. To były czasy, kiedy działo się wiele bardzo interesujących rzeczy.

Ale lata sześćdziesiąte zaczęły dobiegać końca i coś na świecie zaczęło się psuć. Ożywiły się ruchy studenckie w protestach przeciwko układowi o bezpieczeństwie w 1970 roku, była blokada uniwersytetu, starcia z oddziałami specjalnymi, krwawe wewnętrzne zamieszki, nawet poginęli ludzie. Tego typu rzeczy zaczęły mnie męczyć i postanowiłem odejść z uczelni. Od początku nie bardzo dogadywałem się ze światem naukowym, a w tamtym okresie miałem już go serdecznie dosyć. System czy antysystem – wszystko jedno. W końcu to były jedynie utarczki między organizacjami. A ja z zasady nie ufam za grosz organizacjom, ani dużym, ani małym. Wyglądasz młodo, więc nie byłeś chyba jeszcze wtedy studentem.

– Kiedy poszedłem na studia, to zamieszanie już całkowicie się uspokoiło.

– Czyli spóźniłeś się na wszystkie atrakcje.

– Tak, rzeczywiście.

Profesor podniósł dłoń, potem opuścił je na kolana.

– Zrezygnowałem z uczelni, ojciec Eri przestał tam pracować dwa lata później. Świącie wierzył wówczas w rewolucyjne idee Mao Tsetunga i popierał rewolucję kulturalną w

Chinach. Nie docierały do nas wtedy prawie żadne informacje o tym, jaka była straszna i nieludzka. Wymachiwanie czerwoną książeczką Mao stanowiło dla pewnej części inteligencji coś w rodzaju intelektualnej mody. Jej ojciec zorganizował grupę studentów, stworzył na uczelni radykalny oddział w stylu Czerwonej Gwardii i wziął udział w strajku uniwersyteckim. Studenci innych uczelni, którzy święcie w niego wierzyli, dołączali się do jego organizacji. W pewnym momencie ta dowodzona przez niego sekta była całkiem pokaźna. Na prośbę władz uczelni na teren wkroczyły oddziały specjalne i wraz z prowadzącymi strajk okupacyjny studentami został aresztowany, przeprowadzono śledztwo. Potem został zwolniony z uniwersytetu. Eri była jeszcze mała, więc pewnie nic nie pamięta.

Fukaeri milczała.

– Jej ojciec nazywał się Tamotsu Fukada. Po odejściu z uniwersytetu wraz z dziesięcioma studentami tworzącymi trzon Czerwonej Gwardii przeniósł się do Grupy Takashima. Większość studentów została relegowana z uczelni. Musieli się gdzieś podziać. Takashima była niezłą przystanią. Wtedy media trochę o tym pisały. Słyszałeś tę historię?

Tengo potrząsnął głową.

– Nie, nic na ten temat nie wiem.

– Rodzina Fukadów trzymała się razem. To znaczy żona i Eri przeniosły się z nim do Takashimy. Wiesz, co to była Szkoła Takashimy?

– Mniej więcej – powiedział Tengo. – Organizacja w stylu komuny, wszystko wspólne, utrzymywali się z uprawy roli. Zajmowali się też mleczarstwem. Założyli komuny w całym kraju. Nie uznawali żadnej własności prywatnej, wszystko było wspólne.

– Tak jest. Mówi się, że Fukada szukał w systemie Takashimy utopii – powiedział profesor marszcząc brwi. – No ale, oczywiście, na świecie nie istnieją żadne utopie. Tak samo jak nie ma alchemii ani perpetuum mobile. Moim zdaniem Takashima produkowała bezmyślne roboty. Usuwali z ludzkich umysłów potrzebę wszelkiej refleksji. Stworzyli świat, który opisywał w swoich powieściach George Orwell. Ale jak sam pewnie wiesz, jest niemało ludzi, którzy pragną takich niewymagających myślenia warunków. Bo to jest o wiele łatwiejsze. Nie trzeba rozmyślać o żadnych kłopotliwych sprawach, należy tylko po cichu wykonywać wydawane rozkazy. Nie chodzi człowiek głodny. Dla ludzi lubiących tego typu sytuacje Takashima mogła rzeczywiście być legendarną utopią.

Ale Fukada nie był tego typu człowiekiem. Był kimś, kto zawsze dogłębnie sam wszystko przemyślał. Kimś, kto się w tym specjalizował i z tego utrzymywał. Dlatego niemożliwe było, że zadowoli go życie w miejscu takim jak Takashima. On oczywiście też od początku zdawał sobie z tego sprawę. Wyrzucony z uniwersytetu z grupą studentów, którzy mieli o sobie nadmiernie wysokie mniemanie, nie miał się gdzie podziać, więc wybrał to miejsce na prowizoryczne schronienie. Co więcej, pragnął poznać *know-how* systemu Takashimy. Przede wszystkim musieli się nauczyć techniki uprawy roli. Fukada i wszyscy studenci wychowali się w miastach, więc nie mieli pojęcia o rolnictwie. Tak samo jak ja nie

mam pojęcia o konstrukcji rakiet. Dlatego praktycznie od zera musieli opanować wiedzę i technikę uprawy roli. Musieli się dowiedzieć wszystkiego o strukturze dystrybucji, o możliwościach i ograniczeniach samowystarczalności, poznać zasady życia w komunie. Po dwóch latach spędzonych w Takashimie nauczyli się wszystkiego, czego dało się tam nauczyć. Jeśli tylko chcieli, byli bardzo pojętą grupą... Przeanalizowali też dokładnie zalety i słabe punkty Takashimy. A potem Fukada zabrał swoją frakcję, odszedł z Takashimy i uniezależnił się.

– w takashimie było fajnie – powiedziała Fukaeri.

Profesor się uśmiechnął.

– Małym dzieciom na pewno jest tam fajnie. Ale kiedy osiągnie się pewien wiek, kształtuje się ego i dla wielu dzieci życie w Takashimie staje się piekłem. Bo naturalna chęć rozmyślania na różne tematy jest odgórnie niszczone. To jakby krępowanie szarych komórek, jak krępowanie stóp.

– krępowanie stóp – zapytała Fukaeri.

– Dawno temu w Chinach dziewczynkom na siłę wciskano stópkę w małe buciki, żeby nie urosły – wyjaśnił Tengo.

Fukaeri zamilkła, próbując to sobie wyobrazić.

Profesor ciągnął: – Trzon separatystycznej grupy Fukady stanowili oczywiście byli studenci, pseudoczerwonogwardziści, którzy działali razem z nim. Ale pojawiali się inni, którzy też chcieli się dołączyć. Jego grupa zaczęła gwałtownie się rozrastać i stała się znacznie większa, niż oczekiwał. Kiedyś przyłączyli się do Takashimy pełni ideałów, lecz tamtejsze życie ich nie usatysfakcjonowało i rosła liczba rozczarowanych. Dla niektórych cel stanowiło życie w stylu hippisowskiej komuny, byli też lewicowcy sfrustrowani konfliktem na uczelni oraz tacy, którzy dołączyli się do Takashimy, bo nie wystarczało im codzienne realne życie i szukali nowego świata duchowego. Byli tam ludzie samotni, a także całe rodziny, jak Fukadowie. Mieszanina ludzi i różnorodność typów. Fukada został ich liderem. Był urodzonym liderem. Jak Mojżesz, który wiodł Izraelitów. Był bystry, potrafił mówić, wygłaszał wyjątkowo trafne sądy. Miał też pewną charyzmę. Do tego był potężnie zbudowany. Hm, tak, mniej więcej tak, jak ty. Ludzie w naturalny sposób umieszczali go w centrum grupy, podporządkowywali się jego sądom.

Profesor rozłożył ręce i pokazał, jak zbudowany był ten mężczyzna. Fukaeri popatrzyła na odległość między jego dłońmi, a potem spojrzała na sylwetkę Tengo. Lecz nic nie powiedziała.

– Ja z Fukadą różniliśmy się kompletnie i charakterami, i wyglądem. On był z natury przywódcą, ja z natury samotnym wilkiem. On był politykiem, a ja kompletnie antypolityczny. On wielki chłop, a ja karzeł. On przystojny, z prezencją, ja nijaki mózgowiec i z głową o dziwnym kształcie. Ale mimo tego wszystkiego byliśmy bliskimi przyjaciółmi. Akceptowaliśmy się nawzajem i ufaliśmy sobie. Nie przesadzę, kiedy powiem, że ma się w

życiu tylko jednego takiego przyjaciela.

* * *

Grupa Tamotsu Fukady znalazła w górach prefektury Yamanashi wyludnioną wioskę. Takiej właśnie szukali. Pozostali we wsi staruszkowie nie radzili sobie z pracą na roli, nie było nikogo, kto mógłby przejąć po nich gospodarstwa i wioska była już prawie wymarła. Grupie Fukady udało się kupić pola i domy praktycznie za bezcen. Były nawet szklarnie. Odpowiednie urzędy udzieliły im poparcia, pod warunkiem, że będą dalej uprawiać istniejące pola. Przynajmniej przez pierwszych kilka lat udało im się uzyskać ulgi podatkowe. Do tego Fukada miał coś w rodzaju prywatnego źródła kapitału. Profesor Ebisuno nie był pewien, co to były za pieniądze.

– Fukada nie zdradził nam nic na ten temat, nikomu nie wyjawiał tajemnicy. Ale w każdym razie gdzieś zebrał niemałe pieniądze potrzebne na stworzenie komuny. Korzystając z tego kapitału, skompletował narzędzia rolnicze, nabył materiały budowlane, stworzył fundusz rezerwowy. Sami naprawili walące się domy, wybudowali potrzebne dla wszystkich trzydzieścioro członków budynki gospodarcze. To było w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym czwartym roku. Nową komunę zaczęto nazywać Sakigake, czyli Zwiastun.

Sakigake? – pomyślał Tengo. Kiedyś słyszał tę nazwę. Ale nie mógł sobie przypomnieć kiedy. Nie mógł odnaleźć tego w pamięci. To go trochę zdenerwowało. Profesor mówił dalej: – Fukada był przygotowany na to, że przez kilka lat, zanim przywykną do nowego miejsca, kierowanie komuną będzie trudne, ale wszystko układało się nadspodziewanie dobrze. Pogoda im sprzyjała, okoliczna ludność oferowała pomoc. Ludzie czuli sympatię do szczerego Fukady, lidera grupy, byli też pełni podziwu dla zapału, z jakim młodzi członkowie Sakigake pracowali w pocie czoła na roli. Miejscowi często zaglądali do nich i udzielali pożytecznych rad. W ten sposób członkowie komuny zdobyli praktyczną wiedzę na temat rolnictwa i nauczyli się żyć z uprawy ziemi.

Najpierw stosowali w Sakigake wszystko to, czego nauczyli się w Takashimie, ale w niektórych dziedzinach wprowadzili swoje własne metody. Na przykład przestawili się całkowicie na rolnictwo ekologiczne. Nie używali chemicznych środków owadobójczych, starali się hodować jarzyny tylko na nawozach naturalnych. I rozpoczęli sprzedaż wysyłkową produktów spożywczych nastawioną na zamożnych mieszkańców miast. W ten sposób mogli dyktować wysokie ceny detaliczne. To był początek tak zwanego rolnictwa ekologicznego. Trafili w dziesiątkę. Wielu spośród nich wychowało się w miastach, więc dobrze wiedzieli, czego potrzebują ich mieszkańcy. Wiedzieli, że chętnie dużo zapłacą za niepryskane, świeże i smaczne jarzyny. Grupa podpisała umowę z firmą transportową, uprościła dystrybucję i stworzyła własny system błyskawicznego dostarczania produktów do miast. To oni pierwsi zaczęli sprzedawać „brzydkie warzywa ubrudzone ziemią”.

* * *

– Kilka razy odwiedziłem gospodarstwo Fukady i z nim rozmawiałem – powiedział profesor. – Był bardzo ożywiony. Stworzył sobie nowe otoczenie, szukał tam nowych możliwości. Być może był to najspokojniejszy, najbardziej pełen nadziei okres. Zdawało się, że cała rodzina przywykła do nowego życia.

Przybywało ludzi, którzy słyszeli o gospodarstwie rolnym Sakigake, i mieli nadzieję się do niego przyłączyć. Dzięki sprzedaży wysyłkowej Sakigake zaczęła być znana, mówiono o niej w mediach jako o przykładzie dobrze funkcjonującej komuny. Na świecie było wielu ludzi pragnących uciec od rzeczywistego świata, od natłoku informacji, od pogoni za pieniędzmi, chcących pracować w pocie czoła na łonie natury. Takich ludzi przyciągała Sakigake. Z chętnymi odbywano rozmowy kwalifikacyjne, oceniano ich, i jeżeli się nadawali, pozwalano im zostać. Ale nie wszystkich chętnych przyjmowano. Komuna musiała dbać o zachowanie wysokiego morale członków. Poszukiwali ludzi znających się na technice uprawy roli, zdrowych, nadających się do ciężkiej fizycznej pracy. Poza tym połowę miały stanowić kobiety, toteż chętnie je przyjmowali. Wzrastała liczba członków, zwiększała się też skala gospodarstwa, ale ponieważ były jeszcze w pobliżu niewykorzystane tereny uprawne i domy, więc nie nastęczało to dużych trudności. Na początku większość stanowili ludzie młodzi i samotni, lecz stopniowo zaczęły przystępować do komuny całe rodziny. Wśród nowych członków zdarzali się doskonale wykształceni specjaliści, na przykład lekarze, inżynierowie, nauczyciele, księgowi. Takich ludzi witano w społeczności z otwartymi rękami. Bo specjalistyczne umiejętności bardzo się przydawały.

– Czy w tej komunie przyjęto oryginalny komunistyczny system wspólnej własności, jak w Takashimie? – zapytał Tengo.

Profesor potrząsnął głową.

– Nie, Fukada odrzucił wspólną własność majątku. Był politycznym radykałem, ale równocześnie chłodno myślącym realistą. Kierował się raczej ku formie luźnego kolektywu. Jego celem nie było stworzenie społeczeństwa posłusznych mrówek. Wybrał formułę podziału komuny na kilka jednostek, w ramach tych jednostek prowadzono luźne kolektywne życie. Uznawał własność prywatną, ludzie otrzymywali czasem niewielkie wynagrodzenie. Jeżeli komuś nie podobała się jednostka, do której należał, mógł się przenieść do innej, można też było w dowolnej chwili odejść z Sakigake. Nie ograniczano nikomu kontaktów ze światem zewnętrznym, prawie nie prowadzono nic w rodzaju szkolenia ideologicznego, nie było prania mózgu. To w Takashimie Fukada nauczył się, że taki otwarty, naturalny system zwiększa wydajność pracy.

* * *

Pod przewodnictwem Fukady gospodarstwo Sakigake rozwijało się pomyślnie i według planu. Jednakże wkrótce komuna podzieliła się na dwie wyraźne frakcje. Taki rozłam był nieunikniony ponieważ jednostki organizacyjne, które stworzył Fukada, stanowiły luźny system. Jedna frakcja była frakcją radykalną – zorientowaną na rewolucję grupą, której trzon stanowili członkowie zorganizowanej wcześniej przez Fukadę Czerwonej Gwardii. Traktowali życie w komunie rolniczej jedynie jako etap przygotowawczy do rewolucji. Przyciąć się, uprawiając rolę, a kiedy przyjdzie czas, powstać z bronią w ręku – taki był ich jedyny cel.

Druga frakcja była umiarkowana. Z frakcją radykalną łączyło ją przeciwstawianie się systemowi kapitalistycznemu. Za ideał uważano oddalenie się od polityki i samowystarczalną kolektywną egzystencję w otoczeniu przyrody. Frakcja umiarkowana miała w gospodarstwie więcej członków. Te dwie frakcje były jak woda i olej. Kiedy razem pracowali na roli, mieli wspólny cel i nie rodziły się żadne problemy, ale gdy przychodziło do podejmowania decyzji na temat kierunków rozwoju czy zarządzania komuną, zawsze powstawały jakieś kontrowersje. Bardzo często zdarzało się, że na próżno szukali kompromisu. Wtedy dochodziło do gwałtownych kłótni. Widać było, że rozpad komuny jest tylko kwestią czasu.

W końcu dla neutralnych członków było coraz mniej miejsca. Wkrótce sam Fukada znalazł się w sytuacji, kiedy musiał wybrać jedno albo drugie. W tym okresie zdawał już sobie doskonale sprawę, że w Japonii lat siedemdziesiątych nie ma miejsca ani możliwości organizowania rewolucji. Poza tym od początku uważał rewolucję raczej za potencjalną możliwość, więcej powiem – za metaforę, traktował rewolucję jako hipotezę. Wierzył, że takie pobudzenie antyestablishmentowej, destrukcyjnej woli jest niezbędne w zdrowym społeczeństwie. Jako, nazwijmy to, zdrowa przyprawa. Lecz studenci, którym przewodził, pragnęli rewolucji z prawdziwego zdarzenia, w której poleje się prawdziwa krew. Oczywiście Fukada też był za to odpowiedzialny. To on dał się ponieść duchowi czasów, snuł opowieści, od których studentom burzyły się umysły, pozwolił im tworzyć bezsensowne mity. Nie powiedział wcale, że chodzi o symboliczną rewolucję. To szczery, uczciwy i bystry człowiek, i wybitny naukowiec. Ale niestety był z niego zbyt wielki orator, miał tendencję do upajania się własnymi słowami i w głębi duszy brakowało mu refleksji nad sobą i jakiegokolwiek empirycznego podejścia.

W ten sposób komuna Sakigake podzieliła się na dwie części. Frakcja umiarkowana pozostała w tej samej osadzie, zachowując nazwę Sakigake, a frakcja radykalna przeniosła się do opuszczonej wioski oddalonej o pięć kilometrów i uczyniła ją bazą ruchu rewolucyjnego. Rodzina Fukadów wraz ze wszystkimi innymi rodzinami pozostała w Sakigake. Rozstali się dość przyjaźnie. Fukada znowu skądś zdobył kapitał potrzebny do stworzenia oddzielnej komuny. Po podziale oba gospodarstwa rolne nadal starały się współpracować. Wymieniano się niezbędnymi materiałami, ze względów ekonomicznych korzystano z tych samych

kanałów dystrybucji w sprzedaży wysyłkowej. Żeby te dwa niewielkie kolektywy mogły przetrwać, musiały sobie nawzajem pomagać.

Wkrótce jednak wymiana pomiędzy starą Sakigake a nową oddzieloną komuną w rzeczywistości ustała. Ich cele zbyt się od siebie różniły. Stosunki pomiędzy Fukadą a radykalnymi studentami, którym kiedyś przewodził, nie zostały jednak zerwane. Fukada czuł się za nich bardzo odpowiedzialny. To on ich zorganizował i przywiódł w góry do Yamanashi. Nie mógł ich porzucić, tylko dlatego, że tak mu było na rękę. Poza tym oddzielona komuna potrzebowała źródła kapitału, do którego miał dostęp tylko Fukada.

* * *

– Można powiedzieć, że Fukada był w stanie pewnego rodzaju rozdwojenia – powiedział profesor. – W głębi serca nie wierzył już w możliwość ani romantyzm rewolucji. Lecz jednocześnie nie mógł temu całkowicie zaprzeczyć. Całkowite zaprzeczenie rewolucji oznaczałoby, że całkowicie zaprzecza swemu dotychczasowemu życiu i przyznaje się przed wszystkimi do błędu. Tego nie potrafił zrobić. Miał na to zbyt wiele dumy, poza tym martwił się, że jego odejście może dezorientować studentów. Na tym etapie Fukada jeszcze do pewnego stopnia mógł nad nimi zapanować.

Dlatego też zaczął krążyć między Sakigake i tą drugą komuną. Był liderem Sakigake, a jednocześnie przyjął funkcję doradcy komuny radykalnej. Człowiek, który przestał wierzyć w rewolucję, dalej wyjaśniał innym rewolucyjne teorie. Członkowie frakcji radykalnej prócz uprawy roli odbywali także intensywne ćwiczenia wojskowe oraz mieli częste szkolenia ideologiczne. Pod względem politycznym, wbrew woli Fukady, stawali się coraz bardziej radykalni. Nowa komuna przyjęła zasadę całkowitej tajności, przestała dopuszczać do siebie kogokolwiek z zewnątrz. Sektor Bezpieczeństwa Wewnętrznego poddał ich łagodnej inwigilacji, traktując jako grupę wymagającą specjalnej uwagi, bo propagowali hasła zbrojnej rewolucji.

Profesor znów spojrzał na swoje kolana. Potem podniósł głowę.

– Sakigake podzielili się w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym szóstym roku. Eri uciekła z Sakigake i przybyła do nas w następnym roku. Oddzielona komuna przybrała wtedy nową nazwę: Akebono, czyli Świt.

Tengo podniósł głowę i zmrużył oczy.

– Chwileczkę – powiedział. Akebono. Tę nazwę też dobrze pamiętał. Ale z jakiegoś powodu w pamięci miał mgłę i nie mógł tam niczego znaleźć. Mógł jedynie po omacku wyczuć kilka niejasnych fragmentów przypominających fakty. – Czy przypadkiem Akebono jakiś czas temu nie było w coś wplątane?

– Zgadza się – powiedział profesor Ebisuno. I spojrzał na Tengo znacznie poważniejszym wzrokiem. – Chodzi oczywiście o tę słynną grupę Akebono, która

sprowokowała strzelaninę z policją w górach niedaleko jeziora Motosu.

Strzelaninę, pomyślał Tengo. Coś o tym słyszał. Było o tym głośno. Ale z jakiegoś powodu nie pamiętał szczegółów. Pomieszała mu się wszelka kolejność. Kiedy na siłę próbował ją sobie przypominać, doznawał wrażenia, że całe ciało gwałtownie mu się skręca. Zupełnie jakby dolna i górna połowa były wykręcane w przeciwnych kierunkach. Czuł tępy ból w środku głowy, powietrze wokół błyskawicznie się rozrzedzało. Dźwięki stawały się głuche, jakby słyszane pod wodą. W każdej chwili mógł nadejść tamten „atak”.

– Źle się poczułeś? – zapytał profesor zmartwiony. Dźwięki dobiegały ze strasznie daleka.

Tengo potrząsnął głową. Potem wydobył z siebie głos: – W porządku. Zaraz mi przejdzie.

Rozdział jedenasty – Aomame

Ciało człowieka jest świątynią

Tych, którzy znali się tak dobrze jak Aomame na kopaniu w jądra, można prawdopodobnie policzyć na palcach jednej ręki. Dzień po dniu studiowała różne sposoby kopania, nie opuszczała się w ćwiczeniach praktycznych. W kopaniu w jądra najważniejsze było odrzucenie jakiegokolwiek wahania. Zaatakować najsłabszy punkt przeciwnika, bezlitośnie, gwałtownie, niespodziewanie. Tak samo jak Hitler, który ignorując i gwałcąc deklarację neutralności Holandii i Belgii, zaatakował słaby punkt linii Maginota i zmusił Francję do kapitulacji. Nie wolno być niezdecydowanym. Sekunda wahania może się okazać fatalna w skutkach.

Ogólnie biorąc, można powiedzieć, że gdy przychodzi do walki jeden na jednego, dla kobiety nie ma praktycznie innego sposobu pokonania potężniejszego od niej i silniejszego mężczyzny. Było to niewzruszone przekonanie Aomame. Ta dyndająca część ciała stanowiła najsłabszy punkt stworzenia zwanego mężczyzną. I w wielu wypadkach nie była ona odpowiednio chroniona. Należało to wykorzystać.

Aomame jako kobieta nie mogła oczywiście zrozumieć, jak bolesne jest kopnięcie w jądra. Nie potrafiła nawet sobie tego wyobrazić. Ale na podstawie reakcji i wyrazu twarzy kopniętego wyobrażała sobie, że musi to być bardzo dotkliwy ból. Wyglądało na to, że nawet najsilniejszy, najtwardszy mężczyzna nie może znieść takiego cierpienia. I miała wrażenie, że zazwyczaj towarzyszy temu poważne zachwianie wiary w siebie.

– To jest taki ból, jakby zaraz świat miał się skończyć. Nie da się tego do niczego porównać. Różni się od zwykłego bólu – powiedział jej, starannie przemyślawszy sprawę, pewien mężczyzna, którego poprosiła o wyjaśnienie.

Aomame zastanawiała się nad tą analogią. Świat miał się skończyć?

– Czyli odwrotnie rzecz ujmując, koniec świata byłby czymś w rodzaju nagłego kopniaka w jądra? – zapytała.

– Nie przeżyłem końca świata, więc nie wiem, ale może tak jest – powiedział mężczyzna, patrząc w dal pustym wzrokiem. – Doznaje się tylko głębokiego poczucia bezsilności. Ciemność, ból, nie ma ratunku.

Pewnego dnia Aomame przypadkiem obejrzała nadawany w telewizji w późnych godzinach nocnych *Ostatni brzeg*. Amerykański film nakręcony koło 1960 roku. Wybucho wojna między Ameryką a Związkiem Radzieckim, między kontynentami jak ławice latających ryb w tę i z powrotem przemieszczają się pociski nuklearne. Ziemia zostaje w jednej chwili zniszczona, znaczna część ludzkości wymiera. Z powodu kierunku wiatru, czy czegoś takiego, śmiertelny radioaktywny pył nie dociera na razie do leżącej na południowej półkuli Australii. Ale to tylko kwestia czasu. Żadnym sposobem nie uda się uniknąć zagłady rodzaju ludzkiego. Ci, którzy przetrwali, mogą tylko czekać na rychły koniec. Każdy inaczej przeżywa swój ostatni dzień. Taka była fabuła. Ponury, fatalistyczny film. Aomame nabrała przekonania, że bez względu na wszystko każdy w głębi serca czeka nadejścia końca świata.

W każdym razie oglądając *Ostatni brzeg* w środku nocy, pomyślała: „Aha, to tak się człowiek czuje, gdy ktoś go kopnie w jądra” i to jej jakoś pozwoliło zrozumieć.

* * *

Po ukończeniu Akademii Wychowania Fizycznego Aomame pracowała przez cztery lata w firmie produkującej zdrową żywność i napoje dla sportowców. Była także jedną z głównych zawodniczek w firmowej drużynie softballu (czwartą pałkarką i najlepszą pitcherką). Drużyna osiągała nienajgorsze wyniki, kilka razy znalazła się w ósemce najlepszych w zawodach ogólnokrajowych. W miesiąc po śmieci Tamaki Ōtsuka Aomame złożyła podanie o zwolnienie i zakończyła karierę w drużynie softballowej. Jakoś nie miała już ochoty dalej grać. Zdecydowała się zacząć nowe życie. Za pośrednictwem starszego kolegi ze studiów zatrudniła się jako instruktorka w klubie fitness w Hiroo.

Prowadziła tam głównie specjalne zajęcia trenujące mięśnie i zajęcia sztuk walk. Był to znany elegancki klub z wysokim wpisowym i opłatami członkowskimi, należało do niego wielu celebrytów. Aomame stworzyła kilka grup samoobrony dla kobiet. Była to dziedzina, na której najlepiej się знаła. Zrobiła z brezentu kukłę potężnego mężczyzny, między nogami przyszyła jej czarną bawełnianą rękawiczkę mającą imitować jądra, i kazała kobietom uporczywie ćwiczyć kopanie w to miejsce. Czasami, żeby uczynić kukłę realniejszą, wciskała w rękawiczkę dwie piłeczki do squasha. Kobiety kopały je błyskawicznie, bezlitośnie, raz po raz. Wiele członkiń klubu wyjątkowo lubiło te treningi i robiły widoczne postępy w doskonaleniu techniki. Byli też tacy, którym to się nie podobało, w większości oczywiście mężczyźni. Zgłosili do władz klubu, że „to chyba jednak przesada”. W rezultacie Aomame została wezwana do dyrektora, który jej zlecił zaprzestanie treningu kopania w jądra.

– Ale realistycznie biorąc, kobiety nie mają innej możliwości obrony przed atakiem mężczyzny niż kopniak w jądra – twierdziła Aomame w rozmowie z dyrektorem. – Zazwyczaj mężczyzna jest większy i silniejszy. Szybki atak na jądra to dla kobiety jedyna szansa. Mao Tse-tung też tak mówił. Znaleźć słaby punkt przeciwnika, ubiec jego atak i

przypuścić skoncentrowaną ofensywę, żeby ten punkt rozbić. Partyzanci nie mają innej szansy wygrania z regularnym wojskiem.

– Jak sama wiesz, jesteśmy jednym z nielicznych ekskluzywnych klubów fitness w stolicy – powiedział kierownik zakłopotany. – Wielu członków to celebryci. Pod każdym względem musimy zachować klasę. Ważny jest image. Kobiety w kwiecie wieku zbierają się w grupę i, wydając dziwne okrzyki, ćwiczą kopanie kukły w krocze. Bez względu na powody, jest to mało eleganckie. Znam takich, którzy zamierzali wstąpić do naszego klubu i przyszli go zwiedzić. Przypadkiem zobaczyli twoje zajęcia i zrezygnowali. Mao Tse-tung i Dżyngischan mogli sobie mówić, co chcieli, ale taki widok wywołuje u wielu mężczyzn niepokój, irytację i nieprzyjemne odczucia.

Aomame nie czuła się winna z powodu wywoływania niepokoju, irytacji i nieprzyjemnych odczuć u męskich członków klubu. W porównaniu z bólem brutalnie gwałconej kobiety takie nieprzyjemne odczucia się nie liczyły. Ale należało się podporządkować zaleceniom zwierzchnika. W prowadzonych przez nią zajęciach z samoobrony musiała radykalnie obniżyć stopień agresji. Zabroniono jej także używania kukły. Przez to zakres ćwiczeń stał się dość nijaki i czysto formalny. Dla Aomame było to oczywiście rozczarowanie, a kilka członkiń wyraziło niezadowolenie, ale zatrudniona na etacie Aomame nie miała innego wyjścia.

Jej zdaniem brutalnie zaatakowanej kobiecie nie pozostawał praktycznie żaden inny sposób obrony prócz kopniaka w jądra. Trudna sztuka chwycenia ręki napastnika i wykręcenia jej za plecy praktycznie nie mogła się powieść w prawdziwym starciu. Rzeczywistość różniła się od filmów. Zamiast próbować czegoś takiego, lepiej było po prostu starać się uciec.

W każdym razie Aomame w pełni opanowała dziesięć typów ataków na jądra. Wypróbowała je w praktyce na młodszych kolegach, którzy nakładali na jej prośbę osłonę na krocze.

– Jak pani kopie w jaja, to nieźle boli nawet z osłoną. Niech już pani przestanie – jęczeli. Gdyby powstała taka potrzeba, bez najmniejszego wahania zastosowałyby w praktyce wytrenowaną technikę. Zdecydowała, że jeśli znajdzie się jakiś lekkomyślny facet, który ją zaatakuje, pokaże mu, jak wygląda koniec świata, tak że nigdy tego nie zapomni. Zobaczysz na własne oczy, jak nadchodzi królestwo boże. Wyśle go na południową półkulę, żeby tam razem z kangurami, dziobakami i innymi takimi utyłł się atomowym pyłem.

* * *

Rozmyślając o nadejściu królestwa bożego, Aomame popijała przy barze małymi łykami Toma Collinsa. Udając, że jest z kimś umówiona, czasami spoglądała na zegarek, ale wiedziała, że nikt nie przyjdzie. Wybierała tylko spośród przychodzących do baru gości

odpowiedniego mężczyznę. Minęło pół do dziewiątej. Pod rdzawobrązowym żakietem Calvina Kleina miała bladoniebieską bluzkę, do tego granatową minispódniczkę. Dziś nie wzięła ze sobą swojego specjalnego szpikulca. Leżał sobie spokojnie w szufladzie komody zawinięty w ręcznik.

Lokal – znany bar dla samotnych – znajdował się w Roppongi. Zdobył sławę jako miejsce, do którego przychodzili samotni mężczyźni w poszukiwaniu samotnych kobiet – albo na odwrót. Było też wielu cudzoziemców. Wystrój wnętrza wzorowano na knajpie, w której przesiadywał na Bahamach Hemingway. Na ścianie wisiał marlin, z sufitu spływały sieci rybackie. Było też kilka pamiątkowych zdjęć facetów, którzy złowili olbrzymie ryby. Znalazł się nawet portret Hemingwaya. Wesół tatuś Hemingway. Wyglądało na to, że goście nie biorą sobie do serca tego, że pod koniec życia Hemingway był alkoholikiem i zastrzelił się z dubeltówki.

Tego wieczoru jak zwykle zaczęło ją kilku mężczyzn, ale żaden jej się nie spodobał. Podrywało ją też dwóch studentów uwodzicieli, lecz nie chciało jej się nawet odpowiedzieć. Mniej więcej trzydziestoletniemu biznesmenowi, któremu źle patrzyło z oczu, odmówiła krótko, twierdząc, że jest z kimś umówiona. Aomame zwykle nie podobałi się młodzi mężczyźni. Zazwyczaj władczy i pewni siebie, nie było o czym z nimi rozmawiać, nudzili ją. W łóżku byli strasznie popędliwi i nie rozumieli, czym jest prawdziwa przyjemność, którą daje seks. Podobałi jej się tacy trochę zmarnowani, w miarę możliwości łysiejący faceci w średnim wieku. Nie mogli być wulgarni i musieli być schludni. No i mieć ładny kształt głowy. Nie było łatwo takiego znaleźć. Miała świadomość, że konieczny jest pewien kompromis.

Rozglądając się po barze, Aomame bezgłośnie westchnęła. Dlaczego na świecie nie ma wystarczającej liczby „odpowiednich mężczyzn”? Pomyślała o Seanie Connerym. Od samego wyobrażenia sobie kształtu jego głowy poczuła w głębi ciała tępy ból. Gdyby nieoczekiwanie się tu pojawił, zdobyłabym go za każdą cenę. No ale oczywiście Sean Connery nie pokazałby się w Roppongi w stylizowanym na wyspy Bahama barze dla samotnych.

W telewizorze przymocowanym do ściany pokazywali zespół Queen. Aomame za nimi nie przepadała, więc starała się nie patrzeć w tamtym kierunku. Próbowała też nie słyszeć muzyki dobiegającej z głośników. Kiedy nareszcie skończyło się Queen, zaczęła grać ABBA. O rany, pomyślała Aomame. Miała przecucie, że będzie to straszny wieczór.

* * *

Aomame poznała starszą panią z Wierzbowego Dworu w swoim klubie fitness. Przyszła na prowadzony przez nią kurs samoobrony. Ów radykalny kurs z kukłą, który miał tak krótki żywot. Była drobna i najstarsza ze wszystkich uczestniczek, ale poruszała się z lekkością, kopała celnie i ostro. Jakby przyszło co do czego, ta pani bez wahania kopnie napastnika w jądra, pomyślała Aomame. Nie paplała bez potrzeby, była prostolinijna. Aomame bardzo się

to w niej podobało.

– Kiedy osiągnie się mój wiek, właściwie nie ma specjalnej potrzeby samoobrony... – powiedziała do Aomame po zakończeniu zajęć i uroczo się uśmiechnęła.

– To nie jest kwestia wieku – oznajmiła Aomame dobitnie. – To kwestia samego podejścia do życia. Trzeba zawsze być gotowym do samoobrony. Nie można się poddawać, jeśli ktoś nas atakuje. Chroniczna bezsilność toczy ludzi jak robaki.

Starsza pani milczała przez chwilę i patrzyła Aomame w oczy. Wyglądało na to, że to, co powiedziała Aomame, a może jej ton, wywarły na niej głębokie wrażenie. Potem skinęła głową.

– Ma pani rację. Naprawdę tak jest. Pani poglądy są słuszne.

Kilka dni później Aomame przekazano kopertę. Ktoś zostawił ją dla niej w recepcji klubu. Wewnątrz był krótki list, w nim pięknie napisany adres i telefon starszej pani.

Na pewno jest pani zajęta, ale gdyby znalazła pani chwilę, byłabym wdzięczna za kontakt.

Telefon odebrał jakiś mężczyzna, chyba sekretarz. Kiedy Aomame podała nazwisko, bez słowa połączył ją z jakimś numerem wewnętrznym. Odezwała się starsza pani i podziękowała Aomame za telefon.

– Jeżeli nie ma pani nic przeciwko temu, może zjadłybyśmy gdzieś razem kolację? Chciałabym spokojnie z panią porozmawiać w prywatnej sprawie – powiedziała.

– Bardzo chętnie – odrzekła Aomame.

– Czy ma pani czas jutro wieczorem? – zapytała starsza pani. Aomame się zgodziła. Była jedynie zaciekawiona, o czym mają rozmawiać.

Zjadły razem kolację we francuskiej restauracji w cichym zakątku Azabu. Starsza pani musiała często tu bywać, ponieważ posadzono je przy jednym z lepszych stolików w głębi i obsługiwał je bardzo uprzejmy starzejący się kelner, który ją znał z widzenia. Miała na sobie pięknie skrojoną jasnozieloną sukienkę (wyglądającą na Givenchy z lat sześćdziesiątych) i naszyjnik z nefrytów. W trakcie posiłku przyszedł kierownik i z wielkim szacunkiem ją przywitał. W karcie było dużo potraw z jarzyn, wykwinnych i lekkich. Zupą dnia tego wieczoru przypadkiem był krem z zielonej fasolki. Starsza pani wypła tylko kieliszek chablis, Aomame także zamówiła kieliszek dla towarzystwa. Wino było równie wykwinne i eleganckie jak potrawy. Na drugie Aomame zamówiła pieczoną rybę, a starsza pani same jarzyny. Jadła je tak dystyngowanie, że graniczyło to nieomal ze sztuką. Kiedy dożyje się mojego wieku, do życia wystarczy bardzo niewiele jedzenia, powiedziała.

– W miarę możliwości powinno być w jak najlepszym gatunku – dodała półzartem.

Starsza pani chciała, by Aomame została jej prywatną trenerką. Czy nie mogłaby dwa, trzy razy w tygodniu uczyć ją w domu sztuk walki? Gdyby to było możliwe, prosiłaby też o masaż rozciągający mięśnie.

– Oczywiście, że to możliwe – powiedziała Aomame. – Ale czy zechciałaby pani

załatwić to oficjalnie w recepcji jako zlecenia treningów w domu klienta?

– Dobrze – odparła starsza pani. – Jednak rozkład zajęć wolałabym ustalać bezpośrednio z panią. Chciałabym uniknąć pośredników, bo to zawsze kłopot. Czy to pani nie przeszkadza?

– Nie przeszkadza.

– To w takim razie rozpocznijmy od przyszłego tygodnia – powiedziała starsza pani.

I tak sprawa została załatwiona.

– Tak jak pani ostatnio mówiłam w klubie, pani słowa wprawiły mnie w podziw. Te o bezsilności. O tym, jak bezsilność niszczy ludzi. Pamięta pani?

Aomame skinęła głową.

– Pamiętam.

– Czy mogę pani zadać jedno pytanie? Żeby nie tracić czasu, będzie to pytanie dość bezpośrednio.

– Proszę pytać, o co pani chce – odrzekła Aomame.

– Czy pani jest feministką albo lesbijką?

Aomame zaczerwieniła się i potrząsnęła głową.

– Sądzę, że nie. Ten punkt widzenia to wyłącznie mój osobisty pogląd. Nie jestem ani feministką, ani lesbijką.

– To dobrze – powiedziała starsza pani. Jakby uspokojona, dystyngowanie podniosła do ust kawałek brokułu, bardzo elegancko go przeżuła i wypła łyk wina. Potem odezwała się: – Absolutnie by mi nie przeszkadzało, gdyby była pani feministką albo lesbijką. To nie miałyby żadnego znaczenia. Ale szczerze mówiąc, sprawa jest prostsza, jeśli pani nie jest. Rozumie pani, o co mi chodzi?

– Sądzę, że tak – odparła Aomame.

* * *

Dwa razy w tygodniu Aomame zjawiała się w rezydencji starszej pani i uczyła ją sztuk walki. Był tam przestronny pokój do ćwiczeń ze ścianami z luster. Został zbudowany do ćwiczeń baletowych, kiedy córka starszej pani była dzieckiem. Teraz w tym pokoju Aomame ze starszą panią starannie ćwiczyły każdy miesiąc. Jak na swój wiek starsza pani okazała się bardzo giętka i robiła szybkie postępy. Była drobna, lecz od wielu lat skrupulatnie dbała o swoje ciało. Prócz tego Aomame nauczyła ją podstaw rozciągania mięśni i robiła jej masaże rozluźniające.

Aomame była bardzo dobra w masażu mięśni. Na Akademii Wychowania Fizycznego miała w tej dziedzinie najlepsze wyniki w grupie. Nauczyła się na pamięć nazw wszystkich kości i mięśni ludzkiego ciała. Znała rolę i charakter każdego mięśnia, wiedziała, jak je trenować i utrzymywać w dobrej kondycji. Żywiła niezachwianą pewnością, że ciało ludzkie jest świątynią i jeśli ma się w nim coś czcić, powinno być jak najodporniejsze, jak

najpiękniejsze i najczystsze.

Nie wystarczała jej ogólna medycyna sportowa, więc z powodu osobistych zainteresowań nauczyła się akupunktury. Przez kilka lat studiowała wytrwale u chińskiego mistrza. Mistrz był pełen podziwu dla jej błyskawicznych postępów. Powiedział, że mogłaby się profesjonalnie zajmować akupunkturą. Aomame miała dobrą pamięć, a poza tym niewyczerpaną chęć poznawania szczegółów funkcjonowania ludzkiego organizmu. Ale przede wszystkim obdarzona była niesamowitym wyczuciem w palcach. Tak samo jak niektórzy ludzie mają słuch absolutny albo potrafią wyczuć pod ziemią żyły wodne, końce palców Aomame umiały w jednej chwili odnaleźć szczególne punkty kierujące funkcjami organizmu. Nikt jej tego nie uczył. Po prostu wyczuwała je sama z siebie.

Po zakończeniu treningu czy masażu siadywały we dwie przy herbacie. Rozmawiały na różne tematy. Tamara zawsze przynosił serwis herbaciany na srebrnej tacy. Przez pierwszy miesiąc nie powiedział w obecności Aomame ani słowa, więc zapytała starszą panią, czy on może jest niemową.

Pewnego dnia starsza pani zadała Aomame pytanie, czy kiedyś musiała w obronie własnej wykorzystać praktycznie ową sztukę kopania w jądra.

– Tylko raz – odpowiedziała Aomame.

– I udało się? – zapytała starsza pani.

– Tak, dało efekt – odparła Aomame krótko i ostrożnie.

– Myśli pani, że to by się dało zastosować w stosunku do mojego Tamara?

Aomame potrząsnęła głową.

– Prawdopodobnie nie. Pan Tamara zna się na takich rzeczach. Jeśli ktoś, kto się na tym zna, odczyta nasze zamiary, nie ma rady. Kopanie w jądra działa tylko w przypadku amatorów, którzy nie są przyzwyczajeni do walki wręcz.

– Pani poznała więc, że Tamara nie jest amatorem.

Aomame starannie dobierała słowa: – No tak. Robi nieco inne wrażenie niż zwykli ludzie.

Starsza pani wlała śmietanki do herbaty i powoli zamieszała łyżeczką.

– A ten, który panią napastował, był amatorem, tak? Czy był potężnie zbudowany?

Aomame skinęła głową, ale się nie odezwała. Był dobrze zbudowany i silny, ale także arogancki i przeliczył się, sądząc, że kobieta mu nie zagrozi. Nigdy przedtem kobieta nie kopnęła go w jądra i nie przypuszczał, że spotka go coś takiego.

– Czy odniósł obrażenia? – zapytała starsza pani.

– Nie, obrażeń nie odniósł. Tylko przez pewien czas czuł gwałtowny ból.

Starsza pani milczała przez chwilę. Potem zapytała: – Czy pani zaatakowała kiedyś jakiego mężczyznę? Nie tylko żeby mu sprawić ból, ale umyślnie zadać rany?

– Owszem – odparła Aomame. Kłamanie nie było jej specjalnością.

– Może mi pani o tym opowie?

Aomame lekko pokręciła głową.

– Najmocniej przepraszam, ale trudno mi o tym mówić.

– Nie szkodzi. Oczywiście na pewno niełatwo mówić o czymś takim. Nie musi się pani zmuszać – powiedziała starsza pani. W milczeniu popijały herbatę. Każda myślała przy tym o czym innym.

Starsza pani zapytała: – Ale jeżeli kiedyś poczuje pani, że może o tym mówić, czy mogłaby mi pani powiedzieć, co wtedy zaszło?

– Być może kiedyś będę mogła o tym opowiedzieć. A może nigdy nie będę mogła? Szczerze mówiąc, sama nie wiem.

Starsza pani przyglądała się przez chwilę Aomame. Potem powiedziała: – Nie pytam z prostej ciekawości.

Aomame milczała.

– Wygląda mi pani na kogoś, kto ukrywa coś w sercu. Coś bardzo ciężkiego. Dostrzegłam to już przy naszym pierwszym spotkaniu. Ma pani silne spojrzenie kogoś zdeterminowanego. Prawdę mówiąc, ja też mam coś takiego. Noszę w sobie pewien ciężar. Dlatego potrafię to poznać. Nie ma pośpiechu. Ale lepiej kiedyś to z siebie wydobyć na zewnątrz. Ja jestem wyjątkowo dyskretna, mam też różne możliwości. Jak dobrze pójdzie, mogę się pani przydać.

Kiedy później Aomame zdecydowała się wyjawić starszej pani tę historię, otworzyły się w jej życiu zupełnie nowe drzwi.

* * *

– Hej, co pijesz? – zapytał ktoś tuż obok. Był to kobiecy głos.

Aomame wróciła do rzeczywistości i podniosła głowę, żeby spojrzeć kto to. Na sąsiednim barowym stolku usiadła młoda kobieta z końskim ogonem w stylu lat pięćdziesiątych. Miała na sobie sukienkę w drobne kwiatki, na ramieniu niewielką torebkę od Gucciego. Paznokcie pięknie pomalowane jasnoróżowym lakierem. Nie była gruba, ale miała okrągłą buzię i zdawała się raczej pulchna. Wyjątkowo sympatyczna twarz i duży biust.

Aomame lekko się zawahała. Nie spodziewała się bowiem, że zaczepi ją kobieta. W tym barze to mężczyźni zaczepiali kobiety.

– Toma Collinsa – powiedziała.

– Dobry jest?

– Średnio. Ale niezbyt mocny i można pić po trochu.

– Ciekawe, dlaczego się nazywa Tom Collins.

– Hm, nie mam pojęcia. Może tak się nazywał człowiek, który po raz pierwszy zrobił tego drinka? Nie był to, szczerze mówiąc, imponujący wynalazek.

Kobieta wezwała gestem barmana i poprosiła także o toma collinsa. Wkrótce podano jej

drinka.

– Mogę się przysiąc? – spytała.

– Możesz. Jest wolne – odparta Aomame. Przecież już od dawna tu siedzisz, pomyślała, ale nie powiedziała tego.

– Z nikim się tu nie umówiłaś, prawda? – zapytała kobieta.

Aomame nie odpowiedziała, tylko w milczeniu przyglądała się twarzy tamtej. Była chyba jakieś trzy, cztery lata młodsza.

– Słuchaj, mnie tego typu rzeczy prawie nie interesują, nie musisz się martwić – powiedziała kobieta cicho i konfidencko. – Zakładam, że to dlatego przejawiasz czujność. Ja też raczej robię to z mężczyznami. Tak jak i ty.

– Tak jak i ja?

– No przecież chyba przyszłaś tu sama po to, żeby znaleźć jakiegoś dobrego faceta?

– Tak wyglądam?

Kobieta lekko zmrużyła oczy.

– Tyle to ja umiem poznać. Przecież do tego baru po to się przychodzi. A poza tym obie nie jesteśmy profesjonalistkami.

– Oczywiście, że nie.

– Słuchaj, jak chcesz, możemy działać w duecie. Mężczyznom łatwiej jest zagadać do dwóch kobiet niż do jednej. Nam też będzie przyjemniej we dwie, poza tym człowiek jakoś pewniej się czuje. Ja mam raczej typowo kobiecy wygląd, a ty jesteś bardziej chłopięca, myślę, że stworzymy niezły duet.

Chłopięca, pomyślała Aomame. Pierwszy raz ktoś jej powiedział coś takiego.

– Ale nawet jeżeli będziemy działać w duecie, mogą nam się podobać innego typu mężczyźni. Czy to może się udać?

Kobieta lekko skrzywiła usta.

– Rzeczywiście masz rację. Innego typu... A tobie jacy się podobają?

– Najlepiej w średnim wieku. Nie przepadam za młodymi. Lubię takich trochę łysiejących.

– Aha – powiedziała jakby z podziwem kobieta. – W średnim wieku. Ja wolę raczej młodych, energicznych, ładnych chłopców. Tacy w średnim wieku niezbyt mnie interesują, ale skoro mówisz, że są dobrzy, mogę ci potowarzyszyć i raz odrobinę spróbować. Należy zdobywać różne doświadczenia. W średnim wieku są dobrzy? To znaczy chodzi mi o seks.

– Myślę, że to zależy od faceta – powiedziała Aomame.

– Oczywiście – odparła tamta i zmrużyła oczy, jakby weryfikowała jakąś naukową teorię. – Oczywiście nie można uogólniać spraw seksu. Ale gdybyś miała ich ogólnie ocenić?

– Są niezli. Nie mogą wiele razy, ale za to poświęcają ci dużo czasu. Nie spieszą się. Jak dobrze pójdzie, nawet kilka razy doprowadzą cię do orgazmu.

Kobieta rozmyślała nad tym przez chwilę.

- Skoro tak mówisz, to czuję, że zaczyna mnie to interesować. Może raz spróbuję.
 - Jak chcesz.
 - Słuchaj, a robiłaś to kiedyś we czworo? W trakcie zmienia się partnerów.
 - Nigdy.
 - Ja też nigdy, ale interesowałoby cię to?
 - Sądzę, że nie. Możemy stworzyć duet, ale jeżeli mamy nawet przez krótki czas działać razem, chciałabym trochę więcej się o tobie dowiedzieć. Inaczej w trakcie może się okazać, że jednak się nie zgadzamy.
 - Dobra. To na pewno słuszne podejście. Na przykład co chciałabyś o mnie wiedzieć?
 - Na przykład, hm... Czym się zajmujesz?
- Kobieta wypła łyk Toma Collinsa i odstawiła szklaneczkę na podstawkę. Potem kilka razy przytknęła serwetkę do ust. Sprawdziła pozostałe na niej ślady szminki.
- Bardzo smaczne – powiedziała. – Na bazie dżinu, prawda?
 - Dżin, sok cytrynowy i woda sodowa.
 - Rzeczywiście nie można tego nazwać imponującym wynalazkiem, ale smak ma niezły.
 - Cieszę się.
 - Zaraz, o czym to... o tym, czym ja się zajmuję. To odrobinę skomplikowana sprawa.
- Szczerze mówiąc, możesz mi nie uwierzyć.
- To zacznę od siebie – powiedziała Aomame. – Jestem instruktorką w klubie fitness. Uczę głównie sztuk walki. Poza tym robię masaż rozciągający mięśnie.
 - Sztuki walki – powtórzyła z podziwem kobieta. – Coś w rodzaju Bruce’a Lee?
 - Coś w rodzaju.
 - Jesteś w tym dobra?
 - Nie najgorsza.
- Kobieta roześmiała się i uniosła szklaneczkę jak przy toaście.
- To w razie czego będziemy niepokonanym duo. Ja może na to nie wyglądam, ale od dawna uprawiam aikido. Prawdę mówiąc, jestem policjantką.
 - Policjantką – powiedziała Aomame. Szczęka jej opadła i nie mogła nic więcej z siebie wydobyć.
 - Pracuję w Stołecznej Komendzie Policji. Nie wyglądam na to, prawda?
 - Rzeczywiście nie.
 - Ale to prawda. Powaga. Mam na imię Ayumi.
 - Ja jestem Aomame.
 - Aomame? Naprawdę?
- Aomame poważnie skinęła głową.
- Policjantką, to znaczy chodzisz w mundurze, nosisz pistolet, jeździsz wozem policyjnym i patrolujesz ulice?
 - Ja właśnie dlatego zostałam policjantką, że chciałam robić takie rzeczy, ale jakoś mi

nie pozwalają – powiedziała Ayumi. Potem schrupała głośno słonego precelka z miseczki. – W tej chwili moja praca polega głównie na tym, że noszę głupawy mundur, jeżdżę małym wozem patrolowym i wlepiam mandaty za złe parkowanie. Oczywiście, nie dają mi nosić pistoletu. Bo nie ma potrzeby oddawać strzałów ostrzegawczych w stronę przeciętnego obywatela, który zaparkował toyotę corollę przed hydrantem. Miałam niezłe wyniki podczas treningu strzelania, ale nikt nie zwraca uwagi na takie rzeczy. Tylko dlatego, że jestem kobietą, dzień po dniu każą mi chodzić w kółko z patykiem zakończonym kredą i zapisywać na asfalcie godziny i numery rejestracyjne.

– Czy jak strzelacie z pistoletów, używacie półautomatycznej beretty?

– Tak. Teraz wszyscy takie mają. Beretta jest dla mnie troszkę za ciężka. Zdaje się, że naładowana waży prawie kilogram.

– Waga samej broni wynosi osiemset pięćdziesiąt gramów – powiedziała Aomame.

Ayumi spojrzała na Aomame wzrokiem właściciela lombardu wyceniającego zegarek na rękę.

– Słuchaj no, Aomame, skąd tak dokładnie to wiesz?

– Od dawna interesuje mnie wszelka broń palna. Oczywiście nigdy z niczego nie strzelałam.

– Aha – powiedziała Ayumi, jakby ją to przekonało. – Ja też, prawdę mówiąc, lubię strzelać. Beretta jest rzeczywiście ciężka, ale ma dużo mniejszy odrzut niż pistolety starego typu, więc przy wystarczająco intensywnym treningu nawet drobna kobieta może łatwo się nią posługiwać. Ale ci na górze są innego zdania. Uważają, że kobieta nie umie posługiwać się pistoletem. Szefostwo policji to sami mężczyźni i faszyci. Ja na przykład zawsze miałam świetne wyniki w posługiwaniu się pałką policyjną. Nie gorsze niż większość mężczyzn. Ale oni absolutnie tego nie doceniają. Robią tylko nieprzyzwoite aluzje. „Naprawdę po mistrzowsku trzymasz tę pałkę”. Albo: „Jakbyś chciała więcej praktycznie poćwiczyć, nie krępuj się i daj mi znać”. Idioci, w sposobie myślenia są zapóźnieni o jakieś półtora wieku.

Gdy Ayumi skończyła mówić, wyjęła z torebki paczkę virginia slims, wprawnym ruchem wyciągnęła papierosa, włożyła do ust i zapaliła płaską złotą zapalniczką. Potem powoli wypuściła dym w stronę sufitu.

– A dlaczego w ogóle postanowiłaś zostać policjantką? – zapytała Aomame.

– Na początku nie miałam wcale zamiaru zostać policjantką. Ale nie chciałam być jakąś zwykłą urzędniczką. I nie miałam też żadnych specjalistycznych umiejętności. W tej sytuacji wybór zawodu jest dość ograniczony. I dlatego na ostatnim roku studiów zdałam egzamin kwalifikacyjny do policji. A poza tym wśród krewnych mam jakoś dużo policjantów. Prawdę mówiąc, i ojciec, i starszy brat pracują w policji. Jeden wujek też jest policjantem. Policja to zasadniczo dość zamknięta społeczność, wszyscy się znają, więc jak masz w rodzinie policjanta, to masz fory na egzaminie.

– Policyjna rodzina.

– Właśnie. Ale wiesz, zanim zaczęłam tam pracować, nie sądziłam, że w policji panuje taka straszna dyskryminacja kobiet. Kobieta policjantka to w świecie policji tak zwany obywatel drugiej kategorii. Ma karać za wykroczenia drogowe, siedzieć przy biurku i porządkować papiery, chodzić po podstawówkach i robić szkolenia na temat bezpieczeństwa albo przeprowadzać rewizje osobiste podejrzanych, jeśli są kobietami. Dostaje tylko takie straaaasznie nudne prace. A faceci wyraźnie mniej uzdolnieni ode mnie są raz po raz wysyłani do różnych ciekawych przestępstw. Na górze gadają na pokaz o równych szansach dla kobiet i mężczyzn, ale w rzeczywistości to nie jest takie proste. Traci człowiek zapal do pracy. Rozumiesz, prawda?

Aomame potwierdziła.

– Szlag mnie o to trafia, naprawdę.

– Nie masz chłopaka?

Ayumi się skrzywiła. Przez pewien czas wpatrywała się w trzymanego między palcami cienkiego papierosa.

– Jak kobieta zostanie policjantką, praktycznie baaardzo trudno jest jej znaleźć sobie chłopaka. Czas pracy jest nienormowany, więc wolne godziny nie nakładają się na wolny czas zwykłych pracujących ludzi, a poza tym nawet jak się coś zaczyna dobrze zapowiadać, kiedy tylko facet się dowie, że jestem policjantką, każdy się od razu wycofuje. Są jak kraby uciekające przed falą. Nie uważasz, że to straszne?

Aomame mruknęła coś twierdząco.

– Więc dlatego pozostaje mi tylko romans w miejscu pracy, ale tam też naprawdę normalnych facetów jak na lekarstwo. Sami impotenci, idioci, których stać tylko na opowiadanie świńskich dowcipów. Albo są to urodzeni kretyni, albo myślą tylko o karierze. Jedno albo drugie. Innych nie ma. I tacy faceci są odpowiedzialni za bezpieczeństwo społeczeństwa. Czarno widzę przyszłość Japonii.

– Jesteś ładna, na pewno masz powodzenie – powiedziała Aomame.

– Niby tak, powodzenie mam. Tak długo dopóki się nie przyznam, gdzie pracuję. Dlatego w takich miejscach jak to, zawsze mówię, że w firmie ubezpieczeniowej.

– Często tu przychodzisz?

– Nie żeby zaraz często. Od czasu do czasu – odparła Ayumi. A po krótkim zastanowieniu dodała, jakby się zwierzała: – Niekiedy mam straszną ochotę na seks. Mówiąc wprost, chce mi się faceta. No, jakoś tak w regularnych odstępach czasu. Wtedy ubieram się elegancko, wkładam wytworną bieliznę i przychodzę tutaj. Znajduję sobie odpowiedniego partnera i używam sobie przez całą noc. To mnie na pewien czas uspokaja. Mam po prostu zdrowy apetyt na seks, nie jakąś manię seksualną, nimfomanię czy coś w tym rodzaju, wystarczy jak sobie tak od czasu do czasu ulżę. To nie ma dalszego ciągu. Na drugi dzień znów pracowicie oddają się zwalczaniu nielegalnego parkowania i patrolowaniu ulic. A ty?

Aomame podniosła szklaneczkę Toma Collinsa i w milczeniu wypła łyk.

- Hm, ze mną jest mniej więcej tak samo.
- Nie masz chłopaka?
- Nie chcę mieć na stałe. Nie lubię tego zawracania głowy.
- Facet na stałe to zawracanie głowy?
- W pewnym sensie.
- Ale czasami tak ci się tego chce, że nie możesz wytrzymać – stwierdziła Ayumi.
- Bardziej odpowiada mi określenie, że chcę „sobie użyć”.
- A co powiesz na „mam ochotę spędzić noc pełną przygód”?
- Też niezłe.
- Tak czy inaczej chodzi o jedną noc, bez dalszego ciągu.

Aomame przytaknęła.

Ayumi oparła brodę na dłoni i rozmyślała o tym przez pewien czas.

- Być może mamy ze sobą wiele wspólnego.
- Może mamy – przyznała Aomame. Tylko ty jesteś policjantką, a ja morduję ludzi. Jeśli chodzi o prawo, jesteśmy po przeciwnych stronach. To jest prawdopodobnie duża różnica.
- To zrobmy tak – zaczęła Ayumi. – Pracujemy w tej samej firmie oferującej ubezpieczenia od szkód. Nazwa firmy to tajemnica. Ty jesteś moją starszą koleżanką, ja twoją młodszą. Dzisiaj w pracy miałyśmy małe nieprzyjemności, więc przyszliśmy na drinka, żeby się rozerwać. I jesteśmy w dość dobrych humorach. Może być taki scenariusz?

- Może, ale ja prawie nic nie wiem o ubezpieczeniach od szkód.
- W tym zdaj się na mnie. Zmyślanie na poczekaniu to moja specjalność.
- Zdaję się na ciebie.
- Tak à propos, przy stoliku zaraz za nami siedzi dwóch facetów w średnim wieku, od pewnego czasu pożądlawie się rozglądają – powiedziała Ayumi. – Odwróć się nieznacznie i obejrzyj ich sobie.

Aomame odwróciła się nieznacznie, tak jak sugerowała Ayumi. O dwa stoliki od nich siedziało dwóch mężczyzn w średnim wieku. Obaj wyglądali na biznesmenów, którzy relaksują się po pracy. W garniturach i krawatach. Garnitury nie były podniszczone, krawaty w niezłym guście. Przynajmniej nie wyglądali niechlujnie. Jeden prawdopodobnie dobiegał pięćdziesiątki, drugi nie miał jeszcze czterdziestki. Starszy był szczupły, miał pociągłą twarz i zaczynał łysieć z przodu. Młodszy wyglądał na kogoś, kto na studiach aktywnie działał w drużynie rugby, ale ostatnio z braku ruchu zaczął przybierać na wadze. Zachował chłopięce rysy twarzy, lecz w okolicy podbródka zaczynało mu powoli przybywać sadła. Gawędzili wesoło, popijając whisky z wodą, lecz rzeczywiście omiatali lokal taksującymi spojrzeniami.

Ayumi podsumowała ich: – Wygląda na to, że nie przywykli do tego typu miejsc. Przyszli się zabawić, ale nie umieją zaczepić kobiety. Poza tym obaj są pewnie żonaci. Bo wydają się mieć poczucie winy.

Aomame była pełna podziwu dla jej zdolności obserwacji. Rozmawiając z nią Ayumi, nie wiadomo kiedy dostrzegła te różne rzeczy. Może dlatego, że pochodziła z policyjnej rodziny.

– Tobie się pewnie podoba ten łysiejący? To ja sobie wezmę tego grubego. Masz coś przeciwko temu?

Aomame jeszcze raz spojrzała za siebie. Ten łysiejący miał całkiem niezły kształt głowy. Od Seana Connery’ego dzieliły go lata świetlne, ale dostał zaliczenie – nie oblał. Przecież w końcu był to wieczór, kiedy musiała słuchać jednego po drugim utworów Queen i ABBY. Nie mogła wybrzydzać.

– Dobra, może być. Ale jak doprowadzimy do tego, żeby nas poderwali?

– Nie będziemy czekać do białego rana. Same ich zaczepimy. Z uśmiechem, przyjaźnie, ale stanowczo.

– Poważnie mówisz?

– Oczywiście. Ja pójdę i coś tam lekko do nich zagadam. Zdaj się na mnie. Ty tu poczekaj – powiedziała Ayumi. Wypiła łyk Toma Collinsa, energicznie zatarta ręce. Potem równie energicznie zarzuciła na ramię torebkę od Gucciego i uśmiechnęła się słodko. – No, czas na posługiwanie się pałką.

Rozdział dwunasty – Tengo

Przyjdź królestwo Twoje

Profesor odwrócił się do Fukaeri: – Eri, przepraszam cię, ale może zrobiłabyś nam herbaty? – poprosił.

Dziewczyna wstała i wyszła z salonu. Drzwi cicho się za nią zamknęły. Profesor czekał w milczeniu, aż siedzący na kanapie Tengo uspokoi oddech i przyjdzie do siebie. Zdjął okulary w czarnych oprawkach, przetarł je wyglądającą na niezbyt czystą chusteczką i nałożył. Niebo za oknem przecięło szybkim lotem coś małego i czarnego. Może ptak. A może czyjaś dusza została wywiana na koniec świata?

– Najmocniej przepraszam – powiedział Tengo. – Już w porządku. Nic mi nie jest. Proszę mówić dalej.

Profesor skinął głową i zaczął opowiadać: – Po gwałtownej strzelaninie komuna Akebono została unicestwiona – to było w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym pierwszym roku. Trzy lata temu. Te wydarzenia miały miejsce cztery lata po przybyciu Eri tutaj. No ale kwestia Akebono nie ma w tej chwili nic wspólnego z naszymi sprawami.

Eri zamieszkała z nami, kiedy miała dziesięć lat. Dziewczynka, która bez uprzedzenia pojawiła się na naszym progu, bardzo różniła się od Eri, którą dawniej znałem. Z natury była małomówna i pełna rezerwy w stosunku do obcych. Ale do mnie przywykła od dzieciństwa i często ze mną rozmawiała. Wtedy jednak była w takim stanie, że nie odzywała się do nikogo. Wydawało się, że wprost zaniemówiła. Kiedy się do niej zwracaliśmy, mogła jedynie przytaknąć albo potrząsnąć głową, nic więcej.

Profesor zaczął mówić nieco szybciej, jego głos stał się bardziej donośny. Zdawało się, że chce jak najwięcej powiedzieć pod nieobecność Fukaeri.

– Chyba niełatwo jej było dotrzeć aż tutaj, na szczyt góry. Miała przy sobie trochę gotówki i kartkę z naszym adresem, ale wyglądało na to, że długo przebywała w samotności, nie bardzo potrafiła mówić. A mimo to z tą kartką w dłoni jakoś udało się jej różnymi środkami transportu dotrzeć w końcu do naszych drzwi.

Na pierwszy rzut oka było widać, że spotkało ją coś złego. Zajął się nią gosposia z Azami. Po kilku dniach trochę się uspokoiła, więc zadzwoniłem do Sakigake i poprosiłem do

telefonu Fukadę. Powiedziano mi, że nie może podejść. Zapytałem dlaczego, ale nie uzyskałem odpowiedzi. Więc poprosiłem, żeby zawołali jego żonę. Powiedzieli, że żona też nie może podejść. W końcu nie udało mi się skontaktować ani z jednym, ani z drugim.

– Czy powiedział im pan wtedy, że Eri jest u pana?

Profesor potrząsnął głową.

– Nie, miałem wrażenie, że lepiej nic nie mówić, jeżeli nie mogę powiedzieć tego bezpośrednio Fukadzie. Potem oczywiście wiele razy próbowałem się z nim skontaktować. Chwytałem się wszystkich sposobów. Ale nic z tego nie wyszło.

Tengo zmarszczył brwi: – To znaczy, że przez tych siedem lat ani razu nie udało się panu skontaktować z jej rodzicami?

Profesor przytaknął.

– Żadnego kontaktu od siedmiu lat.

– Czy rodzice przez siedem lat nie próbowali jej szukać?

– Tak, to niepojęte. Fukadowie bardzo kochali, wręcz hołubili córeczkę. Poza tym Eri nie mogła liczyć na nikogo poza mną. Jej rodzice oboje zerwali stosunki ze swymi rodzinami, Eri dorastała, nie znając dziadków. Tylko na nas mogła liczyć. Rodzice powiedzieli jej, żeby w razie czego poszła do nas. A mimo to ani razu się ze mną nie skontaktowali. Nie do pomyslenia.

– Powiedział pan wcześniej, że Sakigake była liberalną komuną.

– Zgadza się. Od zarania Sakigake funkcjonowała jako na wskroś liberalna komuna. Ale tuż przed ucieczką Eri komuna zaczęła powoli zmieniać kurs i zamykać się przed światem zewnętrznym. Zauważyłem pierwsze symptomy tego procesu, kiedy kontakt z Fukadą stał się coraz trudniejszy. Zawsze pisał do mnie długie listy. Opowiadał, co dzieje się w komunie, co mu leży na sercu. Aż pewnego dnia korespondencja się urwała. Pisałem do niego, lecz nie było odpowiedzi. Dzwoniłem, ale zwykle mnie nie łączyli. A kiedy połączyli, rozmowy były zdawkowe. A sam Fukada mówił krótko i zwięźle, zupełnie jakby wiedział, że ktoś go podsłuchuje.

Profesor złączył leżące na kolanach dłonie.

– Kilka razy pojechałem do Sakigake. Musiałem z Fukadą porozmawiać o Eri, a skoro nie mogłem przez telefon ani listownie, pozostało tylko tam pojechać. Ale nawet nie wpuścili mnie na teren. Bezceremonialnie mnie wygonili. Przekonywałem, ale nie słuchali. Nie wiadomo kiedy ogrodzili wszystko wysokim płotem i odpędzali sprzed bramy każdego przybysza.

Z zewnątrz nie można było się domyślić, co się dzieje w komunie. Rozumiem, że frakcji radykalnej, Akebono, zależało na tajności. Ich celem była zbrojna rewolucja, mieli co ukrywać. Ale pokojowa Sakigake zajmowała się tylko ekologicznym rolnictwem i od początku była bardzo przyjaźnie nastawiona do świata zewnętrznego. Dlatego też zyskała sympatię miejscowej ludności. Lecz teraz ta komuna stała się istną twierdzą. Zdawało się, że

całkowicie zmieniły się też postawa i zachowanie członków. Okoliczni mieszkańcy byli tak jak ja zaniepokojeni zmianami w Sakigake. Bardzo się martwiłem, że małżeństwo Fukadów mogło spotkać coś złego. Ale najpierw musiałem przyjąć Eri i zaopiekować się nią. I tak minęło siedem lat. Nic się przez ten czas nie wyjaśniło.

– Nie wiadomo nawet, czy pan Fukada żyje? – zapytał Tengo.

Profesor skinął głową.

– Zgadza się. Zupełnie nie wiem, jak się tego dowiedzieć. Staram się nie zakładać najgorszego. Ale w normalnych warunkach byłoby nie do pomyślenia, żeby przez siedem lat nie odezwał się do mnie ani słowem. Więc dochodzę do wniosku, że coś musiało mu się stać – powiedział, ścisząc głos. – Może jest przetrzymywany wbrew własnej woli. A może nawet coś jeszcze gorszego.

– Coś gorszego?

– Chodzi mi o to, że nie można bynajmniej wykluczyć najgorszej możliwości. Sakigake nie jest już pokojową rolniczą komuną jak kiedyś.

– To znaczy, że zaczęli się posuwać w niebezpiecznym kierunku?

– Tak mi się wydaje. Miejscowi mówią, że ostatnio jest tam wielki ruch. Na teren nieustannie wjeżdżają i wyjeżdżają samochody. Wiele z nich ma tokijską rejestrację. Często pojawiają się też duże samochody wysokiej klasy, rzadko widywane na wiejskich drogach. Podobno gwałtownie wzrosła liczba członków. Przybyło urządzeń i dobrze wyposażonych budynków. Wykupują po niskich cenach okoliczne grunty, sprowadzają na nie traktory, koparki i betoniarki. Tak jak przedtem zajmują się uprawą roli i jest to cenne źródło dochodów. Warzywa z Sakigake są coraz bardziej znane, zaczęli też bezpośrednio dostarczać je do restauracji oferujących potrawy z ekologicznych produktów. Mają także umowy z eleganckimi supermarketami. Więc i dochody powinny były odpowiednio wzrosnąć. Ale wygląda na to, że równoległe z uprawą ziemi rozwija się tam coś innego. Bo choćby nie wiem co, nie da się ze sprzedaży produktów rolnych zdobyć kapitału potrzebnego na rozwój na taką skalę. Ale bez względu na to, co się tam dzieje, ta całkowita tajemność sprawia, że miejscowi odnoszą wrażenie, że Sakigake chce coś ukryć przed opinią publiczną.

– To znaczy, że znowu zaczęli działalność polityczną? – zapytał Tengo.

– Myślę, że nie chodzi o ruch polityczny – odpowiedział z miejsca profesor. – Sakigake nie opierała się na bazie politycznej. Właśnie dlatego musieli się w pewnym momencie odciąć od Akebono.

– Ale potem w Sakigake coś się stało i Eri musiała stamtąd uciec?

– Coś się stało – powiedział Profesor. – Jakieś wydarzenie o wielkim znaczeniu. Coś, co kazało jej porzucić rodziców i samotnie uciec. Ale Eri nic na ten temat nie mówi.

– Może chodzi o to, że doznała szoku albo została tak zraniona psychicznie, że nie umie tego wyrazić słowami.

– Nie, nie robiła wrażenia, że jest w szoku, albo że się czegoś obawia, że się niepokoi,

bo jest sama bez rodziców. Wydawało się, że po prostu nic nie czuje. Mimo to bez problemu przywykła do życia w naszej rodzinie. Zaskakująco łatwo.

Profesor spojrział na drzwi pokoju. A potem przeniósł wzrok na Tengo.

– Bez względu na to, co spotkało Eri, nie chciałem z niej tego na siłę wyciągać. Uznałem, że potrzebny jej czas. Dlatego o nic nie pytałem, a kiedy się nie odzywała, udawałem, że się tym nie przejmuję. Trzymała się blisko Azami. Zawsze po jej powrocie ze szkoły zjadały razem obiad i zamykały się we dwie w pokoju. Nie wiem, co tam robiły. Może prowadziły jakiś rodzaj rozmowy. Ale ja specjalnie się nie dopytywałem, zostawiałem je w spokoju. Poza tym, że się nie odzywała, nie mieliśmy z nią w codziennym życiu żadnych problemów. Jest mądra, zawsze była posłuszna. Są najbliższymi przyjaciółkami. Tylko Eri nie mogła chodzić do szkoły. Przecież nie można posłać do szkoły dziecka, które się w ogóle nie odzywa.

– Przed jej przybyciem mieszkał pan tylko z córką?

– Żona zmarła dziesięć lat temu – powiedział profesor. Milczał przez chwilę. – Wypadek samochodowy, ktoś uderzył w nią z tyłu, zginęła na miejscu. I zostaliśmy we dwoje. W pobliżu mieszka daleka krewna. To ona zajmuje się wszystkimi pracami domowymi. I opiekuje się dziewczynkami. Po śmierci żony oboje z Azami strasznie cierpieliśmy. Umarła tak nagle, nie byliśmy na to w ogóle przygotowani. Dlatego ucieszyliśmy się, kiedy Eri z nami zamieszkała – bez względu na to, jak do tego doszło. Nie odzywała się, ale jej obecność działała na nas niesłychanie kojąco. A w ciągu tych siedmiu lat Eri po trochu odzyskiwała zdolność mówienia. W porównaniu z okresem, kiedy do nas przysła, zrobiła ogromne postępy. Innym pewnie jej sposób mówienia wydaje się niezwykle i dziwny. Ale naszym zdaniem to wielka poprawa.

– A czy Eri chodzi teraz do szkoły?

– Nie, do szkoły nie chodzi. Niby jest oficjalnie zapisana, ale w rzeczywistości chodzenie do szkoły okazało się dla niej niemożliwe. Dlatego ja albo studenci, którzy do mnie przychodzili, uczyliśmy ją w wolnych chwilach. Ale to było tylko fragmentaryczne, nigdy nie odbyła czegoś, co można by nazwać systematyczną edukacją. Ponieważ ciężko jej było samej czytać, kiedy miałem okazję, czytałem jej głośno. Dałem jej też taśmy z nagranyimi książkami. To mniej więcej cała jej edukacja. Lecz to zadziwiająco mądra dziewczyna. Jak postanowi coś sobie przyswoić, przyswaja to błyskawicznie, dogłębnie i efektywnie. Okazuje się, że ma wybitne zdolności. Jednocześnie nawet nie spojrzy na to, co jej nie interesuje. Ta różnica jest ogromna.

Drzwi do pokoju nadal się nie otwierały. Pewnie zagotowanie wody i parzenie herbaty zajmuje Eri dużo czasu.

– I Eri powiedziała Azami *Powietrzną poczwarkę*? – zapytał Tengo.

– Tak jak wcześniej mówiłem, gdy nadchodził wieczór, zamykały się obie w pokoju. Nie wiem, co robiły. To była ich tajemnica. Ale wygląda na to, że od pewnego czasu opowiadanie

Eri stało się głównym elementem porozumienia między nimi. Azami zapisywała albo nagrywała tę historię, a potem przepisywała na word processorze w moim gabinecie. Od tego czasu Eri stopniowo wróciły uczucia. Zniknęła nieczułość, która powlekała ją całą jak błona, na twarzy pojawił się ślad wyrazu, zaczęła przypominać dawną Eri.

– Czyli od tego zaczął się jej powrót do zdrowia.

– Nie całkowicie. Jedynie częściowo. Ale tak, ma pan rację. Prawdopodobnie jej powrót do zdrowia rozpoczął się dzięki opowiadaniu.

Tengo się zamyślił. Potem zmienił temat.

– Czy zawiadomił pan policję, że urwały się kontakty z małżeństwem Fukadów?

– Uhm, poszedłem do tutejszego komisariatu. Nie mówiłem o Eri. Powiedziałem, że od dawna nie mogę się skontaktować z przyjacielem, który jest w Sakigake, więc być może został tam uwięziony. Ale wtedy oni też nic nie mogli zrobić. Teren Sakigake był prywatną własnością, więc tak długo, jak nie było dowodu, że doszło tam do działań przestępczych, policja nie mogła wejść do środka. Przekonywałem ich i przekonywałem, ale nie traktowali mnie poważnie. Od siedemdziesiątego dziewiątego roku wkroczenie na teren sekty w celu przeprowadzenia rewizji było praktycznie niemożliwe.

Profesor pokręcił głową, jakby przypominał sobie ten okres.

– Co się stało w siedemdziesiątym dziewiątym roku? – zadał pytanie Tengo.

– W tamtym roku Sakigake została oficjalnie uznana za związek wyznaniowy.

Tengo na chwilę zaniemówił.

– Związek wyznaniowy?

– To naprawdę zadziwiające – powiedział profesor. – Nie wiadomo, kiedy Sakigake zmieniła się w Związek Wyznaniowy Sakigake. Gubernator prefektury Yamanashi oficjalnie to zatwierdził. Kiedy coś zacznie się nazywać „związkiem wyznaniowym”, policji bardzo trudno jest się tam dostać, na przykład w celu przeprowadzenia rewizji. Bo to zagraża wolności wyznania gwarantowanej konstytucją. Poza tym Sakigake wynajęła prawnika i przygotowała solidny system obrony. Miejscowa policja nie mogła im nic zrobić.

Kiedy na policji powiedziano mi o tym związku wyznaniowym, strasznie się zdziwiłem. To było jak grom z jasnego nieba. Z początku nie mogłem uwierzyć. Nawet kiedy mi pokazali dokumenty i zobaczyłem wszystko czarno na białym, nie mogłem się z tym łatwo pogodzić. Od dawna znałem Fukadę, wiedziałem, jaki ma charakter i jaką osobowość. Ponieważ zajmowałem się antropologią kulturową, miałem często do czynienia z religią. Ale on, w odróżnieniu ode mnie, był człowiekiem na wskroś politycznym i zawsze kierował się logiką. Czuł nieomal fizyczny wstręt do wszystkich religii. Nawet ze strategicznych względów nie wystąpiłby o rejestrację Sakigake jako związku wyznaniowego.

– A poza tym załatwienie takiej oficjalnej rejestracji nie jest chyba łatwe?

– Niekoniecznie – powiedział profesor. – Są liczne inspekcje sprawdzające, czy wymagania zostały spełnione, i rzeczywiście trzeba załatwiać kolejno różne skomplikowane

formalności w urzędach, ale jeżeli nieoficjalnie użyje się politycznych wpływów, pokonanie tych przeszkód staje się dość łatwe. Trudno jest zawsze oddzielić poważne związki wyznaniowe od sekt. Nie ma ustalonych definicji, wszystko zależy od interpretacji. A tam, gdzie jest miejsce na interpretację, powstaje miejsce na wykorzystanie wpływów politycznych i wzajemnych interesów. Zarejestrowanie jako związek wyznaniowy daje przywileje podatkowe oraz solidną ochronę prawa.

– Tak czy inaczej Sakigage przestała być zwykłą komuną rolniczą, stała się grupą religijną. I to hermetycznie zamkniętą grupą religijną – powiedział Tengo.

– Religią w nowym stylu. Mówiąc wprost – organizacją kultową.

– Nie bardzo rozumiem, jak do tego doszło. Taka wielka zmiana nie wzięła się z niczego. Coś musiało ją wywołać.

Profesor patrzył na grzbiet własnej dłoni. Rosło na nim wiele skręconych siwych włosów.

– Zgadza się. Niewątpliwie jakaś okoliczność wywołała tę zmianę. Ja też się długo nad tym zastanawiałem. Rozwazałem różne możliwości. Ale nie mam pojęcia, co to mogło być. Zachowują ścisłą tajność, więc nie można uzyskać żadnych informacji o tym, co się tam dzieje. Od tego czasu wcale nie słychać też nazwiska Fukady, który był przecież przywódcą Sakigake.

– A trzy lata temu miała miejsce ta strzelanina i Akebono przestało istnieć – powiedział Tengo.

Profesor przytaknął.

– Sakigake, która w rzeczywistości porzuciła Akebono, przetrwała i niewątpliwie rozwija się jako grupa religijna.

– To znaczy, że ta strzelanina nie zaszkodziła specjalnie Sakigake?

– Nie, a wręcz przeciwnie, pomogła im się zareklamować. Oni są bardzo sprytni. Wszystko wykorzystują do własnych celów. W każdym razie to miało miejsce po odejściu Eri z Sakigake. Tak jak mówiłem, te wypadki nie miały z nią bezpośredniego związku.

Wyglądało na to, że trzeba zmienić temat.

– Czy pan czytał *Powietrzną poczwarkę*? – zapytał Tengo.

– Oczywiście.

– Co pan o niej sądzi?

– Bardzo interesująca opowieść – powiedział profesor. – Wyjątkowo sugestywna. Choć, szczerze mówiąc, nie wiem, co właściwie sugeruje. Co znaczy ślepa koza, co znaczą Little People i powietrzna poczwarka?

– Czy sądzi pan, że opisuje coś konkretnego, czego Eri doświadczyła albo co widziała w Sakigake?

– Może i tak. Trudno jednak ocenić, gdzie kończy się rzeczywistość, a zaczyna fantazja. Ta opowieść przypomina rodzaj mitu, ale można także ją potraktować jako zręcznie

pomyślaną alegorię.

– Eri powiedziała mi, że Little People istnieją naprawdę.

Na te słowa profesor się skrzywił. Po chwili zapytał: – Czy to znaczy, że twoim zdaniem opowieść przedstawiona w *Powietrznej poczwarce* zdarzyła się w rzeczywistości?

Tengo potrząsnął głową.

– Chciałem powiedzieć, że ta historia jest wyjątkowo szczegółowo i realnie opisana. I to jest jedna z jej wielkich zalet jako powieści.

– A ty chcesz ją poprawić, posługując się swoim stylem nadać jej swoją interpretację, dzięki temu uczynić bardziej jasnym to coś, co opowieść sugeruje. Czy tak?

– Jak dobrze pójdzie.

– Moją dziedziną jest antropologia kulturowa – powiedział profesor. – Przestałem już zajmować się pracą naukową, ale ciągle przesiąknięty jestem jej duchem. Jednym z celów antropologii jest zrelatywizowanie różnych indywidualnych pojęć, które ludzie w sobie noszą, znalezienie w nich uniwersalnych punktów i opatrzenie komentarzem. Dzięki temu być może człowiekowi uda się zdobyć pozycję, w której jest niezależny, a jednocześnie do czegoś należy. Rozumiesz, co mówię?

– Sądzę, że rozumiem.

– Od ciebie oczekuje się prawdopodobnie takiej właśnie operacji.

Tengo rozłożył dłonie na kolanach.

– Trudna sprawa.

– Ale warto przynajmniej spróbować.

– Nie wiem nawet, czy mam do tego wystarczające kwalifikacje.

Profesor spojrział na Tengo. W jego oczach pojawił się szczególny blask.

– Ja chciałbym się dowiedzieć, co się przytrafiło Eri w Sakigake. Oraz jaki los spotkał małżeństwo Fukadów. Przez siedem lat starałem się w miarę możliwości poznać prawdę, ale w końcu nie trafiłem na żaden ślad. Mur, który tam stanął, był dla mnie nie do przebicia. Być może w *Powietrznej poczwarce* kryje się klucz, który pozwoli rozwikłać tę zagadkę. Nawet jeśli to niewielka możliwość, skoro się pojawiła, warto podjąć ryzyko. Nie wiem, czy masz do tego kwalifikacje. Ale wysoko oceniasz *Powietrzną poczwarkę*, bardzo cię wciągnęła. Możliwe, że właśnie to stanowi pewien rodzaj kwalifikacji.

– Jest jedna sprawa, co do której chciałbym się upewnić, to znaczy usłyszeć „tak” lub „nie” – powiedział Tengo. – Po to tu dziś przyszedłem. Czy pan mi daje pozwolenie na poprawianie *Powietrznej poczwarki*?

Profesor skinął głową. Potem powiedział: – Chciałbym przeczytać poprawioną przez ciebie *Powietrzną poczwarkę*. Wygląda na to, że Eri też bardzo ci zaufała. Jak nikomu innemu. Oczywiście nie licząc mnie i Azami. Dlatego możesz spróbować. Powierzamy ci ten utwór. Czyli odpowiedź brzmi: tak.

Kiedy skończył mówić, ciężka jak przeznaczenie cisza wypełniła pokój. Właśnie wtedy

Fukaeri przyniosła herbatę. Jakby specjalnie czekała, aż skończą rozmowę.

* * *

Wracał sam. Fukaeri wyszła z psem na spacer. Tengo poprosił o wezwanie taksówki, by mógł zdążyć na pociąg, i pojechał na dworzec Futamatao. W Tachikawa przesiadł się w pociąg linii Chūō. W Mitaka na siedzeniu naprzeciwko niego usiadły dwie osoby. Schludnie ubrane matka z córką. Ich stroje nie były bynajmniej kosztowne ani nowe, ale za to czyste i zadbane. To co było białe, było bardzo białe, starannie uprasowane. Dziewczynka chodziła zapewne do drugiej albo trzeciej klasy. Duże oczy, twarz o ładnych rysach. Matka szczupła, włosy związane z tyłu, okulary w czarnej oprawie. Miała wypchaną spłowiałą płócienną torbę wypełnioną czymś po brzegi. Jej rysy też były regularne, lecz w kącikach oczu czaiło się nerwowe zmęczenie, które ją prawdopodobnie postarzało. Choć była dopiero połowa kwietnia, kobieta miała ze sobą parasolkę od słońca tak ciasno zwiniętą, że wyglądała jak wyschnięta drewniana pałka.

Siedziały przez cały czas w milczeniu. Matka wyglądała tak, jakby planowała w myślach kolejne etapy jakiegoś przedsięwzięcia. Dziewczynka nie miała co robić, więc patrzyła na swoje buty, na podłogę, na zwisające z sufitu reklamy, zerkając też na siedzącego naprzeciw Tengo. Wyglądało na to, że zainteresowały ją jego zwalista sylwetka i zniekształcone uszy. Małe dzieci często tak na niego patrzyły. Jakby przyglądały się niegroźnemu rzadkiemu zwierzęciu. Dziewczynka prawie wcale się nie poruszała, nawet jej głowa była nieruchoma, tylko oczy żywo przesuwwały się i obserwowały różne rzeczy dookoła.

Wysiadali w Ogikubo. Kiedy pociąg zwolnił, matka wstała bez słowa. W lewej dłoni parasolka, w prawej torba. Dziewczynka też od razu się podniosła i wysiadła za matką. Kiedy wstawała, rzuciła Tengo jeszcze jedno spojrzenie. W jej oczach było przedziwne światło – jakby czegoś pragnęła, czegoś się domagała. Ukazało się zaledwie na chwilę, ale Tengo udało się je dostrzec. Czuł, że ta dziewczynka wysłała mu jakiś sygnał. Ale oczywiście nic nie mógł w odpowiedzi na ten sygnał zrobić. Nie znał sytuacji, nie miał prawa się wtrącać. Wysiadła z matką na stacji Ogikubo, drzwi się zamknęły, a siedzący w pociągu Tengo ruszył ku następnej stacji. Na miejscach zajmowanych wcześniej przez matkę z córką usiadła teraz trójka gimnazjalistów, którzy wracali chyba z egzaminu próbnego. Zaczęli rozmawiać głośno i wesoło. Mimo to przez pewien czas pozostał tam jeszcze spokojny powidok dziewczynki.

Jej oczy przypomniały mu inną dziewczynkę. Chodził z nią do trzeciej i czwartej klasy. Miała takie same oczy jak ta. Tymi oczami się w niego wpatrywała. I...

* * *

Rodzice tej dziewczynki należeli do grupy wyznaniowej o nazwie Zbór Świadców. Był

to chrześcijański związek wyznaniowy, którego członkowie głosili eschatologię, aktywnie oddawali się szerzeniu wiary, dosłownie urzeczywistniali to, co napisane było w Biblii. Na przykład pod żadnym pozorem nie zgadzali się na transfuzję krwi. Dlatego jeżeli ktoś doznał ciężkich obrażeń w wypadku samochodowym, jego szanse na przeżycie były niewielkie. Nie wchodziły w rachubę większe operacje. Ale za to kiedy nadejdzie koniec świata, to właśnie oni mieli przetrwać jako lud wybrany przez Boga. I będą mogli przez tysiąc lat żyć w stanie łaski.

Tamta dziewczynka też miała duże, piękne oczy, jak ta, która przed chwilą wysiadła. Oczy zapadające w pamięć. Twarz też miała ładną. Lecz zawsze pokrywała ją jakby cienka, nieprzezroczysta błona, za którą dziewczynka się ukrywała. Jeśli nie musiała, nie odzywała się do nikogo. Nigdy nie pokazywała po sobie żadnych uczuć. Jej wąskie wargi zawsze były zaciśnięte, tworząc równą kreskę.

Tengo kiedyś zainteresował się nią, bo w weekendy razem z matką chodziła głosić wiarę. W rodzinach Zboru Świadków wymagano, by dzieci, gdy tylko nauczą się chodzić, towarzyszyły rodzicom. Mniej więcej od wieku trzech lat chodziły po domach głównie z matkami, rozdając broszurki zatytułowane *Przed potopem* i wyjaśniając doktrynę Zboru Świadków. Członkowie tłumaczą w przystępny sposób, jak wiele jest we współczesnym świecie znaków nadchodzącej katastrofy. Nazywają Boga „Panem”. Oczywiście do większości domów nie zostają nawet wpuszczeni. Ludzie zamykają im drzwi przed nosem. Ich dogmaty są zbyt radykalne, jednostronne, oderwane od rzeczywistości – a przynajmniej oderwane od rzeczywistości w rozumieniu większości ludzi. Bardzo rzadko trafi się ktoś, kto ich uważnie wysłucha. Są na świecie osoby pragnące z kimś porozmawiać, bez względu na temat. A wśród nich rzadko, naprawdę rzadko trafiają się ludzie, którzy przychodzą później na spotkanie zboru. Więc szukając tej szansy jednej na tysiąc, członkowie chodzą po domach i naciskają kolejne dzwonki. Nieustawanie w tych wysiłkach, próba skierowania świata choć trochę w stronę przebudzenia to święty obowiązek, który im narzuca wiara. Im cięższy ten obowiązek, im wyżej jest poprzeczka, tym większa łaska ich czeka.

Ta dziewczynka chodziła głosić wiarę z matką. Matka nosiła w jednej ręce płócienną torbę wypchaną broszurkami *Przed potopem*, a w drugiej zwykle parasol od słońca. Dziewczynka szła kilka kroków za nią. Zawsze miała zaciśnięte usta i pozbawioną wyrazu twarz. Chodząc po domach z ojcem inkasującym abonament telewizji NHK, Tengo wiele razy mijali ją na ulicy. Zauważali się nawzajem. Wydawało mu się, że za każdym razem w jej oczach coś lśni. Ale oczywiście nie odzywali się do siebie ani się sobie nie kłaniali. Ojciec Tengo skupiał się na zwiększeniu efektywności inkasowania pieniędzy, a jej matkę pochłaniało głoszenie, że wkrótce nadejdzie koniec świata. Dziewczynka i chłopiec w niedzielne poranki jakby na siłę ciągnięci przez rodziców, mijali się szybkim krokiem i wymieniali krótkie spojrzenia.

Wszyscy w klasie wiedzieli, że dziewczynka należy do Zboru Świadków. Z „przyczyn

natury religijnej” nie brała udziału w uroczystościach bożonarodzeniowych, nie jeździła też na wycieczki, na których planowano zwiedzanie świątyń shintoistycznych albo buddyjskich. Nie uczestniczyła w rozgrywkach sportowych, nie śpiewała hymnu narodowego ani szkolnego. Takie zachowanie, które uznawano za ekstremalne, spowodowało, że stopniowo wyizolowywano ją z klasy. Poza tym przed zjedzeniem szkolnego obiadu musiała wygłosić specjalną modlitwę. I to głośno i wyraźnie, tak by wszyscy słyszeli. Naturalnie dzieci to odstręczało. Ona pewnie też wolałaby tego nie robić w obecności innych. Ale wbito jej do głowy, że musi się modlić przed jedzeniem, i nie mogła tego zaniedbać, nawet jeżeli nie było przy tym innych wiernych. Bo Pan widzi wszystko z wysoka bardzo dokładnie.

Panie w niebiosach, święć się imię Twoje, przyjdź królestwo Twoje. Odpuść nam nasze liczne winy. Pobłogosław naszym maluczkim poczynaniom. Amen.

Pamięć to zadziwiająca rzecz. Choć było to dwadzieścia lat temu, pamięta te słowa od początku do końca. **Przyjdź królestwo Twoje.** Za każdym razem, gdy dziesięcioletni Tengo to słyszał, zastanawiał się, co to ma być za królestwo. Czy będzie w nim NHK? Jeśli nie będzie NHK, nie będzie też oczywiście zbierania pieniędzy za abonament. A skoro tak, to może lepiej, żeby to królestwo przyszło jak najszybciej.

Tengo nigdy z nią nie rozmawiał. Mimo że byli w jednej klasie, nigdy nie miał okazji bezpośrednio się do niej odezwać. Zawsze siedziała sama oddalona od wszystkich. Jeśli nie było to konieczne, do nikogo się nie odzywała. Atmosfera panująca w klasie sprawiała, że lepiej było do niej nie podchodzić i nie zaczynać rozmowy. Ale w głębi serca jej współczuł. Poza tym łączyła ich szczególna więź – w wolne dni wleczeni przez rodziców musieli chodzić po obcych domach. Głoszenie wiary i zbieranie pieniędzy za abonament z pewnością się od siebie różnią, ale Tengo dobrze wiedział, że zmuszanie do wypełniania takich ról głęboko rani dziecięce serce. W niedzielę dziecko powinno się do woli bawić z kolegami, a nie chodzić po domach i zastraszać ludzi, inkasować od nich pieniądze albo głosić przerażający koniec świata. Takie rzeczy – jeżeli naprawdę były potrzebne – powinni robić dorośli.

* * *

Tylko raz, przypadkiem, doszło do tego, że Tengo pomógł dziewczynce. Było to jesienią w czwartej klasie. Podczas doświadczeń na lekcji przyrody ktoś siedzący z nią przy tym samym stole powiedział coś nieprzyjemnego, bo pomyliła kolejność czynności przy doświadczeniu. Tengo nie pamiętał, w czym się pomyliła. Jeden z chłopców wyśmiał, że głosi wiarę Zboru Świadców. Że chodzi od domu do domu i rozdaje głupie broszurki. I nazwał ją „Panią w niebiosach”.

Było to bardzo nietypowe wydarzenie. Dzieci zwykle jej nie dokuczały, nie

wyśmiewały, a raczej traktowały ją, jakby nie istniała i całkowicie ignorowały. Ale kiedy przychodziło do robienia czegoś wspólnie, jak na zajęciach z przyrody, musiały ją zauważyć. Właśnie przy takiej okazji padły pod jej adresem dość złośliwe słowa. Tengo był w grupie robiącej doświadczenie przy sąsiednim stole, ale nie mógł ich puścić mimo uszu. Nie wiedział dlaczego. Po prostu nie mógł tej sprawy tak zostawić.

Podszedł do stołu dziewczynki i zaproponował, żeby przeniosła się do jego grupy. Nie przemyślał tego dobrze, nie wahał się, zrobił to niemal instynktownie. A potem życzliwie wyjaśnił jej przebieg doświadczenia. Dziewczynka uważnie go wysłuchała, zrozumiała dokładnie, co powiedział, i już więcej nie popełniła błędu. Drugi rok byli razem w tej samej klasie, ale wtedy po raz pierwszy (i ostatni) się do niej odezwał. Tengo miał dobre stopnie, był duży i silny. Wszyscy darzyli go szacunkiem. Dlatego nikt się go nie czepiał – przynajmniej nie od razu – że stanął w jej obronie. Ale zdawało się, że przez to ujęcie się za „Panią w niebiosach” jego akcje w klasie spadły o oczko niżej, choć nikt o tym nie mówił. Pewnie myśleli, że przez kontakt z nią sam stał się nieczysty.

Na szczęście Tengo w ogóle się nie przejmował takimi rzeczami. Dobrze wiedział, że dziewczynka niczym się nie różni od reszty koleżanek. Gdyby jej rodzice nie byli członkami Zboru Świadców, wychowywałyby się zwyczajnie i wszyscy by ją akceptowali. Pewnie miałyby nawet bliskie przyjaciółki. Ale przez to, że rodzice wyznawali inną wiarę, stała się w szkole praktycznie niewidzialna. Nikt nie próbował z nią rozmawiać. Udawali, że jej nie widzą. Tengo wydawało się to wyjątkowo niesprawiedliwe.

Po tym wydarzeniu nie rozmawiali ze sobą. Nie było takiej potrzeby, nie trafiła się też okazja. Ale kiedy z jakiegoś powodu spotykali się wzrokiem, na jej twarzy pojawiała się jakby lekkie napięcie. Tengo potrafił to poznać. Może jego pomoc wcale jej nie ucieszyła? Może jest na niego zła i myśli, że powinien był ją zostawić w spokoju? Tengo nie potrafił tego ocenić. Był jeszcze dzieckiem, nie umiał z twarzy wyczytywać delikatnych psychologicznych niuansów.

Aż pewnego dnia ścisnęła go za rękę. Było pogodne popołudnie na początku grudnia. Za oknem wysoko widać było niebo i długie białe chmurki. Zakończyło się sprzątanie klasy po lekcjach i przypadkiem znaleźli się w niej tylko we dwoje. Nie było nikogo innego. Dziewczynka, jakby podjęła jakąś decyzję, szybko przeszła przez klasę, zbliżyła się do Tengo i stanęła koło niego. Potem bez wahania ścisnęła go za rękę. I wpatrzyła się w niego (był od niej o dziesięć centymetrów wyższy). On, zaskoczony, spojrzał na nią. Ich oczy się spotkały. Tengo dostrzegł w jej źrenicach przejrzystą głębię, jakiej nigdy wcześniej nie widział. Dziewczynka w milczeniu długo ścisnęła jego rękę. Bardzo mocno – jej uścisk ani na chwilę nie zelżał. Potem nagle ją puściła. Jej spódniczka zawirowała, gdy szybkim drobnym krokiem wyszła z klasy.

Tengo nie wiedział, co się dzieje, zaniemówił i znieruchomiał. Najpierw westchnął z ulgą, że nikt tego nie widział. Nie potrafił sobie wyobrazić, jaki zrobiłby się szum, gdyby ktoś

coś podpatrzył. Rozejrzył się i odetchnął z ulgą. A potem poczuł się bardzo zmieszany.

* * *

Może matka z córką, które siedziały naprzeciwko niego między Mitaka a Ogikubo, też należały do Zboru Świadków? Może jechały na niedzielne głoszenie wiary? Płócienna torba mogła być wypchana broszurkami *Przed potopem*. Parasol od słońca matki i blask, który zalśnił w oczach córki, przypomniały Tengo tę małomówną dziewczynkę z klasy.

Nie, nie były członkami Zboru Świadków. Pewnie zwyczajna matka z córką jadące na jakąś lekcję. W płócienną torbę mogły być nuty do gry na pianinie albo zestaw przyborów do kaligrafii. Pewnie jestem przeczulony, pomyślał Tengo. Zamknął oczy i powoli wypuścił powietrze. W niedzielę czas płynął w szczególny sposób, sceny z życia dziwnie się zniekształcały.

* * *

Wrócił do domu i przygotował prostą kolację. Uświadomił sobie, że nie jadł obiadu. Postanowił po kolacji zadzwonić do Komatsu. Na pewno będzie chciał usłyszeć, jaki jest rezultat dzisiejszego spotkania. Ale dziś była niedziela, więc nie będzie go w pracy. Tengo nie znał jego domowego numeru telefonu. Nie ma rady, jak będzie chciał się czegoś dowiedzieć, pewnie sam zadzwoni.

Wskazówki zegara minęły dziesiątą i Tengo zamierzał się niedługo kłaść, gdy zadzwonił telefon. Przypuszczał, że dzwoni Komatsu, lecz gdy odebrał, w słuchawce rozległ się głos jego kochanki.

– Słuchaj, nie będę miała zbyt wiele czasu, ale czy pojutrze po południu mogłabym na trochę do ciebie wpaść? – zapytała.

W tle było słycać cichą grę na pianinie. Wyglądało na to, że jej mąż jeszcze nie wrócił.

– Pewnie, że tak – powiedział Tengo. Jeśli przyjdzie, będzie musiał na trochę przerwać pracę nad poprawianiem *Powietrznej poczwarki*. Ale na dźwięk jej głosu uświadomił sobie, że silnie pragnie jej ciała. Rozłączył się, poszedł do kuchni, wlał do szklaneczki Wild Turkey i wypił bez żadnych dodatków, stojąc przy zlewie. Potem położył się do łóżka, przeczytał kilka stron i zasnął.

I tak zakończyła się długa, dziwna niedziela Tengo.

Rozdział trzynasty – Aomame

Urodzona ofiara

Kiedy się obudziła, uświadomiła sobie, że ma solidnego kaca. Aomame nigdy nie miewała kaca. Bez względu na to ile wypila, budziła się następnego dnia, od razu jasno myśląc, i mogła od razu przystąpić do kolejnej czynności. Była z tego dumna. Ale z jakiegoś powodu dzisiaj czuła w skroniach tępy ból, a świadomość wydawała jej się lekko zamglona. Miała uczucie, że głowę spina jej ciasna żelazna obręcz. Na zegarze było po dziesiątej. Światło zbliżającego się południa jak igła kłuło boleśnie w oczy. Warkot motocykla przejeżdżającego ulicą rozszedł się po pokoju echem przypominającym odgłos maszyny do tortur.

Leżała w łóżku zupełnie naga i w ogóle nie pamiętała, jak wróciła do domu. Na podłodze walały się bezładnie rozrzucone wszystkie ubrania, które miała na sobie wczoraj. Wyglądało na to, że sama je z siebie zdarła. Torba na ramię stała na stole. Szeroko rozstawiając nogi, by ominąć ubranie, poszła do kuchni i wypila duszkiem kilka szklanek wody z kranu. Potem w łazience umyła twarz zimną wodą i obejrzała w dużym lustrze swoje nagie ciało. Zbadała je skrawek po skrawku, lecz nie znalazła żadnych śladów. Westchnęła z ulgą. Całe szczęście. W dolnej połowie ciała pozostało lekkie uczucie, którego zawsze doznawała w dzień po gwałtownym seksie. Słodką ociążałość wywołaną wrażeniem, jakby została do głębi przetrząśnięta. Zauważyła też, że ma trochę dziwne uczucie w odbytnicy. No, to już przesada, pomyślała. Przycisnęła palcami skronie. Nawet tam mi to robili? Ale niestety niczego nie pamiętała.

Biała mgła nadal wypełniała jej świadomość. Opierając się o ścianę, wzięła prysznic. Wyszorowała całe ciało mydłem i zmyła wspomnienia wczorajszej nocy – albo coś nienazwanego przypominającego wspomnienia. Szczególnie starannie umyła srom i odbytnicę. Umyła też włosy. Wyszorowała zęby, mimo że odrzucało ją od miętowego zapachu pasty, pozbywając się w ten sposób nieświeżego smaku w ustach. Potem podniosła z podłogi sypialni bieliznę, rajstopy oraz resztę ubrania i odwracając wzrok, wrzuciła je do kosza z rzeczami do prania.

Sprawdziła zawartość torebki na stole. Portmonetka była. Były też wszystkie karty

kredytowe i bankomatowe. Pieniądzy prawie nie ubyło. Wygląda na to, że wczorajszej nocy zapłaciła gotówką tylko za taksówkę. Z torebki zniknęła jedynie część włożonych tam na wszelki wypadek prezerwatyw. Policzyła, że brakowało czterech. Czterech?! W portmonetce była złożona kartka z tokijskim numerem telefonu. Zupełnie nie pamiętała, czyj to numer.

Znów padła na łóżko i spróbowała sobie jak najwięcej przypomnieć z wczorajszej nocy. Ayumi podeszła do stolika mężczyzn, z uśmiechem do nich zagadała, pili we czwórkę, aż wszyscy wpadli w dobry humor. A potem wszystko przebiegło jak zawsze. Wynajęli dwa pokoje w pobliskim hotelu średniej klasy. Tak jak się umówiły, Aomame poszła do łóżka z tym łysiejącym. Ayumi wzięła sobie młodego, zwałistego. Seks był niezły. Przed wprowadzeniem penisa mężczyzna jak należy założył prezerwatywę. Wykapali się we dwoje, a potem przyszedł czas na nieśpieszny, staranny seks oralny.

Po około godzinie zadzwonił telefon. Ayumi zapytała, czy może ze swoim facetem przyjść do ich pokoju. Napijmy się znowu trochę razem. Aomame powiedziała, że może. Niedługo przyszła Ayumi ze swoim partnerem. Zamówili do pokoju butelkę whisky oraz lód i wypili we czwórkę.

Nie bardzo pamiętała, co było potem. Chyba musiała się szybko upić. Albo była to wina whisky, której Aomame zwykle raczej nie pita, albo, ponieważ nie była jak zwykle tylko z jedynym facetem, a miała przy sobie koleżankę, przestała być ostrożna. Niejasno pamiętała, że potem zamieniły się partnerami i znowu uprawiały seks. Ja na łóżku z tym młodym, a Ayumi na kanapie z łysiejącym. Tak, rzeczywiście tak było. A potem... Resztę spowijała gęsta mgła. Niczego nie mogła sobie przypomnieć. No, nie ma rady. Skoro nie mogę sobie przypomnieć, to lepiej to wszystko wyrzucić z pamięci. Pozwoliłam sobie i użyłam do syta. To wszystko. Pewnie już nigdy więcej nie zobaczę tych facetów.

Ale czy przy tej drugiej okazji on na pewno założył prezerwatywę? To nie dawało jej spokoju. Niemożliwe, żeby przez głupotę zaszła w ciążę albo złapała chorobę weneryczną. Prawdopodobnie nie muszę się martwić. Dbam o takie rzeczy, nawet kiedy jestem strasznie pijana i kiedy miesza mi się w głowie.

Czy dzisiaj mam jakąś pracę? Nie mam. Dziś jest sobota, a w soboty nie pracuję. Nie, zaraz. O trzeciej mam się stawić w Wierzbowym Dworze w Azabu, żeby zrobić masaż rozciągający starszej pani. Kilka dni temu dostałam wiadomość od Tamaru, że jego szefowa musi w piątek iść do szpitala na jakieś badania, więc chciałyby przenieść masaż na sobotę. Aomame całkiem o tym zapomniała. Ale do trzeciej po południu miała jeszcze wolne prawie trzy i pół godziny. Do tego czasu głowa powinna przestać ją boleć i pewnie nieco się w niej rozjaśni.

Zaparzyła gorącej kawy i na siłę wlała do żołądka kilka filiżanek. Potem położyła się na łóżku w szlafroku na nagim ciele i spędziła resztę przedpołudnia, wpatrując się w sufit. Nie miała ochoty nic robić, więc nic innego jej nie pozostało. Nie było na nim nic ciekawego, ale nie mogła narzekać. Sufit nie jest po to, żeby ludziom dostarczać rozrywki. Na zegarze było

już południe, lecz ona nadal nie miała w ogóle apetytu. W głowie ciągle niósł się jej echem warkot silników motocyklowych i samochodowych. Pierwszy raz miała kaca z prawdziwego zdarzenia.

Ale mimo to zdawało się, że seks dobrze jej zrobił. Dzięki temu, że mężczyzna wziął ją w ramiona, patrzył na jej nagie ciało, pieścił je całe, lizał, gryzł i wsadził w nie penis, a także doprowadził ją kilka razy do orgazmu, to wcześniejsze nieswoje uczucie zostało efektywnie rozproszone. Oczywiście kac był nieprzyjemny, ale towarzyszyło mu przepelniające ją uczucie wyzwolenia.

Jak długo będę robiła takie rzeczy? zastanawiała się Aomame. Jak długo będę mogła robić takie rzeczy? Niedługo skończę trzydzieści lat. Wkrótce na horyzoncie zamajaczy czterdziestka.

Zrezygnowała z dalszego zastanawiania się nad tą kwestią. Pomyślę o tym spokojnie kiedy indziej, postanowiła. W tej chwili nie wisi nade mną żaden termin. Jak na rozmyślanie o takich rzeczach jestem...

Wtedy zadzwonił telefon. W uszach Aomame zabrzmiał jak grzmot. Jakby jechała pośpiesznym pociągiem przez tunel. Chwiejnie wstała z łóżka i podniosła słuchawkę. Duży zegar na ścianie wskazywał pół do pierwszej.

– Aomame? – zapytał ktoś. Nieco schrypnięty głos kobiety. Ayumi.

– Uhm – powiedziała Aomame.

– Wszystko w porządku? Masz głos, jakby autobus cię przejechał.

– Tak się mniej więcej czuję.

– Kac?

– Uhm, straszny. Skąd masz mój numer?

– Nie pamiętasz? Przecież mi podałaś. Powiedziałaś, że chcesz niedługo znowu się spotkać. Ty powinnaś mieć w portmonetce mój.

– Ach tak? Nic nie pamiętam.

– Myślałam, że może tak być. Dlatego dzwonię. Bo się martwiłam – powiedziała Ayumi. – Zastanawiałam się, czy bez problemu dotarłaś do domu. Wsadziłam cię w taksówkę na głównym skrzyżowaniu w Roppongi i powiedziałam kierowcy, dokąd jechać, ale nigdy nie wiadomo.

Aomame westchnęła.

– Nic nie pamiętam, ale jakoś dotarłam. Kiedy się obudziłam, leżałam we własnym łóżku.

– Całe szczęście.

– A co ty teraz robisz?

– Pracuję, jak należy. Od dziesiątej jeżdżę małym wozem patrolowym i sprawdzam, czy ktoś nieprawidłowo nie zaparkował. Teraz mam przerwę.

– Duża rzecz – powiedziała Aomame z podziwem.

– No oczywiście jestem trochę niewyspana. Ale wczoraj było fajnie. Pierwszy raz tak dobrze się bawiłam. Dzięki tobie.

Aomame przycisnęła palcem skroń.

– Prawdę mówiąc, nie bardzo pamiętam drugą połowę wieczoru. To znaczy od czasu, kiedy przyszliście do naszego pokoju.

– Coś ty? To szkoda – powiedziała Ayumi poważnym głosem. – Potem było naprawdę niesamowicie. Robiliśmy we czworo różne rzeczy. Aż trudno uwierzyć. Jak w filmach porno. We dwie nago udawałyśmy lesbijki. A poza tym...

Aomame pośpiesznie jej przerwała: – Dobrze, dobrze, ale czy oni nałożyli prezerwatywy? Nie bardzo pamiętam i nie daję mi to spokoju.

– Oczywiście. Starannie sprawdziłam, więc nic się nie martw. Ja w końcu poza tropieniem przestępstw drogowych chodzę po liceach w swojej dzielnicy, zbieram uczennice w auli i udzielam im szczegółowych instrukcji, jak prawidłowo zakładać prezerwatywy i tak dalej.

– Jak zakładać prezerwatywy? – powtórzyła zdziwiona Aomame. – Dlaczego policja musi uczyć licealistki takich rzeczy?

– Zasadniczo celem policji jest informowanie w szkołach o ryzyku gwałtów na randkach, uczenie, jak radzić sobie ze zbrojeńcami, jakie są sposoby zapobiegania przestępstwom seksualnym, ale ja, że tak powiem, przy okazji dodaję od siebie takie informacje, to jakby moje prywatne szkolenie. W pewnym sensie nic się nie poradzi na to, że uprawiają seks, więc niech przynajmniej uważają, żeby nie zająć w ciążę i nie złapać choroby wenerycznej. No, przy nauczycielach aż tak wprost tego nie mówię. Ale dlatego w takich sprawach mam jakby zawodową instynktowną reakcję. Choćbym była nie wiem jak pijana, w tym jednym nie popuszczam. Więc w ogóle nie musisz się martwić. Jesteś czysta jak łza. Bez prezerwatywy nie ma mowy o penetracji. To moje motto...

– Dzięki. Ulżyło mi.

– Słuchaj, powiedz mi ze szczegółami, co wczoraj robiłyśmy?

– Następnym razem – powiedziała Aomame i wypuściła z płuc zastałe powietrze. – Opowiesz mi kiedyś dokładnie. Ale nie teraz. Od samej takiej rozmowy głowa pękłaby mi na pół.

– Dobra. To następnym razem – powiedziała Ayumi wesoło. – Ale wiesz, dziś ciągle o tym myślę, od kiedy się obudziłam. Nie uważasz, że niezły z nas duet? Mogę kiedyś do ciebie zadzwonić? To znaczy, jeśli będę miała znowu ochotę zrobić coś takiego jak wczoraj?

– Możesz.

– To świetnie.

– Dzięki za telefon.

– Mam nadzieję, że szybko się lepiej poczujesz – powiedziała Ayumi i odłożyła słuchawkę.

* * *

O drugiej dzięki czarnej kawie i drzemce w głowie znacznie jej się rozjaśniło. I na szczęście przestała boleć. Tylko w ciele pozostała lekka ociężałość. Wzięła torbę treningową i wyszła z domu. Oczywiście w torbie nie było specjalnie wykonanego szpikulca do lodu. Jedynie ubranie na zmianę i ręcznik. Jak zwykle przy bramie powitał ją Tamaru.

Poprowadził ją na długą i wąską oszkloną werandę. Duże okna wychodzące na ogród były otwarte, ale dzięki firankom z zewnątrz nic nie było widać. Na parapecie stały dekoracyjne rośliny. Z małych głośników pod sufitem płynęła spokojna barokowa muzyka. Sonata na flet i klawesyn. Na środku pomieszczenia stało łóżko do masażu, a na nim leżała już na brzuchu starsza pani. Miała na sobie biały szlafrok.

Tamaru wyszedł, a Aomame przebrała się w strój pozwalający na swobodne ruchy. Z głową przekręconą na łóżku starsza pani przyglądała się, jak Aomame się rozbiera. Aomame specjalnie nie przeszkadzało, że ktoś tej samej płci widzi ją nagą. W drużynie sportowej coś takiego jest na porządku dziennym, a starsza pani w czasie masażu też była prawie naga, ponieważ tak łatwiej ocenić stan mięśni. Aomame zdjęła bawełniane spodnie i bluzkę, włożyła dres. Potem poskładała ubranie w stosik w kącie pokoju.

– Ma pani bardzo jędrne ciało – powiedziała starsza pani. Podniosła się, zdjęła szlafrok, zostając w samej jedwabnej bieliźnie.

– Dziękuję bardzo.

– Ja też dawniej takie miałam.

– To widać.

Rzeczywiście musiało tak być, pomyślała Aomame. Nawet teraz, po siedemdziesiątce, w jej ciele pozostało jeszcze wspomnienie młodości. Nie straciła figury, piersi też miała jeszcze dość jędrne. Dzięki umiarkowanym posiłkom i codziennemu ruchowi jej ciało zachowało naturalne piękno. Do tego doszło pewnie nieco chirurgii plastycznej, przypuszczała Aomame. Regularne usuwanie zmarszczek, lifting wokół oczu i ust.

– Nawet teraz ma pani piękne ciało – powiedziała Aomame.

Starsza pani lekko skrzywiła usta.

– Dziękuję. Ale to nie to co dawniej.

Aomame nie odpowiedziała.

– To ciało dało wiele radości mnie i moim partnerom. Rozumie pani chyba, o co mi chodzi?

– Rozumiem.

– A pani? Czy pani daje radość własne ciało?

– Od czasu do czasu.

– Od czasu do czasu może nie wystarczyć – powiedziała starsza pani, leżąc na brzuchu.

– Takimi rzeczami trzeba się porządnie w młodości nacieszyć. Z całej duszy. Bo kiedy człowiek się zestarzeje i nie może już tego robić, dawne wspomnienia go rozgrzewają.

Aomame przypomniawszy sobie wczorajszą noc. Odbytница wydawała się jeszcze lekko nadwrażliwa po penetracji. Czy takie wspomnienia naprawdę ogrzeją ją na starość?

Położyła dłonie na ciele starszej pani i zaczęła starannie rozciągać jej mięśnie. Ociężałość, którą jeszcze niedawno czuła, zniknęła. Od czasu kiedy przebrała się w dres i dotknęła jej ciała, jej nerwy jakby się wyostrzyły.

Sprawdzała kolejno stan mięśni, jakby wytyczyła palcami trasę na mapie. Pamiętała dokładnie napięcie, twardość i elastyczność każdego z nich. Jak pianista, który zapamiętuje nuty długiego utworu, Aomame obdarzona była taką precyzyjną pamięcią, szczególnie w kwestii ciała. Nawet gdyby ona sama zapomniawszy, jej palce by pamiętały. Jeżeli któryś mięsień wydawał się choć trochę inny niż zwykle, stymulowała go z różnych stron ze zmienną siłą i sprawdzała, jak na to reaguje. Czy pojawił się w nim ból, uczucie przyjemności czy brak czucia. Nie tylko rozluźniała naprężone, zeszywniałe miejsca, ale pokazywała starszej pani, jak może sama nimi poruszać. Oczywiście niektóre mięśnie trudno byłoby jej samej rozluźnić. Te Aomame starannie rozciągała. Lecz mięśnie najbardziej doceniają i cieszą się, gdy człowiek codziennie sam nad nimi pracuje.

– Czy tu boli? – zapytała. Mięśnie w pachwinie były bardziej naprężone niż zwykle. Uparcie nie chciały się rozluźnić. Aomame wsunęła palce między kości miednicy i lekko przekreśliła udo pod szczególnym kątem.

– Bardzo – odpowiedziała starsza pani, krzywiąc się.

– To świetnie. Dobrze, że czuje pani ból. Kiedy przestaje się czuć ból, robi się poważna sprawa. Jeszcze trochę panią zabolę. Wytrzyma pani?

– Oczywiście – odparła starsza pani.

Aomame nie musiała za każdym razem pytać. Starsza pani była wytrzymała. Znosiła prawie wszystko w milczeniu. Krzywiła się, lecz nie jęczała. Aomame wiele razy widziała silnych mężczyzn jęczących podczas jej masażu. Dlatego zawsze była pełna podziwu dla silnej woli i odporności starszej pani.

Opierając łokieć o stół i posługując się ramieniem jak dźwignią, jeszcze bardziej przekreśliła udo. Rozległ się głuchy chrzęst i staw się przesunął. Starsza pani gwałtownie nabrała powietrza. Ale nie wydała głosu.

– Od tego się poprawi – powiedziała Aomame. – Ból minie.

Starsza pani wypuściła głęboki oddech. Na jej czole pojawiły się krople potu.

– Dziękuję – rzekła cicho.

Przez okrągłą godzinę Aomame rozluźniała całe ciało starszej pani, stymulowała mięśnie, rozciągała je, rozluźniała stawy. Było to dość bolesne. Ale musiało boleć, żeby był efekt. Aomame o tym wiedziała, wiedziała też starsza pani. Dlatego obie spędziły tę godzinę, prawie się nie odzywając. Nie wiadomo kiedy skończyła się sonata na flet, muzyka umilkła.

Nie było słyhać nic prócz ćwierkania ptaków w ogrodzie.

– Czuję się bardzo rozluźniona – powiedziała starsza pani po pewnym czasie. Leżała bezwładnie na brzuchu. Na pokrywającym łożko do masażu ręczniku kąpielowym pojawiły się ciemne plamy potu.

– To dobrze.

– Bardzo się cieszę, że pani do mnie przychodzi. Na pewno byłoby mi ciężko, gdyby mi pani zniknęła z horyzontu.

– Proszę się nie martwić. Na razie nie zamierzam zniknąć z horyzontu.

Po chwili wahania starsza pani zapytała: – Proszę nie myśleć, że się wtrącam, ale czy pani ma ukochanego?

– Mam.

– To dobrze.

– Ale niestety, on mnie nie kocha.

– To może trochę szczególne pytanie – powiedziała starsza pani – ale dlaczego on pani nie kocha? Obiektywnie patrząc, jest pani czarującą młodą kobietą.

– On nawet nie wie o moim istnieniu.

Starsza pani zastanawiała się przez chwilę nad słowami Aomame.

– A pani nie ma ochoty go powiadomić o fakcie swojego istnienia?

– W tej chwili nie mam.

– Czy są jakieś powody, które nie pozwalają pani się do niego zbliżyć?

– Są pewne powody, ale problem leży głównie w moich własnych uczuciach.

Starsza pani spojrzała na Aomame jakby z podziwem.

– Spotkałam do tej pory wielu ekscentrycznych ludzi. Pani też chyba się do nich zalicza.

Aomame leciutko się uśmiechnęła.

– Nie mam w sobie nic szczególnie ekscentrycznego. Jestem tylko wobec siebie uczciwa.

– Jak raz pani coś postanowi, trzyma się pani tego.

– Tak.

– I jest pani nieco uparta, łatwo wpada w złość.

– Myślę, że pewnie tak.

– Ale wczoraj trochę sobie pani pofolgowała.

Aomame się zaczerwieniła.

– Czy to można poznać?

– Można poznać po skórze. I po zapachu. Jeszcze został w pani ślad mężczyzny. Jak się człowiek starzeje, zaczyna dostrzegać różne rzeczy.

Aomame leciutko się skrzywiła.

– To jest mi potrzebne. Od czasu do czasu. Wiem, że nie ma się czym chwalić.

Starsza pani wyciągnęła rękę i lekko przykryła nią dłoń Aomame.

– Oczywiście. To jest czasami potrzebne. Nie ma się czym przejmować. Ja pani niczego nie zarzucam. Tylko zdaje mi się, że mogłaby pani być szczęśliwa bardziej zwyczajnie. Związać się z ukochanym człowiekiem i znaleźć razem happy end.

– Ja też bym tego chciała. Ale to będzie chyba trudne.

– Dlaczego?

Aomame nie odpowiedziała. Niełatwo było to wyjaśnić.

– Jeżeli będzie miała pani ochotę się kogoś poradzić w prywatnej sprawie, proszę się poradzić mnie – powiedziała starsza pani, potem zdjęła rękę z dłoni Aomame i wytarła pot z twarzy małym ręcznikiem. – W każdej sprawie. Może będę mogła jakoś pani pomóc.

– Bardzo pani dziękuję – powiedziała Aomame.

– Są rzeczy, których nie da się rozwiązać jedynie sobie folgując.

– Ma pani rację.

– Nie robi pani nic, co panią niszczy. Absolutnie nic. Wie pani o tym, prawda?

– Wiem – odparta Aomame. Rzeczywiście tak jest, pomyślała. Nie robię nic, co mnie niszczy. A mimo to niezauważalnie zostaje jakiś ślad. Jak osad na dnie butelki wina.

* * *

Aomame często wspominała okres przed śmiercią i po śmierci Tamaki Ōtsuka. I kiedy myślała o tym, że już nigdy więcej jej nie zobaczy, nie pogada z nią, doznawała uczucia, że jest rozdzielana na pół. Tamaki była jej pierwszą w życiu przyjaciółką. Mogły się sobie ze wszystkiego zwierzyć, niczego przed sobą nie ukrywały. Aomame nigdy przedtem ani nigdy potem nie miała kogoś tak bliskiego. Nikt nie mógł zastąpić Tamaki. Gdyby się nie poznały, życie Aomame wydawałoby się jeszcze żałośniejsze, jeszcze bardziej ponure niż teraz. Były w tym samym wieku, należały do drużyny softballowej w państwowej szkole średniej. Aomame już od gimnazjum z wielkim zapałem oddawała się grze w softball. Dała się namówić na wstąpienie do drużyny, tylko dlatego, że brakowało im członków, więc na początku grała bez większego przekonania, ale z czasem softball stał się tym, co nadawało jej życiu wartość. Uchwyciła się kurczowo tej gry jak ktoś, kto desperacko trzyma się drzewa, bo nie chce, by porwał go huragan. Potrzebowała czegoś takiego. A poza tym, choć sama się w tym wcześniej nie zorientowała, miała zadatki na wybitną sportsmenkę. W gimnazjum i w liceum stała się najważniejszą zawodniczką, dzięki niej drużyna bez trudu wygrywała turnieje. Przez to Aomame nabrała jakby pewności siebie (ściśle mówiąc, nie była to może pewność siebie, ale coś do niej podobnego). Niezwykle cieszyło ją, że jest w drużynie niewątpliwie ważną osobą i że osiągnęła w tym niewielkim świecie pewną pozycję. Ktoś mnie potrzebuje.

Aomame była pitcherką i czwartą pałkarką, a jej umiejętności plasowały się dokładnie pośrodku. Tamaki Ōtsuka grała na drugiej bazie i była trzonem drużyny oraz jej kapitanem.

Choć drobna, miała wyjątkowy refleks i szybko się orientowała. Potrafiła błyskawicznie i wielokierunkowo ocenić sytuację. Dokładnie wiedziała, w którą stronę przesunąć środek ciężkości ciała po rzucie, kiedy pałkarz uderzał w piłkę, potrafiła natychmiast ocenić tor jej lotu i biegła na odpowiednią pozycję. Niewielu jest takich zawodników bazowych. Jej zdolność oceny uratowała drużynę w niezliczonych trudnych sytuacjach. Nie potrafiła wybić piłki na dużą odległość jak Aomame, ale miała ostre, pewne uderzenie i szybko biegła. Była też wybitną liderką. Jednoczyła drużynę, planowała strategię, miała dla wszystkich cenne rady, umiała dodawać odwagi. Jako kapitan była surowa, ale inne zawodniczki jej ufały. Dzięki temu drużyna stawała się z każdym dniem lepsza, doszła do finału w turnieju stołecznym. Występowała też w turniejach międzyszkolnych. Aomame i Tamaki zostały nawet wybrane do drużyny reprezentującej region Kantō.

Uznawały nawzajem swoje zdolności, jakoś naturalnie się zaprzyjaźniły, wkrótce stały się nierozłączne. W czasie wyjazdów drużynowych spędzały razem dużo czasu. Opowiedziały sobie nawzajem historie swojego życia, niczego nie ukrywając. Aomame w piątej klasie podjęła decyzję odejścia z domu rodziców i zdała się na życzliwą pomoc wuja ze strony matki. Krewni zrozumieli sytuację i przyjęli ją do swojej rodziny z otwartymi ramionami. Ale jednak mimo był to obcy dom. Czuła się sama jak palec i desperacko pragnęła miłości. Nie wiedziała, gdzie szukać sensu i celu życia. Dni wydawały jej się kompletnie pozbawione treści. Rodzina Tamaki była zamożna, miała też wysoką pozycję społeczną, lecz stosunki między matką a ojcem były bardzo złe, więc życie rodzinne nie istniało. Ojciec prawie nie wracał do domu, matka bardzo często traciła równowagę psychiczną. Miewała też straszne bóle głowy i często przez kilka dni nie mogła wstać z łóżka. Tamaki i jej młodszy brat byli praktycznie zdani na łaskę losu. Często musiały im wystarczać posiłki w pobliskich jadalniach, fastfoody albo gotowe dania ze sklepu.

Obie miały powód, żeby całkowicie poświęcić się softballowi, a samotnym dziewczynom borykającym się z problemami nigdy nie brakowało tematów. W letnie wakacje pojechały nawet we dwie na wycieczkę. To wtedy, dotykały nawzajem swoich nagich ciał w hotelowym łóżku. Zdarzyło im się to tylko raz pod wpływem impulsu. Nigdy więcej się nie powtórzyło i nigdy na ten temat nie rozmawiały. Ale dzięki temu wydarzeniu ich stosunki stały się głębsze, były jakby współniczkami.

Po skończeniu liceum i rozpoczęciu studiów na Akademii Wychowania Fizycznego Aomame dalej grała w softball. Ponieważ była wysoko cenioną zawodniczką znaną w całym kraju, ta prywatna uczelnia chciała ją pozyskać i zaproponowała jej specjalne stypendium. W drużynie uczelnianej także stała się najważniejszą zawodniczką.

Prócz gry w softball zainteresowała ją medycyna sportowa i Aomame zaczęła ją poważnie studiować. Zaciekały ją też sztuki walk. Chciała w czasie studiów zdobyć jak najwięcej wiedzy i przyswoić sobie jak najwięcej profesjonalnych technik. Nie miała czasu beztrudnie się zabawiać.

Tamaki poszła na prawo na jednym z czołowych prywatnych uniwersytetów. Po skończeniu gimnazjum zerwała z softballem. Miała świetne wyniki w nauce i softball był dla niej tylko etapem przejściowym. Zamierzała zdać egzamin państwowy i zostać prawnikiem. Choć ich drogi się rozeszły, dalej były najlepszymi przyjaciółkami. Aomame mieszkała w akademiku, w którym zwolniono ją z opłat, a Tamaki ciągle dojeżdżała z domu, który, mimo że życie rodzinne dawno legło w gruzach, zapewniał jej dostatnie życie. Raz w tygodniu spotykały się na posiłek i omawiały to, co się nzebierało do omówienia. Ile by nie rozmawiały, zawsze znajdowały nowe tematy.

Tamaki straciła dziewictwo jesienią na pierwszym roku studiów z chłopakiem z uniwersyteckiego klubu tenisowego o rok od niej starszym. Po jakimś grupowym spotkaniu zaprosił ją do siebie i tam prawie ją zgwałcił. Nie chodziło o to, że nie czuła do niego sympatii. Przecież zgodziła się pójść do jego mieszkania. Ale doznała szoku, kiedy brutalnie zmusił ją do stosunku, podczas którego był gwałtowny i samolubny. W rezultacie odeszła z klubu i popadła na pewien czas w depresję. To wydarzenie wypełniło ją głębokim poczuciem bezsilności. Straciła apetyt, w ciągu miesiąca schudła sześć kilo. Szukała u tego chłopaka zrozumienia i dobroci. Gdyby tylko je okazał, gdyby nie śpiesząc się, pozwolił jej się przygotować, oddanie mu się pewnie nie stanowiłoby dla niej problemu. Tamaki za nic nie mogła zrozumieć, dlaczego musiał postąpić tak brutalnie. Przecież wcale nie było takiej potrzeby.

Aomame pocieszała ją, ale uważała, że chłopak powinien zostać jakoś ukarany, jednak Tamaki się z nią nie zgodziła. Powiedziała, że to się stało z powodu jej własnej nieostrożności, a poza tym co komu przyjdzie z tego, żeby teraz to znowu wywlekać. Ja też ponoszę winę, bo z własnej woli do niego poszłam. Pewnie trzeba po prostu o tym zapomnieć, dodała. Lecz Aomame doskonale zdawała sobie sprawę, jak głęboko to wydarzenie zraniło przyjaciółkę. Nie chodziło o prozaiczny problem w rodzaju utraty dziewictwa. Chodziło o świętość jej duszy. Nikt nie miał prawa tam wchodzić w brudnych buciorach. A poczucie bezsilności potrafi toczyć człowieka bez końca.

Dlatego Aomame postanowiła w jej zastępstwie sama wymierzyć temu chłopakowi karę. Dowiedziała się od Tamaki, gdzie on mieszka, i poszła tam z kijem baseballowym ukrytym w dużej plastikowej tubie na rysunki techniczne. Tego dnia Tamaki pojechała do Kanazawy na nabożeństwo w rocznicę śmierci jakiegoś kuzyna. To miało być jej alibi. Aomame upewniła się wcześniej, że chłopaka nie ma w domu. Za pomocą śrubokrętu i młotka rozmontowała zamek i weszła do mieszkania. Potem owinęła kij kilka razy ręcznikiem i starając się nie robić hałasu, rozwalila wszystko, co było w pokoju. Poczynając od telewizora, lampki, zegara i płyt, po toster i wazon. Zniszczyła wszystko, co się dało. Przecięła nożyczkami kabel telefoniczny. Zerwała okładki z książek i powydzierała strony. Powyciskała całe tubki pasty do zębów i kremu do golenia na wykładzinę. Połala łóżko gęstym sosem do befsztyków. Porozrywała zeszyty w szufladach. Połamała ołówki i długopisy. Stłukła wszystkie żarówki.

Pochlastała nożem zasłony i poduszki. Pocięła nożyczkami wszystkie koszule z komody. Szuflady z bielizną i skarpetkami załapała ketchupem. Wyciągnęła z lodówki bezpiecznik i wyrzuciła go przez okno. Wyjęła pływak ze spłuczki klozetowej. Rozgniotła też końcówkę prysznicą. Proces niszczenia był przemyślany i bardzo gruntowny. Pokój zaczął jej w końcu przypominać Bejrut po bombardowaniu widziany niedawno na zdjęciu w gazecie.

* * *

Tamaki była mądrą dziewczyną (w dziedzinie szkolnych ocen Aomame nie mogła się w ogóle z nią równać), w softballu była uważana za zawodniczkę, której nic nie można zarzucić. Kiedy Aomame znajdowała się w trudnej sytuacji, Tamaki od razu przychodziła na wzniesienie pitchera, oferowała zwięzłe, pożyteczne rady, uśmiechała się wesoło, dawała jej klapsa rękawicą i wracała do bazy na pozycję obronną. Miała szerokie horyzonty, dobre serce i poczucie humoru. Nigdy nie opuszczała się w nauce, była też elokwentna. Gdyby studiowała dalej, na pewno zostałaby wybitną prawniczką.

Ale w towarzystwie mężczyzn jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej traciła umiejętność trzeźwej oceny sytuacji. Lubiła przystojnych chłopaków. Leciąca na męską urodę. Z punktu widzenia Aomame ta tendencja graniczyła z chorobą. Choćby chłopak miał wspaniały charakter, choćby był wybitnie zdolny, jeśli próbował ją poderwać, a nie podobał jej się z wyglądu, w ogóle nie zwracała na niego uwagi. Z jakiegoś powodu interesowali ją zawsze ładni, ale zupełnie bezwartościowi chłopcy. Poza tym kiedy chodziło o mężczyzn, Tamaki robiła się strasznie uparta i nie brała pod uwagę żadnych argumentów Aomame. Zwykle chętnie jej słuchała i ceniła jej rady, lecz nie przyjmowała do wiadomości żadnej krytyki swoich chłopaków. Wkrótce Aomame poddała się i przestała ją ostrzegać. Nie chciała, żeby z takiego powodu doszło między nimi do sprzeczki, która mogłoby zachwiać ich przyjaźnią. W końcu to było życie Tamaki. Niech sobie robi, co chce.

Podczas studiów Tamaki spotykała się z wieloma mężczyznami i zawsze wplątywała się w jakieś kłopoty – zdradzali ją, ranili, a na końcu porzucali. Za każdym razem była prawie na granicy szaleństwa. Dwa razy przerwała ciążę. Pod względem stosunków damsko-męskich Tamaki była urodzoną ofiarą.

Aomame nie miała stałego chłopaka. Czasami ktoś zapraszał ją na randkę, niektórzy z tych chłopców byli wcale nieźli, ale nigdy głębiej się nie angażowała.

– Masz zamiar w ogóle nie mieć chłopaka i zostać dziewicą? – zapytała ją Tamaki.

– Jestem zajęta – odparła Aomame. – Ledwo daję sobie radę z codziennym życiem. Nie mam czasu na chłopaka.

Po skończeniu studiów Tamaki poszła na podyplomowe studia prawnicze i przygotowywała się do egzaminu. Aomame zatrudniła się w firmie produkującej napoje dla sportowców i zdrową żywność. Tam dalej grała w softball. Tamaki ciągle dojeżdżała z domu,

Aomame zamieszkała w mieszkaniu pracowniczym w Yoyogi Hachiman. Tak samo jak za czasów studenckich spotykały się w weekendy, szły na kolację i rozmawiały, co im się nigdy nie nudziło.

Mając dwadzieścia cztery lata, Tamaki wyszła za mąż za człowieka starszego o dwa lata. Kiedy się zaręczyła, zrezygnowała z dalszych studiów i porzuciła naukę prawa, bo mąż jej na to nie pozwalał. Aomame tylko raz go widziała. Był synem przemysłowca i, jak można się było spodziewać, miał przystojną, ale pozbawioną charakteru twarz. Hobbystycznie uprawiał żeglarstwo. Potrafił gadać i był stosunkowo bystry, ale jego osobowość nie miała głębi, a słowom brakowało wagi. Typowy facet z rodzaju tych, którzy się Tamaki podobali. Ten jeszcze dodatkowo miał w sobie coś złowieszczonego. Aomame od pierwszej chwili poczuła do niego szczerą antypatię. Ona też raczej nie przypadła mu do gustu.

– To małżeństwo nie ma szans – powiedziała Aomame do Tamaki. Nie lubiła się niepotrzebnie wtrącać, ale przecież w grę wchodziło małżeństwo. Nie zwykły przelotny romans. Jako najdawniejsza i najbliższa przyjaciółka Tamaki nie mogła się temu spokojnie przyglądać. Wtedy po raz pierwszy doszło między nimi do gwałtownej kłótni. Widząc, że Aomame przeciwstawia się jej małżeństwu, Tamaki dostała histerii i rzuciła parę ostrych słów. Aomame odwzajemniła się jej kilkoma jeszcze bardziej przykrymi. Nie poszła nawet na wesele.

Lecz niedługo się pogodziły. Zaraz po powrocie z podróży poślubnej Tamaki pojawiła się bez uprzedzenia u Aomame i przeprosiła za nietaktowne zachowanie. Chciałabym, żebyś zapomniała wszystko, co wtedy mówiłam. Coś mi odbiło. Przez całą podróż poślubną myślałam o tobie.

– Nie przejmuj się tym, już nic nie pamiętam – odparła Aomame. Uściskały się, pożartowały i pośmiały.

Jednak mimo to po ślubie Tamaki gwałtownie zmalała liczba ich spotkań. Często do siebie pisywały i dzwoniły, lecz Tamaki jakoś nie mogła znaleźć czasu, żeby się zobaczyć z Aomame. Tłumaczyła, że ma dużo zajęć w domu. Że bycie gospodynią domową to wbrew pozorom ciężka praca. Ale jej ton sugerował, że mąż nie życzy sobie, żeby spotykała się z kimś na mieście. Poza tym mieszkali na tej samej posesji co teściowie, więc chyba trudno jej było swobodnie gdzieś sobie wychodzić. Aomame nigdy nie była zapraszana do nowego domu Tamaki.

Dobrze się między nimi układa, mówiła Tamaki przy każdej okazji. Mąż jest dobry, teściowie życzliwi. Niczego nam nie brakuje. Czasami w weekendy jeździmy do Enoshimy pożeglować jachtem. Specjalnie mi nie żal, że zrezygnowałam ze studiowania prawa. Bo jednak ten egzamin prawniczy to był straszny stres. Być może jednak najbardziej mi odpowiada takie zwyczajne życie. Może niedługo będę miała dziecko, a wtedy stanę się taką zwykłą, nudną mamusią. Pewnie nie będziesz się już chciała ze mną zadawać. Zawsze mówiła wesołym tonem, nie było powodu wątpić w jej słowa. To świetnie, odpowiadała

Aomame. Naprawdę świetnie, myślała. Lepiej, że moje złe przeczucia się nie sprawdziły, niż żeby miały się spełnić. Przypuszczała, że może przy Tamaki ten facet jakoś się uspokoił. A przynajmniej starała się tak myśleć.

Nie miała prócz Tamaki żadnych prawdziwych przyjaciół, więc kiedy kontakty z nią stały się rzadsze, życie Aomame zrobiło się jakby bardziej puste. Nie potrafiła już tak jak dawniej skoncentrować się na softballu. Zdawało się, że wraz z oddalaniem się Tamaki z jej życia zainteresowanie Aomame grą malało. Miała już dwadzieścia pięć lat, ale nadal była dziewczicą. Kiedy nie mogła się uspokoić, oddawała się masturbacji. Nie czuła się szczególnie osamotniona. Nawiązywanie z ludźmi głębszych związków było dla niej bolesne. Wołała raczej być sama.

* * *

Tamaki popełniła samobójstwo w wietrzny jesienny dzień trzy dni przed swoimi dwudziestymi szóstymi urodzinami. Powiesiła się we własnym domu. Znalazł ją tam mąż, który wrócił następnego dnia z delegacji.

– Nie było problemów w życiu rodzinnym, nigdy na nic nie narzekała. Nie przychodzi mi do głowy żaden powód jej samobójstwa – powiedział policji. Jego rodzice mówili to samo.

Ale kłamał. Tamaki była zmaltrretowana fizycznie i psychicznie. Blizny były pamiątką po nieustannej nieomal paranoicznej brutalności męża. Rodzice też o tym wiedzieli. Nawet policja, po dokonaniu autopsji, zorientowała się w sytuacji, lecz sprawa nie dostała się do wiadomości publicznej. Męża wezwano i przesłuchano, ale przyczyną śmierci Tamaki było niewątpliwie samobójstwo – w tym czasie mąż był w delegacji na Hokkaido. Nie został o nic oskarżony. Młodszy brat Tamaki później po cichu wyjawiał to wszystko Aomame.

Podobno mąż od początku się nad nią znęcał, wraz z upływem czasu coraz bardziej nieubłagane i ponuro. Lecz Tamaki nie potrafiła uciec z tej przypominającej koszmar senny sytuacji. Nie wspomniała o tym przyjaciółce ani słowa. Nawet gdyby się jej poradziła, wiedziała z góry, jaka będzie odpowiedź. Na pewno Aomame kazałaby jej natychmiast od niego odejść. Ale tego właśnie Tamaki nie potrafiła zrobić.

Przed samym samobójstwem napisała do Aomame długi list. Zaczynał się od tego, że od początku się myliła, a Aomame od początku miała słuszość. Zakończyła w ten sposób:

Każdy dzień mojego życia to piekło. Lecz za nic nie potrafię się z tego piekła wydostać. Bo nie wiem, gdzie miałabym się podziać, nawet gdybym się wydostała. Jestem uwięziona w odrażającej bezsilności. Sama z własnej woli tu weszłam, sama się tu zamknęłam i wyrzuciłam daleko klucz. To małżeństwo oczywiście było pomyłką. Miałas rację. Lecz największy problem tkwi nie w moim mężu, nie w naszym małżeństwie, a we mnie samej. Cały ból, który czuję, jest zasłużony. Nie

mogę mieć do nikogo pretensji. Jesteś moją jedyną przyjaciółką i jedyną osobą na świecie, której ufam. Ale nie ma już dla mnie ratunku. Proszę, nigdy mnie nie zapomnij. Szkoda, że nie mogliśmy zawsze grać razem w softball.

Czytając ten list, Aomame poczuła gwałtowne mdłości. Zaczęła drżeć i uczucie to nie mijało. Dzwoniła wiele razy do Tamaki, ale nikt nie odbierał. Odzywała się tylko nagrana wiadomość. Wsiadła do pociągu i pojechała do jej domu w Okusawa, w dzielnicy Setagaya. Była to duża posesja otoczona wysokim płotem. Zadzwoiła do bramy, lecz nikt nie otworzył. W środku czekał tylko pies. Cóż miała robić? Zrezygnowała. Oczywiście Aomame tego nie wiedziała, ale Tamaki już wtedy nie żyła. Przywiązała linę do poręczy schodów i samotnie na niej wisała. W cichym domu głucho dzwonił telefon i dzwonek do drzwi.

Aomame nieomal się nie zdziwiła, kiedy dowiedziała się o śmierci Tamaki. Spodziewała się tego. Nie ogarnął jej też smutek. Odpowiedziała dzwoniącemu raczej urzędowo, rozłączyła się, usiadła na krześle i po dłuższym czasie doznała uczucia, że wylewają się z jej ciała wszystkie płyny. Długo nie podnosiła się z krzesła. Zadzwoiła do firmy, że źle się czuje, więc weźmie parę dni wolnego, i spędziła je, siedząc jak przymurowana w domu. Nie jadła, nie spała, prawie nie piła wody. Nie poszła na pogrzeb. Miała uczucie, że coś się w niej ze zgrzytem przestawilo. Doznała przemożnego wrażenia, że od teraz nie będzie już sobą.

Wtedy podjęła decyzję, że musi temu mężczyźnie wymierzyć sprawiedliwość. Bez względu na wszystko musi go wysłać na tamten świat. Inaczej on na pewno zrobi to samo jakiejś innej kobiecie.

Poświęcając na to mnóstwo czasu, Aomame starannie uknuła i przemyślała plan. Wiedziała, że jeżeli wbije się pod odpowiednim kątem ostrą igłę w pewien punkt na karku, można w jednej chwili kogoś uśmiercić.

Oczywiście nie każdy to potrafi.

Ale ona potrafiła.

Musiała wyszlifować umiejętność znajdowania tego wyjątkowo trudnego do ustalenia punktu w krótkim czasie i zdobyć odpowiedni przyrząd do wykonania tego zabiegu. Zgromadziła potrzebne narzędzia i z dużym nakładem czasu zrobiła ten szczególny przyrząd wyglądający jak bardzo mały i cienki szpikulec do lodu. Jego szpic był zimno wyostrzony jak bezlitosna idea. Potem na różne sposoby starannie i dużo ćwiczyła. A kiedy doszła do wniosku, że jest gotowa, przeszła do realizacji planu. Bez wahania, zimno i celowo wysłała go do królestwa bożego. Potem nawet zmówiła modlitwę. Słowa wypłynęły z jej ust nieomal instynktownie:

Panie w niebiosach, święć się imię Twoje, przyjdź królestwo Twoje. Odpuść nam nasze liczne winy. Pobłogosław naszym maluczkim poczynaniom. Amen.

Właśnie od tego czasu Aomame zaczęła w regularnych odstępach czasu gwałtownie pożądać męskich ciał.

Rozdział czternasty – Tengo

Rzeczy, których większość czytelników nigdy nie widziała na oczy

Tengo umówił się z Komatsu tam gdzie zwykle, czyli w kawiarni niedaleko dworca Shinjuku. Za filiżankę kawy trzeba tam było słono zapłacić, ale stoliki stały daleko od siebie, więc dało się rozmawiać bez obawy, że ktoś usłyszy. Wentylację mieli nie najgorszą, rozbrzmiewała cicha nieszkodliwa muzyka. Komatsu jak zawsze spóźnił się dwadzieścia minut. Nigdy nie przychodził o czasie, a Tengo nigdy się nie spóźniał. To było jakby z góry przesądzone. Komatsu miał ze sobą skórzaną teczkę z dokumentami, a na sobie znaną Tengo tweedową marynarkę i granatową koszulkę polo.

– Przepraszam za spóźnienie – powiedział, ale nie wyglądał na specjalnie skruszonego. Był w lepszym humorze niż zwykle, na ustach błędził mu uśmiezek, blady jak księżyc w nowiu.

Tengo skinął na powitanie głową, ale się nie odezwał.

– Przepraszam, że cię poganiałem. Pewnie skomplikowało ci to życie – powiedział Komatsu, siadając naprzeciw niego.

– Nie chcę przesadzać, ale przez tych dziesięć dni naprawdę ledwo żyłem – powiedział Tengo.

– No ale nieźle się spisałeś. Uzyskałeś zgodę opiekuna Fukaeri i poprawiłeś jak trzeba tę powieść. To duża rzecz. Jak na kogoś, kto żyje jak pustelnik, to naprawdę osiągnięcie. Zaimponowałeś mi.

Tengo zignorował te pochwały.

– Przeczytał pan to jakby sprawozdanie, które napisałem na temat losów Fukaeri? To długie.

– Czytałem, czytałem. Oczywiście. Bardzo dokładnie przeczytałem. Jakby to powiedzieć? To dość skomplikowana historia. Zupełnie jak by to była powieść rzeka. A swoją drogą, zdziwiłem się, że to ten profesor Ebisuno jest jej opiekunem. Świat jest strasznie mały. A mówił coś o mnie?

– O panu?

– Tak, o mnie.

– Nic szczególnego nie mówił.

– To dziwna sprawa – powiedział Komatsu jakby szczerze zaskoczony. – Kiedyś poznałem go w związku z pracą. Poszedłem do jego gabinetu na uczelni odebrać tekst. Dawno temu, byłem jeszcze początkującym redaktorem.

– Skoro to było dawno, to pewnie zapomniał. Bo nawet mnie pytał, co to za człowiek, ten pan Komatsu.

– Nieee... – powiedział Komatsu i pokręcił głową nieprzekonany. – To niemożliwe. Absolutnie nie wchodzi w rachubę. Ten człowiek niczego nie zapomina. Ma przerażająco dobrą pamięć, a my wtedy bardzo dużo rozmawialiśmy o różnych rzeczach... No, ale mniejsza o to. Tego dziadka nie tak łatwo rozgryźć. A wracając do twojego sprawozdania, nasza mała Fukaeri zaplątana jest w dość kłopotliwe sprawy.

– To nie są „dość kłopotliwe” sprawy. To jest tak, jakbyśmy dosłownie trzymali w rękach odbezpieczony granat. Fukaeri jest pod każdym względem niezwykła. To nie jest zwyczajna ładna siedemnastolatka. Ma dysleksję, nie może normalnie czytać książek. Nie potrafi nawet porządnie pisać. Doznała jakiegoś urazu i wygląda na to, że przez to częściowo straciła pamięć. Wychowała się w komunie, prawie nie chodziła do szkoły. Jej ojciec jest liderem lewicowej organizacji prorewolucyjnej i wygląda na to, że jest pośrednio powiązany ze strzelaniną w Akebono. Przygarnięto ją do rodziny niegdyś sławnego antropologa kulturowego. Jeżeli o jej powieści zacznie być głośno, zlecą się mass media i zaczną wywlekać na światło dzienne różne smakowite informacje. Będzie z tego głośna sprawa.

– Tak, może się zrobić taki hałas, że w piekle będzie słycać – powiedział Komatsu. Ale uśmiezek nie zniknął z jego ust.

– To znaczy porzucamy ten plan?

– Porzucamy plan?

– Wszystko zaczyna nam się wymykać z rąk. Robi się zbyt niebezpiecznie. Podmieńmy powieść na jej oryginalną wersję.

– To nie takie proste. Poprawiona przez ciebie *Powietrzna poczwarka* jest już w drukarni i właśnie przygotowują ozalidy. Jak będą gotowe, zostaną od razu dostarczone redaktorowi naczelnemu, dyrektorowi wydawnictwa i czterem jurorom. Nie można już teraz powiedzieć: „Przepraszamy, pomyliliśmy się. Proszę nam zwrócić maszynopis i udawać, że panowie nigdy go nie widzieli”.

Tengo westchnął.

– Nie ma rady. Nie da się cofnąć zegara – powiedział Komatsu. Zmrużył oczy, włożył do ust marlboro i zapalił go firmową zapalką.

– Ja sam się dobrze zastanowię nad resztą. Ty nie musisz się o nic martwić. Nawet jeżeli *Powietrzna poczwarka* zdobędzie nagrodę, postaramy się w miarę możliwości trzymać Fukaeri za kulisami. Trzeba będzie z niej zrobić tajemniczą dziewczynę, pisarkę, która nie chce się pokazywać publicznie. Ja, jako redaktor tej książki, będę kimś w rodzaju jej

rzecznika. Panują nad sytuacją, wszystko będzie dobrze.

– Nie wątpię w pana umiejętności, ale Fukaeri nie jest zwykłą dziewczyną. Nie należy do osób, które w milczeniu robią, co im się każe. Kiedy sobie coś postanowi, zawsze to realizuje, bez względu na to, co inni powiedzą. Jeśli coś jej nie przypadło do gustu, w ogóle tego nie słyszy. To wszystko nie będzie takie proste.

Komatsu milczał, obracając w dłoni pudełko zapalek.

– Ale wiesz, Tengo, sprawy zaszły już tak daleko, że teraz pozostaje tylko spokojnie, bez nerwów iść dalej. Po pierwsze, poprawiona przez ciebie *Powietrzna poczwarka* jest rewelacyjna. Wspaniała, znacznie przekroczyła moje oczekiwania. Prawie perfekcyjna. Bez problemu zdobędzie nagrodę za debiut i zrobi się o niej głośno. Nie da się jej już ukryć. Moim zdaniem to byłby nieomal grzech. A poza tym, tak jak mówiłem przed chwilą, sprawy już za daleko zaszły.

– Nieomal grzech? – powtórzył Tengo, patrząc na Komatsu.

– Można to też inaczej ująć. „Wszelka sztuka i wszelkie badanie, a podobnie też wszelkie zarówno działanie jak i postanowienie, zdają się zdążać do jakiegoś dobra i dlatego trafnie określono dobro jako cel wszelkiego dążenia”^{*}.

– Co to jest?

– Arystoteles. *Etyka nikomachejska*. Czytałeś Arystotelesa?

– Prawie wcale.

– Powinieneś poczytać. Na pewno ci się spodoba. Kiedy nie mam co czytać, staram się czytać filozofów greckich. Nigdy mi się nie nudzą. Zawsze można się czegoś nowego od nich nauczyć.

– A o co chodzi w tym cytacie?

– Że wszystko się dobrze kończy. Że dobro jest zakończeniem wszystkiego. Wątpliwości odłóżmy na jutro – powiedział Komatsu. – O to w nim chodzi.

– A co Arystoteles mówi o Holocauście?

Błady uśmieszek Komatsu przerodził się w uśmiech.

– Arystoteles wypowiadał się tam głównie o sztuce, nauce i rzemiośle.

* * *

Znał Komatsu od dość dawna. Przez ten czas poznał jego oficjalne i prywatne oblicze. W środowisku uważany był za kogoś o charakterze samotnego wilka, kto żyje i robi, co chce i jak chce. Wielu ludzi nabierało się na te pozory. Lecz jeżeli wzięło się pod uwagę okoliczności i dokładnie go obserwowało, okazywało się, że jego poczynania były precyzyjnie zaplanowane. Gdyby porównać je do gry w szachy, można powiedzieć, że przewidywał kilka ruchów naprzód. Nie da się ukryć, że lubił chytre manipulacje, ale zawsze

* Arystoteles, *Etyka nikomachejska I 1* (1094 a), tłum. Daniela Gromska, w: *Arystoteles. Dzieła wszystkie*, t. V, Warszawa 1996, s. 77.

wytyczał w odpowiednim miejscu granicę i uważał, by jej nie przekroczyć. Można powiedzieć, że był raczej nerwowo. Lecz większość jego łajdackich zachowań i wypowiedzi była jedynie grą na pokaz.

Poza tym Komatsu z typową dla siebie ostrożnością ubezpieczał się na różnych frontach. Na przykład raz w tygodniu pisał felietony na temat literatury do popołudniowego wydania jednej z gazet. Chwalił i krytykował w nich różnych pisarzy. Krytykował dość surowo. Doskonale pisał tego typu teksty. Felietony te były anonimowe, ale wszyscy w środowisku wiedzieli, kto je pisze. Oczywiście nikt nie lubi, kiedy źle piszą o nim w gazetach. Dlatego autorzy starali mu się nie podpaść. Jeżeli prosił, żeby napisali coś do jego magazynu, woleli w miarę możliwości nie odmawiać. A przynajmniej co któryś raz się zgadzali. Przecież nigdy nie wiadomo, co Komatsu napisze w kolejnym felietonie.

Tengo nie mógł się pogodzić z takim wyrachowaniem Komatsu. Z jednej strony wyśmiewał się z tego literackiego towarzystwa, a z drugiej zręcznie wykorzystywał je do swoich celów. Miał niezwykle wyczucie jako redaktor, bardzo wiele dla Tengo zrobił. Jego rady na temat pisania były na ogół bardzo cenne. Ale Tengo starał się w stosunkach z nim zachować pewien dystans. Szlag by go trafił, gdyby za bardzo się do niego zbliżył, zbyt głęboko zaangażował, a tamten podstawiłby mu nogę. W tym sensie Tengo był człowiekiem bardzo ostrożnym.

– Tak jak przed chwilą powiedziałem, twoje poprawki w *Powietrznej poczwarcie* są nieomal bez zarzutu. Duża rzecz – ciągnął Komatsu. – Ale chciałbym, żebyś, jeśli możesz, jeszcze w jednym miejscu, tylko w tym jednym miejscu, coś poprawił. Nie musi być zaraz. Tak jak jest, wystarczy na nagrodę za debiut. Możesz to zmienić po przyznaniu nagrody, na etapie przygotowania do druku w magazynie.

– O jaki fragment chodzi?

– Kiedy Little People kończą robić powietrzną poczwarkę, pojawiają się dwa księżyce. Dziewczynka podnosi wzrok na niebo, a na nim unoszą się dwa księżyce. Pamiętasz?

– Oczywiście, że pamiętam.

– Moim zdaniem za mało jest w tekście o tych dwóch księżycach. Zdecydowanie za mało. Chciałbym, żebyś je dokładniej, konkretniej opisał. Tylko tego mi tam brak.

– Rzeczywiście opis jest trochę lakoniczny. Ale ja nie chciałem za wiele tłumaczyć i niszczyć naturalnego rytmu zdań Fukaeri.

Komatsu uniósł dłoń z papierosem.

– Tengo, pomyśl o tym w ten sposób. Czytelnik wiele razy widział niebo z jednym księżycem. Prawda? Ale raczej nigdy nie widział na nim dwóch księżyców jednocześnie. Kiedy wprowadza się do powieści coś, czego większość czytelników nigdy nie widziała na oczy, potrzebny jest jak najbardziej szczegółowy, precyzyjny opis. Opuścić można – czy nawet trzeba – opisy rzeczy, które większość czytelników widziała i zna.

– Dobrze – powiedział Tengo. To, co mówił Komatsu, miało sens. – Dodam do opisu

dwóch księżyców więcej szczegółów.

– Świetnie. Wtedy już wszystko będzie bez zarzutu – odparł Komatsu. Zgasił papierosa.

– Nic dodać, nic ująć.

– Miło mi, że pan chwali to, co napisałem, ale tym razem jakoś nie mogę się tak po prostu cieszyć.

– Błyskawicznie się rozwijasz – powiedział Komatsu, wyraźnie oddzielając od siebie słowa. – Rozwijasz się jako pisarz, jako twórca. Z tego powinieneś się po prostu cieszyć. Przy poprawianiu *Powietrznej poczwarki* na pewno wiele się nauczyłeś jeśli chodzi o sztukę pisania. To ci się powinno w przyszłości bardzo przydać przy twojej własnej powieści.

– Jeżeli będę miał jakąś przyszłość.

Komatsu uśmiechnął się krzywo.

– O to się nie martw. Zrobiłeś to, co do ciebie należało. Teraz kolej na mnie. Możesz sobie usiąść na widowni i całkiem na luzie oglądać mecz do końca.

Podeszła kelnerka i dołała im do szklanek zimnej wody. Tengo wypił połowę. Po wypiciu zorientował się, że wcale nie miał ochoty na wodę.

– Czy to Arystoteles powiedział, że ludzka dusza składa się z rozumu, woli i pożądania?

– zapytał Tengo.

– To Platon. Arystoteles i Platon są od siebie tak różni jak Mel Tormé i Bing Crosby. Ale tak czy inaczej dawniej wszystko było prostsze – powiedział Komatsu. – Czy nie jest przyjemnie wyobrazić sobie, że rozum, wola i pożądanie zbierają się, siadają przy stole i dyskutują?

– Domyślam się, kto przegra.

– Podoba mi się w tobie właśnie to poczucie humoru – powiedział Komatsu, podnosząc palec.

To nie był żart, pomyślał Tengo. Ale głośno tego nie powiedział.

* * *

Po rozstaniu z Komatsu Tengo poszedł do księgarni Kinokuniya, kupił kilka książek, potem usiadł w pobliskim barze i zaczął czytać, popijając piwo. Był to dla niego najbardziej relaksujący sposób spędzania czasu. Kupić w księgarni nową książkę, wejść do najbliższego baru i z drinkiem w ręku otworzyć ją na pierwszej stronie.

Ale tego wieczoru z jakiegoś powodu nie mógł skupić się na czytaniu. Przed oczami miał niewyraźną postać matki, która zwykle pojawiała się w owych wizjach. Tym razem nie znikła. Opuszcza ramiączko białej halki, odsłania kształtną pierś, podaje mężczyźnie sutek do ssania. Ten mężczyzna to nie jego ojciec. Jest znacznie potężniej zbudowany, młodszy, ma przystojną twarz. W dziecięcym łódeczku leży malutki Tengo, oczy ma zamknięte, cicho oddycha we śnie. Mężczyzna ssie pierś matki, a na jej twarzy maluje się wyraz uniesienia,

jakby zapomniała o całym świecie.

Ten wyraz twarzy jakoś kojarzy mu się z wyrazem twarzy jego kochanki podczas orgazmu. Powodowany ciekawością Tengo raz poprosił: – Słuchaj, czy mogłabyś kiedyś włożyć białą halkę?

– Dobrze – odpowiedziała z uśmiechem. – Skoro lubisz takie rzeczy, może masz jeszcze jakieś inne życzenia? Zrobię wszystko, co będziesz chciał, więc nie wstydź się i powiedz.

– A czy mogłabyś włożyć też białą bluzkę? Taką skromną, prostą.

W zeszłym tygodniu przyszła w białej bluzce, pod nią miała białą halkę. Zdjął jej bluzkę, opuścił ramiączko halki i zaczął ssać odsłoniętą pierś. Tak samo, w tej samej pozycji, co mężczyzna pojawiający się w jego wizjach. Nagle zrobiło mu się ciemno przed oczami. Głowę wypełniła jakby mgła, stracił poczucie czasu. W dolnej połowie ciała poczuł rodzącą się i błyskawicznie wzmagającą ociążałość. Zorientował się, że drży i ma gwałtowny wytrysk.

– Co się stało? Już skończyłeś? – zapytała zdziwiona kochanka.

Tengo nie bardzo wiedział, co się stało. Jej okryte halką biodro pokryte było nasieniem.

– Przepraszam – powiedział. – To niechcący.

– Nie musisz przepraszać – pocieszyła go. – To się bardzo łatwo spierze pod kranem. To przecież to, co zawsze. Jakbyś mnie oblał sosem sojowym czy czerwonym winem, pewnie trudniej byłoby usunąć plamy.

Zdjęła halkę, poszła do łazienki i zaprała kawałek pokryty spermą. Potem powiesiła halkę na pręcie zasłony prysznic.

– Może bodziec był za silny – powiedziała i uśmiechnęła się łagodnie. Powoli głaskała podbrzusze Tengo. – Lubisz białe halki, co, Tengo?

– Nie o to chodzi – powiedział. Ale nie potrafił się zdobyć na wyjaśnienie jej prawdziwej przyczyny swojej prośby.

– Jeśli masz inne takie fantazje, nie wstydź się, opowiedz mi o wszystkich. Ja ci bardzo chętnie pomogę je zrealizować. Bardzo lubię fantazje. Bez fantazji – mniejszych czy większych – nie dałoby się żyć. Nie uważasz? Chcesz, żebym następnym razem też włożyła białą halkę?

Tengo potrząsnął głową.

– Nie, już nie trzeba. Raz wystarczyło. Dziękuję.

* * *

Tengo często się zastanawiał, czy ten młody mężczyzna ssący pierś matki w owej wizji nie był przypadkiem jego prawdziwym ojcem. A to dlatego, że Tengo pod żadnym względem nie przypominał człowieka, który teoretycznie miał być jego ojcem – wyjątkowo efektywnego inkasenta NHK. Wysoki, dobrze zbudowany, miał szeroką twarz, wąski nos, uszy zaokrąglone i kalafiorowate. Ojciec był niski, przysadzisty, niezbyt dobrze się

prezentował. Twarz miał wąską, nos płaski, uszy zastrzone jak u konia. Jego rysy tak różniły się od rysów Tengo, że zdawały się nieomal ich przeciwieństwem. W porównaniu z raczej spokojną, otwartą twarzą Tengo, jego ojciec miał twarz nerwową, jakby zamkniętą. Wiele osób mówiło, że nie wyglądają na ojca i syna.

Tengo czuł niechęć do ojca nie z powodu jego twarzy, a raczej z powodu jego nerwowej natury i braku jakiegokolwiek ciekawości czy chęci pogłębiania wiedzy. Rzeczywiście nie zdobył wystarczającej edukacji. Urodził się w biednej rodzinie, nie miał szans rozwinąć się intelektualnie. Z tego powodu Tengo było go w pewnym stopniu żal. Jednakże sądził, że podstawowe pragnienie zdobycia wiedzy na uniwersalnym poziomie jest w mniejszym lub większym stopniu naturalnym ludzkim dążeniem. W przypadku tego człowieka było ono jednak wyjątkowo słabe. Miał praktyczną wiedzę wystarczającą do życia, lecz nie było w nim w ogóle chęci podjęcia wysiłku, by coś w sobie ulepszyć, pogłębić, by zobaczyć więcej świata.

Pochłaniało go życie podporządkowane ograniczeniom i zasadom, lecz zdawało się, że własna małość i niemożność odetchnięcia pełną pierśią specjalnie mu nie przeszkadzają. Tengo nigdy nie widział go w domu z książką w ręku. Nie czytał nawet gazet (mówił, że wystarczy obejrzeć codzienne wydanie wiadomości NHK). Zupełnie nie interesowały go muzyka ani kino. Nie był nigdy nawet na wycieczce. Interesowała go jedynie trasa, wzdłuż której zlecono mu inkasować abonament. Narysował mapę okolicy, porobił na niej znaczki kolorowymi długopisami i kiedy tylko miał czas, szczegółowo ją studiował. Zupełnie jak biolog klasyfikujący chromosomy.

Tengo za to od dzieciństwa uważany był za geniusza matematycznego. Miał doskonałe stopnie z arytmetyki. W trzeciej klasie szkoły podstawowej umiał rozwiązywać zadania na poziomie licealnym. W innych przedmiotach także osiągał świetne wyniki, nawet specjalnie się nie starając. A kiedy tylko miał czas, pożerał książki. Efektywnie pochłaniał, od A do Z, wiedzę z różnych dziedzin, jakby wrzucał w siebie ziemię koparką. Dlatego patrząc na ojca, nigdy nie mógł zrozumieć, jak to możliwe, że odziedziczył połowę genów po tym ograniczonym, niedouczonym człowieku.

W dzieciństwie doszedł do wniosku, że jego prawdziwym ojcem musiał być ktoś inny. Lecz z powodu jakichś okoliczności został wychowany przez tego człowieka, który twierdził, że jest jego ojcem, z którym jednak w rzeczywistości nie łączą go żadne więzy krwi. Jak nieszczęsne dzieci występujące w powieściach Dickensa.

Ta możliwość jawiła mu się w dzieciństwie jak zły sen, ale jednocześnie stanowiła wielką nadzieję. Pożerał utwory Dickensa. Najpierw przeczytał *Olivera Twista* i zakochał się w autorze. Przeczytał prawie wszystkie jego utwory, które mieli w bibliotece. Podróżując w marzeniach po świecie opowieści, zatapiał się w fantazjach na temat własnego pochodzenia. Te fantazje (czy urojenia) stawały się stopniowo coraz dłuższe i bardziej skomplikowane.

Wszystkie według jednego wzorca, lecz z niezliczonymi wariacjami. Tak czy inaczej

moje miejsce jest gdzie indziej, powtarzał sobie Tengo. Przez pomyłkę zostałem zamknięty nie w tej klatce co trzeba. Moi prawdziwi rodzice dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności pewnego dnia na pewno mnie znajdą. Zostanę uwolniony z tego ciasnego, okropnego więzienia i wrócę tam, gdzie jest moje miejsce. I wreszcie piękne, spokojne, wolne niedziele staną się i moim udziałem.

Ojciec był zadowolony i bardzo dumny, że Tengo wyróżnia się w nauce. Chwalił się ludziom w okolicy. Ale jednocześnie gdzieś w głębi serca krył niezadowolenie z mądrości i wybitnych zdolności syna. Kiedy Tengo się uczył, bardzo często, najprawdopodobniej celowo, mu przeszkadzał. Polecał mu wykonywać jakieś prace domowe, znajdował cokolwiek, do czego się mógł przyczepić, i łąjał go. Łajanie zawsze miało tę samą treść. Ile ja, jako inkasent, muszę się nasłuchać szyderstw, jak daleko muszę się codziennie nałazić, ile się napracować ponad siły. W porównaniu z tym jakie ty masz łatwe, szczęśliwe życie. Kiedy byłem w twoim wieku, jak ja ciężko tyrałem, jak przy każdej okazji ojciec i bracia mnie lali. Jak zawsze byłem głodny i traktowany jak zwierzę. Więc nie możesz być taki z siebie zadowolony tylko dlatego, że masz nie najgorsze stopnie. Ojciec w nieskończoność zamięczał go takim gadaniem.

W pewnym momencie Tengo zaczęło się wydawać, że ten człowiek czuje do niego urazę. Strasznie mu zazdrości jego lekkiego życia. Ale czy to możliwe, żeby prawdziwy ojciec zazdrościł synowi? Oczywiście Tengo jako dziecko nie potrafił ocenić takiej trudnej sprawy. Ale musiał czuć pewnego rodzaju małośćkowość sączącą się ze słów i zachowania ojca i nieomal fizycznie nie mógł tego znieść. Nie, ten człowiek nie tylko czuje do niego urazę, on czegoś w nim nienawidzi. Tengo bardzo często to wyczuwał. Nie nienawidził samego Tengo jako człowieka, ale czegoś, co chłopiec w sobie miał. Nie mógł tego synowi wybaczyć.

* * *

Matematyka dała Tengo skuteczną możliwość ucieczki. Umykając w świat wzorów, mógł się wydostać z ciasnej klatki rzeczywistości. Już w dzieciństwie zauważył, że gdy wciska w głowie odpowiedni guzik, łatwo udaje mu się przenieść do tamtego świata. Tak długo, jak wędrował po tym nieograniczonym terytorium spójności i badał je, był całkowicie wolny. Posuwał się krętymi korytarzami ogromnego budynku i otwierał kolejno ponumerowane drzwi. Za każdym razem, gdy ukazywały mu się przed oczami nowe widoki, bładły brzydkie pozostałości rzeczywistego świata, po czym szybko znikwały. Świat, którym rządziły wzory, był dla niego dostępny i stanowił całkowicie bezpieczną kryjówkę. Lepiej niż ktokolwiek inny dokładnie rozumiał jego topografię, potrafił precyzyjnie wybrać właściwą drogę. I nikt nie mógł go tam dogonić. Kiedy przebywał w tamtym świecie, mógł zapomnieć o zasadach i obciążeniach, jakie narzucał mu świat rzeczywisty, mógł je po prostu ignorować.

W przeciwieństwie do pełnej splendoru wymagowanej budowli matematyki, świat opowieści reprezentowanych przez Dickensa był dla Tengo jak głęboki zaczarowany las. Gdy matematyka nieustannie wznosiła się coraz dalej ku niebu, las w milczeniu rósł w oczach. Ciemne i silne korzenie drzew wrastały głęboko w ziemię i rozprzestrzeniały się. Nie było tam mapy ani ponumerowanych drzwi.

Przez całą szkołę podstawową i gimnazjum był całkowicie pochłonięty matematyką. Jej logiczna jasność i absolutna wolność miały dla niego nieodparty urok, poza tym były mu potrzebne do życia. Ale od kiedy wkroczył w okres dojrzewania, zaczął doznawać coraz silniejszego wrażenia, że sama matematyka nie wystarczy. Przebywając w świecie matematyki, nie miał żadnych problemów. Wszystko toczyło się, tak jak sobie życzył. Nikt nie próbował go powstrzymać. Ale kiedy się od niego oddalał i wracał do rzeczywistego świata (bo musiał do niego wracać), nadal znajdował się w tej samej żalostnej klatce. Sytuacja ani trochę się nie poprawiała. A wręcz przeciwnie – wydawało mu się nawet, że więzienie stawało się coraz cięższe. Skoro tak, to na co zdaje się matematyka? Jest tylko krótką ucieczką. A może raczej pogarsza jeszcze rzeczywistą sytuację?

Gdy narastały w nim te wątpliwości, Tengo zaczął świadomie powiększać dystans między sobą a światem matematyki. Jednocześnie las opowieści coraz mocniej go pociągał. Oczywiście czytanie powieści też było formą ucieczki. Gdy zamknie się książkę, trzeba znów powrócić do rzeczywistości. Ale pewnego razu zauważył, że kiedy wraca tutaj ze świata opowieści, nie czuje takiej silnej frustracji jak po powrocie ze świata matematyki. Dlaczego tak jest? Głęboko się nad tym zastanowił i doszedł do pewnego wniosku. W lesie opowieści nigdy nie było jednoznacznych rozwiązań, choćby nawet powiązania między wydarzeniami wydawały się jasne. Tym się różnił od matematyki. Rola opowieści polegała na tym, żeby – ogólnie mówiąc – zastąpić jeden problem innym, o innym kształcie. A poprzez jakość i kierunek tej zmiany sugerowane jest w narracji właściwe rozwiązanie. Tengo powracał do rzeczywistego świata z tą sugestią. Był to jakby skrawek papieru z napisanym na nim niezrozumiałym zaklęciem. Czasami brakowało mu spójności, nie mogło się więc od razu w rzeczywistości przydać. Ale niosło w sobie możliwość. Może kiedyś uda mu się rozwikłać to zaklęcie. Ta perspektywa powoli rozgrzewała mu od środka serce. Z wiekiem ten rodzaj narracyjnej sugestii budził w nim coraz większe zainteresowanie.

Teraz, gdy był już dorosły, matematyka stanowiła dla niego źródło wielkiej radości. Kiedy uczył licealistów na kursach przygotowawczych, zupełnie naturalnie wypełniała go taka sama radość, jaką czuł w dzieciństwie. Chciał dzielić z kimś tę radość swobody w dziecinie pojęciowej. To była wspaniała rzecz. Jednakże teraz Tengo nie potrafił już bez zastrzeżeń zatopić się w rządonym przez wzory świecie. Ponieważ wiedział, że choćby badał go w nieskończoność, nie znajdzie w nim rozwiązania, którego naprawdę poszukuje.

* * *

Kiedy Tengo był w piątej klasie, po bardzo długim namyśle oznajmił ojcu, że wolałby już nie chodzić z nim w niedziele po domach, by inkasować opłaty za abonament NHK. Chciałby wykorzystać ten czas na własną naukę, na czytanie książek albo po prostu się gdzieś wybrać. Tak samo jak tata ma własną pracę. Są rzeczy, które ja muszę sam robić. Chciałbym żyć normalnie, tak jak inne dzieci.

Wyłożył to wszystko zwięźle i logicznie.

Ojciec oczywiście strasznie się zezłościł. Nic go nie obchodzi, jak jest w innych rodzinach. U nas w domu żyjemy po swojemu, powiedział. Co to niby znaczy „normalnie żyć”? Nie wymądrzaj się. Nie masz pojęcia, co to jest normalne życie. Tengo się nie sprzeciwiał. Siedział zatopiony w milczeniu. Od początku wiedział, że ojciec i tak nic nie zrozumie, bez względu na to, co Tengo powie. No skoro tak, to dobrze, powiedział ojciec. Nie będę żywić kogoś, kto nie słucha własnego ojca. Wynoś się domu.

Tak jak mu ojciec kazał, Tengo spakował się i poszedł. Był od początku zdeterminowany, więc wcale się nie bał, choćby ojciec się wściekał, wrzeszczał, a nawet gdyby podniósł na niego rękę (choć w rzeczywistości nie podniósł). Raczej poczuł ulgę, gdy dostał pozwolenie opuszczenia klatki.

Ale dziesięcioletnie dziecko nie może się samo utrzymać. Nie miał wyboru, więc po lekcjach szczerze opowiedział wychowawczyni o swojej sytuacji. I o tym, że dziś w nocy nie ma gdzie spać. Wyjaśnił, jakim strasznym ciężarem jest dla niego chodzenie z ojcem po domach w niedzielne poranki, żeby inkasować za abonament NHK. Wychowawczyni była niezamężna, miała trzydzieści parę lat. Niezbyt urodziwa, do tego nosiła okropne grube okulary, ale była sprawiedliwa i miała dobre serce. Była drobna, zwykle małomówna i łagodna, lecz wbrew pozorom potrafiła być niecierpliwa. Kiedy się rozzłościła, stawała się innym człowiekiem i nikt nie mógł jej powstrzymać. Wszystkich zaskakiwała ta różnica. Ale Tengo ją lubił. Nawet kiedy się złościła, wcale się jej nie bał.

Wysłuchiwała go, rozumiała, współczuła mu. Tego wieczoru zabrała go na noc do siebie. Pozwoliła mu się przespać pod kocem na kanapie w salonie. Zrobiła mu też śniadanie. Następnego dnia wieczorem zabrała Tengo i poszli zobaczyć się z jego ojcem. Długo z nim rozmawiała.

Tengo kazano wyjść, więc nie wiedział, o czym rozmawiali, ale w rezultacie tej dyskusji ojciec zmuszony był ustąpić. Choćby był nie wiadomo jak wściekły, nie mógł przecież wyrzucić dziesięcioletniego chłopca na ulicę. Prawo narzuca rodzicom obowiązek utrzymywania dzieci.

W rozmowie tej ustalono, że Tengo może spędzać niedziele po swojemu. Rano musi się zająć pracami domowymi, ale potem może robić, co chce. Było to pierwsze konkretne prawo, jakie Tengo wywalczył w życiu od ojca. Ojciec był wściekły i przez pewien czas się nie odzywał, ale Tengo było to obojętne. Zdobył coś o wiele ważniejszego. Był to pierwszy krok

ku wolności i niezależności.

* * *

Po skończeniu podstawówki długo nie widział się ze swoją wychowawczynią. Gdyby poszedł na jedno z klasowych spotkań, o których dostawał zawiadomienia, mógłby się z nią zobaczyć, ale nie pokazywał się na takich imprezach. Nie miał prawie żadnych przyjemnych wspomnień z tej szkoły. Mimo to czasami przypominał sobie nauczycielkę. Przecież w końcu przenocowała go raz u siebie i przekonała jego upartego jak osioł ojca. Takich rzeczy łatwo się nie zapomina.

Ponownie zobaczył ją w drugiej klasie liceum. Był wtedy w szkolnej drużynie dżudo, ale miał kontuzję łydki i przez dwa miesiące nie mógł brać udziału w zawodach. Zamiast tego został wciągnięty do orkiestry dętej jako tymczasowy zastępca ucznia grającego na kotłach. Lada chwila orkiestra miała wziąć udział w jakimś konkursie, a tymczasem jeden z dwóch kotlistów nagle zmienił szkołę, drugi zachorował na ciężką gripę, więc cała grupa znalazła się w kropce. Potrzebna im była pomoc, wszystko jedno czyja, byleby ten ktoś mógł wziąć do ręki pałki. Wzrok nauczyciela muzyki padł na Tengo, który z powodu kontuzji nogi nie miał co robić. Ściągnął go na ćwiczenia orkiestry, obiecując mu obfite posiłki i łagodną ocenę referatu na koniec semestru.

Tengo nigdy przedtem nie grał na instrumencie perkusyjnym ani nigdy go to nie interesowało, ale kiedy spróbował, okazało się, że czynność ta zadziwiająco pasuje do natury jego umysłu. W dzieleniu czasu, rozłożeniu go na drobne fragmenty, zebraniu ich znowu w całość i zmienieniu w melodyjne serie dźwięków znajdował naturalną radość. Wszystkie dźwięki stawały się diagramami i wizualizowały się w jego myślach. Jak gąbka wsysająca wodę pochłaniał systemy działania różnych instrumentów perkusyjnych. Z polecenia nauczyciela muzyki poszedł do kotlisty grającego w jakiejś orkiestrze symfonicznej i został przeszkolony w zakresie gry na kotłach. W ciągu kilku godzin lekcji przyswoił sobie mniej więcej strukturę instrumentu i sposób grania na nim. Zapis nutowy przypominał mu wzory matematyczne, więc dość łatwo nauczył się go czytać.

Nauczyciel był przyjemnie zaskoczony, kiedy odkrył jego wyjątkowy talent muzyczny.

– Wygląda na to, że masz wrodzone wyczucie skomplikowanych rytmów. Masz też wspaniały słuch. Gdybyś się pouczył u specjalisty, może mógłbyś to robić zawodowo – powiedział.

Kotły były trudnym instrumentem, lecz miały szczególną głębię i wielką siłę perswazji, a w kombinacjach dźwięków kryły się nieograniczone możliwości. Ćwiczyli wtedy kilka części *Sinfonietty* Janáčka zaaranżowanej na instrumenty dęte. Mieli je zaprezentować na konkursie licealnych orkiestr dętych jako „utwór dowolny”. *Sinfonietta* Janáčka to utwór trudny do wykonania na poziomie licealistów. W początkowych fanfarach kotły mają szansę

do popisania się na wielką skalę. Nauczyciel muzyki, który dyrygował orkiestrą, zaryzykował wybór tego utworu, bo wiedział, że ma u siebie wybitnego kotlistę. Lecz jak wiadomo ten nagle zniknął, więc nauczyciel stanął przed poważnym problemem. Oczywiście było, że Tengo jako zastępca kotlisty miał trudne zadanie. Jednak nie denerwował się, bo gra sprawiała mu wielką przyjemność.

Gdy występ gładko dobiegł końca (nie wygrali, lecz dostali wyróżnienie), podeszła do niego tamta nauczycielka. Pochwaliła go za wspaniałą grę.

– Od razu cię poznałam – powiedziała drobna kobieta (Tengo nie mógł sobie przypomnieć jej nazwiska). – Jak świetnie ktoś gra na kotłach, pomyślałam sobie, a kiedy się lepiej przyjrzałam, zobaczyłam, że to przecież Tengo. Jesteś jeszcze większy niż dawniej, ale po twarzy od razu cię poznałam. Kiedy zacząłeś grać?

Tengo wyjaśnił jej, jak do tego doszło. Słuchała pełna podziwu.

– Jesteś naprawdę wszechstronnie utalentowany.

– Dżudo jest znacznie łatwiejsze – powiedział Tengo z uśmiechem.

– A jak się ma twój ojciec?

– Dobrze – odparł Tengo. Ale powiedział to, byle coś powiedzieć. Nie obchodziło go, jak ojciec się ma, specjalnie się nad tym nie zastanawiał. Wtedy wyprowadził się już z domu, mieszkał w internacie i od dawna nawet z ojcem nie rozmawiał.

– A dlaczego pani tu jest? – zapytał.

– Moja siostrzenica gra na klarncie w orkiestrze dętej swojego liceum i poprosiła, żebym przyszła, bo będzie miała solówkę – odparła nauczycielka. – Czy będziesz dalej grał w orkiestrze?

– Jak mi noga wydobrzeje, wrócę do dżudo. Bo uprawiając dżudo, na pewno nigdy nie będę głodny. Moja szkoła wkłada w dżudo dużo wysiłku. Zapewniają mi internat, dają mi kupony do stołówki na trzy posiłki dziennie. W orkiestrze dętej by tak nie było.

– W miarę możliwości nie chcesz o nic prosić ojca, prawda?

– No bo sama pani wie, jaki on jest – powiedział Tengo.

Nauczycielka się uśmiechnęła.

– Jednak szkoda. Bo masz wielki talent.

Górujący nad nią wzrostem Tengo spojrzał na drobną kobietę. Przypomniał sobie, jak u niej nocował. Przywołał w myślach obraz jej bezosobowo urządzonego, schludnego mieszkania. Firanki i kilka doniczek. Deska do prasowania i otwarta książka. Mała różowa sukienka wisząca na ścianie. Zapach kanapy, na której spał.

Zauważył, że teraz stoi przed nim niepewna, zupełnie jak młoda dziewczyna. Zauważył też, że nie jest już bezsilnym dziesięcioletnim chłopcem, a potężnie zbudowanym siedemnastoletnim młodzieńcem. Miał szeroką pierś, był owłosiony, przepełniało go seksualne pożądanie. A towarzystwo starszych od niego kobiet przedziwnie go uspokajało.

– Cieszę się, że się spotkaliśmy – powiedziała nauczycielka.

– Mnie też było bardzo miło panią zobaczyć – odrzekł Tengo. Naprawdę tak myślał. Ale za nic nie mógł sobie przypomnieć, jak się nazywa.

Rozdział piętnasty – Aomame

Mocno, jakby przyczepić kotwicę do balonu

Aomame poświęcała wiele uwagi codziennym posiłkom. Najważniejszym elementem jej codziennego jadłospisu były potrawy z jarzyn, do tego dochodziły ryby, głównie tzw. białe ryby, i owoce morza. Z mięs jadła jedynie kurczaka. Kupowała wyłącznie świeże produkty, przyprawy ograniczała do minimum. Unikała dań tłustych, spożywała węglowodany jedynie w koniecznej ilości. Sałaty nie polewała sosem, a jadła ją z dodatkiem soli, oliwy z oliwek i soku z cytryny. Nie chodziło o to, że jadła po prostu dużo jarzyn. Starannie studiowała składniki odżywcze i starała się jeść zróżnicowane i starannie dobrane porcje rozmaitych warzyw. Sporządzała własne oryginalne jadłospisy i udostępniała je zainteresowanym w klubie sportowym. Miała zwyczaj mówić: „Proszę się nie przejmować liczeniem kalorii. Jeżeli nabierze się wprawy w wybieraniu odpowiednich produktów i je umiarkowane ilości, nie trzeba sobie zawracać głowy żadnym liczeniem”.

Ale nie można żyć, trzymając się tylko takiego rygorystycznego jadłospisu, więc kiedy naszła ją wielka chęćka, wpadała do jakiejś restauracji i zamawiała sobie gruby befszytk albo kotlet jagnięcy. Uważała, że kiedy czasami ma się na coś przemożną ochotę, to znaczy, że z jakiegoś powodu nasz organizm się tego pożywienia domaga i wysyła nam sygnały. Szła wtedy za głosem natury.

Lubiła wino i sake, ale chcąc w trosce o wątrobę zminimalizować spożycie cukru, przez trzy dni w tygodniu w ogóle nie pila alkoholu. Ciało było jej świątynią i musiała je utrzymywać w czystości i ładzie. Niezakurzone, niepoplamione. Co miało być w tej świątyni czczone, stanowiło oddzielny problem. Nad tym mogła się zastanowić później.

W tej chwili nie miała na sobie grama zbędnego tłuszczu, tylko same mięśnie. Codziennie rozbierała się do naga przed lustrem i dokładnie się w tym upewniała. Nie była zakochana we własnym ciele. Raczej wręcz przeciwnie. Piersi miała zbyt małe, poza tym lewa różniła się rozmiarem od prawej. Włosy łonowe rosły jak trawa zdeptana przez oddziały piechoty. Za każdym razem krzywiła się na widok swego ciała. Ale nie było na nim niepotrzebnego tłuszczu. Żadnych fałdów, które dałoby się uchwycić.

* * *

Aomame żyła skromnie. Świadomie najwięcej wydawała na jedzenie. Nie żałowała wydatków na produkty spożywcze, z win piła też tylko te wysokiej jakości. Kiedy czasami jadała na mieście, uważnie wybierała restauracje, które starannie przygotowywały potrawy. Inne rzeczy praktycznie jej nie interesowały.

Nie bardzo zajmowały ją też ciuchy, kosmetyki czy biżuteria. Do pracy w klubie fitness mogła iść ubrana na luzie, w dzinsy i sweter. A kiedy tam docierała, i tak przebierała się na cały dzień w dres. No i oczywiście nie mogła nosić biżuterii. Poza tym prawie nie trafiały się okazje, na które musiała się elegancko ubrać. Nie miała chłopaka, nie chodziła z nikim na randki. Po śmierci Tamaki nie miała też przyjaciółki, z którą mogłaby iść na kolację. Kiedy szukała kogoś do przelotnego seksu, malowała się i – jak na nią – elegancko ubierała, ale to zdarzało się najwyżej raz w miesiącu. Nie musiała mieć wielu strojów.

Kiedy jednak potrzebowała czegoś nowego, chodziła po butikach w Aoyama, kupowała sobie jedną wystrzałową kreację, do niej jedną lub dwie sztuki biżuterii i buty – to wystarczało. Zwykle chodziła w butach na płaskim obcasie, związywała włosy. Starannie myła twarz mydłem, smarowała kremem i dzięki temu zawsze miała piękną cerę. Jeżeli jej ciało było czyste i zdrowe, niczego więcej nie pragnęła.

Od dzieciństwa przywykła do prostego, niewymyślnego życia. Jak sięgała pamięcią, zawsze wbijano jej do głowy, że trzeba być powściągliwym i oszczędnym. W domu nie było nic zbędnego. „Żeby się nie zmarnowało” było wyrażeniem z największą częstotliwością powtarzanym w jej rodzinie. Nie mieli telewizji ani gazet. W tym domu nawet informacje były „niepotrzebne”. Na stole rzadko pojawiały się ryby czy mięso, więc szkolne obiady były dla Aomame źródłem potrzebnych do normalnego rozwoju składników odżywczych. Inne dzieci zostawiały jedzenie na talerzach, narzekając, że niesmaczne, a ona miała niemal ochotę po nich dojadać.

Wszystkie ubrania donaszała po kimś innym. We wspólnocie wiernych istniał taki system wzajemnego wymieniania się niepotrzebnymi ubraniami. Dlatego prócz kostiumu gimnastycznego wymaganego przez szkołę rodzice nigdy nie kupowali jej nic nowego, nie pamiętała też, by kiedykolwiek jakieś ubranie czy buty dobrze na nią pasowały. Kolory i wzory też strasznie się ze sobą gryzły. Gdyby byli biedni, byłoby to zrozumiałe. Ale jej rodzina bynajmniej nie należała do biednych. Ojciec był inżynierem, miał dochody na przyzwoitym poziomie i oszczędności. Rodzice zdecydowali się na takie wyjątkowo skromne życie wyłącznie z powodu swoich przekonań.

Tak czy inaczej, jej życie na tyle różniło się od życia zwykłych dzieci, że przez długi czas nie mogła się z nikim zaprzyjaźnić. Nie miałyby się w co ubrać, gdyby musiała gdzieś iść z przyjaciółką, a poza tym nie byłoby ją na to stać. Nigdy nie dostawała kieszonkowego, więc nawet gdyby została zaproszona do kogoś na urodziny (na szczęście czy nieszczęście

nigdy się to nie zdarzyło), nie mogłaby kupić choćby drobnego upominku.

Dlatego nienawidziła rodziców i głęboko nienawidziła świata, do którego należeli. Chciała zwykłego życia, takiego jakie mieli wszyscy inni. Nie pragnęła luksusu. Wystarczyłoby mi zupełnie normalne, zwyczajne życie, niczego więcej nie potrzebuję, myślała. Chciała jak najszybciej dorosnąć, odejść z rodzinnego domu i żyć sama, tak jak chciała. Jeść to, na co ma ochotę i tyle, ile zapagnie, wydawać swobodnie własne pieniądze. Nosić ubrania, które by jej się podobały, i buty, które by na nią pasowały, chodzić tam, gdzie chce. Pragnęła mieć wielu przyjaciół i wymieniać się z nimi pięknie zapakowanymi prezentami.

Lecz kiedy dorosła, odkryła, że najbardziej odpowiada jej prowadzenie ascetycznego, oszczędnego życia. Najchętniej spędzała czas sama w domu ubrana w dres, a nie wystrojona, z kimś gdzieś na mieście.

* * *

Po śmierci Tamaki Aomame odeszła z firmy produkującej napoje dla sportowców, wyprowadziła się z mieszkania pracowniczego i wynajęła dwupokojowe mieszkanie w Jiyūgaoka. Nie dało się go nazwać dużym, lecz wyglądało na przestronne i niezagracone. Kuchnia była dobrze wyposażona, ale meble wyłącznie te najpotrzebniejsze. Aomame miała mało rzeczy. Lubiła czytać, a po przeczytaniu sprzedawała książki do antykwariatu. Choć lubiła także słuchać muzyki, nie zbierała płyt. Cierpiała, kiedy przybywało wokół niej przedmiotów. Zawsze, gdy gdzieś coś kupowała, miała poczucie winy. Czy to jest mi naprawdę potrzebne? zastanawiała się. Od patrzenia na schludne ubrania i buty w szafie bolało ją serce i robiło jej się duszno. Widok wszelkiego dostatku paradoksalnie przypominał jej biedne, pozbawione swobody dzieciństwo, kiedy nie miała nic.

Często zadawała sobie pytanie, co to znaczy być wolnym. Czy nawet jeżeli uda nam się wydostać z jednej klatki, okazuje się, że znaleźliśmy się w innej, większej?

Kiedy wysyłała wskazanego mężczyznę na tamten świat, starsza pani z Azabu płaciła jej wynagrodzenie. W skrytce na poczcie Aomame znajdowała ciasno zapakowaną paczkę z gotówką bez nazwiska nadawcy, odbiorcy czy adresu. Dostawała od Tamaru klucz do skrytki, wyjmowała paczkę i zwracała klucz. Nie rozwijając papieru i nie sprawdzając zawartości, wrzucała paczkę do własnej skrytki bankowej. Pliki banknotów wyglądały jak dwie cegły zawinięte w papier.

Aomame nie wydawała co miesiąc całej pensji. Miała też pewne oszczędności. Dlatego te dodatkowe pieniądze w ogóle nie były jej potrzebne. Powiedziała to starszej pani, gdy po raz pierwszy dostała wynagrodzenie.

– To jedynie symboliczna zapłata – powiedziała starsza pani cichym głosem łagodnej perswazji. – Proszę uznać, że taka jest zasada. Dlatego musi pani ją przyjąć. Jeśli

niepotrzebne są pani pieniądze, proszę je odłożyć na przyszłość. A jeśli i to pani nie odpowiada, proszę je anonimowo darować jakiejś organizacji. To zależy wyłącznie od pani. Ale jeżeli chce pani usłyszeć moją radę, lepiej przez pewien czas nie ruszać tych pieniędzy i gdzieś je przechować.

– Ale ja nie chcę za coś takiego otrzymywać pieniędzy – powiedziała Aomame.

– Rozumiem panią. Jednak dzięki temu, że pani pomaga nam wysłać takich bydlaków na tamten świat, nie będzie tego zwracania głowy ze sprawami rozwodowymi ani walk w sądzie o prawa rodzicielskie. I kobiety nie będą musiały żyć w strachu, że pewnego dnia pojawi się były mąż i tak je pobije, że nie da się ich poznać. Dostaną pieniądze z ubezpieczenia na życie i rentę rodzinną. Niech pani uzna te przekazane pani pieniądze za symbol wdzięczności tych kobiet. Niewątpliwie postąpiła pani słusznie. I należy się pani za to nagroda. Wie pani dlaczego?

– Nie bardzo – przyznała Aomame.

– Dlatego, że nie jest pani aniołem ani bogiem. Wiem, że pani postępowanie wypłynęło z czystych intencji. Dlatego rozumiem też, że nie chce pani za to brać pieniędzy. Ale nieskalany, czysty motyw niesie w sobie niebezpieczeństwo. To niezwykła rzecz, żeby człowiek z krwi i kości żył, kierując się takimi motywami. Dlatego musi pani to przekonanie mocno przymocować do ziemi, tak jakby przyczepiła pani kotwicę do balonu. I właśnie po to są te pieniądze. To, że postępuje się słusznie, że to uczucie jest czyste, jeszcze nie znaczy, że wolno robić, co się chce. Rozumie pani?

Aomame zastanowiła się nad tym przez pewien czas, a potem skinęła głową.

– Nie bardzo rozumiem. Ale zrobię tak, jak pani mówi.

Starsza pani się uśmiechnęła. Wypiła łyk ziołowej herbaty.

– Proszę tych pieniędzy nie wpłacać na konto. Gdyby dopatrzył się ich urząd skarbowy, zaczęliby dociekać, skąd się wzięły. Lepiej włożyć gotówkę do wynajętej skrytki bankowej. Kiedyś się pani przydadzą.

Aomame obiecała, że tak zrobi.

* * *

Telefon zadzwonił, gdy po powrocie z klubu szykowała kolację.

– Aomame? – usłyszała kobiecy głos. Był leciutko schrypnięty. Ayumi.

Ze słuchawką przy uchu Aomame wyciągnęła rękę i zmniejszając gaz, zapytała: – Jak tam? Dobrze idzie praca w policji?

– Wypisuję jeden za drugim mandaty za parkowanie, więc ludzie mnie nienawidzą. Ani śladu mężczyzny, pracuję sobie ciężko, ale wesoło.

– To świetnie.

– Słuchaj, co teraz robisz?

– Kolację.

– Masz czas pojutrze? To znaczy chodzi mi o wieczór.

– Czas mam, ale nie zamierzać robić takich rzeczy jak poprzednio. Dam sobie z tym na trochę spokój.

– Uhm. Ja też mam na razie dość takich rzeczy. Tylko dawno się nie widziałyśmy, więc pomyślałam, że chętnie bym się z tobą spotkała i pogadała.

Aomame zastanawiała się przez chwilę. Ale nie mogła się tak szybko zdecydować.

– Słuchaj, teraz akurat coś smażyć – powiedziała. – Nie mogę odejść od kuchni. Zadzwoń mi jeszcze raz za pół godziny?

– Dobrze. Zadzwoń znowu za pół godziny.

Aomame rozłączyła się i dokończyła smażenie. Potem zrobiła zupę sojową z kielkami fasoli i zjadła ją z niełuskany ryżem. Wypiła pół puszki piwa, resztę wylała do zlewu. Zmyła naczynia, usiadła właśnie na kanapie, żeby trochę odpocząć, gdy zadzwoniła Ayumi.

– Gdybyś miała ochotę, mogłybyśmy iść na kolację – powiedziała. – Bo nudno mi zawsze samej jeść.

– Zawsze sama jesz?

– Mieszkam w mieszkaniu pracowniczym z wyżywieniem, więc zawsze jem w grupie, hałasujemy i się sprzeczamy. Ale czasami mam ochotę spokojnie zjeść coś smacznego. W miarę możliwości w jakimś eleganckim lokalu. Tylko nie chce mi się iść samej. Wiesz, o co mi chodzi?

– Oczywiście.

– Ale nie mam się z kim umówić, kiedy nachodzi mnie taka ochota. Ani mężczyzny, ani kobiety. Wszyscy moi znajomi wolą chodzić do pubu. Więc pomyślałam, że może ty byś ze mną poszła. Jeśli nie masz nic przeciwko temu.

– Nie mam nic przeciwko temu. Dobrze, chodźmy gdzieś na elegancką kolację. Ja też już dawno tego nie robiłam.

– Naprawdę? Strasznie się cieszę.

– Pasuje ci pojutrze, tak?

– Uhm, bo następnego dnia mam wolne. Znasz jakąś dobrą knajpę?

Aomame wymieniła nazwę francuskiej restauracji w Nogizaka.

Ayumi przełknęła ślinę, kiedy ją usłyszała.

– Ale to chyba strasznie znana knajpa? Czytałam w jakimś magazynie, że ceny są potworne i na rezerwację czeka się dwa miesiące. Przy mojej pensji nie stać mnie, żeby tam iść.

– Nie martw się. Właściciel, będący też szefem kuchni, należy do mojego klubu, prowadzę z nim indywidualny trening. Doradzę mu też w sprawie wartości odżywczych potraw w menu. Dlatego jeśli go poproszę, dostaniemy stolik w pierwszej kolejności, ceny też będą z rabatem. Ale to może nie być najlepszy stolik.

– Mnie nie przeszkadza, mogę siedzieć nawet w szafie.

– No to wystrój się porządnie – powiedziała Aomame.

Rozłączyła się, lekko zdziwiona, że czuje taką naturalną sympatię do tej młodej policjantki. Pierwszy raz od śmierci Tamaki poczuła coś takiego. Oczywiście było to zupełnie inne uczucie niż to, które żywiła w stosunku do Tamaki. Ale i tak po raz pierwszy od długiego czasu miała zjeść z kimś kolację, a raczej w ogóle miała na to ochotę. A do tego ta osoba była policjantką. Aomame westchnęła. Świat jest pełen niespodzianek.

* * *

Aomame włożyła szaroniebieską sukienkę z krótkim rękawem, na ramiona zarzuciła niewielki biały zapinany sweterek, do tego buty na obcasie od Ferragamo. Kolczyki i cienka złota bransoletka. Torbę na ramię zostawiła w domu (szpikulec do lodu oczywiście też), a ze sobą wzięta małą torebkę od La Bagagerie. Ayumi ubrana była w czarny zakiet od Comme des Garçons, brązowy podkoszulek z dużym dekoltem, rozkloszowaną spódnicę w kwiaty, miała tę samą torebkę od Gucciego co przedtem, małe kolczyki z perełkami i brązowe pantofle na płaskim obcasie. Wyglądała na dużo ładniejszą i bardziej elegancką niż ostatnim razem. A przede wszystkim nie wyglądała na policjantkę.

Spotkały się przy barze, wypity po mimozie, a potem zaprowadzono je do stolika. Był wcale niezły. Pojawił się szef kuchni i pogawędził z Aomame. Powiedział, że poda im wino na koszt restauracji.

– Przepraszam, ale jest już odkorkowane i odrobinę wypito – tyle co do degustacji. Wczoraj klient zakwestionował smak i podaliśmy mu inną butelkę, ale w rzeczywistości smak jest absolutnie w porządku. To był pewien znany polityk, który w swoich kręgach uchodzi za konesera win. Choć, prawdę mówiąc, prawie nic o nich nie wie. Odsyła wina do kuchni tylko po to, żeby się przed kimś popisać. Mówi na przykład, że „ten burgund jest chyba trochę kwaśny”. No ale klient to klient, więc my na to: „Rzeczywiście, być może jest nieco kwaśny. Widocznie eksporter nie dopilnował. Za chwileczkę przyniosę inną butelkę. Doprawdy naprawdę doskonale zna się pan na winach. Od razu pan poznał”. Mówimy, co trzeba, i przynosimy drugą butelkę. W ten sposób unika się konfliktu. A tak między nami, wystarczy trochę odpowiednio podwyższyć rachunek. On przecież i tak to wrzuca w koszty reprezentacyjne. No ale, tak czy inaczej, w mojej restauracji z zasady nie możemy podawać gościom win, których jakość ktoś zakwestionował i zostały odesłane do kuchni. To oczywiste.

– Ale nam może pan podać, tak?

Szef kuchni przymrużył oko.

– Chyba mogę, co?

– Oczywiście, że tak – powiedziała Aomame.

– Na sto procent – dodała Ayumi.

– Czy ta piękna dziewczyna to twoja siostra? – zapytał szef kuchni Aomame.
– Tak wygląda? – zapytała Aomame.
– Nie jest podobna, ale jakoś takie robicie wrażenie – wyjaśnił.
– To koleżanka. Jest policjantką.
– Naprawdę? – szef kuchni przyjrzał się Ayumi z niedowierzaniem. – Patrolujesz ulice z pistoletem i pałą?

– Jeszcze do nikogo nie strzelałam – powiedziała Ayumi.
– Nie powiedziałem chyba nic niezgodnego z prawem – zmartwił się szef kuchni.

Ayumi potrząsnęła głową.

– Absolutnie nic.

Szef kuchni uśmiechnął się i złożył ręce w geście podziękowania.

– Każdemu z przekonaniem poleciłbym tego burgunda, gwarantuję jego jakość. Pochodzi ze znanej winnicy, ma apelację, to dobry rocznik, gdybyście go zamówili, kosztowałby kilkadziesiąt tysięcy jenów.

Podszedł kelner i nalał im wina. Aomame i Ayumi wzniosły toast. Lekko stuknęły się kieliszkami, rozległ się dźwięk jakby dalekiego niebiańskiego dzwonu.

– Ach, pierwszy raz w życiu piję takie pyszne wino – powiedziała Ayumi, mrużąc oczy po wypiciu pierwszego łyku. – Co za kretyn mógł się do niego przyczepić?

– Są ludzie, którzy czepiają się wszystkiego – odparła Aomame.

Następnie szczegółowo przestudiowały menu. Ayumi, jak kompetentny prawnik czytający ważną umowę, przenikliwym wzrokiem dwukrotnie przeczytała całe menu od początku do końca. Sprawdzała, czy przypadkiem nie przegapiła czegoś znaczącego, czy nie ma gdzieś jakiegoś kruczka. Badała w myślach różne wpisane tam warunki i klauzule, poważnie rozważała skutki, jakie mogą wywołać. Drobiazgowo ważyła potencjalne zyski i straty. Siedząca naprzeciw Aomame przyglądała jej się z zainteresowaniem.

– Zdecydowałaś się? – zapytała.

– Zasadniczo tak.

– No i co zamówisz?

– Zupę z małżami, sałatkę z trzech rodzajów porów, mózdzek cielęcy z prefektury Iwate duszony w sosie z bordeaux. A ty?

– Zupę z soczewicy, wiosenne warzywa na ciepło, żabnicę z polentą pieczoną w papierze. Chyba nie bardzo pasuje to do czerwonego wina, no ale jest za darmo, więc nie można się czepiać.

– Może poprobujemy trochę nawzajem swoich potraw?

– Oczywiście. Poza tym jeśli chcesz, możemy zamówić na zakąskę smażone krewetki i zjeść na połowę.

– Cudownie.

– Skoro już się zdecydowałaś, lepiej zamknąć kartę. Jeśli tego nie zrobisz, kelner będzie

się wahał czy podejść, czy nie.

– Masz rację – powiedziała Ayumi, z żalem zamykając kartę i kładąc ją na stoliku. Od razu podszedł kelner i przyjął zamówienie.

– Zawsze kiedy skończę zamawiać w restauracji, mam wrażenie, że powinnam była zamówić co innego – oznajmiła Ayumi po jego odejściu. – Ty nie?

– Nawet jeśli się pomylisz, to w końcu tylko jedzenie. W porównaniu z innymi pomyłkami życiowymi nic ważnego.

– Oczywiście, masz rację. Ale dla mnie to bardzo ważna sprawa. Od dzieciństwa taka jestem. Zawsze po złożeniu zamówienia żałuję i myślę sobie, że trzeba było zamówić krokiety z krewetkami zamiast hamburgera. Ty zawsze byłaś tak opanowana?

– W mojej rodzinie z powodu różnych okoliczności nie mieliśmy zwyczaju jadać na mieście. Nigdy. Od kiedy pamiętam, nigdy nie chodziłam do restauracji i dopiero jak byłam znacznie starsza, po raz pierwszy miałam okazję wybrać z karty i zamówić to, co chciałam. Dzień po dniu jadłam tylko to, co mi podano – bez szemrania. Choćby było niesmaczne, choćby było za mało, choćbym tego nie lubiła, nie wolno było narzekać. Więc nawet teraz, szczerze mówiąc, specjalnie mi nie robi różnicy, co jem.

– Co ty powiesz! Coś takiego! Nie wiem o tobie zbyt wiele, ale nie wyglądasz na kogoś, kto tak dorastał. Wyglądasz, jakbyś od dzieciństwa przywykła jadać w takich miejscach.

Wszystkiego nauczyła ją Tamaki Ōtsuka. Jak się zachowywać w eleganckiej restauracji, jak wybrać potrawy, by się nie skompromitować, jak zamawiać wino, a jak deser, jak odnosić się do kelnera, jak właściwie posługiwać się sztucami. Tamaki wszystko to wiedziała i ze szczegółami przekazała Aomame. Nauczyła ją też, jak wybierać ubrania, dopasować do nich biżuterię i jak się malować. To wszystko były dla Aomame nowe odkrycia. Tamaki wychowała się w zamożnej rodzinie w wytwornej dzielnicy, jej matka była znana w towarzystwie i przywiązywała ogromną wagę do stroju i manier. Dlatego Tamaki już w liceum przyswoiła sobie solidną wiedzę na temat światowego życia. Bez obawy wchodziła do miejsc uczęszczanych przez dorosłych. Aomame łączywie pochłaniała tę wiedzę. Gdyby los nie zetknął jej z Tamaki, świetną nauczycielką, Aomame byłaby teraz inną osobą. Czasami wydawało jej się nawet, że Tamaki nadal żyje i kryje się w jej własnym wnętrzu.

Ayumi na początku była nieco skrepowana, ale kiedy napiła się wina, zaczęła się pomалу rozluźniać.

– Słuchaj, mam pytanie – powiedziała. – Jeśli nie chcesz, nie musisz odpowiadać. Ale koniecznie chcę cię o coś zapytać. Nie będziesz się gniewała, prawda?

– Nie będę.

– Nawet jeśli pytam o coś dziwnego, to nie ze złej woli. Możesz być tego pewna. Jestem tylko ciekawska. Ale niektórzy ludzie strasznie się na takie rzeczy złością.

– Nie ma sprawy. Nie zezłościę się.

– Naprawdę? Wszyscy tak mówią, a potem się jednak złością.

- Ja nie jestem wszyscy. Więc nie ma sprawy.
- Czy jak byłaś mała, mężczyźni się do ciebie dobierali?

Aomame potrząsnęła głową.

- Myślę, że nie. Dlaczego pytasz?

– Tak tylko pytam. Jeśli nie, to nie ma o czym mówić – powiedziała Ayumi. Potem zmieniła temat: – Słuchaj, miałaś kiedyś chłopaka? To znaczy kogoś, z kim na poważnie chodziłaś?

- Nie.

- Ani jednego?

– Nawet jednego – odparła Aomame. Po krótkim wahaniu dodała: – Prawdę mówiąc, do dwudziestego szóstego roku życia byłam dziewicą.

Ayumi na chwilę zaniemówiła. Odłożyła nóż i widelec, wytarła usta serwetką, zmrużyła oczy i przez chwilę wpatrywała się w Aomame.

- Ktoś tak atrakcyjny jak ty? Trudno uwierzyć.

- Te sprawy w ogóle mnie nie interesowały.

- To znaczy mężczyźni cię nie interesowali?

– Ale jest ktoś, kogo kocham. Jak miałam dziesięć lat, pokochałam go i ścisnęłam za rękę.

- Mając dziesięć lat, pokochałaś chłopaka. I od tego czasu nic?

- Nic.

Ayumi podniosła nóż i widelec. Pograżona w myślach drobno kroić krewetkę.

- I gdzie ten chłopak teraz jest? Co robi?

Aomame potrząsnęła głową.

– Nie wiem. Chodziliśmy razem do trzeciej i czwartej klasy w Ichikawie, w prefekturze Chiba. Ale w piątej klasie ja się przenieśliśmy do szkoły w centrum Tokio i od tego czasu nigdy się nie widzieliśmy. Nigdy też o nim nie słyszałam. Wiem tylko, że jeśli jeszcze żyje, ma teraz dwadzieścia dziewięć lat. Chyba jesienią skończy trzydzieści.

– To znaczy, że nie próbowałaś nawet się dowiedzieć, gdzie teraz jest i co robi? Myślę, że dość łatwo można by to stwierdzić.

Aomame zdecydowanie potrząsnęła głową.

- Nie miałam ochoty się dowiadywać.

– Dziwna jesteś. Gdyby to o mnie chodziło, wykorzystałabym wszystkie sposoby, żeby ustalić, gdzie jest. Skoro go tak kochasz, to powinnaś go znaleźć i mu to wyznać.

– Nie chcę tego robić – powiedziała Aomame. – Chciałabym pewnego dnia gdzieś przypadkiem go spotkać. Na przykład wpaść na niego na ulicy albo w autobusie.

- Zrzędzenie losu.

– Tak, coś takiego – odparła Aomame i wypła łyk wina. – Wtedy wprost mu to powiem: Przez całe życie kochałam tylko ciebie.

– Uważam, że to strasznie romantyczne – powiedziała Ayumi zniecierpliwiona – ale mam wrażenie, że prawdopodobieństwo takiego spotkania jest niewielkie. A poza tym ponieważ nie widzieliście się od dwudziestu lat, on się pewnie zmienił. Mogłabyś go nie poznać na ulicy.

Aomame potrząsnęła głową.

– Nawet jeśli twarz mu się zmieniła, od razu bym go poznała. Nie mogłabym się pomylić.

– Aha, to taka sprawa.

– Tak, to taka sprawa.

– I ty, wierząc, że takie zrządzenie losu jest możliwe, tylko czekasz, tak?

– Dlatego zawsze uważnie się rozglądam, chodząc po mieście.

– Coś takiego! Ale mimo że go tak kochasz, nie przeszkadza ci to uprawiać seks z innymi. To znaczy, od czasu kiedy skończyłaś dwadzieścia sześć lat.

Aomame zamyśliła się na chwilę. Potem powiedziała: – To są rzeczy, które po prostu przemijają. Nic po nich nie zostaje.

Przez pewien czas panowało milczenie. Obie skupiły się na jedzeniu. Następnie odezwała się Ayumi: – Przepraszam, że się wtrącam, ale czy coś ci się stało, kiedy miałaś dwadzieścia sześć lat?

Aomame przytaknęła.

– Tak, wtedy miało miejsce pewne wydarzenie i całkowicie się zmieniłam. Ale teraz i tutaj nie mogę o tym mówić. Przepraszam.

– Nie szkodzi. Nie gniewasz się, że się tak natrętnie dopytuję?

– Ani trochę.

Przyniesiono zupę. Jadły ją w milczeniu. Rozpoczęły przerwana rozmowę na nowo, gdy odłożyły łyżki, a kelner zabrał puste talerze.

– Nie boisz się? – zapytała Ayumi.

– Na przykład czego?

– No przecież możesz nigdy się z nim nie spotkać. Oczywiście możliwe, że przypadkiem na niego wpadniesz. Myślę, że to byłoby świetnie. Naprawdę ci tego życzę. Ale w rzeczywistości zupełnie realna jest możliwość, że do takiego spotkania nigdy nie dojdzie. A poza tym nawet jeśli się spotkacie, on mógł się już ożenić z inną kobietą. Mogą mieć dwoje dzieci. Prawda? A wtedy będziesz samotna do końca życia? Bo nie uda ci się związać z jedynym ukochanym człowiekiem. Nie boisz się, kiedy o tym myślisz?

Aomame patrzyła na czerwone wino w kieliszku.

– Może się boję. Ale przynajmniej mam kogoś, kogo kocham.

– Nawet jeśli on cię nie kocha?

– Jeżeli uda się pokochać choć jedną osobę, to życie ma sens. Nawet jeśli nie można być z tym człowiekiem.

Ayumi zamyśliła się nad tym przez chwilę. Podszedł kelner i dolał im wina. Aomame wypila łyk i pomyślała, że Ayumi ma rację. Kto mógł się przyczepić do takiego wspaniałego wina?

– Podziwiam cię. Masz takie filozoficzne podejście do życia.

– Nie mam filozoficznego podejścia. Po prostu szczerze tak myślę.

– Ja też kogoś kochałam – zwierzyła się Ayumi. – Zaraz po maturze. Chłopaka, z którym pierwszy raz poszłam do łóżka. Był trzy lata starszy. Ale on się zaraz związał z inną dziewczyną. Potem przez pewien czas byłam w okropnym stanie. Mocno mnie to zraniło. Już sobie z nim dałam spokój, ale jeszcze nie całkiem doszłam do siebie. On był świnią, chciał zawsze mieć kogoś w odwodzie. Taki zadowolony z siebie palant. No ale mimo to go pokochałam.

Aomame skinęła głową. Ayumi podniosła kieliszek i napiła się wina.

– Nawet teraz czasem do mnie dzwoni. Może się spotkamy, mówi. Oczywiście chce mnie tylko zaciągnąć do łóżka. Dobrze o tym wiem. Dlatego się z nim nie spotykam. Gdybym zaczęła, znowu by się to źle skończyło. Ale chociaż rozum mi to mówi, ciało jednak domaga się swego. I wyrywa się, żeby z nim iść do łóżka. I jak się tego nabiera, to mam czasem ochotę naprawdę sobie poużywać. Wiesz, o co mi chodzi?

– Wiem.

– On naprawdę jest nic niewart. Z natury małostkowy, w łóżku też wcale nie taki dobry. No ale przynajmniej się mnie nie boi i kiedy się z nim spotykałam, dobrze mnie traktował.

– Uczuć się nie wybiera. Przecież to on sam ci się narzuca. To nie jest tak jak z wybieraniem potraw z karty.

– Chociaż jest pewne podobieństwo w tym, że żałuję po dokonaniu wyboru.

Roześmiały się.

– Ale wiesz – powiedziała Aomame – czy to w przypadku menu, czy mężczyzn, czy innych rzeczy, wydaje nam się tylko, że wybieramy, ale w rzeczywistości niczego nie wybieramy. Może to jest wszystko z góry ustalone, a my pewnie tylko udajemy, że wybieramy. Wolna wola to tylko złudzenie. Czasami tak myślę.

– Gdyby przyjąć takie założenie, życie byłoby okropnie ponure.

– Może i tak.

– Ale jeżeli kocha się kogoś z całego serca, choćby nawet to był jakiś straszny facet, który nic do ciebie nie czuje, życie przynajmniej ma sens. Nawet jeśli zdaje się nieco ponure.

– Właśnie o to chodzi.

– Ale wiesz – powiedziała Ayumi – mnie się wydaje, że świat nie rządzi się logiką i zdecydowanie za mało na nim życzliwości.

– Może i tak – rzekła Aomame. – Lecz teraz nie da się go już zamienić na inny.

– Bo dawno upłynął termin składania reklamacji – dodała Ayumi.

– I wyrzuciło się paragon.

- Właśnie.
- Ale to nie szkodzi. Przecież ten świat skończy się, zanim się zorientujesz.
- Bardzo się na to cieszę.
- I przyjdzie królestwo.
- Nie mogę się doczekać – powiedziała Ayumi.

* * *

Zjadły deser, wypily kawę z ekspresu i zapłaciły rachunek po połowie (był zadziwiająco niski). Następnie poszły do pobliskiego baru i wypily po drinku.

- Słuchaj, czy ten facet tam nie jest przypadkiem w twoim typie?

Aomame spojrzala w stronę baru. Siedział tam samotnie wysoki mężczyzna w średnim wieku, pijąc martini. Wyglądał jak były licealista, który miał dobre stopnie i był świetny w sportach, a teraz się zestarzał i osiągnął wiek średni. Włosy miał przerzedzone, lecz twarz młodzieńczą.

– Może i tak, ale dziś nie mam ochoty na mężczyznę – powiedziała Aomame zdecydowanie. – Poza tym to jest elegancki bar.

- Wiem. Tak tylko zapytałam.

- Może następnym razem.

Ayumi spojrzala na Aomame.

– Chodzi ci o to, że znowu wybierzemy się razem? To znaczy, pójdziemy poszukać facetów.

- Dobrze – odparła Aomame. – Możemy razem.

- To świetnie. Zdaje mi się, że z tobą jestem gotowa na wszystko.

Aomame piła Daiquiri, a Ayumi Toma Collinsa.

– À propos tego, ostatnio mówiłaś przez telefon, że udawałam z tobą lesbijkę, prawda? – zapytała Aomame. – Co ja właściwie robiłam?

– A, wtedy. Nic wielkiego. Tylko tak poudawałyśmy lesbijki, żeby trochę rozgrzać atmosferę. Czy ty naprawdę nic nie pamiętasz? Byłaś całkiem napalona.

- Nic nie pamiętam. Kompletnie zero.

- Obie byłyśmy nagie, dotykałyśmy swoich piersi, całowałyśmy się tam, wiesz gdzie...

– Całowałyśmy się tam?! – zawołała Aomame, a potem pośpiesznie rozejrzała się dookoła. W cichym barze jej słowa zabrzmiały nienormalnie głośno. Na szczęście wydawało się, że nikt jej nie usłyszał.

- Mówię ci, że tylko dla picu. Bez języka.

– O rany – westchnęła Aomame, przyciskając palcami skronie. – Co ja najlepszego zrobiłam. W głowie się nie mieści.

- Przepraszam.

– Nie szkodzi. Nie przejmuj się. To moja wina, że aż tak się upiłam.

– Ale tamto miejsce masz bardzo ładne. Wyglądało zupełnie jak nowe, praktycznie nieużywane.

– No bo rzeczywiście jest praktycznie nieużywane.

– Tylko z rzadka?

Aomame przytaknęła.

– Właśnie. Słuchaj, czy ty przypadkiem masz skłonności lesbijskie?

Ayumi potrząsnęła głową.

– Zrobiłam coś takiego pierwszy raz w życiu. Słowo daję. Ale ja też byłam dość pijana, pomyślałam sobie, że raz mogę spróbować. Skoro tylko udajemy, to można się pobawić. A ty jak, rajcuje cię to?

– Nie, ja też nie mam na to ochoty. Tylko raz w liceum zrobiłam coś takiego z przyjaciółką. Nie miałyśmy zamiaru, ale samo tak wyszło.

– Takie rzeczy pewnie się zdarzają. I co? Wtedy miałaś orgazm?

– Tak, myślę, że tak – powiedziała szczerze Aomame. – Ale to był pierwszy i ostatni raz. Uznałam, że nie wolno tego robić, i więcej nie próbowałam.

– Chodzi ci o to, że nie wolno być lesbijką?

– Nie, nie chodzi o to, że nie wolno być lesbijką, że to nieczyste, nic w tym rodzaju. Chodzi mi o to, że nie powinnam była robić takich rzeczy z tamtą osobą. Nie chciałam zmieniać cennej przyjaźni w coś tak przyziemnego.

– Aha. Słuchaj, czy mogłabym dzisiaj u ciebie zanoć? Nie mam ochoty teraz wracać do mojego pracowniczego mieszkania. Jeśli tam wrócę, ten starannie stworzony wykwintny nastrój pęknie jak bańka mydlana.

Aomame dopiła ostatni łyk Daiquiri, odstawiła szklaneczkę na kontuar.

– Nocować możesz, ale nie będzie żadnych wygłupów.

– Uhm, dobrze, nie to miałam na myśli. Tylko chciałam jeszcze trochę dłużej z tobą pobyc. Wszystko mi jedno, gdzie będę spała. Usnę wszędzie, nawet na podłodze. A poza tym jutro mam wolne, więc rano nie muszę się śpieszyć.

* * *

Wsiadły do metra i z przesiadką dotarły do Jiyūgaoka. Dochodziła jedenasta. Obie były przyjemnie wstawione i śpiące. Aomame przygotowała Ayumi posianie na kanapie i pożyczyła jej piżamę.

– Mogę się na chwilę położyć z tobą w łóżku? Chciałabym troszeczkę się do ciebie przytulić. Nie będzie żadnych wygłupów. Obiecuję – powiedziała Ayumi.

– Dobrze.

No proszę, w ten sposób kobieta, która zabiła trzech mężczyzn, i policjantka położy się

w jednym łóżku, pomyślała ze zdumieniem Aomame. Świat jest jednak przedziwny.

Ayumi wślizgnęła się pod kołdrę i objęła leżącą na plecach Aomame. Jędrne piersi przycisnęła do jej ramienia. Jej oddech pachniał mieszanką pasty do zębów i alkoholu.

– Nie uważasz, że moje piersi są za duże? – zapytała.

– Wcale nie. Są bardzo kształtne.

– Ale jak masz duże piersi, to jakoś częściej ludzie cię biorą za idiotkę. Podskakują ci, jak biegniesz, i wstyd suszyć na sznurze stanik, który wygląda jak para salaterek.

– Mężczyznom się takie podobają.

– I sutki mam za duże.

Ayumi rozpięła guzik piżamy, odsłoniła jedną pierś i pokazała sutek Aomame.

– No, zobacz jakie duże. Nie uważasz, że są dziwne?

Aomame spojrzała na sutek. Rzeczywiście nie był mały, ale nie wydał jej się aż tak duży, żeby warto było się tym przejmować. Trochę większy niż sutki Tamaki.

– Bardzo ładny. Ktoś ci powiedział, że są za duże?

– Jeden facet. Że nigdy nie widział takich wielkich.

– To niewiele w życiu widział. Są zupełnie normalnej wielkości. Moje są za małe.

– A mnie się twoje piersi podobają. Mają elegancki kształt, robią inteligentne wrażenie.

– Żartujesz! Są za małe i prawa różni się kształtem od lewej. Dlatego zawsze mam kłopot z dobraniem stanika. Bo mają różne rozmiary.

– Tak? To jednak każdy się czymś przejmuje.

– Właśnie. No, to śpij już – powiedziała Aomame.

Ayumi opuściła dłoń i próbowała ją wsunąć pod piżamę Aomame, lecz ta chwyciła i zatrzymała jej rękę.

– Nie ma mowy. Przecież obiecałaś, że nie będzie żadnych wyglupów.

– Przepraszam – powiedziała Ayumi i cofnęła rękę. – Rzeczywiście obiecałam. Pewnie jestem pijana. Ale jestem tobą zauroczona. Jak nieśmiała pensjonarka.

Aomame milczała.

– Ty na pewno chcesz zachować to, co dla ciebie najważniejsze, dla tego mężczyzny? – zapytała Ayumi nieomal szeptem. – Zazdroszczę ci tego. Że masz się dla kogo oszczędzać.

Może i tak, pomyślała Aomame. Ale co jest dla mnie najważniejsze?

– Śpij już – powiedziała. – Przytulę cię, aż uśniesz.

– Dziękuję. Przepraszam, że robię ci kłopot.

– Nie ma za co przepraszać. Nie robisz mi żadnego kłopotu.

Aomame czuła pod pachą ciepły oddech Ayumi. W oddali zaszczekał pies, ktoś zamknął z trzaskiem okno. Przez cały czas głaskała ją po głowie.

* * *

Zostawiła uśpioną Ayumi w łóżku i wstała. Wyglądało na to, że prześpi się dziś na kanapie. Wyjęła z lodówki wodę mineralną i wypila dwie szklanki. Potem wyszła na wąski balkon, usiadła na aluminiowym krześle i spojrzała na miasto. Był ciepły, spokojny wiosenny wieczór. Lekki wiatr przynosił z dalekiej szosy jakby sztuczny szum morza. Minęła północ, nieco zmalała liczba neonów.

Niewątpliwie czuję sympatię do tej dziewczyny, Ayumi. Powinnam naprawdę cenić tę znajomość. Po śmierci Tamaki przez długi czas żyłam w przekonaniu, że nigdy się do nikogo nie zbliżę. Nigdy nie myślałam nawet, że chciałabym mieć nową przyjaciółkę. Ale przed Ayumi potrafię w naturalny sposób otworzyć serce. Potrafię też do pewnego stopnia szczerze jej się zwierzyć ze swoich uczuć. Ale ona jest zupełnie inna niż ty, Aomame zwróciła się w myślach do Tamaki. Ty byłeś kimś bardzo ważnym. Razem z tobą dorosłam. Nikt ci nie dorówna.

Aomame spojrzała w górę, odchylając głowę daleko do tyłu. Choć wpatrywała się w niebo, jej świadomość błądziła w dalekich wspomnieniach. Chwile, które spędziła z Tamaki, rzeczy, o których rozmawiały. To, jak się nawzajem dotykały... Lecz wkrótce zorientowała się, że nocne niebo, na które patrzy, jakoś różni się od zwyczajnego. Coś wydawało się inne niż zwykle. Czowała się lekko, ale niezaprzeczalnie nieswojo.

Minęło trochę czasu, zanim się zorientowała, na czym polega ta różnica. Ale ciągle miała trudności z zaakceptowaniem tego, co widzi. Świadomość nie mogła rozpoznać malującego się przed nią widoku.

Na niebie były dwa księżycy. Mały i duży. Unosiły się jeden obok drugiego. Zwykły, dobrze znany księżyc – bliski pełni, żółtawy. Lecz obok niego był drugi, inny. O nieznanym kształcie. Nieco nieregularny, kolor też miał trochę zielonkawy, jakby lekko porósł mchem. To właśnie przed sobą widziała.

Aomame zmrużyła oczy i wpatrywała się nieruchomo w te dwa księżycy. Potem zamknęła oczy, odczekała chwilę, wzięła głęboki oddech i znów je otworzyła, mając nadzieję, że wszystko wróciło do normy i będzie tylko jeden księżyc. Ale sytuacja wcale się nie zmieniła. To nie było złudzenie optyczne ani wzrok jej nie mylił. Na niebie niewątpliwie i niezaprzeczalnie unosiły się dwa księżycy. Żółty i zielony.

Pomyślała, że obudzi Ayumi. Chciała ją zapytać, czy na niebie naprawdę są dwa. Ale się rozmyśliła. Ayumi mogłaby powiedzieć: – A co w tym dziwnego? Od zeszłego roku są dwa – albo: – O czym ty mówisz? Ja widzę tylko jeden. Możesz wzrok ci się psuje? – Ani jedno ani drugie nie rozwiązałyby problemu. Tylko by go pogłębiło.

Przyłożyła dłonie do policzków i dalej wpatrywała się nieruchomo w dwa księżycy. Niewątpliwie coś się dzieje, pomyślała. Serce biło jej szybciej. Coś się stało światu albo coś się stało mnie – jedno albo drugie. Czy coś jest nie tak z butelką? Czy z zakrętką?

Wróciła do pokoju, zamknęła za sobą drzwi balkonowe, zasunęła zasłony. Wyjęła z szafki butelkę brandy i naląła trochę do szklaneczki. Ayumi spała smacznie w jej łóżku.

Przyglądając się jej, Aomame sączyła brandy. Z łokciami opartymi na stole, starając się nie myśleć o tym, co jest za zasłoną.

Może świat rzeczywiście się kończy, pomyślała.

– I przyjdzie królestwo – powiedziała cicho.

– Nie mogę się doczekać – powiedział gdzieś ktoś.

Rozdział szesnasty – Tengo

Bardzo się cieszę, że ci się podoba

Po dziesięciu dniach spędzonych na poprawianiu *Powietrznej poczwarki*, w czasie których zrobił z niej kompletnie nowy utwór, i po przekazaniu go Komatsu, nadeszły dla Tengo dni spokoju, jakby wiatr ucichł po burzy. Trzy razy w tygodniu wykładał na kursach przygotowawczych, spotykał się z zamężną kochanką. Poza tym zajmował się pracami domowymi, chodził na spacer i poświęcał czas pisaniu własnej powieści. Tak minął kwiecień. Opadły kwiaty wiśni, pojawiły się świeże pędy roślin, rozkwitły magnolie, nadeszła następna pora roku. Dni płynęły gładko, regularnie, jak gdyby nigdy nic. Takiego właśnie życia pragnął Tengo – żeby jeden tydzień niezauważalnie, automatycznie przeradzał się w kolejny.

Lecz dostrzegł jedną zmianę. Zmianę na lepsze. Pisząc, zorientował się, że ma w sobie jakby nowe źródło. Tryskało z niego niewiele. Była to raczej strużka wypływająca spomiędzy skał. Lecz choć źródło zdawało się małe, nieprzerwanie ciurkała z niego woda. Nie trzeba się spieszyć. Nie trzeba się niecierpliwić. Wystarczy poczekać, aż w wyżłobieniu skały nazbiera się dość wody. Wtedy będzie mógł jej zaczerpnąć dłonią. A potem trzeba tylko usiąść przy biurku i nadać jej kształt słów. Tak opowieść sama naturalnie się rozwijała.

Być może dzięki temu, że tak wcześniej całkowicie pochłonęło go poprawianie *Powietrznej poczwarki*, przesunęły się skały zasłaniające dotąd to źródło. Sam Tengo nie bardzo rozumiał, jak do tego doszło, ale miał nieodparte wrażenie, że jakaś ciężka pokrywa w końcu się odsunęła. Czuł się lżejszy, jakby wyszedł z jakiegoś ciasnego pomieszczenia i mógł rozprostować nogi i ręce. Prawdopodobnie *Powietrzna poczwarka* stała się bodźcem, który skutecznie pobudził coś, co Tengo w sobie nosił.

Zauważył, że narodziła się w nim jakby wola zwycięstwa. Nigdy w życiu jeszcze mu się to nie zdarzyło. Trenerzy dżudo i starsi koledzy w liceum i na studiach często mu powtarzali: „Masz zdolności, masz siłę i dużo trenujesz. A mimo to nie masz w sobie woli zwycięstwa”. Może rzeczywiście mieli rację. Z jakiegoś powodu nie czuł, że musi za wszelką cenę wygrać. Dlatego dochodził do półfinału czy finału, ale często łatwo przegrywał najważniejszą ostatnią walkę. Nie tylko w dżudo. Tengo ogólnie miał taką tendencję. Był zbyt spokojny, nie umiał

„rzucić wszystkiego na jedną szalę”. To samo dotyczyło pisania. Potrafił nieźle pisać i snuć interesujące opowieści. Lecz nie miały one tej nieodpartej siły, która porwałaby czytelnika. Po przeczytaniu miało się wrażenie, że czegoś tu brak. Dlatego, choć dochodził do finałów konkursów literackich, nigdy nie dostał nagrody. Komatsu zawsze mu to wypominał.

Jednak po poprawieniu *Powietrznej poczwarki* Tengo po raz pierwszy w życiu poczuł coś w rodzaju gorzkiego żalu. W czasie pracy nad poprawkami był tym tekstem całkowicie pochłonięty. Pisał, nie myśląc o niczym innym. Gdy przekazał Komatsu ukończony tekst, ogarnęła go kompletna bezsilność. Kiedy to uczucie nieco zelżało, poczuł budzący się wewnątrz gniew. Był to gniew na samego siebie. Pożyczyłem sobie cudzy utwór i dokonałem poprawek, które są oszustwem. Czułem w sobie dużo więcej zapału niż przy pisaniu własnej książki. Na tę myśl zrobiło mu się wstyd. Czy pisarz nie powinien szukać opowieści w sobie, by móc potem przelać ją na papier, wyrazić właściwymi słowami? Jesteś żałosny. Przecież, gdybyś naprawdę chciał, sam mógłbyś coś takiego napisać. Nie uważasz?

Lecz musiał tego dowieść.

Postanowił wyrzucić wszystkie rozpoczęte dotąd utwory. I rozpocząć na białej kartce pisanie zupełnie nowej opowieści. Zamknął oczy i długo wsłuchiwał się w szmer wody tego wewnętrznego źródła. Wkrótce słowa pojawiły się same. Tengo nieśpiesznie przekształcał je w zdania.

* * *

W maju po długiej przerwie zadzwonił Komatsu. Dochodziła dziewiąta wieczorem.

– Jest decyzja – powiedział. W jego głowie brzmiał ton lekkiego podniecenia. Bardzo rzadko mu się to zdarzało.

Z początku Tengo nie rozumiał, o co chodzi.

– W jakiej sprawie?

– Jak to w jakiej sprawie? Przed chwilą zapadła decyzja, że *Powietrzna poczwarka* dostanie nagrodę za debiut. Wszyscy jurorzy się zgodzili. Nie było żadnych kontrowersji. No, nie ma się co dziwić. To jest jednak bardzo dobry utwór. Tak czy inaczej sprawy ruszyły naprzód. No, to teraz jedziemy na jednym wózku. Trzymajmy się, nie dajmy się.

Tengo spojrział w kalendarz wiszący na ścianie. Rzeczywiście, dziś był dzień ogłoszenia wyników konkursu literackiego. Pochłonięty pisaniem powieści stracił rachubę czasu.

– To co będzie dalej? Chodzi mi o harmonogram – zapytał Tengo.

– Jutro ogłoszą werdykt w prasie. Jednocześnie we wszystkich krajowych gazetach ukażą się artykuły. Niewykluczone, że zamieszczą też zdjęcie. Piękna siedemnastolatka – już tylko z tego zrobi się niezły szum. Nie powinienem tak mówić, ale wartość medialna Fukaeri jako laureatki jest zupełnie inna niż gdyby wygrał na przykład trzydziestoletni nauczyciel kursów przygotowawczych, który wygląda jak miś właśnie przebudzony ze snu zimowego.

– Różnimy się jak niebo i ziemia.

– Szesnastego maja odbędzie się ceremonia wręczenia nagrody w hotelu w Shinbashi. Tam planowana jest konferencja prasowa.

– Fukaeri weźmie w niej udział?

– Pewnie tak. Tylko raz. Laureat nie może nie pojawić się na wręczeniu nagród. Jeżeli uda się tam nie popełnić większego błędu, potem możemy przyjąć taktykę całkowitego unikania publicznych wystąpień. Niezmiernie nam przykro, lecz pisarka nie lubi spotkań i wywiadów. W ten sposób uda się nam jakoś wykręcić i uniknąć skandalu.

Tengo próbował sobie wyobrazić Fukaeri podczas konferencji prasowej w sali jakiegoś hotelu. Rząd mikrofonów, błyskające flesze. Marnie to widział.

– Czy naprawdę ma pan zamiar urządzić konferencję prasową?

– Raz trzeba, inaczej będzie to źle wyglądało.

– Ale to na pewno wypadnie strasznie.

– Twoja rola polega na zagwarantowaniu, żeby nie wypadło strasznie.

Tengo milczał. Miał złe przeczucia – unosiły się nad horyzontem jak czarna chmura.

– Halo? Jesteś tam? – zapytał Komatsu.

– Jestem. Co to ma znaczyć? To o mojej roli.

– Starannie przeskolisz Fukaeri w kwestii możliwego przebiegu konferencji prasowej i strategii zachowania. W takich sytuacjach zwykle padają mniej więcej takie same pytania. Więc przygotujecie odpowiedzi na zestaw pytań, których można się spodziewać, i każesz jej się nauczyć ich na pamięć. Uczysz przecież na kursach. Na pewno wiesz, o co chodzi.

– I ja mam to zrobić?

– No tak, bo ona ci z jakiegoś powodu ufa. Ciebie posłucha. Mnie nie. Jeszcze nawet się nie zgodziła ze mną spotkać.

Tengo westchnął. W miarę możliwości nie chciał już mieć nic wspólnego ze sprawą *Powietrznej poczwarki*. Zrobił, co mu polecono, a teraz chciał się skupić na własnej pracy. Ale miał przeczucie, że tak łatwo mu się to nie uda. A złe przeczucia, statystycznie rzecz biorąc, znacznie częściej się sprawdzają niż dobre.

– Masz czas pojutrze późnym popołudniem?

– Mam.

– O szóstej w Shinjuku w tej kawiarni co zwykle. Fukaeri tam będzie.

– Proszę pana, ja tego nie potrafię. Niewiele wiem o konferencjach prasowych. Nigdy żadnej nie widziałem.

– Przecież chcesz zostać pisarzem? Więc sobie wyobraź! Praca pisarza polega przecież na wyobrażaniu sobie rzeczy, których się nigdy nie widziało.

– Ale przecież pan powiedział, że wystarczy, jak poprawię *Powietrzną poczwarkę*. Resztą pan się zajmie, a ja mogę siedzieć na widowni i spokojnie oglądać sobie dalszą część meczu.

– Słuchaj, Tengo. Gdybym mógł, z przyjemnością sam bym to zrobił. Nie lubię prosić ludzi o przysługi. Ale proszę cię uprzejmie, bo sam nie mogę. Gdyby porównać naszą sytuację do płynięcia łódką w dół rwącej rzeki, to siedzę w tej chwili przy sterze i nie mogę od niego odejść. Dlatego tobie powierzyłem wiosła. Ale jeśli powiesz, że nie możesz wiosłować, łódka może się wywrócić i wszyscy się utopimy. Łącznie z Fukaeri. Przecież nie chcesz, żeby do tego doszło.

Tengo znowu westchnął. Dlaczego zawsze ładował się w sytuacje, w których w żaden sposób nie mógł odmówić?

– Dobrze. Spróbuję zrobić, co w mojej mocy. Ale nie gwarantuję, że się uda.

– Postaraj się. Będę ci wdzięczny. Poza tym to Fukaeri postanowiła, że tylko z tobą będzie rozmawiać – powiedział Komatsu. – I jeszcze jedno. Założymy nową firmę.

– Firmę?

– Biuro, agencję, firmę produkcyjną... jak go zwał, tak go zwał. W każdym razie firmę zajmującą się obsługą działalności pisarskiej Fukaeri. Oczywiście fikcyjną firmę. Oficjalnie właśnie ta firma będzie jej wypłacać wynagrodzenie. Na papierze szefem zostanie profesor Ebisuno. Ty też staniesz się pracownikiem tej firmy. Wszystko ci jedno, jakie będziesz miał oficjalne stanowisko, prawda? W każdym razie stamtąd dostaniesz wynagrodzenie. Ja też się włączę, ale nieoficjalnie. Gdyby się wydało, że mam w tym udział, powstałyby problemy. W ten sposób podzielimy się zyskami. Ty tylko podpiszesz kilka dokumentów. A resztę bez problemu załatwię ja. Mam znajomego sprytnego prawnika.

Tengo zastanowił się nad tym.

– Proszę pana, czy mógłby mnie pan z tego wyłączyć? Nie potrzebuję wynagrodzenia. Poprawianie *Powietrznej poczwarki* sprawiło mi przyjemność. Wiele się przy tym nauczyłem. I bardzo się cieszę, że Fukaeri dostała nagrodę za debiut. Zrobię, co będę mógł, żeby dobrze wypadła na konferencji prasowej. Jakoś sobie z tym poradzę. Ale nie chcę mieć nic wspólnego z taką lewą firmą. Przecież to czysty świetnie zorganizowany szwindel?

– Tengo, już nie możesz się wycofać – powiedział Komatsu. – Zorganizowany szwindel? Rzeczywiście, może masz rację. Pewnie można to tak nazwać. Ale przecież od początku o tym wiedziałeś. Od początku plan polegał na tym, żeby stworzyć postać w połowie nieistniejącej pisarki Fukaeri i oszukać opinię publiczną. Czy nie tak było? Oczywiście zaczynają się z tym wiązać pieniądze i staje się potrzebny dobrze funkcjonujący system do obracania nimi. To nie jest zabawa. Teraz już nie działa wymówka typu: „Boję się, więc nie chcę mieć z tym nic wspólnego. Nie potrzebuję pieniędzy”. Jak miałeś wysiadać z łódki, trzeba było wysiąść wcześniej, kiedy nurt był jeszcze łagodny. Teraz już za późno. Do założenia firmy potrzebnych jest na papierze parę osób, a przecież nie można teraz wciągać w to kogoś, kto się nie orientuje w sytuacji. Musisz się włączyć w tę firmę. Przecież to wszystko zaszło tak daleko przy twoim pełnym udziale.

Tengo wyteżał umysł, ale nie przychodził mu do głowy żaden dobry pomysł.

– Mam jedno pytanie – powiedział. – Z tego, co pan mówi, wynika, że profesor Ebisuno będzie całkowicie zaangażowany w ten plan. Że już zgodził się na utworzenie fikcyjnej firmy i kierowanie nią.

– Profesor jako opiekun prawny Fukaeri w pełni rozumie i akceptuje sytuację, dał mi wolną rękę. Po rozmowie z tobą od razu do niego zadzwoniłem. Oczywiście pamiętał mnie. Podobno tylko chciał od ciebie usłyszeć, co o mnie sądzisz. Był pełen podziwu dla twojego bystrego osądu ludzi. Co ty właściwie o mnie powiedziałaś?

– A jaką korzyść z tego, że się włączy w ten plan, będzie miał profesor? Trudno uwierzyć, że robi to dla pieniędzy.

– Zgadza się. Nie pracowałby dla takich marnych pieniędzy.

– To dlaczego włącza się w taką podejrzaną sprawę? Czy może coś z tego mieć?

– Tego to i ja nie wiem. To człowiek, który ze wszystkim się kryje.

– A ponieważ pan też się z niczym nie zdradza, może się okazać, że za tym wszystkim kryje się niejedno.

– Może i tak. Wygląda na niewinnego dziadka, ale w rzeczywistości jest zagadką.

– A na ile Fukaeri orientuje się w całej sprawie?

– Nic nie wie o tym, co się dzieje za kulisami, i nie musi wiedzieć. Ufa profesorowi Ebisuno, a ciebie lubi. Dlatego muszę cię prosić, żebyś jeszcze ten jeden raz się postarał.

Tengo przełożył słuchawkę do drugiej ręki. Musiał jakoś sprostać sytuacji.

– A propos, profesor Ebisuno nie jest już naukowcem, prawda? Odszedł z uczelni i nie pisze książek.

– Uhm, tak, całkowicie zerwał ze sprawami naukowymi. Był wybitnym naukowcem, ale zdaje się, że nie tęskni szczególnie za światem uniwersyteckim. Od początku nie podobały mu się walka o władzę i biurokracja. To raczej heretyk.

– A teraz czym się zajmuje?

– Podobno handlem akcjami – powiedział Komatsu. – A jeśli uważasz, że to zbyt staroświeckie wyrażenie, można go nazwać konsultantem inwestycyjnym. Zbiera od ludzi mnóstwo kapitału inwestycyjnego, obraca nim i zarabia na prowizjach. Ukrył się tam w górach i tylko zleca sprzedaż i kupno. Prawdopodobnie ma nosa. Jest wyrobiony w analizowaniu informacji, stworzył własny system. Najpierw zajmował się tym hobbystycznie, ale wkrótce stało się to jego głównym zajęciem. Tak mówią. Jest dosyć znany w tamtych kręgach. Jedno na pewno można powiedzieć – nie ma problemów finansowych.

– Nie bardzo wiem, co ma wspólnego antropologia kulturowa z akcjami.

– Zasadniczo nic. Ale dla niego ma.

– I ze wszystkim się kryje.

– Zgadza się.

Tengo przez chwilę przyciskał palcami skronie. Potem zrezygnowany powiedział: – Pojutrze o szóstej spotkam się z Fukaeri w tej kawiarni co zwykle i naradzimy się w sprawie

konferencji prasowej. To wystarczy, tak?

– Taki jest plan – powiedział Komatsu. – Słuchaj, Tengo, nie przejmuj się tym tak bardzo. Co będzie, to będzie. Takie rzeczy nie tak często się w życiu zdarzają. To świat jak ze wspaniałej powieści Iłtryzkowskiej. Zachowajmy spokój i cieszymy się intensywnym zapachem zła. Nie bójmy się tej rwącej rzeki. A kiedy będziemy spadać ze szczytu wodospadu, spadniemy z hukiem wszyscy razem.

* * *

Dwa dni później, po południu, Tengo spotkał się z Fukaeri w Shinjuku. Miała na sobie obcisły cienki letni sweterek podkreślający kształt piersi i dzinsy rurki. Włosy proste i długie, cerę lśniącą i gładką. Mężczyźni wokoło zerkali na nią. Tengo czuł ich spojrzenia. Lecz wyglądało na to, że sama Fukaeri w ogóle nie zauważa takich rzeczy. Rzeczywiście, jeżeli taka dziewczyna wygrała konkurs literacki, może się zrobić szum.

Fukaeri wiedziała już, że *Powietrzna poczwarka* otrzymała nagrodę. Lecz nie wyglądała na szczególnie zadowoloną ani podnieconą z tego powodu. Było jej obojętne, czy dostała nagrodę za debiut, czy nie. Chociaż dzień był prawie letni, zamówiła sobie gorące kakao. Piła je z namaszczeniem, trzymając kubek w obu dłoniach. Nie słyszała wcześniej o konferencji prasowej, lecz gdy jej powiedział, nie okazała żadnych emocji.

– konferencja prasowa – powtórzyła.

– Zbierają się dziennikarze z różnych gazet i czasopism. Ty siedzisz na podium, a oni zadają ci pytania. Robią zdjęcia. Może też przyjdzie telewizja. Twoje odpowiedzi opublikują w prasie w całym kraju. Nieczęsto się zdarza, żeby siedemnastolatka dostała nagrodę za debiut, więc zrobi się szum. Mówi się też o tym, że jurorzy nie mieli żadnych wątpliwości i podjęli decyzję jednogłośnie. To rzadka sprawa.

– zadają pytania – zapytała Fukaeri.

– Oni będą zadawać pytania, a ty będziesz odpowiadała.

– jakie pytania

– O różne rzeczy. O twój utwór, o ciebie, twoje życie prywatne, hobby i o plany na przyszłość. Więc może lepiej przygotować się do odpowiedzi.

– dlaczego

– Bo tak będzie bezpieczniej. Uniknie się tego, że się zatniesz, albo powiesz coś, co wywoła jakieś nieporozumienie. Chyba nie zaszkodzi się trochę przygotować. Tak jakby zrobić próbę generalną.

Fukaeri w milczeniu piła kakao. Potem spojrzała na Tengo (jakby mówiła: specjalnie mnie to nie interesuje, ale skoro pan sądzi, że to potrzebne). Czasami jej oczy były bardziej wymowne niż usta. A przynajmniej wypowiadały więcej niż jedno zdanie. Ale nie da się odbyć konferencji prasowej, posługując się jedynie wyrazem oczu.

Tengo wyjął z torby kartkę i rozłożył ją. Napisał na niej pytania, których można się było spodziewać na konferencji prasowej. Sporządził tę listę wczoraj wieczorem, długo łamiąc sobie nad nią głowę.

– Wyobraź sobie, że jestem dziennikarzem. Ja będę pytał, a ty odpowiadaj.

Fukaeri skinęła głową.

– Czy wiele do tej pory napisałaś?

– wiele – odparła Fukaeri.

– Kiedy zaczęłaś pisać?

– dawno temu

– Dobrze – powiedział Tengo. – Krótkie odpowiedzi są dobre. Nie trzeba mówić nic niepotrzebnego. Bardzo dobrze. Chodzi ci o to, że Azami już wcześniej za ciebie pisała, tak?

Fukaeri skinęła głową.

– Tego nie musisz mówić. To nasza tajemnica.

– nie powiem

– Czy kiedy wysyłałaś powieść na konkurs, spodziewałaś się, że dostaniesz nagrodę?

Uśmiechnęła się, lecz nie odezwała. Milczała.

– Nie chcesz odpowiedzieć, tak? – zapytał Tengo.

– uhm

– Dobrze. Kiedy nie chcesz odpowiedzieć, możesz uśmiechnąć się i milczeć. To było głupie pytanie.

Fukaeri znowu kiwnęła głową.

– Jak wpadłaś na pomysł *Powietrznej poczwarki*?

– wyszła ze ślepej kozy

– Nie mów „ślepej”. Lepiej użyć słowa „niewidomej”.

– dlaczego

– Bo „ślepy” to termin dyskryminujący. Niektórzy dziennikarze mogą od tego dostać lekkiego zawału.

– termin dyskryminujący

– Za długo byłoby tłumaczyć. Tak czy inaczej, możesz powiedzieć „niewidoma koza” zamiast „ślepa koza”?

Po krótkim milczeniu Fukaeri powiedziała: – wyszła z niewidomej kozy

– Dobrze.

– nie mówić ślepa – upewniła się Fukaeri.

– O to chodzi. Ale to bardzo dobra odpowiedź. – Tengo pytał dalej: – Co twoje szkolne koleżanki powiedziały na wiadomość o nagrodzie?

– nie chodzę do szkoły

– Dlaczego nie chodzisz do szkoły?

Bez odpowiedzi.

– Będziesz dalej pisała?

Dalsze milczenie.

Tengo dopił kawę i odstawił filiżankę na spodek. Z wbudowanych w sufit głośników dobiegała cicho melodia piosenki z filmu *Dźwięki muzyki* w wersji na instrumenty smyczkowe. *Raindrops on roses and whiskers on kittens...*

– źle odpowiadam – zapytała Fukaeri.

– Nieźle. Wcale nieźle.

– to dobrze

Tengo mówił szczerze. Jak na kogoś, kto zawsze mówi nie więcej niż jedno zdanie i nie używa znaków przestankowych, te odpowiedzi były w pewnym sensie perfekcyjne. Najlepsze było w nich to, że padały natychmiast. Poza tym odpowiadała, patrząc prosto na słuchacza i bez mrugnięcia okiem. To dowód, że mówiła szczerze. Jej odpowiedzi były zwięzłe, ale nie dlatego, że kpiła sobie ze słuchaczy. Poza tym prawdopodobnie nikt dokładnie nie zrozumie, o czym mówi. Tego właśnie życzył sobie Tengo. Żeby robiła wrażenie szczerzej, ale zrećźnie skołowała słuchaczy.

– Twoja ulubiona powieść?

– *opowieść o rodzie heike**

Co za wspaniała odpowiedź, pomyślał Tengo. – Którą część *Opowieści o rodzie Heike* szczególnie lubisz?

– całość

– A poza tym?

– *opowieści dawne i współczesne* *.

– Nie czytasz nowszej literatury?

Zastanowiła się przez chwilę. – *zarządca sanshō*

Wspaniale! Mori Ōgai napisał *Zarządcę Sanshō* bodajże w 1915 roku. To dla niej nowsza literatura.

– A jakie masz hobby?

– słuchanie muzyki

– Jakiej muzyki?

– bach jest dobry

– Co ci się szczególnie podoba?

– od bww 846 do bww 893*

Po krótkim namyśle Tengo powiedział: – *Dobrze temperowany klawesyn*, część pierwsza i druga.

– uhm

* Epos średniowieczny z początków XIII wieku.

* Zbiór opowieści anegdotycznych z XII wieku.

* Bach-Werke-Verzeichnis kompletny katalog dzieł Jana Sebastiana Bacha stworzony przez Wolfganga Schmiedera, wydany w 1950 r. w Lipsku.

– Dlaczego podałaś numery katalogowe?

– tak łatwiej zapamiętać

Dobrze temperowany klawesyn to dla matematyka prawdziwie boskie brzmienie. Bach napisał preludia i fugi, a każda para kompozycji jest w innej z dwunastu tonacji minorowych lub majorowych w pochodzie chromatycznym. Łącznie dwadzieścia cztery utwory. W obu tomach jest ich razem czterdzieści osiem. Powstaje w ten sposób pełny cykl.

– A jakie inne utwory lubisz?

– bwv 424

Tengo nie mógł sobie od razu uświadomić, co to jest. Pamiętał numer, ale nie przypominał sobie tytułu utworu. Fukaeri zaczęła śpiewać:

Buß und Reu

Buß und Reu

knirscht das Sündenherz entzwei

Buß und Reu

Buß und Reu

knirscht das Sündenherz entzwei

knirscht das Sündenherz entzwei

Buß und Reu

Buß und Reu

knirscht das Sündenherz entzwei

Buß und Reu

knirscht das Sündenherz entzwei

Daß die Tropfen meiner Zähren

Angenehme Spezerei

Treuer Jesu, dir gebären

Tengo na chwilę zaniemówił. Troszeczkę fałszowała, lecz jej wymowa niemiecka była czysta i zadziwiająco poprawna.

– *Pasja według świętego Mateusza* – stwierdził Tengo. – Znasz słowa.

– nie znam

Tengo chciał coś powiedzieć, ale zabrakło mu konceptu. Poddał się, spojrział na kartkę z pytaniami i przeszedł do następnego.

– Masz chłopaka?

Fukaeri potrząsnęła głową.

– Dlaczego nie masz?

– bo nie chcę zająć w ciążę

– Myślę, że nie musiałabyś zachodzić w ciążę, nawet gdybyś miała chłopaka.

Fukaeri się nie odezwała. Tylko kilka razy spokojnie mrugnęła powiekami.

– Dlaczego nie chcesz zająć w ciążę?

Fukaeri siedziała nieruchomo i milczała. Tengo miał wrażenie, że zadał bardzo głupie pytanie.

– Dajmy spokój – powiedział, chowając do torby kartkę. – Nie wiemy, jakie naprawdę padną pytania, możesz odpowiadać, jak chcesz. Dasz sobie radę.

– to dobrze – powiedziała Fukaeri jakby z ulgą.

– Uważasz, że nie ma sensu się przygotowywać do wywiadów?

Fukaeri lekko wzruszyła ramionami.

– Ja się z tobą zgadzam. Ja też nie dlatego to robię, że lubię. Tylko dlatego, że pan Komatsu mnie o to poprosił.

Fukaeri skinęła głową.

– Tylko nie mów nikomu, że to ja poprawiłem *Powietrzną poczwarkę*. Rozumiesz, prawda?

Fukaeri dwukrotnie kiwnęła głową.

– sama napisałam

– Tak czy inaczej *Powietrzna poczwarka* to twój i tylko twój utwór, niczyj inny. To jest jasne od początku.

– sama napisałam – powtórzyła Fukaeri.

– Czytałaś wersję poprawioną przeze mnie?

– azami mi przeczytała

– I jak?

– bardzo dobrze pan pisze

– To znaczy, że ci się podobała?

– jakbym ja napisała

Tengo spojrział na Fukaeri. Podniosła kubek do ust i napiła się kakao. Musiał się starać, żeby nie gapić się na jej kształtne piersi.

– Cieszę się, że tak myślisz – powiedział Tengo. – Poprawianie *Powietrznej poczwarki* sprawiło mi wielką przyjemność. Ale oczywiście namęczyłem się, żeby nie zmienić tego, że to twój i tylko twój utwór. Dlatego ważne dla mnie było, czy gotowy utwór ci się spodoba, czy nie.

Fukaeri w milczeniu przytaknęła. A potem, jakby się w coś upewniała, podniosła rękę do płatka kształtnego ucha.

Podeszła kelnerka i dołączyła im do szklanek wody. Tengo wypił łyk, bo zaschło mu w gardle. Potem zebrał się na odwagę i wyraził myśl, z którą nosił się od pewnego czasu.

– Mam do ciebie prywatną prośbę. Oczywiście, jeśli nie będziesz miała nic przeciwko temu.

– jaką

– Czy mogłabyś się ubrać na konferencję prasową tak samo jak dzisiaj?

Fukaeri patrzyła na Tengo, jakby nie bardzo rozumiała, o co chodzi. Potem spojrzała kolejno na elementy swego stroju. Zupełnie jakby do tej pory nie zauważyła, co ma na sobie.

– mam się ubrać w to ubranie

– Uhm. Masz się na konferencję prasową ubrać w to, co masz teraz na sobie.

– dlaczego

– Bo ładnie ci w tym. To znaczy, ten strój dobrze podkreśla kształt twoich piersi, więc – choć to jedynie moje przypuszczenia – dziennikarze niechętni będą się na nie gapić i myślę, że w ten sposób może unikniesz ostrych pytań. Ale jeśli nie chcesz, to nie ma sprawy. Nie chcę cię do tego zmuszać.

– azami wybiera wszystkie moje ubrania

– Ty nie wybierasz?

– mnie wszystko jedno co noszę

– I ten dzisiejszy strój też wybrała Azami?

– azami wybrała

– Ale bardzo dobrze w tym wyglądasz.

– w tym ubraniu mam ładny kształt piersi – zapytała bez znaku zapytania.

– O to chodzi. Jak by to powiedzieć? Rzucają się w oczy.

– dobre jest zestawienie tego sweterka z tym stanikiem

Kiedy Fukaeri spojrzała mu prosto w oczy, Tengo poczuł, że płoną mu policzki.

– Nie wiem nic o takich zestawieniach, ale w każdym razie, jakby to powiedzieć, daje dobry efekt – wyjaśnił.

Fukaeri nadal nieruchomo patrzyła mu w oczy. Potem poważnie zapytała: – niechętny się pan gapi

– Muszę niechętnie przyznać – powiedział Tengo, ostrożnie dobierając słowa.

Fukaeri pociągnęła w dół wycięcie sweterka i zajrzała do środka, jakby chciała wsadzić tam nos. Prawdopodobnie sprawdzała, jaką ma dziś na sobie bieliznę. Następnie przez chwilę przyglądała się oblanej rumieńcem twarzy Tengo, jakby widziała coś niezwykłego.

– zrobię jak pan mówi – powiedziała po pewnym czasie.

– Dziękuję – odparł Tengo i na tym zakończyła się narada.

* * *

Tengo odprowadzał Fukaeri na dworzec Shinjuku. Wiele osób pozdejmoowało kurtki. Widzieli nawet kobiety w bluzkach bez rękawów. Gwar ludzi i warkot samochodów zlały się w jedno, tworząc charakterystyczny, dający poczucie wyzwolenia miejski szum. Wiał świeży letni wiaterek. Skąd taki ślicznie pachnący wiatr mógł się wziąć w Shinjuku? Tengo nie mógł się nadziwić.

– Wracasz teraz do tamtego domu? – zapytał Fukaeri. Pociągi będą zatłoczone i dotarcie do domu zajmie jej potwornie dużo czasu.

Fukaeri potrząsnęła głową.

– jest mieszkanie w shinanomachi

– Jak jest późno, to tam się zatrzymujesz?

– bo do futamatao za daleko

Po drodze na dworzec Fukaeri jak przedtem trzymała lewą dłoń Tengo. Zupełnie jak dziecko idące za rękę z dorosłym. Ale i tak serce biło mu mocniej, bo trzymała go za rękę taka piękna dziewczyna. Kiedy doszli do dworca, puściła jego dłoń. Potem kupiła w automacie bilet do Shinanomachi.

– niech się pan nie martwi o konferencję prasową

– Nie martwię się.

– nie trzeba się martwić dobrze sobie poradzę

– Wiem – odpowiedział Tengo. – O nic się nie martwię. Na pewno dobrze pójdzie.

Fukaeri bez słowa zniknęła w tłumie przechodzącym przez bramkę biletową.

* * *

Po rozstaniu z Fukaeri Tengo wszedł do małego baru niedaleko księgarni Kinokuniya i zamówił dzin z tonikiem. Czasami tu bywał. Podobało mu się, że lokal zachował stary styl i nie grała muzyka. Usiadł przy barze i nie myśląc o niczym szczególnym, wpatrywał się przez pewien czas w lewą dłoń. Tę, którą przed chwilą ścisnęła Fukaeri. Czuł jeszcze uścisk palców dziewczyny. Przypomnił sobie kształt jej piersi. Bardzo ładny kształt. Były tak piękne, że prawie straciły dla niego seksualne znaczenie.

Kiedy myślał o takich rzeczach, nabrał ochoty, żeby porozmawiać ze swoją kochanką. Nie na żaden szczególny temat. Wszystko jedno o czym: mogła narzekać na problemy wychowawcze albo mówić o procentowym poparciu dla rządów Nakasone. Tylko strasznie chciał usłyszeć jej głos. Gdyby to było możliwe, chciałby zaraz się z nią gdzieś spotkać i iść do łóżka. Ale dzwonienie do niej nie wchodziło w rachubę. Mógł odebrać męż. Mogło odebrać dziecko. Nie dzwonił do niej. Taką mieli umowę.

Tengo zamówił jeszcze jeden dzin z tonikiem i czekając, wyobrażał sobie, jak płynie małą łódką w dół rwącej rzeki. A kiedy będziemy spadać ze szczytu wodospadu, spadniemy z wielkim pluskiem wszyscy razem, powiedział przez telefon Komatsu. Ale czy można po prostu wierzyć w to, co mówi? Być może tuż przed wodospadem Komatsu szybko wyskoczy na pobliską skałę. Przepraszam cię, Tengo. Ale nagle przypomniałem sobie, że muszę coś załatwić. Zajmij się resztą, dobra? – powie na pożegnanie. A Tengo nie uda się uciec i sam spadnie z wielkim pluskiem ze szczytu wodospadu. To niewykluczone. A raczej – całkiem prawdopodobne.

* * *

Wrócił do domu i poszedł spać. Miał sen. Dawno nie śniło mu się nic tak realnego. Był malutkim kawałkiem wielkiej układanki. Lecz nie miał ustalonego kształtu – jego kształt zmieniał się co chwila. Dlatego nigdzie nie pasował. Nic dziwnego. Do tego prócz szukania właściwego miejsca, żeby się wpasować w układankę, musiał w tym samym przeznaczonym mu czasie pozierać partyturę muzyki dla kotłów. Silny wiatr porozwiewał kartki i porozrzucił je na wszystkie strony. Tengo zbierał jedną po drugiej. Musiał sprawdzać numery stron i układać je w odpowiedniej kolejności. Jednak przez cały czas jak ameba zmieniał kształt. W końcu przestał panować nad sytuacją. Wkrótce nadeszła skądś Fukaeri i chwyciła go za lewą rękę. Wtedy Tengo przestał się przeobrażać. Wiatr nagle ustał, kartki z muzyką przestały fruwać. Całe szczęście, pomyślał Tengo. Lecz jednocześnie dobiegał końca czas, jaki mu dano.

– na tym koniec – powiedziała Fukaeri cichym głosem. Jak zawsze jedno zdanie.

Czas całkowicie się zatrzymał, świat dobiegł końca. Ziemia powoli przestała się obracać, zniknęły wszystkie dźwięki i światło.

Kiedy obudził się następnego ranka, świat nadal trwał niezmienny. Życie posuwało się naprzód. Jak olbrzymie koło z indyjskiej legendy, które miażdży wszystkie żywe stworzenia na swojej drodze.

Rozdział siedemnasty – Aomame

Czy będziemy szczęśliwi, czy nieszczęśliwi?

Następnego wieczoru na niebie dalej wisały dwa księżycy. Większy był taki jak zwykle. Zdziwiająco biały, jakby dopiero co przeszedł przez hałdę palonego wapna, ale poza tym wyglądał jak zwykły, znany, dawny księżyc. Ten, na którym w ów gorący letni dzień w sześćdziesiątym dziewiątym roku Neil Armstrong zrobił mały krok dla człowieka, ale wielki krok dla ludzkości. Obok tego księżycy lśnił drugi zielonkawy i niewielki o nieregularnym kształcie. Unosił się nieśmiało obok dużego jak mniej zdolny uczeń.

Musiało mi się pomieszać w głowie, pomyślała Aomame. Od zawsze był jeden księżyc i teraz też powinien być jeden. Gdyby nagle przybył drugi, powinno to wywołać różne konkretne zmiany w życiu na ziemi. Na przykład zasadniczo zmieniłyby się przypływy i odpływy i na pewno szeroko by o tym dyskutowano. Nie mogłabym tego nie zauważyć. To nie to samo co zwykle przegapienie z jakiegoś powodu artykułu w gazecie.

Ale czy naprawdę tak jest? Czy mogę to stwierdzić ze stuprocentową pewnością? Aomame krzywiła się przez pewien czas. Ostatnio dzieją się wokół mnie dziwne rzeczy. Bez mojej wiedzy świat posuwa się naprzód, jak mu się tylko podoba. Zupełnie jakbyśmy grali w tę grę, w której wszyscy mogą się poruszać tylko wtedy, kiedy ja mam zamknięte oczy. A skoro tak, to być może nie ma nic dziwnego w tym, że na niebie unoszą się dwa księżycy. Kiedyś, gdy moja świadomość przysnęła, ten drugi podobny do swego dalekiego kuzyna zjawił się nieoczekiwanie z kosmosu i postanowił zostać w sferze ziemskiego przyciągania.

Zmieniono umundurowanie i pistolety policji. W górach prefektury Yamanashi odbyła się gwałtowna strzelanina między oddziałami policji a grupą ekstremistów. To wszystko działo się bez mojej wiedzy. W wiadomościach podali też, że Stany Zjednoczone wspólnie ze Związkiem Radzieckim zbudowały bazę na Księżycu. Czy ma to jakiś związek ze wzrostem liczby księżyców? Szukała w pamięci, czy w przeglądanych w bibliotece wydaniach gazet był jakiś artykuł na temat nowego księżycy, ale niczego nie mogła sobie przypomnieć.

Dobrze byłoby kogoś zapytać, ale Aomame nie przychodziło do głowy, kogo i jak mogłaby zapytać. Czy miała powiedzieć: – Słuchaj, zdaje mi się, że na niebie są dwa księżycy. Czy mógłbyś (mogłabyś) ty też spojrzeć? – Ale to głupie pytanie, tak czy inaczej.

Jeżeli faktycznie przybył drugi księżyc, dziwnie wyglądałoby, że Aomame o tym nie wie. Jeśli zaś ciągle był jak dotąd tylko jeden, uznano by ją za wariatkę.

Usiadła na metalowym krześle, oparła stopy na balustradzie balkonu i wymyśliła dziesięć sposobów zadania tego pytania. Wypowiedziała je nawet na głos. Ale wszystkie brzmiały równie idiotycznie. Nie ma rady. Sytuacja przekroczyła granice rozsądku. Nie można o nią logicznie zapytać. To oczywiste.

Postanowiła odłożyć problem drugiego księżyca na później. Poczeka trochę i zobaczy, jak się sytuacja rozwinie. W tej chwili drugi księżyc nie sprawia jej żadnego kłopotu. A poza tym kto wie – może pewnego dnia spojrzy na niebo i okaże się, że nie wiadomo kiedy zniknął?

* * *

Następnego dnia po południu poszła do klubu fitness, przeprowadziła dwa treningi sztuk walki i jedną prywatną lekcję. Kiedy wpadła do recepcji, okazało się, że jest dla niej wiadomość od starszej pani z Azabu – co się zdarzało bardzo rzadko. Na kartce napisano, że ma zadzwonić w wolnej chwili.

Jak zawsze odebrał Tamaru.

Czy mogłaby się tu jutro pofatygować? Madame prosiłaby o taki program, jak zwykle. A potem, gdyby Aomame mogła, zjadłyby razem lekką kolację, powiedział Tamaru.

– Mogę przyjść po czwartej i z przyjemnością zjem z nią kolację – odparła Aomame.

– Świetnie. To do jutra po czwartej.

– Słuchaj, Tamaru, widziałeś ostatnio księżyc? – zapytała.

– Księżyc? – powtórzył. – Ten na niebie?

– Uhm.

– Nie pamiętam, żebym jakoś szczególnie świadomie go obserwował. Coś się stało w związku z księżycem?

– Nic się nie stało. To do jutra po czwartej.

Tamaru odczekał chwilę, a potem odłożył słuchawkę.

* * *

Tego wieczoru też ukazały się na niebie dwa księżyce. Sądząc po ich kształcie, minęły jakieś dwa dni od pełni. Ze szklaneczką brandy w dłoni Aomame przyglądała się długo tej niedopasowanej parze, jakby wpatrywała się w jakąś układankę, której za nic nie mogła dopasować. Im dłużej na nią patrzyła, tym bardziej zagadkowy wydawał jej się ten zestaw. Gdyby to było możliwe, chciałaby zapytać księżyc: Jak doszło do tego, że nagle zaczął ci towarzyszyć ten niewielki, zielony? Ale on, oczywiście, by jej nie odpowiedział.

Księżyc dłużej niż ktokolwiek inny obserwował z bliska ziemię. Prawdopodobnie widział wszystkie zachodzące na niej zjawiska i śledził ludzkie poczynania. Ale milczał i nic na ten temat nie mówił. Tylko zawsze chłodno i precyzyjnie nosił w sobie ciężar przeszłości. Nie było na nim powietrza ani wiatru. Próżnia nadawała się do przechowywania nieskazitelných wspomnień. Nikt nie mógł ulżyć temu księżycowemu sercu. Aomame wzniosła ku niemu szklaneczkę.

– Spałeś z kimś ostatnio? – zapytała.

Księżyc nie odpowiedział.

– Masz przyjaciół?

Księżyc nie odpowiedział.

– Nie męczy cię czasem ta chłodna obojętność?

Księżyc nie odpowiedział.

* * *

Jak zawsze przy bramie powitał ją Tamaru.

– Popatrzyłem na księżyc. Wczoraj – powiedział zaraz na wstępie.

– Tak?

– Od czasu, kiedy zapytałaś, ciągle o tym myślałem. Dawno na niego nie patrzyłem. Jednak jest piękny. Ogarnia człowieka spokój.

– Patrzyłeś ze swoim chłopakiem?

– Właśnie – powiedział Tamaru. Położył palec obok nosa. – No i coś się stało w związku z księżycem?

– Nic się nie stało – odparta Aomame. A później, starannie dobierając słowa, dodała: – Tylko jakoś ostatnio księżyc mnie niepokoi.

– Tak bez powodu?

– Bez szczególnego powodu.

Tamaru w milczeniu skinął głową. Wyglądało na to, że czegoś się domyśla. Ten człowiek nie wierzył, że rzeczy mogą się dziać bez przyczyny. Ale dalej się nie dopytywał, tylko jak zawsze poprowadził Aomame na oszkloną werandę. Starsza pani ubrana w dres do treningu siedziała w fotelu i czytała książkę, słuchając wersji instrumentalnej *Lachrimae* Johna Dowlanda. Bardzo lubiła ten utwór. Aomame też kilkakrotnie go słyszała i pamiętała melodię.

– Przepraszam, że umówiłam się z panią tak z dnia na dzień – powiedziała starsza pani.

– Powinnam była zrobić to wcześniej, ale akurat okazało się, że dziś będę miała czas.

– Mną się proszę nie przejmować – odparta Aomame.

Tamaru przyniósł na tacy czajniczek ze świeżo zaparzoną ziołową herbatą i nalał do dwóch eleganckich filiżanek, a potem wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Starsza pani z

Aomame popijały w ciszy herbatę, słuchając muzyki Dowlanda i patrząc na płonące barwami kwiaty azalii w ogrodzie. Zawsze mam wrażenie, że tu jest inny świat, pomyślała Aomame. Powietrze ma ciężar. I czas płynie w szczególny sposób.

– Kiedy słucham tej muzyki, czasami ogarniają mnie głębokie emocje związane z upływem czasu – powiedziała starsza pani, jakby czytając w myślach Aomame. – Na temat tego, że czterysta lat temu ludzie słuchali tej samej muzyki co my teraz. Kiedy pani o tym myśli, nie doznaje pani dziwnego uczucia?

– Hm, tak – odrzekła Aomame. – Ale można też powiedzieć, że czterysta lat temu ludzie patrzyli na ten sam księżyc co my teraz.

Starsza pani spojrzała na Aomame jakby lekko zdziwiona. Potem skinęła głową.

– Rzeczywiście, ma pani rację. Jak tak pomyśleć, to może nie ma nic szczególnie dziwnego w słuchaniu muzyki po czterystu latach.

– Może należałoby powiedzieć prawie ten sam księżyc – powiedziała Aomame i spojrzała na starszą panią. Lecz wyglądało na to, że jej wypowiedź nie wzbudziła większego zainteresowania.

– Nagranie na tej płycie kompaktowej to wersja na stare instrumenty – rzekła starsza pani. – Używają takich samych instrumentów jak niegdyś i grają zgodnie z zapisem nutowym z tamtych czasów. To znaczy, że muzyka jest mniej więcej taka sama jak wtedy. Podobnie jak księżyc.

– Ale choćby dana rzecz była taka sama, ludzie mogą ją zupełnie inaczej odbierać. Wtedy mrok nocy był głębszy, ciemniejszy, a więc i księżyc wydawał się o tyle jaśniejszy, większy i mocniej świecący. No i oczywiście ludzie nie mieli płyt, taśm ani kompaktów. Nie mieli możliwości na co dzień słuchać tak profesjonalnie wykonywanej muzyki, kiedy tylko przysła im ochota. Na pewno słuchali jej tylko przy bardzo specjalnych okazjach.

– Ma pani rację – przyznała starsza pani. – Ponieważ żyjemy w takich wygodnych czasach, pewnie przez to obniżyła nam się wrażliwość. Choć wiszący na niebie księżyc może być ten sam, pewnie widzimy go inaczej. Czterysta lat temu mieliśmy chyba bogatsze, bliższe natury dusze.

– Ale to były okrutne czasy. Ponad połowa dzieci umierała na choroby zakaźne i z niedożywienia, zanim zdążyła dorosnąć. Ludzie padali jak muchy na chorobę Heinego-Medina, gruźlicę, ospę czy odrę. Wśród pospólstwa mało kto dożywał czterdziestki. Kobiety rodziły wiele dzieci, mając trzydzieści lat traciły zęby i wyglądały jak stare babcie. Chcąc przeżyć, ludzie musieli niejednokrotnie uciekać się do przemocy. Nawet małe dzieci zmuszane były do ciężkiej pracy, która zniekształcała im kości, prostytutka małych dziewczynek była na porządku dziennym. I małych chłopców. Wielu ludzi żyło, nie mogąc zaspokoić podstawowych potrzeb życiowych w świecie, w którym brak było miejsca na wrażliwość czy bogactwo duszy. Ulice miast były pełne ludzi kalek, żebraków i przestępców. I prawdopodobnie tylko bardzo nieliczni mogli z głębokimi emocjami

wpatrywać się w księżyc, interesować się sztukami Szekspira czy wsłuchiwać się w piękną muzykę Dowlanda.

Starsza pani się uśmiechnęła.

– Pani jest bardzo interesującą osobą.

– Jestem zupełnie zwyczajna. Tylko lubię czytać. Szczególnie książki historyczne.

– Ja też lubię książki historyczne. Uczą nas tego, że dawniej byliśmy i dziś jesteśmy zasadniczo tacy sami. Choć zmieniły się stroje i sposób życia, to, o czym myślimy i co robimy, aż tak bardzo się nie zmieniło. Człowiek jest w sumie jedynie nośnikiem genów, jest tylko czymś w rodzaju tunelu. A geny nie myślą o tym, co jest dobre, a co złe. Obojętne im, czy jesteśmy szczęśliwi, czy nie. Bo stanowimy dla nich jedynie środek do celu. Geny myślą tylko o tym, co jest dla nich najbardziej efektywne.

– Lecz mimo to my musimy się zastanawiać nad tym, co jest dobre, a co złe. O to pani chodzi?

Starsza pani skinęła głową.

– Ma pani rację. Ludzie muszą o tym myśleć. Naszym życiem rządzą geny. To oczywiste, że rodzi się tutaj sprzeczność – powiedziała i uśmiechnęła się.

Na tym skończyła się rozmowa o historii. Dopiły herbatę ziołową i rozpoczęły trening sztuk walki.

* * *

Tego dnia zjadły skromny posiłek w Wierzbowym Dworze.

– Możemy przygotować jedynie proste potrawy. To pani nie przeszkadza? – zapytała starsza pani.

– Oczywiście, że nie – odparta Aomame.

Tamaru przywiózł kolację na wózku. Potrawy prawdopodobnie przygotowywał kucharz, ale podawanie ich należało do obowiązków Tamaru. Wyjął z kubelka z lodem butelkę białego wina i z wprawą nalał do kieliszków. Starsza pani i Aomame spróbowały. Miało przyjemny aromat i było odpowiednio schłodzone. Do jedzenia dostały gotowane białe szparagi, sałatkę nicejską i omlet z krabem. Do tego bułeczki z masłem. Wszystko świeże i smaczne. Ilość też odpowiednia, akurat wystarczająca. Zresztą starsza pani zawsze jadła zaledwie odrobinę, jak ptaszek. Z gracją posługując się nożem i widelcem, podnosiła do ust małe kawałki. Przez cały ten czas Tamaru stał w najdalszym kącie pokoju. Aomame zawsze była zaskoczona, a jednocześnie pełna podziwu, że tak potężny mężczyzna potrafi przez długi czas kompletnie odwrócić od siebie uwagę.

Podczas posiłku rozmawiały niewiele. Obie skupiały się na jedzeniu. Cicho grała muzyka. Koncert na wiolonczelę Haydna. To też był jeden z ulubionych utworów starszej pani.

Naczynia zostały sprzątnięte, przyniesiono dzbanek z kawą. Tamaru nalał kawy i odsunął się, lecz starsza pani zatrzymała go gestem.

– Już niczego więcej nie potrzebujemy. Dziękuję – powiedziała.

Tamaru lekko pochylił głowę, a potem jak zawsze bezszelestnie wyszedł z pokoju. Drzwi cicho się zamknęły.

Piły kawę, gdy płyta dobiegła końca i na nowo zapanowała cisza.

– Ufamy sobie nawzajem, prawda? – zapytała starsza pani, patrząc Aomame prosto w oczy.

Aomame bez wahania przytaknęła.

– Łączą nas ważne tajemnice – powiedziała starsza pani. – Innymi słowy ufamy sobie na śmierć i życie.

Aomame w milczeniu skinęła głową.

* * *

Po raz pierwszy zwierzyła się starszej pani ze swej tajemnicy właśnie w tym pokoju. Dobrze pamiętała tamto wydarzenie. Kiedyś musiała komuś wyznać ten sekret leżący jej na sercu. Powoli ciężar stawał się tak wielki, że nie mogła go już sama dalej dźwigać. Dlatego, zachęcona przez starszą panią, Aomame zdecydowała się otworzyć długo zamknięte wrota tajemnicy.

Opowiedziała o tym, że jej niezrównana przyjaciółka była przez kilka lat ofiarą przemocy męża, straciła równowagę psychiczną, nie mogła jednak się wyrwać i, nie będąc w stanie znieść dalszych cierpień, popełniła samobójstwo. Po upływie niecałego roku Aomame poszła pod jakimś pretekstem do domu męża Tamaki. Zręcznie zaaranżowała dogodną sytuację, wbiła mu w kark ostrą igłę i uśmierciła. Tylko jedno pchnięcie igły, bez żadnych śladów ani rozlewu krwi. Uznano to za śmierć z przyczyn naturalnych. Nikt nie powziął żadnych podejrzeń. Aomame nie uważała, że postąpiła źle, i teraz też tak nie myśli. Nie ma wyrzutów sumienia. Ale mimo to czuje ciężar tego, że z premedytacją pozbawiła życia drugiego człowieka.

Starsza pani bardzo uważnie wysłuchiwała jej długiego wyznania. Milczała, dopóki Aomame nie dotarła do końca swojej urywanej relacji. Potem zapytała o kilka niejasnych dla niej szczegółów. Na koniec wyciągnęła rękę i długo i mocno ścisnęła dłoń Aomame.

– Postąpiła pani słusznie – powiedziała powoli i dobitnie. – Gdyby ten mężczyzna żył, z czasem doprowadziłby inną kobietę do takiego samego stanu. Oni zawsze znajdują sobie ofiary. Mają taki charakter, że muszą ciągle to robić. Pani wyrwała to zło z korzeniami. To nie była tylko prywatna zemsta. Proszę być spokojną.

Aomame zakryła twarz dłońmi i płakała przez pewien czas. Opłakiwała Tamaki. Starsza pani wyjęła chusteczkę i otarła jej łzy.

– To zadziwiający zbieg okoliczności – powiedziała spokojnym, pozbawionym wahania głosem. – Ja też kiedyś zlikwidowałam pewnego mężczyznę z niemal identycznej przyczyny.

Aomame podniosła głowę i spojrzała na nią. Nie mogła wydobyć słowa. O czym ona mówi?

Starsza pani ciągnęła dalej: – Oczywiście nie zrobiłam tego własnymi rękami. Nie mam tyle siły, a poza tym nie mam takich specjalnych umiejętności jak pani. Posłużyłam się właściwymi dostępnymi mi środkami i zlikwidowałam go. Nie został żaden konkretny dowód. Nawet gdybym teraz przyznała się do winy, nie dałoby się tego udowodnić. Tak samo jak w pani przypadku. Jeżeli po śmierci czeka nas Sąd Ostateczny, Bóg mnie pewnie osądzi. Ale ani trochę się tego nie obawiam. Nie zrobiłam nic niesłusznego. Każdemu mogę to głośno i bez wahania powiedzieć. – Starsza pani westchnęła jakby z ulgą. Potem mówiła dalej: – No to teraz obie znamy nawzajem swoje ważne tajemnice. Prawda?

Aomame nadal nie do końca mogła zrozumieć, o czym starsza pani mówi. Zlikwidowała kogoś? Wyraz jej twarzy całkowicie się zmienił – wyrażał coś pomiędzy głęboką wątpliwością i szokiem. Chcąc ją uspokoić, starsza pani łagodnym głosem dodała dalsze szczegóły.

* * *

Jej rodzona córka odebrała sobie życie w podobnych okolicznościach jak Tamaki. Wyszła za nieodpowiedniego człowieka. Starsza pani od początku wiedziała, że w tym małżeństwie nie będzie się układać. Jej zdaniem wybranek córki był nie zrównoważony psychicznie. Już wcześniej stwarzał problemy, których źródeł należało zapewne szukać w przeszłości. Lecz nikt nie potrafił zapobiec temu małżeństwu. Tak jak się spodziewała, córka stała się ofiarą powtarzających się brutalnych ataków. Stopniowo traciła poczucie własnej godności i pewność siebie. Nie widząc wyjścia, wpadła w depresję. Odebrano jej siłę niezależności, była jak zwierzę niemogące się wydostać z pułapki. Aż pewnego dnia połknęła wielką ilość środków usypiających, popijając je whisky.

Podczas autopsji odkryto na jej ciele ślady przemocy. Były sińce wywołane uderzeniami i gwałtownym biciem, dowody złamań kości, wiele blizn po oparzeniach papierosem. Na obu nadgarstkach miała pręgi po silnym krępowaniu. Mąż najwyraźniej lubił ją wiązać. Nawet jej sutki były zniekształcone. Męża wezwano na policję i przesłuchano. Przyznał, że bywał nieco brutalny, ale dowodził, że była to część gry miłosnej, wszystko odbywało się za zgodą żony, która raczej lubiła tego typu zabawy.

W końcu, tak samo jak w przypadku Tamaki, policja nie mogła pociągnąć męża do odpowiedzialności prawnej. Żona nigdy nie zgłaszała przemocy na policję, a poza tym już nie żyła. Mąż miał dobrą pozycję zawodową oraz zdolnego adwokata. Do tego nikt nie wątpił, że przyczyną śmierci było samobójstwo.

– I pani zabiła tego mężczyznę? – zapytała wprost Aomame.

– Nie, nie zabiłam tego mężczyzny – odparła starsza pani.

Aomame, nadal nie rozumiejąc, o co chodzi w tej całej historii, w milczeniu się w nią wpatrywała.

– Były mąż córki, ten nędznik, jeszcze chodzi po tym świecie. Codziennie się budzi i chodzi ulicami na własnych dwóch nogach. Nie mam zamiaru go zabijać.

Starsza pani przerwała na chwilę. Czekala aż to, co powiedziała, w pełni dotrze do Aomame.

– Ja byłemu zięciowi zrobiłam co innego – zniszczyłam go w oczach społeczeństwa. Kompletnie i całkowicie go zniszczyłam. Tak się złożyło, że miałam takie możliwości. Jest słabym człowiekiem. Niegłupi, elokwentny, do pewnego stopnia cieszy się uznaniem społecznym, ale to beznadziejnie słaby, nędzny człowiek. Ludzie znęcający się brutalnie nad żonami i dziećmi to z zasady mężczyźni o słabym charakterze. Właśnie dlatego, że są słabi, nie mogą się powstrzymać – muszą znaleźć kogoś słabszego i zrobić z tej osoby ofiarę. Zniszczenie go było prostą sprawą. Kiedy taki człowiek zostanie zniszczony, już się więcej nie podniesie. Moja córka zmarła dość dawno temu, ale ja do dziś nieustannie go obserwuję. Gdyby próbował się podnieść, ja bym mu na to nie pozwoliła. Jeszcze żyje, ale jest jak żywy trup. Nie popełni samobójstwa. Nie odważy się na to. Taki wybrałam sposób postępowania. Nie chciałam go po prostu zabić. Nie uśmiercając, zmuszam go nieustannie, bezlitośnie do ciągłego cierpienia. Jakbym go żywcem obdzierała ze skóry. Zlikwidowałam innego człowieka. Był konkretny powód, dla którego musiał się przenieść gdzie indziej.

* * *

Starsza pani opowiedziała Aomame dalszy ciąg tej historii. W rok po samobójstwie córki stworzyła prywatne schronisko dla kobiet, które tak jak ona padły ofiarą przemocy w rodzinie. Na posesji przylegającej do willi w Azabu stał dwupiętrowy mały blok z mieszkaniami do wynajęcia, który zamierzała niebawem wyburzyć, toteż był niezamieszany. Postanowiła nieco go wyremontować i przeznaczyć na schronisko dla kobiet niemających się gdzie podziać. Przy pomocy tokijskiego prawnika stworzyła niewielką „poradnię dla kobiet cierpiących z powodu przemocy”, w którym pracujący na zmianę ochotnicy spotykali się z kobietami i udzielali porad przez telefon. Stamtąd kontaktowano się ze starszą panią. Kobiety potrzebujące natychmiastowej pomocy były przysyłane do schroniska. W wielu przypadkach pojawiały się z małymi dziećmi. Były wśród nich nastoletnie dziewczynki gwałcone przez ojców. Przebywały tu, dopóki nie znalazły jakiejś spokojnej przystani. W schronisku zawsze był zapas rzeczy koniecznych do zaspokojenia podstawowych potrzeb. Zapewniano kobietom pożywienie oraz ubrania, a one żyły jakby w komunie, pomagając sobie nawzajem. Koszty pokrywała osobiście starsza pani.

Prawnik i psycholog regularnie odwiedzali schronisko, zajmowali się kobietami i omawiali z nimi strategię na przyszłość. Kiedy starsza pani miała czas, sama też tam wpadała, wysłuchiwała opowieści poszczególnych kobiet, służyła właściwą radą. Czasami pomagała im też znaleźć pracę i spokojną przystań. Jeżeli powstawały problemy wymagające fizycznej interwencji, do akcji wkraczał Tamara i podejmował odpowiednie kroki. Na przykład zdarzało się, że mąż dowiadywał się o miejscu pobytu żony i pojawiał się, chcąc za wszelką cenę sprowadzić ją z powrotem do domu. A nikt nie potrafił równie błyskawicznie i efektywnie jak Tamaru załatwić tego typu spraw.

– Jednak zdarzają się przypadki, z którymi ja i Tamaru nie możemy sobie sami poradzić, nie możemy znaleźć praktycznego sposobu na udzielenie pomocy, mimo wypróbowania różnych opcji prawnych – powiedziała starsza pani.

Aomame zauważyła, że gdy starsza pani o tym mówiła, jej twarz nabrała szczególnego miedzianoczerwonego koloru. Jednocześnie osłabło zwykłe wrażenie łagodności i wytworności, aż całkiem gdzieś zniknęło. Na jego miejscu można było dostrzec coś, co przekraczało zwykły gniew czy nienawiść. Było to prawdopodobnie owo małe, twarde, bezimienne jądro kryjące się w największej głębi psychiki. Mimo to głos starszej pani przez cały czas nie stracił swego chłodnego opanowania.

– Oczywiście nie można decydować o życiu czy śmierci tylko z praktycznych powodów, że na przykład, gdyby mąż zniknął, można by sobie zaoszczędzić kłopotu z występowaniem o rozwód i od razu dostałoby się pieniądze z ubezpieczenia na życie. Trzeba zebrać wszystkie elementy, obiektywnie i precyzyjnie je rozważyć, i tylko kiedy dojdzie się do wniosku, że dany mężczyzna w ogóle nie zasługuje na litość, nie ma rady i podejmuje się akcję. Ci mężczyźni jak pasożyty potrafią egzystować, żywiąc się wyłącznie krwią słabszych istot. Banda o skrzywionej psychice, nie ma szans, że wyzdrowieją, nie mają woli poprawy i nie można dostrzec żadnej wartości w tym, że będą dalej chodzili po tym świecie.

Starsza pani umilkła i patrzyła przez pewien czas na Aomame wzrokiem, który mógł skruszyć skałę. Potem odezwała się swoim spokojnym głosem: – Tacy mężczyźni muszą w jakiś sposób zniknąć. W sposób, który nie zwróci niczyjej uwagi.

– Czy to jest możliwe?

– Są różne sposoby znikania – odparła starsza pani, dobierając słowa. Przez chwilę milczała. – Ja jestem w stanie zorganizować pewien rodzaj zniknięcia. Mam takie możliwości.

Aomame zastanawiała się nad tym. Lecz to, co mówiła starsza pani, było zbyt niejasne.

– Obie straciłyśmy bliskie nam osoby w bezsensowny sposób i obie zostałyśmy tym ciężko zranione. Te rany w naszych sercach prawdopodobnie nigdy się nie zagoją. Ale nie można w nieskończoność siedzieć i użalać się nad własnym losem. Trzeba się wziąć w garść i przejść do działania. Nie dla osobistej zemsty, a w imię sprawiedliwości w szerszym sensie. Czy zechciałaby mi pani pomóc w tej pracy? Potrzebny mi zdolny i zaufany współpracownik.

Ktoś, z kim można mieć wspólną tajemnicę i wspólne poczucie misji.

Uporządkowanie myśli i pojęcie tego, co powiedziała starsza pani, zajęło Aomame trochę czasu. Trudno było uwierzyć zarówno w to wyznanie, jak i w propozycję. Potrzebowała jeszcze więcej czasu, by uzmysłwić sobie, co o tej propozycji ma sądzić. Przez ten czas starsza pani zachowała milczenie. Siedziała na krześle, nie zmieniając pozycji i przyglądając się Aomame. Nie spieszyła się. Wyglądało na to, że gotowa jest czekać w nieskończoność.

Ta kobieta jest niewątpliwie w pewnym sensie szalona, pomyślała Aomame. Ale nie ma źle w głowie. Jej psychika nie jest chora. Nie, jej psychika jest raczej chłodna i obiektywna, niewzruszenie zrównowazona. Są na to wymierne dowody. To nie szaleństwo, a raczej coś przypominającego szaleństwo. Może ściślej byłoby nazwać to słusznymi uprzedzeniami. Chce, żebym teraz ja dzieliła z nią to szaleństwo czy uprzedzenia. Z takim samym obiektywnym chłodem. Wierzy, że mam do tego kwalifikacje.

Jak długo Aomame to rozważała? Zatonęła w myślach, zgubiła gdzieś poczucie czasu. Tylko serce biło jej głośno równym rytmem. Weszła do kilku pokoiów wewnątrz siebie, popłynęła w górę czasu jak ryba w górę rzeki. Znajdowała tam znane krajobrazy i dawno zapomniane zapachy. Łagodną tęsknotę i dotkliwy ból. Nagle przeszył ją wąski promień światła, który skądś się tam dostał. Doznała przedziwnego uczucia, jakby stała się przezroczysta. Kiedy podniosła rękę i spojrzała pod światło, widziała przez nią, co jest po drugiej stronie. Jej ciało nagle jakby stało się lekkie. Wtedy pomyślała: Gdybym teraz zgodziła się na to szaleństwo, i w rezultacie przepadła, gdyby ten świat całkowicie zniknął, przecież nie miałabym właściwie czego żałować?

– Dobrze – powiedziała. Przygryzła wargi, a po chwili dodała: – Jeżeli mogę pani jakoś pomóc, chętnie to zrobię.

Starsza pani wyciągnęła ręce i ścisnęła dłonie Aomame. Od tego czasu zaczęły mieć wspólną tajemnicę oraz wspólną misję, łączyło je coś podobnego do szaleństwa. Nie, to mogło być szaleństwo w pełnym znaczeniu tego słowa. Lecz Aomame nie potrafiła ustalić, gdzie znajduje się linia oddzielająca je od normalności. Poza tym razem ze starszą panią wysyłały na tamten świat mężczyzn, którzy z żadnego punktu widzenia nie zasługiwali na litość.

* * *

– Niewiele czasu minęło, od kiedy przeniosła pani na tamten świat ostatniego mężczyznę – powiedziała spokojnie starsza pani. Kiedy tak mówiła, brzmiało to zupełnie jakby chodziło o przesuwanie mebli z miejsca na miejsce.

– Za cztery dni miną dokładnie dwa miesiące – odparła Aomame.

– To jeszcze niespełna dwa miesiące – ciągnęła starsza pani. – Dlatego proszenie panią o

wykonanie następnej pracy jest pod każdym względem niezbyt pożądane. Chciałabym, żeby przerwy były co najmniej półroczne. Kiedy staną się za krótkie, ciężar psychiczny będzie dla pani zbyt wielki. Bo to nie jest – jakby to powiedzieć? – zwyczajna praca. A poza tym niedługo ktoś może zacząć się dziwić, dlaczego mężczyźni związani z prowadzonym przeze mnie schroniskiem tak często umierają na zawał.

Aomame uśmiechnęła się lekko i powiedziała: – Bo na świecie jest dużo podejrzliwych ludzi.

Starsza pani również się uśmiechnęła.

– Jak pani wie, jestem wyjątkowo ostrożna. Nie polegam na zbiegach okoliczności, przewidywaniach czy szczęśliwych przypadkach. Aż do samego końca poszukuję mniej radykalnego rozwiązania, a dopiero kiedy upewnię się, że takiej możliwości nie ma, wybieram tamto. A gdy, nie mając innego wyboru, przechodzę do realizacji, eliminuję wszelkie ryzyko, jakie tylko uda mi się przewidzieć. Pracowicie i precyzyjnie rozważam wszelkie elementy, robię wszystkie możliwe przygotowania, i dopiero kiedy wiem na pewno, że całość została dopięta na ostatni guzik, zwracam się do pani. Dlatego też do tej pory nie było żadnych problemów, prawda?

– Tak jest – przyznała Aomame. Naprawdę tak było. Przygotowywała narzędzie i szła we wskazane miejsce. Pole działania było wcześniej starannie przygotowane. Wbijała ostrą igłę w konkretny punkt na karku mężczyzny. Po upewnieniu się, że „przeniósł się na tamten świat”, zniknęła. Do tej pory wszystko przebiegało harmonijnie i systematycznie.

– Lecz w tym przypadku, choć ciężko mi to robić, muszę, niestety, prosić panią o coś bardzo trudnego. Plan nie został całkiem dopracowany, jest wiele niepewnych elementów, niewykluczone, że niemożliwe będzie zaaranżowanie w pełni kontrolowanej sytuacji, tak jak uprzednio. Bo okoliczności są nieco inne.

– W jakim sensie inne?

– To nie jest zwyczajny człowiek – odparła starsza pani, starannie dobierając słowa. – Konkretnie mówiąc, przede wszystkim ma ścisłą ochronę.

– To polityk czy ktoś tego typu?

Starsza pani potrząsnęła głową.

– Nie, to nie jest polityk. O tym porozmawiamy później. Wiele się zastanawiałam nad tym, jak to rozwiązać, nie wplątując pani. Ale żadne rozwiązanie nie ma szans powodzenia. Zwykłym sposobem tego się nie da ugryźć. Bardzo mi przykro, ale nie przyszło mi do głowy żadne inne rozwiązanie prócz zwrócenia się do pani.

– Czy ta operacja wymaga pośpiechu? – zapytała Aomame.

– Nie, nie wymaga pośpiechu. Nie ma żadnego terminu, w którym musi zostać wykonana. Ale im później, tym bardziej może wzrosnąć liczba osób, które ucierpią. Poza tym w tej chwili nadarza się okazja. Nie wiadomo, kiedy przytrafi się taka następna.

Za oknem zrobiło się zupełnie ciemno, oszkloną werandę wypełniało milczenie.

Ciekawe, czy jest księżyc, pomyślała Aomame. Lecz z miejsca, w którym siedziała, nie było widać nieba.

Starsza pani powiedziała: – Mam zamiar jak najdokładniej wyjaśnić pani sytuację. Ale przedtem chciałabym kogoś pani przedstawić. Chodźmy teraz się z nią spotkać.

– Ta osoba przebywa w schronisku? – zapytała Aomame.

Starsza pani powoli wzięła oddech, z głębi jej gardła dobiegł cichy dźwięk. W oczach pojawił się szczególny blask, który zwykle tam nie gościł.

– Została tu przysłana z mojej poradni sześć tygodni temu. Przez cztery tygodnie nie powiedziała ani słowa, była jakby nieobecna, no w każdym razie straciła umiejętność mówienia. Udało nam się dowiedzieć tylko, jak ma na imię i ile ma lat. Zajęto się nią, bo była w strasznym stanie i spała na dworcu. Nikt nie chciał się nią zaopiekować, aż trafiła do nas. Nie śpiesząc się, po trochu próbowałam z nią rozmawiać. Dużo czasu minęło, zanim udało się ją przekonać, że tu jest bezpiecznie i nie ma się czego bać. Teraz zaczęła trochę mówić. Mówi w chaotyczny, urywany sposób, ale jak się połączyło te kawałki w całość, udało się mniej więcej zrozumieć, co zaszło. Coś tak strasznego, że nie sposób o tym mówić. Serce się kraje.

– Czy chodzi jak zwykle o brutalność męża?

– Nie – odparła starsza pani bezdźwięcznym głosem. – Ona ma dopiero dziesięć lat.

* * *

Przeszły przez ogród, otworzyły kluczem drewnianą furtkę i skierowały się do schroniska. Był to niewielki drewniany dom z mieszkaniami. Dawniej, kiedy w willi zatrudniano liczną służbę, tam właśnie mieszkała. Piętrowy budynek miał w sobie pewną elegancję, lecz był nieco zbyt zniszczony jak na to, by wynajmować go na wolnym rynku. W zupełności wystarczał jednak jako tymczasowe schronienie dla niemających się gdzie podziać kobiet. Stary dąb rozpościerał nad nim opiekuńczo gałęzie, w drzwiach wejściowych znajdowała się piękna ozdobna szyba. Mieściło się tam łącznie dziesięć pokoi. Bywał tłok, bywały też pustki, ale zwykle w budynku mieszkało pięć lub sześć kobiet. Teraz ponad połowa okien była oświetlona. Czasami dobiegały głosy małych dzieci, lecz poza tym panował niesamowity spokój. Wyglądało to nieomal, jakby sam budynek wstrzymywał oddech. Nie rozlegały się różne odgłosy towarzyszące zwykle normalnemu życiu. Przy bramie był przywiązany owczarek niemiecki. Kiedy się zbliżyły, zawarczał, a potem kilka razy szczeknął. Nie wiadomo, kto go tak wytresował, ale pies został nauczony, żeby zajadle szczekać, kiedy zbliżał się mężczyzna. Mimo to najbardziej przywiązany był do Tamaru.

Kiedy starsza pani do niego podeszła, pies od razu przestał szczekać, pomachał wesoło ogonem i parsknął z wielkim zadowoleniem. Starsza pani pochyliła się i poklepała go po głowie. Aomame podrapała go za uszami. Pamiętał ją. Mądry pies. Z jakiegoś powodu lubił szpinak. Starsza pani otworzyła kluczem drzwi wejściowe.

– Jedna z kobiet zajmuje się tą dziewczynką – powiedziała. – Mieszkają w tym samym pokoju i poprosiliśmy, żeby nie spuszczała jej z oczu. Martwimy się o nią, więc wolimy jeszcze nie zostawiać jej samej.

W schronisku nieformalnie zachęcano kobiety do tego, by na co dzień zajmowały się sobą nawzajem, rozmawiały o swoich przeżyciach, dzieliły się doznany bólem. Było wiele przypadków, że dzięki temu powoli same dochodziły do siebie. Te, które były tu dłużej, zapoznawały nowo przybyłe z trybem życia w schronisku, przydelały im niezbędne przedmioty codziennego użytku. Do sprzątanía i gotowania wyznaczały między sobą dyżury. Oczywiście niektóre kobiety wolały być same, nie chciały opowiadać o sobie i swoich przeżyciach. W takich przypadkach szanowano ich prawo do samotności i ciszy. Lecz większość pragnęła spędzać czas razem i rozmawiać szczerze o swoich doświadczeniach z kobietami, które spotkało to samo. W schronisku nie wolno było spożywać alkoholu, palić ani sprowadzać nikogo bez zezwolenia, ale innych ograniczeń nie przewidziano.

W budynku był jeden telefon i telewizor. Znajdowały się we wspólnie użytkowanym holu przy wejściu. Stał tam też stary zestaw wypoczynkowy i stół jadalny. Wyglądało na to, że większość kobiet spędzała prawie całe dni w tym pomieszczeniu, ale telewizor prawie nigdy nie był włączany. Nawet jeśli ktoś go włączył, nastawiał go tak cicho, że prawie nic nie było słychać. Kobiety wolały raczej czytać, przeglądać gazety, robić na drutach albo nachylając się blisko ku sobie, szeptem coś sobie nawzajem opowiadać. Niektóre całymi dniami malowały. To było przedziwne miejsce. Jak w ulotnej sferze między rzeczywistym światem a światem zmarłych światło zdawało się tu stojące, zamglone. W pogodne dni i w pochmurne, w dzień i w nocy zawsze było to tego samego rodzaju światło. Aomame, kiedy tu przychodziła, czuła się nie na miejscu, jak pozbawiony uczuć intruz. Był to jakby klub, wymagający od swoich członków specjalnych kwalifikacji. Samotność, którą czuły kobiety, powstała zupełnie inaczej niż samotność odczuwana przez Aomame.

Na widok starszej pani trzy kobiety w pokoju wstały. Od razu było widać, że czują do niej głęboki szacunek. Starsza pani poprosiła, żeby usiadły.

– Proszę się nie fatygować. Chciałabym tylko porozmawiać z Tsubasą.

– Jest w swoim pokoju – powiedziała kobieta mniej więcej w wieku Aomame. Włosy miała długie i proste.

– Jest razem z Saeko. Chyba jeszcze nie może zejść na dół – powiedziała nieco starsza kobieta.

– Pewnie potrzebuje jeszcze trochę czasu – rzekła starsza pani z uśmiechem.

Trzy kobiety w milczeniu skinęły głowami. Wszystkie dobrze wiedziały, co znaczy, że ktoś potrzebuje jeszcze trochę czasu.

* * *

Weszły do jednego z pokoiów na piętrze i starsza pani poprosiła drobną kobietę dziwnie przypominającą cię, żeby na chwilę zostawiła je same. Kobieta imieniem Saeko uśmiechnęła się blado, wyszła z pokoju, zamykając za sobą drzwi, i zeszła na dół. W pokoju została tylko dziesięcioletnia dziewczynka, Tsubasa. Stał tu niewielki stół. Usiadły przy nim we trzy. Okno zakrywały gęste zasłony.

– Ta pani nazywa się Aomame – powiedziała starsza pani do dziewczynki. – Pracuje razem ze mną. Dlatego nie musisz się jej obawiać.

Dziewczyna zerknęła na Aomame i leciutko skinęła głową. Ruch był prawie niezauważalny.

– To jest Tsubasa – przedstawiła starsza pani. Potem zapytała: – Od kiedy tu jesteś?

Dziewczynka znów troszkę potrząsnęła głową, co miało oznaczać, że nie wie. Jej głowa drgnęła zaledwie o centymetr.

– Sześć tygodni i trzy dni – rzekła starsza pani. – Ty może nie liczysz dni, ale ja tak. Wiesz dlaczego?

Dziewczynka znowu leciutko potrząsnęła głową.

– Dlatego, że czasami czas staje się bardzo ważny – wyjaśniła starsza pani. – Samo jego liczenie nabiera wielkiego znaczenia.

Dla Aomame Tsubasa wyglądała na zwyczajną dziesięcioletkę. Była chyba dość wysoka jak na swój wiek, ale szczuplutka, piersi jeszcze jej się nie zaokrągliły. Robiła wrażenie chronicznie niedożywionej. Rysy miała niebrzydkie, lecz nie wywierała na patrzącym żadnego wrażenia. Jej oczy przywodziły na myśl okna z matowego szkła. Choćby w nie zaglądać, nie da się nic dojrzeć we wnętrzu. Wąskie suche wargi czasami poruszały się niespokojnie, jakby próbowały formować jakieś słowa, lecz nie wydobywał się z nich żaden dźwięk.

Starsza pani wyjęła z torebki pudełko. Był na nim obrazek krajobrazu górskiego w Szwajcarii. Znajdował się tam tuzin pięknych czekoladek, każda o innym kształcie. Starsza pani podała je Tsubasie, potem Aomame, a na koniec sama włożyła jedną do ust. Aomame zrobiła to samo. Tsubasa zjadła swoją dopiero po upewnieniu się, że one też jedzą. Przez chwilę w milczeniu żuły czekoladki.

– Pamięta pani, kiedy pani miała dziesięć lat? – zapytała starsza pani Aomame.

– Dobrze pamiętam – odrzekła Aomame. Wtedy ścisnęła pewnego chłopca za rękę i przysięgła sobie, że będzie go kochać całe życie. W kilka miesięcy później dostała pierwszej miesiączki. Zaszło w niej wtedy wiele zmian. Oddaliła się od wiary, zerwała związek z rodzicami.

– Ja też dobrze pamiętam – powiedziała starsza pani. – Kiedy miałam dziesięć lat, ojciec zabrał mnie do Paryża i mieszkałam tam przez rok. Mój ojciec pracował wówczas w dyplomacji. Mieszkaliśmy w staroświeckim mieszkaniu w pobliżu Ogrodu Luksemburskiego. Było to pod koniec pierwszej wojny światowej, dworzec był pełen rannych żołnierzy.

Niektórzy byli nieomal dziećmi, inni wiekowi. Paryż o każdej porze roku jest tak piękny, że zapiera dech, ale mnie pozostały tylko takie krwawe wspomnienia. Na froncie toczyły się zażarte walki w okopach, po ulicach, jak niechciane duchy, błądzili ludzie, którzy potracili ręce, nogi albo oczy. Zauważałam jedynie biel ich bandaży i czerń żałobnych opasek na rękawach kobiet. Na cmentarze ciągnęły wozy z trumnami. Kiedy przejeżdżały ulicą, przechodnie milkli i odwracali wzrok.

Starsza pani wyciągnęła rękę nad stołem. Dziewczynka po krótkim namyśle podniosła z kolan swoją i położyła ją na dłoni starszej pani, a ta ją ścisnęła. Kiedy była małą dziewczynką i mijali na paryskiej ulicy wóz z ustawionymi na nim trumnami, ojciec albo matka pewnie tak samo ściskali ją za rękę. I dodawali jej otuchy, że nie musi się o nic martwić. Wszystko w porządku, tu jest bezpiecznie, nie musisz się niczego bać.

– Mężczyźni codziennie produkują kilka milionów plemników – rzekła nagle starsza pani do Aomame. – Wiedziała pani o tym?

– Nie znam dokładnej liczby...

– Ja też oczywiście nie wiem dokładnie ile. Ale w każdym razie plemniki są nieprzeliczone. I za jednym zamachem wszystkie są wydzielane. Lecz kobiety mają ograniczoną ilość dojrzałych jajeczek, które mogą wydzielić. Wie pani, ile ich jest?

– Dokładnie nie wiem.

– W ciągu całego życia nie więcej niż czterysta – powiedziała starsza pani. – Nie są co miesiąc na nowo produkowane.

Dziewczynka się z nimi rodzi. Są od początku zmagazynowane w jej ciele. Dostaje pierwszej miesiączki i od tego czasu co miesiąc dojrzewa w niej jedno jajeczko, które potem jest wysyłane do macicy. W ciele tej dziewczynki też zgromadzone są takie jajeczka. Ponieważ jeszcze nie zaczęła miesiączkować, są prawdopodobnie nienaruszone. Leżą sobie porządnie jak w szufladzie. Ich rolą jest oczywiście przyjęcie plemnika i zapłodnienie. Aomame skinęła głową.

– Podobno wiele rozbieżności mentalnych między kobietami i mężczyznami ma źródło w tej różnicy systemów reprodukcji. My kobiety z czysto fizjologicznego punktu widzenia żyjemy, chroniąc tę ograniczoną liczbę jajeczek. Tak jest w przypadku pani, moim i tej dziewczynki. – Starsza pani blado się uśmiechnęła. – Oczywiście o sobie powinnam powiedzieć tak „było” w moim przypadku, w czasie przeszłym.

Czyli ja wydzieliłam już do tej pory około dwustu jajeczek, pomyślała Aomame, szybko robiąc w myślach obliczenia. Została we mnie jeszcze połowa. Prawdopodobnie mają napis „zarezerwowane”.

– Ale jej jajeczka nigdy nie zostaną zapłodnione – powiedziała starsza pani. – W zeszłym tygodniu zbadał ją znajomy lekarz. Ma zniszczoną macicę.

Aomame skrzywiła się i spojrzała na starszą panią. Potem lekko obróciwszy głowę, przeniosła wzrok na dziewczynkę. Z trudem wydusiła z siebie słowa: – Zniszczoną macicę?

– Tak. Zniszczoną macicę – powtórzyła starsza pani. – Nawet operacja nie przywróci jej do poprzedniego stanu.

– Ale kto mógł coś takiego...?

– Jeszcze dokładnie nie wiemy.

– Little People – powiedziała nagle dziewczynka.

Rozdział osiemnasty – Tengo

Nie ma już miejsca dla Big Brothera

Komatsu zadzwonił po konferencji prasowej i powiedział, że wszystko przebiegło gładko i bez przeszkód.

– Świetnie poszło – powiedział głosem pełnym podniecenia, co było dla niego nietypowe. – Nie sądziłem, że Fukaeri tak doskonale sobie poradzi. Odpowiadała inteligentnie, na wszystkich obecnych zrobiła dobre wrażenie.

Tengo wcale się nie zdziwił, słuchając relacji Komatsu. Jakoś nie martwił się o przebieg konferencji prasowej. Choć nie miał ku temu szczególnych podstaw, przewidywał, że dziewczyna łatwo sobie z czymś takim poradzi. Lecz w słowach „dobre wrażenie” było coś, co nie pasowało do Fukaeri.

– Czyli uniknęliśmy skandalu? – zapytał Tengo na wszelki wypadek.

– Nie, skróciliśmy czas konferencji, jak tylko się dało, i unikaliśmy niewygodnych pytań. A poza tym dziennikarze właściwie nie byli zbyt dociekliwi. W końcu mieli do czynienia ze śliczną siedemnastolatką, więc żaden nie rwał się do grania roli czarnego charakteru. Oczywiście trzeba tu zrobić przypis: „przynajmniej na razie”. Nie wiadomo, co będzie dalej. Bo na tym świecie kierunek wiatru może się zmienić w każdej chwili.

Tengo wyobraził sobie Komatsu, jak z poważną miną stoi na wysokiej skale, liże palec, a potem bada kierunek wiatru.

– Ale tak czy inaczej to wszystko dzięki tobie, bo zrobiłeś próbę generalną i dobrze dziewczynę przygotowałeś. Jestem ci wdzięczny. W jutrzejszych popołudniowych wydaniach powinna być wiadomość o przyznaniu nagrody i relacja z konferencji prasowej.

– A w co Fukaeri była ubrana?

– W co była ubrana? Zwyczajnie. Obcisły cienki sweterek i dzinsy.

– Taki podkreślający piersi?

– Tak, rzeczywiście masz rację. Piersi ładnie się pod nim rysowały. Wyglądały świeżutko, jak bułeczki prosto z pieca. Wiesz, Tengo, zrobi się wielki szum wokół tej dziewczyny jako genialnej młodocianej pisarki. Dobrze się prezentuje, może mówi trochę dziwnie, ale jest całkiem bystra. Najważniejsze jest to, że ma w sobie coś niezwykłego.

Widziałem dotąd niejeden debiut pisarski. Ale ta dziewczyna jest szczególna. A kiedy ja mówię, że jest szczególna, to naprawdę tak jest! Za tydzień pojawi się w sprzedaży numer magazynu z *Powietrzną poczwarką*. Mogę się założyć o wszystko, dam sobie obciąć lewą rękę i prawą nogę, że w ciągu trzech dni numer zostanie sprzedany.

Tengo rozłączył się, podziękowawszy najpierw Komatsu za telefon i informacje. Poczł pewną ulgę. W każdym razie udało im się wziąć pierwszą przeszkodę. Ale nie miał pojęcia, ile następnych było jeszcze przed nimi.

* * *

Relacja z konferencji prasowej znalazła się w popołudniowych wydaniach następnego dnia. W drodze powrotnej z kursów kupił na dworcu cztery różne gazety, wrócił do domu i porównał relacje z ceremonii wręczenia nagrody. Wszyscy pisali mniej więcej to samo. Artykuły nie były długie, lecz i tak poświęcono tej wiadomości wyjątkowo dużo uwagi (w większości wypadków takie komunikaty ograniczają się do najwyżej pięciu wersów). Zgodnie z przewidywaniami Komatsu media rzuciły się na tę sprawę, ponieważ laureatka była siedemnastoletnią dziewczyną. W artykułach pisano, że wszyscy czterej jurorzy jednogłośnie wybrali *Powietrzną poczwarkę* jako najlepszy utwór. Nie byto żadnych długich narad, zebranie decydujące o przyznaniu nagrody trwało zaledwie piętnaście minut. To się wyjątkowo rzadko zdarzało. Bo kiedy zbierze się czterech zawodowych pisarzy o silnych osobowościach, ich opinie nigdy się całkowicie nie pokrywają. O tym utworze zaczęło już być głośno w kręgach literackich. W jednej z sal hotelu, w którym odbyło się wręczenie nagrody, zorganizowano niewielką konferencję prasową, a dziewczyna „z uśmiechem i jasno” odpowiadała na pytania dziennikarzy.

Na pytanie, czy dalej zamierza pisać powieści, odrzekła: „Powieść to dla mnie tylko jedna z form wyrażania myśli. Tym razem przypadkiem przybrały kształt powieści, ale nie wiem, jaki kształt przybiorą następnym razem”. Trudno sobie wyobrazić, że Fukaeri naprawdę powiedziała jednym tchem takie długie zdanie. Prawdopodobnie dziennikarz zręcznie połączył jej urywane wypowiedzi, odpowiednio uzupełnił to, czego brakowało, i stworzył z tego całość. A może rzeczywiście tak długo mówiła? O Fukaeri nie da się powiedzieć nic pewnego.

Zapytana o ulubiony utwór odpowiedziała oczywiście: *Opowieść o rodzie Heike*. Jeden z dziennikarzy zapytał ją o ulubiony fragment, a ona z pamięci go wyrecytowała. Deklamacja zajęła około pięciu minut. Wszyscy zebrani byli pełni podziwu. Gdy skończyła, przez chwilę trwało milczenie. Na szczęście (tak chyba należy powiedzieć) żaden dziennikarz nie zapytał ją o ulubiony utwór muzyczny.

W odpowiedzi na pytanie, kto się najbardziej ucieszył z jej nagrody, odczekała dłuższą chwilę (Tengo potrafił sobie wyobrazić tę scenę), a potem powiedziała: „To tajemnica”.

Z tego, co przeczytał, wynikało, że Fukaeri ani razu nie skłamała w swoich odpowiedziach. Wszystko, co powiedziała, było zgodne z prawdą. W gazetach zamieszczono jej zdjęcia. Była na nich jeszcze ładniejsza niż na ostatnim spotkaniu z Tengo. Rozmawiając z nią, zwracał uwagę nie tylko na jej twarz, ale także na zmiany jej wyrazu, na mowę całego ciała, na słowa, które wypowiadała. Lecz patrząc na nieruchomą fotografię, ponownie uświadomił sobie, jak piękne ma rysy. Było to niewielkie zdjęcie zrobione najwyraźniej podczas konferencji prasowej (rzeczywiście miała na sobie ten sam letni sweterek co ostatnim razem), lecz bił od niej jakiś blask. Prawdopodobnie właśnie to Komatsu nazwał „czymś niezwykłym”.

Tengo złożył gazety i popijając piwo z puszki, przygotował prostą kolację. Poprawiony przez niego utwór został jednogłośnie wybrany jako najlepszy w konkursie na debiut magazynu literackiego, już o nim dobrze mówiono i prawdopodobnie zostanie bestsellerem. Na tę myśl doznawał dziwnego uczucia. Z jednej strony po prostu się cieszył, z drugiej czuł obawę i niepokój. Niby to zaplanowali, ale czy naprawdę możliwe, że wszystko przebiegnie gładko i bez problemów?

Podczas przygotowania posiłku zorientował się, że całkowicie stracił apetyt. Jeszcze przed chwilą był głodny, a teraz nie miał ochoty nic jeść. Zakrył zrobione do połowy potrawy przezroczystą folią, schował do lodówki, a sam usiadł na krześle w kuchni i gapiąc się w kalendarz na ścianie, w milczeniu popijał piwo. Był to reklamowy kalendarz banku ze zdjęciami góry Fuji w czterech porach roku. Tengo nigdy jeszcze nie wspiął się na górę Fuji. Nigdy nie wjechał też na Tokyo Tower. Ani nawet na ostatnie piętro któregoś z wieżowców. Nie interesowały go miejsca położone tak wysoko. Ciekawe dlaczego, zastanawiał się. Może dlatego, że żył do tej pory, patrząc wyłącznie pod nogi.

* * *

Sprawdziły się przepowiednie Komatsu. Numer magazynu z *Powietrzną poczwarką* został wykupiony pierwszego dnia – zniknął z księgarń. Nigdy nie zdarza się, żeby magazyny literackie zostały wyprzedane do ostatniego egzemplarza. Wydawnictwa publikują je co miesiąc, ponosząc straty. Celem wydawania takich magazynów jest późniejsza publikacja książkowych wydań utworów, które wcześniej się w nich ukazały, oraz lansowanie młodych pisarzy za pomocą nagrody za debiut literacki. Praktycznie nikt nie oczekuje, że sprzedaż magazynu będzie wysoka i przyniesie zyski. Dlatego wyprzedanie całego nakładu w ciągu jednego dnia to wiadomość równie sensacyjna jak opady śniegu na tropikalnej Okinawie. Inna sprawa, że sprzedanie całego nakładu i tak nie przynosi zysku.

Zadzwoił Komatsu i powiedział o tym Tengo.

– Znakomicie! Skoro cały nakład magazynu sprzedano, ludzie nabiorą apetytu na ten utwór i koniecznie będą chcieli go przeczytać, żeby zobaczyć, co to takiego. Drukarnia

drukuje teraz jak opętana książkowe wydanie *Powietrznej poczwarki*. Priorytet, pilny druk. Skoro tak, niepotrzebna nam nagroda Akutagawy. Należy raczej sprzedawać książkę, jak długo się da, póki jest wokół niej szum. Niewątpliwie będzie bestsellerem. Gwarantuję to. Dlatego ty też lepiej zastanów się już teraz, na co wydasz pieniądze.

W sobotnim popołudniowym wydaniu gazety na stronach z wiadomościami kulturalnymi był artykuł o *Powietrznej poczwarcie*. Nagłówek głosił, że nakład magazynu, w którym zamieszczono utwór, został wyczerpany. Kilku krytyków wyrażało swoje opinie na temat powieści. W większości były pozytywne. Niezwykła dla siedemnastoletniej dziewczyny pewność pióra, wyostrzona wrażliwość i przebogata wyobraźnia. Być może ten utwór jest zwiastunem nowego stylu w literaturze. Jeden z krytyków napisał: „Z powodu niezwykle bujnej wyobraźni autorki utwór być może traci chwilami związek z rzeczywistością”. Z punktu widzenia Tengo była to jedyna negatywna opinia. Ale i ten krytyk zakończył łagodnie: „Jestem doprawdy bardzo ciekaw, jak będzie dalej pisała ta dziewczyna”. Wydawało się, że jak na razie wiatr im sprzyja.

* * *

Fukaeri zadzwoniła do niego cztery dni przed planowanym ukazaniem się książki. Była dziewiąta rano.

– nie śpi pan – zapytała. Jak zawsze nie modulowała głosu. I nie używała znaków zapytania.

– Oczywiście, że nie śpię.

– jest pan wolny dziś po południu

– Jestem wolny po czwartej.

– może się pan spotkać

– Mogę się spotkać.

– może być tam gdzie przedtem – zapytała Fukaeri.

– Może być. O czwartej będę w tej kawiarni co poprzednio, w Shinjuku. Bardzo dobrze wyglądałaś na zdjęciu w gazecie. Tym z konferencji prasowej.

– włożyłam ten sam sweterek – powiedziała.

– Bardzo ci w nim było ładnie.

– bo podobają się panu w nim piersi

– Może i tak. Ale w tym wypadku ważniejsze było to, że zrobiłaś w nim na ludziach dobre wrażenie.

Fukaeri milczała przez chwilę pod drugiej stronie. To milczenie brzmiało tak, jakby położyła coś na półce obok i wpatrywała się w to. Może zastanawiała się nad związkiem między dobrym wrażeniem a kształtem piersi. Gdy Tengo o tym rozmyślał, sam przestał ten związek rozumieć.

– o czwartej – powiedziała Fukaeri. I rozłączyła się.

Kiedy trochę przed czwartą wszedł do kawiarni, Fukaeri już tam była. Obok niej siedział profesor Ebisuno. Ubrany był w jasnoszarą koszulę z długimi rękawami i ciemnoszare spodnie. Jak zawsze siedział prosto jak marmurowy posąg. Tengo zdziwił się nieco na jego widok. Zgodnie z tym, co mówił Komatsu, niezwykle rzadko „schodził z gór”.

Tengo usiadł naprzeciwko nich dwojga i zamówił kawę. Pora deszczowa jeszcze nie nadeszła, dzień był gorący niczym w środku lata. Mimo to Fukaeri jak poprzednio piła małymi łykami gorące kakao. Profesor Ebisuno zamówił kawę z lodem, lecz nawet jej nie tknął. Lód się stopił i utworzył na powierzchni przezroczystą warstwę.

– Przepraszam, że zabieram ci czas – powiedział profesor Ebisuno.

Przyniesiono kawę i Tengo wypił łyk.

– Wygląda na to, że w tej chwili różne sprawy układają się pomyślnie – powiedział profesor powoli, jakby sprawdzał brzmienie swego głosu. – Twoje zasługi są ogromne. Doprawdy ogromne. Przede wszystkim muszę ci za to podziękować.

– Miło mi, że pan tak uważa, a jak pan wie, w tym przypadku jestem człowiekiem, który oficjalnie nie istnieje – odrzekł Tengo. – A ktoś, kto oficjalnie nie istnieje, nie może mieć zasług.

Profesor Ebisuno zatarł nad stolikiem ręce, jakby chciał je rozgrzać.

– Nie, nie musisz być aż taki skromny. Bez względu na to, jaka jest wersja oficjalna, w rzeczywistości niewątpliwie istniejesz. Bez ciebie wszystko tak gładko by nie poszło. Dzięki tobie *Powietrzna poczwarka* stała się o wiele doskonalszym utworem. Głębia i bogactwo treści przekroczyły moje oczekiwania. Jednak Komatsu umie się poznać na ludziach.

Obok niego Fukaeri w milczeniu piła kakao. Wyglądała jak kotek chlepczący mleko. Do prostej białej bluzki z krótkimi rękawami włożyła dość krótką granatową spódnicę. Jak zwykle nie miała na sobie żadnych ozdób. Kiedy się pochylała, jej twarz ginęła za długimi, prostymi włosami.

– Koniecznie chciałem ci to osobiście powiedzieć. Dlatego poprosiłem cię o spotkanie – powiedział profesor Ebisuno.

– Proszę się tym absolutnie nie przejmować. Poprawianie *Powietrznej poczwarki* naprawdę wiele dla mnie znaczyło.

– Chciałbym jakoś wyrazić swoją wdzięczność.

– To naprawdę niepotrzebne. Ale czy miałby pan coś przeciwko temu, gdybym spytał o kilka osobistych spraw związanych z Eri?

– Oczywiście, że nie. Mam nadzieję, że będę umiał odpowiedzieć.

– Czy pan jest jej oficjalnym opiekunem?

Profesor potrząsnął głową.

– Nie, nie jestem oficjalnym opiekunem. Chciałbym nim zostać, gdyby tylko było to możliwe. Ale tak jak wcześniej mówiłem, nie jestem w stanie skontaktować się z jej

rodzicami. Z prawnego punktu widzenia jestem dla niej zupełnie obcą osobą. Przyjąłem ją tylko pod swój dach, kiedy pojawiła się u nas siedem lat temu, i wychowuję ją.

– W takim razie zupełnie naturalne byłoby chyba, gdyby chciał pan zachować jej istnienie w sekrecie? Jeżeli stanie się teraz obiektem zainteresowania, mogą być kłopoty. Jest jeszcze niepełnoletnia.

– Chodzi ci o to, że na przykład jej rodzice mogą mnie podać do sądu i zażądać jej powrotu, a wtedy powstanie kłopotliwa sytuacja? Skoro stamtąd uciekła, to na pewno nie chciałyby, żeby ją tam znowu zabierano siłą? O to ci chodzi?

– Tak. Ja nie wiem, jaki to ma sens?

– To pytanie jest oczywiście uzasadnione. Ale położenie nie pozwala im podejmować oficjalnych kroków. Im bardziej Eri będzie w centrum zainteresowania, tym mniej jej rodzice będą mogli zrobić, bo w ten sposób zwróciliby na siebie uwagę. A na tym właśnie najmniej im zależy.

– Im? – zapytał Tengo. – Mówi pan o Sakigake?

– Tak jest. O grupie wyznaniowej Sakigake. Za mną przemawia to, że wychowuję Eri od siedmiu lat. Ona też wyraźnie pragnie dalej u nas pozostać. A rodzice, bez względu na to, w jakiej są sytuacji, przez tych siedem lat zostawili ją własnemu losowi. Nie mogę więc powiedzieć: „Bardzo proszę” i po prostu jej oddać.

Tengo uporządkował myśli. Potem powiedział: – *Powietrzna poczwarka* zgodnie z naszym planem będzie bestsellerem. Eri stanie się obiektem zainteresowania opinii publicznej. A jeśli do tego dojdzie, Sakigake będzie miała ograniczoną swobodę ruchów. Do tego miejsca rozumiem. A jak pan życzyłby sobie, żeby sprawy się dalej potoczyły?

– Tego to ja nie wiem – powiedział profesor obojętnie. – Nikt nie wie, co będzie dalej. Nieznany teren. Brak mapy. Nie dowiemy się, co nas czeka za zakrętem, dopóki nie skręcimy. Nie mam pojęcia.

– Nie ma pan pojęcia? – powtórzył Tengo.

– Może to brzmi nieodpowiedzialnie, ale sedno całej sprawy tkwi w tym, że nie ma się pojęcia. Wrzucamy kamień do głębokiego stawu. Plusk. Wokół rozbrzmiewa echem głośny dźwięk. Potem wstrzymujemy oddech i czekamy, co wyłoni się spod wody.

Przez pewien czas wszyscy milczeli. Każde z nich wyobrażało sobie kręgi rozchodzące się na powierzchni.

Tengo odczekał, aż te urojone kręgi znikną, a potem powiedział: – Mówiłem na początku, że to, co robimy, jest pewnego rodzaju oszustwem. Działaniem antyspołecznym. Teraz prawdopodobnie zaczną wchodzić w grę niemałe sumy pieniędzy i kłamstwa będą narastać lawinowo. Jedno pociągnie za sobą drugie, związki między nimi staną się coraz bardziej pogmatwane, aż w końcu pewnie nikt nie będzie mógł sobie z tym poradzić. A kiedy prawda wyjdzie na jaw, wszystkie zamieszane w tę sprawę osoby, łącznie z Eri, jakoś na tym ucierpią, a jak pójdzie całkiem źle, zostaną zniszczone. Mogą się znaleźć całkowicie poza

nawiasem społeczeństwa. Jest pan na to przygotowany?

Profesor Ebisuno dotknął oprawy okularów.

– Prawdopodobnie nie mam wyboru, muszę być przygotowany.

– Ale ja słyszałem, że zgodził się pan profesor reprezentować fikcyjną firmę, którą pan Komatsu stworzył w związku z *Powietrzną poczwarką*. Czyli bezpośrednio uczestniczy pan w jego planach. Innymi słowy gotów jest pan dać się obrzucić błotem.

– W sumie być może na to wychodzi.

– Jest pan człowiekiem o wybitnej inteligencji, ogromnej wiedzy i oryginalnym światopoglądzie. A mimo to o ile dobrze rozumiem, nie wie pan, do czego ten plan może prowadzić. Twierdzi pan, że nie można przewidzieć, co będzie za zakrętem. Nie bardzo mogę zrozumieć, dlaczego ktoś taki jak pan, panie profesorze, stawia się w tak niepewnej sytuacji.

– Bardzo uprzejmie z twojej strony, że tak mnie obsypujesz pochwałami, ale dajmy z tym spokój... – powiedział profesor Ebisuno. Po chwili ciągnął dalej: – Wiem, o co ci chodzi.

Zapadła cisza.

– nikt nie wie co się stanie – wtrąciła się nagle Fukaeri. Potem znowu zamilkła. Kubek był już pusty.

– Ma rację – powiedział profesor. – Nikt nie wie, co się stanie. Eri ma rację.

– Ale do pewnego stopnia musiał pan to zaplanować – upierał się Tengo.

– Do pewnego stopnia zaplanowałem – odparł profesor.

– Czy mogę się pokusić o próbę zgadnięcia tego planu?

– Oczywiście.

– Być może dzięki udostępnieniu czytelnikom *Powietrznej poczwarki*, uda się dowiedzieć prawdy o tym, co stało się z rodzicami Eri. To miał pan profesor na myśli, mówiąc o wrzucaniu kamienia do stawu?

– Twoje przypuszczenia są zasadniczo słuszne. Jeżeli *Powietrzna poczwarka* zostanie bestsellerem, wszystkie media zbiegną się jak stado gołębi do okruchów. Prawdę mówiąc, już teraz jest wielki szum. Od czasu tej konferencji prasowej czasopisma i telewizja wprost zasypują nas prośbami o wywiad. Oczywiście wszystkim odmawiam, ale teraz w związku z wydaniem książki sytuacja pewnie jeszcze bardziej się zaogni. Jeżeli nie będziemy zgadzali się na udzielanie wywiadów, wykorzystają wszystkie dostępne sposoby, żeby się czegoś dowiedzieć o przeszłości Eri. I prędzej czy później jej historia wyjdzie na jaw. Kim są jej rodzice, gdzie i jak się wychowała. I kto się nią teraz opiekuje. Te informacje wzbudzą z pewnością wielkie zainteresowanie. Nie robię przecież tego dlatego, że lubię. Żyję sobie teraz beztrudnie w górach. Nie chcę już mieszać się w nic, co przyciąga uwagę opinii publicznej. Nie będę miał z tego żadnej korzyści. Ale myślę sobie, że jak im zręcznie rzucę parę kasków, może uda mi się skierować ich zainteresowanie na rodziców Eri. Będą się chcieli dowiedzieć, gdzie oni są i co robią. Innymi słowy chcę zrzucić na media to, czego nie potrafi albo nie ma ochoty zrobić policja. Jak dobrze pójdzie, uda się wykorzystać tę sytuację i może da się tych

dwoje uratować. Przecież dla mnie, a także oczywiście dla Eri, małżeństwo Fukadów to wyjątkowo ważne osoby. Nie możemy tej sprawy tak zostawić, godząc się z tym, że nie ma z nimi żadnego kontaktu.

– Ale jeśli założyć, że państwo Fukada ciągle tam są, to właściwie z jakiego powodu mieliby aż przez siedem lat ograniczoną zdolność działania? To za długi okres.

– Ja też tego nie rozumiem. Pozostają tylko domysły – powiedział profesor Ebisuno. – Tak jak poprzednio wspomniałem, Sakigake, która powstała jako rewolucyjna komuna uprawiająca rolę, w pewnym momencie oddzieliła się od frakcji radykalnej, Akebono, drastycznie zmieniła kierunek rozwoju i przekształciła się w związek wyznaniowy. W związku z wypadkami w Akebono policja przeszukała teren komuny, ale dowiedziała się tylko, że Sakigake nie miała z tymi wypadkami nic wspólnego. Od tego czasu grupa stale umacnia swoją pozycję. A właściwie zamiast „stale” należałoby powiedzieć „błyskawicznie”. Mimo to, opinii publicznej prawie nic nie wiadomo na temat ich prawdziwej działalności. Ty pewnie też nic nie wiesz.

– Nie wiem absolutnie nic – powiedział Tengo. – Nie oglądam telewizji, nie czytam dokładnie gazet, więc trudno mnie uważać za standardowego przedstawiciela opinii publicznej.

– Nie, nie tylko ty jeden nic nie wiesz. Oni działają po cichu, żeby w miarę możliwości nikt się niczego nie dowiedział. Zazwyczaj nowe sekty religijne starają się być widoczne, żeby choć trochę zwiększyć liczbę wiernych, ale Sakigake nie. Bo jej celem nie jest powiększanie kręgu wiernych. Przeciętna sekta pragnie zwiększyć liczbę członków, żeby ustabilizować dochody, ale wygląda na to, że Sakigake nie odczuwa takiej potrzeby. Im zależy nie na pieniądzu, a na utalentowanych ludziach. Na wyznawcach mających świadomość misji, posiadających różnego rodzaju specjalistyczne umiejętności, zdrowych i młodych. Dlatego nie starają się na siłę przyciągać wiernych. Nie każdego przyjmują. Przeprowadzają rozmowy kwalifikacyjne i wybierają sobie, kogo chcą, spośród chętnych. Albo przeprowadzają rekrutację uzdolnionych. W rezultacie powstała sekta składająca się z ludzi na wysokim poziomie, z wysokim morale i do tego bojowych. Oficjalnie zajmują się nadal uprawą roli, lecz poddają się też surowym praktykom.

– A właściwie na jakich naukach opiera się ta sekta?

– Prawdopodobnie nie mają ustalonej doktryny. Nawet jeśli mają, to pewnie jakąś eklektyczną. Mówiąc ogólnie, to sekta ezoteryczna, najważniejszy cel ich życia stanowią nie szczegółowe doktryny, a raczej praca i praktyki. I to całkiem surowe. Nie takie coś na pół gwizdka. Dowiadują się o nich młodzi ludzie pragnący takiego duchowego stylu życia i przybywają do nich z całego kraju. Panuje tam silne poczucie jedności, wobec ludzi z zewnątrz utrzymują wszystko w sekrecie.

– Czy mają jakiegoś założyciela czy duchowego przewodnika?

– Oficjalnie nie ma kogoś takiego. Odrzucają kult jednostki i podobno zarządzają sektą

kolektywnie. Ale prawdziwa sytuacja jest niejasna. Od dawna zbieram o nich informacje, ale udało mi się zdobyć wyjątkowo mało, bo niewiele wydostaje się poza mury. Można jedynie powiedzieć, że sekta stale się rozwija i nie brakuje jej kapitału. Mają coraz więcej terenów, coraz lepiej na nich gospodarują. Opasujący je mur jest coraz grubszy.

– I nazwisko pana Fukady, który był liderem Sakigake, nie wiadomo kiedy przestało być oficjalnie wymieniane.

– Zgadza się. To wszystko jest wyjątkowo nienaturalne. Niepojęte – powiedział profesor Ebisuno. Zerknął na Fukaeri, potem znów spojrzął na Tengo. – W Sakigake kryje się jakaś wielka tajemnica. Kiedyś musiało się tam zdarzyć coś na miarę ogromnego trzęsienia ziemi. Nie wiem, co to było. Ale w rezultacie grupa ta kompletnie zmieniła kurs z komuny rolniczej na sektę religijną. I jednocześnie od tego czasu nagle przeobraziła się z otwartej na świat umiarkowanej organizacji w organizację rygorystyczną i zachowującą całkowitą tajność. Myślę sobie, że może wtedy nastąpił w Sakigake jakiś zamach stanu. I może Fukada był w to zamieszany. Jak już ci wcześniej mówiłem, Fukada to człowiek, który nie miał w sobie ani krztyny skłonności religijnych. Był na wskroś materialistą. To nie ktoś, kto stałby z założonymi rękami i patrzył, jak założona przez niego wspólnota próbuje zmienić kurs na religijny. Ze wszystkich sił próbowałby powstrzymać taką tendencję. Być może przegrał w walce o hegemonię wewnątrz Sakigake.

Tengo zastanowił się nad tym.

– Rozumiem, co pan profesor mówi, ale gdyby założyć, że tak się stało, czy pan Fukada nie zostałby po prostu wyrzucony z Sakigake? Tak samo jak w czasie oddzielenia się od Akebono? Nie byłoby potrzeby go więzić.

– Masz rację. W normalnej sytuacji nie byłoby potrzeby uciekać się do takich środków. Ale może Fukada znał jakąś tajemnicę Sakigake? Coś, co nie powinno dotrzeć do uszu opinii publicznej. Może dlatego nie mogli go wyrzucić z sekty. Jako założyciel wspólnoty przez wiele lat pełnił rolę rzeczywistego przywódcy. Więc widział wszystko, co się tam działo. Może za dużo wiedział? Poza tym był dość znanym człowiekiem. Tamotsu Fukada to nazwisko, które łączyło się z historią tamtych czasów, jeszcze teraz w pewnych kręgach ciągle mówi się o nim, że był charyzmatyczny. Gdyby Fukada opuścił Sakigake, jego wypowiedzi i poczynania budziłyby nadal zainteresowanie, czy by tego chciał, czy nie. Więc nawet jeśli założyć, że Fukadowie chcieli odejść, Sakigake nie mogła ich tak łatwo wypuścić.

– Dlatego postanowił pan profesor spowodować, żeby Eri, córka Tamotsu Fukady, stała się sensacją dzięki swej debiutanckiej powieści *Powietrzna poczwarka*, która – gdy stanie się bestsellerem – przyciągnie zainteresowanie opinii publicznej. A za tym może iść możliwość wywołania jakiejś zmiany w tej patowej sytuacji.

– Siedem lat to bardzo długi okres. Przez ten czas nie udało mi się niczego dowiedzieć, mimo że chwyciłem się różnych sposobów. Jeżeli tu i teraz zdecydowanie nie podejmie się kroków, ta zagadka może nigdy nie doczekać się rozwiązania.

– Posługując się Eri jako przynętą, próbuje pan wywabić z zarośli wielkiego tygrysa.
– Nikt nie wie, co się z nich wyłoni. Wcale nie wiadomo, czy to będzie tygrys.
– Ale sądząc z tego, co pan profesor mówił, obawia się pan, że wyłoni się coś niebezpiecznego.

– Prawdopodobnie jest taka możliwość – powiedział profesor z głębokim namysłem. – Ty też pewnie zdajesz sobie z tego sprawę. W takiej zamkniętej niezróżnicowanej grupie wszystko może się zdarzyć.

Zapadło ciężkie milczenie. Przerwała je Fukaeri.

– bo przyszli little people – powiedziała cicho.

Tengo spojrział na siedzącą obok profesora dziewczynę. Jej twarz była jak zawsze pozbawiona wyrazu.

– Chodzi ci o to, że Sakigake się zmieniła, bo przyszli Little People? – zapytał Tengo.

Fukaeri nie odpowiedziała. Bawiła się guzikiem przy kołnierzyku bluzki.

Profesor Ebisuno, jakby chcąc wypełnić milczenie Eri, powiedział: – Nie wiem, co znaczą Little People, o których mówi Eri. Ona też nie potrafi słowami wyjaśnić, kim są. A może nie ma zamiaru tego wyjaśnić? Ale tak czy inaczej wygląda na to, że Little People odegrali jakąś rolę w tej błyskawicznej przemianie Sakigake z komuny rolniczej w sektę religijną.

– Albo coś przypominającego Little People – dodał Tengo.

– Masz rację. Ja też nie wiem, czy to byli oni, czy coś ich przypominającego. Na pewno przez umieszczenie w *Powietrznej poczwarcie* Little People Eri próbuje opowiedzieć o jakimś ważnym fakcie.

Profesor przez pewien czas patrzył na swoje dłonie, ale wkrótce podniósł głowę i powiedział: – Jak wiesz, w powieści *Rok 1984* George Orwell opisał dyktatora zwanego Big Brother. Oczywiście była to alegoria stalinizmu. I od tamtego czasu pojęcie Big Brother zaczęło funkcjonować jako pewnego rodzaju społeczny symbol. To jest zasługa Orwella. Lecz w prawdziwym roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym czwartym Big Brother stał się zbyt sławny i przez to niemal oczywisty. Gdyby się tutaj pojawił, prawdopodobnie wskazalibyśmy go palcem, mówiąc: – „Uważajcie! To Big Brother!”. Inaczej rzecz ujmując, w rzeczywistym świecie nie ma już dla niego miejsca. Zamiast niego pojawili się ci Little People. Nie uważasz, że to bardzo ciekawy kontrast słowny?

Patrząc Tengo prosto w oczy, profesor, jakby lekko się uśmiechnął.

– Little People są niewidzialni. Nie wiemy nawet, czy są dobrzy, czy źli, czy mają prawdziwą postać, czy nie, ale niewątpliwie będą nam zatruwać życie – powiedział i przerwał. – Być może, żeby się dowiedzieć, co spotkało małżeństwo Fukadów, a także co spotkało Eri, musimy najpierw się dowiedzieć, czym lub kim są Little People.

– Czyli chce pan ich wywabić z kryjówki? – zapytał Tengo.

– Czy możliwe jest wywabienie czegoś, o czym nie wiemy nawet, czy ma rzeczywistą

postać? – zapytał profesor. W kącikach jego ust jeszcze czał się uśmiech. – Może ten „wielki tygrys”, o którym mówiłeś, jest bardziej rzeczywisty.

– Tak czy inaczej, Eri ma posłużyć za przynętę.

– Nie, nie uważam, że słowo przynęta jest odpowiednie. Bliższe jest powiedzenie, że chodzi o wywołanie zawirowania. Wkrótce wszystko dookoła zacznie się obracać. Ja właśnie na to czekam.

Profesor powoli obrócił w powietrzu końce palców. Potem mówił dalej: – Eri jest w centrum tego wiru. Kto jest w centrum wiru, nie musi się poruszać. Rusza się wszystko wokół niego.

Tengo słuchał w milczeniu.

– Jeżeli posłużyć się twoim niebezpiecznym porównaniem, być może nie tylko Eri, ale my wszyscy jesteśmy przynętą. – Profesor spojrział na Tengo, mrużąc oczy. – Łącznie z tobą.

– Ja miałem tylko poprawić *Powietrzną poczwarkę*. Byłem tak zwaną najemną siłą techniczną. Tak mówił na początku pan Komatsu.

– Aha.

– Ale w trakcie zaczął mówić coś innego. Czy to znaczy, że pan profesor wprowadził poprawki do pierwotnego planu pana Komatsu?

– Nie, nie zamierzałem wprowadzać poprawek. Pan Komatsu ma swoje zamiary, ja mam swoje. W tej chwili nasze zamiary się pokrywają.

– To znaczy, że plan dalej się rozwija, bo zamiary obu panów, że tak powiem, jadą na tym samym wózku.

– Może i da się tak to ująć.

– Dwie osoby udające się w dwa różne miejsca jadą przed siebie na tym samym wózku. Do pewnego miejsca ich drogi się pokrywają, ale nie wiadomo, co będzie dalej.

– Jednak, jak można się spodziewać po pisarzu, bardzo trafnie się wyrażasz.

Tengo westchnął.

– Moim zdaniem kiepsko się to wszystko zapowiada. Ale tak czy inaczej, już nie ma odwrotu.

– Nawet gdyby był, pewnie trudno byłoby wrócić do tego samego miejsca – powiedział profesor.

Na tym rozmowa się zakończyła. Tengo nie przychodziło do głowy nic więcej, co należało powiedzieć.

* * *

Profesor Ebisuno pożegnał się pierwszy. Miał niedaleko spotkać się z kimś w jakiejś sprawie. Fukaeri została. Przez pewien czas siedzieli we dwoje naprzeciw siebie w milczeniu.

– Nie jesteś głodna? – zapytał Tengo.

– nieszczęśliwie

W kawiarni robiło się tłoczno, więc oboje jednocześnie zdecydowali się wyjść. Potem chodzili bez celu po ulicach Shinjuku. Zbliżała się szóstka, więc wiele osób szło szybkim krokiem ku stacji, ale niebo było jeszcze jasne. Miasto tonęło w promieniach słońca wczesnego lata. Po wyjściu ze znajdującej się w podziemiu kawiarni ta jasność wydawała się dziwnie nienaturalna.

– Dokąd teraz idziesz? – zapytał Tengo.

– nie mam żadnych planów

– Odwieźć cię do domu? To znaczy do tego mieszkania w Shinanomachi. Bo dzisiaj pewnie tam się zatrzymasz?

– tam nie pojedę – powiedziała Fukaeri.

– Dlaczego nie?

Nie odpowiedziała.

– Bo wydaje ci się, że lepiej tam nie jechać? – zapytał Tengo na próbę.

Fukaeri w milczeniu przytaknęła.

Chciał ją zapytać, dlaczego jej się wydaje, że lepiej tam nie jechać, ale miał wrażenie, że i tak porządnie nie odpowie.

– To wracasz do domu profesora?

– do futamatao za daleko

– A gdzie jeszcze mogłabyś pójść?

– przenocuję u pana – oznajmiła Fukaeri.

– To chyba nie jest najlepszy pomysł – odpowiedział Tengo, ostrożnie dobierając słowa.

– Mam małe mieszkanie, mieszkam sam. Profesor Ebisuno na pewno by ci na to nie pozwolił.

– profesorowi wszystko jedno – powiedziała Fukaeri. Potem wykonała gest, jakby wruszała ramionami. – mnie też wszystko jedno

– Ale może mnie nie jest wszystko jedno – powiedział Tengo.

– dlaczego

– No bo... – zaczął, ale nie dokończył. Nie mógł sobie przypomnieć, co zamierzał powiedzieć. Kiedy rozmawiał z Fukaeri, czasem mu się to zdarzało. W sekundę tracił wątek. Jakby powiał silny wiatr i rozrzucił w trakcie koncertu kartki z nutami.

Fukaeri wyciągnęła prawą rękę i jakby pocieszająco ścisnęła lekko jego lewą.

– pan nie całkiem rozumie – powiedziała.

– Co na przykład?

– że my jesteśmy jednym

– Jesteśmy jednym? – zapytał zdziwiony Tengo.

– razem napisaliśmy książkę

Tengo czuł we wnętrzu dłoni dotyk palców Fukaeri. Niezbyt silny, ale jednolity, pewny ucisk.

– Masz rację. Razem napisaliśmy *Powietrzną poczwarkę*. Więc tygrys też nas pewnie razem pożre.

– tygrys się nie pojawi – powiedziała Fukaeri poważnym jak nigdy tonem.

– To dobrze – powiedział Tengo. Ale nie czuł się z tego powodu szczególnie zadowolony. Może i tygrys się nie pojawi, ale kto wie, co się pojawi zamiast niego.

Zatrzymali się przed automatami biletowymi na dworcu Shinjuku. Fukaeri patrzyła na Tengo, ściskając go za rękę. Pasażerowie mijali ich szybkim krokiem z obu stron, jakby oni sami stali pośrodku ludzkiej rzeki.

– Dobrze. Skoro chcesz u mnie przenocować, możesz przenocować – poddał się Tengo.
– Ja mogę spać na kanapie.

– dziękuję – powiedziała Fukaeri.

Pierwszy raz usłyszałem od niej coś w rodzaju podziękowania, pomyślał Tengo. A może i nie pierwszy raz. Ale za nic nie mógł sobie przypomnieć, kiedy był ten pierwszy.

Rozdział dziewiętnasty – Aomame

Kobiety dzielące się sekretami

– Little People? – zapytała łagodnie Aomame, zaglądając dziewczynce w oczy. – Kim są Little People?

Jednak Tsubasa znowu kompletnie zamilkła, jej oczy utraciły głębię i stały się takie jak przedtem. Zdawało się, że wypowiedzenie tych dwóch słów kosztowało ją ogromną ilość energii.

– Ktoś, kogo znasz? – dodała Aomame. Nie było odpowiedzi.

– Ciągłe to powtarza – wyjaśniła starsza pani. – Little People. Nie wiem, co to znaczy.

W słowach „Little People” było coś złowieszczonego. Aomame wyczuła ten słabiutki ton, jakby dosłyszała z daleka grzmot.

– Czy ci Little People zrobili jej krzywdę? – zapytała.

Starsza pani potrząsnęła głową.

– Nie wiem. Ale nie ma wątpliwości, że jacyś Little People mają dla tego dziecka wielkie znaczenie.

Dziewczynka siedziała nieruchomo, wpatrując się tymi nieprzejrzystymi oczami w jakiś punkt w przestrzeni. Drobne dłonie położyła na stole.

– Co jej się właściwie stało? – zapytała Aomame.

Starsza pani zaczęła mówić raczej obojętnym tonem: – Są ślady gwałtów. Powtarzanych wielokrotnie. Na zewnętrznych narządach płciowych i w waginie są straszne rozdarcia. Są też blizny wewnątrz macicy. Bo do jeszcze niekompletnie dojrzałej małej pochwy próbowano włożyć twarde penis dorosłego mężczyzny. Dlatego też został poważnie zniszczony rejon zagnieżdżania się zapłodnionych jajeczek. Lekarz ocenia, że nawet kiedy dorośnie, prawdopodobnie nie będzie mogła zająć w ciąży.

Zdawało się, że starsza pani celowo mówi tak dosłownie o takich fizjologicznych kwestiach w obecności dziewczynki. Tsubasa słuchała w milczeniu. Jej twarz pozostała bez wyrazu. Czasami wargi lekko się poruszały, ale nie wydobywał się z nich żaden dźwięk. Wyglądała jakby głównie z uprzejmości przysłuchiwała się opowiadaniu o jakiejś nieznannej, dalekiej osobie.

– To nie wszystko – ciągnęła cicho starsza pani. – Gdyby nawet przypadkiem, wskutek jakiegoś leczenia przywrócona została funkcja macicy, ta dziewczynka prawdopodobnie nie będzie chciała w przyszłości podjąć współżycia płciowego. Skoro odniosła aż takie obrażenia, penetracji musiał towarzyszyć gwałtowny ból, a powtarzało się to wielokrotnie. Pamięć o tym bólu tak łatwo nie zniknie. Rozumie pani, o czym mówię, prawda?

Aomame skinęła głową. Mocno spłotła ręce kolanach.

– Czyli przygotowane w jej ciele jajeczka nie mają się gdzie podziać. One już... – starsza pani zerknęła na Tsubasę, a potem mówiła dalej: – już stały się jałowe.

Aomame nie wiedziała, w jakim stopniu Tsubasa rozumie, o czym jest mowa. Ale bez względu na to, ile rozumiała, jej prawdziwe uczucia zdawały się być gdzie indziej. Przynajmniej tu ich nie było. Jakby jej serce zostało zamknięte na klucz w jakimś małym ciemnym pokoju położonym gdzieś indziej.

Starsza pani mówiła dalej: – Nie mówię, że zajście w ciążę i urodzenie dziecka to dla kobiety jedyny cel i wartość życia. Każdy ma prawo wybrać takie życie, jakie chce. Ale trudno pogodzić się z tym, że ktoś brutalnie odbiera kobiecie jej naturalne prawo.

Aomame skinęła głową w milczeniu.

– Naprawdę trudno się z tym pogodzić – powtórzyła starsza pani. Aomame zauważyła, że jej głos lekko drży. Wyglądało na to, że nie może już dalej powściągnąć swoich uczuć. – To dziecko uciekło samo z pewnego miejsca. Nie wiem, jak jej się to udało. Ale nie ma się gdzie podziać i my jesteśmy jej jedyną ostoją. Żadne inne miejsce nie jest dla niej bezpieczne.

– Gdzie są jej rodzice?

Starsza pani skrzywiła się lekko i postukała paznokciem o stół.

– Wiem, gdzie są jej rodzice. Ale to właśnie rodzice zezwolili na to okrutne traktowanie. Innymi słowy to dziecko uciekło od rodziców.

– To znaczy, że rodzice zgodzili się na to, że ktoś gwałcił ich córkę? O to pani chodzi?

– Nie tylko się zgodzili. Oni temu przyklasnęli.

– Dlaczego coś takiego... – zaczęła Aomame, ale nie mogła dokończyć.

Starsza pani potrząsnęła głową.

– To straszna historia. Nie do przyjęcia pod żadnym względem. Ale tej sytuacji nie można rozwiązać normalnymi środkami. To nie zwykły przypadek przemocy w rodzinie. Lekarz powiedział mi, że należy zawiadomić policję. Ale poprosiłam go, żeby tego nie robił. Jestem z nim zaprzyjaźniona, więc jakoś udało mi się go przekonać.

– Dlaczego? – zapytała Aomame. – Dlaczego nie zawiadomiła pani policji?

– To, co spotkało to dziecko, to najwyraźniej coś nieludzkiego, coś, na co społeczeństwo nie powinno patrzeć pobłażliwie. Podłe przestępstwo, które musi zostać surowo ukarane – mówiła starsza pani, starannie dobierając słowa. – Ale gdybym nawet zawiadomiła teraz policję, jakie kroki mogliby podjąć? Jak pani widzi, ta dziewczynka praktycznie nie mówi. Pewnie nie mogłaby wytłumaczyć ani co się stało, ani co ją spotkało. A gdyby nawet jakoś jej

się udało, nie ma na to żadnego dowodu. Gdyby została przekazana policji, być może odesłaliby ją z powrotem rodzicom. Nie ma się gdzie podziać, a poza tym przecież rodzice są jej prawnymi opiekunami. A jeśli wróci do rodziców, prawdopodobnie znowu zacznie się to samo. Nie mogę na to pozwolić.

Aomame przytaknęła.

– Sama ją wychowam – powiedziała zdecydowanie starsza pani. – Nikomu jej nie oddam. Choćby przyszli po nią rodzice, choćby przyszedł nie wiadomo kto, nie oddam jej. Ukryję ją gdzieś i zajmę się jej wychowaniem.

Aomame patrzyła na zmianę na starszą panią i na dziewczynkę. Po chwili powiedziała: – A czy da się ustalić, co za mężczyzna stosował wobec niej przemoc seksualną? Czy to był jeden człowiek?

– Da się ustalić. Był jeden.

– Ale nie można go podać do sądu, tak?

– Ten mężczyzna ma ogromną moc. Bardzo silnie oddziałuje na innych. Rodzice tego dziecka byli pod jego wpływem. I nadal są. Robią wszystko, co im rozkaże. Stracili swoją indywidualność i zdolność samodzielnej oceny sytuacji. To, co on mówi, jest dla nich absolutnie słuszne. Dlatego kiedy powiedziano im, że muszą mu dać córkę, nie stawiali oporu. Przyjmowali bez protestu wszystkie jego pokrętne wyjaśnienia i chętnie mu ją posyłali. Mimo że wiedzieli, co z nią wyczynia.

Zrozumienie tego, co mówiła starsza pani, zajęło Aomame trochę czasu. Wyteęzała umysł i porządkowała myśli.

– Czy to jest jakaś szczególna grupa?

– Owszem. Taka szczególna grupa ludzi o wąskich, chorych umysłach.

– Coś w rodzaju sekty?

Starsza pani przytaknęła.

– Owszem. I to sekty wyjątkowo przesyconej złem, a do tego niebezpiecznej.

Oczywiście. Kult. To było możliwe jedynie w sekcie. Ludzie robią wszystko, co im się rozkaże. Są pozbawieni indywidualności i zdolności samodzielnej oceny. Mnie mogło spotkać to samo, pomyślała Aomame, przygryzając wargi.

W Zborze Świadków naturalnie nie zdarzały się przypadki gwałtów. A przynajmniej ona nie czuła nigdy zagrożenia natury seksualnej. Wszyscy „bracia” i „siostry” w jej otoczeniu byli łagodni i uczciwi. Ludzie myślący poważnie o wierze, żyjący w poszanowaniu jej dogmatów, czasami broniący swoich przekonań z narażeniem życia. Ale słuszne motywy nie zawsze prowadzą do słusznego celu. A poza tym gwałcone jest nie tylko ciało. Przemoc nie zawsze przyjmuje formy widoczne dla oka, nie wszystkie rany krwawią.

Tsubasa przypomniła Aomame okres, kiedy sama miała tyle lat. Jakoś dzięki sile woli udało jej się stamtąd wydostać. Ale jeżeli ktoś jest tak poważnie zraniony jak to dziecko, być może nie ma już odwrotu. Być może nie da się wrócić do naturalnego stanu. Na tę myśl

Aomame gwałtownie ścisnęło się serce. Dostrzegła w losie Tsubasy to, co mogło spotkać ją samą.

– Pozwoliłam sobie zebrać informacje o pani przeszłości – odezwała się starsza pani konfidencyjnym tonem. – Wiem, że postąpiłam nietaktownie, ale mówię pani o tym teraz ze względu na okoliczności.

Na te słowa Aomame oprzytomniała i spojrzała na starszą panią.

– To było zaraz po tym, jak pierwszy raz się tu spotkałyśmy i rozmawiałyśmy. Bardzo bym się cieszyła, gdyby się pani nie poczuła urażona.

– Nie, nie jestem urażona. Biorąc pod uwagę sytuację, wcale się nie dziwię, że pani zebrała o mnie informacje. Przecież to, co robimy, to nie jest zwyczajna rzecz.

– Właśnie. Chodzimy po bardzo cienkiej linii. Dlatego musimy sobie nawzajem ufać. Ale nie można komuś zaufać, jeśli nie wie się o nim tego, co powinno się wiedzieć, bez względu na to, kim jest ta druga osoba. Dlatego sprawdziłam wszystkie informacje dotyczące pani. Od dalekiej przeszłości do chwili obecnej. Oczywiście to znaczy prawie wszystkie informacje. Nikt nie potrafi dowiedzieć się wszystkiego o drugim człowieku. Prawdopodobnie nawet sam Bóg.

– Ani szatan – powiedziała Aomame.

– Ani szatan – powtórzyła starsza pani. I blade się uśmiechnęła. – Zdaję sobie sprawę, że pani sama nosi w sercu blizny z okresu dzieciństwa związane z sekciarstwem. Pani rodzice byli pobożnymi członkami Zboru Świadków, nadal nimi są. Wcale nie zamierzają pani wybaczyć odrzucenia wiary. To nadal panią boli.

Aomame w milczeniu przytaknęła.

Starsza pani mówiła dalej: – Jeżeli mam być szczerą, nie nazwałabym Zboru Świadków rozsądnym wyznaniem. Gdyby w dzieciństwie odniosła pani poważne obrażenia albo zapadła na chorobę wymagającą operacji, mogłaby pani przyplacić to życiem. Religia odrzucająca konieczną dla ratowania życia operację, bo nie zgadza się to z literą Pisma Świętego, jest po prostu sekciarstwem. To niewłaściwe zastosowanie dogmatów.

Aomame znów przytaknęła. Odmawianie transfuzji krwi to jedna z pierwszych zasad, jakie wpajane są dzieciom w Zborze Świadków. Uczy się je, że przeprowadzenie transfuzji jest przeciwne nauce Boga i idzie się za to do piekła, więc o wiele większym szczęściem jest śmierć z czystym ciałem i duszą. Nie ma tam miejsca na kompromis. Albo idzie się do piekła, albo do raju – są tylko dwie drogi. Dzieci nie mają jeszcze zdolności krytycznego myślenia. Nie wiedzą, czy taka zasada jest akceptowana przez całe społeczeństwo albo potwierdzona naukowo. Mogą tylko uwierzyć w to, co mówią im rodzice. Gdybym jako dziecko znalazła się w sytuacji wymagającej transfuzji krwi, zapewne zgodnie z nauką rodziców odmówiłabym, wybierając śmierć. I zostałabym zabrana do raju czy do jakiegoś innego, nie wiadomo jakiego, miejsca.

– Czy ta sekta jest znana? – zapytała Aomame.

– Nazywa się Sakigake. Na pewno pani słyszała przynajmniej tę nazwę. W pewnym okresie prawie codziennie pisali o niej w gazetach.

Aomame nie pamiętała, żeby słyszała tę nazwę. Lecz w milczeniu skinęła głową. Zdawało jej się, że tak będzie lepiej. Była świadoma tego, że najprawdopodobniej żyje teraz nie w prawdziwym roku 1984, a w świecie roku 1Q84, w którym zaszły pewne zmiany. Była to jeszcze hipoteza, ale z każdym dniem stale przybywało jej realności. W tym nowym świecie mogło zajść wiele zdarzeń, o których się jeszcze nie dowiedziała. Musi być wyjątkowo uważna.

Starsza pani mówiła dalej: – Sakigake była początkowo niewielką komuną rolniczą, której trzon stanowiła grupa nowych lewicowców zbiegłych z miasta, lecz w pewnym momencie nagle zmienili kurs i całkowicie przeobrazili się w organizację religijną. Przyczyny i okoliczności tej zmiany nie są dokładnie znane. To dość dziwna sprawa. Ale tak czy inaczej większość członków pozostała. Teraz zarejestrowali się jako organizacja wyznaniowa, lecz publicznie prawie nic nie wiadomo o prawdziwym charakterze sekty. Zasadniczo należą do ezoterycznego buddyzmu, ale przypuszczam, że treść ich doktryny to jakaś lipa, tylko na pokaz. Ta sekta błyskawicznie zyskuje wyznawców i rośnie w siłę. Mimo że byli jakoś zaplątani w takie głośnie wydarzenia, ich wizerunek na tym nie ucierpiał. Bo zadziwiająco inteligentnie na to zareagowali. Raczej pomogło im się to zareklamować.

Starsza pani przerwała na chwilę, potem mówiła dalej: – Mimo że opinia publiczna raczej o tym nie wie, sekta ma przywódcę, którego zwą Liderem. Uważają, że ma niezwykłą moc. Potrafi czasem uleczyć ciężką chorobę, przewidywać przyszłość, wywoływać różne paranormalne zjawiska. Oczywiście są to z pewnością sprytne triki, ale przyciągają wielu wyznawców.

– Paranormalne zjawiska?

Starsza pani zmarszczyła kształtne brwi. – Nie wiem, co to konkretnie oznacza. Szczerze mówiąc, kwestie okultystyczne w ogóle mnie nie interesują. Od zawsze ludzie na całym świecie uprawiają taką samą oszukańczą działalność. Stosują te same triki. A mimo to zawsze ktoś się daje nabrać na takie żalosne sztuczki. To dlatego, że większość ludzi nie chce wierzyć w prawdę, a w to, co chcieliby, żeby było prawdą. Tacy ludzie niczego nie widzą, nawet jeśli mają oczy szeroko otwarte. Oszukiwanie ich jest dziecinnie proste.

– Sakigake – powiedziała Aomame. – Zwiastun, brzmi to jak nazwa pociągu ekspresowego. Nie jak sekta religijna.

Na dźwięk słowa Sakigake Tsubasa, jakby reagując na ukryty w nim szczególny ton, spuściła na chwilę oczy. Lecz zaraz znów je podniosła i na jej twarzy ukazał się wcześniejszy nieobecny wyraz. Wyglądało to tak, jakby powstał w niej na chwilę niewielki wir, który zaraz się uspokoił.

– To przywódca Sakigake gwałcił Tsubasę – powiedziała starsza pani. – Zmuszał ją do tego pod pretekstem zapewnienia jej duchowego przebudzenia. Rodziców poinformowano, że

rytuał musi się odbyć, zanim dziewczynka dostanie pierwszej miesiączki. Czyste duchowe przebudzenie można dać tylko takim nieskałanym dziewczynkom. Towarzyszący temu gwałtowny ból to jedna z nieuniknionych barier, którą trzeba pokonać, by dostać się na wyższy poziom wtajemniczenia. Rodzice uwierzyli, niczego nie kwestionując. Naprawdę trudno uwierzyć, jacy ludzie potrafią być głupi. Ale to nie dotyczyło tylko Tsubasy. Uzyskaliśmy informacje, że to samo działo się z innymi dziewczynkami w sekcie. Przywódca jest degeneratem o perwersyjnych upodobaniach seksualnych. Nie ma co do tego wątpliwości. A sekta to jedynie wygodny pretekst, który pozwala zaspokajać żądze.

– A czy on ma jakieś nazwisko?

– Niestety, wciąż nie znamy nazwiska. Nazywany jest po prostu Liderem. Nie wiadomo też, co to za człowiek, skąd się wziął i co przedtem robił, ani nawet jak wygląda. Drażyliśmy ten temat, ale nie zdobyliśmy na razie wystarczających informacji. Są praktycznie nie do uzyskania. Zamknął się w głównej siedzibie sekty w górach prefektury Yamanashi i prawie nie pokazuje się publicznie. Nawet na terenie sekty tylko parę osób może się z nim zobaczyć. Podobno zwykle przebywa w ciemnym pomieszczeniu i uprawia medytację.

– I my nie możemy tego tak zostawić.

Starsza pani spojrzała na Tsubasę, następnie powoli skinęła głową.

– Nie może być więcej ofiar. Nie uważa pani?

– To znaczy musimy podjąć jakieś kroki.

Starsza pani wyciągnęła rękę i położyła na dłoni Tsubasy. Przez pewien czas zatopiła się w milczeniu. Potem powiedziała: – Tak jest.

– Czy jest pewne, że wielokrotnie dopuszczał się tych perwersyjnych aktów? – zapytała Aomame.

Starsza pani skinęła głową.

– Mamy niezbite dowody, że odbywają się tam zorganizowane gwałty dziewczynek.

– Jeśli naprawdę tak jest, rzeczywiście nie wolno nam na to pozwolić – powiedziała cicho Aomame. – Tak jak pani powiedziała, nie może być więcej ofiar.

Wydawało się, że starsza pani toczy jakąś wewnętrzną walkę, waży coś w myślach. Potem powiedziała: – Musimy dowiedzieć się więcej o tym Liderze. Wszystko musi być jasne. W końcu chodzi przecież o ludzkie życie.

– Ten człowiek prawie nie pokazuje się publicznie, tak?

– Tak. I prawdopodobnie ma wyjątkowo dobrą ochronę.

Aomame zmrużyła oczy i przywołała w myślach obraz specjalnie wykonanego szpikulca ukrytego w szufladzie komody. Zwłaszcza jego bardzo zaostrzonego czubka.

– Zdaje się, że to będzie trudne zadanie – powiedziała.

– Wyjątkowo trudne zadanie – dodała starsza pani. Potem zdjęła rękę z dłoni Tsubasy i lekko dotknęła środkowym palcem brwi. Był to znak, że zabrnęła myślami w ślepią uliczkę, choć nie zdarzało się to zbyt często.

– Wydaje mi się, że realnie biorąc, trudno byłoby mi pojechać w góry w Yamanashi, wślizgnąć się na teren sekty mimo ścisłej ochrony, załatwić Lidera i potem spokojnie się stamtąd wydostać. Może byłoby to możliwe w filmie o ninja.

– Nie chcę pani prosić o coś takiego. Oczywiście, że nie – powiedziała poważnie starsza pani. A potem jakby nagle się zorientowała, że to żart, blado się uśmiechnęła. – Nie ma mowy o czymś takim.

– Jeszcze jedno nie daje mi spokoju – powiedziała Aomame, patrząc starszej pani prosto w oczy. – Mianowicie Little People. Kim właściwie są? Co oni Tsubasie zrobili? Możliwe, że informacje na ich temat także są potrzebne.

Starsza pani odezwała się, dotykając ciągle palcem brwi: – Mnie to też nie daje spokoju. To dziecko prawie się nie odzywa, tylko tak jak parę minut temu często powtarza „Little People”. To pewnie ma wielkie znaczenie. Ale Tsubasa nie powiedziała, kim oni są. Na ten temat milczy jak zaklęta. Proszę mi dać trochę więcej czasu. Postaramy się i o tym czegoś dowiedzieć.

– Czy ma pani jakiś sposób na zdobycie dodatkowych informacji o Sakigake?

Starsza pani uśmiechnęła się łagodnie.

– Wszystko, co ma jakiś kształt, da się kupić za pieniądze. A mnie stać na wydanie dużych sum. Szczególnie na tę sprawę. To może trochę potrwać, ale na pewno uzyskamy potrzebną wiedzę.

Są jednak rzeczy, których nie da się kupić za żadne pieniądze, pomyślała Aomame. Na przykład księżyc.

Zmieniła temat.

– Naprawdę zamierza pani zaopiekować się Tsubasą i wychować ją?

– Oczywiście, poważnie o tym myślę. Zamierzam ją oficjalnie adoptować.

– Myślę, że pani o tym dobrze wie, ale oficjalnych formalności nie da się łatwo załatwić. Bo w końcu sytuacja jest, jaka jest.

– Oczywiście, jestem na to przygotowana – odrzekła starsza pani. – Wykorzystam wszystkie dostępne środki. Zrobię, co w mojej mocy. Nikomu nie oddam tego dziecka.

W głosie starszej pani brzmiał przejmujący ton. Nigdy przedtem nie okazała tak otwarcie uczuć w obecności Aomame, którą to lekko zaniepokoiło. Zdawało się, że starsza pani wyczytała z jej twarzy tę obawę. Konfidencko dodała ścisłym głosem: – Nikomu o tym nie mówiłam. Zachowałam to dla siebie. Doprawdy trudno o tym głośno mówić. Prawda jest taka, że moja córka była w ciąży, kiedy popełniła samobójstwo. W szóstym miesiącu. Pewnie nie chciała urodzić dziecka tego mężczyzny. Dlatego odebrała sobie życie, zabierając ze sobą maleństwo. Gdyby żyło, byłoby teraz mniej więcej w wieku tej dziewczynki. Wtedy utraciłam naraz dwie drogie mi istoty.

– Bardzo mi przykro – powiedziała Aomame.

– Ale proszę być spokojną. Tego typu osobiste względy nie wpływają na moją zdolność

oceny sytuacji. Nie narażę pani na niepotrzebne niebezpieczeństwo. Pani też jest dla mnie ważna, jak córka. Jesteśmy już rodziną.

Aomame w milczeniu skinęła głową.

– Łączy nas coś silniejszego od więzów krwi – powiedziała cicho starsza pani.

Aomame ponownie skinęła głową.

– Tego człowieka trzeba za wszelką cenę rozgnieść na proch – powiedziała, jakby sama siebie przekonywała. Potem spojrzała na Aomame. – Musi pani go jak najszybciej wysłać na tamten świat. Zanim znowu zrobi komuś krzywdę.

Aomame wpatrywała się w twarz Tsubasy siedzącej po drugiej stronie stołu. Oczy dziecka na nic nie patrzyły. Widziały jedynie jakiś punkt w przestrzeni. Dziewczynka wydawała się jakby pustą skorupą.

– Ale jednocześnie nie wolno działać pośpiesznie – powiedziała starsza pani. – Musimy być uważni i cierpliwi.

* * *

Aomame wyszła, zostawiając starszą panią z dziewczynką imieniem Tsubasa. Starsza pani powiedziała, że zostanie z dzieckiem, aż ono uśnie. W holu na parterze cztery kobiety siedziały przy okrągłym stole i nachylone ku sobie coś szeptały. Dla Aomame nie wyglądało to jak realna scena, a raczej jakby kobiety stanowiły kompozycję iluzorycznego obrazu. Być może tytuł brzmiałby *Kobiety dzielące się sekretami*. Nawet kiedy przechodziła obok, w kompozycji, którą stworzyły, nie zaszły żadne zmiany.

Przykucnęła przy wejściu i głaskała przez chwilę owczarka niemieckiego. Pies radośnie wymachiwał ogonem. Patrząc na psy, nie mogła się nadziwić, że potrafią być tak bezwarunkowo szczęśliwe. Nigdy nie miała psa, kota ani nawet ptaszka. Nigdy nie kupiła nawet rośliny w doniczce. Nagle coś sobie przypomniała i spojrzała na niebo, lecz pokrywała je jednolita warstwa szarych chmur, jakby zapowiadająca zbliżającą się porę deszczową, i księżycy nie było widać. Był spokojny, bezwietrzny wieczór. Spoza chmur prześwitywał leciutki blask, ale nie dało się stwierdzić, ile jest za nimi księżyców.

Idąc do stacji metra, Aomame rozmyślała nad tym, jaki dziwny jest świat. Jeżeli, tak jak powiedziała starsza pani, jesteśmy jedynie nośnikami genów, dlaczego tak wielu z nas musi mieć takie dziwne życie? Gdybyśmy wiedli prostą egzystencję, nie rozmyślalibyśmy na żadne niepotrzebne tematy i zajmowalibyśmy się wyłącznie utrzymaniem się przy życiu i reprodukcją; bez trudu udałoby się nam przekazać DNA. Jaką korzyść mogą mieć geny z tego, że ludzie zmuszeni są do przeżywania takiego kłopotliwie pokręconego, a czasami wręcz nienormalnego życia?

Mężczyzna czerpiący radość z gwałcenia dziewczynek, które nie miały jeszcze pierwszej miesiączki, umięśniony i silny ochroniarz gej, głęboko wierzący ludzie, którzy umierają tylko

dlatego, że nie zgodzili się na transfuzję krwi, kobieta w szóstym miesiącu ciąży, która popełnia samobójstwo, łykając środki nasenne, kobieta mordująca podłych mężczyzn poprzez wbicie im w kark ostrej igły, kobiety nienawidzące mężczyzn, mężczyźni nienawidzący kobiet. Jaką korzyść mają geny z istnienia na świecie takich ludzi? Czy te perwersyjne epizody cieszą je, są dla nich interesującym bodźcem, czy też geny wykorzystują je do jakiegoś celu?

Aomame nie wiedziała. Wiedziała tylko, że teraz nie może już wybrać innego życia. Bez względu na wszystko mogę żyć tylko tym. Nie mogę swojego życia oddać i wymienić na nowe. Choćby było dziwne, choćby było skrzywione, ja nośnik istnieję właśnie w nim.

Chciałabym, żeby starsza pani i Tsubasa znalazły szczęście, myślała, idąc. Przyszło jej nawet do głowy, że gdyby miały znaleźć we dwie szczęście, ona sama mogła złożyć siebie w ofierze. Ja nie mam żadnej przyszłości, którą warto by sobie zawracać głowę. Ale szczerze mówiąc, Aomame nie sądziła, że uda im się żyć spokojne i szczęśliwe – a choćby nawet zwyczajnie. W mniejszym lub większym stopniu jesteśmy wszystkie takie same, pomyślała. W życiu wzięłyśmy na siebie zbyt wielkie ciężary. Jak mówi starsza pani, jesteśmy jakby rodziną. Łączy nas to, że nosimy w sercach głębokie blizny, każda z nas ma jakiś brak, jesteśmy jakby rodziną toczącą niekończącą się walkę z życiem.

Myśląc o tych sprawach, zorientowała się, że gwałtownie pożąda mężczyzny. Dlaczego w takiej chwili ni stąd, ni zowąd zachciewa mi się faceta? Pokręciła głowę. Aomame nie potrafiła ocenić, czy ten wzrost pożądania wywołany jest wzmożonym napięciem nerwowym, naturalną potrzebą dojrzewających w niej jajeczek czy jakimś chorym spiskiem genów. Ale to pragnienie miało dość głęboko sięgające korzenie. Ayumi na pewno powiedziałyby, że „chciałaby, żeby ją ktoś zdrowo przeleciał”. Co zrobić? – zastanawiała się. Mogłaby iść do tego baru, co zawsze, i tam znaleźć odpowiedniego faceta. Do Roppongi był tylko jeden przystanek metrem. Ale czuła się na to zbyt zmęczona. Poza tym nie była w stroju dobrym do uwodzenia. Bez makijażu, w adidasach i ze sportową torbą. Wróć do domu, otworzę butelkę czerwonego wina, sama się zadowolę i pójdę spać. Tak będzie najlepiej. I przestanę myśleć o księżycu.

* * *

Mężczyzna siedzący naprzeciwko Aomame w pociągu jadącym z Hiroo do Jiyūgaoka był na oko w jej typie. Prawdopodobnie dobiegał pięćdziesiątki, miał owalną twarz, linię włosów na czole nieco przesuniętą do tyłu. Kształt głowy też miał niezły. Do tego zdrowa cera, modne okulary w cienkich czarnych oprawkach. Ubrany był gustownie. Letnia granatowa marynarka, biała koszulka polo, na kolanach skórzana teczka na dokumenty. Brązowe mokasyny. Wyglądał na kogoś pracującego na etacie, ale nie w jakiejś nudnej firmie. Może redaktor z jakiegoś wydawnictwa, architekt z niewielkiej pracowni

architektonicznej albo może ktoś związany z modą, pewnie coś w tym rodzaju. Pochłonięty był lekturą kieszonkowego wydania jakieś książki obłożonej w papier.

Gdyby to było możliwe, chciałaby iść gdzieś z tym mężczyzną i uprawiać gorący seks. Wyobraziła sobie, jak ściska w dłoni jego sztywny penis. Chciała go tak mocno ścisnąć, żeby nieomal odciąć dopływ krwi. A drugą ręką łagodnie masowałaby jądra. Złożone na kolanach dłonie aż ją swędziały. Nieświadomie ściskała i rozluźniała palce. Przy każdym oddechu wznosiły się jej ramiona. Powoli oblizwała językiem wargi.

Ale musiała wysiąść w Jiyūgaoka. Mężczyzna dalej siedział i czytał, jadąc nie wiadomo dokąd, nieświadom, że stał się obiektem erotycznych fantazji. Nie robiło mu różnicy, jaka kobieta siedzi naprzeciwko. Wysiadając, Aomame poczuła impuls, żeby wyrwać mu tę głupią książkę, ale oczywiście się pohamowała.

* * *

O pierwszej w nocy Aomame głęboko spała. Przyśnił jej się erotyczny sen. W tym śnie para jej pięknych piersi miała kształt i wielkość grapefruitów. Sutki były twarde i duże. Przyciskała te piersi do dolnej połowy ciała mężczyzny. Ubranie zrzuciła na podłogę, spała nago z rozsuniętymi udami. Uśpiona Aomame nie mogła tego wiedzieć, ale na niebie teraz też unosiły się dwa księżyce – dawny, duży księżyc i drugi nowy, mały.

* * *

Tsubasa i starsza pani usnęły w tym samym pokoju. Tsubasa spała zwinięta w kłębek w nowej piżamie w kratkę. Starsza pani przysnęła obok, wyciągnięta w fotelu do czytania. Jej kolana okrywał koc. Zamierzała odejść, gdy Tsubasa uśnie, lecz sama zapadła w sen. Wokół stojącego na wzniesieniu odizolowanego budynku panowała cisza i spokój. Czasami tylko zza okna dobiegał jazgot z rur wydechowych pędzących drogą motocykli czy syreny karetek pogotowia. Owczarek niemiecki też spał przy wejściu jakby skulony. Okno zakrywały zasłony, lecz światło rtęciowych latarni barwiło je bielą. Chmury zaczęły się przeredzać i chwilami wyglądały spoza nich dwa księżyce. Morza całego świata regulowały swoje przyływy i odpływy.

Tsubasa spała z policzkiem przyciśniętym do poduszki i otwartymi ustami. Oddychała niezwykle cicho, ciało miała prawie nieruchome. Tylko jej ramiona czasem drżały, jakby wstrząsane skurczami. Grzywka opadła na czoło.

Wkrótce jej usta powoli się otworzyły, wyszli z nich jeden po drugim Little People. Wychodzili ostrożnie, rozglądając się dookoła, najpierw jeden, po nim następny. Gdyby starsza pani się obudziła, mogłaby ich zobaczyć, lecz spała głęboko. Długo nie miała się obudzić. Little People o tym wiedzieli. Było ich razem pięciu. Kiedy wychodzili z ust

Tsubasy, mieli wielkość jej małego palca, lecz gdy znaleźli się na zewnątrz, zaczęli niezręcznie wydłużać ciała, jakby były rozkładanymi parasolkami, aż osiągnęli wielkość około trzydziestu centymetrów. Wszyscy byli ubrani w takie same, pozbawione charakterystycznych cech stroje. Ich twarze także nie miały cech charakterystycznych, nie można ich było od siebie odróżnić.

Lekko zeskoczyli z łóżka na podłogę i wyciągnęli spod niego jakiś przedmiot wielkości kajzerki. Potem otoczyli go kołem i wszyscy zaczęli coś z nim z wielkim zapałem robić. Był biały i bardzo elastyczny. Unosili ręce, wprawnymi ruchami wyciągali z powietrza przezroczyste białe nici i za ich pomocą systematycznie powiększali ten puszysty przedmiot. Wyglądało na to, że te nici mają w sobie odpowiednią lepkość. Nie wiadomo kiedy urosły do prawie sześćdziesięciu centymetrów. Widocznie mogli w miarę potrzeby dowolnie zmieniać swój wzrost.

Ta praca ciągnęła się przez kilka godzin, pięciu Little People koncentrowało się na niej, nie mówiąc ani słowa. Zespół ściśle ze sobą współpracował, nikt niczego nie zaniedbywał. Przez cały ten czas Tsubasa i starsza pani spały jak zabite. Inne kobiety w schronisku też spały głębokim jak nigdy snem. Leżącemu na trawniku owczarkowi niemieckiemu chyba się coś śniło, bo z głębi jego podświadomości wydobył się jakiś cichy głos.

Nad ich głowami dwa księżycy oświetlały ziemię dziwnym blaskiem, jakby się zmówiły.

Rozdział dwudziesty – Tengo

Biedni Gilacy

Tengo nie mógł zasnąć. Fukaeri spała smacznie w jego łóżku ubrana w jego piżamę. Tengo poczynił przygotowania do spania na małej kanapie (często ucinął sobie na niej popołudniowe drzemki, więc nie stanowiło to szczególnego problemu), położył się, ale w ogóle nie był śpiący, więc usiadł przy kuchennym stole i zaczął pisać dalszy ciąg swojej długiej powieści. Ponieważ word processor był w sypialni, Tengo pisał długopisem w notatniku. To też nie stanowiło problemu. Word processor był niewątpliwie wygodniejszy i szybszy, bo umożliwiał zapisanie tekstu w pamięci urządzenia, ale Tengo kochał klasyczną czynność ręcznego stawiania liter na papierze.

Dość rzadko pisywał w środku nocy. Lubił pracować, kiedy na dworze było jasno, ludzie chodzili normalnie po ulicach. Gdy zaś świat spowijała ciemność i wszystko wokół zamierało, pisząc, miał czasami wrażenie, że tekst staje się zbyt intensywny. Często zdarzało się, że musiał w świetle dnia przerabiać to, co napisał wcześniej w nocy. Żeby uniknąć tego trudu, lepiej było po prostu pracować w dzień.

Ale dawno już nie pisał tak po prostu długopisem w środku nocy, więc tryby w głowie gładko mu się obracały. Wyobraźnia rozprostowała ręce i nogi, opowieść płynęła wartkim strumieniem. Jeden pomysł naturalnie wiódł do następnego. Ten nurt był prawie nieprzerwany. Czubek długopisu uparcie sunący po białym papierze bezustannie poskrzypywał. Kiedy męczyła mu się ręka, Tengo odkładał długopis i poruszał w powietrzu palcami, jak pianista ćwiczący iluzoryczne gamy. Na zegarze dochodziło pół do drugiej. Na zewnątrz było zadziwiająco cicho. Zapewne grube jak wata chmury pokrywające niebo nad miastem pochłaniały wszystkie niepotrzebne dźwięki.

Znów wziął do ręki długopis i zaczął pokrywać papier rzędami słów. Pisząc, nagle przypomniał sobie, że jutro miała przyjść jego kochanka. Zawsze pojawiała się w piątki koło jedenastej. Przedtem musiał gdzieś odesłać Fukaeri. Dobrze, że nie używała perfum ani wody kolońskiej. Kochanka od razu by się zorientowała, gdyby w łóżku pozostał jakiś obcy zapach. Tengo dobrze znał jej dociekliwość i zazdrosny charakter. Nie szkodzi, że sama sypiała z mężem, ale kiedy Tengo zadawał się z innymi kobietami, wpadała w wielki gniew.

- Seks w małżeństwie to trochę co innego – wyjaśniła. – Jest jakby inaczej rozliczany.
- Inaczej rozliczany?
- Tak, w innej rubryce.
- Chodzi o to, że człowiek kieruje się innymi uczuciami?
- O to chodzi. Chociaż używa się tych samych części ciała, uczucia się oddziela. Dlatego to nie przeszkadza. Ja jako dojrzała kobieta to potrafię. Ale nie zgadzam się, żebyś ty sypiał z innymi dziewczynami.
- Ja tego nie robię – powiedział Tengo.
- Nawet jeżeli nie śpisz z innymi dziewczynami, na samą myśl o tym czuję się znieważona.
- Tylko dlatego, że jest taka możliwość? – zapytał Tengo zaskoczony.
- Ty najwyraźniej nie rozumiesz uczuć kobiety. Mimo że piszesz powieści.
- Zdaje mi się, że to bardzo niesprawiedliwe.
- Może i tak. Ale ja ci to wynagrodzę – powiedziała. I nie kłamała.

* * *

Tengo był usatysfakcjonowany związkiem z tą kobietą. Nie była piękna w zwykłym rozumieniu tego słowa. Miała raczej charakterystyczne rysy. Może niektórzy uznaliby ją nawet za brzydką. Ale jemu z jakiejś przyczyny od początku spodobała się jej twarz. Poza tym nie mógł jej nic zarzucić jako partnerce seksualnej. I niewiele od niego wymagała. Chciała tylko, żeby raz w tygodniu spędził z nią trzy lub cztery godziny i żeby uprawiali staranny, niespieszny seks. W miarę możliwości dwukrotnie. I żeby nie zbliżał się do innych kobiet. Zasadniczo tylko tego od niego oczekiwała. Ceniła własną rodzinę i nie zamierzała jej dla Tengo rozbijać. Jednak seks z mężem nie dawał jej wystarczającej satysfakcji. Tak więc wzajemne interesy Tengo i jego kochanki mniej więcej się pokrywały.

Tengo nie czuł specjalnie pożądania w stosunku do innych kobiet. Najbardziej zależało mu na swobodzie i spokoju. Jeżeli miał zagwarantowany regularny seks, niczego więcej od kobiet nie potrzebował. Niezbyt pociągała go perspektywa poznania dziewczyny w swoim wieku, zakochania się w niej, rozpoczęcia współżycia seksualnego i ponoszenia zawsze mu towarzyszącej odpowiedzialności. Kilka etapów psychologicznych, które trzeba było przebyć, aluzje na temat przyszłości, nieunikniony konflikt oczekiwań... W miarę możliwości pragnął uniknąć takiego zawracania głowy.

Pojęcie obowiązku zawsze napawało Tengo lękiem i odstręczało go. Do tej pory żył, zręcznie unikając sytuacji wymagających brania na siebie obowiązków. Unikanie ograniczenia regulaminami, niewplątywanie się w skomplikowaną sieć stosunków międzyludzkich, niepożyczanie nic nikomu i od nikogo, swobodne i spokojne życie w pojedynkę – tego właśnie zawsze konsekwentnie pragnął. I w tym celu gotów był znieść wiele

niedogodności.

Aby uciec od zobowiązań, Tengo bardzo wcześnie przyswoił sobie sposób nierzucania się w oczy. Nie ujawniał w pełni swoich zdolności, nie wyrażał prywatnych poglądów, unikał wysuwania się naprzód, starał się wtopić w tło. Od dzieciństwa życie zmuszało go do radzenia sobie o własnych siłach, bez polegania na innych. Lecz dzieci w rzeczywistości nie mają siły. Kiedy wieje silny wiatr, muszą się za czymś ukryć, czegoś uchwycić, żeby ich nie poniósł. Dlatego zawsze potrzebny im jest jakiś gotowy, przemyślany plan. Jak sierotom z powieści Dickensa.

Można powiedzieć, że do tej pory życie na ogół prosto mu się układało. Zdołał się uchylić od wszelkich zobowiązań. Nie został na uczelni, nie zatrudnił się na etacie, nie ożenił się, miał pracę dającą mu stosunkowo dużo swobody, znalazł sobie satysfakcjonującą partnerkę seksualną (mającą niewielkie wymagania), w wolnym czasie – którego mu nie brakowało – pisał powieści. Trafił mu się mentor literacki pod postacią Komatsu, dzięki któremu regularnie dostawał też zlecenia pisania tekstów do magazynów. Jego własne utwory nie ujrzały jeszcze światła dziennego, ale w tej chwili to, co zarabiał, zupełnie wystarczało mu na życie. Nie miał bliskich przyjaciół ani oficjalnej dziewczyny. Do tej pory chodził co prawda z dziesięcioma i utrzymywał z nimi stosunki seksualne, ale żaden z tych związków nie trwał długo. Za to przynajmniej był wolny.

Lecz od kiedy wziął do ręki rękopis *Powietrznej poczwarki* Fukaeri, na powierzchni tego spokojnego życia pojawiły się rysy. Po pierwsze został prawie siłą wciągnięty w ów niebezpieczny plan Komatsu. Ta piękna dziewczyna przedziwnie wstrząsnęła jego sercem. Poza tym wskutek poprawiania *Powietrznej poczwarki* zaszła w nim jakaś zmiana. Dzięki temu ogarnęło go silne pragnienie napisania własnej powieści. Oczywiście była to zmiana na lepsze. Ale jednocześnie nie dało się ukryć, że prawie idealne samowystarczalne życie, które udało mu się do tej pory prowadzić, musiało ulec jakimś modyfikacjom.

Tak czy inaczej jutro jest piątek. Przyjdzie jego kochanka. Do tej pory musi się jakoś pozbyć Fukaeri.

* * *

Fukaeri obudziła się po drugiej. Ubrana w piżamę otworzyła drzwi sypialni i weszła do kuchni. Wypiła dużą szklankę wody z kranu, a potem, trąc zaspane oczy, usiadła przy stole naprzeciw Tengo.

– przeszkadzam panu – zapytała jak zwykle bez znaku zapytania.

– Nie, specjalnie nie przeszkadzasz.

– co pan pisze

Tengo zamknął notatnik i odłożył długopis.

– Nic ważnego – powiedział. – A poza tym miałem zamiar zaraz przerwać.

- mogę chwilę z panem pobyc – zapytała.
- Proszę. Napiję się trochę wina. Ty też chcesz?
- Dziewczyna potrząsnęła głową. Nie miała na nic ochoty.
- chcę tu trochę posiedzieć
- Nie ma sprawy. Mnie się jeszcze nie chce spać.

Pizama Tengo była na nią za duża, więc podwinęła bardzo nogawki i rękawy. Kiedy się pochylała, widać było trochę piersi. Patrząc na Fukaeri w swojej pizamie, Tengo poczuł, że robi mu się dziwnie duszno. Otworzył lodówkę, wlał do kieliszka resztkę wina z butelki.

– Nie jesteś głodna? – zapytał. W drodze do domu wstąpili do niewielkiej restauracji w pobliżu dworca Kōenji i zjedli spaghetti, ale porcje były niewielkie, poza tym od kolacji minęło już sporo czasu. – Mogę ci zrobić kanapkę albo coś prostego.

- nie jestem głodna wolę żeby pan mi przeczytał co pan napisał
- To co teraz pisałem?
- uhm

Tengo podniósł długopis i obrócił między palcami. W jego wielkiej dłoni wydawał się strasznie malutki. – Nigdy nie pokazuję ludziom rzeczy nieskończonych i porządnie niepoprawionych. Inaczej mogę zapeszyć.

- zapeszyć
- To taka moja prywatna zasada.

Fukaeri przez chwilę przyglądała się Tengo. Potem poprawiła połę pizamy pod szyją.

- to niech mi pan poczyta jakąś książkę
- Jak ci ktoś czyta, to możesz zasnąć?
- uhm

- Dlatego profesor Ebisuno ci często coś czytał.
- bo profesor nigdy nie idzie spać przed świtem
- To on ci czytał *Opowieść o rodzie Heike*?

Fukaeri potrząsnęła głową.

- tego słuchałam z taśmy
- To dlatego nauczyłaś się na pamięć. Ale to musiało być bardzo dużo taśm.

Fukaeri rozsunęła dłonie, pokazując wysokość stosu taśm.

- bardzo dużo
- A który fragment wyrecytowałaś na konferencji prasowej?
- *ucieczkę yoshitsune ze stolicy*

– To o tym, jak po rozgromieniu Tairów Yoshitsune Minamoto opuszcza stolicę, bo goni go jego brat, Yoritomo. I w zwyczajnym rodzie Minamotów zaczynają się tarcia między ludźmi, których łączą więzy krwi.

- uhm
- A co jeszcze znasz na pamięć?

– niech pan powie co pan chce usłyszeć

Tengo próbował sobie przypomnieć, co się zdarzyło w *Opowieści o rodzie Heike*. Była to długa historia i mnóstwo się w niej działo.

– O bitwie pod Dannoura – powiedział Tengo. To było pierwsze, co mu przyszło do głowy.

Fukaeri skupiała się w milczeniu przez jakieś dwadzieścia sekund. Potem zaczęła recytować:

Tymczasem żołnierze Minamotów przedostawali się coraz liczniej na łodzi Tairów; znajdujący się na nich wioślarze i sternicy, zdziśiatkowani z łuków i cięciami mieczy, nie mogli już ocalić łodzi, na których dole leżeli teraz pokotem. Radca Tomomori podjechał w małym czółnie pośpiesznie do łodzi, na której znajdował się cesarz, a w myślach swych rozważał obecną sytuację.

– Wyrzucie to, co jest nieprzystojne dla oczu, do morza i posprzątajcie na łodzi!

– rozkazał i biegając po całym pokładzie od dziobu do steru, własnymi rękami zaprowadzał porządek, usuwając rzeczy niepotrzebne, ścierając plamy lub podnosząc odpadki.

Damy dworu poczęły go pytać jedna przez drugą:

– Jaki jest przebieg bitwy, Radco, powiedz, jaki?

– Będziecie pewno zaraz tu gościć owych sławetnych mężów ze wschodnich prowincji! – odrzekł i głośno się roześmiał, więc damy wieloma naraz głosami poczęły wykrzykiwać, że żarty w takiej chwili nie są chyba stosowne...

Jedynie Niidono, piastunka cesarza, która już od dawna to przewidywała i dlatego przywdziała na głowę żałobę z podwójnego ciemnoszarego jedwabiu, podciągnęła teraz wysoko poły swych długich szat z połyskliwego jedwabiu, umieściła w zanadru Święte Klejnoty, a Święty Miecz u swego boku, wzięła w ramiona tak młodziutkiego jeszcze cesarza i rzekła:

– Jestem kobietą, lecz nie chcę wpaść w ręce wroga. Będę towarzyszyć Jego Cesarskiej Wysokości. Czyja wola, niech pospiesza za nami! – i spokojnie zrobiła kilka kroków w stronę burty łodzi.

Cesarz kończył w tym roku dopiero siedem lat, lecz powaga jego znacznie przewyższała ten wiek. Wyglądał tak pięknie, że zdawał się rozsiewać wokoło światło i promienie. Jego czarne, długie włosy spływały mu wdzięcznie na plecy. Wyraźnie zaniepokojony zapytał:

– Dokąd to zamierzasz mię zabrać?

Wtedy Niidono, zwracając się ku młodocianemu władcy swe oblicze zalane łzami spływającymi szybko po policzkach, odrzekła:

– Wasza Wysokość może i nie wie jeszcze, że dziesięć cnót głównych było

wiernym udziałem jego poprzedniego życia, a przeto narodził się Wasza Wysokość jako władca dziesięciu tysięcy wozów bojowych, ale dosięgło Waszą wysokość złe przeznaczenie i szczęście już Go opuściło... Niech więc Wasza Wysokość zwróci się teraz na wschód i pożegna z wielką świątynią w Ise, a potem niech się zwróci na zachód i pomodli do Buddy, prosząc go, aby został jego przewodnikiem w drodze do Zachodniego Raju. Ten kraj jest skrawkiem ziemi małym jak ziarno prosa, a na obszarze jego panuje tylko smutek. Zawiodę Waszą Wysokość tam, gdzie będzie radośnie, do raju wiecznego szczęścia...

Tak, sama nie przestając płakać, dodawała mu otuchy, rozczesując mu jednocześnie włosy od środka głowy na dwie strony i pozwalając im opadać na jego seledynową szatę, po czym cesarz, tonąc we łzach, złożył swe małe ręce i zwracając się najpierw na wschód, pożegnał się ze świątynią w Ise, a potem zwracając się na zachód, wypowiedział wezwanie do Buddy. Wtedy Niidono wzięła go mocniej w ramiona:

– I pod falami będziesz mieć swą stolicę... – krzyknęła dla dodania mu otuchy i pogrążyła się w morskie fale, w głębinę sięgającą tysięcy chyba sążni*.

Przysłuchując się jej opowieści z zamkniętymi oczami, Tengo czuł się, jakby naprawdę wsłuchiwał się w słowa opowieści ślepego mnicha towarzyszącego sobie grą na lutni. Na nowo uświadomił sobie, że *Opowieść o rodzie Heike* jest poematem epickim przekazywanym z ust do ust. Zwyczajny sposób mówienia Fukaeri był całkowicie monotony, praktycznie nie można było w nim dosłyszeć żadnego akcentu czy modulacji, ale kiedy zaczęła recytację, jej głos nabrał niezwykłej siły, stał się bogaty i pełen różnorodnych tonów. Zupełnie jakby coś w nią wstąpiło. Przed oczami odżywał obraz heroicznej morskiej bitwy w cieśninie Kanmon w roku 1185. Klęska Tairów jest już przesądzona. Wdowa po Kiyomorim, Tokiko bierze w ramiona będącego dzieckiem cesarza Antoku i rzuca się do morza. Damy dworu, nie chcąc wpaść w ręce wschodnich rycerzy, idą jej śladem. Tomomori Taira ukrywa przed nimi gorzkie myśli i niby żartem zachęca do samobójstwa. Inaczej zaznacie piekła na ziemi. Lepiej od razu odebrać sobie życie.

– mówić dalej – zapytała Fukaeri.

– Nie, tyle wystarczy. Dziękuję – powiedział Tengo kompletnie zaskoczony. Rozumiał teraz, dlaczego dziennikarze zaniemówili. – Ja ci się udało zapamiętać taki długi tekst?

– wiele razy słuchałam taśmy

– Normalny człowiek by nie zapamiętał, nawet wiele razy słuchając taśmy – powiedział Tengo.

A potem nagle pomyślał, że ta dziewczyna, nie mogąc czytać książek, niejako w zastępstwie, nadzwyczajnie rozwinęła w sobie umiejętność zapamiętywania tego, co słyszy.

* *Dziesięć tysięcy liści*, przeł. Wiesław Kotański, PWN, Warszawa 1961, s. 358-360.

Tak samo jak dzieci, które są sawantami, potrafią w jednej chwili zapamiętać ogromną ilość informacji wizualnych.

– niech pan mi poczyta książkę – powiedziała Fukaeri.

– Jaką byś chciała?

– ma pan tę książkę o której rozmawiał pan przedtem z profesorem – zapytała. – tę w której jest big brother

– *Rok 1984*? Nie, tu nie mam.

– o czym jest

Tengo przypomniał sobie fabułę powieści.

– Dawno temu czytałem w szkolnej bibliotece, więc nie bardzo pamiętam szczegóły. W każdym razie ta książka ukazała się w roku tysiąc dziewięćset czterdziestym dziewiątym, a wtedy rok tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty czwarty wydawał się daleką przyszłością.

– ten rok jest teraz

– Tak, teraz jest akurat rok tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty czwarty. Przyszłość też kiedyś staje się rzeczywistością. I potem szybko zmienia się w przeszłość. W tej powieści George Orwell odmalował ponure społeczeństwo przyszłości opanowane przez totalitaryzm. Ludzie są ściśle kontrolowani przez dyktatora, który się nazywa Big Brother. Dostęp do informacji jest ograniczony, historia musi zostać napisana na nowo. Bohater pracuje w urzędzie, zdaje się, że w dziale, który zajmuje się tworzeniem nowego języka. Kiedy powstaje nowa historia, cała stara zostaje odrzucona. Jednocześnie język jest tworzony na nowo, istniejące słowa zmieniają znaczenie. Historia jest pisana na nowo tyle razy, że nikt już nie wie, jak było naprawdę. Nie wiedzą też, kto jest wrogiem, a kto sojusznikiem. O tym jest ta książka.

– historia napisana na nowo

– Odebranie ludziom właściwej historii to jak odebranie im części osobowości. To przestępstwo.

Fukaeri rozmyślała nad tym przez chwilę.

– Nasza pamięć składa się z pamięci osobistej i pamięci zbiorowej – powiedział Tengo.

– Są ze sobą ściśle powiązane. Historia jest pamięcią zbiorową. Jeżeli ktoś nas jej pozbawi albo napisze ją na nowo, nie uda nam się zachować naszego prawdziwego charakteru.

– pan też napisał na nowo

Tengo roześmiał się i wypił łyk wina.

– Ja tylko poprawiłem twoją powieść, bo trochę było trzeba. To zupełnie co innego niż pisanie na nowo historii.

– ale nie ma pan tu książki o big brotherze – zapytała Fukaeri.

– Niestety nie. Dlatego nie mogę ci jej przeczytać.

– może być inna książka

Tengo podszedł do regału i wpatrzył się w grzbiety książek. Na własność miał nieliczne,

choć przeczytał do tej pory w życiu wiele. Z jakiejś przyczyny nie lubił gromadzić w mieszkaniu zbyt wielu przedmiotów. Dlatego przeczytane książki – poza tymi wybranymi – zanosił do antykwariatu. Kupował tylko te książki, które mógł od razu przeczytać. Te ważne czytał w skupieniu i wbijał sobie do głowy. Inne potrzebne pożyczał z pobliskiej biblioteki.

Wybranie książki zajęło mu trochę czasu. Nie przywykł czytać na głos, więc nie miał pojęcia, która książka się do tego nadaje. Po wielu wahaniach wyciągnął *Sachalin* Antoniego Czechowa. Skończył go tydzień wcześniej. Interesujące fragmenty pozaznaczał przyklejonymi karteczkami, więc powinno mu się udać wybrać odpowiednie miejsca.

Zanim zaczął czytać, krótko wyjaśnił Fukaeri okoliczności powstania książki. Że wyjeżdżając w podróż na Sachalin w 1890 roku, Czechow miał dopiero trzydzieści lat. Że nikt dokładnie nie wiedział, dlaczego cieszący się dobrą opinią młody postępowy pisarz, przedstawiciel pokolenia, które przyszło po Tolstojowi i Dostojewskim, człowiek z wielkiego miasta żyjący sobie z rozmachem w Moskwie, zdecydował się wyruszyć samotnie na wyspę Sachalin, która zdawała się być na końcu świata, i dlaczego tak długo tam przebywał. Sachalin rozwijał się głównie jako miejsce zsyłki, w oczach przeciętnego człowieka jawił się jedynie jako symbol ludzkiego nieszczęścia i niedoli. W tamtych czasach nie było jeszcze Kolei Transsyberyjskiej, więc Czechow musiał przebyć powozem ponad cztery tysiące kilometrów. Podróżował przez straszliwie zimną krainę i ta surowa próba bezlitośnie nadszarpnęła jego i tak niezbyt silny organizm. Utwór *Sachalin*, który stał się owocem tej ośmiomiesięcznej podróży po Dalekim Wschodzie, zaskoczył wielu czytelników. A to dlatego, że elementy literackie zostały w nim maksymalnie ograniczone, był raczej czymś przypominającym praktyczny raport z badań terenowych albo opis topograficzny. „Dlaczego Czechow w takim ważnym dla pisarza okresie traci na coś takiego czas, dlaczego robi coś tak bezsensownego?” – szeptali ludzie wokół. Niektórzy z krytyków łajali go za „próby zdobycia popularności pod pozorem działalności społecznej”. Były też opinie, że „pewnie zabrakło mu tematów, więc pojechał ich szukać”. Tengo pokazał Fukaeri mapę dołączoną do książki i znalazł na niej Sachalin.

– dlaczego czechow pojechał na sachalin – zapytała.

– Chodzi ci o moje zdanie na ten temat?

– uhm pan czytał tę książkę

– Czytałem.

– co pan pomyślał

– Może sam Czechow nie do końca znał przyczynę – powiedział Tengo. – A może po prostu miał ochotę tam pojechać. Albo widząc kształt Sachalinu na mapie, nagle strasznie zapragnął go zobaczyć. Mnie też się zdarza coś podobnego. Patrząc na mapę, widzę jakieś miejsce i czuję, że „za wszelką cenę muszę tam pojechać”. I z jakiegoś powodu są to zawsze miejsca dalekie, do których trudno się dostać. Nagle czuję, że muszę się dowiedzieć, jak tam jest, co tam się dzieje. To atakuje nagle jak odra. Dlatego inni nie mogą zrozumieć, skąd ten

zapal się bierze. Ciekawość w czystej postaci. Niewytłumaczalne natchnienie. Oczywiście w tamtych czasach podróż z Moskwy na Sachalin wymagała poniesienia niewyobrażalnych trudów, więc myślę, że Czechow musiał mieć jeszcze jakiś inny powód.

– na przykład

– Czechow był pisarzem, ale jednocześnie lekarzem. Więc może jako człowiek nauki chciał na własne oczy zbadać jakby chorą część wielkiego organizmu swego kraju? Może czuł się nieswojo w roli słynnego pisarza mieszkającego w stolicy? Miał dosyć moskiewskich kręgów literackich, nie mógł przywyknąć do tego pretensjonalnego towarzystwa pisarzy szkodzących sobie nawzajem przy każdej okazji. W stosunku do złośliwych krytyków czuł jedynie nienawiść. Być może podróż na Sachalin była rodzajem pielgrzymki mającej służyć zmyciu z siebie plugawości miasta? Wyspa pod wieloma względami go przytłoczyła. Może właśnie dlatego nie napisał żadnego utworu literackiego na temat Sachalinu. To nie było coś powierzchownego, co mógł łatwo uczynić tematem powieści. I ta chora część organizmu stała się w pewnym sensie częścią niego samego. Ale może on właśnie tego pragnął.

– ta książka jest ciekawa – zapytała Fukaeri.

– Mnie zainteresowała. Jest w niej pełno praktycznych informacji, liczb i statystyk, tak jak przed chwilą mówiłem, nie ma prawie literackiego kolorytu. Wyraźnie przebija w niej naukowa strona osobowości Czechowa. Ale ja mogę się w tym dopatrzeć czystej determinacji tego człowieka. A pomiędzy te praktyczne relacje tu i tam wplątane są obserwacje dotyczące ludzi czy opisy krajobrazów, które robią wielkie wrażenie. Co nie znaczy, że praktyczne zdania wyliczające fakty są niezgrabne. Czasami są bardzo udane. Na przykład rozdział o Gilakach.

– o gilakach – powiedziała Fukaeri.

– Gilacy to rdzenna ludność Sachalinu, która mieszkała tam przed rosyjską kolonizacją. Na początku żyli na południu, ale zostali wyparci przez Ajnów, którzy dotarli tam z Hokkaido, więc Gilacy przenieśli się w głąb wyspy. Przybyli w ogóle z Hokkaido, bo wyparli ich stamtąd Ajnowie i Japończycy. Czechow próbował jak najdokładniej opisać kulturę Gilaków, która błyskawicznie zniknęła wskutek rusyfikacji Sachalinu, żeby pozostawić po nich jakiś ślad.

Tengo znalazł rozdział opisujący Gilaków i zaczął czytać. Żeby uczynić tekst bardziej zrozumiałym dla słuchaczki, czasami odpowiednio go skracał albo zmieniał.

Gilak jest to człowiek krępy, mocnej budowy, wzrostu średniego, a raczej niskiego. Wysoki wzrost nawet by mu przeszkadzał w tajdze. Kości ma grube o silnie rozwiniętych wyrostkach i guzkach, do których są przyczepione mięśnie; taka budowa pozwala sądzić, że mięśnie Gilaka są twarde i silne i że toczy on nieustanną, wytężoną walkę z przyrodą. Ciało – szczupłe, żylaste, bez podściółki tłuszczowej; otyłych i tłuszczochów tu się nie spotyka. Prawdopodobnie cały tłuszcz jest zużywany

na wytwarzanie ciepła, którego tak bardzo potrzebuje ciało sachalińczyka na uzupełnienie strat spowodowanych przez niską temperaturę i nadmierną wilgotność powietrza. Zrozumiałe jest więc, dlaczego Gilak potrzebuje tak dużo tłuszczu w pożywieniu. Spożywa on tłuste mięso fok, łososi, jesiotrów, tran z wielorybów, mięso z krwią, a wszystko to w dużych ilościach, w stanie surowym, suszonym, często zamrożonym; ponieważ Gilacy odżywiają się tak prymitywnie, przyczepy żwaczy mają niezwykle rozwinięte, a wszystkie zęby bardzo starte. Jedzenie niemal wyłącznie tłuszczowe; z rzadka, tylko kiedy Gilak je obiad w domu albo na jakiejś uczcie, do mięsa czy ryby dodaje się mandżurski czosnek albo jagody. Według Niewielskiego uprawę ziemi uważają za wielki grzech: kto zacznie kopać ziemię albo coś posadzi, na pewno wkrótce umrze. Jednak chleb, z którym zapoznali ich Rosjanie, jedzą z przyjemnością, niczym łakocie, i teraz można dość często spotkać w Aleksandrowsku czy w Rykowskim Gilaka niosącego pod pachą bochen chleba*.

Tengo przerwał, żeby trochę odpocząć. Nie potrafił wyczytać żadnych wrażeń z twarzy uważnie słuchającej go Fukaeri.

- No jak? Czytać? Czy wolisz inną książkę? – zapytał.
- chcę się więcej dowiedzieć o gilakach
- To będę czytał dalej.
- mogę się położyć do łóżka – zapytała Fukaeri.
- Pewnie, że tak – odparł Tengo.

Przenieśli się do sypialni. Fukaeri ułożyła się pod kołdrą, a Tengo przyniósł krzesło i usiadł obok. Znowu zaczął czytać:

Gilacy nigdy się nie myją, tak że nawet etnografowie mają kłopoty z określeniem naturalnego koloru ich twarzy; bielizny nie piorą, a ich futrzana odzież i obuwie wyglądają tak, jakby zdarto je przed chwilą ze zdechłego psa. Dlatego niesie od nich ciężkim, cierpkim zapachem, a bliskość ich domostw wyczuwa się po ohydny, czasami trudnym do zniesienia zapachu suszonych ryb i rozkładających się rybich resztek. Obok każdej jurty stoi zazwyczaj suszarnia, napełniona po brzegi rozplatanymi rybami, która z oddali, zwłaszcza w słońcu, przypomina sznury koralu. Przy tych suszarniach Kruzensztern zauważył mnóstwo drobnych robaków, które na cał pokrywały ziemię.

- kruzensztern
- Myślę, że to badacz z wcześniejszego okresu. Czechow był pilnym studentem, więc przeczytał na zapas wszystko, co napisano o Sachalinie.

* Ten oraz kolejne fragmenty cytowane są z książki *Sachalin. Notatki z podróży*, przel. Irena Bajkowska, Czytelnik, Warszawa 1995.

– niech pan czyta dalej

Zimą jurcję wypełnia gryzący dym, unoszący się znad ogniska, a na dobitkę Gilacy, ich żony, a nawet dzieci palą tytoń. O zachorowalności i śmiertelności Gilaków nic nie wiadomo, lecz należy przypuszczać, że te niezdrowe warunki higieniczne nie pozostają bez wpływu na ich zdrowie. Może one właśnie są powodem niskiego wzrostu Gilaków, puciołowatości twarzy, pewnej gnuśności i lenistwa ruchów; możliwe też, że częściowo temu należy przypisać występującą tu zawsze słabą odporność na wszelkie epidemie. Wiadomo na przykład, jakie spustoszenie spowodowała na Sachalinie ospa.

– biedni gilacy – powiedziała Fukaeri.

O charakterze Gilaków autorzy mówią różnie, ale wszyscy stwierdzają zgodnie, że nie jest to naród wojowniczy, że nie lubi kłótni i bijatyk i zgodnie żyje z sąsiadami. Do przyjeżdżających tu nowych ludzi zawsze odnosili się podejrzliwie, z obawy o swoją przyszłość, ale witali ich zazwyczaj uprzejmie, bez najmniejszego sprzeciwu, co najwyżej okłamywali ich, opisując Sachalin w ponurych barwach, w nadziei, że odstręczą cudzoziemców od wyspy. Z towarzyszami Kruzenszterna ściskali się, a kiedy zachorował Szrenk, to wieść o tym szybko rozniosła się wśród Gilaków, wywołując szczery smutek. Kłamią tylko wtedy, kiedy handlują albo rozmawiają z podejrzanym, w ich mniemaniu, niebezpiecznym człowiekiem, ale zanim skłamią, porozumiewają się oczyma w sposób iście dziecinny. Wszelkie kłamstwo i przechwałki w zwykłym życiu, nie w interesach, uważają za wstrętne.

– wspaniali gilacy – powiedziała Fukaeri.

Przyjęte na siebie zobowiązania Gilacy wypełniają skrupulatnie i nie było jeszcze wypadku, żeby Gilak wyrzucił w pół drogi pocztę albo roztrwonił cudze mienie. Polakow, który miał do czynienia z Gilakami-wioślarzami, pisał, że okazywali się sumiennymi wykonawcami przyjętego na siebie zobowiązania, co potwierdziło się przy dostawie ładunków państwowych. Są dzielni, pomysłowi, weseli, bezceremonialni i nie czują żadnego skrupowania w towarzystwie ludzi silnych i bogatych. Nie uznają żadnej władzy nad sobą i wydaje się, że nie znają nawet pojęć „starszy” i „młodszy”. Wśród Gilaków, jak powiadają i piszą, nie uznaje się także rodzinnego starszeństwa. Ojciec nie myśli, że jest starszy od swego syna, a syn nie szanuje ojca i żyje, jak mu się podoba; stara matka w jurcji nie ma więcej władzy niż dziewczynka-podlotek. Boszniak pisze, że nieraz zdarzyło mu się

widzieć, jak syn bije i wypędza z domu rodzoną matkę, i nikt nie ośmiela się powiedzieć mu ani słowa. Wszyscy członkowie rodziny płci męskiej są sobie równi; jeśli Gilaków częstuje się wódką, to należy poczęstować nią nawet najmłodszych. Członkowie zaś płci żeńskiej są jednakowo pozbawieni prawa, zarówno babka, matka jak i dziewczynka-osesek; traktuje się je jak domowe zwierzęta, jak rzeczy, które można wyrzucić, sprzedać, kopnąć nogą jak psa. Psy jednak głaszczą, a kobiet – nigdy. Ślub uważa się za sprawę całkiem nieważną, mniej ważną niż na przykład popijawa, nie wiążą się z nim żadne religijne obrzędy ani przesady. Oszczep, łódź albo psa Gilak zamienia na kobietę, przywozi ją do swojej jurty, kładzie się z nią na niedźwiedzią skórę – i tylko tyle. Wielożeństwo jest dozwolone, ale nie stosowane szeroko, chociaż kobiet najwyraźniej jest więcej niż mężczyzn. Pogarda w stosunku do kobiety jako do istoty niższej czy rzeczy dochodzi u Gilaków do takiego stopnia, że nie uważa się za gorszące nawet niewolnictwo w dosłownym, ordynarnym znaczeniu tego słowa. Szrenk twierdzi, że Gilacy często przywożą kobiety ajnuskie w charakterze niewolnic; jak widać kobieta stanowi dla niech taki sam przedmiot handlu jak tytoń czy perkal. Szwedzki pisarz Strindberg, znany z nienawiści do kobiet, pragnący, żeby kobieta była jedynie niewolnicą i służyła zachciankom mężczyzny, w istocie rzeczy jest współwyznawcą Gilaków; gdyby zdarzyło mu się kiedyś odwiedzić północny Sachalin, byłby witany nawet uściskami.

Tengo odpoczął chwilę, lecz Fukaeri nie wyraziła żadnej opinii – milczała. Tengo czytał dalej:

Sądów Gilacy nie mają i nie wiedzą, co znaczy praworządność. Jak trudno im nas zrozumieć, można się zorientować choćby z tego, że dotychczas jeszcze nie rozumieją dokładnie przeznaczenia dróg. Nawet tam, gdzie przeprowadzono już drogi, Gilacy wciąż podróżują tajgą. Często się widzi jak oni sami, ich rodziny i psy idą gęsiego przez trzęsawisko tuż obok drogi.

Fukaeri zamknęła oczy i bardzo spokojnie oddychała. Tengo patrzył na nią przez chwilę, ale nie potrafił ocenić, czy śpi, czy nie. Dlatego przerzucił parę stron i postanowił czytać dalej. Jeżeli spała, chciał, żeby porządnie usnęła, ale jednocześnie miał też ochotę jeszcze głośno poczytać Czechowa.

Przy ujściu Najby stała tu kiedyś placówka Najbuczi. Założono ją w 1886 r. Pan Micul zastał tu 18 budynków zamieszkałych i niezamieszkałych, kapliczkę i składy na prowiant. Pewien korespondent, przebywający tu w 1871 roku, pisze, że było tu 20 żołnierzy pod komendą junkra; w jednej z chat ładna i wysoka żołnierka

poczęstowała go świeżymi jajkami i czarnym chlebem, chwaliła tutejsze życie i narzekała tylko na drogi cukier. Teraz nie ma tu nawet śladu po tych chatach, a ładna, wysoka żołnierka, kiedy się rozejrzysz po tej pustyni, wydaje się jakąś bajką. Buduje się tu tylko nowy budynek, dom inspektora czy stację i to wszystko. Morze, jak się wydaje, chłodne, mętne, ryczy, a wysokie, siwe fale biją o piasek, jakby chciały powiedzieć w rozpacz: „Boże, po coś nas stworzył?”. Jest to już ocean – Wielki, inaczej Spokojny. Na tym brzegu Najbuczi słysząc, jak na budowie walał siekierami katorżnicy, a na drugim brzegu, dalekim, ledwie wyobraźnym – Ameryka. Na lewo widać we mgle sachalińskie cyple, na prawo też cyple... a wokół ani żywej duszy, ani ptaka, ani muchy, aż trudno zrozumieć, dla kogo ryczą tu fale, kto je tu słyszy po nocach, czego chcą i, wreszcie, dla kogo będą ryczeć, kiedy ja odjadę. Tu, na brzegu, opanowują człowieka nie myśli, ale właśnie dumy; jakoś strasznie, a jednocześnie ma się ochotę wciąż stać, spoglądając na monotony ruch fal.

Wyglądało na to, że Fukaeri jest całkowicie pogrążona we śnie. Kiedy wyteżył słuch, uchwycił jej cichy oddech. Zamknął książkę i położył na stoliku przy łóżku. Wstał, zgasił światło w sypialni, a na koniec jeszcze raz spojrzął na Fukaeri. Spała spokojnie na plecach z zamkniętymi ustami. Tengo zamknął drzwi i wrócił do kuchni. Nie mógł już dalej pisać swojej książki. W jego myślach mocno utkwiły opisywane przez Czechowa obrazy dzikiego wybrzeża Sachalinu. Słyszał szum tamtych fal. Kiedy zamykał oczy, samotny na opustoszałej plaży Morza Ochockiego stawał się niewolnikiem głębokich rozmyślań. Dzielił z Czechowem jego niemogące znaleźć ujścia, melancholijne myśli. Na tym końcu świata czuł zapewne coś w rodzaju przytłaczającej bezsilności. Życie rosyjskiego pisarza pod koniec dziewiętnastego wieku było pewnie równoznaczne z dźwiganiem własnego nieuniknionego gorzkiego losu. Im bardziej pisarze starali się uciec od Rosji, tym bardziej Rosja ich w siebie wsysała. Tengo opłukał kieliszek po winie, umył w łazience zęby, potem zgasił światło w kuchni. Położył się na kanapie, przykrył kocem i spróbował zasnąć. W uszach miał jeszcze grzmot morskich fal. Ale mimo to wkrótce jego świadomość osłabła i zapadł w głęboki sen.

* * *

Obudził się o ósmej rano. Fukaeri nie było w łóżku. Piżamę, którą jej pożyczył, zrolowała i wrzuciła do pralki. Rękawy i nogawki były ciągle podwinięte. Na kuchennym stole leżała kartka. Na bloczku do notatek Fukaeri napisała długopisem: „co teraz robią gilacy wracam do domu”. Litery były drobne, kanciaste, wyglądały jakoś nienaturalnie. Sprawiały wrażenie napisu ułożonego na piasku z muszelek i oglądanego z wysoka. Złożył kartkę i wsunął do szuflady biurka. Gdyby mająca przyjść o jedenastej kochanka znalazła coś takiego,

na pewno wybuchłaby awantura.

Tengo starannie posłał łóżko, odłożył na półkę efekt mozolnego wysiłku Czechowa. Potem zrobił kawę i grzanki. Jedząc śniadanie, uzmysłowił sobie, że czuje w piersi jakiś ciężar. Minęło trochę czasu, zanim zrozumiał, co to jest. Była to spokojna uśpiona twarz Fukaeri.

Czyżbym ja się w niej zakochał? Nie, niemożliwe, tłumaczył sobie. Tylko coś, co ona w sobie ma, dosłownie chwyta mnie za serce. Ale w takim razie dlaczego nie daje mi spokoju piżama, w której spała? Dlaczego (prawie sobie tego nie uświadamiając) wziąłem ją do ręki i wahałem?

Za wiele tu pytań. To zdaje się Czechow powiedział, że „pisarz nie odpowiada na pytania, tylko je stawia”. Bardzo mądre słowa. Czechow podchodził w ten sposób nie tylko do swoich utworów, ale także do własnego życia. Było w nim wiele postawionych pytań, lecz brakowało odpowiedzi. Wiedząc, że cierpi na nieuleczalną chorobę płuc (jako lekarz musiał to wiedzieć), starał się ignorować ten fakt i nie wierzył, że umiera, dopóki naprawdę nie leżał na łożu śmierci, gwałtownie plując krwią. Umarł jako młody człowiek.

Tengo potrząsnął głową i wstał od stołu. Dziś dzień odwiedzin jego kochanki. Musi teraz zrobić pranie i posprzątać. Rozmyślenia odłoży na później.

Rozdział dwudziesty pierwszy – Aomame

Choćby człowiek próbował iść jak najdalej

Aomame poszła do biblioteki dzielnicowej i, po tych samych procedurach co poprzednio, rozłożyła przed sobą zmniejszone wydania gazety. Chciała jeszcze raz poszukać wiadomości o strzelaninie, do jakiej doszło trzy lata wcześniej w prefekturze Yamanashi między frakcją radykalną a oddziałami policji. Siedziba sekty Sakigake, o której mówiła starsza pani, mieściła się w górach. Ta strzelanina także odbyła się w górach w Yamanashi. Może to jedynie zbieg okoliczności. Ale Aomame jakoś nie lubiła zbiegów okoliczności. Między tymi dwoma faktami mógł być jakiś związek. „Takie ważne wydarzenie”, o którym wspomniała starsza pani, także zdawało się sugerować jakieś powiązanie.

Strzelanina miała miejsce trzy lata temu 19 października 1981 roku (zgodnie z teorią Aomame oznaczałoby to „trzy lata przed rokiem 1Q84”). Na temat strzelaniny posiadała już dość dokładną wiedzę, ponieważ wiele na ten temat przeczytała w gazetach podczas poprzedniej wizyty w bibliotece. Dlatego tym razem postanowiła jedynie pobieżnie przejrzeć te artykuły, a skupić się na innych związanych z tematem, które ukazały się nieco później i analizowały wypadki z różnych punktów widzenia.

W pierwszej strzelaninie trzech policjantów zginęło od kul z kałasznikowów chińskiej produkcji, a dwóch odniosło rany, jeden lekkie, drugi ciężkie. Potem członkowie frakcji radykalnej zbiegli w góry, a zbrojne oddziały policji rozpoczęły obławę na wielką skalę. Jednocześnie przysłano helikopterami uzbrojone po zęby oddziały powietrzno-desantowe Sił Samoobrony. W rezultacie trzech członków frakcji radykalnej odmówiło poddania się i zostali zastrzeleni, dwóch odniosło ciężkie rany (jeden z nich zmarł trzy dni później w szpitalu; artykuł nie wyjaśniał, co się stało z drugim), czterech wyszło z tego bez szwanku albo z lekkim obrażeniami i zostali aresztowani. Wśród ofiar nie było żołnierzy Sił Samoobrony ani policjantów, ponieważ wszyscy nosili świetne kamizelki kuloodporne, tylko jeden policjant złamał nogę, gdy w pogoni za uciekinierem spadł ze skały. A jeden z członków frakcji radykalnej przepadł bez wieści. Mimo zakrojonych na wielką skalę poszukiwań nie udało się go odnaleźć.

Kiedy minął pierwszy szok wywołany strzelaniną, gazety zaczęły dokładnie opisywać

proces powstania tej frakcji. Członkowie byli niechcianymi dziećmi zamieszek studenckich z roku 1970. Większość miała coś wspólnego ze strajkami okupacyjnymi Yasuda Kōdō na Uniwersytecie Tokijskim albo na Uniwersytecie Nihon. Te rewolucyjne bastiony upadły po ataku specjalnych oddziałów policji. Studenci oraz część pracowników naukowych, którzy zostali relegowani z uczelni albo czuli się rozczarowani impasem ruchów politycznych na miejskich uczelniach, wzniesli się ponad podziały, połączyli i założyli komunę rolniczą w prefekturze Yamanashi. Na początku należeli do Takashimy, która była stowarzyszeniem rolniczych komun, ale jej działalność ich nie satysfakcjonowała, więc utworzyli nową oddzielną i niezależną grupę. Udało im się za wyjątkowo niską cenę kupić opuszczoną wioskę w prefekturze Yamanashi i zaczęli tam uprawiać rolę. Na początku zmagali się z trudnościami, lecz wkrótce w miastach nastąpiła moda na naturalną żywność, więc rozpoczęli wysyłkową sprzedaż warzyw. Złapali wiatr w żagle, uprawa dobrze się rozwijała, a jej skala stopniowo rosła. Byli w końcu poważnymi, pracowitymi ludźmi i dobrze zorganizowali się pod przewodnictwem lidera. Komuna nazywała się Sakigake.

Aomame skrzywiła się mocno i przełknęła ślinę. Z jej gardła wydobył się głośny dźwięk. Postukała długopisem o stolik.

Czytała dalej.

Choć zarządzanie komuną się ustabilizowało, stopniowo rozłam w łonie Sakigake stawał się coraz wyraźniejszy. Grupa podzieliła się na dwie frakcje. Radykalną frakcję „militarystyczną”, która pod płaszczykiem obrony ideałów marksizmu nadal planowała partyzanckie ruchy rewolucyjne, oraz stosunkowo umiarkowaną frakcję „życia komunalnego”. Ci akceptowali fakt, że we współczesnej Japonii nie ma, praktycznie rzecz biorąc, miejsca na krwawą rewolucję, ale odrzucali ducha kapitalizmu i poszukiwali życia w zgodzie z naturą. W roku 1976 doszło do sytuacji, w której mająca przewagę liczebną frakcja umiarkowana pozbyła się z Sakigake frakcji radykalnej.

To nie znaczyło, że Sakigake brutalnie wykluczyła ze swego łona frakcję radykalną. Gazeta doniosła, że grupa umiarkowana zaoferowała ekstremistom inne, nowe tereny, zapewniła im pewien kapitał i przyjaźnie „poprosiła, aby sobie poszli”. Frakcja radykalna przystała na ten plan i stworzyła na nowo otrzymanym terenie własną komunę pod nazwą Akebono. Później, niewiadomo w którym momencie, zdobyli bardzo nowoczesną broń. Oczekuje się na rezultaty prowadzonego śledztwa, mającego wyjaśnić, jakim sposobem ją zdobyli i skąd mieli na nią środki.

Wyglądało na to, że ani policja, ani gazety nie były pewne, jak doszło do tego, że w pewnym momencie Sakigake zmieniła kurs i przeobraziła się w ugrupowanie religijne. Komuna, której udało się bez kłopotów pozbyć frakcji radykalnej, mniej więcej w tym czasie zaczęła błyskawicznie pogłębiać swoje religijne tendencje i w roku 1979 została zarejestrowana jako grupa wyznaniowa. Wykupowali kolejno okoliczne działki, zaczęli powiększać swoje tereny uprawne i je zagospodarowywać. Wokół terenu sekty zbudowano

wysoki mur, ludzie z zewnątrz nie mogli już się tam dostać. Oficjalnie dlatego, że stanowiło to „przeszkodę w praktykach religijnych”. Nie zostało wyjaśnione, skąd pochodził kapitał na te inwestycje ani jakim sposobem komunie udało się tak szybko uzyskać rejestrację jako grupa wyznaniowa.

* * *

Fracja radykalna, która przeniosła się na nowy teren, równolegle z uprawą roli wkładała dużo wysiłku w tajne szkolenie wojskowe i przez to kilkakrotnie wywoływała konflikty z okolicznymi rolnikami. Jeden z nich dotyczył praw do korzystania z rzeczki płynącej przez teren Akebono. Rzeczka była od dawna używana jako źródło wody dla rolnictwa w tej okolicy, a Akebono odmówiło miejscowej ludności wstępu na swój teren. Konflikt trwał przez kilka lat, doszło nawet do wypadku, kiedy mieszkańcy, protestując przeciwko postawieniu przez Akebono siatkowego parkanu odcinającego dostęp do rzeczki, zostali dotkliwie pobici przez kilku członków komuny. Policja prefekturalna wyruszyła do Akebono z zamiarem przesłuchania członków i przeprowadzenia rewizji pod pretekstem, że miejscowi rolnicy odnieśli obrażenia. I tam doszło do nieoczekiwanej wymiany ognia.

Kiedy po gwałtownej strzelaninie Akebono praktycznie przestało istnieć, sekta religijna Sakigake niezwłocznie złożyła oficjalne oświadczenie. Odczytał je ubrany w garnitur młody przystojny rzecznik sekty, który w tym celu zwołał konferencję prasową. Sens oświadczenia był jasny. Między Akebono i Sakigake nie było w chwili obecnej żadnych powiązań, choć takowe istniały w przeszłości. Od czasu podziału, poza sporadycznymi kontaktami w sprawach administracyjnych, organizacje nie miały ze sobą żadnego kontaktu. Sakigake oddawała się uprawie roli, przestrzegała prawa, była wspólnotą poszukującą życia duchowego. Jej członkowie doszli do wniosku, że nie mogą dalej współdziałać z członkami Akebono, mającymi radykalne rewolucyjne poglądy, więc rozstali się w zgodzie. Następnie Sakigake została zarejestrowana jako grupa wyznaniowa. To doprawdy wielkie nieszczęście, że doszło do takiego rozlewu krwi. Chciałby wyrazić głębokie współczucie rodzinom policjantów, którzy zginęli na służbie. Sekta religijna Sakigake nie była w żaden sposób zamieszana w te wydarzenia. Jednocześnie nie da się zaprzeczyć, że Sakigake jest organizacją, z której łona narodziło się Akebono, więc jeżeli w związku z tymi wydarzeniami władze muszą przeprowadzić dochodzenie, sekta religijna Sakigake chętnie mu się podda, by uniknąć wszelkich nieporozumień. Nasza sekta jest legalną organizacją otwartą na społeczeństwo i nie ma nic do ukrycia. Jeżeli konieczne jest ujawnienie jakichś informacji, chcemy w miarę naszych możliwości pomóc.

Po kilku dniach jakby w odpowiedzi na to oświadczenie policja prefekturalna weszła na rozległy teren sekty z nakazem rewizji, przez cały dzień chodziła po nim, starannie przeszukiwała wszystkie budynki i studiowała rozmaite dokumenty. Kilku członków władz

sekty zostało przesłuchanych. Śledczy podejrzewali, że choć grupy oficjalnie się rozdzieliły, mogły nadal utrzymywać ze sobą kontakty, że Sakigake mogła być nieoficjalnie zaangażowana w działalność Akebono. Jednakże nie znaleziono żadnych dowodów, które by to potwierdzały. W pięknym mieszanym lesie stały, jakby pozszywane niemi ścieżek, drewniane budynki, a w nich ludzie z sekty, ubrani w skromne habity, oddawali się medytacjom lub praktykom religijnym. Inni wierni zajmowali się uprawą roli. Policjanci znaleźli tylko zestaw dobrze utrzymanych narzędzi i maszyn rolniczych, nie udało się odkryć niczego przypominającego broń, nie zauważono nic, co mogło sugerować, że sekta chce się zbroić. Wszędzie panowały ład i porządek. Była tam czysta stołówka, kwatery dla wiernych, prosty (lecz dobrze pomyślany) punkt medyczny. W piętrowej bibliotece znajdował się pokaźny zbiór sutr i pism buddyjskich, zachęcano członków do czytania prac naukowych i opracowań specjalistów. Wyglądało to raczej na schludny niewielki kampus uniwersytecki niż na siedzibę sekty religijnej. Policjanci poddali się i wrócili z niczym.

Kilka dni później zaproszono na teren sekty dziennikarzy prasowych i reporterów telewizyjnych, lecz i oni zobaczyli tam mniej więcej to samo co policjanci. Nie odbyło się zorganizowane zwiedzanie, jak często bywa w takich wypadkach. Dziennikarze mogli bez obawy chodzić swobodnie po całym terenie i dowolnie rozmawiać, z kim chcą, a potem o tym pisać. Umówiono się ze środkami masowego przekazu, że wykorzystają jedynie filmy i zdjęcia po autoryzacji w celu ochrony prywatności wiernych. W dużej sali przeznaczonej do zebrania kilku ubranych w mnisie szaty członków władz odpowiadało na pytania dziennikarzy i wyjaśniało okoliczności powstania sekty oraz jej strukturę, dogmaty wiary, a także politykę zarządzania. Mówili uprzejmie i bezpośrednio. Zupełnie wyeliminowano zwykle w takich sytuacjach elementy trącające religijną propagandą. Mówiący nie robili wrażenia członków władz sekty religijnej, a raczej zachowywali się jak pracownicy dyrekcji agencji reklamowej wprawieni w wygłaszaniu prezentacji.

Nie mamy jasnych dogmatów, wyjaśniali. Niepotrzebne nam są skodyfikowane procedury. Zajmujemy się studiowaniem podstaw wczesnego buddyzmu, w naszym codziennym życiu stosujemy jego praktyki religijne. Celem naszym jest osiągnięcie iluminacji drogą tych konkretnych praktyk nie w sensie dosłownym, a w sposób bardziej płynny, naturalny. Mogą więc państwo uznać, że grupowo tworzymy naszą doktrynę poprzez takie samoistne oświecenia poszczególnych członków. Nie jest więc tak, że mamy doktrynę i szukamy oświecenia, z którego w rezultacie wyłonią się i ustalone zostaną zasady. Doktryna narodzi się naturalnie i samoistnie. To są nasze podstawowe wytyczne. W tym sensie zasadniczo różnimy się od innych religii.

Jeśli chodzi o kapitał, w tej chwili, tak jak wiele grup wyznaniowych, częściowo polegamy na dobrowolnych datkach wiernych. Jednak naszym celem nie jest pójście na łatwiznę i poleganie na datkach, a zapewnienie sobie samowystarczalności i utrzymania opartego głównie na uprawie ziemi. Dążymy do tego, by wiodąc takie „znające umiar” życie,

oczyścić ciało, zdyscyplinować ducha i dzięki temu osiągnąć spokój duszy. Ludzie, którzy zrozumieli bezsens materializmu i wyścigu szczurów, coraz częściej wstępują do sekt religijnych, poszukując innych, głębszych wymiarów. Niemało wśród nich osób doskonale wykształconych, które wykonywały specjalistyczne zawody i osiągnęły wysoką pozycję społeczną. Różnimy się od tzw. „nowych wyznań”. Nie jesteśmy sektą religijną przypominającą fast food, która chętnie przejmuje doczesne troski swoich wiernych i udziela miłosierdzia wszystkim naraz, ani nie dążymy w takim kierunku. Zbawienie słabych ludzi to oczywiście ważna sprawa, ale być może powinni państwo widzieć nas raczej jako placówkę odpowiadającą religijnym „studiom podyplomowym”, zapewniającą odpowiednie miejsce i właściwe wsparcie dla ludzi o wysokiej świadomości, pragnących zbawić samych siebie.

Od pewnego momentu między członkami Akebono a nami wystąpiły znaczne różnice zdań dotyczące kierunku rozwoju komuny, przez pewien czas dochodziło nawet do siłowych konfrontacji. Ale w wyniku rozmów udało nam się zgodnie dojść do porozumienia, postanowiliśmy się rozdzielić i każdy poszedł własną drogą. Oni też na swój czysty, ascetyczny sposób dążyli do pewnego ideału, ale fakt, że doprowadziło to do takiego nieszczęścia, jest doprawdy tragedią. Najważniejszą przyczyną było prawdopodobnie to, że stali się zbyt dogmatyczni i stracili kontakt z żywym organizmem społeczeństwa. My też dzięki temu podjęliśmy poważne postanowienie, że musimy być bardziej zdyscyplinowani, lecz jednocześnie nadal działać jako grupa otwarta na świat, skierowana na zewnątrz. Przemoc do niczego nie prowadzi. Chciałbym, żeby państwo zrozumieli, że nasza grupa nie narzuca nikomu religii. Nie próbujemy przyciągnąć wiernych ani nie atakujemy innych wyznań. Tworzymy środowisko, które efektywnie sprzyja ludziom pragnącym oświecenia i prowadzącym duchowe poszukiwania.

* * *

Większość reporterów wracała z pozytywnymi wrażeniami na temat sekty. Wszyscy wierni, bardzo szczupli, stosunkowo młodzi (choć zauważyli też kilka starszych osób) – mieli piękne, czyste spojrzenie.

Mówili uprzejmie i grzecznie. Ogólnie rzecz biorąc, nie bardzo chcieli dyskutować o przeszłości, ale rzeczywiście większość zdawała się bardzo wykształcona. Dziennikarzom podano prosty posiłek (podobno mniej więcej taki sam jak ten, który spożywali wierni). Produkty pochodziły prosto z pola uprawianego przez sektę, jedzenie było więc świeże i smaczne.

Dlatego też wielu przedstawicieli mediów określiło jako bandę wyrodków grupę członków, którzy odeszli z poszukującej wartości duchowych Sakigake do rewolucyjnej grupy Akebono. W Japonii lat osiemdziesiątych myśl rewolucyjna oparta na marksizmie była przestarzała i stała się pustym frazesem. Młodzi ludzie, którzy koło roku 1970 zamierzali

wprowadzić radykalne reformy, teraz pracowali w różnych przedsiębiorstwach i uparcie krzyżowali miecze w samym centrum pola bitwy zwanego ekonomią. Albo w oddaleniu od tumultu i współzawodnictwa normalnego społeczeństwa oddawali się poszukiwaniu własnych wartości, każdy gdzie indziej. Tak czy inaczej kierunek rozwoju świata całkowicie się zmienił, „złoty wiek” polityki rozplątał się w dalekiej przeszłości. Wypadki w Akebono były wyjątkowo krwawe i niepotrzebne, lecz jeśli spojrzeć na to z pewnej perspektywy, był to jedynie nieoczekiwany spóźniony epizod, kiedy na chwilę ukazały się duchy przeszłości. Można było go interpretować jedynie jako dowód, że przeminęła pewna epoka. Ogólnie mówiąc, tak brzmiały argumenty przedstawiane w gazetach. Sakigake była obiecującą alternatywą na przyszłość. A w przeciwieństwie do Sakigake, Akebono nie miało przyszłości.

* * *

Aomame odłożyła długopis i wzięła głęboki oddech. Przypomniała sobie całkowicie pozbawione wyrazu i głębi oczy Tsubasy. Te oczy patrzyły na mnie. A jednocześnie na nic nie patrzyły. Brakowało w nich czegoś ważnego.

To nie takie proste, pomyślała. Prawdziwe oblicze Sakigake nie jest tak niewinne, jak opisywano w gazetach. Tam panuje mrok. Zgodnie z tym, co mówiła starsza pani, człowiek zwany Liderem gwałci dziesięcioletnie dziewczynki i upiera się, że to działalność natury religijnej. Media o tym nie wiedzą. Spędzili tam tylko pół dnia. Oprowadzono ich po dobrze zorganizowanym ośrodku praktyk religijnych, podano obiad sporządzony z produktów prosto z pola, potem wysłuchali paru pięknych zdań na temat oświecenia duszy i zadowoleni pojechali do domów. Nie widzieli nic z tego, co się tam w rzeczywistości dzieje.

* * *

Po wyjściu z biblioteki Aomame weszła do kawiarni i zamówiła kawę. Zadzwoiła z automatu do Ayumi. Był to numer do pracy, na który podobno zawsze mogła dzwonić. Odebrał kolega Ayumi i powiedział, że koleżanka jest w terenie, ale za dwie godziny powinna wrócić do komisariatu. Aomame nie podała nazwiska, tylko powiedziała, że zadzwoni później.

Wróciła do domu i po dwóch godzinach znów wykrciła ten sam numer. Odebrała Ayumi.

– Dzień dobry. Co słyhać? Wszystko dobrze?

– Dobrze. A co u ciebie?

– U mnie też w porządku. Tylko ciągle nie mam dobrego faceta. A ty?

– U mnie to samo – powiedziała Aomame.

– To kiepsko. Do czego to doszło, żeby takie dwie czarujące młode kobiety przepełnione

zdrową chęcią na seks tak narzekały? Musimy coś z tym zrobić.

– Tak, masz rację... ale czy ty możesz tak głośno mówić o takich rzeczach? Przecież jesteś w pracy. Nikogo tam obok nie ma?

– Nie martw się. Możesz mówić – odparta Ayumi.

– Jeśli nie sprawi ci to kłopotu, chciałabym cię o coś prosić. Nie przychodzi mi do głowy żadna inna osoba, do której mogłabym się z tym zwrócić.

– Nie ma sprawy. Nie wiem, czy dam radę ci pomóc, ale mów, o co chodzi.

– Słyszałaś o sekcie religijnej Sakigake? Mają kwaterę główną w górach w Yamanashi.

– Hm, Sakigake... – powiedziała Ayumi, a potem przez dziesięć sekund szukała czegoś w pamięci. – Tak, chyba słyszałam. To zdaje się była komuna religijna. Należało do niej kiedyś Akebono, ta grupa ekstremistów, która wywołała strzelaninę w Yamanashi. Doszło do walki i zginęło trzech policjantów z Komendy Prefekturalnej. Biedacy. Ale Sakigake nie miała z tymi wydarzeniami nic wspólnego. Potem przeprowadzono rewizję na terenie sekty, ale byli zupełnie czyści. I co w związku z tym?

– Chciałbym wiedzieć, czy po tej strzelaninie Sakigake nie była w coś zamieszana. W jakąś sprawę kryminalną albo cywilną. Ale nie wiem, jak może się tego dowiedzieć zwykły szary obywatel. Nie dam przecież rady przeczytać od deski do deski wszystkich codziennych gazet z tego okresu. Pomyślałam, że policja na pewno będzie mogła jakimś sposobem to sprawdzić.

– Niestety, nie mogę powiedzieć, że to bardzo prosta sprawa i że można od razu znaleźć wszystko w komputerze... bo komputeryzacja japońskiej policji jeszcze nie zaszła tak daleko. Może za kilka lat. Dlatego w tej chwili jak człowiek chce się dowiedzieć czegoś takiego, musi pewnie poprosić Komendę Policji w Yamanashi, żeby zrobili kopie odpowiednich dokumentów i wysłali pocztą. A żeby to zrobić, musiałabym najpierw napisać podanie o wydanie dokumentów i mój zwierzchnik musiałby je zatwierdzić. Musiałabym też oczywiście podać dokładny powód. Bo tu panuje biurokracja i każdy bierze pensję za to, że wszystko niepotrzebnie utrudnia.

– Aha – powiedziała Aomame z westchnieniem. – To nic z tego.

– A dlaczego chcesz się tego dowiedzieć? Jakiś twój znajomy jest zaplątany w coś związanego z Sakigake?

Aomame wahała się, co zrobić, ale zdecydowała się być szczerą.

– Coś w tym rodzaju. Ma to związek z gwałtami. Na tym etapie nie mogę powiedzieć nic dokładniej, w każdym razie chodzi o gwałcenie dziewczynek. Mam informacje, że tam odbywa się to w zorganizowanej formie pod pretekstem praktyk religijnych.

Aomame wyczuła przez telefon, że Ayumi lekko marszczy brwi.

– Coś takiego! Gwałcenie dziewczynek. To niedopuszczalne!

– Oczywiście, że niedopuszczalne – powiedziała Aomame.

– A ile te dziewczynki mają lat?

– Dziesięć albo mniej. W każdym razie są przed pierwszą miesiączką.

Po drugiej stronie Ayumi umilkła. A potem powiedziała bezbarwnym głosem: – Dobrze. Skoro chodzi o coś takiego, wymyślę jakiś sposób. Dasz mi na to ze dwa, trzy dni?

– Dobra. Odezwij się, jak się czegoś dowiesz.

Potem pogadały przez chwilę o różnych głupstwach, aż Ayumi powiedziała: – No dobra, muszę wracać do pracy.

* * *

Po odłożeniu słuchawki Aomame siedziała przez pewien czas przy oknie i wpatrywała się w swoją prawą dłoń. Długie szczupłe palce i krótko obcięte paznokcie. Paznokcie były zadbane, ale niepolakierowane. Kiedy na nie patrzyła, doznała silnego wrażenia, że jest tylko chwilowym, niepewnym bytem. Nawet kształt paznokci był czymś, o czym sama nie zdecydowała. Ktoś sobie zdecydował, a ja musiałam to bez protestu przyjąć. Czy mi się to podobało, czy nie. Kto właściwie zarządził, że moje paznokcie będą miały taki kształt?

Starsza pani ostatnio powiedziała, że „pani rodzice byli pobożnymi członkami Zboru Świadców, nadal nimi są”. To znaczy, że dalej oddają się szerzeniu wiary. Aomame miała brata starszego o cztery lata. Był bardzo posłuszny. Kiedy ona podjęła decyzję o odejściu z domu, on poddał się nakazom rodziców i nadal szerzył wiarę. Ciekawe, co robi teraz. Aomame nie była szczególnie spragniona wiadomości o swojej rodzinie. Byli tą częścią jej życia, która już dobiegła końca. Więzy zostały zerwane.

Przez długi czas starała się zapomnieć absolutnie wszystko, co zdarzyło się, zanim skończyła dziesięć lat – myślała. Moje życie naprawdę się zaczęło, gdy miałam dziesięć lat? Wszystko, co zaszło przedtem, było jedynie żalonym snem. Takie wspomnienia lepiej gdzieś wyrzucić. Jednak choć bardzo się starała, przy każdej okazji była wciągana z powrotem w świat tych żalonych snów. Zdawało się, że prawie wszystko, co posiada, zapuściło korzenie w tamtej czarnej ziemi i stamtąd czerpie życiodajne soki. Bez względu na to jak daleko próbuję odejść, zawsze w końcu i tak tu wracam, pomyślała.

Muszę wysłać Lidera na tamten świat, postanowiła. Muszę to zrobić dla siebie samej.

* * *

Po trzech dniach zadzwoniła Ayumi.

– Dowiedziałam się kilku rzeczy – powiedziała.

– O Sakigake?

– Uhm. Zastanawiałam się, jak to zrobić, i nagle sobie przypomniałam, że wujek jednego z kolegów, który wstąpił do policji w tym samym czasie co ja, pracuje w Komendzie Prefekturalnej w Yamanashi. I zdaje się, że jest stosunkowo ważny. Więc poprosiłam o

pomoc tego kolegę. Powiedziałam mu, że niby jedna z moich młodych kuzynek zamierza wstąpić do tej sekty, że narobiła tym niezłego zamieszania i że mamy kłopot. Dlatego zbieram informacje o Sakigake. Więc, że niby bardzo go przepraszam, ale proszę o przysługę. Jestem dość dobra w takie klocki.

– Dzięki. Jestem ci bardzo wdzięczna – powiedziała Aomame.

– No to on zadzwonił do wujka w Yamanashi, przedstawił mu całą sytuację, a wujek, że skoro to taka sprawa, skontaktuje go z człowiekiem, który zajmował się śledztwem w Sakigake. I w ten sposób udało mi się bezpośrednio z kimś takim porozmawiać.

– Wspaniale!

– No i dość długo gadaliśmy, dużo różnych rzeczy się dowiedziałam o Sakigake, ale to, co pisali w gazetach, już pewnie wiesz, więc teraz opowiem ci resztę, o tym, co nie jest ogólnie znane. Może być?

– Może.

– Przede wszystkim do tej pory Sakigake kilka razy weszła w konflikt z prawem. Kilka razy byli zaskarżani w sprawach cywilnych. W większości chodziło o kwestie związane z wykupem ziemi. Wygląda na to, że ta sekta ma ogromny kapitał i wykupuje jedną po drugiej wszystkie okoliczne działki. No, to jest wieś, więc ziemia jest niby tania, ale i tak... I zdarza się, że robią to troszeczkę na siłę. Zakładają fikcyjne firmy i pod ich płaszczykiem – bo dzięki temu nie wiadomo, że sekta jest w sprawę zamieszana – wykupują nieruchomości i ziemię. Bardzo często dochodzi do konfliktów z właścicielami albo miejscowymi samorządami. To wygląda na wymuszanie sprzedaży metodami mafijnymi. Ale w chwili obecnej to wszystko są sprawy cywilne i policja nie ma z tym nic wspólnego. Niewiele brakuje, żeby wszystko zostało publicznie ujawnione. Czasami może być w to zamieszana mafia albo jakiś polityk. Bo kiedy politycy używają swoich wpływów, policja patrzy na to przez palce. Jak się zrobi większy skandal i sprawa dojdzie do prokuratury, będzie inna rozmowa.

– Czyli jeśli chodzi o ich działalność gospodarczą, nie są tacy czyści, jak się wydaje na pierwszy rzut oka?

– Nie wiem o zwykłych wiernych, ale przynajmniej jak się przejrzy transakcje sprzedaży nieruchomości, to o ludziach we władzach sekty, którzy się zajmują zarządzaniem kapitałem, nie da się chyba powiedzieć, że są czyści. Choćby człowiek miał dużo dobrej woli, trudno uwierzyć, że wydają pieniądze, bo poszukują prawdziwej duchowości. Do tego ta cała banda skupuje dla siebie ziemię i budynki nie tylko w Yamanashi, ale też w centrum Tokio, Osaki i innych miast. I wszystko to są tereny pierwszej klasy. W Shibuya, Minami Aoyama, Shōtō... Wygląda na to, że sekta ma plany rozwoju na skalę całego kraju. Chyba że zamierzają się przerzucić na handel nieruchomościami.

– Dlaczego sektę religijną żyjącą na łonie natury i stawiającą sobie za najważniejszy cel surowe i oczyszczające praktyki religijne interesuje centrum miasta?

– I skąd biorą takie sumy pieniędzy? – wyraziła wątpliwość Ayumi. – Z samej sprzedaży

rzodkwi i marchwi nie da się uzyskać takiego kapitału.

– Może z datków członków?

– To pewnie część, ale na całość by nie starczyło. Muszą gdzieś mieć jakieś stałe źródło dochodu. Policja uzyskała jeszcze jedną informację, która wydaje mi się trochę podejrzana. Coś, co ciebie także może zainteresować. W sekcie jest dość dużo dzieci wiernych. W zasadzie chodzą do miejscowej szkoły, ale wiele z nich po pewnym czasie przestaje do niej uczęszczać. Szkoła usilnie domaga się, żeby przychodziły, bo nauczanie podstawowe jest obowiązkowe, ale sekta się tym nie przejmuje i odpowiada tylko, że „niektórych dzieci nie można skłonić do chodzenia do szkoły”. Twierdzą, że sami zapewnią im nauczanie, więc nie trzeba się martwić o ich edukację.

Aomame przypomniła sobie okres szkoły podstawowej. Rozumiała, dlaczego dzieci z sekty nie chcą chodzić do szkoły. W szkole zawsze dokuczano im jako odmieńcom albo ignorowano je.

– Pewnie nieswojo się czują w miejscowej szkole – powiedziała. – A poza tym w samym niechodzeniu do szkoły nie ma nic szczególnie niezwykłego.

– Ale wychowawcy zauważyli, że często dzieci z sekty, zarówno chłopcy jak i dziewczynki, zdają się mieć problemy psychiczne. Na początku są zwykłymi, wesołymi dziećmi, ale kiedy dzieci idą do starszych klas, stają się małomówne, wkrótce robią się na wszystko obojętne, ich buzie zmieniają się w pozbawione wyrazu maski, a potem przestają przychodzić do szkoły. Wiele dzieciaków z Sakigake przechodzi te same stadia i wykazuje te same objawy. Więc nauczyciele łamią sobie głowy, co się może dzieć z tymi, które przestają się, pokazywać w szkole i siedzą zamknięte w sekcie. Martwią się, czy są zdrowe. Ale nie mogą się z nimi spotkać. Ludzie z zewnątrz nie mają prawa wstępu na teren sekty.

Takie same objawy jak u Tsubasy, pomyślała Aomame. Obojętność na wszystko, twarz bez wyrazu, milczenie.

– Naprawdę przypuszczasz, że w Sakigake odbywa się maltretowanie dzieci? I że dokonują tam gwałtów?

– Tak. Ale same przypuszczenia szarego obywatela pewnie nie wystarczą, żeby wkroczyła policja?

– Uhm. Policja jest mało elastyczna i zbiurokratyzowana. Ci na górze myślą wyłącznie o swoich karierach. Nie wszyscy są tacy, ale dla większości celem jest tylko awans, a po przejściu na emeryturę lukratywna praca w jakiejś powiązanej z policją organizacji albo prywatnej firmie. Dlatego z zasady nie dotykają niczego, czym się można sparzyć. Może nawet pizzę jedzą dopiero, jak wystygnie. Gdyby zgłosiła się prawdziwa ofiara mogąca głośno i wyraźnie świadczyć w sądzie, byłaby inna rozmowa, ale to na pewno nie taka prosta sprawa.

– Uhm, myślę, że nie taka prosta – powiedziała Aomame. – Ale i tak bardzo ci dziękuję. Te informacje bardzo mi się przydadzą. Muszę ci się jakoś odwdziżyć.

– Daj spokój, nie ma o czym mówić. Może niedługo wybierzemy się znowu razem w okolice Roppongi? Zapomnimy o wszystkich kłopotach.

– Dobra.

– No, to ustalone. À propos, czy interesują cię kajdanki i tego typu zabawy?

– Myślę, że chyba nie – powiedziała Aomame. Zabawy z kajdankami?

– Nie? Szkoda – powiedziała z żalem Ayumi.

Rozdział dwudziesty drugi – Tengo

Czas może się posuwać, przybierając nieregularne kształty

Tengo rozmyślał nad własnym mózgiem. Wiele spraw związanych z mózgiem wymagało zastanowienia. W ciągu dwóch i pół miliona lat wielkość ludzkiego mózgu wzrosła około czterokrotnie. Weźmy choćby jego ciężar – stanowi zaledwie dwa procent wagi ciała, a mimo to zużywa około czterdziestu procent energii (tak było napisane w książce, którą ostatnio czytał). Dzięki temu gwałtownemu wzrostowi ludzie przyswoili sobie pojęcia czasu, przestrzeni i możliwości.

Pojęcia czasu, przestrzeni i możliwości.

Tengo wiedział, że czas może się posuwać, przybierając nieregularne kształty. Sam w sobie jest z natury równomierny, ale kiedy zostaje zużyty, zmienia się w coś nieregularnego. Niekiedy czas jest strasznie ciężki i długi, to znów lekki i krótki. Bywa, że to, co zaszło wcześniej, zamienia się miejscami z tym, co było później, a bywa nawet tak, że całkowicie znika. Zdarza się też, że czas, którego nie powinno być, zostaje dodany. Ludzie prawdopodobnie przez takie dowolne korygowanie czasu korygują znaczenie własnego bytu. Inaczej mówiąc, dzięki takim operacjom udaje im się z trudem zachować zdrowe zmysły. Gdyby musieli akceptować przeżyty czas po kolei i równomiernie, ich nerwy na pewno by tego nie wytrzymały. Takie życie prawdopodobnie byłoby torturą. Tak się Tengo wydawało.

Dzięki powiększeniu mózgu ludzie przyswoili sobie pojęcie czasowości, lecz jednocześnie nauczyli się czasowość zmieniać i korygować. Bezustannie zużywając czas, równoległe przy pomocy świadomości produkują nowy skorygowany. To nie jest taka sobie zwyczajna operacja. Nic dziwnego, że mózg zużywa czterdzieści procent energii całego organizmu.

* * *

Tengo często się zastanawiał, czy jako półtoraroczne czy najwyżej dwuletnie dziecko naprawdę był świadkiem tego niby-wspomnienia. Owej sceny, w której matka w białej halce podawała pierś mężczyźnie, który nie był jego ojcem. Otaczała go ramionami. Czy

półtoraroczne lub dwuletnie dziecko mogłoby dostrzec aż takie szczegóły? Czy mogłoby tak dokładnie i wyraźnie je zapamiętać? Może to jest fałszywe wspomnienie, które Tengo stworzył sobie później jako element strategii obronnej?

Nie było to wykluczone. Jego mózg mógł w pewnym momencie stworzyć w podświadomości wspomnienie o innym mężczyźnie (mogącym teoretycznie być jego prawdziwym ojcem), żeby udowodnić, że nie jest biologicznym synem człowieka, którego nazywał ojcem. I starał się wykluczyć tego „człowieka nazywanego ojcem” ze ścisłego kręgu więzów krwi. Tworząc w myślach postać matki, która gdzieś żyje, i hipotetyczną postać prawdziwego ojca, próbował stworzyć furtkę dla swojego ograniczonego, duszącego życia.

Lecz to wspomnienie było dziwnie realne. Miało niewątpliwą fakturę, ciężar, zapach i głębię. Przywarło nieprawdopodobnie mocno do ściany jego świadomości, jak ostryga do wraku statku. Nie mógł go oderwać, ani strząsnąć, ani zmyć. Tengo za nic nie mógł uwierzyć, że takie wspomnienie mogło być jedynie fałszem stworzonym przez świadomość, gdy powstała taka potrzeba. Było zbyt wyraziste i zbyt realne jak na twór wyobraźni.

* * *

Załóżmy więc, że to prawdziwe, rzeczywiste wspomnienie.

Tengo jako malutkie dziecko, obserwując tę scenę, na pewno poczuł strach. Jakiś inny człowiek ssał pierś, która należała się jemu. Ktoś większy i silniejszy od niego. Wyglądało na to, że matka – choć być może tylko na krótki czas – przestała być świadoma istnienia Tengo. Była to sytuacja poważnie zagrażająca jego wątltemu istnieniu. Może ten wszechogarniający strach, który wtedy czuł, utrwalił się gwałtownie na kliszy jego świadomości? I wspomnienie tego strachu odżywało nagle w nieprzewidziany sposób, atakowało go, zalewało jak powódź. Wywoływało w nim stan podobny do paniki. I przypominało mu: „Możesz iść, gdzie chcesz, robić, co chcesz, i tak nie uciekniesz od tego ciśnienia wody. To wspomnienie tobą rządzi, nadaje kształt twemu życiu, chce cię wysłać do pewnego określonego miejsca. Ile byś się nie miotał, nie uda ci się uciec od tej siły”.

Nagle coś przyszło mu do głowy – może kiedy wyciągnął z pralki piżamę Fukaeri i ją wąchał, szukał w niej zapachu matki? Tak mu się wydawało. Ale dlaczego nagle miałby szukać obrazu matki, która odeszła, w zapachu ciała siedemnastoletniej dziewczyny? Powinien go chyba szukać gdzieś indziej. Na przykład w ciele swojej starszej od siebie kochanki.

* * *

Kochanka Tengo była od niego o dziesięć lat starsza, a jej kształtne duże piersi były podobne do zapamiętanych z dzieciństwa piersi matki. Ona także ładnie wyglądała w białej

halce. Ale nie wiadomo dlaczego Tengo nie szukał w niej obrazu matki. Nie interesował go też zapach jej ciała. Bardzo efektywnie wydobywała z niego pożądanie nagromadzone w ciągu tygodnia. Tengo też (prawie zawsze) potrafił ją seksualnie zadowolić. Oczywiście było to ważne osiągnięcie, lecz ich związek nie miał poza tym żadnego głębszego znaczenia.

W seksie zazwyczaj ona przejmowała inicjatywę. Tengo prawie o niczym nie myśląc, postępował zgodnie z jej wskazówkami. Nie musiał niczego wybierać ani o niczym decydować. Wymagała od niego tylko dwóch rzeczy: żeby miał silną erekcję i nie miał wytrysku w nieodpowiednim momencie. Kiedy mówiła: „Jeszcze nie. Jeszcze trochę wytrzymaj”, wkładał wszystkie siły w to, żeby wytrzymać. A kiedy szeptała mu do ucha: „No, teraz! No, szybko skończ”, precyzyjnie w tym momencie miał jak najgwałtowniejszy wytrysk. Kiedy tak postępował, chwaliła go. Głaskała go łagodnie po policzku, mówiła, że jest wspaniały. A dążenie do precyzji było jedną z dziedzin, do której miał naturalne zdolności. Mieściły się w niej także prawidłowa interpunkcja i wyprowadzanie odpowiedniego wzoru najkrótszą możliwą metodą.

Podczas seksu z młodszymi kobietami nie było to takie proste. Musiał od początku do końca myśleć o rozmaitych rzeczach, dokonywać rozmaitych wyborów i ocen. To powodowało, że czuł się nieswojo. Na jego barki spadała odpowiedzialność za sprawy różnego rodzaju. Był jak kapitan niewielkiego stateczku na wzburzonym morzu. Musiał trzymać ster, sprawdzać żagle, pamiętać o ciśnieniu atmosferycznym i kierunku wiatru. Trzeba było być zdyscyplinowanym, by załoga bardziej mu ufała. Drobny błąd czy omyłka mogły doprowadzić do tragedii. Nie był to seks, a raczej coś zbliżonego do wykonywania obowiązków. W rezultacie był strasznie napięty, miał wytrysk w nieodpowiednim momencie albo nie miał erekcji wtedy, kiedy trzeba. I coraz bardziej w siebie wątpił.

Ale z jego starszą kochanką takie omyłki się nie zdarzały. Ona wysoko oceniała jego seksualne zdolności. Zawsze go chwaliła i zachęcała. Po tym, jak Tengo ten jeden raz miał zbyt wczesny wytrysk, starannie unikała noszenia białej halki. Przestała nawet nosić białą bieliznę.

Tego dnia też miała na sobie czarny zestaw bielizny. I starannie przyłożyła się do seksu oralnego. Chciała się nacieszyć twardością jego penisa i miękkością jąder. Tengo widział, jak wraz z ruchem jej ust poruszały się w górę i w dół jej okryte czarnym koronkowym stanikiem piersi. Chcąc uniknąć przedwczesnego wytrysku, zamknął oczy i rozmyślał o Gilakach.

Sądów Gilacy nie mają i nie wiedzą, co znaczy praworządność. Jak trudno im nas zrozumieć, można się zorientować choćby z tego, że dotychczas jeszcze nie rozumieją dokładnie przeznaczenia dróg. Nawet tam, gdzie przeprowadzono już drogi, Gilacy wciąż podróżują tajgą. Często się widzi, jak oni sami, ich rodziny i psy idą gęsiego przez trzęsawisko tuż obok drogi.

Wyobraził sobie scenę, jak nędznie ubrani Gilacy tworzą szereg i wraz z kobietami i psami idą w milczeniu przez gęsty las wzdłuż drogi. Wśród ich pojęć czasu, przestrzeni i możliwości nie istniała droga. Mimo niewygody pewnie łatwiej im było uchwycić sens własnego życia, kiedy szli ukradkiem przez las, niż gdyby szli drogą.

Biedni Gilacy, powiedziała Fukaeri.

Tengo przypomniał sobie jej uśmiechniętą twarz. Spała w jego za dużej piżamie. Podwinęła zbyt długie rękawy i nogawki. On wyjął tę piżamę z pralki, przycisnął do nosa i wąchał.

Nie mogę myśleć o takich rzeczach, przykazał sobie, przytomniejąc. Ale było już za późno.

Miał gwałtowny kilkakrotny wytrysk w ustach kochanki. Ona przyjęła do ust całe jego nasienie, potem podniosła się i poszła do łazienki. Słyszał, jak odkręca kurek, leje wodę i płucze usta. Następnie jak gdyby nigdy nic wróciła do łóżka.

– Przepraszam – powiedział Tengo.

– Nie mogłeś się powstrzymać – powiedziała kochanka. Pogłaskała go po nosie. – Nie szkodzi. Tak ci było dobrze?

– Bardzo – powiedział. – Myślę, że za trochę znowu będę mógł.

– Już się na to cieszę – odparła. Przycisnęła policzek do jego nagiej piersi. Znieruchomiała z zamkniętymi oczami. Jej spokojny oddech łaskotał jego sutek.

– Jak myślisz, co mi się przypomina, kiedy patrzę na twoją pierś i dotykam jej? – zapytała go.

– Nie mam pojęcia.

– Brama fortecy z filmów Akiry Kurosawy.

– Brama fortecy – powtórzył Tengo, głaszcząc jej plecy.

– No w tych starych, czarno-białych filmach jak *Tron we krwi* czy *Ukryta forteca* są takie wielkie, mocne bramy zamkowe, prawda? Takie z wieloma solidnymi okuciami. Zawsze je sobie przypominam. Wytrzymałe, potężne.

– Ale ja nie mam okuć – powiedział.

– Nie zauważyłam, że nie masz – odparła.

* * *

W drugim tygodniu po ukazaniu się książkowego wydania *Powietrznej poczwarki* powieść znalazła się na liście bestsellerów, a w trzecim błyskawicznie awansowała na pierwszą pozycję. Tengo śledził ten proces, przeglądając regularnie prasę w pokoju nauczycielskim na kursach przygotowawczych. Dwukrotnie w gazetach pojawiły się także reklamy. Obok zdjęcia okładki książki znalazła się w nich mała amatorska fotka autorki. Obcisły cienki sweterek, który pamiętał, i piersi o pięknym kształcie (prawdopodobnie zdjęcie zrobiono w czasie konferencji prasowej). Proste długie włosy do ramion, tajemnicze czarne

żrenice patrzące prosto na niego. Te oczy wyglądały, jakby mogły przez obiektyw zajrzeć wprost do serca patrzącego i dostrzec ukryte tam rzeczy, których istnienia zwykle sam sobie człowiek nie uświadamiał. Neutralne, lecz łagodne. To pozbawione wahania spojrzenie siedemnastolatki z jednej strony rozbijało osobę, na którą patrzyła, a z drugiej powodowało, że osoba ta zaczynała się czuć trochę nieswojo. Było to tylko małe czarno-białe zdjęcie, ale na pewno wiele osób, patrząc na nie, nabierało ochoty na kupno książki.

W kilka dni po ukazaniu się powieści Komatsu przysłał mu dwa egzemplarze *Powietrznej poczwarki*, lecz Tengo nawet ich nie otworzył. Niewątpliwie wydrukowane tam zdania były częściowo jego dziełem i oczywiście po raz pierwszy napisany przez niego tekst ukazywał się w formie książkowej, ale nie miał ochoty wziąć książki do ręki. Nie chciało mu się nawet jej przejrzeć. Na widok wydrukowanych egzemplarzy w ogóle nie poczuł radości. Być może zdania były jego autorstwa, ale opowieść była w całości opowieścią Fukaeri. Czymś, co narodziło się w jej świadomości. Jego niewielka rola zakulisowej pomocy technicznej już dobiegła końca, a to, jaki los czekał dalej tę powieść, zupełnie go nie dotyczyło. Ani nie powinno dotyczyć. Nie zdejmując nawet plastikowej folii, wepchnął książki w głąb regału, by nie rzucały się w oczy.

* * *

Po nocy, którą spędziła u niego Fukaeri, życie Tengo przez pewien czas płynęło spokojnie i bez specjalnych wydarzeń. Często padał deszcz, ale Tengo nie był zainteresowany pogodą. Ta kwestia została zepchnięta na sam dół listy ważnych spraw, które go dotyczyły. Od tamtego czasu Fukaeri w ogóle się z nim nie kontaktowała. Brak kontaktu oznaczał pewnie, że nie ma żadnych szczególnych problemów.

Pracując nad swoją powieścią, jednocześnie napisał na zlecenie kilka tekstów do czasopism. Była to anonimowa praca dla pieniędzy, ale stanowiła pewną odmianę, a wynagrodzenie było niezłe w porównaniu z podjętym wysiłkiem. I jak zawsze trzy razy w tygodniu uczył na kursach przygotowawczych. Żeby zapomnieć o różnych kłopotliwych sprawach – głównie tych dotyczących *Powietrznej poczwarki* i Fukaeri – zagłębił się jeszcze bardziej niż przedtem w świat matematyki. Gdy raz się tam znalazł, przestawiały mu się obwody w mózgu (z cichym trzaskiem). Z ust zaczynały się wydobywać inne słowa, ciało zaczynało się posługiwać inną grupą mięśni. Zmieniał się ton jego głosu, a nawet nieco wyraz twarzy. Lubił to doznanie przestawiania się na inny tor. Przypominało to przechodzenie z jednego pokoju do drugiego albo zmienienie pary butów na inną.

Kiedy wchodził w świat matematyki, relaksował się bardziej niż w codziennym życiu lub przy pisaniu powieści, robił się również elokwentny. Ale jednocześnie zdawało mu się, że stawał się do pewnego stopnia oportunistą. Nie umiał ocenić, która z tych osobowości jest prawdziwa, lecz potrafił dokonywać tych przestawień bardzo naturalnie, prawie

nieświadomie. Wiedział też, że takie operacje przestawiania się są mu w mniejszym lub większym stopniu potrzebne.

Stojąc na katedrze jako nauczyciel matematyki, wbijał uczniom do głowy, jak desperacko matematyka domaga się logiki. W tej dziedzinie rzeczy, których nie da się udowodnić, nie mają żadnego znaczenia, ale jeśli coś raz zostanie udowodnione, zagadki tego świata mieszczą się w ludzkiej dłoni jak miękka ostryga. Wykład nie wiadomo kiedy nabierał mocy, a uczniowie porwani jego elokwencją, uważnie się wsłuchiwali. Nie tylko potrafił naprawdę skutecznie uczyć rozwiązywania zadań, ale efektownie odkrywał też przed nimi romantyzm ukryty w stawianiu pytań. Chodząc po klasie, zauważył, że kilka siedemnastoletnich czy osiemnastoletnich panienek wpatruje się w niego wzrokiem pełnym szacunku. Zrozumiał, że uwodzi je za pomocą matematyki. Jego talent oratorski był rodzajem intelektualnej gry wstępnej. Funkcje głąskały po plecach, twierdzenia były gorącym oddechem obok ucha. Lecz od spotkania z Fukaeri Tengo przestał odczuwać tego rodzaju seksualne zainteresowanie młodymi dziewczynami. Nie chciał też wachać ich pizam.

Fukaeri musi być kimś niezwykłym, pomyślał znowu. Nie można jej porównać do innych dziewczyn. Niewątpliwie ma dla mnie jakieś znaczenie. Jest cała – jak by to powiedzieć – pewną skierowaną do mnie wiadomością. A mimo to za nic nie potrafię jej odczytać.

* * *

Jednak rozum doszedł do jasnego wniosku, że lepiej nie mieć już z Fukaeri nic wspólnego. Lepiej w miarę możliwości jak najbardziej oddalić się od *Powietrznej poczwarki* leżącej w stosach w księgarniach, od profesora Ebisuno mającego nieznane zamiary i od sekty przepelnionej wywołującymi niepokój tajemnicami. Lepiej też, przynajmniej na pewien czas, trzymać się z daleka od Komatsu. Inaczej przestanie kontrolować sytuację. Zostanie zapędzony w jakiś niebezpieczny róg, w którym nie będzie ani krztyny logiki, w jakiś układ, z którego będzie musiał się wyplątać.

Lecz Tengo dobrze wiedział, że na tym etapie wycofanie się z tak zawilego spisku nie będzie łatwe. Był z nim związany. Nie został wplątany, jak bohaterowie Hitchcocka, którzy nie orientują się, co się dzieje. Wiedząc, że łączy się z tym pewne ryzyko, sam się zaplątał. Mechanizm już zaczął działać. Nie da się go zatrzymać, bo został wprowadzony w ruch, a poza tym Tengo był niewątpliwie jednym z jego zębanych kółek. I to ważnym. Wsłuchując się w cichy szmer tego mechanizmu, czuł w sobie nieubłagany moment bezwładności.

* * *

Komatsu zadzwonił w kilka dni po tym, jak *Powietrzna poczwarka* przez drugi tydzień z

rzędu utrzymała się na pierwszym miejscu listy bestsellerów literackich. Telefon odezwał się po jedenastej w nocy. Tengo był już w piżamie i poszedł do łóżka. Leżąc na brzuchu, czytał książkę. Zamierzał za chwilę zgasić lampkę nocną i iść spać. Po dzwonku poznał, że musi dzwonić Komatsu. Nie umiał wytłumaczyć, dlaczego zawsze poznawał, że to on dzwoni. Jego dzwonek był jakiś szczególny. Tak samo jak teksty mają swoje style, telefony mają swoje charakterystyczne dzwonki.

Tengo wstał, poszedł do kuchni i odebrał. Prawdę mówiąc, nie miał ochoty tego robić. Chciał sobie spokojnie iść spać. Chciał, żeby mu się przyśniło coś dalekiego, wszystko jedno co – rysie z wyspy Iriomote, Kanał Panamski, warstwa ozonowa albo Matsuo Bashō. Ale jeżeli teraz nie odbierze, telefon zadzwoni znowu za piętnaście albo trzydzieści minut. Komatsu w ogóle nie zwracał uwagi na godzinę. Nie miał ani krztyny litości dla ludzi prowadzących normalne życie. Lepiej już było teraz odebrać.

– Cześć, Tengo. Spałeś już? – odezwał się Komatsu jak zawsze bez troski.

– Właśnie zasypiałem.

– Przepraszam – powiedział Komatsu, jakby nie było mu szczególnie przykro. – Chciałem ci tylko powiedzieć, że sprzedaż *Powietrznej poczwarki* idzie doskonale.

– To świetnie.

– Sprzedaje się jak gorące bułeczki. Nie nadążają z dodrukami, więc pracują biedacy po nocach. Oczywiście spodziewałem się, że powinna sprzedawać się dość dobrze. Powieść napisana przez piękną siedemnastolatkę. Jest o niej głośno. A to sprzyja tak doskonalej sprzedaży.

– Bo to co innego niż powieść napisana przez misiwatego trzydziestoletniego nauczyciela z kursów przygotowawczych.

– Zgadza się. A jednocześnie nie da się jej nazwać utworem lekkim i przyjemnym. Nie ma scen łóżkowych ani wzruszających, wyciskających łzy. Więc nawet ja nie przypuszczałem, że aż tak dobrze będzie się sprzedawała.

Komatsu przerwał, jakby czekał na reakcję Tengo. Ale ponieważ ten się nie odezwał, mówił dalej: – Poza tym oprócz tego, że sprzedaje się tyle egzemplarzy, recenzje też ma świetne. Bo to nie jest jakieś byle co, na pokaz, coś, co jakaś młoda osoba naskrobała, bo jej akurat przyszło do głowy, i zrobiło się o tym głośno. Fabuła jest wybitna pod każdym względem. Oczywiście, u podłoża legła twoja rewelacyjna solidna technika literacka. Wiesz, naprawdę zrobiłeś to perfekcyjnie.

U podłoża legła. Nie słuchając pochwał Komatsu, Tengo lekko przycisnął palcami skronie. Kiedy Komatsu zasypuje go tak pochwałami, zwykle kryje się za tym jakaś niezbyt dobra wiadomość.

– No dobrze, a jaka jest zła wiadomość?

– Skąd wiesz, że jest zła wiadomość?

– Jak to? Skoro dzwoni pan do mnie o takiej godzinie, musi być zła wiadomość.

– Rzeczywiście – powiedział Komatsu z podziwem. – Rzeczywiście masz rację. Masz jednak wycucie.

To nie wycucie, po prostu nauczyło mnie tego doświadczenie, pomyślał Tengo. Ale nie odzywał się i czekał na ruch Komatsu.

– Masz rację. Niestety mam jedną niezbyt dobrą wiadomość – powiedział Komatsu. Potem zrobił znaczącą przerwę. Tengo wyobrażał sobie, jak po drugiej stronie słuchawki jego oczy lśnią w ciemności jak ślepia ichneumona.

– Przypuszczam, że dotyczy autorki *Powietrznej poczwarki* – powiedział Tengo.

– Masz rację. Dotyczy Fukaeri. Trochę głupia sprawa. Prawdę mówiąc, od pewnego czasu nie wiadomo, gdzie się nam autorka podziała.

Tengo nadal przyciskał palcami skronie. – Od pewnego czasu czyli od kiedy?

– Od trzech dni. W środę rano wyszła z domu w Okutama i pojechała do Tokio. Profesor Ebisuno ją odprowadził. Nie powiedziała, dokąd jedzie. Zadzwoiła, że dziś nie wróci w góry i zatrzyma się w mieszkaniu w Shinanomachi. Tego dnia miała się tam też zatrzymać córka profesora. Ale Fukaeri nie przyszła. Od tego czasu urwał się z nią wszelki kontakt.

Tengo szukał w pamięci, co się działo przez te trzy dni. Lecz nic istotnego nie przychodziło mu do głowy.

– Kompletnie nie wiadomo, gdzie jest. No i pomyślałem, że może przypadkiem kontaktowała się z tobą.

– Nie kontaktowała się – odparł Tengo. Spędziła noc w jego mieszkaniu już chyba ponad cztery tygodnie temu. Wahał się, czy powinien wspomnieć Komatsu o tym, czego się wtedy od niej dowiedział: żeby nie jechać do mieszkania w Shinanomachi. Może wyczuwała w tym miejscu coś niepokojącego? W końcu postanowił zachować tę wiedzę dla siebie. Nie chciał wspominać Komatsu o tym, że Fukaeri zatrzymała się u niego na noc.

– To dziwna dziewczyna – powiedział Tengo. – Może, nikomu nic nie mówiąc, gdzieś sobie sama poszła?

– Nie, niemożliwe. Wbrew pozorom jest bardzo odpowiedzialna. Zawsze mówi, dokąd idzie. Ciągłe dzwoni, że jest tu i tu, a potem idzie tam i tam. Tak mówił profesor Ebisuno. Dlatego brak kontaktu od trzech dni to odrobinę nietypowa sprawa. Mogło się stać coś nieciekawego.

Tengo jęknął.

– Coś nieciekawego?

– Profesor z córką bardzo się martwią – powiedział Komatsu.

– Tak czy inaczej to, że nie wiadomo, gdzie jest, na pewno stawia pana w kłopotliwej sytuacji.

– No tak, gdyby policja zaczęła jej szukać, zrobiłoby się niezłe zamieszanie. W końcu ślad zaginał po pięknej autorce książki ze szczytu listy bestsellerów. Już widzę, jak media się podniecają. A wtedy ja, jako redaktor prowadzący, będę zmuszany do komentarzy. To niezbyt

zabawne. Bo ja zasadniczo lubię być w cieniu, nie przepadam za światłem słonecznym. A poza tym w takiej sytuacji nie wiadomo kiedy i jak wszystko może wyjść na jaw.

– A co mówi profesor Ebisuno?

– Mówi, że jutro zgłosi na policję zaginięcie Fukaeri. Prosiłem go i prosiłem, i w końcu zgodził się opóźnić to o kilka dni. Ale nie uda mi się dłużej tego przeciągać.

– Kiedy się dowiedzą, że zgłoszono jej zaginięcie, od razu wszyscy się zbiegną.

– Nie wiem, jak zareaguje policja, ale Fukaeri jest teraz bardzo popularna. To nie jakaś tam zwykła nastolatka, która uciekła z domu. Trudno będzie to ukryć przed opinią publiczną.

A może właśnie tego życzył sobie profesor Ebisuno? – pomyślał Tengo. Chciał posłużyć się Fukaeri jako przynętą, wywołać zamęt, by w ten sposób wyjaśnić związek między Sakigake a jej rodzicami i dowiedzieć się, gdzie są. Jeżeli tak, sytuacja rozwija się w tej chwili zgodnie z jego planem. Ale czy on w pełni zdaje sobie sprawę z kryjącego się w tym niebezpieczeństwa? Prawdopodobnie tak. Nie jest przecież bezmyślny. Jego praca polega w końcu na głębokim myśleniu. A w sprawie Fukaeri było chyba jeszcze kilka ważnych faktów, o których Tengo nie został poinformowany. Przypominał kogoś, kto ma układać puzzle, ale nie dostaje wszystkich kawałków. Gdyby był mądry, nie dałby się wrobić w coś takiego.

– A tobie nie przychodzi do głowy, gdzie mogłaby być?

– W tej chwili nie.

– Aha – powiedział Komatsu. W jego głosie słychać było zmęczenie. Komatsu zwykle nie pokazywał po sobie słabości. – Przepraszam, że cię obudziłem w środku nocy.

Komatsu bardzo rzadko też przepraszał.

– Nie szkodzi. Sytuacja się zmieniła – powiedział Tengo.

– Jeśli o mnie chodzi, chciałem w miarę możliwości nie wciągać cię w takie prozaiczne sprawy. Twoim zadaniem było napisanie tekstu i z tego wywiązałeś się jak należy. Ale świat już taki jest, że nic się nie układa tak, jak powinno. Kiedyś już mówiłem, że siedzimy w jednej łódce i płniemy unoszeni silnym prądem.

– Jedziemy na jednym wózku – dodał Tengo mechanicznie.

– Zgadza się.

– Ale jeśli zniknięcie Fukaeri się wyda, *Powietrzna poczwarka* zacznie się chyba jeszcze lepiej sprzedawać?

– Wystarczy tyle, ile się sprzedaje – powiedział Komatsu zrezygowany. – Więcej reklamy nam nie trzeba. Taki głośny skandal wywoła tylko problemy. My musimy raczej zastanowić się nad jakąś spokojną przystanią.

– Nad spokojną przystanią? – powtórzył Tengo.

Po drugiej stronie słuchawki Komatsu wydał z siebie taki dźwięk, jakby coś połykał. Potem lekko odkaszlnął.

– O tym pogadamy sobie przy okazji, na przykład przy kolacji. Jak to zamieszanie trochę się uspokoi. No, dobranoc, Tengo. Mam nadzieję, że się wypiszesz.

Po tych słowach się rozłączył, ale Tengo czuł się tak, jakby Komatsu rzucił na niego kłutwę. Był śpiący, lecz nie mógł spać.

Co znowu za „Mam nadzieję, że się wyśpisz”, zastanawiał się. Usiadł przy kuchennym stole i postanowił popracować. Ale zupełnie mu nie szło. Zdjął z regału butelkę, wlał do szklaneczki whisky i niczego do niej nie dodając, pił małymi łykami.

Może Fukaeri okazała się skuteczna jako żywa przynęta i została porwana przez Sakigake? Tengo zdawało się to całkiem możliwe. Obserwowali mieszkanie w Shinanomachi, a kiedy się pojawiła, wepchnęli ją do samochodu i gdzieś wywieźli. Gdyby przeprowadzić taką akcję błyskawicznie i w odpowiednich okolicznościach, byłoby to całkiem możliwe. Zapewne czuła, że coś takiego może się zdarzyć, bo stwierdziła przecież, że „lepiej nie wracać do mieszkania w Shinanomachi”.

Fukaeri powiedziała mu, że zarówno Little People jak i powietrzna poczwarka istnieją naprawdę. Poznała Little People, kiedy w komunie Sakigake opiekowała się ślepą kozą. Przez jej niedbalstwo koza zdechła, a ona musiała ponieść karę. Razem z Little People co noc robiła powietrzną poczwarkę. I w rezultacie spotkało ją coś, co miało wielkie znaczenie. Ona przekształciła to wydarzenie w opowieść. Tengo nadał tej opowieści kształt powieści. Innymi słowy, zmienił ją w towar. I ten towar sprzedawał się jak ciepłe bułeczki, jeśli posłużyć się wyrażeniem Komatsu. To mogło być nie na rękę Sakigake. Może opowieść o Little People i powietrznej poczwarcie była ważną tajemnicą, której nie wolno było zdradzić nikomu z zewnątrz? Porwali więc Fukaeri, żeby jej zamknąć usta. Nawet jeżeli jej zniknięcie mogło poruszyć opinię publiczną, podjęli ryzyko i nie powstrzymało ich to przed użyciem siły.

Ale to oczywiście była jedynie hipoteza Tengo. Nie mógł tego udowodnić. Nikt by go poważnie nie potraktował, gdyby zaczął głośno mówić, że Little People i powietrzna poczwarka naprawdę istnieją. A przede wszystkim sam Tengo nie wiedział, jak konkretnie miałby to udowodnić.

A może Fukaeri gdzieś się ukryła, bo miała po prostu dosyć szumu wokół *Powietrznej poczwarki* i tego, że książka została bestsellerem. Oczywiście trzeba brać pod uwagę taką możliwość. Praktycznie nie dało się przewidzieć, jak Fukaeri postąpi. Ale w takim wypadku zapewne zostawiłaby profesorowi i jego córce Azami jakąś wiadomość, żeby się o nią nie martwili. Nie miała żadnego powodu, żeby tego nie zrobić.

Ale jeżeli została naprawdę porwana przez sektę, łatwo było wyobrazić sobie, że może jej grozić poważne niebezpieczeństwo. Kiedyś zaginął wszelki ślad po jej rodzicach, być może w pewnym momencie tak samo zaginie ślad po niej. Kiedy stanie się jasny związek między Fukaeri a Sakigake (prawdopodobnie nie zajmie to dużo czasu), media narobią szumu, ale jeżeli policja odmówi współpracy, bo „brak dowodów, że została porwana”, będzie to tylko wiele hałasu o nic. Być może Fukaeri zostanie uwięziona w otoczonej wysokim murem sekcie. A może nawet spotkać ją coś znacznie gorszego. Czy profesor Ebisuno, tworząc swój plan, brał pod uwagę ten najgorszy z możliwych scenariusz?

Tengo chciał zadzwonić do profesora i zapytać go o różne rzeczy. Ale minęła już północ. Musiał poczekać do jutra.

* * *

Następnego dnia rano wykręcił numer domowy, który podał mu profesor Ebisuno, ale się nie dodzwonił. Z taśmy dobiegało tylko w kółko: „Nie ma takiego numeru. Nie ma takiego numeru”. Dzwonił kilka razy – rezultat był zawsze ten sam. Pewnie po debiucie Fukaeri bez przerwy dobijali się jacyś dziennikarze, więc profesor zmienił numer.

Potem przez tydzień nic się nie działo. A *Powietrzna poczwarka* dalej dobrze się sprzedawała. I ciągle była w całym kraju na pierwszym miejscu listy bestsellerów. Przez ten czas nikt się z Tengo nie kontaktował. Kilka razy zadzwonił do firmy Komatsu, ale nigdy nie mógł go zastać (nie było w tym nic niezwykłego). Zostawił w dziale redakcyjnym wiadomość, że prosi o telefon, lecz Komatsu nie oddzwonił (w tym też nie było nic niezwykłego). Choć Tengo codziennie bez wyjątku przeglądał gazety, nie zauważył informacji o tym, że Fukaeri jest poszukiwana. Być może profesor Ebisuno jednak nie zgłosił na policji jej zniknięcia. Albo zgłosił, ale policja, chcąc przeprowadzić tajne śledztwo, nie ujawniła tej informacji. Inna możliwość była taka, że nie potraktowano go poważnie, uznając, że to zwykła ucieczka nastolatki z domu.

Tengo jak zawsze trzy razy w tygodniu uczył matematyki, w pozostałe dni siedział przy biurku i pisał powieść, a w piątki uprawiał ze swoją kochanką intensywny, popołudniowy seks. Lecz bez względu na to co robił, nie mógł się na niczym skupić. Jak człowiek, który połknął przez pomyłkę gruby kawał chmury, spędzał niespokojne, ciężkie dni. Stopniowo tracił apetyt. Budził się w nocy o barbarzyńskich porach i nie mógł usnąć. Nie mogąc usnąć, rozmyślał o Fukaeri. O tym, gdzie teraz jest i co robi. I z kim jest. Co ją spotkało. Wyobrażał sobie różne sytuacje. Większość tych wyobrażeń, z niewielkimi wyjątkami, była zaprawiona tragizmem. W jego wizjach zawsze miała na sobie ten obcisły cienki sweterek i widać było kształt jej piersi. Jej widok powodował, że brakowało mu tchu, wywoływał w jego myślach jeszcze większy zamęt.

Fukaeri skontaktowała się z nim w czwartek w sześć tygodni po tym, jak *Powietrzna poczwarka* znalazła się na liście bestsellerów.

Rozdział dwudziesty trzeci – Aomame

To dopiero początek

Aomame i Ayumi stanowiły doskonały duet do zaaranżowania niewielkiego, lecz pełnego erotyzmu nocnego baleciku. Ayumi była drobna, uśmiechnięta, bezpośrednia i przyjazna, potrafiła zagadać i jeśli tylko chciała, umiała pozytywnie podejść prawie do każdej sytuacji. Miała też zdrowe poczucie humoru. Wydawało się, że w porównaniu z nią umięśniona i szczupła Aomame jest raczej bez wyrazu i pełna rezerwy. Nie umiała rzucać wesołych tekstów do nieznanymi mężczyzn. W jej słowach pobrzmiwał leciutko cyniczny, agresywny ton, a w spojrzeniu zawsze krył się wąty błysk dezaprobaty. Lecz jeśli miała ochotę, Aomame także potrafiła wysyłać chłodne fluidy, które naturalnie przyciągały mężczyzn. Coś, co przypominało wabiącą seksualnie woń w razie potrzeby wydzielaną przez zwierzęta i owady. Może z jakiejś przyczyny na pewnym etapie życia nabrała takiej woni? Tak czy inaczej te fluidy wpływały nie tylko na mężczyzn, ale lekko pobudzały także Ayumi, powodując, że brylowała jeszcze bardziej.

Kiedy dostrzegły odpowiednich facetów, najpierw Ayumi wyruszała sama na zwiad. Z typową dla niej kordialnością budowała podstawę przyjaznych stosunków. Potem w odpowiednim momencie dołączała Aomame i w duecie tworzyły pełną głębi harmonię. Powstawała charakterystyczna atmosfera, jakby z połączenia operetki i *film noir*. Dalej szło już jak po maśle. Przenosili się we czworo w odpowiednie miejsce i używali sobie za wszystkie czasy, jak mawiała Ayumi. Najtrudniej było znaleźć właściwych partnerów. Najlepiej dwóch. Musieli być schludni i do pewnego stopnia atrakcyjni. Musieli mieć w sobie coś choć trochę intelektualnego, ale lepiej, żeby nie byli zbyt inteligentni – szkoda, żeby wieczór został zmarnowany na nudne rozmowy. Ważną rzeczą, którą należało ustalić, było to, czy na pewno mają pewien luz finansowy. No bo oczywiście to mężczyźni musieli zapłacić rachunek w barze czy klubie oraz za hotel.

* * *

Kiedy jednak pod koniec czerwca próbowały zorganizować niewielki balecik (jak się

okazało, było to ich ostatnie działanie w duecie), za nic nie mogły znaleźć odpowiednich partnerów. Nie śpieszyły się, kilka razy zmieniały miejsce, ale efekt był zawsze ten sam. Mimo że był to piątkowy wieczór pod koniec miesiąca, wszystkie lokale od Roppongi po Akasaka świeciły pustkami, gości przyszło niewiele i nie miały z czego wybierać. Niebo pokryły gęste chmury i może dlatego całe Tokio wypełniała ciężka atmosfera, jakby miasto przywdziało po kimś żałobę.

– Dziś chyba nic z tego nie będzie. Dajmy sobie spokój – powiedziała Aomame. Było już pół do jedenastej.

Ayumi niechętnie się zgodziła.

– No, naprawdę, nigdy nie widziałam takiego beznadziejnego piątkowego wieczoru. A specjalnie włożyłam seksowną fioletową bieliznę.

– To idź do domu, usiądź przed lustrem i napawaj się swoim widokiem.

– Nawet ja nie mam odwagi zrobić czegoś takiego we wspólnej łazience policyjnego hotelu pracowniczego.

– Tak czy inaczej, dziś dajmy sobie spokój, chodźmy się teraz gdzieś grzecznie napić, a potem wrócimy do domu i pójdziemy spać.

– Może to i dobry pomysł – powiedziała Ayumi. A potem, jakby coś sobie przypomniała, dodała: – Zaraz, zaraz, może zanim wrócimy do domu, zjadłybyśmy gdzieś coś lekkiego? Mam trzydzieści tysięcy do wydania.

Aomame zmarszczyła brwi.

– Masz do wydania? Co się dzieje? Przecież zawsze narzekasz, że masz niską pensję i brak ci pieniędzy.

Ayumi podrapała się koło nosa.

– Prawdę mówiąc, ostatnio dostałam od faceta trzydzieści tysięcy. Dał mi przy pożegnaniu, mówiąc, że to na taksówkę. Wtedy, jakżeśmy to robiły z tymi dwoma z agencji nieruchomości.

– I ty od niego wzięłaś? – zapytała zdziwiona Aomame.

– Może myślał, że jesteśmy półprofesjonalistkami – zachichotała Ayumi. – Na pewno nawet nie powstało mu w głowie, że ma do czynienia z policjantką z komendy policji i trenerką sztuk walki. No ale co to szkodzi? Zarabiają kupę forsy na handlu nieruchomościami, pewnie nie wiedzą, na co wydawać. Pomyślałam, że zjemy sobie za to we dwie coś pysznego, i odłożyłam na później. Bo jakoś nie chciałam wydawać tych pieniędzy na życie.

Aomame nie powiedziała, co o tym myśli. Uprawianie seksu z nieznanymi i przypadkowymi mężczyznami i branie za to wynagrodzenia wydawało jej się czymś nierealnym. Przecież jej samej mogło się coś takiego przydarzyć. Zupełnie jakby przeglądała się w krzywym zwierciadle. Lecz czy zabijanie mężczyzn za pieniądze było z moralnego punktu widzenia lepsze niż seks za pieniądze? Trudno powiedzieć.

– Słuchaj, przeszkadza ci branie pieniędzy od facetów? – zapytała Ayumi z niepokojem.

Aomame potrząsnęła głową.

– Nie przeszkadza mi, raczej jest trochę dziwne. Ale wydawałoby się, że policjantka powinna jednak mieć opory i nie postępować jak prostytutka.

– Żadnych oporów – powiedziała wesoło Ayumi. – W ogóle się nie przejmuję czymś takim. Słuchaj, prostytutka ustala cenę przed seksem. One zawsze biorą pieniądze przed faktem. Zanim ściągniesz spodnie, chłopczyku, zapłać mi. Taka jest zasada. Jak po wszystkim facet powiedziałby: „Prawdę mówiąc, nie mam forsy”, to przecież nic by nie zarobiła. Ale jeśli nie ma wcześniejszych negocjacji cenowych, tylko potem facet daje ci trochę „na taksówkę”, to jest tylko wyraz jego wdzięczności. Inaczej niż w przypadku zawodowej prostytutki. To dwie zupełnie inne sprawy.

To, co mówiła, miało pewien sens.

Poprzednim razem wybrały sobie partnerów w przedziale wieku od trzydziestu pięciu do czterdziestu pięciu lat. Obaj mieli potargane gęste włosy, ale Aomame poszła w tej sprawie na kompromis. Powiedzieli, że zajmują się nieruchomościami, jednak sądząc po ich garniturach od Hugo Bossa i krawatach Missoni Uomo, można było się domyślić, że pracują nie w jednej z tych wielkich firm handlujących nieruchomościami, jak Mitsubishi czy Mitsui, a w jakiejś znacznie bardziej agresywnej i prężnej. Pewnie miała obcojęzyczną nazwę. Nie ograniczały ich głupie regulaminy firmy, duma z tradycji i niekończące się zebrania. Zapewne tam nie poradziłby sobie mało zdolny człowiek. Taki za to, któremu się udało, dochody miał pokaźne. Jeden z mężczyzn miał kluczyki do nowiutkiego alfa romeo. Obaj twierdzili, że w Tokio brakuje miejsca na biura. Gospodarka otrząsnęła się już po kryzysie naftowym i wykazywała oznaki szybkiego rozwoju, kapitał był coraz bardziej płynny. Prawdopodobnie choćby budować nowe wieżowce jeden po drugim, to i tak ciągle będzie za mało.

– Podobno na handlu nieruchomościami można teraz zarobić dużo pieniędzy? – zapytała Aomame.

– Tak, jeśli masz wolną gotówkę, powinnaś kupować nieruchomości – powiedziała Ayumi. – Do ograniczonej przestrzeni Tokio wlewa się ogromna rzeka pieniędzy, ceny rosną jak szalone. Jeśli teraz kupisz, na pewno nie stracisz. To jak stawianie na pewnego konia. Niestety, taka szara urzędniczka państwowa jak ja nie ma żadnych nadwyżek finansowych. A nawiasem mówiąc, czy ty należysz to ludzi, którzy inwestują gdzieś swoje oszczędności?

Aomame potrząsnęła głową.

– Wierzę tylko w gotówkę.

Ayumi głośno się roześmiała.

– To mentalność przestępcy.

– Wkłada się szmal pod materac, a jak się grunt zaczyna palić pod nogami, łapie się forszę i ucieka przez okno?

– Tak, tak, coś takiego – powiedziała Ayumi i strzeliła palcami. – Jak w *Wielkiej ucieczce*. Tym filmie ze Steve'em McQueenem. Pliki banknotów i rewolwery. Lubię takie

rzeczy.

– Bardziej niż być po stronie prawa i porządku?

– No, tak prywatnie – powiedziała Ayumi z uśmiechem. – Prywatnie wolę przestępców. Bardziej pociąga mnie śledzenie ich niż jeżdżenie małym wozem patrolowym i szukanie nieprawidłowo zaparkowanych samochodów. Bez porównania. I prawdopodobnie właśnie to mnie w tobie pociąga.

– Wyglądam na przestępczynię?

Ayumi skinęła głową.

– Hmm... jakby otacza cię taka aura, choć nie aż taka jak Faye Dunaway z karabinem maszynowym.

– Radzę sobie bez karabinu maszynowego.

* * *

– À propos Sakigake, tej sekty religijnej, o której ostatnio rozmawialiśmy...

Weszły do otwartej do późna niewielkiej włoskiej restauracji w Ikura, gdzie zjadły lekki posiłek, popijając chianti. Aomame zamówiła sałatę z tuńczykiem, a Ayumi gnocchi z bazylią.

– Uhm?

– Zainteresowało mnie to, więc potem sama próbowałam nieoficjalnie czegoś się dowiedzieć. Ale im bardziej się w tym zagłębiałam, tym bardziej zaczynało mi śmierdzieć. Nazywają się grupą wyznaniową, zostali oficjalnie zarejestrowani, ale nie mają żadnej prawdziwej religii. Pod względem doktryny są dekonstrukcjonistami, czy jak ich tam nazwać. Nic tylko zbieranina religijnych symboli. Jest tam filozofia New Age, modny akademizm, powrót do natury i odrzucenie kapitalizmu, to wszystko odpowiednio przyprawione okultyzmem. Nic więcej. Nie ma w tym żadnej prawdziwej religii. Czy raczej to, że nie ma prawdziwej religii, jest faktyczną religią tej sekty. Ujmując to w stylu McLuhana, środek przekazu sam jest przekazem. To samo w sobie jest dosyć *cool*.

– W stylu McLuhana?

– No przecież nawet ja czytam książki – powiedziała Ayumi z niezadowoleniem. – McLuhan wyprzedzał swoją epokę. Ponieważ w pewnym okresie był modny, teraz traktuje się go z pogardą, ale to, co pisze, jest na ogół słuszne.

– Innymi słowy opakowanie zawiera w sobie treść. O to chodzi?

– O to chodzi. Cechy charakterystyczne opakowania tworzą treść. A nie na odwrót.

Aomame zastanowiła się nad tym. Potem powiedziała: – Natura Sakigake jako sekty religijnej jest niejasna, a i tak bez względu na to ludzie się do niej garną, coś ich przyciąga. O to ci chodzi?

Ayumi skinęła głową.

– Nie powiedziałabym, że jest tych ludzi jakoś szczególnie dużo, ale jednak powoli ich przybywa. A kiedy przybywa ludzi, przybywa pieniędzy. To oczywiste. Moim zdaniem ludziom podoba się w tej sekcie przede wszystkim to, że nie wydaje się tak bardzo religijna. Wygląda na wyjątkowo czystą, intelektualną i dobrze zorganizowaną. Krótko mówiąc, nie wydaje się miejscem dla ludzi ubogich i żalosnych. To pociąga wykształconych przedstawicieli młodego pokolenia, specjalistów czy naukowców. Stanowi bodziec dla ich intelektualnej ciekawości. Daje im poczucie, że wstępując do sekty, czegoś dokonują. Namacalne poczucie realnego dokonania, którego nie da się zdobyć w realnym świecie. I tacy inteligentni wierni tworzą potężny mózg sekty, są jak elitarna grupa oficerów w wojsku. Poza tym ten człowiek zwany Liderem ma podobno wielką charyzmę. Ludzie czują dla niego głębokie uwielbienie. Można powiedzieć, że wiara zbudowana jest wokół osoby Lidera. On jest jej osią. Pod względem struktury przypomina to religię prymitywną. Przecież wczesne chrześcijaństwo też w mniejszym lub większym stopniu właśnie na tym polegało. Ale ten facet w ogóle nie pokazuje się publicznie. Nie wiadomo nawet, jak wygląda. Nie wiadomo, jak się nazywa i ile ma lat. Oficjalna wersja jest taka, że sekta jest zarządzana systemem parlamentarnym, stanowisko tego jakby przewodniczącego zajmuje inny facet i to on bierze udział w oficjalnych obrzędach jako reprezentant sekty, ale zdaje się, że w rzeczywistości jest jedynie figurantem. W centrum systemu znajduje się chyba ten niezidentyfikowany Lider.

– Wygląda na to, że chce utrzymać w tajemnicy, kim jest.

– Albo ma coś do ukrycia. Nie ujawniając się, pragnie utrzymać wokół siebie atmosferę tajemniczości.

– Albo jest wyjątkowo brzydki.

– To możliwe. Na przykład wygląda groteskowo, jak przybysz z innej planety – powiedziała Ayumi, wydając cichy pomruk potwora. – No tak czy inaczej, w tej sekcji jest za dużo spraw, które trzymane są w ukryciu. Chodzi nie tylko o głównego kapłana. Jedną z nich jest ten intensywny wykup ziemi, o którym mówiłam ci wcześniej przez telefon. To, co ujawniają publicznie, to wszystko lipa. Piękne budynki, przystojny rzecznik, inteligentne teorie, wierni wywodzący się z elitarnych kręgów, stoickie praktyki religijne, joga i wewnętrzna harmonia, odrzucenie materializmu, rolnictwo ekologiczne, czyste powietrze i dieta złożona ze smacznych warzyw... to jest jak dobrze wyreżyserowane zdjęcie reklamowe. Zupełnie jak kolorowa wkładka w niedzielnej gazecie reklamująca eleganckie ośrodki wypoczynkowe. Bardzo piękne opakowanie, ale wydaje się, że za kulisami coś śmierdzi. Prawdopodobnie to, co nielegalne. Miałam wyraźnie takie wrażenie po przejrzaniu różnych materiałów.

– Ale w tej chwili policja się tym nie zajmuje?

– Możliwe, że prowadzą jakieś tajne działania, ale do tego już nie zdołałam dotrzeć. Zdaje się, że Komenda Prefekturalna w Yamanashi stara się obserwować poczynania tej sekty. Wyczułam coś takiego w tonie faceta, z którym rozmawiałam przez telefon. W końcu

to właśnie z Sakigake narodziło się Akebono, które wywołało tę strzelaninę. Na razie policja przypuszcza, że Akebono zdobyło te chińskie kałasznikowy przez Koreę Północną, ale nie zostało to do końca wyjaśnione. Policja prawdopodobnie ma też na oku Sakigake. Ale ponieważ chodzi o sektę religijną, nie mogą się bez powodu czepiać. Przeprowadzili już przecież rewizję na ich terenie i zasadniczo nie stwierdzili żadnych powiązań z tamtą strzelaniną. Jeszcze nie wiadomo, jak widzi to Sektor Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Oni zawsze zachowują całkowitą tajność i od dawna są w złych stosunkach z policją.

– A dowiedziałas się czegoś o dzieciach, które przestały chodzić do szkoły?

– Niestety, nie. Kiedy dzieci przestają chodzić do szkoły, pozostają za murem. Więc nie można się nijak dowiedzieć, jaki jest ich los. Gdyby pojawiły się jakieś dowody maltretowania, byłaby inna rozmowa, ale w tej chwili nic takiego nie ma.

– A ludzie, którzy opuścili Sakigake, nie mówią nic o tym, co się tam dzieje? Jest przecież chyba kilka osób, które się wycofały, bo były rozczarowane sektą albo zniechęcone surowymi praktykami.

– Oczywiście ludzie przychodzą i odchodzą. Jedni dołączają, a inni rozczarowani odchodzą. Zasadniczo wolno odejść. Oczywiście ci odchodzący nie dostają z powrotem ani grosza z wielkich sum, które przekazali jako „opłatę za wieczyste korzystanie z infrastruktury”, kiedy do sekty wstępowali. Ale jeśli się z tym pogodzą, mogą spokojnie odejść. Powstało stowarzyszenie byłych członków sekty, które twierdzi, że Sakigake jest antyspołecznym, niebezpiecznym kultem i uprawia oszukańczą działalność. Złożyli nawet sprawę w sądzie i wydają skromny biuletyn. Ale ich protesty prawie nigdzie nie docierają i nie mają praktycznie żadnego wpływu na opinię publiczną. Sakigake zatrudniła cały sztab wybitnych prawników, zorganizowała perfekcyjny system ochrony prawnej i żaden pozew sądowy nie robi na nich wrażenia.

– A ci, którzy odeszli z sekty, nie mówią nic ani o Liderze, ani o dzieciach wyznawców, które tam są?

– Nie czytałam tego biuletynu, więc nie bardzo wiem – powiedziała Ayumi. – Ale tak z grubsza sprawdziłam i okazało się, że ci wszyscy niezadowoleni to same pionki. Płatki. Choć Sakigake przechwala się tym, że odrzucają system wartości doczesnego świata, zbudowali tam rażąco klasową społeczność. Góra jest bardzo wyraźnie oddzielona od plebsu. Bez doskonałego wykształcenia i specjalistycznych umiejętności nie można nawet marzyć o dostaniu się do władz. Wskazówki Lidera bezpośrednio otrzymują tylko wierni z elity rządzącej. To oni mają dostęp do jądra systemu sekty. A większość, gdy już grzecznie podaruje sekcie pieniądze, pracowicie odbywa praktyki na świeżym powietrzu, oddaje się pracy na roli i pogrąża w medytacjach w *meditation room*. I tak upływają im całkowicie sterylne dni. Nie różnią się od stada owiec. Pasterz z psem rano wyprowadzają owieczki na pastwisko, a wieczorami zaganiają do owczarni. Jeden spokojny dzień nie różni się od drugiego. Czekają z upragnieniem chwili, gdy ich pozycja w stadzie będzie wyższa i będą

mogli wreszcie się spotkać z wielkim Big Brotherem. Ale taki dzień nigdy nie nadejdzie. Dlatego tacy zwykli wierni prawie nic nie wiedzą o wewnętrznym systemie działania sekty, a jeśli nawet z niej odejdą, nie mają dla opinii publicznej żadnych cennych informacji. Nigdy nawet nie widzieli swojego Lidera.

– A nie odchodzi z sekty nikt z elity?

– Z tego, co wiem, nie było takiego przypadku.

– Myślisz, że jeśli ktoś pozna już system działania sekty, nie pozwalają mu odejść?

– Może dochodzić do dość dramatycznych sytuacji – powiedziała Ayumi. Westchnęła krótko. – A jeśli chodzi o te gwałty dokonywane na dziewczynkach – na ile jesteś tego pewna?

– Jestem prawie pewna, ale na tym etapie jeszcze niczego nie da się udowodnić.

– I to się odbywa na terenie sekty? Regularnie?

– Tego też jeszcze nie wiadomo. Ale na pewno są ofiary. Poznałam jedną z nich. Jest w strasznym stanie.

– Skoro mówisz o gwałtach, to znaczy, że dochodzi do penetracji?

– Niewątpliwie.

Ayumi skrzywiła wargi i rozmyślała nad czymś.

– Dobrze. Postaram się po swojemu trochę w tym pogrzebać.

– Ale rozsądnie.

– Rozsądnie, rozsądnie – powiedziała Ayumi. – Może nie wyglądam, ale jestem z natury bardzo uważna.

* * *

Skończyły jeść, kelner zabrał talerze. Podziękowały za deser. Siedziały tylko przy kieliszku wina.

– Mówiłaś, że w dzieciństwie nigdy żaden facet się do ciebie nie dobiegał, prawda?

Aomame przyjrzała się Ayumi, a potem skinęła głową.

– Moja rodzina była bardzo religijna, nigdy nie było mowy o seksie. Wszyscy wokół byli tacy sami. Tematu seksu nie wolno było poruszać.

– Ale to, że się jest religijnym i to, że się ma silniejsze czy słabsze pożądanie, to dwie różne kwestie. Ogólnie wiadomo, że wśród duchownych jest wielu maniaków seksualnych. To prawda, że wśród osób zatrzymywanych przez policję za prostytutkę czy molestowanie seksualne jest wyjątkowo dużo ludzi związanych z religią i oświatą.

– Może i tak, ale przynajmniej w moim otoczeniu nie działo się nic takiego. Nie było też nikogo, kto robiłby coś dziwnego.

– To świetnie – powiedziała Ayumi. – Cieszę się, że to mówisz.

– A w twoim przypadku było inaczej?

Ayumi bez przekonania wzdryła ramionami. Potem powiedziała: – Prawdę mówiąc, do mnie się wiele razy dobierali. W dzieciństwie.

– Na przykład kto?

– Starszy brat i wujek.

Aomame nieco się skrzywiła.

– Starszy brat i krewny?

– Tak. Obaj są teraz policjantami w służbie czynnej. Wujek został nawet niedawno odznaczony jako wybitny pracownik. Trzydzieści lat służby, podobno bardzo się zasłużył w zapewnianiu bezpieczeństwa regionu i poprawie bezpieczeństwa publicznego. Uratował jakąś głupią sukę ze szczeniakami, która zabłądziła na przejeździe kolejowym. Nawet w gazetach o tym pisali.

– I co oni ci robili?

– Dotykali mnie tam, kazali sobie lizać fiutki.

Zmarszczki na skrzywionej twarzy Aomame się pogłębiły.

– Brat i wujek?

– Oczywiście nie obaj naraz. Miałam dziesięć lat, to brat miał wtedy chyba piętnaście. A wcześniej wujek. Ze dwa albo trzy razy, jak się u nas zatrzymał na noc.

– Mówiłaś o tym komuś?

Ayumi powoli potrząsnęła głową.

– Nie. Powiedzieli, że absolutnie nie wolno mi mówić, straszili, że jak się poskarżę, zrobią mi coś okropnego. A poza tym nawet bez straszenia zdawało mi się, że gdybym pisnęła słówko, mnie by się gorzej dostało niż im. Bałam się i nikomu nie powiedziałam.

– Mamie też nie?

– Szczególnie mamie. Zawsze faworyzowała brata, mną była rozczarowana. Byłam nieokrzesana, niezbyt ładna, gruba, nie mogłam się specjalnie pochwalić dobrymi stopniami. Mama chciała mieć córkę trochę innego typu. Taką jak laleczka, żeby chodziła na balet, smukłą i ładniutką. To był przypadek pobożnego życzenia.

– Dlatego nie chciałaś jej jeszcze bardziej rozczarować?

– O to chodzi. Zdawało mi się, że gdybym się poskarżyła i powiedziała, co brat mi robi, miałyby do mnie jeszcze większe pretensje, bardziej by mnie znienawidziła. Na pewno powiedziałyby, że to moja wina, że przeze mnie do czegoś takiego doszło. Wolałyby to niż zarzucenie czegokolwiek mojemu bratu.

Aomame wygładziła palcami obu rąk zmarszczki na twarzy. Kiedy mając dziesięć lat, oznajmiłam, że odrzucam wiarę, matka całkiem przestała się do mnie odzywać, pomyślała. Gdy musiała mi coś przekazać, pisała to na kartce. Ale nie odzywała się. Nie byłam już jej córką. Byłam jedynie kimś, kto wyrzekł się wiary. Wtedy odeszłam z domu.

– Ale nie było penetracji? – zapytała Aomame.

– Penetracji nie było. Czegoś tak bolesnego by mi nie zrobili. Aż tak daleko się nie

posunęli.

– Widujesz się jeszcze bratem i z tym wujkiem?

– Kiedy zaczęłam pracować, wyprowadziłam się z domu, więc teraz praktycznie ich nie widuję, no ale rodzina to rodzina, a poza tym mamy ten sam zawód, więc nie da się uniknąć spotkań. Wtedy jakoś tak z uśmiechem sobie radzę. Staram się nie pogarszać sytuacji. Oni pewnie nawet nie pamiętają, że to się w ogóle stało.

– Nie pamiętają?

– Oni potrafią o tym zapomnieć. Ale ja nigdy nie zapomnę.

– Oczywiście, że nie.

– Tak samo jak z największymi masowymi zbrodniami w historii.

– Jak z masowymi zbrodniami?

– Ci, którzy je popełniają, wymyślają jakieś powody i racjonalizują całą sprawę, potrafią też zapomnieć. Potrafią odwrócić wzrok od tego, czego nie chcą widzieć. Ale ci, którym to zrobiono, nie mogą zapomnieć. Nie mogą też odwrócić wzroku. Wspomnienia przechodzą z ojca na syna. Wiesz, świat to niekończąca się walka wspomnień jednej strony ze wspomnieniami strony przeciwnej.

– Rzeczywiście – powiedziała Aomame i lekko się skrzywiła. Niekończąca się walka wspomnień jednej strony ze wspomnieniami strony przeciwnej?

– Prawdę mówiąc, myślałam, że ty też mogłaś mieć takie doświadczenia.

– Dlaczego tak myślałaś?

– Nie bardzo umiem to wytłumaczyć, ale jakoś tak pomyślałam. Myślałam, że może dlatego co pewien czas używasz sobie z nieznanym mężczyzną przez jedną noc. A poza tym wyglądało na to, że robisz to z pewnym gniewem. Gniewem czy złością. Wyglądasz, jakbyś nie mogła jak zwyczajni ludzie, wiesz, znaleźć sobie chłopaka, chodzić na randki, na kolacje, i uprawiać seks tylko z tym jednym, jakby inna możliwość nie wchodziła w grę. No, w moim przypadku jest podobnie.

– Chodzi ci o to, że nie mogłam tego robić w zwykłej kolejności, tak jak normalni ludzie, przez to, że może w dzieciństwie ktoś się do mnie dobierał?

– Tak mi się wydawało – powiedziała Ayumi. Potem lekko wzruszyła ramionami. – Ze mną jest tak, że ja się boję mężczyzn. To znaczy boję się głębszego związku. Boję się bez zastrzeżeń zaakceptować drugą osobę. Na samą myśl kulę się ze strachu. Ale czasem samej jest mi ciężko. Chcę, że mnie ktoś wzięje w ramiona, żeby we mnie wszedł. Tak strasznie chcę, że nie mogę wytrzymać. A wtedy łatwiej jest być z kimś kompletnie nieznanym. O wiele.

– Boisz się?

– Uhm, myślę, że to gra dużą rolę.

– Sądzę, że nie boję się mężczyzn – powiedziała Aomame.

– A czy ty się w ogóle czegoś boisz?

– Oczywiście, że tak. Najbardziej boję się samej siebie. Tego, że nie wiem, co mogę

zrobić. Tego, że sama dobrze nie wiem, co robię teraz.

– A co robisz teraz?

Aomame przyglądała się przez chwilę trzymanemu w ręku kieliszkowi.

– Chciałabym to wiedzieć – powiedziała, podnosząc głowę. – Ale nie wiem. Nie jestem nawet pewna, gdzie, na jakim świecie i w którym roku żyję.

– Mamy rok tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty czwarty, a znajdujemy się w Tokio, w Japonii.

– Chciałabym móc to stwierdzić z taką pewnością jak ty.

– Dziwna jesteś – zaśmiała się Ayumi. – To są rzeczy oczywiste, więc nie ma się co do czego upewniać ani nie ma co stwierdzać.

– Na razie jeszcze nie mogę tego dobrze wyjaśnić, ale dla mnie to nie jest oczywiste.

– Aha – powiedziała z podziwem Ayumi. – Ja nie bardzo rozumiem taką sytuację czy taki sposób odczuwania, no ale wszystko jedno co to za rok i co to za miejsce, ważne, że masz kogoś, kogo głęboko kochasz. Z mojego punktu widzenia należy ci tego strasznie zazdrościć. Ja nie mam nikogo takiego.

Aomame odstawiła kieliszek na stolik. Delikatnie wytarła usta serwetką. Potem powiedziała: – Może i masz rację. Wszystko jedno co to za rok i co to za miejsce, bez względu na to chcę się z nim spotkać. Do szaleństwa tego chcę. Wydaje się, że to jedyna rzecz, której jestem pewna. Tylko to mogę z przekonaniem powiedzieć.

– Jak chcesz, mogę sprawdzić w danych policyjnych. Jeśli mi podasz potrzebne informacje, być może dowiem się, gdzie ten człowiek jest i co robi.

Aomame potrząsnęła głową.

– Nie szukaj go. Proszę cię. Chyba wcześniej ci mówiłam, że gdzieś kiedyś jakoś go spotkam. Przypadkiem. Czekam spokojnie na tę chwilę.

– To jak miłosna saga – powiedziała Ayumi z podziwem. – Lubię takie rzeczy. Aż dreszcz mnie przechodzi.

– Ale trudno jest żyć w takiej powieści.

– Wiem, że trudno – odparła Ayumi i lekko przycisnęła palcami skronie. – Ale mimo że masz ukochanego, nabierasz czasem ochoty na seks z przypadkowymi facetami?

Aomame lekko postukała paznokciem o krawędź kieliszka z cienkiego szkła.

– Jest mi to potrzebne. Jako człowiek z krwi i kości muszę zachowywać równowagę.

– Ale czy przez to nie tracisz miłości, którą w sobie nosisz?

– Moje uczucie przypomina młynki modlitewne w Tybecie. Kiedy obracasz młynkiem, wartości i uczucia znajdujące się na zewnątrz unoszą się i opadają. Jaśnieją i zatapiają się w mroku. Ale prawdziwa miłość przyczepiona do osi młynka się nie porusza.

– Ślicznie to ujęłaś – powiedziała Ayumi. – Jak tybetański młynek modlitewny... – Dopła pozostałe w kieliszku wino.

* * *

Dwa dni później wieczorem zadzwonił Tamaru. Jak zawsze bez żadnych powitań przeszedł od razu do spraw służbowych.

– Masz czas jutro po południu?

– Jutro po południu nie mam żadnych planów, więc mogę przyjść o dowolnej porze.

– Może być o pół do piątej?

Aomame powiedziała, że może być.

– Świetnie – odparł Tamaru. Słysząc było, jak wpisuje coś – pewnie w kalendarz – mocno przyciskając długopis.

– A jak się ma mała Tsubasa? – zapytała Aomame.

– A, myślę, że nieźle. Madame codziennie tam chodzi i zajmuje się nią. Dziecko chyba ją polubiło.

– To dobrze.

– Tak, ale wydarzyło się również coś mało ciekawego.

– Coś mało ciekawego? – zapytała Aomame. Wiedziała, że jeśli Tamaru mówił o czymś mało ciekawym, musiało to być coś strasznie nieciekawego.

– Pies zdechł – powiedział Tamaru.

– Pies? Chodzi ci o Buna?!

– Tak. O tego dziwnego owczarka niemieckiego, który lubił szpinak. Zdechł dzisiaj w nocy.

Aomame zaskoczyły te słowa. Pies miał dopiero pięć albo sześć lat. Psy nie zdychają w tym wieku.

– Kiedy go ostatnim razem widziałam, wydawał się zdrow.

– Nie zdechł z powodu choroby – powiedział Tamaru drewnianym głosem. – Rano był w kawałkach.

– W kawałkach?

– Jakby się rozerwał, wnętrzności rozprysnęły się na wszystkie strony. Dokładnie wszędzie. Trzeba było chodzić z papierowymi ręcznikami i zbierać kawałki. Zupełnie jakby psa wyrzuciło na drugą stronę. Jakby ktoś umieścił mu w żołądku małą bombę o dużej mocy.

– Biedactwo.

– W sprawie psa nic się nie poradzi – powiedział Tamaru. – Co umarło, już nie odżyje. Znajdę innego psa do pilnowania. Mnie raczej martwi to, co tam się mogło stać. Zwykłemu człowiekowi by się to nie udało. Na przykład, jak włożyć psu do brzucha silną bombę? Przecież już na sam widok nieznanego ten pies szczekał tak, że w piekle było słycać. Nielatwo było tę akcję przeprowadzić.

– Rzeczywiście – powiedziała Aomame bezdźwięcznie.

– Kobiety w schronisku doznały szoku i są przerażone. Ta, która była odpowiedzialna za

karmienie psa, znalazła go rano. Zwymiotowała, a potem wezwała mnie telefonicznie. Zapytałem ją, czy w nocy zdarzyło się coś podejrzanego. Podobno nic. Nikt nawet nie słyszał wybuchu. A przecież od takiego sakramenckiego huku wszyscy powinni byli się obudzić. Szczególnie one, które żyją w ciągłym strachu. To znaczy, że to był bezgłośny wybuch. Nikt też nie słyszał szczekania. Wyjątkowo spokojna noc. Ale rano pies był dosłownie wywrócony na drugą stronę. Świeże wnętrzności rozprysnięte dookoła, okoliczne kruki od rana się cieszyły. Ale mnie to się nie podoba.

– Dzieje się coś dziwnego.

– Niewątpliwie – powiedział Tamaru. – Dzieje się coś dziwnego. I jeśli nie myli mnie przecucie, to dopiero początek.

– Zawiadomiłeś policję?

– Chyba żartujesz – Tamara parsknęła szyderczo. – Policja na nic się nie zda. Zrobią nie to, co trzeba, nie tam, gdzie trzeba. Będzie jeszcze większe zamieszanie.

– A co na to mówi madame?

– Nic nie mówi. Wysłuchiła mojej relacji i skinęła tylko głową – powiedział Tamara. – To ja jestem odpowiedzialny za bezpieczeństwo i ja się tym wszystkim zajmę. Od początku do końca. Bo przecież to moja praca.

Przez chwilę trwało milczenie. Ciężkie milczenie, które towarzyszy odpowiedzialności.

– Jutro o pół do piątej – powiedziała Aomame.

– Jutro o pół do piątej – powtórzył Tamara. I cicho odłożył słuchawkę.

Rozdział dwudziesty czwarty – Tengo

Jakie znaczenie mają rzeczy nie z tego świata

W czwartek od rana padał deszcz. Niezbyt gwałtowny, ale przeraźliwie uparty. Zaczął padać w południe poprzedniego dnia i przez cały czas ani na chwilę nie przestał. Kiedy zdawało się, że za chwilę ustanie, znów przybierał na sile, jakby sobie coś przypomniał. Minęła już połowa lipca, lecz nic nie wskazywało na to, że zbliża się koniec pory deszczowej. Niebo było ciemne, jakby ktoś położył na nim jakąś pokrywę, cały świat przesycony był ciężką wilgocią. Kiedy rano w czapce i płaszczu przeciwdeszczowym Tengo wybierał się niedaleko po zakupy, zauważył w skrzynce grubą brązową bąbelkową kopertę. Nie było na niej stempla ani znaczka. Brakowało też adresu. I nazwiska nadawcy. Na środku ktoś napisał tylko długopisem drobnymi literami „Tengo”. Litery sprawiały wrażenie wrytych gwoździem w twardej glinie. Wyglądało to zdecydowanie na pismo Fukaeri. Kiedy otworzył kopertę, w środku ukazała się bardzo zwyczajnie wyglądająca sześćdziesięciminutowa kasetka magnetofonowa TDK. Żadnego listu ani kartki. Taśma nie miała opakowania ani żadnej naklejki z tytułem.

Tengo wahał się przez chwilę, lecz postanowił zrezygnować z zakupów, wrócić do domu i posłuchać kasetę. Podniósł ją w górę i kilka razy potrząsnął. Choć miała w sobie coś tajemniczego, była zwyczajnym masowo produkowanym artykułem. Miał nadzieję, że nie wybuchnie, kiedy włoży ją do magnetofonu i zacznie odtwarzać.

Zdjął płaszcz, postawił na kuchennym stole radiomagnetofon. Wyjął kasetę z koperty i wsunął do odtwarzacza. Przygotował notes i długopis na wypadek, gdyby musiał coś zapisać. Rozejrzał się, upewniając się, że nikogo wokoło nie ma, i nacisnął guzik odtwarzania.

Na początku nie dobiegały żadne dźwięki. Przez pewien czas taśma przewijała się, trwała cisza. Tengo zaczął podejrzewać, że to nienagrana kasetka, gdy nagle usłyszał jakieś odgłosy w tle. Jakby ktoś przesunął krzesło. Rozległo się też lekkie kasznięcie (chyba). Potem nagle odezwała się Fukaeri.

– tengo – powiedziała, jakby testowała mikrofon. O ile pamiętał, po raz pierwszy zwróciła się do niego po imieniu.

Jeszcze raz odkasznęła. Wydawała się trochę stremowana.

lepiej byłoby napisać list ale nie bardzo umiem więc nagrywam na taśmę tak mi łatwiej mówić niż przez telefon poza tym telefon może być podsłuchany niech pan poczeka napiję się wody

Słysząc było, jak Fukaeri podnosi szklanę, wypija łyk i odstawia szklanę na stolik (prawdopodobnie). Jej charakterystyczny sposób mówienia pozbawiony akcentów, znaków przestankowych i pytańników, kiedy został nagrany na taśmę, zdawał się jeszcze bardziej niezwykły niż w bezpośredniej rozmowie. Można go było nieomal nazwać nierzeczywistym. Ale przynajmniej na taśmie, w odróżnieniu od rozmowy, wypowiadała jedno po drugim kilka zdań.

słyszałam że nikt nie wie gdzie jestem może się pan martwi ale w porządku w tej chwili nic mi nie grozi chciałam to panu powiedzieć chociaż nie powinnam ale pomyślałam że lepiej pana zawiadomić

(10 sekund ciszy)

powiedziano mi żeby nikomu nie mówić że tu jestem profesor zawiadomił policję o moim zniknięciu ale policja nic nie robi bo często się zdarza że dzieci uciekają z domu dlatego ja przez pewien czas tu zostanę

(15 sekund ciszy)

to miejsce jest oddalone więc jeśli tylko nie będę chodziła po okolicy nikt mnie nie znajdzie bardzo oddalone azami dostarczy tę taśmę lepiej nie wysyłać pocztą trzeba być bardzo ostrożnym niech pan poczeka sprawdzę czy się nagrywa

(rozlega się szczeł, potem przerwa, znowu mówi)

w porządku nagrywa się

Słysząc, jak w oddali krzyczą dzieci. Dobiega też cichy dźwięk muzyki. Pewnie wpada przez otwarte okno. Może w pobliżu jest przedszkole.

dziękuję że mi się pan wtedy pozwolił zatrzymać na noc to było potrzebne potrzebne było też żeby pan poznała dziękuję że pan mi czytał książkę zainteresowali mnie gilacy dlaczego nie chodzą szeroką drogą tylko przez leśne moczary (Tengo dostawił tu lekko znak zapytania) mimo że droga jest wygodniejsza gilakom łatwiej iść oddalonym od drogi lasem żeby iść drogą musieliby od początku stworzyć chodzenie a gdyby od początku stworzyli chodzenie musieliby też od początku stworzyć inne rzeczy ja nie mogłabym żyć jak gilacy nie chciałabym też żeby mężczyźni mnie bez przerwy tłukli ani nie podoba mi się życie w brudzie z mnóstwem robaków ale ja też nie bardzo lubię chodzić szeroką drogą napiję się

jeszcze wody

Fukaeri znowu napiła się wody. Była krótka przerwa, odstawiana szklanka stuknęła o stół. Potem przez chwilę wycierała palcami usta. Może ona nie wie, że magnetofon ma guzik „Pause”?

może moje zniknięcie zrobi panu kłopot ale ja nie chcę być powieściopisarką i nie mam zamiaru nic więcej pisać poprosiłam azami żeby poszukała więcej wiadomości o gilakach poszła do biblioteki i szukała mieszkają na sachalinie i tak samo jak ajnowie i amerykańscy indianie nie mają pisma nie zostawiają pisanych śladów ja tak samo kiedy coś się zmienia w słowa pisane przestaje być moją opowieścią pan to dobrze zamienił na litery myślę że nikt by tak jak pan nie umiał ale to już nie jest moja opowieść proszę się nie martwić to nie pana wina bo ja po prostu idę w oddaleniu od szerokiej drogi

Tu znowu Fukaeri zrobiła przerwę. Tengo wyobraził sobie, jak dziewczyna idzie w milczeniu w oddaleniu do szerokiej drogi.

profesor ma wielką moc i głęboką wiedzę ale little people mu dorównują głęboką wiedzą i wielką siłą trzeba uważać w lesie ważne rzeczy są w lesie a w lesie są little people żeby little people nie zrobili krzywdy trzeba znaleźć to czego nie mają wtedy można będzie bezpiecznie wyjść z lasu

Powiedziała to wszystko nieomal jednym tchem, potem wzięła głęboki oddech. Ponieważ nie odwróciła się od mikrofonu, nagrał się dźwięk przypominający nagły powiew wiatru między budynkami. Kiedy ucichł, dobiegł skądś odgłos klaksonu samochodowego. Głęboki charakterystyczny klakson wielkiej ciężarówki przypominający syrenę okrętową we mgle. Zabrzmiało krótko dwa razy. Zdawało się, że Fukaeri musi być niedaleko jakiejś przelotowej drogi.

(chrząknięcie) zachryłam dziękuję że się pan o mnie martwi dziękuję że się panu podoba kształt moich piersi że pozwolił mi pan u siebie zanoć że pożyczył mi pan piżamę teraz może przez pewien czas się nie zobaczymy może little people się rozgniewali że o nich napisałam ale nie musi się pan martwić ja przywykłam do lasu do widzenia

Na tym nagraniu się skończyło. Tengo wcisnął guzik, zatrzymał taśmę i cofnął do początku. Wsłuchując się w deszcz skapujący z dachu, zrobił kilka głębokich oddechów i

obrócił w palcach plastikowy długopis. Potem odłożył go na stół. W końcu niczego nie zanotował. Wsłuchiwał się tylko w charakterystyczny sposób mówienia Fukaeri. Lecz główne punkty, które chciała przekazać, były tak jasne, że nie było potrzeby ich notować.

1) Nie została porwana, tylko na pewien czas gdzieś się ukryła. Nie ma się czym martwić.

2) Nie zamierza pisać więcej książek. Jej historia ma być opowiadana, nie nadaje się do zapisania.

3) Little People mają wiedzę i moc nieustępujące profesorowi Ebisuno. Należy uważać.

Chciała przekazać te trzy rzeczy. Poza tym mówiła o Gilakach. Ludziach, którzy muszą chodzić z dala od szerokiej drogi.

Tengo poszedł do kuchni i zrobił kawę. Pijąc, wpatrywał się tępo w taśmę magnetofonową. Następnie jeszcze raz przesłuchał ją od początku. Tym razem na wszelki wypadek co pewien czas zatrzymywał nagranie i notował najważniejsze punkty. Na koniec przejrzał swoje zapiski. Żadnych nowych odkryć.

Czy Fukaeri zrobiła sobie krótką notatkę i korzystała z niej, mówiąc? Tengo doszedł do wniosku, że to nie w jej stylu. Na pewno mówiła do mikrofonu w rzeczywistym czasie (nie przyciskając „Pause”) to, co jej przychodziło do głowy.

Gdzie ona może być? Odgłosy w tle nagrania nie dostarczyły zbyt wielu wskazówek. W oddali zatrzasujące się drzwi. Krzyki dzieci dobiegające chyba zza otwartego okna. Przedszkole? Klakson wielkiej ciężarówki. Nie wyglądało bynajmniej na to, że jest w głębi wielkiego lasu. Zdawało się, że to raczej jakaś część miasta. Musiało pewnie być zaraz przed południem albo wczesne popołudnie. Odgłos zamykanych drzwi sugerował, że być może nie jest sama.

Jasne było to, że ukrywa się tam z własnej woli. Taśma nie została nagrana pod przymusem. Można to było poznać po tonie jej głosu i sposobie mówienia. Na początku wyczuwało się pewne napięcie. Lecz później mówiła do mikrofonu swobodnie, co przychodziło jej na myśl.

**profesor ma wielką moc i głęboką wiedzę ale little people mu dorównują
głęboką wiedzą i wielką siłą trzeba uważać w lesie ważne rzeczy są w lesie a w
lesie są little people żeby little people nie zrobili krzywdy trzeba znaleźć to czego
nie mają wtedy można będzie bezpiecznie wyjść z lasu**

Tengo jeszcze raz odtworzył ten fragment. Fukaeri mówiła tutaj trochę szybciej. Przerwy między zdaniem były nieco krótsze. Little People byli w stanie zaszkodzić jemu i profesorowi Ebisuno. Lecz z tonu Fukaeri nie mógł wywnioskować, że Little People są źli. Sądząc z tego, co mówiła, byli raczej neutralni i mogli stanąć po obu stronach. Niepokoił go jeszcze jeden fragment.

może little people się rozgniewali że o nich napisałam

Jeśli tak naprawdę jest, to ich gniew dosięgnie także Tengo. Był przecież jednym z winowajców. To on ujawnił światu istnienie Little People. Na pewno by nie słuchali, nawet gdyby się usprawiedliwiał i przekonywał, że nie miał złych zamiarów.

Jaką krzywdę mogą robić ludziom Little People? Tego Tengo nie wiedział. Ponownie przewinął taśmę do początku, wsunął do koperty i schował do szuflady. Włożył z powrotem płaszcz, czapkę i poszedł w nieprzerwanie padającym deszczu po zakupy.

* * *

Tego wieczoru po dziewiątej zadzwonił Komatsu. Tengo, jak zawsze, wiedział, że to Komatsu, zanim podniósł słuchawkę. Leżał już w łóżku i czytał książkę. Po trzech dzwonekch powoli wstał i odebrał telefon przy kuchennym stole.

– Cześć, Tengo – powiedział Komatsu. – Piłeś coś?

– Nie, jestem trzeźwy.

– Jak usłyszysz, co ci powiem, to może będziesz chciał się napić – powiedział Komatsu.

– To najpewniej przyjemna wiadomość.

– Sam nie wiem. Myślę, że nie bardzo przyjemna. Może ma w sobie nieco wisielczego humoru.

– Jak opowiadania Czechowa.

– Zgadza się. Jak opowiadania Czechowa. Doskonale to ująłeś. Zawsze wypowiadasz się zwięźle i trafiasz w sedno.

Tengo milczał. Komatsu ciągnął dalej: – Mamy drobny kłopot. Po zgłoszeniu zaginięcia Fukaeri przez profesora Ebisuno policja rozpoczęła oficjalne poszukiwania. No, co prawda to policja, więc pewnie nie włożą w te poszukiwania zbyt wiele serca. Nikt przecież nie domaga się za nią okupu. Gdyby tego w ogóle nie ruszyli, a coś by się stało, byłaby głupia sprawa, więc na wszelki wypadek na pokaz coś tam robią. Ale media tak tego nie zostawią. Do mnie też już z kilku gazet dzwonili z pytaniami. Oczywiście przyjmuję postawę, że „ja nic nie wiem”. No bo przecież teraz nie ma o czym mówić. Ta banda już na pewno doszukała się związku między Fukaeri a profesorem Ebisuno i odgrzebała rewolucyjną przeszłość jej rodziców. Tego typu fakty stopniowo staną się ogólnie znane. Problem tkwi w tygodnikach. Wszelcy pismacy i dziennikarze jak tylko pocują krew, będą krążyć jak rekiny. Wszyscy są w tym dobrzy, jak się do czegoś dorwą, nie popuszczą. Bo w końcu z tego żyją. Nie ma mowy o ochronie czyjejś prywatności czy zachowaniu umiaru. Mimo że też zajmują się pisaniem, bardzo się różnią od spokojnego młodego literata, takiego jak ty.

– Chodzi o to, że ja też mam uważać?

– O to chodzi. Lepiej się psychicznie nastawić i przygotować na atak. Bo nie wiadomo, co i gdzie wywają.

Tengo wyobraził sobie małą łódkę otoczoną stadem rekinów. Lecz wyglądało to jedynie jak dowcip rysunkowy bez dowcipnego podpisu. „Trzeba znaleźć to, czego Little People nie mają”, powiedziała Fukaeri. Co to może być takiego?

– Ale proszę pana, przecież profesor Ebisuno musiał od początku liczyć się z tym, że dojdzie do takiej sytuacji?

– Może i tak. To by znaczyło, że zostaliśmy elegancko wykorzystani. Ale do pewnego stopnia od początku wiedzieliśmy, co zamierza. Bo profesor bynajmniej nie ukrywał swoich planów. Więc w tym sensie to była, powiedzmy, sprawiedliwa wymiana. My też mogliśmy odmówić, powiedzieć: „Panie profesorze, to odpada. Nie możemy się na to zgodzić”. Porządny redaktor niewątpliwie tak by zrobił. Ale mnie, jak sam wiesz, nie da się nazwać porządnym redaktorem. Wtedy już sprawa się toczyła, mnie też na tym zależało. I przez to odrobinę straciłem czujność, pozwoliłem na atak z boku.

W słuchawce zapadła cisza. Krótka, lecz znacząca. Tengo odezwał się: – Innymi słowy w pewnej chwili profesor Ebisuno przejął kontrolę nad pana planem.

– Można i tak powiedzieć. To znaczy, że jego interes okazał się ważniejszy.

– Myśli pan, że profesor Ebisuno zdoła uciszyć ten szum?

– On oczywiście jest przekonany, że zdoła. Bo to inteligentny i pewny siebie człowiek. I może rzeczywiście wszystko dobrze pójdzie. Ale jeżeli tym razem szum okaże się znacznie większy, wszystko może wymknąć się spod kontroli. Nawet wybitne jednostki mają jednak ograniczone możliwości. Dlatego lepiej dobrze zapiąć pasy.

– Proszę pana, w spadającym samolocie porządne zapięcie pasów nic nie da, nawet jeśli się siedzi razem.

– Ale człowiek czuje się pewniej.

Tengo mimowolnie się uśmiechnął. Choć byt to uśmiech bezsilny.

– To jest właśnie to, co pan miał mi powiedzieć? Coś, to nie jest przyjemne, ale może ma w sobie nieco wisielczego humoru?

– Przepraszam, że cię w coś takiego wplątałem. Naprawdę mi przykro – powiedział Komatsu pozbawionym wyrazu głosem.

– Proszę się mną nie przejmować. Nie mam nic do stracenia. Nie mam rodziny, nie mam wysokiej pozycji społecznej, nie mam nawet szczególnej przyszłości przed sobą. Ja się raczej martwię o Fukaeri. Przecież ona ma dopiero siedemnaście lat.

– Mnie też to, oczywiście, martwi. Musi mnie martwić. Ale wiesz, Tengo, z tego, że będziemy tu sobie to na wszystkie strony rozważać, nic nie wyniknie. Na razie zastanówmy się, jak wyczuć, skąd wieje wiatr i gdzie się mocno zakotwiczyć, żeby nas nie porwał. Pewnie lepiej przez pewien czas uważnie czytać gazety.

– Ostatnio staram się czytać je codziennie.

– To dobrze – powiedział Komatsu. – À propos, nie domyślasz się, gdzie może być Fukaei? Nic ci nie świta w głowie?

– Nic – odparł Tengo. Nie bardzo umiał kłamać. A Komatsu miał doskonałe wyczucie. Ale chyba nie zauważył lekkiego drżenia głosu Tengo. Pewnie myślał głównie o sobie.

– A jak coś się będzie działo, dam ci znać – zakończył Komatsu.

Po odłożeniu słuchawki Tengo od razu wyjął szklaneczkę i nalał sobie dwa centymetry bourbona. Tak jak powiedział Komatsu, po tej rozmowie musiał się napić.

* * *

W piątek jak zwykle przyszła do niego kochanka. Deszcz przestał padać, ale niebo nadal pokrywała jednolita warstwa szarych chmur. Zjedli lekki posiłek i poszli do łóżka. Podczas seksu Tengo myślał ciągle o różnych oderwanych od siebie rzeczach, ale to nie zepsuło mu przyjemności cielesnej. Ona jak zwykle zręcznie wydobyła z niego zgromadzone przez tydzień pożądanie i energicznie sobie z nim poradziła. Sama też zaznała przy tym wystarczającej satysfakcji. Takiej doznaje zapewne zdolny doradca podatkowy, znajdując głęboką radość w skomplikowanych operacjach na liczbach z ksiąg rachunkowych. Mimo to dostrzegła, że myśli Tengo zaprzęta coś innego.

– Ostatnio dość szybko ubywa whisky – powiedziała. Jej ręka, jakby delektując się echem seksu, leżała na potężnej piersi Tengo. Na serdecznym palcu miała niewielką, lecz bardzo lśniąca diamentami obrączkę. Mówiła o butelce Wild Turkey, która od dawna stała na półce nieruszana. Jak często bywa w przypadku kobiet w średnim wieku mających romanse z młodszymi mężczyznami, zauważała różne drobne zmiany wokoło.

– Ostatnio często budzę się w środku nocy – powiedział Tengo.

– Nie jesteś chyba zakochany?

Tengo potrząsnął głową.

– Nie jestem zakochany.

– Praca ci nie idzie?

– Praca w tej chwili idzie gładko do przodu. Przynajmniej dokąds się posuwa.

– A mimo to coś ci nie daje spokoju.

– Sam nie wiem. Po prostu jakoś nie mogę spać. Zwykle mi się to nie zdarza. Jak już usnę, to śpię głęboko.

– Biedny Tengo – powiedziała i zaczęła delikatnie masować jego jądra dłonią bez obrączki. – A masz nieprzyjemne sny?

– Prawie nie mam snów – powiedział Tengo. Rzeczywiście tak było.

– A ja często mam sny. I to samo mi się śni wiele razy. We śnie myślę sobie, że „już mi się to kiedyś śniło”. Nie uważasz, że to dziwne?

– Na przykład co ci się śni?

– Na przykład, hm... mam sen o chatce w głębi lasu.

– O chatce w głębi lasu – powtórzył Tengo. Pomyślał o ludziach w lesie. O Gilakach, Little People i o Fukaeri. – Co to za chatka?

– Naprawdę chcesz wiedzieć? Nie nudzi cię słuchanie o snach innych?

– Nie, wcale nie. Jeśli możesz, to opowiedz – poprosił Tengo szczerze.

– Idę sama przez las. Nie jest to taki złowieszczy głęboki las, jak ten, w którym zabłądzili Jaś i Małgosia. Las kwalifikujący się do kategorii wagi lekkiej. Jest wczesne popołudnie, ciepło, przyjemnie, idę sobie swobodnie. I dochodzę do małego domku. Ma komin i niewielką werandę. W oknach kraciaste firanki. Krótka mówiąc, wygląda bardzo przyjaźnie. Pukam do drzwi i mówię: „Dzień dobry”. Ale nikt nie odpowiada. Pukam jeszcze raz mocniej i drzwi się same otwierają. Musiały być otwarte. Wchodzę do środka. „Dzień dobry?! Jest tam kto? Wchodzę do środka”, mówię. – Delikatnie głaszcząc jądra Tengo, spojrzała na niego. – Wiesz, o jaką atmosferę mi chodzi?

– Wiem.

– To mała chatka z jedną izbą. Bardzo prosto zbudowana. Jest mała kuchenka, łóżko, kącik jadalny. Pośrodku piec, w którym pali się drewnem, na nakrytym na czworo stole pięknie przygotowany posiłek. Znad talerzy unosi się biała para. Ale w domu nikogo nie ma. Zdaje się, jakby podano do stołu i rodzina właśnie miała siadać, kiedy stało się coś niezwykłego. Na przykład pojawił się jakiś potwór i wszyscy w pośpiechu uciekli. Ale krzesła nie są poodsuwane. Wszystko jest spokojne i zadziwiająco normalne. Tylko nikogo nie ma.

– A jakie potrawy są na stole?

Kobieta przechyliła głowę.

– Nie mogę sobie przypomnieć. Co to mogły być za potrawy? Ale problem nie tkwi w rodzaju potraw, a w tym, że były świeżo zrobione, gorące. Tak czy inaczej, siadam na krześle i czekam, aż wróci mieszkająca tam rodzina. Muszę czekać na ich powrót. Nie wiem dlaczego, ale muszę. Przecież to w końcu sen, więc nie wszystkie okoliczności są jasne. Pewnie chcę zapytać o drogę powrotną albo czegoś potrzebuję, no coś w tym rodzaju. W każdym razie spokojnie czekam na ich powrót. Lecz choć długo czekam, nikt nie wraca. Potrawy nadal parują. Na ich widok robię się strasznie głodna. No ale choćbym była bardzo głodna, nie mogę sobie po prostu zjeść tego, co jest na stole, jeśli nie ma domowników. Nie sądzisz?

– Sądzę, że sądzę – powiedział Tengo. – Nie jestem całkiem pewny, bo to się dzieje we śnie.

– No ale kiedy tak czekam, zapada zmrok. W chatce się ściemnia. Las wokół staje się coraz gęstszy. Chcę zapalić światło, ale nie wiem jak. Stopniowo ogarnia mnie niepokój. I nagle coś zauważam. O dziwo znad potraw ciągle tak samo unosi się para. Choć minęło tyle godzin, jedzenie jest wciąż gorące. Zaczynam myśleć, że to dziwna sprawa. Coś jest nie tak. I na tym sen się kończy.

– Więc nie wiesz, co się dzieje potem?

– Myślę, że na pewno coś się potem dzieje. Zapada zmrok, nie znam drogi, jestem zupełnie sama w tej dziwnej chatce. Coś musi się zdarzyć. Mam wrażenie, że to coś niezbyt pomyślnego. Ale sen zawsze na tym się kończy. I śnił mi się wiele, wiele razy.

Przestała głaskać jądra Tengo, przycisnęła policzek do jego piersi.

– Może ten sen coś oznacza?

– Na przykład co?

Nie odpowiedziała na jego pytanie, lecz zadała mu inne: – Tengo, chcesz wiedzieć, co jest w tym śnie najbardziej przerażające?

– Chcę.

Kobieta powoli wypuściła powietrze. Owionęło jego sutki jak gorący wiatr dmący przez wąską cieśninę.

– To, że być może ja jestem tym potworem. Pewnego razu przysła mi do głowy taka myśl. Że może właśnie ci ludzie, widząc, jak się zbliżam, pospiesznie przerwali posiłek i uciekli z domu. A ja nieświadoma niczego siedzę w ich chatce i czekam, aż wrócą. Kiedy tak myślę, ogarnia mnie strach. Bo może nie ma już dla mnie ratunku.

– A może – powiedział Tengo – to jest twój własny dom i czekasz na samą siebie, która uciekła.

Kiedy to powiedział, uświadomił sobie, że pewnie lepiej było nic nie mówić. Ale nie można cofnąć wypowiedzianych słów. Kobieta długo milczała. Potem silnie ścisnęła jego jądra. Tak mocno, że dech mu zaparło.

– Dlaczego mówisz takie straszne rzeczy?

– To coś bez znaczenia. Tak mi tylko przyszło do głowy – wydusił z trudem Tengo.

Kobieta rozluźniła palce i westchnęła. Potem powiedziała: – To teraz ty mi opowiedz o swoich snach. O tym, co ci się śni.

Tengo, odzyskawszy w końcu normalny oddech, odparł: – Tak jak ci wcześniej mówiłem, ja prawie nie mam snów. Szczególnie ostatnio.

– Trochę musisz mieć. Nie ma na świecie nikogo, komu się zupełnie nic nie śni. Jak będziesz mówił takie rzeczy, profesor Freud się pogniewa.

– Może i coś mi się śni, ale kiedy się budzę, prawie nic nie pamiętam. Nawet jeśli wiem, że miałem sen, zupełnie nie mogę sobie przypomnieć o czym.

Położyła sobie na dłoni zwiotczały penis Tengo i starannie zważyła. Zupełnie jakby jego waga świadczyła o jakimś ważnym fakcie.

– No to nie musisz mówić o snach. Zamiast tego opowiedz mi o powieści, którą teraz piszesz.

– Jeśli można, wolałbym nie mówić o powieści, którą teraz piszę.

– Słuchaj, ja cię nie proszę, żebyś mi opowiadał od początku całą fabułę. Aż tyle nie wymagam. Bo dobrze wiem, że choć z ciebie kawał byka, jesteś wrażliwym młodzianem.

Opowiedz mi tylko troszkę, może być coś o etapie przygotowań albo jakiś poboczny wątek. Chcę, żebyś mi wyjawiał coś, czego nie wie jeszcze nikt na całym świecie. Powiedziałeś o mnie coś strasznego, więc chcę, żebyś mi to wynagrodził. Rozumiesz, o czym mówię?

– Myślę, że rozumiem – odparł Tengo niepewnie.

– No to opowiedz.

Tengo zaczął mówić, a jego penis ciągle leżał na jej dłoni.

– To jest historia o mnie. Albo o kimś wzorowanym na mnie.

– Pewnie tak – powiedziała kobieta. – A czy ja się tam pojawiaam?

– Nie. Ja jestem w innym świecie, nietutejszym.

– I w tym nietutejszym świecie mnie nie ma.

– Nie tylko ciebie nie ma. Ludzi, którzy są na tym świecie, nie ma w tym nietutejszym.

– A czym się różnią te dwa światy? Czy człowiek wie, w którym się znajduje?

– Ja wiem. Bo to ja piszę.

– Ja pytam o innych ludzi, poza tobą. Gdybym na przykład ja jakimś przypadkiem zaplątała się w tamtym świecie.

– Myślę, że potrafiłabyś odróżnić. Na przykład w nietutejszym świecie są dwa księżyce. Więc w ten sposób można te światy odróżnić.

Pomysł dwóch księżyców unoszących się na niebie zapożyczył z *Powietrznej poczwarki*. Starał się napisać dłuższą i bardziej skomplikowaną historię na temat tamtego świata – historię o sobie samym. Może to, że posłużył się tym samym tłem, stanie się w przyszłości problemem. Ale w tej chwili za wszelką cenę chciał napisać powieść o świecie z dwoma księżycami. Nad resztą pomyśli później.

Kobieta powiedziała: – To znaczy, że jeśli wieczorem spojrzę na niebo i zobaczę na nim dwa księżyce, zorientuję się i powiem: „Aha, to jest nietutejszy świat”?

– Tak, to będzie znak.

– Czy te księżyce czasem się na siebie nakładają? – zapytała.

Tengo potrząsnął głową.

– Nie wiem, dlaczego tak jest, ale odległość między nimi jest ciągle taka sama.

Kobieta rozmyślała przez chwilę nad tamtym światem. Jej palce rysowały na nagiej piersi Tengo jakieś kształty.

– Słuchaj, wiesz, czym się różnią angielskie słowa *lunatic* i *insane*? – zapytała.

– Oba są przymiotnikami oznaczającymi, że ktoś psychicznie odbiega od normy. Ale nie wiem dokładnie, czym się różnią.

– *Insane* to ktoś, kto prawdopodobnie od urodzenia ma coś nie tak z głową. Wskazane jest leczenie specjalistyczne. W przeciwieństwie do tego *lunatic* to ktoś, komu na pewien czas księżyc, czyli *luna*, odebrał rozum. W dziewiętnastowiecznej Anglii ludziom, którzy popełnili przestępstwa, a uznano ich za lunatyków, redukowano o stopień karę. Bo uważano, że to nie ich wina. Że to światło księżyca pomieszało im w głowie. Trudno w to uwierzyć, ale takie

prawo naprawdę istniało. To znaczy fakt, że księżyc może ludziom pomieszać rozum, został uznany przez prawo.

– Skąd wiesz takie rzeczy? – zapytał Tengo zaskoczony.

– Nie musisz się tak dziwić. Żyję o dziesięć lat dłużej od ciebie. Dlatego nic w tym dziwnego, że wiem więcej niż ty.

Rzeczywiście, ma rację, przyznał w duchu Tengo.

– Ale jeśli koniecznie musisz wiedzieć, dowiedziałam się tego na wykładzie z literatury angielskiej na Japońskim Uniwersytecie Źeńskim. Na wykładzie o Dickensie. Profesor był nietypowy i zawsze dorzucał dygresje niezwiązane z fabułą powieści. Ale chciałam powiedzieć, że nawet ten jeden księżyc wystarczająco miesza ludziom w głowie, więc gdyby na niebie były dwa, ludzie jeszcze bardziej by wariowali. Zmieniłyby się pływy morskie, wzrosła liczba nieregularnych miesiączek u kobiet. Myślę, że jedna po drugiej działałyby się nienormalne rzeczy.

Tengo zastanowił się nad tym.

– Rzeczywiście, może i masz rację.

– Czy w tamtym świecie ludzie ciągle wariują?

– Nie, niekoniecznie. Nie wariują. A raczej robią mniej więcej to samo co my tutaj.

Lekko ścisnęła penis Tengo.

– W nietutejszym świecie ludzie robią mniej więcej to samo co my tutaj. Skoro tak, to po co jest ten nietutejszy świat?

– Nietutejszy świat jest po to, że można na nim na nowo napisać przeszłość tutejszego świata – powiedział Tengo.

– Można na nowo pisać, co się chce i jak się chce?

– Uhm.

– Chciałbyś na nowo napisać przeszłość?

– A ty nie chciałabyś napisać jej na nowo?

Kobieta potrząsnęła głową.

– Wcale nie chcę na nowo pisać przeszłości czy historii. Ja chciałabym na nowo napisać terażniejszość.

– Ale jeśli na nowo napisać przeszłość, oczywiście zmieniłaby się terażniejszość. Bo terażniejszość kształtuje się wskutek akumulacji przeszłości.

Kobieta znowu głęboko westchnęła. Potem kilka razy podniosła i opuściła dłoń z leżącym na niej penisem Tengo. Jakby wypróbowywała działanie windy.

– Można tylko jedno powiedzieć. Jesteś byłym dziecięcym geniuszem matematycznym, masz czarny pas w dzudo, piszesz długą powieść. A mimo to nic nie wiesz o tym świecie. Absolutnie nic.

Tengo nie czuł szczególnego zdziwienia, gdy go tak podsumowała. Ogólna niewiedza stała się dla niego ostatnio normalnym stanem. Nie było to żadne nowe odkrycie.

– Ale to nie szkodzi. Mimo że nic nie wiesz – powiedziała kobieta, zmieniając pozycję i przyciskając piersi do ciała Tengo – dzień po dniu uczysz matematyki na kursach przygotowawczych i piszesz długą powieść. Ja bardzo lubię twojego fiutka. I kształt, i wielkość, i fakturę. I kiedy jest twardy, i kiedy jest miękki. W zdrowiu i w chorobie, na dobre i na złe. I teraz od pewnego czasu jest tylko mój. Tak jest, prawda?

– Zgadza się – przyznał Tengo.

– Mówiłam ci już, że jestem strasznie zazdrosna?

– Mówiłaś. Tak zazdrosna, że to przekracza wszelkie wyobrażenia.

– Przekracza wszelkie wyobrażenia. Od dawna taka jestem – zaczęła powoli poruszać palcami w górę i dół. – Zaraz znowu ci go usztynię. Masz coś przeciwko temu?

Tengo powiedział, że nie ma nic przeciwko temu.

– O czym teraz myślisz?

– O tym, że chodziłaś na wykłady z literatury angielskiej na Japońskim Uniwersytecie Żeńskim.

– Czytaliśmy *Martina Chuzzlewita*. Miałam osiemnaście lat, nosiłam śliczną sukienkę z falbankami, koński ogon. Byłam bardzo pilną studentką, wtedy jeszcze dziewczęcą. Zupełnie jakbym mówiła o poprzednim życiu. W każdym razie różnica między *lunatic* a *insane* to jedna z pierwszych rzeczy, jakich dowiedziałam się na studiach. No, jak, podnieca cię to, jak sobie mnie wyobrażasz?

– Oczywiście. – Z zamkniętymi oczami wyobraził sobie sukienkę z falbankami i koński ogon. Pilna studentka i dziewczica. Ale tak zazdrosna, że to przekraczało wszelkie wyobrażenia. Książyc oświetlający Londyn Dickensa. Tułających się po nim lunatyków i szaleńców. Chodzili w podobnych kapeluszach, mieli podobne wąsy. Jak można było ich od siebie odróżnić? Kiedy zamknął oczy, nie był już pewien, w którym świecie się znajduje.